NOWE ŻYCIE

MIESIĘCZNIK

POŚWIĘCONY NAUCE, LITERATURZE I SZTUCE ŻYDOWSKIEJ

Redaktor: Dr. MAJER BAŁABAN.

ROK I. — TOM II.

(zeszyty 4—6)

wrzesień-październik, listopad, grudzień,

1 9 2 4.

Wydawca: RAFAŁ SZERESZOWSKI.

Administracja i Skład Główny:
Księgarnia M. J. FREIDA, Warszawa
Rymarska 16, tel. 305-78.

TREŚĆ TOMU DRUGIEGO

(Zeszyty 4—6, wrzesień-październik, listopad, grudzień 19_4)

NAUKA:

PAMIĘTNIKI:

LITERATURA:

KRONIKA I BIBLIOGRAFJA:

NEKROLOGJA:

KRONIKA:

BIBLIOGRAFJA:

WŚRÓD CZASOPISM

RECENZJE

RYCINY

REDAKCJA:

WARSZAWA, SIENNA Nr. 38, m. 25. :: TELEFON 229-82.

NOWE ŻYCIE

Rok I. Nr. 4.	MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY NAUCE, LITERATURZE i SZTUCE ŻYDOWSKIEJ.	WRZESIEŃ-PAŹDZIERNIK 1924

Dr. JAKÓB HANDEL.

Aryjczycy i Semici.

(Problem pokrewieństwa językowego).

W czasach wybujałej nienawiści narodowej i plemiennej godzi się zwrócić uwagę na wyniki umiejętności mało może popularnej, ale niemniej wszystkim nam serdecznie blizkiej, bo nawskroś i specyficznie ludzkiej. Mam na myśli naukę o języku czyli lingwistykę. Ta bowiem nauka wypisała na swoim sztandarze braterstwo nie tylko wszystkich prawie języków europejskich, lecz nadto szeregu języków azjatyckich, a jak zobaczymy wchodzi tu także w rachubę grupa języków, których siedzibą jest Afryka.

Nauka to stosunkowo młoda, bo właściwie dopiero w XIX powstała wieku.

W roku 1816 wyszła w Frankfurcie nad Menem książka pt.: Über das Koniugationssystem der Sanscritsprache in Vergleichung mit jenen der griechischen, lateinischen, persischen und germanischen Sprache. Autorem tego skromnego dziełka był 25-letni Franciszek Bopp, który pracą tą

rzucił podwaliny pod nowy gmach wiedzy ludzkiej, stworzył nową gałąż nauki: językoznawstwo porównawcze czyli gramatykę historyczno-porównawczą języków indo-europejskich.

Udowodniwszy pierwotne pokrewieństwo całego szeregu języków azjatyckich, znanych odtąd pod nazwą języków indo-irańskich czyli aryjskich w znaczeniu ściślejszem oraz wszystkich niemal języków europejskich, sprowadziwszy je do wspólnego źródła, do tzw. prajęzyka indo-europejskiego stał się przez to Bopp twórcą językoznawstwa porównawczego, a od wymienionej jego pierwszej pracy datują się powszechnie dzieje lingwistyki naukowej w ogólności.

Jednak nie bez dumy stwierdzić nam wypada, że to, co Bopp w XIX w. uczynił dla języków indo-europejskich czyli aryjskich w szerszem i popularnem tego słowa znaczeniu, to odnośnie do języków, które począwszy od ośmnastego wieku obejmujemy, z Biblji zaczerpniętą, nazwą semickich, zauważyli trafnie uczeni żydowscy jeszcze w X w., a jeden z nich Abbu Ibrahim ibn Barun, żyjący w wieku XII napisał specjalne dzieło o pokrewieńswie języków hebrajskiego i arabskiego.

Wobec tego więc, bez przesady, uznać możemy gramatyków żydowskich za właściwych twórców językoznawstwa porównawczego. Ba, co więcej, śledząc bacznie historję naszego zagadnienia, przyjąć musimy za punkt wyjścia dla teorji pokrewieństwa językowego w ogólności naszą prastarą księgę *Bereszith*, która przecież przekazała nam wiekową tradycję o trzech synach Noego, protoplastach trzech wielkich szczepów ludzkich: Semitów, Chamitów i Jafetytów. Nie dziw tedy, że ta właśnie tradycja, skombinowana (bezkrytycznie) z rezultatami Boppa, kazała identyfikować prajęzyk indo-europejski tj. język praindo-europejski z językiem potomków Jafeta. A to tembardziej, że przyjęto dla zespołu na oznaczenie innej grupy języków (afrykańskich) znowu bardzo wygodny termin biblijny języków chamickich. Jeżeli więc, porównanie języków indo-europejskich prowadzi do jednego języka praindo-europejskiego, chamickich do prachamickiego, a semickich do prasemickiego, to

samo przez się narzuca się pytanie, czy i te prajęzyki nie pozostają w jakimś stosunku do siebie, a w danym razie, jaki jest ten stosunek. Tradycja biblijna rozstrzyga to pytanie zupełnie jasno: Te trzy prajęzyki pozostają mianowicie do siebie w stosunku „bratnim", a więc analogicznym do stosunku poszczególnych języków każdej z tych grup zosobna, np. arabskiego i hebrajskiego, greckiego i łacińskiego, albo np. do stosunku wzajemnego poszczególnych języków romańskich (np. francuskiego do włoskiego) lub słowiańskich (np. polskiego do czeskiego) itp. I rzeczywiście grupa chamicka i semicka mają tyle punktów stycznych, że dziś wielu badaczy łączy je nawet pod wspólną nazwą rodziny chamicko-semickej.

Że z przeniesienia tych stosunków w czasy jeszcze odleglejsze można było łatwo dojść do bardzo zresztą ponętnej konkluzji o wspólnem pochodzeniu i pierwotnej jedności wszystkich języków świata, to jest rzeczą zrozumiałą, zwłaszcza, że i w tym wypadku znaleziono pożądane oparcie w autorytecie księgi Genesis, mianowicie w legendzie o wieży Babel.

Jak głęboko zakorzenione było w epoce renesansu przekonanie o wspólnem pochodzeniu wszystkich języków świadczy ciekawy fakt, że kiedy poznano nieco bliżej język tubylczej ludności amerykańskiej i zauważono, że trudno je wciągnąć w jakieś związki genealogiczne z językami znanemi, nie wahano się chwycić bardzo radykalnego, choć może naiwnego, śmiesznego nieco środka. Oto uczony, który żył u schyłku XVII i na początku XVIII w., Hadryan Relandus wystąpił z twierdzeniem, że Amerykanie rozmyślnie zmienili swą mowę do niepoznania, aby nieprzyjaciel nie zrozumiał ich haseł i rozkazów.

Pomijając jednak te narazie przynajmniej zbyt daleko idące wnioski i przypuszczenia, wspomnę przecież w tem miejscu, że bardzo poważny uczony współczesny, profesor uniwersytetu bolońskiego Alfred Trombetti w roku 1905 wydał książkę, w której usiłuje wykazać wspólny początek wszystkich języków kuli ziemskiej i zgodnie z tradycją biblijną wywodzi wszystkie narzecza ludzkie od wspólnej ma-

cierzy. A choć są to kwestje narazie jeszcze nie nadające się nawet do dyskusji, to jednak i przeciwnicy przyznać muszą Trombettiemu genialność koncepcji.

Faktem jest, że pewien bliższy stosunek języków indo-europejskich, semickich i chamickich stwierdza bezsprzecznie już ogólny podział języków. Wszak wiadomo, że właśnie te grupy językowe od wszelkich innych mów i narzeczy wyróżniają się wybitnie cechą fleksyjną (tj. odmianą imienia i słowa). Nadto ten podział językowy schodzi się prawie z analogicznym podziałem rasowym: wszak wszystkie szczepy, mówiące językami flektującemi należą do tzw. rasy białej (kaukazkiej czyli śródziemnomorskiej). Nie dziw tedy, że wobec wymienionych faktów próbowano sporadycznie w ciągu XIX w. zająć się bliżej naszem zagadnieniem i wykazać pokrewieństwo bądź to wszystkich trzech, bądź to przynajmniej dwu najbardziej znanych i zbadanych rodzin językowych tj. semickiej i indo-europejskiej, czyli jak ją niektórzy nazywali jafetyckiej. Nie od rzeczy będzie nadmienić, że i sam Bopp próbował swych sił na tem polu i pozostawił nam kilka wcale zresztą niefortunnych zestawień etymologicznych. Za teorją pokrewieństwa oświadczył się nadto szereg wybitnych językoznawców, zarówno semitologów jak i indoeuropeistów, między innymi np. głośny swego czasu autor dzieła „Bibel und Babel" Fryderyk Delitzsch.

Wykazać pierwotne pokrewieństwo języków semickich i indo-europejskich mogłyby oczywiście przedewszystkiem zestawienia etymologiczne. A że na tak śliskiej i karkołomnej drodze jaką jest etymologja w ogólności można było łatwo zejść na manowce, to potwierdzi każdy, kto etymologją kiedykolwiek się zajmował. Ale przy porównywaniu języków indo-europejskich i semickich, etymologja gotowych wyrazów napotyka na inną jeszcze trudność. Bo jeżeli prajęzyki indo-europejski i semicki pozostawały ongiś w bliższych stosunkach i jeśli zachodzi między niemi jakieś powinowactwo, to będzie ono tem bardziej uchwytne im dalej cofniemy się wstecz, t. j. im bardziej zbliżymy się do owej zamierzchłej doby jedności pierwotnej obu grup. A ponieważ epoka fleksyjna jest prawdopodobnie późną stosun-

kowo, ostatnią fazą prajęzyka indo-europejskiego, a epokę tę wyprzedziły niezawodnie inne dawniejsze, aż dojdziemy do epoki pierwiastków, więc chyba dla tego odległego, dziś nierzadko zupełnie już zatartego, a niekiedy może ledwie dostrzegalnego stadjum obu prajęzyków możnaby z jakimś skutkiem szukać zestawień etymologicznych. Wyjaśnię to na przykładzie: Weźmy np. jedno z najprostszych zestawień indo-europejsko-semickich, wyrazy, oznaczające ojca: assyryjskie *abu*, hebr. *ab* z jednej strony a z drugiej strony łacińskie *pater*, niemieckie *Vater*, to można tu mówić tylko o zestawianiu indo-europejskiego pierwiastka *pa*—z odnośnym pierwiastkiem semickim; końcówka *ter* jest dodatkiem, który powstał dopiero na gruncie indo-europejskim i jako taki w naszym wypadku wcale nie wchodzi w rachubę. Nie wystarczy tedy porównywać „wyrazy" prasemickie z praindo-europejskiemi, ale wprzód należy odrzucić końcówki czyli sufiksy wyrazowe. Nie na tem koniec. Weźmy np. wyrazy: łać. *tremo trepidus*, staroindyjskie *trásati*, polskie *trzęsę*, itp. Są one niewątpliwie etymologicznie spokrewnione, a przecież w wyrazach tych znajdujemy prócz wspólnego pierwiastka *tre*— oraz końcówek fleksyjnych elementy różne: w jednym *m*, w drugim *p*, w innych *s*. Są to tzw. przez gramatyków określniki pierwiastków („Wurzeldeterminative"). A więc i te i tym podobne elementa nieraz odrzucićby trzeba przed przystąpieniem do zestawienia pierwiastków indo-europiejskich i semickich. Oczywiście do tego trzeba dodać, i to jest najważniejsze, tzw. prawa głosów, tj. ściśle określone zasady, według których pewne dźwięki w obu tych grupach językowych sobie odpowiadają.

Któżby bez ich znajomości i pomocy dopatrzył się jakiegoś pokrewieństwa czy bodaj podobieństwa między takiemi wyrazami indo-europejskiemi, jak polskie *córa*, ruskie *doczka*, niem. *Tochter*; łać. *ver*, a pol. *wiosna*; łać. *fumus*, pols. *dym*; łacińskie *ovum*, pols. *jaje*; łać. *auris* lub niem. *Ohr*, a pols. *ucho*; łać. *centum*, niem. *hundert*, pols. *sto*; niem. *Korn*, pols. *ziarno*.

Ba, nawet w obrębie samej polszczyzny czyż laik nie wzruszy ramionami, gdy usłyszy, że ten sam rdzeń tkwi

w wyrazach np. *wzrok* a *zazdrość; ufać* a *pewny, stół* a *prze-ścieradło* (=prze—ścieradło); albo weźmy wyrazy obce życiowe np. *szpital* a *hotel* (jedno i drugie powstało z łać. *hospitale).*

Pokrewieństwo tych i tym podobnych wyrazów, których przytoczyć możnaby mnóstwo staje się dla nas jasnem i niewątpliwem dopiero w świetle odpowiedniej rekonstrukcji i przy pomocy odnośnych praw głosowych.

Z omówionych trudności zdawali sobie już mniej lub więcej jasno sprawę i liczyli się z niemi niektórzy uczeni, zajmujący się naszym problemem w drugiej połowie ubiegłego stulecia. Zasługą ich jest to, że zwrócili uwagę na małą stosunkowo wartość strony leksykalnej, a silnie zaakcentowali potrzebę oparcia etymologji na pierwiastkach i starali się ustalić pewne ogólne przynajmniej prawa głosowe. Wiele hałasu narobiła zwłaszcza dyssertacja wspomnianego już assyrjologa berlińskiego Delitzscha, który jako rezultat swej pracy zestawił sto pierwiastków indo-europejskich i semickich o znaczeniu przeważnie jednak abstrakcyjnem. Wynikiem tym jednak i sam autor snać niezbyt był zbudowany, skoro zapatrywanie swe o związku genetycznym języków semickich i indo-europejskich w parę lat później odwołał publicznie w wykładzie, wygłoszonym w lipskiem Towarzystwie językoznawczem.

(Dok. nast.).

Dr. JEREMIASZ FRENKEL (Łódź).

„Zwój ognisty" Bialika a „Anhelli" Słowackiego.

Analogja między „Zwojem ognistym" Bialika a „Anhellim" Słowackiego nie jest wynalazkiem jakiegoś subtelnego krytyka literackiego. Dziwnym zbiegiem okoliczności nie wspomniano dotąd ani jednem słowem o tej analogji, ani w literaturze hebrajskiej, ani w polskiej. A jednak każdy z nas, kto zna oba te utwory, musiał pomyśleć o tem dziwnem podobieństwie sytuacji, formy i treści, które je łączy.

Na pierwszy rzut oka mogłoby się zdawać, że forma biblijna obu utworom właściwa, jest głównym czynnikiem tego, nie dającego się zaprzeczyć, podobieństwa między nimi. Można jednak śmiało powiedzieć, że nie podobieństwo formy jest dla kwestji naszej rozstrzygające. Tak jak Biblja przestała być wyłączną własnością narodu żydowskiego, tak forma biblijna już dawno przekroczyła ramy narodowe i stała się ulubioną formą wyrazu twórców najbardziej od siebie oddalonych, djametralnie różnych, i mających najrozmaitsze cele i dążenia. Lammenais, Mickiewicz. Słowacki, Nietsche, Rielke, Borchard i mnóstwo autorów hebrajskich posługiwało się w różnych celach i z różnych przyczyn wersetem biblijnym.

Zresztą werset biblijny może być nastrojony na różną gamę tonów.

Sielankowy ton księgi Rut i ociekające krwią i łzami Treny Jeremiaszowe, tubalny głos proroka Jezajasza i miękkie nastroje Nowego Testamentu — czyż dadzą się podciągnąć pod jeden strychulec?

O stylu biblijnym „Anhellego" powiada Kleiner, że jest to „forma biblijna, transponowana na melodję kobiecego głosu." Wystarczy rzucić okiem na „Zwój ognisty", choćby

tylko na pierwszy rozdział tego poematu, aby się przekonać, że Bialik wydobył ze skali tonów biblijnych — najbardziej męskie, silne, jaskrawe. Jeżeli styl Słowackiego ma odtworzyć senny nastrój białej pustyni syberyjskiej, to Bialik wlał w swój styl strumień namiętnego ognia, który czerwonym blaskiem opromienia całą treść utworu. Inaczej przedstawiał się świat poecie polskiemu, który z wyżyn Libanonu rzucał swój tęskny wzrok na śnieżną pustynię północy — inaczej poecie żydowskiemu, który z zimnej północy podnosił swe oko ku okraszonym słońcem południa szczytom ojczystego Libanonu.

Nie jest tedy styl biblijny tem, co łączy oba poematy. Przeciwnie, w ramach tego samego wersetu biblijnego ujawnia się dobitnie kontrast między kolorytem białego „Anhellego“ a czerwonego „Zwoju ognistego“.

Natomiast wglądnięcie w genezę obu utworów, zbadanie stosunku autorów do otaczającego ich społeczeństwa, wykazuje już silne i nie dające się zaprzeczyć pokrewieństwo, przekraczające daleko granice jednego utworu, a obejmujące prawie całokształt twórczości każdego z obu wieszczów.

U Słowackiego: Naród w nieszczęściu. Najlepsi synowie na emigracji, daleko od ukochanej ojczyzny. Niemoc czynu budzi mrzonki mesjanistyczne. Najwybitniejszy reprezentant ducha narodowego —Mickiewicz—tonie w morzu optymistycznej romantyki, zatraca się poczucie dla błędów narodu, a widzi się tylko jego smutny los. Oczekuje się zbawienia od Nieba. Słowacki, który odczuwa ból narodu silniej może od innych — musi jednak zająć wobec społeczeństwa stanowisko oskarżyciela. Po druzgocącem uderzeniu na optymizm mesjanistyczny w „Kordjanie“ — następuje złagodzenie ducha, zagłębienie się w sobie samym i metafizyczne szukanie celów ostatecznych dla głęboko odczutego męczeństwa narodowego.

U Bialika: Naród od dwóch tysięcy lat na wygnaniu. Diaspora jest straszniejsza od emigracji, bo oznacza ona bezdomność całego narodu, nie drobnej jego części; brak ojczyzny, nie oddalenie od niej. Już i mesjanizm nie

może dostarczyć pociechy w nieszczęściu: tyle razy już buchnął żywym ogniem i tyle już razy marnie zgasł i pozostawił w sercu tylko zgliszcza. Po każdej nowej fali cierpień—nowa fala mesjanizmu i nowy zawód. Pogromy obudziły znowu romantykę narodową, która tym razem przyjęła formę racjonalną: sjonizm. Mimo powitania tego ruchu w latach 80-tych, w czasach panującego pozytywizmu, nie brakło mu w jego pierwszej fazie rozwojowej cech romantyki. Zamykał on oczy na wady narodu, widział tylko jego cierpienia i wierzył w rychłe zbawienie. Nie odczuwał potrzeby podniesienia etycznego i potęgował niemoc czynu. Bezpośrednio przed „Zwojem ognistym" stworzył Bialik swoją „Pieśń o pogromie", gdzie stanął wobec narodu w roli surowego oskarżyciela. Ale przemogły w nim miłość i litość i nie zmieniając swego ogólnego zdania c narodzie — dał poeta tym uczuciom wyraz w „Zwoju ognistym".

Nie zadowolił się jednak samem odtwarzaniem cierpień, lecz szukał dla nich — tak samo jak Słowacki — transcendentalnego celu. Transcendentalnego, bo - równie jak Słowacki — innego celu przed sobą nie widzi. Aniołowie, którzy przybywają do Anhellego, powiadają: „Przyszliśmy zwiastować koniec i nieszczęście, a Bóg nie kazał nam wyjawić przyszłości." A także w poemacie Bialika słyszymy tylko pieśń „nienawiści i zniszczenia", ale „pieśni pocieszenia i radości" nie słyszymy. Dobry genjusz — „młodzianem jasnookim" zwany i do Anhellego dziwnie podobny — nie może tej pieśni wydobyć z ust swej cierpiącej braci, ale sam też jej nie śpiewa, widocznie samemu poecie jest obcą. Gdzie religijny Słowacki miał jeszcze jakieś „może", tam Bialik, który w przystępie rozpaczy stracił wiarę we wszechmoc Boga, nie ma żadnej odpowiedzi realnej.

A jednak...

Jeżeli obecne pokolenie nie doczeka się celu swych cierpień, to jednak cierpienia jego nie mogą pójść na marne. Słowacki wierzy w to, że cierpienia te będą odkupieniem dla przyszłych pokoleń. Także bohater Bialika nie wróży zbawienia swemu pokoleniu, choć bierze żywy udział w jego katuszach. Żyje tylko w tym celu, aby przechować

w sobie i przekazać przyszłości ostatnią iskierkę Ognia Bożego, w sercu swem ukrytą. Ta ostatnia iskierka — jest celem jego cierpień.

Całe podłoże ogólne obu poematów wykazuje tedy silny paralelizm: rozpaczliwe cierpienia narodu, nie pozbawione momentu własnej winy; pesymizm i walka z „tymi, co zostają w bezczynności, mówiąc: oto myślimy o zbawieniu ojczyzny“ (u Bialika: „serce spokojne i pewne“ w ostatnim rozdziale); daleki, problematyczny cel cierpień.— Lecz ujęcie problemu przez wprowadzenie osoby autora na scenę, wykazuje jeszcze silniejszą analogję. W obu poematach występuje na pierwszym planie poeta, a raczej jego idealizowany autoportret; przyczem w obu wypadkach bohater jest raczej ideałem, niż portretem. Dlatego też jest ubrany w szaty anioła. Bo nie ulega wątpliwości, że młodzieniec jasnooki, którego Bialik nazywa „Nieznajomym“, jest aniołem — jak ów drugi młodzieniec „o nachmurzonych brwiach“ jest uosobieniem szatana. I w obu poematach bohater-anioł przechodzi przez całą gehennę cierpień narodu, choć każdy z obu poetów wybrał sobie dla tej wędrówki inną formę, stosownie do towarzyszących okoliczności. Tę różnicę formy spróbuję wytłumaczyć.

Wpływ Dantego podsunął Słowackiemu myśl wędrówki po piekle sybirskiem w towarzystwie Szamana, który mu tłumaczy poszczególne symbole cierpień. Mógł także Bialik obrać tę formę, i to bez uciekania się do wzoru dantejskiego, ponieważ obraz anioła-tłumacza symboli jest Żydowi znany z Biblji (Zacharjasz, Daniel). Ale Bialik obrał inną formę wędrówki, a mianowicie wędrówkę duszy przez wieki. Forma ta, obcego pochodzenia, w żydostwie dopiero później się przyjęła (Kabala). Ta różnica formy nie będzie nas dziwiła, jeżeli uwzględnimy, że cierpienia Polski w porównaniu z drogą boleści narodu żydowskiego, trwały tylko przez chwilę. Poeta polski może nam nakreślić obraz polskiej martyrologji. Poeta żydowski i na stu obrazach nie zmieści tej martyrologji, która od Antjocha Epifanesa do Petlury i Bałachowicza przybierała tysiące postaci i miała za arenę świat cały. Poeta żydowski nie porywa się nawet

na kreślenia obrazów, lecz zadowalnia się abstrakcyjnem sformułowaniem historyczno-genetycznego rozwoju cierpiącej duszy Ahaswera, tułacza wiecznego. Że zaś bohater-anioł-ideał ma wszystkie te cierpienia wchłonąć w siebie i sam je przeżyć, — przeto dla celu tego najstosowniejszą jest forma wędrującej duszy, którą jeśli nawet rzeka śmierci połknie, to ją wyrzuci na innym brzegu, w innym wieku, ale zawsze dla kontynuowania tychsamych cierpień, które są wieczne, jak tułaczka narodu Ahaswera jest wieczną.

Dziwnie podobne do siebie są miejscami losy obu bohaterów. Bohater Słowackiego powiada o sobie: „Ojciec mój umarł śmiercią synów ojczyzny, a matka moja umarła z boleści po nim, a jam był pogrobowcem." Niepotrzebnie silą się krytycy na uzgodnienie tych faktów z żywotem Słowackiego, bo rozchodzi się tu nie o biografję, lecz o dzieje wewnętrzne duszy. Te zmyślone okoliczności mają uzmysłowić osamotnienie poety w walce z życiem.

A Bialik w ten sposób zaczyna spowiedź swego bohatera: „Ojciec mój umarł śmiercią gwałtowną na wojnie, a matka sprzedała cześć na ziemi cudzej... I nie miałem niczego prócz duszy, niczem ptak wystraszony o oczach patrzących w dal i rozmarzonych." Potem następuje długa opowieść o starcu—pustelniku, który go uczy czynić ze siebie ofiarę (podobnie jak Szaman uczył Anhellego), aż wreszcie wszystko, nawet Ogień w sercu, który mu jest najdroższym skarbem w życiu, ofiaruje Niebu. Nawet wykrzyk, którym on skarb ten Bogu ofiaruje, jest prawie identyczny z końcem spowiedzi Anhellego: „Oto powiedźcie mu, że jeżeli chce ofiarę z duszy mojej... to ją dam"!

Jeżeli nie możemy przeprowadzić we wszystkich szczegółach paraleli między losami obu bohaterów, jest to bardzo zrozumiałe. Przecież mamy przed sobą dwa utwory zupełnie niezależne, a oba bardzo fantastyczne, tak że niema w nich żadnej proporcji między częściami. O kompozycji „Zwoju ognistego" da się powiedzieć dosłownie tosamo co powiedział Ujejski o „Anhellim", że „poemat ten nie jest rozwijaniem toku jakiejś akcji, tylko szeregiem

symbolicznych obrazów. Kolej zaś i suma tych obrazów przedstawia nie zdarzenie jakieś, ale ideę."

Bywa tedy, że Bialik rozwija obszernie jakiś obraz, który u Słowackiego jest tylko naszkicowany; bywa i przeciwnie.

Czyż takie zdanie w „Anhellim": „Rzuciłem się w rzekę nieszczęścia i fala jej zaniosła mnie daleko i już nie wrócę. — Nigdy!" — nie wydaje się identycznem z treścią ostatnich rozdziałów „Zwoju ognistego"?

A jednak, chociaż Anhelli i jasnooki młodzieniec Bialika tak bardzo są do siebie zbliżeni, a losy ich tyle wykazują podobieństwa, mimoto nie przestają oni na chwilę być — jeden Polakiem i chrześcijaninem, drugi Żydem.

Przejawia to się już w stosunku ich do kobiety. Drogę Anhellego krzyżują aż dwie kobiety: Ellenai i Eloe. Pierwsza z nich jest pokutującą Marją Magdaleną, która wnosi w życie bohatera promień piękna, potem zaś serdeczny ból po utracie tego piękna. Druga — Eloe (zresztą inkarnacja miłości przeżytej naprawdę przez poetę), jest czystą anielicą, a „urodziła się ze łzy Chrystusowej na Golgocie, z tej łzy, która wylana była nad narodami". Dla Polaka miłość jest rzeczywista, dla chrześcijanina kobieta jest aniołem, nawet wówczas, jeżeli była kiedyś jawnogrzesznicą.

Inaczej było u Żydów. Kobieta była zawsze u nas dzieckiem szatana i matką grzechu. Dusza dąży do Nieba, a sama myśl o kobiecie ciągnie ją w przepaść. Przytem to jest najdziwniejsze, że u najlepszych wśród nas rozchodzi się faktycznie nie o rzeczywistą kobietę, lecz naprawdę tylko o grzeszną myśl o niej. Ta kobieta, która w „Zwoju ognistym" i wielu innych miejscach w utworach Bialika występuje (np. w pięknym wierszyku „Ajejch"), niema w sobie ani śladu jakiejś cechy realnej! Bialik nigdy nie miał swojej Ludwiki Śniadeckiej ani Maryli. Kobieta jest dla niego tylko symbolem, niczem więcej: symbolem piękna ziemskiego, symbolem życia na łonie pięknej przyrody, symbolem piękna wogóle, a przeto — w myśl światopoglądu, przez

nienaturalne życie wytworzonego — także symbolem grzechu.

Obaj młodzieńcy są ofiarami, ale jakże bardzo niepodobni są do siebie ci kapłani, którzy ofiarę Bogu przynoszą? Kapłanem—ofiarnikiem Anhellego jest Szaman, który wbrew kostjumowi czarownika sybirskiego jest niczem innem, jak idealnym kapłanem chrześcijańskim, kapłanem Boga Miłości. Kapłanem zaś, który jasnookiego młodzieńca Bogu poświęca, jest pustelnik judejski, który wykazuje rysy proroków starożydowskich i świętych z agady talmudycznej i należy do tego rodzaju kapłanów, których typ wyraził się w ibsenowskim „Brandzie".

Że uczeń Szamana ma innego Boga, niż wychowanek pustelnika judejskiego, — wynika z natury rzeczy. Stąd też „Anhelli" jest w gruncie rzeczy bez porównania bardziej optymistyczny, niż „Zwój ognisty". Bo chrześcijaństwo nie zna bezcelowego cierpienia. Każde cierpienie jest ostatecznie odkupieniem. Ale poeta żydowski, równie jak prorocy jego narodu przed tysiącami lat, stoi przed problemem cierpienia jak przed zagadką, której rozwiązanie tylko Bogu jest znane. Zbawienia zaś oczekuje tylko od cudu. Byleby nie zgasła ostatnia iskierka Ognia Bożego na ziemi, nie zgaśnie też nadzieja narodu Bożego na wieki.

Dr. MAJER BAŁABAN.

KARAICI w POLSCE.*)

VI. TROKI.

1. Dzieje gminy.

Główną a może i najstarszą z gmin karaickich na ziemiach polskich była gmina w Trokach. Już w roku 1414, za rządów Witolda i Jagiełły zwiedził Troki rycerz francuski Guillibert de Lannoy sire Villerval et de Trouchiennes i zauważył: że w tym grodzie żyją Niemcy, Litwini, Rusini i wielka ilość Żydów, przyczem każdy naród ma swój własny język.[1])

Firkowicz opowiadał Syrokomli (1854), że już bardzo dawno, stanowili karaici zbrojne rycerstwo, które po odprawieniu krótkiej modlitwy każdego ranka szumnie harcowało na moście, wiodącym do zamku wielkoksiążęcego. Już Syrokomli wydawała się ta historja za romantyczną, ale że bardzo cenił Firkowicza, który był wówczas starcem, przeto zauważył, że mogło to być jedynie za Kazimierza Jagiellończyka, ileże poźniejsi władcy nie przyjeżdżali do Trok[2]).

Archiwalnie trudno stwierdzić początek gminy karaickiej w Trokach, podobnie jak i początek innych gmin karaickich. Sami karaici troccy twierdzą uporczywie — podobnie jak łuccy — że sprowadził ich Witołd i nadał im przywileje. Tymczasem

*) Obacz „Nowe Życie" zeszyt III str. 323 — 340.

1) Wydanie Potwina pg 41. Szczegóły o podróży Guilliberta de Lannoy obacz: Jaworski Franciszek: Lwów stary i wczorajszy. Lwów 1910; ustęp: Błędny rycerz.

2) Syrokomla: Wycieczki po Litwie, tom I str. 31—122, r. 1857. Syrokomla poznał Firkowicza w latach 1854 — 7, który bawił w Wilnie ze swym zięciem Gabrjelem Firkowiczem i blisko obcował z rabanitami a szczególnie z redaktorem czasopisma Hakarmel הכרמל Finnem.

mamy w Trokach dwa szeregi przywilejów, które widocznie wskazują na to, że dawniej była tutaj gmina rabanicka obok karaickiej, a może nawet jedna sama. Oto widzimy, że przywilej generalny dla wszystkich żydowskich gmin na Litwie, a mianowicie dla Trok, Brześcia, Grodna, Łucka i Włodzimierza z dnia 2 lipca 1388 nie zna wcale karaitów, lecz naogół Żydów[1]). Przywilej ten zatwierdził Zygmunt I dla „Żydów" w r. 1507. Lecz przed tym przywilejem i niezależnie od niego otrzymała trocka gmina „żydowska" tenże sam przywilej osobno dla siebie już 24 czerwca 1388 r. Przywilej ten również potwierdził Zygmunt I w Mielniku w r. 1507, równocześnie z tamtym przywilejem.

Po za tymi przywilejami zgodnymi z generalnymi przywilejami Żydów w całej Rzeczypospolitej i w środkowej Europie, otrzymują Żydzi troccy szereg innych przywilejów, zupełnie odmiennych od tamtych. Szereg ten rozpoczyna Kazimierz

---

1) Firkowicz twierdził, a za nim powtórzył bezkrytycznie Syrokomla, że przywilej z roku 1388 nadał Witold karaitom. Za Syrokomlą powtórzył to Zahorski (Troki i zamek trocki, Wilno 1902), który oznacza początek gminy karaickiej w Trokach na rok 1405. Sądzę, że potem co wykazałem wyżej przy biografji Firkowicza, jest zupełnie zbyteczną polemika z nim, lecz chcę dla dosadniejszej illustracji środków jakimi się posługiwał ten „uczony" zwrócić uwagę na inny szczegół. Oto w roku 1861 przysłał Firkowicz redaktorowi tygodnika wileńskiego Hakarmel, Finnowi kilka odpisów z dokumentów „znalezionych" w Trokach, „za których autentyczność — jak czytamy w uwadze — ręczy imię Firkowicza". Finn ogłosił je w swym tygodniku w №№ 11 i 23. Tamże pod № 5 przedrukował list (z roku 1664) siedmiu poważnych obywateli i rabinów wileńskich do ziemstwa litewsko-żydowskiego, w którym proszą o poparcie gminy karaickiej, chcącej po wielu wojnach się napowrót odbudować. W liście tym, pisanym stylem bombastycznym XVII wieku, jest następujący frazes: Wstawiamy się za karaitami, którzy od wieków mieli prawo mieszkania w Trokach, zawsze tam było kilka minjanów rodzin (kilkadziesiąt) a także cmentarz, na którym jest pochowanych kilku naszych obywateli, zanim otrzymaliśmy nasz własny cmentarz. Mają też przywileje w Trokach, któreśmy my nieraz pożyczali..." אשר מעולם היה להם חזקת ישוב בעיר טרוקי והיו שם כמה מנינים וגם בית הקברות, אשר שם כמה בעלי בתים קבורים מאז ומקדם, קודם תיקון קברות שלנו, וגם ידוע... קיומים אשר יש להם... וגם אנחנו לקחנו כמה פעמים קיומים שלהם

I jakby na dowód, że w istocie pożyczali rabanici przywileje od karaitów przynosi Firkowicz (drukuje Finn) cały spór o pożyczenie 8 przywilejów i oddanie tylko 7 oraz usprawiedliwianie się rabanitów ze zwłoki w oddaniu (powyższe materjały № 3,5). Czyż nie znakomity dowód na starość gminy karaickiej w Trokach?

Jagiellończyk w r. 1441, nadaniem „Żydom prawa magdeburskiego", kontynuuje Aleksander w r. 1492 (bezpośrednio przed wygnaniem Żydów z Litwy), a powtarza, uzupełnia i potwierdza Zygmunt I w r. 1507. Te trzy przywileje również nie znają wprawdzie nazwy „karaitów", i są wydane dla „Żydów trockich", lecz są według wszelkiego prawdopodobieństwa wydane dla gminy karaickiej i to z następujących powodów:

1. Kazimierz Jagiellończyk, wydając ów pierwszy przywilej na prawo magdeburskie w r. 1441 ani słówkiem nie wspomina o przywileju Witołda z r. 1388, nie zrównuje „Żydów" trockich z żydami innych miast, lecz nadaje im prawo magdeburskie podobnie jak istniało w miastach (nie w gminach żydowskich) Wilnie, Kownie i w samych Trokach.

2. Zygmunt I potwierdza i rozszerza ten przywilej (z r. 1441 i 1492) w r. 1507, a więc w tymże samym roku, co przywilej generalny z r. 1388 i również ani słowem o tamtym nie wspomina.

3. Podczas procesu między gminą karaicką a rabanicką w roku 1646 przedkładają karaici te trzy przywileje Władysławowi IV i uzyskują ich potwierdzenie, a rabanici do nich żadnego prawa sobie nie roszczą.

4. Przez cały wiek XVI i później występuje jako obrońca i reprezentant gminy „żydowskiej" wójt żydowski, a jest nim zawsze jakiś karaita — ileże gmina rabanicka w Trokach, ani nie miała, ani nie starała się o prawo magdeburskie.

W świetle tych aktów możemy stwierdzić w Trokach istnienie dwóch gmin: rabanickiej i karaickiej, z których każda ma swoje przywileje. Lecz gmina karaicka jest tutaj snać liczniejsza od rabanickiej i, otrzymawszy prawo magdeburskie, arroguje sobie administrację połowy miasta (druga połowa była chrześcijańska, a mieszkali w niej Litwini, Rusini, Tatarzy, Ormianie i Żydzi-rabanici) i żąda kilkakrotnie usunięcia rabanitów z miasta. Na tem podłożu przychodzi w r. 1646 i wielokrotnie później, a nawet w r. 1810 do sporów i procesów między obiema gminami

* * *

Ustrój gminy karaickiej opiera się na wyżwspomnianych trzech przywilejach.

I. Dnia 27 marca r. 1441 nadaje Kazimierz Jagiellończyk, jako wielki książę litewski Żydom (karaitom) trockim prawo magdeburskie. W myśl tego prawa:

1. Sądzi sprawy między Żydami (karaitami) a karaitami wójt żydowski podług prawa magdeburskiego, wójta zaś sądzi sam wielki książę.

2. Sprawy w których Żyd (karaita) jest pozwanym a powodem jest Litwin sądzi wojewoda, on też sądzi sprawy między Żydami, którzy nie mają prawa magdeburskiego (może między rabanitami).

3. Kmieć lub szlachcic, przychwytany na gorącym uczynku na terytorjum miasta żydowskiego podlega sądowi żyd. tylko za wolą i wiedzą wojewody.

4. Żydzi (karaici) płacą raz do roku czynsz, a zresztą są wolni od wszelkich danin i tylko na potrzebę Rzeczypospolitej mają składać nadzwyczajne datki, podobnie jak inne miasta na prawie magdeburskiem.

5. Żydzi otrzymują połowę dochodu od wagi miejskiej i od woskobójni. — Przywilej Kazimierza Jagiellończyka zatwierdził i rozszerzył, podczas swego pobytu w Trokach (grudzień 1492) wielki książę Aleksander, uwalniając Żydów (karaitów) trockich — podobnie jak mieszczan wileńskich i trockich — od wszelkich myt, mostowego, drogowego, tak królewskiego jakoteż prywatnego, duchownego i świeckiego, by mogli bez przeszkody podróżować i przewozić towary po całem Wielkiem Księstwie Litewskiem. Równocześnie uwalnia ich od straży, oraz od obowiązku pracy na polach królewskich (*a metendis et colligendis frugibus*).

Ostatni przywilej zasadniczy otrzymali karaici troccy od Zygmunta I w r. 1507. W tymże przywileju potwierdza Zugmunt prawa nadane przez swych poprzedników (raz w rok podatek, wolność od straży, wolny handel i wolność od drogowego i mostowego) i rozszerza dochody gminy karaickiej oprócz dotychczasowej połowy od kapnicy (woskobójni) i wagi miejskiej także na połowę od handlu suknem i tragarstwa, określa też sposób wyboru wójta. Otóż wójta wybiera i ustanawia, za zgodą wielkiego księcia, (*ex nostra concessione*) wojewoda trocki, który też stanowi wyższą instancję od wyroku tegoż wójta.

Na podstawie tych wszystkich przywilejów zorganizowała się gmina karaicka nie w kahał ale w oddzielne miasto, na którego czele stanął wójt żydowski. Wskutek tego podzieliło się miasto na dwie części, których granicę stanowiła rzeczka t. zw. „lebiednyj most". Już w r. 1485 przychodzi do sporu między mieszczanami katolickimi i prawosławnymi a karaitami o podatek t. zw. srebszczyznę. Kazimierz Jagiellończyk konstatuje, że miasto jest od dawien dawna podzielone na dwie części i że w tym stosunku mają nadal być płacone podatki i daniny, obiecuje też, że okolicznościowo, gdy będzie w Trokach, załatwi ostatecznie ten spór. Nie doczekał król końca sporu, więc około r. 1517 znów wytaczają karaici troccy swą sprawę przed Zygmuntem I.

Zygmunt I Stary rozpatrzył całą sprawę należycie i przyznał słuszność karaitom. Dekretem z dnia 24. kwietnia 1517 r. polecił wojewodzie trockiemu, by wezwał przed siebie wójta miejskiego Mikołaja i, przypomniawszy mu poprzednie dekrety wielkich książąt i stan faktyczny, jaki się wytworzył od wieków, zażądał od niego dotrzymania podziału miasta na część chrześcijańską i część żydowską (karaicką). Reprezentantem karaitów w tym sporze był ich wójt Mordechaj.[1])

Po tym sporze ułożyły się istotnie stosunki w Trokach. Karaici mieli odtąd przez długie wieki swą dzielnicę, a w niej swą *Kenassę*, czyli synagogę. Gdy w r. 1533 kenassa zgorzała, zbudowali na tem samem miejscu nową. Jeszcze w r. 1854 był Syrokomla w kenassie karaickiej i pozostawił nam w swych „wycieczkach po Litwie" jej opis. Jest jednak bardzo wątpliwem, czy to była jeszcze ta sama kenassa, bo od r. 1533 Troki nie jeden raz już zgorzały.

W roku 1576 pozwolił wojewoda Zbaraski zbudować w Trokach *Medras*, czyli szkołę dla dzieci. [2])

* * *

Tak ułożyło się życie karaitów w Trokach; obok nich dalej istniała gmina rabanicka, a także i gmina chrześcijańska, na której terytorjum mieszkali ci rabanici. Na ogół żyją karaici z gminą chrześcijańską—po procesie w r. 1517 — w zgo-

1. Akty Wileńskiej Komisji, tom 28 № 1.
2. Syrokomla: Wycieczki po Litwie, tom I.

dzie, wspólnie z nią starają się o uzyskanie ulg podatkowych i innych przywilejów od wielkich książąt.

I tak otrzymują Troki (1516) na prośby mieszczan chrześcijańskich i „wszystkich Żydów trockich" jarmarki doroczne, oraz prawo składowe [1]. W roku 1552 skarżą się chrześcijanie i „wszyscy Żydzi" na przeciążenie podwodami [2], a w r. 1556 proszą Zygmunta Augusta o 20 włók ziemi na pastwisko gminne [3].

W roku 1579 i r. 1589 [4] występują chrześcijanie obrz. rzymskiego i greckiego, wójt żydowski (Aron Szołomowicz) i Tatarzy przeciw radzie miasta Kowna o przeszkadzanie w handlu na tamtejszych jarmarkach, a w r. 1582 znów ci sami (wójt żydowski Aleksander Izakowicz) przeciw wojewodzie trockiemu o przeciążenie postojami wojskowymi [5].

Kilkakrotne określenie w aktach „wójt żydowski" i „wszyscy Żydzi" wskazuje wyraźnie na obie gminy t. j. karaicką i rabanicką, bo i rabanicka gmina dalej istnieje w Trokach, choć nie ma takiego znaczenia jak karaicka i stara się o dobrobyt materjalny swych członków i o rozszerzenie swych praw. Do niej wyłącznie mogą się odnosić wzmianki w przywilejach królewskich, potwierdzanych, lub udzielanych *de novo* „wszystkim gminom żydowskim na Litwie". Trudno bowiem przypuścić, by reprezentanci gmin rabanickich, skupieni od roku 1580 w sejmie żydowskim całej Rzeczypospolitej, a od roku 1623 w osobnym sejmie Żydów litewskich, starali się o przywileje dla karaickiej gminy w Trokach. Odnoszą się tedy te przywileje do gminy rabanickiej w Trokach i między nią a gminą karaicką przychodzi od czasu do czasu do sporów, które się zaostrzyły w połowie wieku XVII i doprowadziły do procesu przed sądem królewskim.

W roku 1646 przedkładają karaici troccy „swe przywileje", nadane im przez Kazimierza Jagiellończyka, Aleksandra i Zygmunta I, prosząc o ich zatwierdzenie, a równocześnie skarżą się na to, że „niektórzy Żydzi rabanowie czasy niedawnymi

1. Regesty i nadpisy tom I № 246
2. Ibidem № 474.
3. Syrokomla ut supra.
4. Regesty i nadpisy tom I № 601.
5. Regesty i nadpisy tom I № 634.

w mieście naszem Trockiem, mieszkania sobie najęwszy, w onych rezydując, wolności Żydom karaimskim od św. pamięci przodków naszych i nas samych nadane — słowa króla — *nullo jure* zażywają, szynki i napojów wszelakich chowają i handle rozmaite ku ujmie praw im nadanych i pożytków Żydom karaimskim należących, odprawują, w czym iż wielką szkodę Żydzi troccy karaimowie... od Żydów rabinów, (które nigdy przedtem żadnego inkolatu w mieście trockim nie mieli) ponoszą..." Król dnia 3 grudnia 1646 poleca wojewodzie trockiemu, aby „Żydom rabinom żadnego mieszkania w mieście trockiem mieć, domów najmować, onych kupować, ani pod żadnym pretextem nabywać i żadnej przeszkody w handlach Żydom karaimom czynić, nie dopuszczał..." [1])

Dekret ten dawali sobie karaimi troccy potwierdzać przez wszystkich następnych królów, gdyż w nim i to tylko w nim — były zawarte owe trzy podstawowe przywileje z lat 1441, 1492 i 1507. Dawniejszej oblaty żadnego z tych przywilejów nigdzie dotąd nie odnaleziono. Potwierdzenia te pochodzą z lat 1648, 1654, 1670, 1679 i 1701 [2]).

Czy ustąpili rabanici po tym wyroku? Zdaje się, że nie zupełnie, bo od czasu do czasu nowe rozpoczynają się spory między gminą karaicką a pojedyńczemi rodzinami rabanickiemi. Na ogół jednak nie słyszymy o gminie rabanickiej w Trokach, ale bo też i gmina karaicka w krótkim czasie prawie, że znikła z horyzontu. Były to lata wielkiej wojny kozacko-moskiewsko-szwedzkiej. Wojska moskiewskie wpadły w r. 1655 na Litwę i pustoszyły jedno miasto po drugiem. Po zajęciu Wilna rzuciły się oddziały moskiewskie na Troki i zniszczyły je do szczętu. Mieszkańcy Trok jużto wyginęli od miecza, jużto opuścili swe siedziby, straciwszy przedtem cały swój dobytek. Lecz i inne gminy karaickie na Litwie — przykahałki trockie — zostały do szczętu zniszczone i wielu lat pracy było potrzeba, by się mogły choć w części na swem dawnem miejscu odbudować. Lecz tylko niektóre przykahałki zdołały to uczynić, większość gmin karaickich zlała się ze swą trocką macierzą

1) Akty wileńskiej Komissji, tom 29 № 4.

2) Hessen: Borba karaimów goroda Trok. Jewr. Starina, 1910 str. 569—579. Tento przywilej a raczej sumarjusz miał w rękach Firkowicz.

i nie wróciła więcej na swe dawne miejsce. Lecz i ta macierz— choć liczebnie wzmożona przez nowych immigrantów — jest biedną i rok rocznie zwraca się z prośbą do sejmu Żydów litewskich o ulżenie lub zupełnie odpisanie jej podatków.

Druga połowa wieku XVII jest dla gminy trockiej epoką nędzy i upadku; nie dziw tedy, że gdy w r. 1687 król Jan III zaproponował wójtowi trockiemu Abrahamowi, by wraz z innymi Karaitami przeniósł się do Kukizowa, ten z chęcią spełnił życzenie władcy i opuścił rodzinne miasto.

Początek XVIII wieku jest czarnemi głoskami zapisany w dziejach gminy trockiej i jej siostrzyc. Oto w r. 1710 wybucha zaraza (morowe powietrze), która „zabiera" całe rodziny. Ludzie uciekają na pola i do lasów, lecz i tam przenosi się zaraza i zabiera swe ofiary. Ledwie trzy rodziny karaickie ostały się w Trokach i one stanowią zarodek nowej osady, która już nigdy nie zdołała osiągnąć dawnej świetności. Także i z innych gmin karaickich zostały nieliczne jednostki i one przeniosły się do Trok, zasilając liczebnie swą osierociałą macierz.

Opuszczone przez karaitów domostwa stały w Trokach przez długi czas pustką i dopiero po kilku latach zajęli je rabanici z sąsiednich gmin. Lecz to bliskie sąsiedztwo rabanitów niepokoi gminę karaicką i oto rozpoczyna się dawny spór o prawo mieszkania w Trokach. Tym razem nie przyszło do rozsądzenia sprawy przed forum państwowem, lecz między stronami stanęła ugoda (podpisana dnia 28 sierpnia 1714—28 Ab 5474) następującej treści:

„Karaimi winni w swych miastach i wsiach korzystać ze swych dawnych praw. Nie wolno rabanitom pod groźbą klątwy przeszkadzać karaitom w zatrudnieniach, z których czerpią środki utrzymania. Z drugiej strony nie powinni karaimi przeszkadzać braciom naszym Izraelitom w zdobywaniu środków do życia. Gdyby jednak którykolwiek z Izraelitów mimo zakazu stawiał przeszkodę karaicie, winien tenże szukać obrony u rabina najbliższego miasta. Wezwany rabin winien użyć wszystkich środków (kary pieniężnej i cielesnej), aby zmusić nieposłusznego Izraelitę do wykonania wyroku. A wyrok ten winien mieć siłę i moc prawa i walor we wszystkich gminach naszego kraju".

Umowę tę potwierdzano kilkakrotnie (5-XII 1719 i 11-VI 1760) co wskazuje na to, że nie bardzo się jej obie strony trzymały.

* * *

Immigracja rabanitów była i nadal bardzo nieliczną, opustoszałe miasto, w którem ponadto musieli walczyć o prawo pobytu, nie bardzo ich ciągnęło.

Ilość dusz żydowskich (rabanickich) wynosiła w roku konskrypcji polskiej (1765) ledwie 116 w całym kahale trockim z przykahałkami, a w dalszych wsiach, należących do organizacji kahałów żmudzkich było ledwie 32 Żydów.

Po upadku Rzpltej nie osiadali rabanici nadal w większej liczbie w Trokach, unikająo tego miasteczka, lecz dopiero w roku 1804, gdy Rosja poczęła ich wysiedlać ze wsi i tworzyć strefę osiadłości, większa ich ilość przybyła i do Trok. Zrazu nie bronili się karaici przed tą immigracją, lecz już w roku 1809 wydobyli z pyłu archiwalnego swe przywileje z roku 1646 i późniejsze (aż do potwierdzenia Stanisława Augusta z r. 1766) i zażądali usunięcia gminy żydowskiej. Sąd ziemski przyznał im słuszność, lecz sąd główny, do którego gmina żydowska wniosła apelację, odrzucił sprawę. Karaici nie czynili na razie dalszych kroków i Żydzi zostali na miejscu. Lecz już w roku 1823 ożyła sprawa na nowo. Karaici wnoszą skargę do cesarza; minister oświecenia i obcych wyznań Golicyn uznał ich prawo i przedłożył sprawę do rozstrzygnięcia senatowi. Senat (I oddział trzeciego departamentu) począł w tej sprawie zbierać opinje u władz. Władze lokalne trockie wypowiedziały się za zostawieniem Żydów, ale minister Golicyn i wielki ks. Konstanty (na podstawie referatu Nowosilcowa) byli temu przeciwni. Senat zgodził się na wydalenie Żydów, lecz przeciw temu założył protest minister skarbu Karnkin wywodząc: 1. że stare przywileje królów polskich nie mają obecnie znaczenia, 2. że Troki po wygnaniu Żydów upadną do reszty, 3. że wygnanie całej grupy ludności sprzeciwia się uczuciu humanitarności.

Karnkina poparł senator Baranow, lecz większość senatorów nie dała się przekonać i całą sprawę przekazano ple-

num, złożonemu z członków pierwszych trzech departamentów (r. 1830). Tutaj wszyscy członkowie prócz jednego byli po stronie Karnkina, a poparł go również minister sprawiedliwości Daszkow. Ponieważ jednak Troki miały przywilej *de non tolerandis Judaeis*, więc należało przedewszystkiem ten przywilej znieść, a to mógł uczynić tylko cesarz.

Sprawa poszła tedy do Rady koronnej (Gosudarski sowiet r. 1830) i tam sformułowano ją w dwóch pytaniach: 1. Czy stare przywileje administracyjne mają jeszcze walor? i 2. czy Żydom wolno mieszkać w Trokach. Sowiet na pierwsze pytanie odpowiedział potakująco, wskutek czego już i drugie było przesądzone. Na tej podstawie kazano rabanitom (r. 1835) opuścić Troki, lecz chcąc im umożliwić należyte zlikwidowanie ich interesów, ustanowiono dla tej expulsji następujący porządek: Właściciele nieruchomości mają opuścić miasto w ciągu 5 lat, inni zaś w ciągu roku. Ci zaś którzy mają zakontraktowane interesy (dzierżawy) mają opuścić miasto najdalej w ciągu dwóch miesięcy po expiracji kontraktu. Dotyczy ta ulga jednak tylko tych, którzy mają podpisane kontrakty przed wejściem w życie niniejszego rozporządzenia t. j. przed 7 stycznia 1835 r.

I teraz nie dali rabanici za wygraną, lecz wnieśli kontrapetycję do cesarza. W niej wyłożyli, że karaici nie mają prawa wyrzucania Żydów, ileże ci nie mieszkają wcale na ich gruntach. Karaici otrzymali bowiem niegdyś od wielkich książąt litewskich 20 włók ziemi i te mają nadal w posiadaniu, podczas gdy Żydzi kupili swe grunta u chrześcijan. Co się zaś tyczy tak zachwalanej obyczajności karaitów, to nie ma różnicy między rabanitami a karaitami; wszak i karaici trudnią się handlem, a czy nie było wśród nich wypadku oszukaństwa, możnaby dopiero stwierdzić po przeszukaniu aktów z całych 400 lat. Należy też wziąć w rachubę stosunek liczebny obu odłamów, wszak dziś jest w Trokach rabanitów 192 a rabanitów tylko 172..."

Mikołaj I odmówił i oto otrzymały Troki, pomimo, że leżały w strefie osiedlenia, prawo *non tolerandis Judaeis* podobnie jak Kijów, Nikołajew i Sebastopol.

Czy w istocie wszyscy Żydzi do roku 1840 opuścili Troki, nie da się aktami stwierdzić, faktem jest, że stan prawny, wykluczający ich od mieszkania tamże trwał zwyż 20 lat. Do-

piero za Aleksandra II, gdy poczęły padać ograniczenia Żydów, przypomniano sobie Troki i na wniosek wileńskiego generał-gubernatora Nazimowa (dekr. z 26 kwietnia 1862) pozwolił „komitet ob ustrojstwie jewrejew" rabanitom na osiedlanie się tamże. [1])

W roku 1879 było dusz karaickich w Trokach 610, rabanitów około 1000, w roku 1897 mieszkańców wogóle w Trokach 3240, w tem rabanitów 1112, karaitów 377.

2. Ustrój gminy karaickiej w Trokach.

A. WÓJT KARAICKI.

Gmina karaicka otrzymała od Kazimierza Jagiellończyka w roku 1441 prawo magdeburskie i w myśl tego prawa staje w pośrodku między wielkim księciem a gminą wójt. Onto sądzi sprawy między samymi karaitami, jego zaś samego sądzi wielki książę.

Przez cały wiek XV jest jednak głucho o wójcie karaickim, nie wiemy, czy ta instytucja wogóle zaistniała i kto ewentualnie piastował wójtostwo. Dopiero po wygnaniu Żydów i karaitów z Litwy i powrocie do niej, oraz po zatwierdzeniu przywilejów z roku 1441 przez Zygmunta Starego (r. 1507) widzimy pierwszego wójta karaickiego. Już dnia 25 listopada 1508 r. uwiadamia wojewoda trocki, Mikołaj Mikołajewicz swego namiestnika Fjedora Czaplicza, że król pozwolił, by Żydzi troccy mieli nad sobą wójta z wyboru wojewody i że wójtem zamianował Abrahama [2]). Tento Abraham jest pierwszym, znanym nam, wójtem karaickim w Trokach. W roku 1517 widzimy wójta Mordechaja, który zastępuje swą gminę w sporze z miastem [3]), w roku 1582 wójta Aleksandra Izakowicza [4])

1) M. M (ysz): Karaimi i Jewrei. Woschod 1887, tom I str. 94, tamże rozebrana różnica w ustawodawstwie rosyjskiem między prawami Żydów i karaitów. Hessen: Borba karaimow goroda Trok z Jewrejami. Jewrejska Starina 1910 II str. 569-79. Streszczenie tego artykułu w Karaimskiej Żizni 1911, zeszyt II, (lipiec) str. 24.

2) Russko Jewr. Archiw III Nr. 58 z 25 XI 1508.

3) Akty wileńskoj komisji tom 28 Nr. 1.

4) Regesty i nadpisy, tom I Nr. 634.

w r. 1589 wójta Arona Szlamowicza[1]), a w latach 1603—1622 wójta Abrahama Józefowicza[2]). Ci to wójtowie występują zawsze jako reprezentanci gminy karaickiej w Trokach, tak przy staraniu się o przywileje, jakoteż w procesach, sądowych i administracyjnych.

Czy ci wójtowie byli ze sobą spokrewnieni, czy też każdy z nich pochodził z innej rodziny, trudno, dla braku danych wyjaśnić; tyle wiemy, że od wieku VXII stał się urząd wójtowski dziedzicznym w rodzinie Łabanowskich, czyli Łabanosów. Ród ten wydał długi szereg bardzo dzielnych mężów, którzy reprezentowali gminę karaicką przez półtora, a może nawet dwa wieki. Jednym z nich jest Abraham ben Samuel Łabanowski, którego urzędowanie przypada na lata 1673-1692, poczem wyemigrował do Kukizowa na nową lokację, zostawiając urząd wójtowski w Trokach swemu synowi Samuelowi.

Na lata rządów Abrahama przypada długotrwały spór między gminą karaicką a organizacją sejmową Żydów litewskich o pogłówne i inne podatki państwowe.

Gmina karaicka w Trokach wraz ze wszystkiemi gminami filjalnemi (przykahałkami) płaciła swe podatki za pośrednictwem organizacji żydowskiej (rabanickiej), t. zw. sejmu Żydów litewskich ועד הקהלות הראשיות דמדינת ליטא. Lecz gminy żydowskie wogóle, a karaickie w szczególności były w drugiej połowie XVII wieku niezdolne do płacenia czy to podatków, czyteż innych danin. Były one wyludnione, a równocześnie zadłużone, tak, że każda rata podatkowa była dla gminy katastrofą. Lecz państwo nie chciało i nie mogło uznać tej biedy, podatki państwowe stanowiły minimalną część ogólnych wydatków gmin, ale tę sumę musiano wypłacić podskarbiemu odrazu za wszystkich Żydów polskich i litewskich. Nie dziw, że na sejmie żydowskim, tak koronnym ועד ד״ ארצות, jakoteż i litewskim rozgrywały się targi między ziemstwami i gminami

1) Regesty i nadpisy Nr. 668.

2) rok 1603 z kontraktu, przedrukowanego przez Neubauera w rozprawie: Aus der Petersburger Bibliothek Nr. 8—18, rok 1622 z procesu o podatki, dokument drukowany w Heawer העבר, Petersburg 1918 [Artykul Lurji dokument Nr. 2. str. 162].

o wysokość udziału, że gminy wyrabowane i popalone, wyludnione albo zbiegło (z powodu najazdu nieprzyjaciela, lub jakiegoś procesu rytualnego) starały się o ulgę czyli defalkację, co naturalnym biegiem rzeczy obciążało inne gminy.

Podatek państwowy płaciła za wszystkich karaitów litewskich, gmina trocka — jako gmina centralna — za pośrednictwem sejmu Żydów litewskich i na tem tle przychodziło do starć, targów itp. W roku 1670 stanęła między reprezentacją rabanitów i wójtem karaickim ugoda, mocą której sejm żydowski — na prośby wójta karaickiego — zmniejszył sumę pogłównego, płaconą przez centralną gminę trocką, na 400 złp[1]). Nie poruszone jednak w tej ugodzie sprawy „powrotnego", a nadto została restancja 600 złp., którą należało wyrównać. Wójt Abraham ben Samuel miał wiele kłopotów, jeździł na sejmy żydowskie i czynił zabiegi o dalsze ulgi, a gdy sam się przeniósł do Kukizowa, przekazał ten ciężar swemu synowi i następujący w urzędzie, Samuelowi ben Abraham[1]).

Czas urzędowania tego wójta przypada mniej więcej na lata 1692-1740 a może i na później. Była to epoka najsmutniejsza dla gminy karaickiej w Trokach. Wyludniona napadami nieprzyjacielskimi i zarazą kilkakrotnie tu grasującą nie może podołać swym ciężarom i staje oporem przeciw swemu wójtowi, które surowymi środkami je ściąga. Wójt apeluje do wojewody Oginskiego i prosi o pomoc, a równocześnie godzi się z sejmem żydowskim w sprawie wysokości sumy ryczałtowej[2]).

Lecz karaici nie mogą i nie chcą płacić i podnoszą przeciw Samuelowi otwarty bunt, lud oblega jego dom, drze taryfy i wypowiada posłuszeństwo. Dnia 16 maja 1740 wydaje Samuel wespół ze starszym gminy Salomonem Moskiewiczem dekret do swych wiernych, w którym opornym grozi grzywną 50 kop groszy litewskich. Lecz i to nie wiele pomaga i spór trwa dalej i przenosi się po śmierci Samuela na syna jego i następcę: Abrahama ben Samuel Łabanowskiego. Abraham jest wobec swej gminy bezradny i w roku 1755 próbuje ostatniego środka i grozi odwołaniem się do wojewody

1) Podatkowość gminną obacz w następnym rozdziale. Tutaj źródło: Lurje: קהלות ליטא והקראים tom I 1916 העבר tom I, 1918 № 10-12, str. 165—6.

2) Syrokomla: Wycieczki po Litwie tom I.

trockiego Pocieja. Snać środek chybił celu, a może nawet miał skutek przeciwny, bo rozdrażnieni karaici stają jak jeden mąż przeciw swemu sędziemu i Abraham musi opuścić Troki i szukać bezpieczeństwa pod osłoną kahału rabanickiego w Wilnie. I oto wydaje mu w r. 1756 sąd rabinacki בית דין w Wilnie rodzaj polecenia do innych gmin żydowskich, w którem charakteryzuje go jako człowieka porządnego, który wiele dobrego zdziałał dla całego Izraela לכל בית ישראל, a obecnie musiał opuścić swe rodzinne miasto zpowodu prześladowania przez swych współwyznawców [1]).

Z Wilna udaje się Abraham do Brześcia, gdzie mu tamtejszy kahał—na podstawie polecenia wileńskiego — wydaje poświadczenie, że on i ojciec jego byli w rzeczywistości sędziami שופטים karaickimi w Trokach i że wiele dobrego zdziałali tak dla karaitów, jakoteż dla rabanitów. Kahał brzeski prosi, by go wszędzie wspierano, gdyż ucieka przed prześladowaniem swej gminy i szlachty פריצים, snać przez tę gminę nań naszczutą. Pismo brzeskie podpisał także i kahał w Słucku, polecając Abrahama innym gminom Litwy, Rusi, Żmudzi, Polski, Węgier, Turcji i Sefarad (gmin południowych) [2]).

Snać wrócił wójt Abraham do Trok, bo znowu widzimy go tutaj w roku 1773, gdy w swym urzędowym charakterze wytacza skargę „szlachetnemu Skinderowi" i towarzyszom o rozgromienie karaitów i rabunek dokonany na ich synagodze.

Ze skargi tej otrzymujemy następujący obraz wypadku: „Było to po sejmiku gospodarskim na Matkę Boską Gromniczną, dnia 2 lutego roku 1773 — marszałkiem sejmiku był Ignacy Skinder — gdy szlachta po wiolencji, dokonanej w miasteczku, zbrojna w szable, siekiery i drągi, napadła na synagogę karaicką, łamiąc drzwi, odbijając zamki, rąbiąc stół na którym się kładzie przykazania, i zabierając bóżniczne pieniądze, argenterje i inne kosztowności, jakoto: rękę (wskazówkę) do wskazywania przy czytaniu dziesięciorga przykazań, tablice srebrne, adamaszkowe futerały do owijania przykazań, nakrycia atłasowe do przykrywania mensy, ubiory do nabożeństwa, zwane tałes, zabierano i darto księgi stare z XV i XVI wieku... rąbano ławki

1) Neubauer j. w.
2) Lurje w הצבר Nr. 18.

i oddzierano ze ścian tarcice, bijąc broniących domu Bożego karaitów."

Abraham Łabanos (wójt) sprowadził, jak przepis każe, woźnego z dwoma szlachcicami, spisał obdukcję i zapozwał do grodu trockiego pp. szlachtę: Skindera, Zelwę, Szyckiego, Pacewicza, Łukaszewicza, Markowskiego i innych [1]).

Nie znamy przyczyny tego „pogromu" ani też końca sprawy, tyle możemy powiedzieć, że jest on w dziejach gmin karaickich w Polsce, może jedynym obok procesu rytualnego gminy w Poswole w XVII wieku [2]).

Następca i prawdopodobnie syn wójta Abrahama, wójt Samuel ben Abraham Łabanowski nie był w swych rządach szczęśliwszym od swego ojca. I on musi się ku obronie przeciw swym współwyznawcom i podwładnym uciekać do wojewody trockiego. A czyni to raz w roku 1779, gdy wojewodą był Andrzej Ogiński i drugi raz w roku 1784 gdy ten urząd dzierżył Tadeusz Oginski [3]).

Z rozbiorem Polski i przejściem Wileńszczyzny do Rosji znikł urząd wójta karaickiego, znikła też centralna organizacja tak żydowska jakoteż i karaicka i każda z gmin stała się samodzielną. W Trokach rozpoczyna się długotrwały proces z rabanitami o prawo mieszkania tamże, ale procesu ten nie prowadzi wójt, ale reprezentant gminy. Onto to ma w swym ręku sprawy administracyjne. Sprawy duchowne należą do duchownego, który ma tytuł chacham; w mniejszych gminach niema chachama, ale jest tylko t. zw. chazan.

Podobnie jak karaici haliccy i kukizowscy u władz austrjackich, tak też starali się karaici troccy, łuccy, oraz ich współwyznawcy, mieszkający w południowych guberniach cesarstwa rosyjskiego o wytłumaczenie swemu rządowi, że nie są „Żydami" jak rabanici i że do nich należy stosować inne niż do rabanitów prawa.

Rychło im się też to udało, bo już Katarzyna „najwyższym rozkazem" z dnia 18 czerwca 1795, adresowanym do księcia Zubowa, uwolniła karaitów, mieszkających w gubernji

1] Syrokomla: Wycieczki po Litwie, tom I, str. 80—81.
2] Obacz w następnym rozdziale.
3] Syrokomla j. w.

taurydzkiej od podwójnych podatków, płaconych przez Żydów i pozwoliła im nabywać nieruchomości, podobnie jak innym mieszczanom. Gdy w roku 1804 poczęło się „regulowanie" sprawy żydowskiej, dające początek strefie osiadłości, nie ruszono karaitów, a w roku 1827 kazał Mikołaj I wstrzymać rekrutację karaitów w gubernji besarabskiej i taurydzkiej.

Karaici litewscy i wołyńscy już od samego początku korzystali z przywilejów, nadanych swym współwyznawcom na Krymie i w Besarabji, lecz działo się to tylko siłą faktu, ale nie w myśl specjalnego prawa. Dopiero ukazem z 14 czerwca 1828 zrównał Mikołaj I karaitów litewsko-wołyńskich z karaitami w południowej Rosji i tem sankcjonował ich wolność od podwójnych podatków, od rekrutacji, od ograniczeń w mieszkaniu i wykonywaniu rzemiosł itd. itd. Kiedy w roku 1829 usuwano Żydów z Sebastopola i Mikołajewa, wyraźnie wypowiedziano, że te rugi nie dotyczą karaitów [1]).

W roku 1839 uregulowano sprawę duchowieństwa karaickiego i zrównano je pod względem uprawnień z duchowieństwem mahometańskiem. W myśl tej regulacji podzielono Rosję, pod względem jurysdykcji duchownej karaickiej, na dwa okręgi: na większy i liczniejszy, obejmujący południową Rosję, a poddany chachamowi w Eupatorji na Krymie i na mniej liczny, obejmujący karaitów litewsko-wołyńskich z chachamem trockim na czele. Dla ściśle duchownych posług ustanowiono tak w siedzibach chachamów, jakoteż i we wszystkich innych gminach t. zw. chazanów [2]).

1) Nowosielski Antoni: Stepy, morze i góry. Szkice i wspomnienia z podróży, tom I, Wilno 1854. Krym (str. 207.)

2) Swod zakonow rosyjskoj imperji, tom XI, Wydanie III z roku 1902, tom II str. 99, tamże prawa i obowiązki chachama oraz sposób jego wyboru:

Chachama wybiera się z pośród dwóch kandydatów, przedstawionych gubernatorowi. Ten przedstawia ich generałgubernatorowi, a ten ministrowi spraw wewnętrznych, dodając o każdym swą opinję. Minister przesyła akta senatowi wraz ze swą opinją, a senat mianuje go.

W razie choroby, śmierci lub suspenzji chachama, wyznacza gubernator zastępcę w osobie jednego ze starszych chazanów swego okręgu.

Karaita, piastujący urząd chachama przez lat 12, otrzymuje honorowe obywatelstwo swego miasta.

O wykształceniu chachamów i chazanów dowiadujemy się autorytatywnie z listu uczonego karaity, Eliego Kazasa, napisanego do Menachema Feitelsona z Eupatorji 29 XII 1908, a ogłoszonego w księdze zbiorowej p. t. Rszumot רשמות [1]).

Tamże czytamy: „Śpieszę z wyjaśnieniem o wykształceniu chachamów i chazanów: Chacham jest głową wszystkich karaitów, oraz ich chazanów (bo rabin u karaitów zwie się chazan) i przewodniczącym sądu, siedzącym na krześle nauki [2]), a dwaj chazani są mu pomocni jako doradcy i nauczyciele tradycji. Chachama wybierają delegaci gmin karaickich, zebrani w Eupatorji z pośród mężów poważanych i odznaczających się nietyle nauką, jak majątkiem, i znajomością stosunków. Wybranego zatwierdza w urzędzie rząd; nie posiada on, prócz dekretu rządowego, żadnego innego świadectwa (סמיכה).

Chazana wybiera każda gmina z pośród swych członków; wedle przyjętego zwyczaju winien się odznaczać dobrem zachowaniem i znać dobrze nasz święty język, oraz przepisy i rytualia. Protokół wyboru chazana przesyła się chachamowi, a ten — o ile się nań zgadza — przedkłada protokół wraz ze swem placet gubernatorowi; ten przesyła potwierdzenie danej gminie. Innego dokumentu chazan nie posiada.

Co się tyczy rzezaków (szochet) to każdy uczeń [3]),

Chacham wykonuje nadzór nad duchowieństwem karaickiem i troszczy się o porządek podczas nabożeństwa, o szkoły i nauczycielstwo. Onto kontroluje księgi metrykalne i przedkłada je odnośnej władzy. Prowadzi spis duchownych karaickich, wykonuje kontrolę i opiekę nad majątkiem gmin karaickich, nad synagogami i szkołami.

W sprawach ściśle duchownych naradza się z chazanami, którzy zdają mu raport i przedkładają sprawy sporne, a on wydaje o nich swój sąd. Od zarządzenia chachama wolno chazanowi w ciągu trzech dni założyć apelację do gubernatora. Wszelkie skargi na chachama w sprawach załączonych z jego urządzeń idą także wrost do urzędu gubernjalnego. [Przedrukowane w Karaimskiej żizni 1911, zeszyt 7 grudniowy str. 29—31].

1] Reszumoth. Tom I Odessa 1918. Rocznik dla pamiętników i etnografji pod redakcją A. Drujanowa, Rawnickiego i Bialika str. 477
רשומות ומאסף לדברי זכרונות לאתנוגרפיה ולפולקלור בישראל, אודיסה, תרע"ח.

2] ואב בית דין, היושב על כסא ההוראה

3] תלמיד של בית רבן

który odpowiedział swemu zadaniu, otrzymuje pozwolenie (Rszuth) רשות na szocheta. To *rszuth* zastępuje mu wszystkie semichy (ordynacje), wydaje mu się je po egzaminie z nauk religijnych i przepisów o rytualnem zarzynaniu, złożonym przed starszyzną gmin. Odtąd ma tytuł rabbi רבי, dodawany do jego imienia. Ponieważ karaitów jest bardzo mało, przeto wie każdy w gminie, komu ten tytuł przysługuje, a komu nie, i dlatego nie potrzeba wypisywać świadectw ni poświadczeń.

Należy dodać, że i w Trokach jest osobny chacham dla karaitów litewskich wraz z chazanami i rzezakami i niemasz różnicy między tymi urzędami na Krymie i na Litwie".

Tyle Kazas! [1]) Także i ustawy państwowe są zgodne z jego wywodami. I tak został podział administracyjny gmin karaickich na dwa chachamaty (eupatoryjski i trocki) wraz z jurysdykcją duchowną chachamów i chazanów utrzymany ustawą z 28 września 1895 i zatwierdzony ustawą o obcych wyznaniach z r. 1896 § 1264.

W myśl tej ustawy byli chachamami zazwyczaj ludzie świeccy, a całą służbę duchowną wykonywali chazani. I tak był chachamem eupatoryjskim w latach 1880-1911 — Samuił Mojsiejewicz Pampułow zasłużony dla swych rodaków karaita, który jednak nic wspólnego nie miał z nauką. Jako młodzieniec służył w wojsku, następnie był przez 12 lat burmistrzem miasta Eupatorji, a pod koniec życia, jako zasłużony i wpływowy obywatel, otrzymał godność chachama [2]).

To samo widzimy w Trokach. Tam przy wyborach rozpisanych w r. 1911 zjechało się 5 delegatów (po jednym z Trok, Łucka, Poniewieża, Wilna i Pskowa-Ostrowa), którzy jednak nie mogli się zgodzić. Trzy głosy otrzymał Zerach Markowicz Szapszał, wysoki urzędnik ministerstwa spraw zagranicznych, przydzielony do konsulatu perskiego, dwa zaś pułkownik Kobecki. Obaj kandydaci wyboru nie przyjęli [3]). *Dok. nast.*

1) Kazas umarł 11 stycznia 1912 r.

2) Biografia Pampułowa z okazji jego śmierci podana w „Karaimskoj žizni" Grudzień 1911 str. 15 (umarł dnia 31 XII 1911)

3) O wyborach trockich. „Karaimskaja žizn" zeszyt 3—4 1911 (sierpień — wrzesień) str. 115—116. Tegoż Szapszała kandydowano potem na chachama eupatoryjskiego, co wywołało liczne protesty z różnych stron. Jego kontrkandydatem był bankier Krym.

LUDWIG GEIGER

GOETHE a ŻYDZI*)

(Z powodu 175 rocznicy urodzin wielkiego poety)

Kto mówi lub pisze o stosunku Goethego do Żydów, powinien zacząć od sformułowania swego wyznania wiary: „Nie mówię tu jako Żyd, lecz jako historyk literatury. Jako Żyd jestem stroną, jako historyk literatury jestem bezstronny. Wielki francuski moralista, który w szkicach swoich ujął całokształt życia ludzkiego, powiedział o sobie: „Nie wydaję sądu, jeno opowiadam". Gdy w obecności Leopolda von Ranke rozwodzono się nad uczuciem szczęścia, jakie daje poznanie prawdy i ustalenie biegu wypadków historycznych, wybitny historyk odpowiedział, uśmiechając się swoim zwyczajem subtelnie: „Do badań historycznych pobudza mię ciekawość jedynie. Chciałbym wiedzieć, jaki przebieg miały sprawy, o których dotychczas nikt nic nie wiedział".

Nie śmiem porównywać się z Montaignem, ani z Rankem. Ale chciałbym jak Ranke powiedzieć, że pragnę poznać zdanie Goethego o Żydach, zbadać jakie on względem nich, i oni względem niego żywili uczucia, a jak Montaigne zapewnić, że nie wydaję sądu, lecz poprostu opowiadam.

Do największego niemieckiego wieszcza, którego genjusz uznawali uczeni zarówno niemieckiego, jak żydowskiego pochodzenia, nie chcę zwrócić się z patosem moralnego oburzenia, czy z dumną pogardą, wołając: „Precz z nim, był wrogiem Żydów", albo choćby: „Szkoda, że był wrogiem Żydów"; pragnę natomiast zbadać, jak Goethe, który nie zadawalniał się nigdy pobieżnym sądem lub bezpodstawną pochwałą, lecz zawsze dzięki swym skłonnościom naukowym dążył do odsłaniania tajemnic życia i rozwiązywania zagadnień wszechświata, zmagał się przez całe życie

*) Z dzieła p. t. Die deutsche Literatur und die Juden.

z problematem, jakim dla niego, jak i dla wielu innych, było istnienie i istota żydostwa.

I.

W Frankfurcie poznał Goethe już bardzo wcześnie Żydów. Nie mieli oni jednak do pokazania mu odrębnej kultury, lecz jedynie dziwactwa. Goethe odwiedził kilkakrotnie ulicę żydowską, asystował, dzięki poleceniom wpływowych osobistości, przy niektórych obrzędach, był przy obrzezaniu, na ślubie, brał udział w święcie kuczek. Chętnie przyglądał się ładnym żydóweczkom spacerującym w sobotę po obiedzie i nikt mu chyba tego za złe nie weźmie, że podobały mu się lepiej, niż towarzyszący im mężczyźni. Uczył się hebrajskiego, nietyle z własnego popędu ile na rozkaz ojca, który pragnął dać mu wszechstronne wykształcenie, a nauczycielem jego był dziwak, rektor Albrecht. Wykłady te, jak wiele innych lekcyj, które pobierał w dzieciństwie, opisał Goethe w sposób drastyczny. Zresztą nietylko poznał język hebrajski, ale również nauczył się pisać po hebrajsku, a nawet przyswoił sobie „żargon" żydowski bądź przez lekturę, bądź przez stykanie się bezpośrednio z Żydami. Znajomość „żargonu" wykazał Goethe w dwóch utworach. Jeden z nich tylko dch›wał się do dni naszych, tak nazwane kazanie żydowskie, które ma charakter wręcz antysemicki i nie znajduje się zwykle w wydaniach dzieł Goethego. Jest to złośliwy żart, opisujący jak to po trzystu tysiącach lat Mesjasz przejdzie przez Morze Czerwone i dźwiękami puzonu zwoła wszystkich Żydów... Zmieszczą się oni bez względu na swą liczbę na jednym siwku Mesjasza i szczęśliwie przebędą morze Czerwone, podczas gdy chrześcijanie, którzy przez drwiny usiedli na ogonie, wpadną do morza i utoną.

Istniał jeszcze jeden utwór Goethego, pisany po żydowsku, który niestety zaginął. Miała to być część siedmiojęzycznej powieści, zawierającej listy siedmiorga rodzeństwa, korespondującego ze sobą w siedmiu różnych językach. Najmłodszy, benjaminek rodziny, miał pisywać po żydowsku.

Ważniejszy od tych żartów literackich jest sam fakt zapoznania się Goethego z językiem hebrajskim, nie dlatego, by Goethe stał się przez to uczonym, lecz z powodu tego, że wywołało to zbliżenie się jego do Biblji.

„Co do mnie" mówi on w swojej autobiografji „to kochałem i ceniłem Biblję, jej bowiem zawdzięczam prawie wyłącznie swoją kulturę moralną, a wydarzenia, nauki, symbole, porównania wryły się głęboko w moją duszę i w najrozmaitszy sposób wywarły wpływ na mnie". Jak Goethe cenił Biblję widać z tego, że zajmował się zagadnieniami biblijnemi i używał zwrotów biblijnych w listach swoich i utworach. Praca nad zagadnieniami biblijnemi niema większego znaczenia. Po powrocie z uniwersytetu Heidelberskiego napisał Goethe broszurę p. t. „Co znajdowało się na dwóch tablicach przymierza"? i doszedł do dziwacznego wniosku, że wyryte na nich były „nie dziesięcioro przykazań lecz artykuły prawne przymierza Jehowy z Izraelem". Nie jest to, jak widzimy, ani interesująca, ani trafna odpowiedź na zadane pytanie. Nadto po latach kilkudziesięciu napisał Goethe, prawdopodobnie na podstawie swoich młodzieńczych badań i dociekań, kilka prac większych rozmiarów o wędrówce Izraelitów przez pustynię. Dowodzą one raczej pomysłowości i wyobraźni, niż prawdziwego zgłębienia ducha Biblji.

O wiele ważniejszy dla nas jest wpływ języka biblijnego, który odczuwać się daje w jego listach i poematach. Zdarza się to czasem w wierszach, nie mających dla przeciętnego czytelnika nic wspólnego z tą starą księgą. Któżby naprzykład myślał o odszukaniu w Biblji końcowego wiersza ballady o rybaku, „która należy do zupełnie innego świata niż świat starych Hebrejczyków, do świata mistycznego życia przyrody"? Wiersz ten brzmi: „I nie widziano go więcej", a wzięty jest z Genezis 5. 24. Również należy dopiero zwrócić uwagę czytelnika na to, że wiersz z „Podróży zimowej do Harzu": „Ty który wiele czynisz wesela" przypomina wstęp z Jezajasza (Rozdz. 9 w. 3). Czytając „Fausta", prędzej możnaby pomyśleć o źródłach biblijnych tego utworu. Niejednokrotnie już zwracano uwagę na to, że prolog

w niebie przypomina księgę Hioba, że nietylko sytuacja jest podobna, ale nawet niektóre zwroty, wzięte są dosłownie z tej części Biblji. Godnem jest również uwagi, że w pieśni Małgorzaty odczuwać się daje bardzo silnie wpływ „Pieśni nad Pieśniami", którą Goethe w roku 1775 przełożył prozą z oryginału na język niemiecki przy pomocy tak zwanego angielskiego przekładu Biblji. Niepodobna naprzykład zaprzeczyć, że słowa: „Ach gdybym mogła schwycić go i trzymać..." bardzo przypominają wstęp z wspomnianej księgi (Rozdz. 3 wiersz 4). Zresztą opis szlachetnej postaci, czarujacych dźwięków mowy i wogóle sposób, w jaki kochająca dziewczyna przedstawia sobie kochanka, ma niezaprzeczone podobieństwo do wyrażeń, któremi „Pieśń nad Pieśniami" maluje obraz oblubieńca i oblubienicy.

Używanie wzorów biblijnych w dramatach i poematach może się wydać niczem nadzwyczajnem, wobec tego, że przy pisaniu obu rodzajów utworów ma się dość czasu do namysłu i do wyszukiwania źródeł. Natomiast cytowanie w listach, w bezpośrednich wynurzeniach przelotnej chwili, ustępów biblijnych, dowodzi całkowitego zżycia się z tą księgą ksiąg, jaką i dla Goethego była Biblja. Nikt bowiem przy pisaniu listów nie zastanawia się i nie szpera, lecz czerpie wprost z pamięci. Otóż w młodości, szczególnie na początku swego pobytu w Weimarze okazuje Goethe wprost zdumiewającą skłonność do przytaczania zwrotów biblijnych i to przedewszystkiem w swoich najpoufalszych wynurzeniach. 10 grudnia 1774 r. pisze Goethe: „Bóg postępuje ze mną, jak ze świętymi starego przymierza, i nie wiem, skąd się to do mnie wzięło. Jeśli proszę jako znak, który mię ma umocnić, żeby runo było suche, a boisko mokre, to tak się staje," ustęp, dosłownie wzięty z księgi Sędziów 6, 36—40. Następnego dnia:... „i wydałem się sobie podobny do tego króla, który na rozkaz proroka uderzył łukiem, ale uderzył za mało razy"..., wspomnienie 2 księgi Królów 13, 17—19. Gdy jest po raz pierwszy w Berlinie przysyła dn. 17 maja 1778 r. swej zaufanej przyjaciółce następujący opis: „Dusza moja była niegdyś jako miasto o niewielkich murach, mające po za sobą twierdzę na wyżynie. Strzegłem grodu.

a miasto pozostawiłem bez obrony podczas pokoju i w czasie wojny. Teraz i miasto zaczynam obwarowywać, tymczasem tylko przeciwko lekko uzbrojonym oddziałom". Cały ten ustęp jest jedynie rozwinięciem myśli, wyrażonej w Przypowieściach Salomonowych 26, 28. Wspomnienie 32 rozdziału Genesis odbiło się w ustępie, zanotowanym w pamiętniku Goethego dnia 25 czerwca 1779 r.: „Ale trzymam się swoich myśli i zmagam się z nieznanym aniołem, choćbym miał wywichnąć sobie biodro".

II.

Nie możemy dowieść, że Goethe w Frankfurcie utrzymywał stosunki z jakimkolwiek Żydem i nie do przypuszczenia, by się stykał w Lipsku z przybywającymi na jarmark Żydami albo z handlarzami w Strasburgu. Inaczej rzecz się przedstawia w Weimarze.

Wprawdzie w tem małem miasteczku mieszkało tylko niewielu Żydów, ale Goethe zapoznał sie z niektórymi z nich, a nawet przyjmował ich u siebie. Pewnego braku przesądów religijnych dowodzi również uprzejmość, z jaką Goethe polecił jakiegoś przejezdnego Żyda swemu wszechmocnemu frankfurckiemu stryjowi, prezesowi najwyższego trybunału miejskiego. Zdarzyło się to w pierwszych latach jego pobytu w Weimarze. Poetycką wzmiankę o Żydzie, co prawda nie zaszczytną, znajdujemy w pięknym wierszu „Na śmierć Miedinga", pochodzącym z tego samego czasu. Wzmianka ta brzmiała pierwotnie:

Żyd Elkan biega z różnemi resztkami,
Co zapowiada festyn między nami... *)

Słowa te nie mają na celu wyszydzenie, lecz jedynie scharakteryzowanie człowieka na podrzędnem stanowisku, który wraz z cieślą, innymi rzemieślnikami i artystami przyczynia się do uświetnienia zabaw teatralnych weimarskiego dworu. Żyd Elkan zapewne początkowo handlował starzyzną, ale przez stosunki z dworem bardzo prędko wybił się na wyższe stanowisko: jako faktor dworski zajmował się

*) Der Jude Elkan läuft mit manchem Rest, Und diese Gärung deutet auf ein Fest.

innemi interesami, niż poprzednio, wreszcie został bankierem i zapewne sam przyczynił się do podniesienia swego nowego przedsiębiorstwa. W każdym razie potomkowie jego byli ogólnie poważanymi kupcami, prowadzona przez nich firma załatwiała sprawy pieniężne dworu i Goethego. Niektórzy członkowie tej rodziny przejęli się kulturą niemiecką i nabyli wysoką ogładę towarzyską, tak że Joanna Elkan, późniejsza małżonka subtelnego Maurycego Veita, utrzymywała bliższe stosunki z córkami Szyllera i przyjmowana była w domu Goethego. Łatwo można sobie wyobrazić, że osoby, zajmujące pod względem materjalnym i duchowym dość wysokie stanowisko, odczuwały przykrość, z powodu wzmianki, przedstawiającej ich przodka w roli podrzędnego handlarza. Prosiły one poetę bądź osobiście, bądź przez jakąś osobę trzecią o zmianę rażącego ich ustępu, a przynosi to zaszczyt jego ludzkim uczuciom, że do prośby tej natychmiast się przychylił. Przekreślił nazwisko i dał wierszowi formę, w której spotykamy go w dziełach Goethego, począwszy od ostatniego wydania, sporządzonego za jego życia:

„Czynny Żyd biega...

Imię zostało skreślone, treść nie uległa zmianie. Nie wiemy, kto skłonił Goethego do zamieszczenia tego warjantu, nie ulega jednak wątpliwości, że zgodził się on na tę zmianę, nie chcąc obrażać ogólnie szanowanej rodziny, przypominaniem mniej niż skromnego stanowiska, jakie przodek jej zajmował.

Chociaż, jak już mówiliśmy, w Weimarze mieszkało mało Żydów i miasto nad Ilmem nie było jeszcze w ostatnich dziesiątkach lat XVIII w. celem tak licznego i tak pełnego zapału pielgrzymstwa, jak później, to jednak i wówczas już Żydzi niejednokrotnie zjawiali się w domu Goethego. O dwóch tylko mam zamiar mówić tutaj. Dnia 28 października 1782 r. przybył do Weimaru młody Efraim, syn Feitla Heinego Efraima, osławionego menniczego Fryderyka Wielkiego. Stary Efraim odgrywał w owych czasach, jako tajny radca dziwną nieco rolę, był prawdopodobnie niższego rzędu agentem dypłomatycznym i znalazł się w końcu,

może z własnej winy w bardzo przykrem położeniu. W pomienionym dniu pisze Goethe do swojej przyjaciółki, Charlotty von Stein: „Nie mogłem powiedzieć swojej ukochanej: dzień dobry, z powodu wielu przeszkód, z których ostatnią był Żyd Efraim. Opowiadanie o nim sprawi mi niemałą uciechę. Wkrótce zbiorę już wszystkie wydatne rysy żydostwa i mam wielką ochotę umieścić Żyda w swojej powieści". Szkoda bardzo, że brak szczegółowej charakterystyki tego dziwnego gościa, ale nawet w tej postaci notatka ta jest niezmiernie ważna, mowa tu bowiem o „Latach Nauki Wilhelma Meistra". Powieść ta ukazała się dopiero w r. 1795, ale, jak wiadomo, plan jej i pierwsza, prawie zupełnie wykończona recenzja powstały na początku ośmdziesiątych lat XVIII w. Wprawdzie nigdy nie należy żałować nieurzeczywistnionych zamiarów, ale w tym wypadku trudno nie ubolewać nad tem, że Goethe nie dał nam dokładnego opisu Żyda.

Odwiedziny tego gościa niezbyt wielką, zdaje się, sprawiły przyjemność Goethemu, dodatniejsze wrażenie zrobił na nim młody student medycyny, Dawid Veit, na którego duszy zetknięcie się z wieszczem niezatarte pozostawiło ślady. Dawid Veit, pochodzący z poważanej rodziny berlińskiej, polecony był Goethemu przez Rachelę Lewin, o której niżej słów parę. Od r. 1795 widywał on w Weimarze i Jenie Goethego, który często wszczynał z nim rozmowę, wzbogacając jego umysł i pozwalając mu na otwarte wypowiadanie jego odmiennych poglądów. Między innemi opowiada Dawid Veit, że gdy pewnego razu siedział w teatrze Weimarskim, zauważył za sobą kierownika teatru, ekscelencję Goethego. Minister zaczął z nim mówić o granej sztuce i o dramacie wogóle i przysłuchiwał się z przyjemnością odpowiedziom studenta. Wyobraźmy sobie tę scenę: żydowski student zostaje publicznie, wyróżniony przez wszechpotężnego męża, największego poetę swoich czasów.

Zapewne nie mógł Goethe poznać wszystkich właściwości duszy żydowskiej, badając dyplomatę pośledniejszego gatunku i spragnionego wiedzy studenta. Ale pozatem słyszał on niejednokrotnie o uczonych, których dzieła czy-

tywał, i o pięknych kobietach, których widok sprawiał mu przyjemność. Goethe wspomina niekiedy o trzech wybitnych pisarzach żydowskich wieku oświecenia i o dwuch uczniach Kanta: Salomonie Majmonie i Lazarusie Ben-Dawidzie, oraz o literacie, kupcu i uczonym Dawidzie Friedlaenderze. Dwaj pierwsi byli współpracownikami czasopisma „Horen", wydawanego przez Szyllera i popieranego przez Goethego. Wielkiemu mistrzowi, któremu nic ludzkiego nie było obce, imponowała, mimo, że nie był zwolennikiem Kanta, gruntowna wiedza, poważny zapał i sumienność, z jaką starali się wyrazić swoje filozoficzne poglądy w jasnej i zrozumiałej niemczyźnie. Co do Dawida Friedlaendera, to Goethe nie wiedział o jego pracy nad moralnem i umysłowem podniesieniem Żydów i byłby jej nie zrozumiał, gdyby o niej wiedział, ale łączyły ich obu wspólne zamiłowania. Dawid Friedlaender, który jak wszyscy berlińczycy starszej generacji mało miał zrozumienia dla dzieł weimarskiego mistrza, był jak ten, gorliwym zbieraczem starożytności. Dowiedziawszy się o tem zamiłowaniu Goethego od jego zaufanego przyjaciela Zeltera, przesyłał za pośrednictwem tego ostatniego duplikaty ze swoich zbiorów do Weimaru i otrzymywał tą samą drogą prezenty wraz z sedecznemir pozdrowieniami.

W miarę tego, jak Goethe stawał się patrjarchą, do którego podejmowano pielgrzymki ze wszystkich stron świata, coraz częściej zaczęli odwiedzać go Żydzi. Przychodzili do niego i studenci, jak np. niejakiś pan Cohn z Gdańska, którzy tak słabo utrwalali się w pamięci Goethego, że wspominając o ich odwiedzinach, zostawiał w pamiętniku wolne miejsce na nazwisko, i ludzie, mający wielką przyszłość przed sobą, jak np. sławny orientalista Salomon Munk i Edward Simson, późniejszy pierwszy prezes Goethowskiego Towarzystwa. Znajdujemy w pamiętniku także wzmiankę o odwiedzinach dwóch panów von Rotszyld i ich wychowawcy.

Trochę obszerniej należy przedstawić stosunki, łączące Goethego z dwoma Żydami, z malarzem Maurycem Oppenheimem i poetą Michałem Beerem. Pierwszy z nich przybył do Weimaru w r. 1827 i opowiedział w sposób

entuzjastyczny o wrażeniu, jakie stary mistrz zrobił na nim. Wydał mu się dobrodusznym, a jednocześnie godnym najwyższego szacunku starcem. Oppenheim nie był wówczas jeszcze malarzem żydowskiego życia codziennego, tematy dla swoich obrazów brał bądź z Biblji, bądź ze świata starożytnego. Goethe cenił jego prace, dawał mu uprzejme napomnienia, nie szczędził mu uznania i nietylko pozwolił na urządzenie wystawy jego dzieł w swojem mieszkaniu, ale nawet przyjął od niego kilka obrazów, co zapewne malarzowi było przyjemniejsze, niż zapłata w brzęczącej monecie. Poeta Michał Beer był również mile widzianym w Weimarze gościem, a stosunek Goethego do niego jest już z tego względu bardzo zajmujący, gdyż wchodzą tu w grę sprawy ogólnożydowskie. Beer napisał bowiem żydowski dramat p. t. „Parjas" i posłał go do Weimaru. Goethe, chociaż wówczas bliższych z teatrem nie utrzymywał stosunków, polecił sztukę do grania. Uczynił to nie ze względu na poważaną rodzinę autora, ani dlatego, że sam się tematem dramatu interesował, powodowało go jedynie zrozumienie doniosłego znaczenia tego tematu. W ciekawym programie, który Goethe sam napisał na to przedstawienie, znajdują się słowa: „Parjas mógłby zatem uchodzić za symbol poniżanej, uciskanej i pogardzanej ludności wszystkich narodów świata, a ponieważ temat ten jest ogólno—ludzki,—tem samem wydaje się wysoce poetycznym". Widać z tych słów, że Goethe w przeciwieństwie do wielu swoich współczesnych jasno poznał ukrytą myśl sztuki, a jednak polecił dramat do grania i nie odmówił poecie życzliwej zachęty.

O serdecznym stosunku, łączącym Goethego z genjalnym muzykiem żydowskiego pochodzenia, Feliksem Mendelsohnem, powiem tylko słów kilka, gdyż zbyt wiele już o nim pisano. Zresztą Feliks był ochrzczony zaraz po urodzeniu, a więc wzmianka o nim może wydać się nieodpowiednia w pracy niniejszej. Ale w każdym razie należy zwrócić uwagę na serdeczność Goethego względem Abrahama i Lei Mendelsohn, żydowskich rodziców czarującego chłopca, który swoją sztuką, pięknością i dziecinnym wdziękiem tyle sprawiał przyjemności Goethemu i jego rodzinie.

Mistrz zaszczycał ich często listami i odzywał się o nich zawsze z wielkiem uznaniem. W końcu wspomnę tu jeszcze o bankierze Szymonie Laemlu z Pragi, który zmieniał Goethemu austrjackie pieniądze. Zaprosił on mistrza do siebie i otrzymał od niego grzeczną odpowiedź.

Na równi z Żydami odgrywają i Żydowki pewną rolę w życiu Goethego. Mistrz zetknął się w Karlsbadzie z wymienioną już Rachelą Lewin, przyjmował łakocie i pełne wdzięku pochlebstwa od Marjanny i Sary Meyer. Pierwsza z nich została pod nazwiskiem pani von Eybenberg morganatyczną żoną jednego z książąt Reuss, druga wyszła za jakiegoś pana von Grottus. Stosunek Goethego do tych kobiet, jak i do innych, które, będąc z pochodzenia Żydówkami, porzuciły później wiarę ojców swoich, jest tak ważny, że należy go tu choćby w krótkich słowach przedstawić. Nie chcemy przytaczać wszystkich entuzjastycznych sądów o Goethem, wypowiedzianych przez Rachelę i jej towarzyszki, ani też rozbierać listów Goethego do sióstr Meyer, przypomnimy tylko, że Goethe polecał drukowanie uwag Racheli o „Latach wędrówki" [1], jako trafnego ujęcia jego intencji i, że powodowany swojemi uczuciami dla Marjanny skończył prędzej, niż to było jego zamiarem powieść p. t. „Powinowactwa z wyboru" [2]. Główne znaczenie tych kobiet żydowskich polega na tem, że były one głosicielkami ewangelji Goethego w Berlinie, gdzie starsza generacja, stojąca na stanowisku Lessinga, nie odczuwała żadnej sympatji do młodzieńczych dzieł Goethego. One to, można powiedzieć bez przesady, nietylko w kołach żydowskich, ale w Berlinie wogóle zdetronizowały Lessinga i osadziły na tronie Goethego, budząc zapał dla dzieł jego. Nie działały one przy tem pod wpływem osobistego entuzjazmu, ani z wdzięczności za składane im hołdy, lecz wskutek głębokiego zrozumienia wielkości i znaczenia Goethego.

Dokończ. nastąpi.

1) Wilhelm Meisters Wanderjahre
2) Die Wahlverwandschaften.

EMANUEL RINGELBLUM.

Żydzi w Warszawie do r. 1527. *)

(do wcielenia Mazowsza do Korony)

4. IZAK.

Na szczególną uwagę zasługuje Izak (1429—63). Pożyczki swe lokuje wyłącznie u szlachty. Dosięgają one znacznej—na owe czasy — wysokości (5-ciu, 11-tu, 16-tu, a nawet 26-ciu grzywien). Łączna suma jego pożyczek wynosi pokaźną sumę 220 grzywien. Izak to największy bogacz wśród ówczesnych Żydów warszawskich. Do swej dyspozycji ma specjalnego pomocnika, Żyda Muskę, który podlega jego wyłącznej jurysdykcji, na co mu księżna Anna specjalne zezwolenie daje [1]. W jego interesach pomagają mu też jego siostry Mussza [2] i Ognascha, którym udziela pełnomocnictwo do wykreślania i wpisywania długów ze swej księgi [3], oraz jego żona Panscha [4]. Niedarmo ma tylu ludzi do pomocy. Interesy ma różnorodne.

To pożycza $1^1/_2$ grzywien u wyszegrodzkiego Żyda Oszmana [5], to znowu ściąga swe wierzytelności u Alexandra, od dłużników, zapisanych w księdze Alexandra [6]. Innym razem znowu oskarża tegoż Alexandra o kradzież, ale przed terminem jeszcze t. j. przed rozprawą polubownie załatwia sprawę [7].

Liczne interesy łączą go z kanonikiem warszawskim Stanisławem Żelawskim, który ciągle znajduje się w opresji

*) Obacz „Nowe Życie" № 3, str. 360—369.

1) A. z. g. w № 2, f. 142, r. 1432.
2) ibidem, f. 465, r. 1436.
3) ibidem, № 2, f. 462, r. 1437.
4) ibidem, № 2, f. 899, r. 1445.
5) ibidem, № 2, f. 197, r. 1433.
6) ibidem, № 2, f. 443, r. 1436.
7) ibidem, № 2, f. 420, r. 1435.

pieniężnej i raz po razie, to u tego, to u tamtego Żyda warszawskiego dług zaciąga.

W r. 1432 Żelawski wraz z Cedronem z Kruszewa płaci karę za nieuiszczenie długu 11 grzywien i 11 grzywien „przybithku" (przybytku—lichwy) [1]).

W rok potem Izak obowiązuje się dostarczyć Żelawskiemu perłową tkaninę [2]).

Żelawski długu (może za tkaninę) na czas nie spłaca, Izak więc wydobywa od księcia list przeciw niemu, na którego podstawie uzyskuje wyrok sądowy [3]).

Liczne bardzo procesy toczy Izak:

Raz ma składać przysięgę w sprawie zastawów: konia, miecza i strzał, które Jan Brwinowski u niego zastawił na sumę 11 grzywien [4]). To znowu Piotr Pruszyn przysięga, że nie składał za nikogo rękojemstwa — Izakowi [5]).

Andrzej z Blizu stawia 6 świadków przeciw Izakowi o konia [6]).

Izak, który utrzymuje stosunki także i z wysokimi dostojnikami, korzysta w potrzebie z ich pomocy: Bolesław i Paweł z Dąbrówki, Jan Szel ga z Manczyrzyn razem z Żydem wyszegrodzkim Mayem sk adają księciu rękojemstwo za dostawienie Izaka przed sąd pod karą 100 grzywień [7]).

Izak uprawia też interesa handlowe. Żelawskiemu zobowiązuje się dostarczyć perłową tkaninę. Andrzejowi z Blizu sprzedaje konia.

U Piotra Szolipsa kupuje nakrycie na głowę (jopula). Ostatni raz słyszymy o Izaku w r. 1463 [8]).

5. OSZFA I JEMU WSPÓŁCZEŚNI.

Drugie miejsce wśród Żydów warsz. zajmuje, w okresie przez nas omawianym, Oszfa (Osspha, Ossa, Oszwa, prawdopodobnie skorrumpowane Jezajasz) 1447-1471.

1) Ibidem, № 2, f. 121, r. 1432.
2) Ibidem, № 2, f. 291, r. 1434.
3) Ibidem, № 2, f. 316, r. 1432.
4) Ibidem, № 2, f. 313, r. 1434.
5) Ibidem, № 2, f. 535, r. 1437.
6) Ibidem, № 2, f. 535, r. 1437.
7) Ibidem, № 2, f. 472, r. 1436.
8) Ibidem, № 3, f. 979, r. 1463.

Do roku 1458 głównymi jego dłużnikami jest szlachta, w tych latach występuje on często w sądzie jako zastępca Jakóba.

W r. 1459 zostaje Oszwa aresztowany przez urzędników książęcych. Szwagier jego Jakobus ręczy księżnej, że dostawi Oszwę przed sąd pod karą 60 marek [1]).

Akta sądowe rozświetlają nam owe tajemnicze aresztowanie. Oto kanonikowi warsz. Stanisławowi Zelawskiemu skradziono srebro i inne rzeczy. Podejrzenie pada na Oszwę, który niezwłocznie aresztowany zostaje przez starostę. Za rękojemstwem Jakóba zostaje czasowo zwolniony z aresztu [2]). Na rozprawie Zelawski w oskarżonym Oszwie nie poznaje złodzieja, którego już w międzyczasie schwytano i—według srogiego średniowiecznego prawa — już nawet powieszono. „Oszwa" zeznaje Zelawski, „jest człowiekiem dobrym i uczciwym" [3]). Sąd Oszwę uniewinnia i od dyshonoru oczyszcza [4]).

Dużo kłopotów nabawiają Oszwę jego dłużnicy. Nie chcą mu długu płacić Matjasz i Swantochna z Urli (Orlia). Oszwa wydostaje przeciwko nim specjalny list książący. Sąd wzywa starostę, by Oszwie udzielił pomocy i opornych dłużników stawił przed sąd [5]). Gdy jednak Matjasz dalej długu nie spłaca, sąd nakazuje staroście niezwłocznie go aresztować i tak długo trzymać w areszcie, aż długu nie zwróci [6]).

Lecz głównem zajęciem Oszwy była nie lichwa, a handel.

Utrzymuje Oszwa stosunki handlowe z Gdańskiem. Przekonywuje nas o tem następująca notatka: Oszwa sprowadził do doktora żyd. Dawida, kupca gdańskiego, który pożyczył u Dawida pieniądze na zastaw [7]).

---

1) A. z. g. w. № 3, f. 542, r. 1459.

2) Ibidem, f. 542, r. 1459.

3) Ibidem, f. 582, r. 1459 „Canonicus dixit, quod Ego nullam causam malam ad Osshwam Judeum predictum scio. Sed eum habeo pro Judeo vero et justo".

4) Ibidem, f. 589, r. 1459.

5) Ibidem № 3, f. 631, r. 1460.

6) A. z. g. w. № 3, f. 876, r. 1462.

7) Ibidem № 3, f. 725, r. 1461.

Mamy i bezpośrednie dowody na zajęcie handlowe Oszwy. Oto w r. 1465 Oszwa skarży Żyda warsz. Abrama o konia, kupionego przez tegoż Abrahama u Oszwy [1]). Litkupnicy Marcin i Dominik, którzy byli obecni przy kupnie, oczyszczają Abrahama z oskarżenia [2]).

W r. 1464 Żydówka Channa zobowiązuje się Oszwie zwrócić dług 4 fl. gotówką lub czerwonym aksamitem, wartości 4 fl.[3]).

Dziwnym jest los Oszwy. Ciągle pojawiają się nań skargi i to nie tylko ze strony chrześcijan, ale częściej ze strony Żydów. Żyd Sioma nazywa go defraudatorem, co jednak przed sądem odwołuje [3]). Zamiejscowy Żyd Jakobus oskarża go o wyrzucenie z bóżnicy. Jednak sąd żydowski, złożony z pisarza i wiceprokuratora, zajął się zbadaniem tej sprawy. Z zeznań świadków wynika, że na Jakobusie dokonał Oszwa gwałtu nie w bóżnicy a „przed miastem". Żydowscy asesorowie składają zeznania na korzyść Oszwy, wskutek tego zostaje on uniewinnionym [4]).

Burmistrz warszawski Hanusz Wilk zarzuca Oszwie, że przyjął rzeczy skradzione u Wilka, między nimi i kielich. Żyd warsz. Bieniasz zeznaje, że wiadomo mu o pojednaniu się Wilka z Oszwą, przyczem pośrednikiem był szkolnik. Inni Żydzi zaś zeznali, „nie wiedzieliśmy, lecz słyszeliśmy od Żydów z osady albo od kogoś innego, że Oszwa się pogodził z Wilkiem w sprawie puhara, lecz nie wiemy czy mu też pieniądze wypłacił". Oszwa zaś rzekł: Ja nic nie wiem o tej sprawie, ani też z burmistrzem nie godziłem się, ani nie podtrzymuję zeznań Żydów — błagam was, dajcie moją sprawę do panów (t. j. do wyższej instancji). Sąd sprawę skierowuje do wyższej instancji t. j. do księcia [5]).

Oszwa, któremu zeznanie Bieniasza nie w smak było, w prywatnej rozmowie zarzuca mu, że świadczył przeciwko niemu z powodu nieprzyjaźni do niego. Bieniasz oddaje sprawę do sądu i Oszwa musi płacić karą za obrazą [6]).

---

1 i 2) Ibidem № 3, f. 1134, r. 1465.

3) Ibidem, f. 1087, r. 1464.

4) Ibidem № 3, f. 1125, r. 1455.

5) A. z. g. w. № 4, f. 161, r. 1468.

6) Ibidem, f. 287 r. 1459.

Ostatni raz słyszymy o Oszwie w r. 1571. Snać umarł w tym roku; odtąd spotykamy się z jego żoną Oszwiną.

Typem mniej ciekawym jest Lazarus vel Joachim (1441—70). W przeciwieństwie do Oszwy pożycza on prawie wyłącznie na zastawy ruchome. Między jego pożyczkami napotykamy sumy najróżnorodniejsze od 26 groszy a skończywszy na 15 grzywnach [1]).

Mieszczanin warszawski Tomasz zastawia u Joachima srebro na 3 grzywny, które pisarz ze względu na niebezpieczeństwo opieczętowuje [2]).

Dłużnikami jego są rzemieślnicy i szlachta, między nimi nawet wysocy dostojnicy, w kilku wypadkach i kmiecie [3]). Zastawy ma najrozmaitsze: suknie, naczynia, narzędzia pracy etc.

W r. 1463 Lazarus procesuje się o dom z Żydówką Rachelą. Sprawę wygrywa Rachela [4]).

W r. 1470 umiera Lazarus, żona jego Chawa zrzeka się domu swego na rzecz syna swego Józefa [5]).

Zaznaczamy jeszcze, że jego podobnie, jak Jacobusa pisarz sądowy raz mieni „*providus*" [6])

Helyas (Elyas), zięć Jacobusa jest więcej kupcem niż lichwiarzem.

W r. 1457 udaje się w daleką podróż handlową [7]), z której powrócił dopiero w r. 1460 [8]). Sprawa opiekuństwa nad jego córką, podczas jego nieobecności w kraju, wywołuje ciekawy spór. Oto Helyas, pokłócony z teściową, przekazuje swój majątek, oraz opiekę nad nieletnią córką Sprynczą warszawskiemu Żydowi Lazarusowi [9]). Przy tem są obecni w sądzie krewni jego Oszfa i Rachela, żona Jacobusa.

Z racji pokrewieństwa wnoszą oni protest przeciw opiekuństwu Lazarusa, twierdząc, że są bliższnymi krewnymi

1) A. z. g. w. № 2, f. 874 r. 1445.
2) Ibidem.
3) Ibidem. № 3. f. 297 r. 1457.
4) Ibidem. № 3 f. 945. r. 1463.
5) Ibidem. № 4 f. 357. r. 1470.
6) Ibidem. № 3 f. 205. r. 1457.
7) Ibidem. № 3 f. 241. r. 1457.
8) Ibidem. № 3 f. 611. r. 1460.
9) Ibidem. Nr. 3 f. 205. r. 1457.

i że lepiej się będą troszczyć o majątek Helyasa i o jego córkę [1]). Sąd rozstrzyga sprawę po myśli Racheli i Oszwy [2]): mają oni odebrać od Lazarusa majątek Helyasa wartości 8 grzywien i Sprynczę. Lazarus podporządkowuje się rozstrzygnięciu sądu i oddaje majątek Helyasa — Racheli i Oszwie [3]). Urzędnicy sądowi sporządzają spis rzeczy, znajdujących się w mieszkaniu Helyasa. Rachel i Jacobus otrzymują $3^1/_2$ grzywny w gotówce, z procentów z tej sumy mają żywić Sprynczę aż do powrotu Helyasa, albo do dojścia Sprynczy do pełnoletności. Sumę tę mają oddać Helyasowi po jego powrócie do Warszawy [4]). Oszwa dostaje 3 grzywny, z których ma rocznie płacić 26 groszy.

6. POGROM ŻYDÓW w r. 1454.

W r. 1454 zachodzi w życiu Żydów warszawskich jakaś zmiana. Notatki o nich, które dotychczas płynęły dość obficie, nagle się urywają. W roku 1452 było ich 14, w r. 1433 — 15, w r. 1454 tylko 2, a z r. 1455 nie dochowała się ani jedna zapiska i to zarówno w księgach ziemskich jak i miejskich.

Daremnie byśmy szukali w źródłach rozwiązania tej zagadki, żadnego śladu zaszłych wydarzeń w nich nie znajdujemy. W r. 1456 zapiski znowu płyną normalnym biegiem.

Pewne światło na tę ciekawą dla nas przerwę, spowodowaną jakimiś wydarzeniami, a nie uszkodzeniem źródeł, jak to się czasem zdarza, rzuca artykuł świeżo zmarłego historyka E. N. Frenka p. t. „Epizody z dziejów Żydów warszawskich" [5]). Nie podaje wprawdzie Frenk źródeł, z których swe wiadomości zaczerpnął, ale z całokształtu pracy historycznej Frenka z całą pewnością twierdzić możemy, że nie były te źródła z XV, ale z XVIII w., którym się Frenk specjalnie zajmował.

Zdaniem Frenka około 1454 r. wybuchł pogrom na Żydów w Warszawie. Pozostaje on w związku z kampanją antyżydowską, prowadzoną przez legata papieskiego Jana Ka-

1) Ibidem, Nr. 3, f. 207, r. 1457.
2) Ibidem, Nr. 3, f. 241, r. 1457.
3) Ibidem, Nr 3, f. 244, r. 1457.
4) Ibidem, f. 315, r. 1458.
5) vide dziennik żyd. „Hajnt" Nr. 14, r. 1924.

pistrana. Na swej drodze, znaczonej krwią niewinnie pomordowanych Żydów poprzez Wiedeń, Pragę — tenże „Bicz Boży", nie ominął i Krakowa zaproszony tamże przez biskupa krakowskiego Zbigniewa Oleśnickiego.

Księżna mazowiecka Anna przebywa wówczas w Krakowie (1454 r.) na weselu Elżbiety z Kazimierzem Jagiellończykiem. Pobyt jej przypada na czas, kiedy fanatyczny Kapistrano płomiennymi mowami podburzał tłum krakowski przeciw niewiernym Żydom. „Dziwiła się wielce księżna mazowiecka" pisze ks. Kantak [1]), widząc taki ład i porządek między nimi (t. j. Bernardynami), jak szli z krzyżem, oczy spuszczone mając na ziemię, a pospólstwo płakało, patrząc na takie wyrzeczenie się świata, rycerstwo zaś i dworzanie polecali się ich modlitwom!"

Pobyt w Krakowie pozostawił na księżnej Annie niezatarte wrażenie. Ulegając namowom Kapistrana, sprowadza 6 Bernardynów do Warszawy z uczniem Kapistrana, Jakubem Głogowczykiem na czele [2]). Księżna funduje im konwent.

Bogobojni mnisi zabierają się do roboty w myśl wskazówek mistrza swego. W nowowybudowanym dla nich kościele wygłaszają kazania, na które ciągną tłumy ludu z przedmieść i okolic Warszawy. Bernardyni piorunują na heretyków i „niewiernych".

C. d. n.

Agitacja wydaje bujny plon.

Sfanatyzowany tłum rzuca się na ulicę żydowską, plądruje i niszczy domy i dobytek żydowski, bezcześci cmentarz żydowski, wyrywając zeń kamienie nagrobne, a Żydów morduje. Niedobitki szukają ocalenia w ucieczce. Książę nie pośpieszył im na pomoc [3]).

1) vide. „Św. Jan Kapistrano i zaprowadzenie Bernardynów". napisał ks. Kamil Kantak, w Rocznikach Towarzystwa Nauk. Poznańskiego T. XL. p. 176.

2) ibidem.

3) Powyższe wywody Frenka popieramy w zupełności, mimo, że niewiadomo nam z jakich źródeł zaczerpnął. a oto powody, które nas do tego skłaniają: 1. Wszędzie agitacja Kapistrana kończyła się pogromami Żydów. 2. Skądinąd wiemy, że księżna Anna sprowadziła Bernardynów do Warszawy. 3. W latach 1454-68 t. zn. w latach, w których się według Frenka, miał odbyć pogrom żydowski, nie napotykamy żadne lub też bardzo rzadkie zapiski o Żydach.



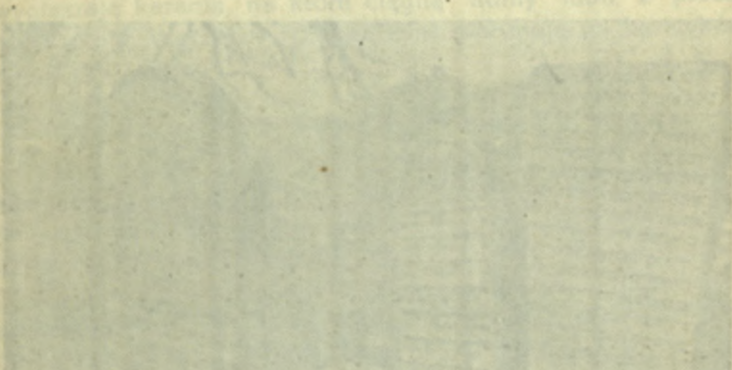
Lublin. Najstarsze pomniki na starym cmentarzu żydowskim. Po lewej stronie pomnik Kantora Abrahama syna Uzji z r. 1543.



Lublin. Historyczne pomniki na starym cmentarzu żydowskim. (od lewej ku prawej: Szalom Szachna, najstarszy rabin lubelski (um. 1559) Kamień nowy, o dawnym napisie; Azrjel Horowitz rab. lubelski (um. 1815 r.); syn jego Saul Fraim Fiszel (um 1825 r.)



Lublin. Najstarsze pomniki na starym cmentarzu żydowskim. Po lewej stronie pomnik Kantora Abrahama syna Uzi z r. 1543.



Lublin. Historyczne pomniki na starym cmentarzu żydowskim. (od lewej ku prawej: Szalom Szachna, najstarszy rabin lubelski (um. 1559). Kamień nowy, o dawnym [illegible] Horowitz rab. lubelski (um. 1619) i syn jego Saul Izrael [illegible] (um. 1823).)



Lublin. Srebrna łyżka do zlewania (obmywania) umarłych.



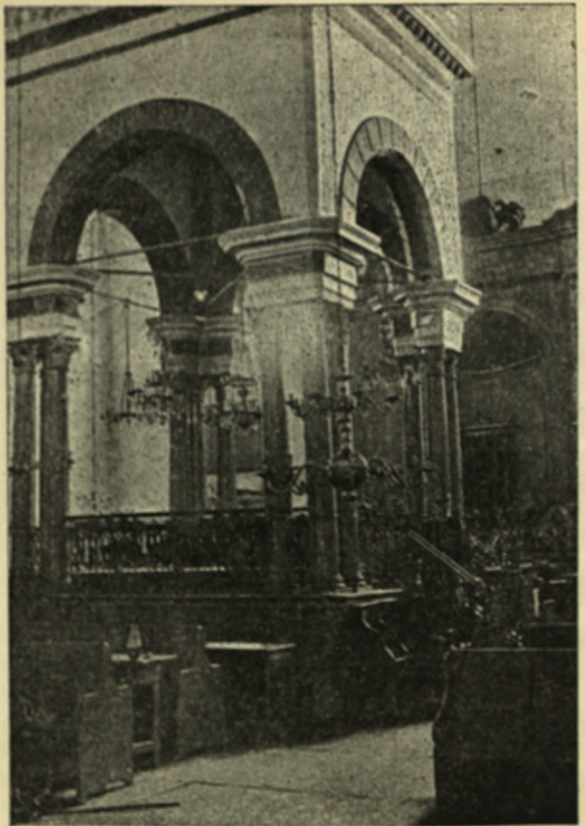
Lublin. Druga strona łyżki (ryc 7) z napisem fundatorą rokiem fundacji (1706) i cytatami z Biblji.



Lublin. Widok z rynku w ulicę Grodzką ku Bramie Grodzkiej (żydowskiej)



Lublin. Brama Grodzka (żydowska) od strony ghetta.



Lublin. Wnętrze wielkiej bóżnicy (Mharszalschul) - r. 1567. Na przednim planie almenior (bima), flankowana na 12 filarami.



Lublin. Wnętrze mniejszej bóżnicy Maharamschul) pierwszych lat XVII wieku. Za filarami, na prawo bóżnica dla kobiet.

Z listów do Matjasa Bersohna*).

1. AUGUST BIELOWSKI do M. B.

Lwów, 31. stycznia 1865.

Szanowny Panie dobrodzieju!

List pański sprawił mi wielką przyjemność, bo mi dał poznać jednego z równie światłych jak szlachetnie myślących ziomków, którzy z prawdziwem zamiłowaniem, uprawą nauk ojczystych zajmują się. Właśnie okoliczność, o której Pan nadmieniasz, że nie mogłeś się żadnemu innemu zawodowi poświęcić jak tylko kupieckiemu, jedna Panu tem większą zaletę i nadaje mu prawo do powszechnego od ziomków poważania. Co do mnie, możesz Pan być pewnym, że w czemkolwiek byłbym w stanie usłużyć mu, uczynię to z największą ochotą i raz na zawsze przyjaźń pańską sobie zamawiam.

Biblioteka zakładu narodowego imienia Ossolińskich ma bardzo mało xiąg hebrajskich. Inkunabułów w niej hebrajskich, ile wiem, zgoła nie masz, nie żebyśmy ich mieć nie pragnęli, lecz że nie było sposobności ich nabywania. Wszystkich dzieł hebrajskich i to po większej części nowych, posiadamy mało co więcej nad sto. Buxtorfa „Liber Cosri" sam dopiero przed niewielu laty kupiłem. Prócz tego znajduje się tu Tow Schem, Commentarius in Pentateuchum w Wenecji roku 1601 wydany i kilku talmudów w tym wieku już drukowanych. Są atoli we Lwowie niektórzy majętni Izraelici jak Horowitz, Bernstein, Schoenblum, Muentz, którzy, jak mię sami i znajomi ich zapewniali, mają piękne biblioteki domowe, obfitujące w inkunabuły (tylko nie wiem czy polsko-hebrajskie) i w rzadkie rękopisma. W bibliotece lwowskiej Pawlikowskiego znajduje się biblia cała

*) Listy te wraz z wielu innemi znajdują się w „Muzeum im Matiasa Bersohna" przy „Żydowskiej Gminie Wyznaniowej w Warszawie". Dzięki uprzejmości Kustosza muzeum pana Fajnera skopjował te listy dla „Nowego Życia" p. E. R

hebrajska pisana na pergaminie, bardzo dawna. Nie umiejąc po hebrajsku, nie mogę Panu dać bliższych szczegółów o tych i tym podobnych xięgach, jakie się tu znachodzą, jeśliby atoli złożyły się kiedy Panu okoliczności tak, iżby mógł tu do naszego Lwowa przyjechać, postarałbym się o to, aby Panu ułatwić obejrzenie wszystkiego, co godne widzenia i co Pana najwięcej obchodzić może. Dziełko Nathana Nety Jawen Mezula znane mi jest z przekładu francuskiego Benjamina II. Ma je biblioteka Osolińskich, ma też i oryginał hebrajski, ale dopiero roku 1850 we Lwowie drukowany. Za chęć uprzejmą przysłużenia mi się nim ślicznie Panu dziękuję; ale słuszniejsza jest iżby ów exemplarz przy Panu pozostał, jako pamiątka po Lelewelu, którego Pan sprawiedliwie tak wysoko cenisz. Co się zaś tyczy wiernego przekładu polskiego, dziwić się trzeba dlaczego nikt go dotąd nie uskutecznił, gdy go już Francuzi i Niemcy mają w swoim języku. Wartoby aby Pan Dobrodziej, jako posiadający dobrze język oryginału, wydał starannie ten oryginał hebrajski z wiernym obok polskim przekładem, Pan który tak dzielnie władasz polszczyzną.

List pański czytała z upodobaniem moja żona i jej przyjaciółki; powzięły one szacunek dla ziomka, co tak pod względem sposobu myślenia jak i pisania językiem ojczystym nie jednemu z naszych za wzór służyć może.

Proszę przyjąć zapewnienie rzetelnego poważania dla Pana Dobrodzieja, zostaję

sługa najniższy
August Bielowski.

2. AUGUST BIELOWSKI do M. B.

dnia 4. marca 1865.

Szanowny Panie!

List pański z 24 lutego doszedł mię. Cokolwiek w poprzednim liście moim wyraziłem, co jaką taką przyjemność sprawić panu mogło, proszę uważać nie za czczy komplement, lecz za wyraz rzetelny moich uczuć dla Pana; przedewszystkiem bowiem chcę być szczerym i otwartym dla ludzi zacnych

i na prawdzie a nie na obłudzie zakładać to, co mi może dać prawo do ich stałej przyjaźni i życzliwości.

Gdyś mi Pan bliżej myśl swoją co do inkunabułów polsko-hebrajskich określił, śmiem zwrócić jego uwagę na dzieło Jana Daniela Hoffmana „De typographiis earumque initiis et incrementis in regno Poloniae et M. D. Lithuaniae cum variis observationibus rem et literariam et typographicam utriusque gentis aliaque ex parte illustrantibus, Dantisci 1740" tudzież na to co Janocki i Jerzy Samuel Bandtkie o drukarniach hebrajskich opowiadają. Z nich dowiesz się Pan między innemi, że Pentateuch i xięgi Megilloth już w roku 1530 wydano po hebrajsku in folio w Krakowie, że Izaak syn Aarona z Prostic w Morawach (ben Aaron Prostitz) miał w Krakowie drukarnię hebrajską od r. 1550—1630; że tam u tego drukarza ukazało się między r. 1603—05 sławne wydanie talmudu babilońskiego w tomach 12-tu in folio, któreto wydanie lepsze jest od bazylejskiego. Dowiesz się Pan tam o wielu innych drukach krakowskich, a przytem o drukach hebrajskich dawnych w Wilnie, Poznaniu, Lublinie i t. d. To wszystko już może dać wskazówki gruntowne do pańskich poszukiwań. Wiem także, że znany literat nasz Żegota Pauli, który mieszka w Krakowie, ma zebranych niemało wiadomości o drukach i drukarzach hebrajskich w dawnej Polsce.

Że Pawlikowski na zgłoszenie się pańskie do niego nic mu nie odpowiedział, nic w tem dziwnego, bo to było w czasach, kiedy u nas tu głowy zanadto zajęte były czem innem. Teraz Pawlikowski siedzi w więzieniu. Jeśli kiedy wyjdzie, można z nim będzie rozmówić się i dowiedzieć dokładniej o tej biblii hebrajskiej.

Pan Moniuszko przyjęty u nas był tak, jak zasługiwał jego wysoki talent. Wszystko dotąd jeszcze brzmi jego pochwałami.

Załączam fotografję moją według życzenia pańskiego, a miło mi będzie otrzymać nawzajem pańską fotografję.

Proszę przyjąć wyrazy rzetelnego poważania, z którem dla Pana zostaję

sługa najniższy

Bielowski.

Moja żona łączy swe ukłony dla obojga państwa.

3. ALEXANDER LESSER do M. B.

Kochany Matiasie!

Z przyjemnością przeczytałem dokładny opis Twój w Noremberskim Anceigerze o bóżnicy na Kazimierzu, na którą dawniej już Twoją uwagę zwracałem.

Opis jest wyczerpujący i z wielką gruntownością zrobiony. Wartoby artykuł ten streścić z opisem Essenweina [1]) i dołączeniem w drzeworycie baldachimu żelaznego — którego nie znam.

Kłosy najchętniej go umieszczą.

Zwracam Twoją uwagę, że imię tego artysty zapewnie tego samego, który częściej się w opisach Krakowa zjawia np. Santi Gucci miał za Batorego przebudować zamek w Lobzowie, gdzie za Kazimierza W. Esterka mieszkać miała.

Oprócz tego na nagrobku marmurowym Batorego w Krakowie ma być napis, Santi Gucci fecit — co warte sprawdzenia. Oprócz tego wspominają o Kasprze Gucci Florentczyku, który był 1545 rajcą krakowskim,

Twój szczerze życzliwy
Alexander Lesser.

d. 5/6 1869 r.

4. H. GRAETZ do M. B.

Breslau, 19 Mai 69.

Geehrter Herr!

Ich sage Ihnen meinen Dank für die freundliche Zusendung Ihre Notizen über Joseph v. Naksos für meine Zeitschrift. [2]) Ich werde natürlich Gebrauch davon machen. Noch hat mir Herr Krauskopf [3]) schon vor einigen Jahren Urkunden vom poln. König an Joseph abdrucken lassen. Ich muss erst damit vergleichen, ob die von Ihnen mitgetheilten anderen Inhaltes sind, wozu ich in diesem Augenblicke keine Zeit habe. Jedenfalls bitte ich sie mir interressante historische Notizen über Juden aus archivalischen Fundgruben mitzutheilen, nur

1) Die mittelalterlichen Kunstdenkmale der Stadt Krakau. 1869.
2) Chodzi o don Józefa Nasi.
3) Kraushaar.

bitte ich sie, da ich nicht polnisch verstehe, dieselben soweit sie in dieser Sprache verfasst sind, gefälligst übersetzen zu wollen.

Endlich erlaube ich mir noch eine Bitte. Th. Czacki giebt in seinem Buche Rosprava p. 103 (ed. 1807) an: Stanislaus Poniatowski habe das Oberrabinat von Polen aufgehoben, kurz, ohne weitere Ausführung. Sollten sie eine Urkunde darüber gefunden haben, so würden sie mich sehr verbinden, wenn Sie mir dieselbe, oder was sie überhaupt darüber und über die Constitution von 1764 [1]) in Betreff der Juden gefunden haben, mitzutheilen die Güte haben sollten und zwar, wenn ich bitten darf, so bald als möglich.

Hochachtungsvoll

Dr. H. Graetz.

5. H. GRAETZ do M. B.

Breslau, 15 Oct. 1879.

Hochgeehrter Herr!

In der Voraussetzung, dass mein Name Ihrem Gedächtnisse nicht entschwunden ist, erlaube ich mir eine Anfrage an Sie zu richten, zu der ich eine kurze Einleitung vorauszusetzen mich genöthigt sehe.

Als ich vor mehreren Jahren mit einigen Freunden eine Reise durch Palästina machte, fanden wir die Lage der jüdischen Waisenkinder höchstbejammerenswerth, leiblich und geistig verwahrlost, eine Ernte für die bekehrungssüchtigen Missionäre. Wir haben uns nach unserer Rückkehr daher angelegen sein lassen, ein Asyl für diese Unglücklichsten der Unglücklichen zu schaffen, und es ist uns bereits gelungen, einigen Waisenkindern leibliche Nahrung und geistige Erziehung zu verschaffen, und zwar in der Colonie der Alliance Israélite Universelle bei Jaffa. Wir haben nämlich einen Fonds zusammengebracht und jährliche Beitrage dafür einwerben lassen. Der gesammelte Fonds reicht aber nicht aus etwas dauerndes... einen Waisen... fixirt anzustellen. Wir trachten daher diesen Fonds möglichst zu vergrössern.

---

1) Chodzi o rozwiązanie sejmów żydowskich w r. 1764.

Einen Theil desselben habe ich durch Vorlesungen geschaffen, die ich in Berlin, Hamburg und Lemberg gehalten habe. Nun haben mir einige Freunde aus Warschau in Aussicht gestellt, dass ich auch in dieser Stadt durch einige Vorlesungen eine erklekliche Summe zu diesem Zwecke erlangen könnte. Dieselben wiesen mich zugleich an sie, Geehrter Herr, dass Sie mir die beste Auskunft darüber geben könnten, ob sich dieser Plan in Warschau verwirklichen liesse. Aus dieser . . . entspricht meine Anfrage an Sie, die ich mir zu erwähnen erlaube. Sind sie der Meinung, dass das Projekt von Vorlesungen zum Zwecke einer zu gewinnenden Summe für das Waisenhaus in Palästina in Ihrer Gemeinde Anklang finden würde? Würde im bejahenden Falle der zu erwartende Ertrag klecklich genug ausfallen, um deswegen die Reise zu unternehmen?

Ich hoffe durch die Dringlichkeit und Heiligkeit der Sache, die mir am Herzen liegt, Entschuldigung bei Ihnen zu finden, dass ich Sie mit dieser Anfrage belästige.

Genehnigen Sie Hochverehrter Herr die Versicherung meiner ganzen Hochachtung.

Ihr ganz ergebener

Prof. Graetz.

6. ELIZA ORZESZKOWA do M. B.

Szanowny Panie

Obawiając się nadużyć grzeczności, okazanej mi przez Szanownego Pana, zwracam dzieło Majmonidesa, zarazem — racz Pan przyjąć gorące podziękowanie moje za tak uprzejmie wyświadczoną mi pomoc literacką i wyrazy prawdziwego szacunku z jakim mam przyjemność zostawać

El. Orzeszkowa.

1878 r. d. 2 maja. Grodno.

JAKÓB APPENSZLAK.

Z problemów teatru żydowskiego.*)

IV.

Nie będzie w tem przesady, jeśli powiemy, że o teatr żydowski nikt się nie troszczy. Wydaje się niekiedy, że teatr nasz istnieje poza obrębem tych spraw, któremi społeczeństwo się interesuje. Podczas gdy w kulturze narodowej teatr odgrywa faktycznie niemniejszą rolę niż szkoła, a właściwie jest pierwszą szkołą początkową, do której uczęszcza lud – u nas sprawa teatru nigdy jeszcze nie stała na porządku dziennym spraw ogólnych i nie była rozstrzygana poważnie. Problem teatru jako organu kulturalnego, kształtującego duszę ludu może najbardziej bezpośrednio usiłowano rozwiązywać co najwyżej w szczupłem gronie miłośników i zapaleńców sceny żydowskiej. Teatr nie miał tego szczęścia, jak szkoła, aby stać się jednym z postulatów programu naszych stronnictw. Szkoła — jako jedyny osiągalny w golusie doraźny efekt realizacji programu narodowego była terenem zaciętej walki stronnictw i haseł. Zbytecznie podkreślać, ile zyskała szkoła żydowska — dzięki długoletnej walce, jaką toczyli chasydzi z maskilami, idyszyści z hebraistami, socjaliści ze sjonistami. Była to za każdym razem walka o duszę pokolenia. Na całej długości tego frontu, pod różnemi sztandarami wznoszono szkoły, jako bastjony i punkty umocnienia się na płaszczyźnie życia narodowego. Gdy każdy walczył o swój program i język szkolny — w rezultacie rozszerzała się sieć szkół. Tak się wyraził przychód walki i starć opinji. Ale nikomu nie

*) Obacz „Nowe Życie" Nr. 2, str. 211—216.

przyszło na myśl, aby zdobywać duszę pokolenia przez teatr. Daremnie szukać będziemy w programach naszych partyj postulatów zasadniczych, dotyczących teatru. Co prawda — tu i owdzie wspomina się o teatrze, lecz są to klauzule nawiasowe, którym nie poświęcono ani energji, ani też większej uwagi.

Tymczasem teatr jest królewską, delikatną rośliną, wymagającą silnych podpór, pieczołowitej pielęgnacji. Teatr pierwotny, pozostający jeszcze w fazie kultu — opierał się na potężnej opoce życia religijnego mas. Ze świątyń przeniósł się następnie do pałaców. Rozwijał się i kwitł, obdarzony szczodrze przez możnowładców, broniony przed dzikością ramieniem króla — jako ozdoba życia, źródło piękna i uciechy, świat bajki olśniewającej ogniami bengalskiemi. Aktor szkolił się na wzorach wykwintu towarzyskiego dworów monarszych i salonów możnowładców. Po kobiercach pałacowych stąpały zespoły Szekspira i Molieré'a. Tam rodził się wprawdzie głuchy bunt genjuszy — lecz jednocześnie błyszczały wzory szlachetnych manier, pięknej wymowy, jaśniała uroda kobiet arystokratycznych—ze ścian patrzyły obrazy mistrzów – antyszambry rozbrzmiewały echem stujęzycznem stu krajów, całego świata! Dwór był ośrodkiem kultury, miejscem gromadzącem formy najrzadsze, najcenniejsze, najpiękniejsze! Tam rósł teatr — i wzbogacał swą wiedzę formami doskonałemi — na stosownym dla siebie gruncie—śród pozorów — być może — lecz czemże żyje teatr, jeśli nie formą—przez co się uzewnętrznia—jeśli nie przez pozory? Protektorem był mocarz, król, książę — władca. Potem zjawił się nowy protektor: plutokracja.

Jakiegoż protektora miał teatr żydowski? Kto żywił aktorów, opłacał lokale i światło, kto łożył na kostjum Hamleta i na płaszcz Leara?

Ubogi lud był mecenasem teatrów żydowskich. Nie cały zresztą lud! Masa ortodoksyjna stroniła od teatru. W stodole — przed rzędem świec łojowych gromadził się drobny ludek młodzieży prowincjonalnej, dzieci wyklętych, strudzonych robotników i przygnębionych szarzyzną mias-

teczka kucharek. Znosiło to bractwo swe uciułane grosze „dyrektorowi", uciekającemu przed dłużnikami. Za to się grało. Połowę eskamotował dyrektor, reszta szła na opłacenie budy, na suchy chleb dla aktorów, na łapówkę dla naczelnika straży ziemskiej i na kostjum dla królewny. W jakich warunkach, „kreował" role aktor żydowski? Znakomity nasz aktor, Samberg, opowiadał mi raz, jak przed kilkunastu laty grał główną rolę w operetce — gdzieś w zapadłym kącie prowincji. Był baronem, siedział w towarzystwie hulaków w gabinecie restauracyjnym. Jedli kolację czyli wbijali widelce w kurczaka z masy papierowej. Był głodny. Nic nie jadł od rana. Nie patrzył na partnerów. Wlepił wzrok w usta dziewczyny w ósmym rzędzie, jedzącej czekoladę. Oczyma pożerał tę czekoladę, ślina mu ciekła do ust. Później go oklaskiwano, dziewczyna wołała „Bis!", „Bis!". A on myślał sobie, że uczyniłaby lepiej, gdyby go poczęstowała kawałkiem czekolady.

W tym epizodzie z życia wielkiego aktora zawarty jest fragment dziejów naszego teatru.

Nowe czasy nie przyniosły żadnej prawie zmiany. Conajwyżej - można się doliczyć trzech, czy czterech zamożniejszych Żydów, którzy w ciężkich chwilach okazywali teatrowi doraźną, niewielką zresztą pomoc. Złoto żydowskie nie spływa na deski sceny narodowej. Kładzie się ono grubą, błyszczącą warstwą na kapitele kolumn we wspaniałych gmachach teatrów aryjskich. Pieniądze żydowskie idą na zasilanie sztuki obcej.

I oto biedny, puszczony samopas teatr żydowski musiał sam pracować na swe utrzymanie—a jednocześnie karmić swą duszę. Gdzie - jak gdzie, ale w teatrze jednoczesne wykonywanie tych dwóch czynności jest niepodobieństwem. Nie można ustalać linji repertuaru, gdy cały wysiłek musi być skierowany w stronę zdobycia chleba powszedniego i zgrzebnego płótna dla okrycia nagości drewnianych kikutów sceny. Teatr żydowski nie może sobie pozwolić na luksus roztrząsania kwestji: „Co należy grać?" Zagadnienie formułuje tu się inaczej: „Jak przeżyć dzień jutrzejszy". To decyduje o repertuarze. Trzeba grać

utwory, które w poniedziałek zdołają znęcić do teatru furmana i kucharkę, a w sobotę sklepikarza. W tych warunkach nie może być wyższego celu ponad minimum egzystencji. Istnieją dwa sposoby, aby osiągnąć to minimum: albo przy miernem powodzeniu gra się codziennie co innego, aż się trafi na tłusty połeć; albo też, gdy połeć się nadarzył, wysysa się zeń „minimum egzystencji", tak długo, aż zostanie sucha kość — i trzech widzów na sali — w tem dwóch krewnych biletera.

Względy te decydują o charakterze repertuaru. Jest rzeczą zrozumiałą, iż w repertuarze tym muszą być same barwy krzyczące, tony głośne, zwabiające widza, przejścia nagłe i ostre — od ostateczności — do ostateczności.

Niejednokrotnie — w rozmowach z dyrektorami naszych teatrów przekonywałem się, że byli oni pozbawieni możności czynienia jakichkolwiek prób i doświadczeń, tak koniecznych, gdy zależy na osiągnięciu nowych rezultatów artystycznych. Przypominali człowieka, który umie grać na fortepianie, naciskając ustawicznie pedał po to, aby go słyszano wśród wrzawy.

W podobnych warunkach wykluczone są efekty subtelniejsze, półtony, przejścia, rzeczy bardziej skupione i dyskretne. Teatr skazany jest na to, aby maszerować szerokim, wydeptanym gościńcem i walić w bęben. Na ścieżce bocznej możeby znalazł jakiś cichy zakątek, gdzie właśnie kryje się wielkie piękno i tajemnica powodzenia. Ale zbaczać nie wolno.

Gdy warunki materjalne kształtują repertuar i ograniczają dobór sztuk — trudno wyobrazić sobie taką reformę repertuaru, którąby przyczyniła się do wyszkolenia aktora i podniesienia jego poziomu.

Aktor żydowski jest przeważnie samoukiem i szkoli się w teatrze. I oto — zważywszy braki repertuaru — odrazu ujrzymy luki wykształcenia aktorskiego.

Pewna kategorja utworów teatralnych nie ogląda prawie wcale światła kinkietów sceny żydowskiej. Należą do nich np. komedje salonowe — cała ta lekka, czarująca,

kulturalna, zadziwiająca swą finezją francuska literatura teatralna, tak poważne miejsce zajmująca dziś w repertuarze scen europejskich.

Dość zaznaczyć, że na afiszach teatrów żydowskich nigdy jeszcze nie widniały nazwiska Caillaveta i de Flersa!

Natomiast w ludowym repertuarze żydowskim, w tak „bezpiecznych" pod względem kasowym melodramatach i w grubo ciosanych sztukach naturalistycznych — nie wiele jest sposobności do rozwinięcia misterniejszych środków twórczości aktorskiej. Praktyka sceniczna w rezultacie prowadzi do zmanierowania — i stępienia zdolności artystycznych. Aktor staje się wydziedziczonym, pozbawionym możności przejścia przez trening nieodzowny.

Jestem zdania, że stworzenie specjalnej szkoły dramatycznej nie usunie tej bolączki. Szkoła dramatyczna jest w istocie tylko kursem aplikacji, przystosowywaniem adepta do wysokich wymagań istniejącego teatru. Lecz na jakim teatrze mają się wzorować uczniowie jedynej, istniejącej w Warszawie — żydowskiej szkoły dramatycznej? O ile nam wiadomo — szkoła ta wegetuje. Oczywiście — szkoła dramatyczna musi dzielić los teatru, skoro teatr nie przyciąga wybredniejszej publiczności — szkoła, przedstawiająca z natury rzeczy jego przybudówkę nie stanowi magnesu dla talentów. Żydowskie talenty aktorskie spotykałem w tym roku... w polskich szkołach dramatycznych.

V

Z tego cośmy powiedzieli wyżej wynika jasno, że dla ocalenia sceny żydowskiej od zagłady, dla jej rozwoju, dla zachowania wreszcie tych skarbów artystycznych, które znalazły się jednak w nędzy i opuszczeniu — konieczne jest przedewszystkiem rozstrzygnięcie problemu finansowego.

Od tego trzeba zacząć.

Minęły czasy mecenasów — i trudno przypuszczać, czy znajdzie się dziś bogacz żydowski, który uwolni nasz teatr od zabójczych trosk materjalnych, od konieczności

polowania na „pewne" sztuki — i wystawi mu gmach godny i okazały. Musimy więc liczyć na pomoc społeczeństwa. Musimy uderzyć w dzwon alarmowy i uświadomić społeczeństwu grozę położenia — a przywódcom żydostwa ogrom winy, wyrażającej się w lekceważeniu najważniejszego bodaj obowiązku wobec kultury narodowej.

Niełatwo będzie obudzić należyte zrozumienie dla doniosłości tej sprawy. Tem niemniej jednak należy wynaleźć sposób uczynienia kwestji teatru - sprawą pierwszorzędnej wagi. Dzisiejszy stan teatru żydowskiego jest przecież kompromitujący; — wobec walki naszej o prawa kulturalne jest on niebezpieczny, szczególnie, jeśli chodzi zapobieganie dezercji z szeregów inteligencji narodowej.

Dr. M. BAŁABAN.

Ghetta miast polskich.

I. LUBLIN.

(z 8 rycinami)

Miasta polskie się modernizują a wraz z tem giną zabytki minionych wieków, świadectwa chwały dziejowej. Tylko niektóre miasta jak Kraków, lub Sandomierz, Toruń czy Stara Warszawa zdołały zachować w całości lub w części swój pradawny wygląd, w innych tak dokładnie wszystko odnawiano, tak gruntownie zdzierano patynę wieków, że ze starego miasta nie pozostał nieraz kamień na kamieniu. Los miast dzielą i kwartały żydowskie. Tylko gdzieniegdzie zachowały one swój dawny wygląd i witają zwiedzającego swem odświętnem obliczem, na ogół jednak starano się wszelkiemi siłami zetrzeć to oblicze dziejowe, a często szło się w tem dążeniu tak daleko, że zmieniano nawet nazwę ulicy, by przyszłe pokolenia — broń Boże! — nie dowiedziały się, że w tem miejscu mieszkali niegdyś Żydzi, że tu była owa ciasna, a brudna, ciemna a głośna ulica żydowska, platea Judaeorum. Najstarsza ulica żydowska w Krakowie to dzisiejsza ul. św. Anny. Już w r. 1469 usunięto z niej Żydów, by nie stali na przeszkodzie rozwojowi gmachów uniwersyteckich. Starą ulicę żydowską we Lwowie — znaną z aktów już w r. 1387 — zmodernizowano w r. 1907, a przedtem jeszcze ją przechrzczono na ul. Blacharską. W Poznaniu zniesiono w r. 1805 cmentarz żydowski, urządzając tamże plac Wilhelma (dzisiaj plac 21 stycznia), a w r. 1908 zburzono dwie prastare bóżnice w ulicy żydowskiej, wznosząc w temże miejscu nowoczesny szpital.

Niewiele zostało z ulic i kwartałów żydowskich, tylko w niektórych miastach możemy je oglądać w całości, a do nich należą: Kazimierz pod Krakowem, Wilno, Lublin i częściowo

Lwów, nie licząc mniejszych miasteczek jak Pińczów, Opatów i szeregu miast na Litwie, Białorusi, Podlasiu i t. p.

W szeregu niewielkich artykułów zamyślam dać ogólny przegląd tychże kwartałów czyli ghett polskich i zaczynam od miasta, w którem może owe ghetto utrzymało się najlepiej, t. j. od Lublina.

*

Gmina żydowska w Lublinie jest młodszą od swych siostrzyc we Wielkopolsce (Kalisz, Poznań), na Mazowszu (Płock), w Krakowie, we Lwowie i t. p. Pierwsze wzmianki o Żydach w tem mieście pochodzą dopiero z ostatniej ćwierci XV wieku, a wówczas mieszkają oni na Piaskach t. j. w okolicy dzisiejszego dworca kolejowego. Na początku wieku XVI osiada gmina żydowska na t. zw. Podzamczu t. j. dookoła dzisiejszego zamku (królewskiego), za murami miasta, w okolicy moczarowatej i niezdrowej. Już w r. 1540 posiadają swój cmentarz na t. zw. Grodzisku t. j. na wzgórzu za zamkiem i rzeczką, a w r. 1550 nabyli u starosty Andrzeja Tęczyńskiego „przy drodze do stawu Czechówka" obszerny plac, celem zbudowania rzeźni i domów prywatnych. W r. 1557 nabył znany lekarz księcia pruskiego Albrechta, dr. Izak Maj plac tuż pod górę zamkową, osuszył bagna i zbudował w r. 1567 przepiękną bóżnicę, która po wielu przeróbkach stoi do dnia dzisiejszego i nosi dumne imię rabina i rektora lubelskiego Salomona Lurji (um. 1573) — Maharszal-szul.

Odtąd stanowiła ta bóżnica ośrodek życia żydowskiego w Lublinie, więc dookoła niej powstały inne budynki publiczne, jak uczelnia Talmudu, opatrzona przywilejem Zygmunta Augusta, dom gminny, rzeźnia, bóżniczki cechowe, oraz dom, w którym przez kilka wieków odbywały się sejmy Żydów koronnych, czyli t. zw. „zjazdy czterech ziem".

A niedaleko od tego ośrodka świętości, za rzeczką na górce rozciągał się (i do dzisiaj się rozciąga) stary cmentarz, na którym chowały się kości pokoleń. Znajdziesz tam panteon wielkich w Izraelu rabinów i lekarzy, wśród nich nagrobek pierwszemu znanego rabina lubelskiego Szaloma Szachny

(um. 1559) — obacz ryć 6 — którego Zygmunt I zamianował rabinem ziemskim w Małopolsce, wyż. wspomnianego Salomona Lurji, którego Zygmunt August nadał tytuł rektora, znajdziesz nagrobki seniorów gminy i jej syndyków, jak np. Abrahama reb Chaims (um. 1762), prezesa sejmu żydowskiego, który zorganizował obronę Żydów podczas dysputy frankistów i syna jego rabina lubelskiego i cadyka lubelskiego Jakòba Izaaka Horowitza, który podłożył podwoliny pod chasydyzm polski i wroga jego Azraela Horowizta, owego męża „z żelazną głową", o którą się rozbijały zakusy cadyków polskich. I spoczywa na tymże cmentarzu lekarz Michała Wiśniowieckiego, doktór uniwersytetu w Padwie, Feliks Vitalis, a także lekarz dr Salomon Montalto (um. 1638), którego ojciec Eljasz Montalto uciekł z piekła inkwizycji portugalskiej i był lekarzem na dworze Medyceuszów we Florencji. A gdy Marja Medycejska wyszła za króla Francji, Henryka IV, towarzyszył jej Eljasz do nowej ojczyzny i tam do końca życia był doradcą jej i jej syna, Ludwika XIII.

*

Lecz życie ludzkie nie ciągnie w stronę cmentarza, a ze świętości Izraela naród wyżyć nie może. Więc też — niezależnie od bóżnic i uczelni — powstają domy i domki z kamienia i drzewa dookoła zamku — ulica Krawiecka, Podzamcze i główna arterja ghetta, ul. Szeroka — i okalają podwójnym wieńcem prastare zamczysko. A od tego wieńca krok jeden do miasta, w którem od wieków Żydom mieszkać nie wolno. Dlaczego nie wolno i kto wydał przywilej de non tolerandis Judaeis, tego nikt ni w przeszłości ni w naszych czasach dowieść nie umiał! Ale że wieść o tem głosiła, więc też Rada i Ława i pospolity chrześcijański człowiek mocno się tego trzymali i srodze przestrzegali „by żaden niewierny nie osiadł intra muros i swemi wykrętnemi sposoby nie szkodził uczciwemu kupcowi czy rzemieślnikowi."

W początku XVI wieku jeden tylko Żyd umie przełamać ten zakaz, a jest nim celnik ruski i faktor Zygmunta I Josko Szachnowicz. Lecz po nim przybywają inni, wynajmują kramy i składy w domach miejskiego patrycjatu i płacą słone

czynsze. Także i w domach zakonnych i w pałacach magnatów znajdziesz sklepy żydowskie. Na wielkich jarmarkach lubelskich, na których wschód z zachodem podają sobie dłonie, pełno jest kupców żydowskich miejscowych i obcych; żydowski trybunał jarmarczny mnóstwo ma do roboty.

Lecz pospolity człowiek nie chce znosić współzawodnictwa niewiernego kupca, cechowy rzemieślnik nie chce sobie dać odebrać robotę przez niecechowego „partacza", barysznik miejski nie chce się dać wyprządz przez metlera żydowskiego i na tle tej konkurencji wybucha walka o prawo mieszkania i handlowania w mieście. Pospolity człowiek chce Żyda wyprzeć z powrotem po za bramę grodzką vulgo żydowską, do kwartału na Podzamczu, czyli do miasta żydowskiego. Więc następuje szarpanina i proces; prawem i lewem prowadzi się spór, a w sam jego środek wpada wielka wojna kozacko—tatarsko—szwedzko—moskiewska. Lublin był już w r. 1648 zagrożony, wojska Chmielnickiego cernowały Zamość. Lecz to było przygrywką, która podcięła cały handel i przemysł w mieście, prawdziwa tragedja nastąpiła w r. 1655, gdy moskale zajęli Lublin, kazali mieszczanom przysiądz wierność carowi i wydać wszystkich Żydów z żonami, dziećmi i całym dobytkiem.

Miasto wydało Żydów, lecz moskale darowali im życie. Po kilku dniach jednak (wigilja święta szałasów 1655 r.) podpalili cały kwartał żydowski wraz z zamkiem i wszystko co się znajdowało za bramą żydowską zamienili w gruz i popiół. Całe ghetto poszło z dymem, a 2000 trupów żydowskich zaściełiło ulice Podzamcza.

*

Katastrofa z r. 1655 wpłynęła na przesunięcie ghetta. Zrazu, na tymczasem, wprowadzają się Żydzi do miasta — intra muros — i tutaj powoli rozpoczynają handel i rzemiosło. To ponownie wywołuje waśnie z przed wojny, gdyż pospolity człowiek nie chce i teraz znosić swego współzawodnika obok siebie. Zaczyna się proces o usunięcie Żydów z miasta, który z przerwami trwał sto lat. A wśród tego procesu powtarzają się raz poraz samosądy, rabunki, napady

i pogromy. W r. 1761 wygrał pospolity człowiek i Żydów wyrzucono z miasta i wepchnięto do dawnego ghetta na Podzamczu, które rychło się odbudowało. Niewielką ilość Żydów pozostałych w mieście, usunęli stamtąd Austrjacy, którzy w r. 1795 wmaszerowali do Lublina. I znów zaczyna się dobijanie się do bram miasta i znów otacza handel żydowski bramę grodzką i stara się przez nią przedostać na ulicę grodzką i tędy na rynek. A tymczasem gnieżdżą się Żydzi dookoła zrujnowanego zamku i wyciągają swe domy i domki aż po Czechówkę i po przez nią ku swemu cmentarzowi i Kalinowszczyznie. Dopiero reformy Wielopolskiego w r. 1862 otworzyły znękanym walką bramy miasta i oto w krótkim czasie obsiedli Żydzi prawie wszystkie domy, odrestaurowali dawne pałace i w samym rynku i w przyległych uliczkach otworzyli swe kramy i warsztaty.

I stare miasto stało się żydowskiem, tylko mała jego część, tuż obok bramy Arjańskiej, katedry (kościoła Jezuitów) i zabudowań podominikańskich pozostała w rękach chrześciańskich. Reszta to ghetto, podobnie jak dawny kwartał żydowski za bramą grodzką *v u l g o* żydowską. Lecz właściwe miasto Lublin, owa prastara *c i v i t a s l u b l i n e n s i s*, uciekło przed Żydami i rozsiadło się na dawnem Krakowskiem Przedmieściu na zachód i południe od bramy krakowskiej. Za bramą zostali Żydzi i stworzyli nowe ghetto.

Chcesz je poznać, przejdź przez bramę krakowską pod prastarym obrazem Matki Boskiej, a wejdziesz na rynek trybunalski i prosto przezeń w ulicę Grodzką z widokiem na przeciwległą bramę miejską — (obacz ryć 1). To brama grodzka *v u l g o* żydowska, która przed r. 1862 stanowiła granicę ghetta. Przejdź przez tę bramę, oglądnij ją od strony żydowskiej (obacz ryć 2) i nie troszcząc się, ni o krzyk, ni o ścisk i brud ghetta, puść się w lewo dookoła zamku, w ulicę Szeroką. To główna arterja dawnego kwartału żydowskiego. Po prawej ręce masz prastare domy pnące się tyłami pod górę zamkową, po lewej zaś wśród domów mieszkalnych znajdziesz kilka bóżnic, jakoto: pod n-rem 2 — bóżnica Hirsza Doktorowicza (XVII w.), pod n-rem 28—bóżniczka cadyka Horowitza, pod n-rem 40 — bóżniczka Ajgerów, a pod n-rem 44 — bóżnica Abrahama ben

Chaim, wyż wspomnianego prezesa sejmu żydowskiego. Naprzeciw tej uliczki wchodzisz w ulicę Jateczną, gdzie się mieści dawny ośrodek żydowskiego Lublina. Tutaj stoi prastara bóżnica Maharszala (Salomona Lurji obacz ryć 3), a w niej potężne sklepienie, oparte na 12 filarach (cztery grupy po trzy), flankujących piękny almemor. A wraz z tą świątynią i pod jednym dachem z nią, bóżnica t. zw. Maharam (Majera z Lublina) z początku XVII wieku (obacz ryć 4), w której prawdodopobnie odbywały się posiedzenia sejmów żydowskich. Sala modlitewna podłużna, bazylikowa, sufit płaski, oddział dla kobiet na tym samym poziomie, co sala dla mężczyzn, tylko oddzielona od niej pięknemi filarami.

Naprzeciwko tych bóżnic stare Beit Hamidrasz, a dalej po przez rzeczkę droga na cmentarz. Mijasz furtkę i wchodzisz jakby do pięknego, lecz zaniedbanego ogrodu. Ścieżka wije się pod górę wśród krzewów, a z pośród zieleni wyglądają prastare pomniki wielkich i małych w Izraelu (obacz ryć 5 i 6).

Straszny tu nieład i straszne spustoszenie. Czego nie zniszczył czas, to zniszczyli ludzie i nie masz nad tymże cmentarzem żadnej opieki. Z roku na rok więcej upada tych nagrobków i przyjdzie czas, że zapadną się wszystkie i anioł zapomnienia spocznie na wzgórzu wiecznego odpoczywania. A szkoda wielka, bo pomijając już pietyzm dla przodków, ginie na tym cmentarzu mnóstwo zabytków sztuki, rzeźb i ciekawych napisów o pierwszorzędnej wartości dla historji. Na jednym z nagrobków wyrzeźbiona Artemis z łukiem, to grób tylekroć wspomnianego Abrahama ben Chaim (um. 1762), którego ojciec ufundował w r. 1706 srebrną łyżkę do oblewania umarłych, zanim się ich odda matce ziemi na wieczny odpoczynek. Łyżka ta (obacz ryć 7 i 8) średnicy około 20 cm. ma na stronie wewnętrznej wytłoczonego trupa, otoczonego czterema czaszkami, również i na rękojeści jest wytłoczona (wysztancowana) czaszka. Na stronie zewnętrznej imię fundatora, rok fundowania (1706) oraz odpowiednie wersety z Biblji: (Ezechjel XXXVI 25) „I wyleję na was wody czyste i oczyścicie się ze wszystkich nieczystości", oraz z Jezajasza XXXII 20.

Łyżka jest jedyną w swoim rodzaju i nie udało mi się dotąd znaleźć podobnej w żadnem muzeum żydowskiem. Znajduje się ona w skarbcu żyd. gminy, w której niegdyś rządził fundator tej łyżki, reb Chaim (um. 1707) i inni wielcy mężowie w Izraelu.

Zygmunt Bromberg-Bytkowski.

Przedmowa do „Pieśni nad Pieśniami".*)

Oto się ku mnie w dumania godzinie
Echem ponosi gędźba przedwiekowa,
Skroś miejsc i czasów ku mnie złota płynie,
A jej serdeczna i słodka wymowa
W tęsknotę moją tęczy przędzy winie
I malowidła pełne krasy snowa.
Wstają orszaki weselnego święta,
Czarni młodzieńce i smagłe dziewczęta.

Pieśni! Gdyś ongi z żywych ust się rwała,
Było w twych spadkach rozhukane życie
I pęd młodości i radość wspaniała,
Poszept miłości, wołającej skrycie,
Kochanka pokrzyk i kochanki chwała
I serca głośne przyśpieszone bicie.
Z kwietnym zapachem wionęłaś w zawody
Przez gwarne miasta i ciche ogrody.

Grała ci wtórem piszczałka zgiełkliwa,
Warczący bęben i harfa dźwięcząca,
Szła ulicami zgraja hałaśliwa
W słońca pożarze i świetle miesiąca,
W zawrotnym tanie coraz się porywa,
To się rozwinie, to się w kłęby zmąca.
Dziewki i chłopcy, starce i matrony
Unosi społem jeden wir szalony.

---

*) Zygm. Bromberg-Bytkowski: Pieśni nad pieśniami. Ilustr. Artur Szyk wstępem zaopatrzył dr. Wilhelm Fallek. Łódź 1924.

Owdzie się kręgiem zatłoczy gromada,
Albo w kolistym zasiądzie obłęku,
Już grzmot, poklasku wznosi się i spada,
Na umiar bijąc do lutni pobrzęku,
W płomienia blasku wieje szata blada,
Połyska złoto na czole i ręku.
W nieścisłym pląsie lotna tanecznica
Raduje serca i oczy zachwyca.

Rankiem, gdy słońce miejskie draśnie mury,
Ciągną przez bramy dziewic korowody,
To się Syjonu czarnobrewe córy
Na swe panieńskie wymykają gody
I śpiew radosny zgodzonemi chóry
Podnoszą w chłodzie tryskającej wody.
Brzęczy piosenek rozgwar od Jordanu
Przez judzkie góry pod stopy Libanu.

O jasna pieśni, zagasł blask twej chwały,
W sen się pokładły bujne pokolenia,
Radosne krzyki przebrzmiały, przebrzmiały,
Zamilkły głosy wieszczego natchnienia,
Lutnistów śpiewy i proroków szały,
A lud na nędzę poszedł rozproszenia.
Gdzie wzdętą falą rojne wrzały miasta,
Śród gruzów oset i zielsko wyrasta.

I kraj zamarły czeka na swe syny,
A oni tęsknią do niego i płaczą.
Czasu każdego i każdej godziny,
Którą ponoszą w wędrówkę tułaczą,
Do niego rwą się do śpiącej krainy,
Ku niej ślą oko i duszę z rozpaczą.

I nieustannie pytają boleśni,
Kiedy powrócisz do niej, szczęsna pieśni..!

— — — — — — — — — — —

Dalekiem echem w dumania godzinie
Ku mnie się niesie gędźba przedwiekowa,
Skroś miejsc i czasów do mnie złota płynie,
A jej pieszczona i słodka wymowa
W tęsknotę moją tęczy przędzę winie
I malowidła pełne blasku snowa.
I roztkliwienie ogarnia me serce,
Kładą się wichry w mej duszy rozterce...

I. L. PEREC.

BAŁAGUŁA.

Gawęda

1.

— Cemuż stoimy woźnico?
„ — Pełno wybojów na drodze,
Błoto aż sięga po kostki,
Koń, panie, zmęczył się srodze.

„Ledwo powłóczy nogami,
Stary już, niema w nim siły...
Dawniej inaczej bywało,
Hej! jak się czasy zmieniły...

„Konik z latami zmizerniał,
Źle mu się dzieje na świecie,
Chociaż... cóż mówić, mój panie,
Człek też już inny jest przecie" —

2.

Z trudem się wlecze szkapina,
Łeb opuściła i drzemie...
Z chmury wiszącej nad nami
Drobny deszcz pada na ziemię.

Dreszczem przejmuje nas wilgoć,
Czasem obryzga nas błoto,
Pola wokoło jaśnieją
Rudą, markotną pozłotą.

Czasem woźnica na koźle
Szkapę poklepie swą czule
A potem mówi ze smutkiem:
„— Źle jest, o, źle jest wogóle!"

Głos jego brzmi, jakby echo,
Jakby nawpół nieprzytomnie.
Nie wiem właściwie do kogo
Mówi: do siebie, czy do mnie.

3.

„Gdzież się podziały te stare...
Dobre, przyjemne te czasy,
Gdy nawet konie ze lwami
Mogły iść śmiało w zapasy.

„Dzisiaj... Cóż dzisiaj? Grzech mówić:
Fach swój szanuję i cenię,
Jest to od Boga zarobek,
Nie żadne znów przeznaczenie...

„Mógłbym być nawet rabinem...
...Lecz taki los już człowieczy,
Aby coś na chleb zarobić
Boskiej zawierza się pieczy...

„Dziwna to rozkosz mój panie,
Pędzić na bryce przez błonie.
Batem jak świśniesz od ucha,
Hej, jak puściły się konie!

„Bicz jeno mam dla powagi,
Tak dla furmańskiej swawoli...
Ale nim szkapy nie smagnę,
Dla niej mam owsa dowoli.

4.

„Już to co było nie wróci...
Człek próżno martwi się, biedzi...
Dawniej mieszkałem dostatnio,
Tak jak i wszyscy sąsiedzi...

„Koń syty był i woźnica,
Dni nam mijały wesoło.
Byliśmy zawsze gotowi
W drogę po każdej „hawdoło'ı".

„Bryka turkoce po szosie,
Śmieje się do mnie świt szary.
Kupcy mi dali na przewóz
Różne tkaniny towary.

„Wiele to warte pieniędzy,
Lecz nie przejmuję się wcale:
Ja sobie śpiewam piosenki,
Konie się wloką ospale.

„Pocóż zamęczać zwierzęta,
Kiedy nie spieszno nikomu!
Zato zaś w piątek, mój panie,
Mkniemy jak strzała, do domu...

„Prawda, dla głupiej zabawy
Może dotknąłem je nieraz
Biciem leciutko po sierści,
Zaco mnie karze Bóg teraz...

„Słusznie, więc przetrwać potrzeba...
(Pan śmiać się będzie z mych zwierzeń)
Woła o pomstę do nieba
Kilka zbytecznych uderzeń.

„Tak, panie... Ludzie niekiedy
Mają miast krwi — jeno wodę
I za trud ciężki, pot krwawy, —
Pięść twardą dają w nagrodę.

„Bat w chude boki się wżera
Znojem i pracą sterane...
O, gdzież me konie, te dawne,
Gdzież moje konie kochane?!

„Tak bym je pieścił,... całował
I pielęgnował z ochotą...—
Urwał... Ukradkiem łza czysta
Z rzęsy stoczyła się w błoto,

5

„Dobrze mi było i konie
Zdrowe, czy w mrozy, czy w słotę
W piątki, w samiutkie południe
Świętą witałem sobotę.

„Gdy tylko resztę tobołków
Ludzie rozbiorą, ja raźnie
Konie odprzęgnę, nakarmię
I już paruję się w łaźni.

„Na górnej ławce, „na niebie"!
Rozkosz to nie byle jaka.
A w domu Frajdla się krząta,
Warzy w rondelku szczupaka.

„Boże mój! Wtedy w sobotę,
Jestem bogaty, jak Korach.
W dniu tym do stołu mojego
Zawsze przysiądzie się orach.

6

„Myśmy bóżniczkę maleńką
Mieli, lecz własną, furmańską!
Klatka — lecz była prześliczna
I urządzona wprost pańsko.

„Wszystko tam było urocze:
Stoły i ławki dębowe.
Każdy z nas dla niej z podróży
Zwoził prezenty wciąż nowe.

„Jadę z żelazem — mam zamek
Do drzwi, bo tamten zbyt cieńki.
Z miedzi czerwonej zaś będzie
Kran do bóżnicznej wanienki.

„Pęknie w okienku od Wschodu
Szyba — wnet złemu zaradzi
Furman, bo nasze miasteczko
Zdawna szkłem handel prowadzi.

„Czasem też składkę robimy...
Zbiera się z trudem grosz mały,
Lecz za te skromne groszaki
Można upiększyć rodały!

Dźwięczą maleńkie dzwoneczki,
„Chazen" się modli żarliwie...
Śmieje się, płacze naprzemian
W duszy radosnym porywie.

7

„Raj to był, raj!... Co tu pytać?
„Kugiel" na obiad, gar kaszy...
Potem się prześpię maleńko...
Potem pięcioksiąg i „Raszi"...

„Mieliśmy przecież rabina,
Żmudnych lat pracy — korona...
Człowiek to był świątobliwy...
‚Szkoda... o szkoda, że skonał.

„W jego chederze — z miasteczka
Wszystkie uczyły się dzieci.
Właśnie do niego oddałem
Nutkę, gdy skończył rok trzeci.

„Głowę miał nie od parady
Nutka mój: kiedy rok czwarty
Skończył, to „chumesz" już czytał.
...Chumesz!... to, panie, nie żarty!

„Mojej starości nadzieje
Wszystkie spoczęły na synie...
Rabin powiedział, że Nutka
Wielką mądrością zasłynie...

8

„Wrodził się w matkę mój chłopak:
Takie miał żywe oczęta,
Drobną twarzyczkę, usteczka,
Białe, jak lilje, rączęta.

„Zawsze spokojny, stateczny...
Dziewcząt swatano mu wiele...
Anim się spostrzegł, jak trzeba
Było szykować wesele...

„Szczęście tak przyszło znienacka...
Byli wszak młodzi oboje...
Ja znów o jej urodzenie,
Ani o posag nie stoję.

„Z domu niech będzie szewcówną,
Jam się jej o to nie pytał.
Dobroć, usłużność w kobiecie —
To właśnie rdzeń i kapitał.

„Bardzo cieszyła się Frajdla,
Że wreszcie jest zapewniony
Los jedynaka... O, nigdzie
Lepszej nie znalazłby żony...

„I starodawnym zwyczajem,
(Całe miasteczko w to wierzy)
By młodym szczęście służyło, —
Kilka potłukła talerzy.

9

,Nie wiem, jak mogłem przetrzymać
Naraz radości aż tyle!...
Gdyśmy do ślubu jechali
Konie wyczuły tę chwilę.

„Łbami wstrząsnęły, zarżały,
Dumnie rozwiały swe grzywy,
— Wiśta wio! wiśta maleńkie!...
Ach, jakże byłem szczęśliwy!

„Czułem, że wtedy z ochotą
Życiebym oddał na męki,
Byleby tylko synowi
Ująć najbłahszej udręki.

Jakżem się śmiał, jakżem śpiewał
Skoczyłbym chyba do nieba!
Jeden dzień taki, nie więcej,
Nic już do szczęścia nie trzeba...

„Frajdla szalała radością,
Tańcząc z ciastkami na tacy.
Nam się obojgu roiły
Marzeń niebiańskie pałace.

10

„Dziwne... Człek zawsze zmian pragnie.
Szczęścia pożąda wciąż więcej.
Wciąż wyczekuje z tęsknotą
Światła następnych miesięcy.

„Syna masz — chciałbyś mieć wnuka.
Wnuczek Mesjaszem z pewnością
Będzie... I smoczki, pieluszki
Z wielką szykujesz godnością.

Wreszcie dzień „wielki" się zbliża...
Siedzisz na koźle i marzysz
Kto z gości będzie „sandykiem",
Kogo tą łaską obdarzysz.

„Śliczną kupiłeś kołyskę...
Cóż, kiedy szczęście me skradły
Żmije — pociągi obrzydłe!...
Żeby się w ziemię zapadły!

11

„Pociąg po relsach w dal pędzi,
Strach sieje czarnym swym cielskiem.
Nasze gościńce i trakty
Chwastem porosły i zielskiem.

„Dudnią, łomocą wagony,
Kłębi się dym, ogień zionie,
Bucha w twarz... Jeden za drugim,
Posprzedawało się konie.

„Bieda stugłowa nas zwolna
W sieć omotała pajęczą.
Nędza, choroby wciąż mocniej,
Wciąż bezlitośniej nas dręczą

„Żyć nam nie dano w spokoju,
Chleb nam wydarto z gardzieli.
Wszystko przepadło pomału
Co najdroższegośmy mieli.

„Bryczka już ledwo się trzyma...
Pora nadeszła niesławna...
Z domu zostały ruiny...
Frajdla... nieboszczką oddawna...

12

„Nie ze starości umarła,
Lecz z wycieńczenia i nędzy.
Ja, dawniej człowiek zamożny,
Nie mam na pomnik pieniędzy.

„Dobrze pamiętam... Gdy chwila
Śmierci nadeszła złowroga,
Rzekła z otuchą: „Ja dla was
Łaskę wymodlę u Boga.

Śród archaniołów gromady
Dusza ma we dnie i w nocy
Dla was przed Tronem najwyższym
Będzie wzywała pomocy."

„Poszła jej dusza przed Pana...
Na te podwoje... na rajskie...

— — — — — — — — — — — — — —

Mądra to była kobieta...
Znała litery hebrajskie.

„Radą służyła w potrzebie,
Wielce bo była kształcona.
I przewodziła w modlitwie
Wśród kobiet modlących się grona!

„Ale na niebie?... tam trudniej
Jest rolę grać obrończyni.
Tyle tam spraw roztrząsają...
Żydów, jak piasku w pustyni...

„Lepiej, o, lepiej dla Frajdli,
Że nas odeszła tak wcześnie.
To, co się potem zdarzyło
Jątrzy mnie bardziej boleśnie".

13

Westchnął na koźle woźnica,
Głos jego słabnie i rwie się...
Wiatr przez zarośla przydrożne
Nocne pogwary w świat niesie.

Koń szybciej rusza z pagórka...
Księżyc wygląda z za chmury,
Bladym i smutnym swym blaskiem
Drzew obnażając kontury.

Naraz po dłuższem milczeniu
Znów mnie doleciał szept starczy:
„Kogo Bóg zechce ukarać, —
Nieszczęść łańcuchem obarczy.

„Kręcą się kołem nieszczęścia
W łańcuch olbrzymi złączone...
Oto i syn mnie porzucił...
Poszedł... Bóg wie w jaką stronę...

„Poszedł mój syn, mój jedynak,
Bez pożegnania... zdradziecko...
Ojca porzucił starego,
Żonę zostawił i dziecko...

„Zacna kobieta, nie płacze,
Ni dni rozłąki nie liczy...
Siedzi zgnębiona... Lecz przecie
Słyszę, jak dusza w niej krzyczy!...

„Gdy, nucąc, dziecko kołysze —
Baju, baj, baju, mój mały —
Jakby mi z ciała żywego
Mięsa wydarto kawały.

Dok. nastąpi

Tłum. *J. Krupicki.*

Z. SZNEJUR.

WILNO.

POEMAT.

I.

Wilno, babuniu Ty wielka, Ty miasto stołeczne żydowskie,
Jerozolimo Golusu, pociecho wschodniego Narodu!
Twoja korona łatana,—dach nito starej bóżnicy, —
W oczach Twych wnuków wznioślejsza niżli złocone kopuły;
Twoim fartuchem wytartym, utkanym w lwy i korony,
Co jak parocheth wygląda, nieraz im łzy ocierałaś.
Słynne Twe miodowniczki na Purim, potrawy na Pesach
Biedę im osładzały, cieszyła ich pieśn Twych pisarzy;
Nawet Twoi wodziarze z krynicy Tory czerpali.
Ściany nasiąkłe tradycją i wonią sobotnich przysmaków,
Pieśń „Gospodarza Małego" [1]) snuje Wilija po brzegach,
Lipy szemrząc wtórują strofy pieśniarza Michała.
Twarz Gaona Eliasza [2]), Montfiora [3]) szlachetne oblicze
Ciebie witają serdecznie, gdy próg przestąpisz żydowski.

1) Młody kantor synagogi wileńskiej, którego zwano „gospodarzykiem" [Balbejsel]
2] Eliasz z Wilna [1720—1799], najsłynniejszy talmudysta wileński.
3] Mojżesz Montefiore, znany filantrop żydowski.

Pomnę Twą łaskę dzieciństwa, miłość cór Twych
żydowskich,
Marząc, gdy szedłem z niemi w cieniu zasianych
Twych wzgórzy.
Wystrzał armatni, co pada z Twych gór w godzinie
południa,
Niby potężny huk grzmotu, co woła: Ludzie,
wytrwajcie,
Dzień jeszcze długi i długa też walka, nim wieczór
zapadnie...!
Dąb pochylony, wspaniały, na „Prozelity" co grobie [1]),
Kształt ma smutnego olbrzyma, co spuszcza w dół
swe ramiona,
Wyda westchnienie za chwilę i w ból się owinie
głęboki.
Biblioteka Straszuna [2])—to mózg potężny, co zebrał
Myśli Narodu w golusie, co sam swe twory
rozprasza;
Jak w Ezechiela dolinie kości na nowo ożyły.
Zgasły już dawno te głowy, co je zrodziły, on dalej
snuje
Myśli ich, myśli Wiecznego Narodu w Bożym języku.

Pomnę Twych naczelników, brodatych, o czołach
wyniosłych,
Blady majestat haskali zdobi ich twarze spokojne.
Potrząsają głowami, gdy młodzież żydowska
pochopna
Głosi potęgę i wielkość i przyszłość ruskiego
wieśniaka.
Twoi żebracy ciągną każdego nowego przybysza,
Niby krewnego bogacza, co zdala przybywa w tej
myśli,
By zabrać od nich spuściznę. Więc krzyczą, żądając
wyroku:

1) Hr. Walentyn Potocki, który przyjął judaizm i zginął za wiarę żyd
2) Wielka biblioteka judaistyczna fund. Matitjahu Straszuna.

Niech nas rozsądzi ktokolwiek, świadkami są niebo
i ziemia...!
Jabłka słodkie, nadpsute, sprzedają z nastaniem
jesieni
Pośród krzyków i wołań zwycięzkich, by wino
hiszpańskie.
Groch i bób gotowany, co błyszczy z koszyków
wśród ulic,
Zda się, że wieczny „ben zachar" [1]) obchodzi
miasto to wierne;
Kto chce ten grosz swój tu składa i bierze udział
w tej uczcie.
Wspomnę i statek parowy, co dyszy ciężko i sapie,
Prując wodę Wiliji i raz wraz osiada na piasku.
Śpieszą się po nim Żydowie, co tęsknią do żon
swych w letniskach,
Gdyż sobota nadchodzi, skwar pali a czasu jest
mało...
Aż sternik głowę wychyli i gniewnie z góry zawoła:
Siądźcież, kochani, spokojnie, bo statek się na bok
przechyli.

II.

Lubię widoki ze szczytu wzniosłego Twej góry
zamkowej.
Wieże, ulice się wznoszą pośród złotawej kurzawy,
Pewnie to pył Twoich legend unosi się dotąd
w powietrzu...
Może to proch Potockiego, co w mękach spalony
na stosie?
Może to huf Chmielnickiego, co przyszedł ku Twojej
zagładzie?
Napoleona to konie, gdy w strachu przed mrozem
uciekał?..
I chrześcijańskie procesje suną powoli o zmierzchu

1) Uroczystość rodzinna, podczas której się jada gotowany groch

Wzdłuż skrętów rzeki, jak szczątki, co z średnich
wieków zostały.
Pośród kadzideł i pieśni białe się chwieją chorągwie,
Pieśni pobożne ich toną w oddali, lecz lękiem
przejmują
Żyda, gdy słyszy te śpiewy, bo krew się w nim ścina
od wieków
Z trwogi przed tłumem pobożnych, niosących krzyże
w swem ręku.

Na nagim góry wierzchołku ruin znajdują się
szczątki,
Stary to zamek Peruna, co we śnie go widział
Gedymin.
Tam to palono książęta wśród dzikich pląsów
i modłów,
Echem ich jęki żałosne ofiar dręczonych na dole.
Ale warstwa na warstwie się kładły zamierzchłe
epoki,
A na warstwie najwyższej, u podstaw ścian,
co zostały.
Bawią się chłopcy w krokieta. Rumiane mają
policzki,
Śmiech ich rozbrzmiewa dzwoniący... a zaś dla
oka poety
Winna to niby latarośl, co żyje szczątkami świętości,
Albo jak łanie młodziutkie, co bodzą, igrając
bez strachu
Ponad otworem wulkanu, wygasłej góry ognistej.

Troki, lubiłem miasteczko cudowne, za Twemi
górami,
Jezior siedem dokoła, ich piękna objąć nie zdołasz;
Tam karaici mieszkają — zgnębieni bracia przyrodni,
Żydzi a przecież nie Żydzi. Oczy szeroko rozwarte
Patrzą, lecz nas nie poznają...

Córy ich wdzięk mają Ruty, czerniawej Moabki,
lecz serce
Nie dla Boaza potomków. Modły hebrajskie na ustach,
Oczy zaś czarne zwracają w stronę junackich
tubylców.
Czasem zaś pójdziesz posłuchać ich modłów
w czyściutkiej świątyni.
Pieśń ich przeciągła, płaczliwa smutkiem
do głębi przejmuje,
Krew ci wysysa melodja niezmienna i djalekt
jemeński;
Glos to cząstki narodu, od ciała odciętej, co jęczy
Z bólu, bo żyć ani umrzeć nie może. A jak
ją ocalić?
Lecz oto ci myśl błyskawicznie przyjdzie i doda otuchy:
Jeśli cząsteczka tak tęskni — jak bujnem jest
życie całości!
Jeśli gałązka tak kwitnie — niepłonną nadzieja
macierzy!

III.

Nieraz w poranną godzinę, w szary poranek litewski,
Błądzę po krętych uliczkach, by widzieć chłopaczków
żydowskich,
Do chajderu śpieszących o żywych, lecz smutnych
oczętach.
Z nędzy, cieniutka skóreczka przegląda i żyły
niebieskie—
Dzieci królewskie Judei, więzione wśród
jasnowłosych,
Blade i wątłe i chore, jak latorośle daktyla
Z dawnej wyrwane ojczyzny, w błota poleskie
wszczepione.
Do szkoły idą wylękłe, tam szuka ich dusza
bezwiednie

Słońca Galilu promyków, w czarnych ukrytych
literach,
Snopów słyszą rozmowy, gdy ręka ich kartki obraca,
W starych zaś czują legendach gór i morza powiewy.

Żal mi też starców żydowskich, których na drodze
spotykam.
Głowy swe siwe, pokornie odkryją, wbrew swojej woli,
Ostrą Bramą przechodząc, co świętem jest miejscem
dla innych.
Głowy spuszczone i gorzka pokora w ich sercach
zbiedzonych,
Jakby szli pod pręgierzem... Dzień za dniem tak
przechodzą.

— — — — — — — — — — — —

Lecz za tą Bramą wciąż huczy W d o w y zakład
drukarski [1]).
Dniem ani nocą nie stanie, nibyto zemsta żydowska,
Wre i kipi bez przerwy i w sobie potęgę gromadzi.
Siła walczy ze siłą... Ta dzwoni jękiem żałosnym,
Druga zaś z hukiem pracuje; w pokoju wojna się
toczy.
B r a m ą tak dniem jak i nocą umarłych się wiezie
bez końca.
Z a k ł a d tak dniem jak i nocą książki wydaje bez
końca.
Wszystkie dzieła żydowskie, co z twórcą szły
na wygnanie.
Strugi liter syryjskich, drogich i sercu tak bliskich,
Płyną i krążą, by wszystkie części golusu użyźnić,
Niemna i Dniepru falami i dojdą do Morza
Czarnego,
Dotrą do lodów Syberji, by ogrzać serca zastygłe.
Tłumem czarnych wysłańców śpieszą za kraju
granice,

1) Słynna na cały świat drukarnia wdowy i braci Rom.

Idą zwartym szeregiem, rozchodzą się; dokąd zaś
przyjdą
Torę przynoszą i wiedzę; jak niewidzialne ogniwa
Żyda zbliżają do Żyda, jedną świątynię do drugiej,
Miasto zapadłe do miasta — aż wszystkie się staną
Jedną gminą potężną, co jedno ma serce, a cała
Z ducha czerpie Babuni i jej dalekiej piękności.

Myśląc tak, młodość przypomnę... Książki coraz
to nowe
Na myśl przychodzą: wielkie, niedobre, lub małe
jak dzieci
W różne odziane koszulki a tytuł bronzowy
na wstępie;
Woń zaś ich świeża, szczególna — woń to
wileńskiej drukarni,
Dziwna bez granic, a ciągle podnieca ochotę czytania.
Książka jeszcze zamknięta, a dusza już pełna
jej woni,
Gdy jednak kartki obracasz woń ta bez śladu
zanika...
Oto jest Wdowa przezacna — jej miejsce
na dole tytułu,
Znana a przecież ukryta dla serca dziecięcia,
co marzy,
Nieśmiertelnością okryta... wdowa Jehudy Hanassi,
Pani, co dzielnie kieruje, a z twarzy jej mądrość
przebija;
Bracia po obu jej stronach kornie się chylą
w szacunku.
Nic to innego, jak tylko, że woń ta przedziwna,
wspaniała
Wieje z nowej jej sukni sobotniej... Szulman i Mapu
Z nią się stykali i od niej czaru nabrali,
Tchinoth to są jej listy i księgi morałów dla babek,
Zaś opowieści Szumera, Mezacha to dar
dla panienek...

Matki i siostry, czytając płaczą i w sercu się smucą;
Krawcy śpiewają Zunzera — poetę i jej stołownika;
Bawią ją żarty Motkiego Chabada... Każdy pośrednik
Jego powtarza dowcipy, wtóruje mu śmiech
sklepikarzy;
Białe między Raszim a Gmarą odstępy — dla młodzi,
Ścieżki to dla błądzących, bielone, ubite i równe,
D z i ę k i N i e j aż do Jabne i Pumpadity prowadzą...[1])

---

*) Poeta wylicza książki, wydane przez drukarnię „Wdowa i bracia Rom", a więc dzieła historyczne Szulmana, hebrajskie powieści Mapu, żydowskie romanse Mełzacha i Szumera, niegdyś tak bardzo poczytne pieśni ludowe Zunsera, dowcipy kpiarze wielkiego Motkego Chabada, znanego pod nazwą: Motke Feller. W ostatnich trzech wierszach ma poeta na myśli wielkie wydanie Talmudu, w którem między tekstem (gemarą) a komentarzami (Raszi) jest dużo wolnego miejsca.

AMELJA HERTZÓWNA.

PROROK.

(Nowela)

(Ciąg dalszy)

Pałacyk kanclerza stał nieco opodal na wzgórku, otoczonym ogrodem. Haremheb zatrzymał się chwilę przed progiem domu i, jak zwykle, spojrzał z przyjemnością na równe, wązkie aleje, wysadzane pięknie wystrzyżonemi drzewami. Dziwne, ale miłe oku krzewy, przywiezione z niemałym kosztem i trudem ze stron dalekich, pochylały się nad małą sadzawką, lśniącą, jak lustro z matowego srebra... Kwiaty pachniały. Kanclerz zwrócił wzrok na swego gościa i obejrzał go uważnie. W tem wykwintnem otoczeniu widok obcego robił przykre wrażenie. Jego grubo ciosana, ogorzała twarz, muskularne ramiona, czarna kudłata czupryna obrażały oczy, przyzwyczajone do ludzi i rzeczy harmonijną tworzących całość. Haremheba zawsze interesowało wszystko, co obce, a niezwykłe, to też ten poseł nawpół dzikiego narodu, mówiący biegle po babilońsku i egipsku, zaciekawiał go niepomiernie. Podziw wzbudzała śmiałość jego planów i odwaga, z jaką się gotował do nierównej walki. Barbarzyńca nie łudził się chyba co do odpowiedzi rady, odmowa była pewna, a odmowa równała się dla niego wyrokowi śmierci, gdyż tylko dojście do skutku przymierza i wojna mogły go uchronić przed zemstą Asyrji. Mimo to nie stracił spokoju i pewności siebie. Widocznie życie nie miało dla niego takiej wartości jak dla dostojników egipskich, różnił się od nich, a kanclerz chętnieby poznał, na czem właściwie ta różnica polegała. Zresztą domyślał się, że poseł ma jakąś ważną tajemnicę, której wobec całej rady zdradzić nie mógł, ale którą zechce może

powierzyć jemu, Haremhebowi, gdy będą sami; a Haremheb lubiał tajemnice polityczne. Lecz mimo wszystko kanclerz w tej chwili mocno był niezadowolony ze swego zbyt pospiesznie udzielonego zaproszenia. Obcy wzbudzał w nim niesmak. Niewątpliwie musiał wspaniale wyglądać podczas bitwy, nie raził na radzie, gdzie jego zapał interesująco odbijał od chłodu i spokoju innych, ale tu na tle tego wypieszczonego ogrodu, widok jego był prawie wstrętny. Tak mało zresztą znaczył w oczach kanclerza, że ten nie starał się nawet ukryć swej odrazy. Elkan śledził z niepokojem wyraz jego twarzy, strachem przejmowały go coraz krótsze odpowiedzi Egipcjanina. Nie wiedział, czem go sobie zraził dlaczego uprzednia uprzejmość kanclerza stała się nagle mrożącym aż do bólu chłodem. Niecierpliwiło go to i gniewało. O, ci Egipcjanie, jakże tu dojść z nimi do ładu, gdy ich zrozumieć niepodobna. Bodaj to Niniwa! Tam wszystko było jasne, tam czytał w myślach, odgadywał zamiary, nie zdradzając w niczem swoich własnych planów, a tu brodził w ciemnościach, zależał od ludzi, którzy nawet nie zadawali sobie trudu udawania lub ukrywania czegokolwiek przed nim, a których pobudek i celów odgadnąć nie mógł. Na bogów! czemże się oni właściwie powodowali?

— Nie wolno się zrażać, trzeba wytrwać! — myślał. Zebrał całą swoją odwagę:

— Chciałbym pomówić z tobą, panie, w sprawie ważnej, bardzo ważnej. Rozumiesz przecież, że wszystkiego na radzie powiedzieć nie mogłem...

A więc była tajemnica! Haremheb pochwalił się w głębi duszy za to, że tak trafnie ocenił położenie, i znowu poczuł sympatję do swego gościa. Nie chciał jednak pokazać mu, że pożera go ciekawość.

— Dlaczego?—zapytał obojętnie.

Elkan spojrzał na niego zdziwiony, pytanie wydało mu się za głupie.

— Chyba sam wiesz najlepiej, panie — odrzekł, a później dodał prędko:

— O ja nikogo nie podejrzewam, ale mimo to... Niech Asyryjczycy wiedzą, że dążę do wojny, że tworzę

przymierze przeciwko nim, mało mię to obchodzi, najwyżej zażądają kiedyś, spodziewam się daremnie, bym im został wydany, ale nie wolno im nawet podejrzywać, na czem buduję swoje plany i kiedy uderzyć zamierzam. Czy zechcesz, panie, mię wysłuchać?

Kanclerz skinął głową, otworzył drzwi i wązkiemi schodami wprowadził gościa na płaski dach swego domu.

Zmrok już zapadał, ale na zachodzie płonęło jeszcze niebo ostatniemi promieniami dogorywającego słońca i na tem purpurowem tle czerniały, jak cienie, domki, piramidy, tablice nadgrobne, wypełniające wielki cmentarz tebański. Kanclerz zapomniał o obecności obcego. Wsparty o balustradę tarasu, roskoszował się widokiem po tysiąc razy oglądanego obrazu. Lubiał wieczór, gdy ludzie i rzeczy tracą ostrość konturów, zlewając się z otaczającym ich półmrokiem, a śmierć wydaje się spokojem, pozbawionym goryczy, snem pożądanym w państwie zachodniem za rzeką. Ze słodkiego zapamiętania zbudziło go głośne chrząknięcie Elkana. Haremheb oprzytomniał, z niechęcią oderwał oczy od czerwonych wód Nilu i zwrócił się do swego towarzysza:

— W taki wieczór — powiedział cichym, rozmarzonym głosem — Bogowie schodzą na ziemię między nas śmiertelnych.

Elkan nie mógł opanować wzburzenia; z całego nastroju odczuł tylko lekceważenie swej osoby i wielkiej sprawy przez Egipcjanina, który zachowywał się, jakby był sam zupełnie. Wściekłość ściągnęła jego brwi i wykrzywiła usta. Kanclerz inaczej sobie jego gniew wytłumaczył. Przypomniał sobie nagle jeszcze jeden wzgląd, dla którego zaprosił do siebie Judejczyka.

— Może — zaczął znowu — nie należało mówić ci o bogach. O ile wiem wprowadzacie teraz wiarę w jedno Bóstwo tam, w Judei.

Elkan zerwał się na równe nogi, słowa te ugodziły

go w samo serce. Jak śmiał ten obcy tak swobodnie, tak żartobliwie niemal mówić o najgłębszej ranie jego duszy. Ścisnął zęby, żeby nie wybuchnąć, wbił paznogcie w poręcz krzesła.

— W jakim celu to robicie — ciągnął Haremheb dalej.—Oczywiście wasi kapłani jerozolimscy pragną tego najgoręcej, dopieroby nabili worki... Wyobrażam sobie, jakby kapłaństwo tutejsze, — wskazał ręką na leżące u ich stóp miasto—szalało z radości, gdybyśmy za waszym przykładem chcieli zamknąć wszystkie świątynie w państwie, z wyjątkiem tebańskich.

— Nasi kapłani o bogactwach nie myślą — odrzekł zimno Elkan.

Haremheb wybuchnął śmiechem:

— Nie sądzisz chyba, że ci uwierzę. Ale chociaż bronisz ich przedemną, nie przypuszczam, żebyś ty i tobie podobni, wprowadzali tak zasadnicze zmiany dla wzbogacenia kilkunastu czy kilkudziesięciu darmozjadów. A więc jeszcze raz, dlaczego staracie się wmówić w lud wiarę w jednego Boga.

Elkan zastanowił się. Wyznanie prawdy w niczem mu właściwie nie szkodziło, przeciwnie mogło raczej poprzeć jego plany, lecz nie... Egipcjanin zbyt był pewny siebie, zbyt przekonany o swej wyższości, przyznać mu słuszność, dać mu zadowolenie z własnej przenikliwości? Nigdy. Odpowiedział więc tylko:

— Wierzymy w jedynego Boga, w którego innym wierzyć każemy.

Kanclerz przymrużył oczy.

— Czyżby?—zapytał drwiąco. Z tonu słów, z wyrazu twarzy gościa poznał, że go okłamywano. Nie miał jednak ochoty do dalszego badania barbarzyńcy, zbyt mało go w gruncie rzeczy to wszystko obchodziło. Postanowił jedynie ukarać go za wykrętną odpowiedź.

— Przyznam ci się, że przedsięwzięcie wasze, jakiekolwiek kryjecie zamiary, wydaje mi się dziecinne i z góry skazane na niepowodzenie. Lud zbyt przywiązany jest do swoich bogów i bożków, i nie tylko lud. —

Elkan syknął z cicha, jakby pod wpływem wielkiego bólu „Nie tylko lud", któż o tem lepiej wiedział niż on.

Kanclerz zaś, nie zwracając na niego uwagi. mówił:

— Jeden z naszych faraonów również próbował wprowadzić jedynobóstwo, ale pałac jego zburzono, posągi rozbito. a co do nauki...—przerwał i wzruszył ramionami.

— Kiedy to było? — zapytał Elkan zaciekawiony.

— Niedawno, mniej więcej sześćset lat temu.

— W tych czasach państwa nasze nie istniały jeszcze.

— Ale mój ród już wówczas od tysięcy lat był potężny i sławny — rzekł nie bez dumy Haremheb, poczem znudzony już rozmową, zapytał wręcz:

— Co to za tajemnica, którąś mi chciał powierzyć?

Elkan westchnął z ulgą, nareszcie będzie można mówić do rzeczy.

— Wielki król postanowił wyruszyć do Urartu i Nairi.

Kanclerz zrozumiał odrazu.

— I wtedy mamy uderzyć na Asyrję.

— Tak. Zostanę powiadomiony o dniu wyjścia wojsk, jeśli będziemy na czas gotowi, możem zastać Asyrję w znacznej części ogołoconą z żołnierzy.

— Wrócą.

— Do kraju spustoszonego, do miast zajętych.

— A jak wojska nasze przejdą pustynię?

Elkan uśmiechnął się lekko.

— Nie jesteś żołnierzem, panie, nie znasz się na wojnie, przejście pustyni znowu nie tak straszne. Zresztą jedyna to już dla nas droga ratunku.

Kanclerz milczał. Objął wzrokiem mroczne grobowce, miękko płynącą pod nim rzekę, piękne, starannie utrzymane aleje swego ogrodu, i myśl o wojnie wydała mu się potworną niedorzecznością.

— Poco nam wojna? — rzekł zwolna, jakby leniąc się wymawiać słowa — Nic nam nie grozi!.. A jeśli będzie groziło, potrafimy obronić nasze granice.

— Zdołacie obronić, wy!... Sam w to nie wierzysz,

panie. Kto z was zdatny do oręża, a ta garstka najemników... Egipt zginie, jeśli bronić się zechce bez naszej pomocy.

— Egipt nie zginie! — odpowiedział uroczyście Haremheb — Inne ludy i państwa są jak piasek pustyni: wiatr powieje w jedną stronę i spiętrzy je wysoko, a groźnie, powieje w drugą, i znikają bez śladu przed oczyma zdumionego wędrowca. Tylko jeden Egipt niezmienny jest i wieczny, chociaż niejednokrotnie groziła mu zagłada. My zostaniemy, a Asyrja przeminie, jak przeminęło państwo Hetyckie.

— Niewiadomo, jakby to było z państwem Hetyckiem — przerwał niecierpliwie Elkan — gdyby nie Ramzes II i bitwa pod Kadesz.

Haremheb tak zajęty był swemi myślami, że nie zdziwiły go nawet wiadomości historyczne barbarzyńcy.

— Bitwa pod Kadesz — odrzekł, — cokolwiek o niej mówią poeci i opowiada lud, nie była znowu tak wielkiem zwycięstwem, może się o tem każdy przekonać, kto zada sobie trud uważnego odczytania tekstu traktatu pokojowego z Hetytami na murach świątyni Amona. Egipt pozostał, a państwo Hetyckie zginęło, bo tylko Egipt posiadał moc wewnętrzną, niezłomnego twórczego ducha. Nie miecz i nie silne ramię rządzą światem, jeno wszechpotężny umysł ludzki, nakazujący posłuszeństwo mieczowi i ramieniu. Kto również dobrze, jak my, umie orać ziemię, hodować bydło, tkać len i wełnę, wyrabiać klejnoty złote i srebrne? A jeśli teraz przyjechałeś do Egiptu, szukając pomocy, to nie o wojsku naszem myślałeś, które lekceważysz, jeno o wyborowym orężu naszych arsenałów. Ale to jeszcze mało. — Wyciągnął rękę i zdjął ze stołu alabastrowy puhar, którego ścianki cierpliwość rzemieślnika wyżłobiła do cienkości liścia papirusu, — Spójrz na to arcydzieło Kto na świecie, prócz Egipcjanina, cud podobny stworzyć umie.?

— Nikt, oczywiście. To też nie wątpię, że za niewolników egipskich osiągane będą najwyższe cenv na rynkach asyryjskich.

Kanclerz drgnął, dotknięty w swojej dumie temi słowami.

— Do tego nie dojdzie. Zapomniałeś o nas, o władcach Egiptu. Kto powinien rządzić światem? My, którzyśmy posiedli mądrość stuleci, czy też nieczyści Azjaci, bardziej do bydląt, niż do ludzi podobni.

Mówił raczej do siebie niż do gościa, starając się słowami zdusić rodzące się w jego sercu zwątpienie, zagłuszyć obawy, ukoić głęboką gorycz myśli, że człowiek, który nosił korony górnego. i dolnego Egiptu, nazywał się Szeszonk, a nie Senwosret albo Merneptha. Elkan zrozumiał go doskonale, ale nie umiał mu odpowiedzieć, ani wykazać mu błędów jego rozumowania. Gniewało go to niepomiernie, postanowił więc przerwać, udając głupca, niemiłą rozmowę, która do niczego d oprowadzić nie mogła.

— Nie doceniasz Azjatów, panie,—rzekł drwiąco— I w Niniwie i w Babilonie są mędrcy, którzy nie gorzej od was umieją czytać w gwiazdach i odgadywać przyszłość z kształtu wątroby baraniej.

Harembeb spojrzał na niego z pogardą. Jakże mógł tak dalece się zapomnieć, by szczerze rozmawiać z barbarzyńcą. Chciał mu wytłumaczyć całą niezmierzoną potęgę ducha egipskiego, który wznosił i budował, gdy inni tylko niszczyli i burzyli, a on... „W gwiazdach czytać umieją i w wątrobie baraniej"—Doprawdy!

Wstał zimny i wyniosły, w każdym calu dostojnik egipski, przyjmujący u siebie chyba przez nieporozumienie posła nawpół dzikiego, a małoznaczącego narodu:

— Chodźmy na wieczerzę, już późno.

Elkan patrzył na niego złemi oczyma.

— Jestem ciekaw — mówił do siebie, idąc za kanclerzem — coby też myślał o swojej wyższości duchowej, gdyby tkwił na palu pod murami Teb.

W sali jadalnej, przy stole, nakrytym na trzy osoby, oczekiwała ich małżonka kanclerza, pani domu, Tewja. Sadząc Elkana do wieczerzy z żoną, Haremheb obrażał dotkliwie i gościa, któremu, jako Azjacie, nie wypadało jadać razem z kobietą, i Tewję, uważającą każdego cudzoziemca za zwierzę nieczyste, ale kanclerz nie zwykł się liczyć z uczuciami swego otoczenia, lubiał nawet wyrządzać obelgi i robić przykrości. Bawiło go śledzenie gwałtownych poruszeń dusz ludzkich szczególnie, gdy, jak teraz, starano się je ukryć pod maską spokoju. Zasępione twarze Elkana i żony, ich z trudem wymuszone uśmiechy sprawiały mu prawdziwą przyjemność, był też czarujący podczas wieczerzy, bawiąc swoich współbiesiadników i zachęcając ich do swobodnego wypowiadania swoich myśli. Elkan ani się spostrzegł, jak począł opowiadać o swej młodości, spędzonej w Niniwie, o najpiękniejszych dniach swego życia. Nigdy nie mówił tak dobrze, składnie i barwnie. Dziwił się sam sobie. Chwilami stawał się porywający, tak że nawet Tewja straciła trochę ze swojej dumy wysoko urodzonej Egipcjanki i przysłuchiwała mu się z przyjemnością.

Nagle drzwi otworzyły się gwałtownie i do pokoju wbiegło młodziutkie dziewczę niesłychanej, olśniewającej wprost piękności, wbiegło i na widok obcego zatrzymało się zmięszane. Elkan spojrzał na nią z zachwytem. Drobna i smukła, o rysach niezmiernie delikatnych, wielkich podłużnych oczach egipskich i ruchach lekkich, pełnych nieporównanego wdzięku wydało mu się czemś nieprawdopodobnem, nieziemskiem. Nie odczułby najmniejszego zdziwienia, gdyby nagle zakwitła kwiatem na podłodze, frunęła jako ptak w górę, rozpłynęła się bez śladu w powietrzu wieczornem.

Haremheb patrzał na córkę wzrokiem, pełnym miłości i dumy.

— Czego chcesz, Nefert? — zapytał.

Nefert!.. Oczywiście... Czyż mogła się inaczej nazywać, niż piękna.

Dziewczynka podniosła zarumienioną twarzyczkę.

— Thutmes przyniósł mój posążek.—rzekła.

— Pokaż.

Nefert zbliżyła się nieufnie i z pewną trwogą patrząc na Elkana, postawiła na stole niewielki posążek drewniany.

Było to prawdziwe arcydzieło. Drewniane stworzenie rąk ludzkich miało piękność i wdzięk żywej dziewczynki. Podana nieco ku przodowi, w cienkiej przezroczystej szacie, odsłaniającej wszystkie linje młodego ciała, ta mała Nefert budziła zachwyt i podziw. Pochwały zamierały na ustach wobec tej doskonałości, zapomniano mówić, myśleć, oddychać na jej widok. Jedna tylko Nefert nie uległa wrażeniu, śmiało wyciągnęła paluszek i rzekła z dumą:

— Zrobił mi perukę.

Z westchnieniem przesunęła przez palce dziecinny pukiel, spływający na jej policzek.

Haremheb wybuchnął śmiechem.

— Tak, Nefert, wyglądasz na posążku, jak dojrzała kobieta, tak dojrzała, że niedługo trzeba ci będzie poszukać męża.

Dziewczynka potrząsnęła głową.

— O nie, mam dopiero lat dziesięć, mogę jeszcze rok, albo nawet dwa lata pozostać z wami.

— Bardzoś na nas łaskawa — zawołał z udanym śmiechem ojciec, przyczem twarz jego zachmurzyła się nie na żarty.

— Teraz albo nigdy! — pomyślał Elkan, który nie spuszczał zeń wzroku. Chrząknął głośno, wszystkie oczy zwróciły się ku niemu.

— Piękną masz córkę, panie, wyjątkowo piękną... Przyznam się, że w długich podróżach swoich tylko raz jeden widziałem dziewczę, równe jej urodą i wdziękiem.

— Podziękuj za pochwałę, Nefert! — rzekł wesoło kanclerz, nawet na twarzy Tewji pojawił się uśmiech zadowolenia. Nefert zresztą ani myślała dziękować. Przechyliła główkę i zagadnęła ciekawie:

— A gdzieś ją widział, panie?

Elkan tylko czekał na pytanie.

— O, pod Arbachą, gdy szukałem wielkiego króla. Wyprowadzano właśnie brańców z miasta. Szła w tłumie, ale zauważyłem ją odrazu. Sądząc z szat, musiała to być córka jakiegoś dostojnika, może samego króla, kochana, podziwiana, pieszczona.

Mówiąc, patrzał na Nefert tak znacząco, że niepodobna było nie zrozumieć do czego zmierzał, ale dla podniesienia wrażenia dodał:

— Niewiele starsza od ciebie.

Kanclerz poruszył się niespokojnie na krześle, a Tewja wstała i, biorąc córkę za rękę, rzekła twardo

— Chodź, dziecko, to opowiadanie doprawdy nieciekawe.

Nefert nie miała najmniejszego zamiaru jej usłuchać.

— Właśnie, że bardzo ciekawe. Powiedz, co się z nią stało.

— Nietylko ja zwróciłem na nią uwagę — umilkł i czekał chwilę.

— Kto jeszcze?

— Sam wielki król.

— I zaprowadzono ją do namiotu królewskiego, i nie zobaczyłeś jej więcej — przerwał niecierpliwie kanclerz.—Możesz odejść, Nefert, opowiadanie skończone.

— Bynajmniej — odparł zimno Elkan — teraz dopiero staje się zajmujące.

— Oczywiście! — zawołała dziewczynka, klaszcząc w ręce i podskakując na jednej nodze, aż zabrzęczały złote wisiorki jej naszyjnika.

Kanclerz wzruszył ramionami i z rezygnacją poddał się swemu losowi; Elkan ciągnął dalej:

— Następnego wieczoru, przejeżdżając przez ruiny Arbachy, spostrzegłem człowieka, kopiącego grób, koło niego leżało martwe ciało dziewczyny, której urodę podziwiałem dnia poprzedniego.

Po promiennej twarzycce Nefert przeszła chmurka żalu.

— Umarła... Dlaczego? — zapytała cichutko.

— O ile ze słów tego gbura wywnioskować mo-

glem... Ale ty i rodzice twoi żyliście zawsze w błogosławionych czasach pokoju, nie rozumiecie, co to znaczy wojna, przegrana wojna, strącająca ludzi z wyżyn życia w nicość. Dziś otoczona miłością i czcią najwyższą, jak ty Nefert, a jutro niewolnica... cóż życie niewolnicy znaczyć mogło w oczach króla asyryjskiego, gdy szło o zadowolenie jego zachcianek, jego zwierzęcych, a raczej gorszych niż zwierzęcych chuci.

Tewja zerwała się na równe nogi, twarz jej płonęła gniewem: — Dość tego! — krzyknęła groźnie, a następnie, zwracając się do męża, dodała drżącym z oburzenia głosem: — Ot co znaczy zapraszać do swego stołu jednego z tych bezwstydnych i sprośnych Azjatów! — Poczem przytuliła do siebie Nefert, jakby ją przed grożącem niebezpieczeństwem uchronić chciała, i przemocą wyprowadziła ją z pokoju.

Mężczyźni pozostali sami. Haremheb wstał pospiesznie i zbliżył się do okna. Oparł rozkrzyżowane ręce o framugę i z pochyloną głową zdawał się śledzić coś w ogrodzie. Elkan przyglądał mu się bacznie, niepewny, czy ma pozostać, czy odejść. Czekał... Zniecierpliwiony wreszcie długiem milczeniem, wstał od stołu, z hałasem wielkim odpychając krzesło. Kanclerz odwrócił się, pokazując mu twarz pobladłą, nagle postarzałą, z głębokiemi bruzdami wkoło ust i na czole. Wyglądał, jakby przed chwilą był zdjęty z tortur.

— Pomówię jutro z wezyrem — rzekł cichym, zduszonym głosem... I przypuszczam, nie, jestem prawie pewien, że wiadomość, którą mi w tajemnicy powierzyłeś, zmieni zasadniczo pogląd rady najwyższej na przymierze przeciwko Asyrji.

Elkan z trudem zachował spokój, spuścił oczy, żeby Haremheb nie wyczytał w nich dzikiego tryumfu.

— Zwyciężyłem cię, dumny Egipcjaninie, — śpiewał w swojem sercu.—Zerwałem pieczęcie z twojej duszy, jesteś woskiem w moim ręku. Zdobędziemy Niniwę i zatkniemy głowy króla i rabszaka na jej murach—dodał dla uspokojenia sumienia, bo w gruncie rzeczy więcej go cieszyła przewaga, uzyskana nad Haremhebem, niż przyszłe zniszczenie Asyrji.

(C. d. nastąpi).

SZALOM ASZ.

WUJ MOZES

7. Życie wuja Mozesa. *)

W ostatnich czasach wuj Mozes dużo myślał o sobie, o swem życiu, o przeszłości i przyszłości. Było to dla niego rzecz niezwykła. I teraz, po wyjściu Masi, wuj się zamyślił. Masia, dziecko, uczyniła na nim silne wrażenie.

Wuj Mozes nie znał beztroski dzieciństwa. Wychowywał się u ojca, który mełł kaszę dla chłopów i swych dzieci. Wszyscy w domu marli głodem. Od dzieciństwa musiał pracować i zarabiać na siebie. Nosił za gospodyniami paczki z jarmarku, biegał do rzeźni z kurami. Tam zaznajomił się z parobkami rzeźnickimi i już ich nie odstępował. Pomagał wiązać bydlęta, czasami ściągał skórę z zabitego jagnięcia. W ten sposób zarabiał, dopóki nie wyrósł na samodzielnego człowieka. Nie miał nikogo i nie był właściwie niczyim. Gdy miał stawać do wojska, w obawie, by go nie wysłano daleko, uciekł z miasteczka, dotarł do granicy i na statku z wołami odbył podróż morzem. Przejazd opłacił pracą. Pomagał karmić w drodze woły. Z obitemi bokami (majtkowie tłukli go niemiłosiernie na statku) i z dwoma rublami w kieszeni przestąpił próg nowej ziemi — a teraz jest Mozesem Melnikiem, manufakturzystą z ulicy Borery, prezesem kongregacji ziomkowstwa kuźmińskiego, zatrudnia u siebie połowę Kuźmina; najbardziej poważani w tem mieście Żydzi są w jego warsztacie pracownikami i wykończarzami, drżą przed nim i pochlebiają mu. Jest właścicielem domów, w których ziomkowie kuźmińscy mieszkają za życia. W szpitalu żydowskim jest parę łóżek jego imienia, gdzie leżą Żydzi kuźmińscy, gdy zachorują, albo się zestarzeją, a napis „Mozes Melnik" błyszczy zło-

*) Obacz „Nowe Życie" zeszyt III. str. 420—426.

temi literami przy wejściu do bramy cmentarnej, gdzie Żydzi kuźmińscy spoczywają po śmierci.

Lecz co mu życie przyniosło? Nieraz zdaje mu się, że jest, tak samo, jak i jego robotnicy, nitką, nawleczoną do igły. Maszyna leci, a igła, chcąc nie chcąc, szyje. Wszyscy w Ameryce nawleczeni są do igły i on także od owego czasu, gdy odnosił pierwsze butelki ze salonu, w którym znalazł robotę pierwszego dnia po przybyciu do Ameryki, do dnia dzisiejszego tkwi w igle, i nie znalazł chwili czasu, by zastanowić się i pomyśleć. Energja popychała go jak oszalałą maszynę i nie dawała mu chwili spokoju. Przez całe noce leżał na posłaniu i opracowywał w myśli plany, budując swą karjerę.

Na rozmaitych leżał w swem życiu posłaniach: na brudnych materacach w mrocznej suterenie, na lepszych łóżkach w jasnych pokojach — na wszystkich tych posłaniach przepędzał noce w myślach i planach o businessiee. W pierwszych latach po przybyciu, zanim się ożenił, roił plany o otworzeniu lunch-room na bocznej ulicy, niedaleko domu bankowego. Lunch-roomten utrzymywał przez lat kilka.

Potem zamienił lunch-room na skład wybrakowanych ubiorów męskich. Zakupywał je w wielkich fabrykach i wysyłał dla sprzedaży na południe. Z tego składu powstał później magazyn krawiecki ubiorów męskich. Głowa wuja Mozesa zawsze była zajęta planami na przyszłość. Narodziły się plany budowy domów i stało się to dla wuja Mozesa poprostu manją. Gdziekolwiek dostrzegł pusty plac, już chciał zbudować na nim dom czynszowy. A zaczął stawiać domy akuratnie wtedy, kiedy było u niego krucho z pieniędzmi, wtedy właśnie, kiedy groził mu kryzys. Gdy otwierała się przed nim przepaść, podejmował swe największe nowe przedsiębiorstwa.

Było to dla niego grą, jakby chciał się zmierzyć z własnemi siłami.

Osobiste potrzeby wuja Mozesa były jaknajmniejsze. Mógł obyć się bez wszystkiego. Było dlań obojętnem w jakim mieszka lokalu i w jakiem śpi łóżku. I teraz

jeszcze często zachciewało mu się spać w suterenie i nie odczuwał żadnej przyjemności z jasnego pokoju, miękkiego łóżka i rzeźbionych mebli, wśród których czuł się nieswojo... Jeszcze teraz w porze podwieczorku chadzał razem ze swymi robotnikami do taniego lunch-roomu, gdzie, śpiesząc się i popychając, połykał stojąco sandwiche, kartofel, filiżankę kawy, a nie lubiał chodzić z businessmanami do restauracji dla kupców. Nie dlatego by był skąpym, ale dlatego, że bardziej był przyzwyczajony do ubogiego trybu życia, w jakim przeżył połowę swych lat. Życie to bardziej przypadało mu do gustu, aniżeli zwyczaje ludzi bogatych. Było w tem coś więcej, niż żądza pieniędzy, co w chłodne poranki zimowe tak wcześnie wyganiało go z łóżka, by być pierwszym w sklepie i uważać, czy robotnicy nie spóźniają się do pracy.

Było to coś więcej, aniżeli pieniądze, co go skłaniało, by w gorących miesiącah letnich pozostawał w mieście. Z powodu wielkiej otyłości cierpiał nieznośnie od upałów, a jednak nie chciał wyjechać na letnie mieszkanie, lecz stał w sklepie, wśród stosów zakurzonego ubrania, dyszał ciężko i chłodził sztywnym kapeluszem spoconą twarz. Obcierał chustką rozgorączkowaną, zarosłą rzadkim włosem głowę, i nie chciał się dać zastąpić nawet przez Sema, do którego miał zaufanie. Było to coś więcej niż pieniądze, było to coś, jakby niewolnicze poddanie się pod jarzmo własnej niestrudzonej energji. Energja pędzi go, jak siła nieczysta, a on ślepo musi słuchać jej rozkazów.

Bo wuj Mozes nie miał dla kogo pracować, ani komu zostawić swych pieniędzy. Wuj Mozes był wdowcem. Miał dzieci, ale nie ze swoją żoną, lecz z żoną obcego człowieka, i nie wiedział, czy dzieci są jego własne, czy też... W każdym razie nie kochał tych dzieci.

A było tak: W owym czasie, kiedy wuj Mozes był jeszcze młody i myślał o zamianie lunch-roomu na skład wybrakowanych męskich ubiorów, ożenił się z córką swego wspólnika. Ożenił się raczej dla korzyści, aniżeli z miłości. Wuj Mozes nie znał w młodych latach miłości. Tak był zajęty businessen, że nie miał czasu dla spraw tego rodzaju...

Młoda kobieta, przybyła z Galicji, miała duszę sentymentalną, była słaba i delikatna i dziwnym trafem pokochała męża. Kochała wuja Mozesa, nie dla jego osobistych zalet, pokochałaby każdego, ktoby się z nią ożenił. Była urodzona do miłości, do ubóstwiania i niewolniczego oddania się komukolwiek...

Spoglądała na męża z czcią bałwochwalczą, korzyła się przed jego szerokim męskim karkiem, bała się jego poważnej zatroskanej twarzy i podziwiała jego energję i działalność. Ale mąż jej nie widział. Uważał ją za przedmiot... często leżała nocą obok niego na łóżku i tęskniła za pieszczotami, za czułością, chciała się do niego przytulić. Pragnęła, by ją pogłaskał, popieścił jak dziecko. Ale on leżał odwrócony do ściany, i albo chrapał głośno, albo rozmyślał o businessie. Głowa jego zawsze pełna była surdutów, spodni, kamizelek, guzików, płótna, towarów — zawsze myślał tylko o tych rzeczach i nie widział nic dokoła siebie.

Nakazy przyrody spełniał w sposób brutalny, bez sentymentów, jak człowiek zjada obiad, obciera usta i odchodzi od stołu... tak on odwracał się do ściany i zasypiał... Lecz żona tęskniła za miłością, pieszczotami i ciepłem... a tego mąż nie odczuwał i nie umiał dawać. Nie rozumiał, czego żąda od niego i dziwił się, że nie ma dzieci. Gdy pewnego razu został zaproszony do przyjaciół na uroczystość srebrnego wesela i widział dzieci jubilatów, podające rodzicom tort z zapalonemi świeczkami, gdy widział ich radość, wrócił do domu zagniewany i mruknął do żony:

— Dzieci... dlaczego nie masz dzieci?... idź do lekarza.

Ale żona nie pragnęła dzieci, tęskniła za miłością, tęsknota ta wyczerpywała jej siły. Z każdym dniem stawała się słabszą i bardziej chorą. Mąż litował się nad nią szczerze, ale nie znajdując przyjemności w domowem pożyciu, wychodził nieraz wieczorami z przyjaciółmi szukać rozrywki gdzieindziej. Czynił sobie wyrzuty, że pozostawia żonę samą, porzucał towarzystwo i wracał do domu,

ale nie umiał zaspokoić pragnień małżonki. Nie wiedział jaka jest przyczyna jej choroby, więc krzyczał na żonę:

— Co ci dolega? czemu nie idziesz do lekarza? czemu chorujesz?

Na parę lat przed śmiercią już przestała być mu żoną... To spowodowało, że zaczął więcej myśleć o kobietach i bardziej im się przypatrywać... Spodobała mu się żona właściciela żydowskiej restauracji, gdzie zwykł był jadać lunch. Była to brunetka o silnie zarysowanych czarnych brwiach. Spodobały mu się włoski, rosnące, jak pejsy na jej policzkach. Widział ją pewnego razu za bufetem w białym kaftaniku i fartuszku, pobrzękującą kluczykami i wydającą rozkazy kelnerom. Przypomniała mu żydowską gospodynię w rodzinnem miasteczku, więc zaczął się do niej zalecać, prosić, by poszła z nim na przechadzkę. Wszystkich zadziwiło postępowanie Mozesa Melnika, ale kobieta nie odrzuciła jego zalotów. Mąż widział, lub nie widział, ale udawał, że o niczem nie wie.

Żyli ze sobą tajemnie i kobieta co rok rodziła dziecko na rachunek kochanka... Nie wiedział, czy dziecko jest jego, czy też męża... Mąż przychodził, wyciągał od wuja Mozesa pieniądze, straszył go skandalami, więc wuj Mozes dawał. Interesa powierzył Semowi, a Sem wywiązywał się dobrze z zadania i wziął na siebie wszystkie kłopoty.

Pożycie jego z inną kobietą podkopało do reszty zdrowie żony. Umarła wkrótce potem, nie pozostawiwszy mu dziecka. Wuj Mozes nie miał spadkobiercy. Dzieci właścicielki restauracji były urzędowo dziećmi jej męża, a on wcale nie był pewny, czy są rzeczywiście jego dziećmi... Przez dziesięć lat był wdowcem. Wszyscy mówili, że jest jeszcze młody, drzwi nie zamykały się przed swatami, lecz wuj Mozes nie myślał o powtórnem ożenieniu się. Nie odczuwał potrzeby. Dalej utrzymywał tajemne stosunki z żoną restauratora. Dopiero, gdy był bliski pięćdziesiątki, jął odczuwać pewne osamotnienie i brak rodziny. Energja do businessu nieco osłabła, już nie miał chęci do budowania nowych domów i zakładania nowych przedsiębiorstw. Za-

dawalniał się temi, które posiadał i tęsknił za własnym cichym domem, za dziećmi, któreby należały wyłącznie do niego, z któremi mógłby we święta chodzić na modlitwę do bóżnicy i pokazać się przed przyjaciółmi... Zaczął myśleć o ożenku i kazał przychodzić swatom.

Nie podobała mu się żadna ze swatanych narzeczonych. Były to wdowy, rozwódki, kobiety mające synów, kobiety z córkami, właścicielki składu ubiorów i właścicielki innych składów. Z nudów sprowadził z miasteczka swego starego ojca. Wyszukał z rodziny ostatniego krewnego i sprowadził do Ameryki. Lecz nie lubił swej rodziny i miał do niej urazę, że wszyscy zdatni są tylko do krawiectwa, do maszyny, lub prasowania. Nie było wśród nich ani jednego wykształconego człowieka, ani jednego niezależnego, któryby sam zrobił karjerę, albo równego mu, z kim mógłby rozmawiać.

Gardził ich niewolniczem poddaniem się jego rozkazom, gardził ich pochlebstwem i pokorą. Pragnął znaleźć wśród nich człowieka niezależnego, któryby przemawiał do niego, jak do równego. Śmiałe wystąpienie Masi, nazwanie go bestją i psem wywarło na wuju Mozesie silne wrażenie. Poraz pierwszy wymyślano mu. I kto? Dziewczynka, dziecko, którego los całkiem zależał od wuja Mozesa. Nie żąda niczego—„nienawidzi mnie"—śmiał się w duchu. Dlatego, że obraziłem jej ojca. I zazdrościł Aronowi Melnikowi — tego, że się córka za nim ujmuje...

Oddałby wszystko Aronowi Melnikowi wzamian za dziecko, któreby się za nim ujęło...

A wuj Mozes uważał się jeszcze za młodego człowieka. Nie czuł starości, którą otyłość i ciężkość jego ciała tak sromotnie zdradzały. Nie często przeglądał się w lustrze, zmiany w jego twarzy i postaci dokonywały się tak powoli, że ich wcale nie zauważył i zdawało mu się, że się zupełnie nie zmienił. Czuł siły wewnętrzne do rozpoczęcia życia na nowo. Każda nowa myśl wywoływała w nim źródła energji, a myśl, która mu w tej chwili przyszła do głowy zelektryzowała go i obudziła w nim fale życia.

...Trzeba ją wychować, wychować dla siebie... by była mojem dzieckiem i ujmowała się również za mną. Poczuł w sobie nowy strumień energji...

Z tym samym impetem, z jakim przywykł spełniać swe plany zabrał się i teraz do wykonania zamiaru.

(Ciąg dalszy nastąpi).

przeł. z żyd. *N. Borowska.*

J. BURLA.

Żona, której nie znosił.

Powieść.

Ciąg dalszy *)

— Czego ty jesteś wzburzony, Daud, dniami i nocami, zawsze wzburzony i milczący? — pyta go czasami matka z wyrzutem i gniewem. — Czy myślisz, że twoja matka już umarła i ty możesz robić, co ci się podoba? Wacha, Daud! Może chcesz, kochanie, wyrzucić z domu matkę, która dała ci drogą żonę, bogactwo i stanowisko? Myślisz, że to twoje bogactwo i szczęście? To moje i żony twej szczęście! Moje i żony twej — tak, synu — a ja jeszcze nie umarłam — jeszcze jestem twoją matką Maseudą Chadad i nie dam ci zostać wyrodnym synem; tak, mój jedyny!

— Dlaczegoż tak myśliś, mamo? Co myślisz, mamo? Co myślisz o mnie? Ja — co do żony, którą mi dałaś — to jest moje nieszczęście... co do tego...

— Tak, widzę... Wiem, że kochasz żonę, jak matkę kochasz — chciałbyś obie w jednym dniu pogrzebać... a ty osiądziesz na dukatach... i weźmiesz żonę, która wyssie twoją krew i twoje pieniądze i doprowadzi cię do kija żebraczego. — Nie! Ja jeszcze żyję. I dopóki nie umrę, ja jestem panią twego domu — rozumiesz, „zdrajco swej matki"?

Tak zrywała się nieraz matka na niego i zasypywała go gradem obelg... „gdzie ja, a gdzie ona?".

Wiadomo mu, że skarży się przed znajomymi na niego, na Dauda kochanego, że jest tknięty jakimś „czarem" albo „urokiem"; szuka także lekarstw na jego „chore serce".

Gdy zaś nieraz w chwili wzburzenia i kłótni rzuci żonie przekleństwo lub obelgę — wówczas zasypuje go

---

*) Obacz „Nowe Życie" № I, str. 94-111, № II, str. 257-266, № III, str. 427-434.

matka najokropniejszemi przekleństwami, jakby wcale nie był jej „kochanym i jedynym Daudem"...

Razu pewnego, w sobotę podczas obiadu, kiedy serce Dauda było już bardzo zbolałe, bardzo wyzywał i łżył żonę. Kiedy zaś matka, jak zwykle w takich razach, chciała go zgromić, wyciągnął Daud ręce, jakby chciał rzucić się do jej nóg i drżącym głosem zaczął wynurzać się przed nią. Podobny był wówczas do człowieka, który szamoce się we więzach, krępujących mu ręce i nogi:

„Mamo, biada mi, mamo! — wołał. Co mi robisz... tego... czego jesteś dla mnie taka nielitościwa... dlaczego opuszczasz swego syna, tego... do niej jesteś taka przywiązana... do niej... co to jest, mamo?... Czy matka daje żonę swemu synowi, czy bierze ją dla siebie — żonę dla siebie? Mamo — nie kocham jej... nie chcę jej... nigdy jej nie chciałem... przecież jestem mężczyzną... nie jestem, tego, kłodą... nie mogę już znieść! Idźcie sobie obydwie odemnie! Tak, idźcie! zostawcie mnie w spokoju — bo zwarjuję! Nie usłucham cię!"

Słowa cisnęły mu się z ust z łatwością i szybko, jak nigdy dotąd — głos jego był coraz silniejszy:

— I co? Czy jestem jeszcze dzieckiem? Jestem mężczyzną! Samodzielnym kupcem! Chcę być wolny! Nie będę cię słuchał — dosyć!

Z wielkim gniewiem uderzył pięścią o stół, zastawiony talerzami i szklankami, mimowolnie kopnął krzesło nogą i przewrócił je. Wtedy matka podniosła ręce na niego, a on podniósł ręce na żonę. Sąsiedzi przelękli się i przyszli, by ich uspokoić.

Od tego czasu dawał Daud posłuch podszeptom swego rozgoryczonego serca i wzburzonej duszy i dążył do tego — „by zrobić raz koniec".

Wieczorem, gdy siedział samotny na dachu, snuł takie myśli: Stan jego jest rozpaczliwy — nie może wymówić spokojnego słowa ani do żony ani do matki — co to będzie? Jak to ma zrobić? Czy ma wogóle pójść do rabina i oświadczyć: Chcę rozwieść się z żoną!? Tak? Ludzie będą się dziwili: Co się stało? Nagle... Daud oszalał—co?

— Hm... nagle... Jeżeli oni nie wiedzą, że „to" nie jest nagle, że to, biada mu, tli w nim, odkąd ją po raz pierwszy zobaczył; teraz wybuchło płomieniem... jeżeli oni tego nie wiedzą?!

— Macie, Ch. Dawid, zdaje mi się, dziecko, czy też dwoje — słyszy w myślach pytania rabina — chłopca czy dziewczynę — jeżeli się nie mylę — czyż nie tak?

— Tak... mam... jedno dwuletnie dziecko... cóż mogę zrobić?...

— Dziwna rzecz... macie dziecko — cóż was do tego skłania? Obowiązki ojcowskie... przecież to nie jest drobnostka — Ch. Dawid...

Tak zapyta się — tak... A on? Zarumieni się od wstydu i bólu — i będzie milczał...

— Nie, nie będzie milczał! Niech się dzieje co chce! Dziecko? — Czy ono także sprzysięgło się z „niemi", aby na niego nałożyć łańcuchy? Swoje dziecko, swego syna, kocha jak siebie samego; on da mu matkę. Weźmie sobie żonę i matkę... Będzie ją podwójnie kochał — żonę i matkę... A wtedy — wtedy zacznie się jego życie... od dwudziestego roku zacznie się... wtedy praca jego będzie miała sens, życie będzie miało cel — wtedy...

— Ale... naprawdę, może to jej szczęście... może trzeba się naprawdę zastanowić... przecież nieraz widział..., może kiedy ona pójdzie... naprawdę... jak to mówią — ona sobie także pójdzie... bogactwo... to znaczy, powodzenie... pójdzie bez śladu... ach? Co można zrobić? Jak? Kto mu ten zawikłany węzeł rozplącze?

Ilekroć w ciągu długich i zawikłanych rozmyślań dochodził do tego ciemnego punktu, urywał tok myśli, jakby z rozpaczy i bezsilności — jak robak, który wspina się po prostopadłej i gładkiej ścianie, a gdy dojdzie do szczytu spada na dół, i tak nieskończoną ilość razy...

VIII.

A kiedy Daudowi schodził czas na bezcelowem czekaniu, kiedy myśli go dręczyły, i nie mógł sobie drogi w życiu znaleźć — chciał na chwilę przynajmniej uciec z że-

laznej klatki i próbował tymczasem rozglądać się za i n n e m i, aby odwrócić uwagę od swego nieszczęścia i czekać na zmiany, których czas dokona w jego życiu.

Daud był wówczas podobny do rybaka, który zarzuca sieć na mętną i wzburzoną wodę — może uda mu się coś złapać! Minął krótki czas, a Daud bezwiednie i stopniowo zmienił się i zauważył, że zamiast usidłać kogoś — sam wpadł w sidła; tajemniczy i gorący pociąg rwał go do życia zmysłowego... Wciąż prześladował swym pożądliwym wzrokiem swe sąsiadki, szczególnie zaś t r z y bliskie sąsiadki, które równocześnie zawładnęły jego sercem... Dziewczyna sefardyjska R e g i n a, córka biednych ludzi, która mieszkała w drugim domu, naprzeciw jego domostwa; ta nie była zbyt piękna, ale sympatyczna, tęga i zdrowa. Drugą — była młoda Ormianka, której mąż, muzykant, został zabity niedawno podczas zabawy; ta była znów trochę kokietką, a okno jej pokoju wychodziło na dach domu Dauda. Trzecia wreszcie — C h a j a S a r a, była „aszkenazyjką" i mieszkała w tym samym domu, co on.

Chaja Sara była wysmukłą blondynką o jasnej, okrągłej, bardzo delikatnej twarzy: mieszanina czerwonej krwi i czysto-białego mleka; oczy miała świecące i jasne, a wzrok skromny i wstydliwy.

Odkąd Chaja Sara i mąż jej zamieszkali w tych dwóch małych pokoikach, zajątrzyła się rana w sercu Dauda... Dwaj lokatorzy, Daud i Lejzor-Jankiel, mąż Chaji Sary, zajmują sami całe piętro; w parterze mieszkają sami starzy ludzie, biedacy, sefardowie.

Lejzor Jankiel ma sklepik na ulicy żydowskiej, do którego schodzi się po trzech stopniach; ale w domu zajmuje się nauką. W sobotę po obiedzie rozbiera swój kaftan, wkłada na głowę jarmułkę i siedzi długi czas nad wielką księgą talmudyczną; czasami milczy długo, zawzięcie wgłębiając się w trudny traktat, innym razem znów czyta melodyjnie - śpiewnym głosem, w którym przebija się zamiłowanie do rzeczy i radość z pracy umysłowej.

Daud za młodu uczył się trochę talmudu w „jesziwie mogrebińskiej", ale teraz daleki jest od nauki; mimoto

talmud nie jest mu obcy, a urywanemi zdaniami z Biblji posługuje się w każdej rozmowie. W sobotę, kiedy jest w dobrym humorze, odmawia jedną lub dwie księgi psalmów, albo śpiewa swym silnym przenikliwym głosem pojedyńcze psalmy.

Przeważnie jednak jest on w sobotę bardzo ponury, a to ze względu na to, że nie może palić cygar, do których jest bardzo przyzwyczajony. Jest także w złym humorze dlatego, że musi cały długi dzień spędzić w domu i że musi wiele razy w ciągu dnia spotykać się z żoną; wreszcie wogóle w sobotę czuje pustkę w sercu od ciągłej tęsknoty i pożądania za tem, czego nie ma w domu, a co brakuje mu od czasu, kiedy się ożenił. Przez długi czas wierzył i jeszcze teraz w to wierzy, że ktoś go „urzekł" w sobotę... Matka jego też tak mówi — w sobotę czuje wielką burzę w sercu i niewypowiedziany ból..

Wzmogły się zaś jeszcze cierpienia Dauda i smutek jego w dni sobotnie — odkąd zamieszkała w jego sąsiedztwie ta nowa para aszkenazyjska. Jaki spokojny i zrównoważony jest ten człowiek, który dobrał sobie żonę... ile szczęścia zażywa... W sobotę, w czasie uczt, kiedy Daud widzi, jak Lejzor-Jankiel siedzi i z apetytem ogryza kości z mięsa, jak on patrzy na swoją ładną żonkę z uśmiechem zadowolenia na twarzy, jak on z nią prowadzi spokojną i pogodną rozmowę — wówczas serce w nim zżyma się od bólu: — „To są ludzie, błogosławieni przez dobrych aniołów!"

Daud spoglądał zawsze na Lejzor-Jankla z lekceważeniem. On — wzbogacający się bankier, człowiek, który wie, jak trzeba przebijać się przez życie i jak można „zrobić majątek"; on — ma teraz stosunki z wielkimi kupcami i poważnymi kapitalistami, także z pośród Arabów i chrześcijan! A ten Lejzor Jankiel jest drobnym sklepikarzem, małym i czarnym „aszkenazi", mówi łamaną arabszczyzną i nie wychodzi poza ściany swego sklepika. A jednak... żona i te maleńkie pokoiki są jego królestwem — i radość panuje w jego domu.

Daud lubiał naśmiewać się ze swego sąsiada: to poprawiał mu błędy, jakie robił, gdy mówił po arabsku; in-

nym razem, mówiąc z nim, przeciągał słowa, starając się naśladować melodję, z jaką czytał w talmudzie; najczęściej zaś stawiał mu pytania, o tem i owem, w tonacji talmudycznej:

„Oto Reb Lejzor-Jankiel — świat na opak... świat na opak... Ty jesteś mały, chudy i czarny, a Chaja-Sara jest wysoka, tęga i biała; ja zaś jestem wysoki i biały, a ona Rachela, jest mała i czarna; może przemienimy się — ah? Hi... hi... to właśnie powiada Pismo Święte: Źle się dzieje pod słońcem..."

Sąsiad zbywa go śmiechem: „Zamiana... cha — cha — cha..."

Dziwne komentarze daje Daud do kilku zdań z Biblji, które ciągle cytuje:

— Gdzież to napisane w Torze, Reb Lejzor-Jankiel, że dobrze jest grzeszyć, że dobrze jest grzeszyć... ah?

— Że dobrze jest grzeszyć — gdzie to napisane? Nu... owszem...

— Oto tu, Reb Lejzor-Jankiel: kradziona woda jest słodka i utajony chleb smakuje — ah? Co chce Pismo przez to powiedzieć? Lejzor-Jankiel?

— Nu... trzeba tam zaglądnąć... całkiem zwyczajnie — odpowiada tamten, jakby od niechcenia, chodząc naokoło stołu.

— Otóż powiem ci: c h l e b oznacza żonę...

— Te te te... cudowne...

— Chleb oznacza żonę — gdyż jest powiedziane: Zdaleka sprowadza swój c h l e b — ah?

— Ho... ho... ho... — potrząsa sąsiad głową, ironicznie się uśmiechając.

Lejzor-Jankiel nie zwracał szczególnej uwagi na swego dziwacznego sąsiada. Odnosił się do niego z pewnym szacunkiem z powodu złotych i srebrnych monet, które w jego szufladzie sklepowej leżały w niezliczonej wprost ilości (jeden raz pożyczył mu nawet Daud pięć złotych — i więcej już nie...), pozatem jednak nie odczuwał żadnej potrzeby zastanawiania się nad tym człowiekiem, choć chwilami zdawało mu się, że na Daudzie ciąży jakaś zmora i że w domu u niego niema spokoju... Ale jest przecież sefardem, podobny jest do Araba...

Ale z biegiem czasu zaczął Daud coraz częściej wzrokiem prześladować sąsiadkę swą Chaję Sarę. a nawet wciągać ją czasami w rozmowę. Nikt nie czuł, że w sercu Dauda od dłuższego już czasu coś się dzieje. Ale nawet sam Daud chciał upolować u sąsiadki tylko kilka miłych chwil — jeżeli mu się uda... Wiedział, że musi się tem zadowolnić...

Tak... położy rękę na niej... pogłaska ją po miękkich włosach, po miłej twarzy... Czy ją jednak kiedy pocałuje Może... Ale nie więcej... Weźmie sobie to, czego mu brakuje...

Tak mówił Daud często do siebie samego, kiedy siedział w podwórzu na poduszce, zatopiony w myślach, albo kiedy leżał w pokoju na kanapie i milczał przez dłuższy czas...

Pewnego zaś dnia, z końcem zimy, w sobotę, w rok czasu, od kiedy mieszkali w sąsiedztwie, nadszedł dla Dauda dzień, którego długo czekał: urządził się tak, aby się znalazł sam na sam w domu z Chają-Sarą — i zupełnie bezpiecznie.

Było to o trzeciej godzinie popołudniu. Chaja-Sara stała w swym pokoju i wyglądała przez okno na dół, na podwórze młyńskie. Daud wszedł i udawał, że chce pomówić z Lejzor-Janklem, jakby nie wiedział, że niema go w domu — i stanął obok niej przy oknie.

Serce zaczęło mu nagle bić, i to bardzo silnie. Kolana uginały się pod nim. Musiał usiąść na krześle. Chaja-Sara odwróciła się do niego i zauważyła, że bardzo zbladł.

Co ci jest, Daud? — zapytała go łamanym językiem spaniolskim, starając się ukryć to, co zrozumiała. — Co ci jest?

— Oto patrz, Chaja-Saro...

— Co ci jest? Powiedz...

— Źle mi jest... ból serca...

Przyniosła mu kieliszek wódki. Wypił trochę i stanął przy niej, oparty o ramę okna.

— Proszę cię, popatrz się... zlituj się nade mną...

— Co?

— Ty wiesz... ty wiesz — kocham cię... Oto dotychczas... dusza rwała mi się w strzępy... dosłownie...

— Co mówisz?

— Tak... dniami i nocami myślę... Nie widzisz? Widzisz...

— Widzę... ale co widzę?...

— Przebaczysz mi... Bóg mi także przebaczy... Jestem nieszczęśliwy... Cierpię...

— Jestem zamężną kobietą... Nawet to, że stoję tu z tobą sama... jest zakazane... pójdę sobie...

Chciała wziąć chustkę i odejść.

— Dla Boga — zawołał drżącym z przestrachu głosem — Nie idź... kto wie... tego, czy wrócą jeszcze kiedy te chwile — nie psuj tego, co... tego... co zbudowałem przez kilka miesięcy... patrz, zmiłuj się...

— Czegoż chcesz?

Przystąpił do niej bliżej o jeden krok, stanął przy kanapie i powiedział:

— Nic... nic... nie myśl źle o mnie... tylko tak... — pógłaskał ją ręką po twarzy kilka razy. Ona powiedziała:

— Już dość... oto... — i usiadła na kanapie.

On usiadł przy niej i odpowiedział:

— Dobrze... moja kochana... orzeźwiłaś mnie... — Pogłaskał ją drugą ręką, przychylił głową do niej i wdychał jej zapach...

— Masz żonę — czego chcesz odemnie?...

— Tak... szkoda mnie... szkoda mego życia i ciebie też szkoda... Nie byłbym ja dobry dla ciebie? Nie jestem może dość ładny dla ciebie?

— Tak... jesteś ładny... ale ja kocham swego męża...

— Nie... nie... ty go nie nienawidzisz... ale nie kochasz go — tak, ja ciebie kocham...

— Ale on kocha mnie tak, jak ty mnie kochasz, i jeszcze więcej...

— Nie. On nie umie cię kochać... On nie wie, co posiada...

— A co będę miała z tego... że ty mnie kochasz?

— Tak, nic nie będzie z tego... tylko ja... tego...

strawę... u ciebie wezmę sobie strawę dla pożywienia swe duszy...

— Biedny... szepnęła i rzuciła na niego wzrok pełen litości.

Wtedy Daud pochylił głowę i złożył na jej twarzy długi pocałunek.

Wymknęła mu się z rąk i zaczęła go naglić, by sobie poszedł.

— Tak... pójdę... przez dłuższy czas będę miał spokój... przez dłuższy czas... Bądź szczęśliwa... serdeczne dzięki ci...

Szybko opuścił jej mieszkanie. Miał wrażenie, że unosi ze sobą skarb, który dostał mu się przez pomyłkę — pełen jest radości a zarazem boi się, może ktoś zauważy pomyłkę...

Ale u Dauda zaszła inna pomyłka, o której nie wiedział... Nie miał spokoju, jak myślał... Nawet na krótki czas Chaja-Sara nie udzieliła mu spokoju duszy... Przeciwnie: od tego czasu serce jego podobne było do małego stawu, którego powierzchnia ciągle się burzy; skosztował kropelkę z tego, za czem tęsknił od lat wielu, całą swą istotą odczuł smak życia, którego dotąd nie zaznał...

Tymczasem wszyscy w domu zauważyli, że Daud zaleca się do Chaji-Sary: jego matka, żona, nawet Lejzor-Jankiel. Między kobietami wybuchały często swary sąsiedzkie — a z końcem roku Lejzor-Jankiel wyprowadził się z tego domu. Daud zaczął znowu spędzać wieczory na dachu swego domu i chwytał ulotne spojrzenia Ormianki, która codziennie całemi godzinami zwracała na siebie jego uwagę. Siedziała zawsze przy okienku z robotą w ręku, a samo nawet okienko to, wraz z ramą i kratą — dzięki ładnej główce, która zawsze w niem widniała — podobne było do istoty żywej, myślącej, wabiącej. Chwilami czuł Daud, że wartoby pójść tam kiedyś, kiedy jej niema w domu, i pocałować choćby tylko kamienną ramę okna, żelazną kratę i tę jasną firankę — to także ulżyłoby mu trochę...

Albo siedział na swem miejscu na dachu, przy stoliku, patrzył całemi godzinami na pannę Reginę i prześladował wzrokiem ruchy jej ciała, kiedy chodziła po dachu i zbierała bieliznę — i wtedy zdawało się Daudowi, jakby zeszedł do niej, ukradł u niej szybko kilka pocałunków — jak ktoś, kto ukradkiem połyka swe jedzenie — i wrócił do siebie...

Ale Daud ani razu tego nie zrobił... bo brakło mu odwagi..... Pamiętał, co mu się raz zdarzyło, kiedy się zbliżył do Chaji-Sary — siły go nagle opuściły... Wprawdzie budował sobie liczne mosty do dachów swych sąsiadek, z początku przez grzeczny ukłon na oddalenie, z przyjaźni i ze względu na stosunek sąsiedzki — z czasem zaś doszło do tego, że podawał sąsiadkom poprzez wcale wysokie ogrodzenie szklankę piwa lub koniaku i talerz ze smacznemi zakąskami — ale nic więcej...

Tak wędrował Daud wieczorami po dachach, wspinał się z braku lepszego zajęcia z jednego domu na drugi, poprzez ściany, odgraniczające jeden budynek od drugiego, a pod nogami jego widniała przepaść, głęboka na kilka metrów. Dziwił się sam tej odwadze, że nie boi się wcale niebezpieczeństwa, on, który z natury był tchórzem... Chwilami oglądał siebie samego i widział, jak jego nowy kaftan jest zakurzony i obielony od wapna, jak ręce jego są brudne i szorstkie — wstydził się wówczas, że wygląda, jak swawolny chłopiec i naigrawał się ze siebie samego: „Hi... hi... Daud, powędrowałeś między te dachy... Bóg strzerze cię, ale jeżeli djabeł zechce, możesz się razu pewnego znaleść pogruchotany z roztrzaskaną czaszką w jednem z tych ciemnych podwórzy na dole... wcale nie jest wykluczone — dalibóg, hi... hi..."

Czasami znów siedzi całemi godzinami na swym dachu, głęboko zastanawia się nad kolejami swego losu i bije się z własnemi myślami: To serce, które stało się tak „swawolne", co dzieje się w niem?... Przecież teraz widzi, że ono nie daje mu nigdy spokoju — daje się wlec zmysłom, ciągnie go do każdej, na którą wzrok jego padnie... Jakby to serce przemieniło się w jakąś bez-

graniczną materję, która czepia się wszystkiego, co napotka po drodze. Tak, naprzykład lgnie to serce do każdej ładnej kobiety, która przechodzi przez rynek obok jego sklepu... Oto widzi, że serce jego zepsuło się, maszyna zepsuła się... nie funkcjonuje, jak zwykle...

Czy to jest możliwie? Aby serce jego nie przywiązało się do jednej! Prawda, on miał zawsze oko otwarte i czatujące na wszystkie strony... ale on myślał, że to dlatego, iż natrafił na żonę, której nie kocha. Ale teraz, kiedy szuka miejsca, gdzie mógłby żyć spokojnie, widzi, że takiego miejsca nie znajdzie. Niema spokoju... niema nasycenia... źle...

Pewnego zaś razu, w Szewuot, po śniadaniu, zerwała się nagle burza w domu. Daud siedział przy oknie i patrzył na dół, na podwórze młyńskie. Dzień był jasny i gorący. Z obszernego, czworobocznego podwórza dochodziła silna woń nawozu, a zarazem unosiły się lekkie opary od ciepła słonecznego; przy długich korytach stało kilka koni, które żuły spokojnie obrok i wesoło rżały. Dwie krowy, należące do młyna, leżały na ziemi, zasłanej grubą warstwą nawozu, podnosiły co chwilę głowy i spoglądały na bok, jakby czekały na coś... Daud chciał nucić jakąś melodję — jak ktoś, kto chce szeptanem zaklęciem usunąć jakiś ból — ale melodja urwała mu się zaraz — i umilkł. Gryzł niedbale nasiona dyni i uczuł wyraźnie, że zmora jakaś ciąży mu na piersi; wiedział, że spadło na niego przekleństwo lenistwa i osamotnienia, które gnieździło się w jego nudnym domu.

Chciał wstać i wyjść z domu — ale gdzież ma iść? Ludzie śpią po spędzeniu nocy na czytaniu „Tikkun lejl szewuot"... Dawniej chodził często do jej krewnych, zwłaszcza do Ch. Szymona — ale już od dłuższego czasu poróżnił się z nimi przez nią, nie przychodzi do nich i nie mówi z nimi.

Chciał wyjść na dach, ale słońce od samego rana zaczęło przypiekać — namyślił się przez chwilę i doszedł do wniosku, że na każdy wypadek dobrze jest wyjść z po-

koju, chociaż teraz z pewnością żadnej kobiety nie będzie na dachu.

Wyszedł na dach, ubrany w lekką koszulę domową. Po wschodniej stronie dachu jego domu wznosi się wysoka ściana, która rzuca olbrzymi cień. Rozglądnął się na wszystkie boki — cisza wszędzie. Po kilku chwilach przemknęła mu w głowie myśl, że warto raz spróbować i zejść — chociaż trudno tam się przedostać — na podwórze Ormianki, Sywili. Już kilka razy miał sposobność podać jej szklankę koniaku, albo ładne kwiaty... szybko przedostał się przez trzy podwórza, które dzieliły jego dom od jej domu, i stanął na dachu jej domu. Tu też nie było widać nikogo na podwórzu. Zabawił kilka chwil i chciał już wrócić — gdy wtem wyszła Sywila z kuchni, leżącej w kącie podwórza; miała jeszcze twarz i ramiona wilgotne po myciu.

Zawołał do niej z góry: „Dzień dobry, Syt Sywila!"

— Ah, Chawadża Daud... dzień dobry i tobie — co to dziś? Ah, tak, macie święto... I już na dachach? Ah?... Od rana? Słońce cię nie razi, Daud? — Otarła ręce i uporządkowała włosy.

— Słońce? Ja jestem gorętszy od słońca — Syt Sywila...

— Niech nas Bóg obroni... niech nas Bóg uchowa... biedny jesteś...

— Litujesz się nademną? A nie mówisz mi ani jednego „bawirum"? („proszę" po turecku).

— Czy można wiedzieć, gdzie ty oczy „zarzucasz"?

— Teraz zarzucam je na twoje podwórze, moja pani Sywilo...

— Czy nie wiesz, że oczami nie można niczego złapać?

— A ty nie znasz naszego przysłowia: Mądry ma oczy w głowie — ah?

— Tak... ale przysłowie mówi: lepszy jeden ptak w garści, jak sto latających w powietrzu... Ty, panie, wszystkie twoje ptaki latają w powietrzu... zawsze w powietrzu...

— A oto ty tu chodzisz po ziemi...

— A przecież nie umiesz mnie złapać —

— Chcę spróbować...

Chciał zejść po stromej, drewnianej drabinie na podwórze — gdy wtem zobaczył nagle za oddalonem nieco ogrodzeniem nikłą postać swej żony. Ona stała i wpatrywała się w niego ze smutkiem i utrapieniem. Zawołała go raz po imieniu, potem dalej mówiła z miejsca, gdzie stała:

— Jeszcze nie masz dosyć? Czy całkiem zatraciłeś swoje „judaismo" i swój honor? Nie dość ci?

Sam nie czuł, jak z ust wymknęły mu się słowa:

— Pocoś przyszła? Jakeś się tu przedostała?

Kiedy żona bez słów odwróciła się i odeszła, szedł powoli za nią i dziwił się, z jaką łatwością ona przedostawała się przez ogrodzenia z podwórza na podwórze...

Kiedy za kilka chwil zeszedł do swego domu, zawstydzony a zarazem zirytowany, ujrzał matkę, jak siedziała w kącie i płakała; kiwała się i zawodziła, odmawiała treny, jak to czynią kobiety marokańskie, kiedy opłakują zmarłego.

Matka widziała krzywe drogi, któremi chadzał Daud; odkąd zauważono stosunek jej syna do aszkenazyjskiej sąsiadki i jak gonił po dachach za najróżniejszemi sąsiadkami — stała się podobną do bohatera, który pada pod gradem strzał, spadających na niego ze wszystkich stron. Była zwyciężoną; czuła, że nie może znaleść lekarstwa dla swego syna. Była już także zmęczona ciągłem dowiadywaniem się o „losach" swego syna i od latania za wszelakimi wróżbitami i znachorami. I dziwną rzeczą wydawało jej się, że żaden cudotwórca nie może znaleść środka na uleczenie duszy jej syna...

Początkowo jeszcze próbowała bronić się. Kiedy w domu wybuchały kłótnie, zrywała się z gniewem i zaczynała bić syna po głowie — on bił żonę, a ona jego — potem przez kilka dni z synem nie mówiła; zaś w sobotę wieczorem, kiedy Daud chciał, jak zwykle, ucałować jej rękę, odwracała się od niego, odpychała go ze wstrętem i nie patrząc mu w twarz, mówiła do niego:

— Jeszcze prosi o moje błogosławieństwo, głupiec! Wacha — biada takiemu synowi, co krew matki przelewa, biada jego duszy! O błogosławieństwo prosi — moje przekleństwo i przekleństwo Tory niech spadnie na niego!

Z biegiem czasu jednak zrezygnowała ze wszystkiego, tylko wylewała potoki łez nad zgubionym synem...

Teraz zaś siedziała w kącie i zawodziła płaczącym głosem:

— Wuh, wuh... w dzień Szewuot... w sam dzień Szewuot skalał się syn wyrodny... niech mu Bóg poczerni twarz... niech mu da czarne dni... niech go dosięgnie bieda i hańba... płaczcie, ludzie, nad matką nieszczęśliwą... wuh, wuh... oto syn mego chowania... biada moim starym latom, do piekła pójdę — wuh, wuh...

Lecz oto zawrzała w Daudzie krew. Pełen gniewu i nienawiści kopnął nogą stół, zrzucił i potłukł wszystkie naczynia i nie uspokoił się, aż wstał i mocno pobił żonę, potem wziął ją za ramię i wyrzucił ją z pokoju wśród przekleństw i wyzwisk.

Gdy się zeszli sąsiedzi, przestraszeni i zdziwieni, niosła już Rachela swego syna Alberta na rękach i wychodziła z domu ze łzami w oczach.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Z hebr. przełożył *J. F.* (Łódź)

NEKROLOGJA

Dr. Nachman Syrkin

Dnia 6 września b. r. umarł w New-Yorku w 64 roku życia wódz poale-sjonistów dr. Nachman Syrkin.

Dr. Nachman Syrkin urodził się w r. 1860 w Mohilewie nad Dnieprem, gimnazjum ukończył w Mińsku i tamże zapoznał się z młodym jeszcze ruchem palestyńskim t. zw. Chibath Cijon (Miłość ku Sjonowi). W roku 1888 przybył do Berlina i tu zapisał się na uniwersytet i tu uzyskał stopień doktorski Tutaj też należał do pierwszej grupy studentów żydowskich, pochodzących z Rosji, która pod wodzą Leona Motzkina gromadziła się pod sztandarem sjonizmu. Wśród swych kolegów reprezentował Syrkin lewe skrzydło, był wśród sjonistów socjalistą i tak dojrzała w jego umyśle idea sjonistycznego socjalizmu, z której zrazu wyrósł t. zw. ruch SS a potem poale-sjonizm. Pogląd swój wyraził już w pierwszej swej pracy p. n. Die Judenfrage und der socjalistische Staat. „W golusie — czytamy tamże — nie mogą Żydzi tworzyć trwałych wartości kulturalnych, asymilacja żydowska wydaje jeno ujemne wartości, a tylko sjonizm t. j. stworzenie państwa żydowskiego w Palestynie na socjalistycznem podłożu może Żydów ożywić i oddać im należne im miejsce w rodzinie narodów cywilizowanych". Myśli swe o żydostwie powtórzył w r. 1897 w dłuższym artykule, który ogłosił w Deutsche Revue, wydawanej wówczas przez znanego polityka socjalistycznego, Pernerstorfera.

Rychło połączył się Syrkin z Teodorem Herzlem i zorganizował w Londynie pierwszą poale-sjonistyczną frakcję p. n. Chejruth (wolność). W licznych artykułach, pisanych jużto po żydowsku jużto po hebrajsku uzasadniał Syrkin tendencje swej partji, a równocześnie prowadził zaciętą walkę z IKĄ i jej asymilatorskiemi tendencjami. W roku 1905 wrócił do Rosji i brał żywy udział w ruchu wolnościowym. W Wilnie

redagował sjonistyczno-socjalistyczne czasopisma: Der Neue Weg, Das Wort i Unser Weg. Na szóstym sjonistycznym kongresie stanął wśród tych, którzy wypowiedzieli się za Ugandą, a gdy projekt ten nie uzyskał większości głosów, opuścił Syrkin wraz z innymi kongres i wogóle sjonizm i stworzył t. zw. ITO pod sztandarem Zangwilla. W roku 1908 wrócił jednak do poale-sjonizmu, poczem osiadł w Ameryce i tutaj rozwinął żywą działalność literacką, pisząc artykuły i rozprawy z zakresu filozofji, ekonomji i socjalizmu.

Podczas wojny należał do najgorliwszych propagatorów idei zwołania wszechżydowskiego kongresu, a na kongresie Żydów amerykańskich w r. 1918 wypowiedział się jasno za Palestyną, lecz równocześnie żądał od kongresu wypowiedzenia się za prawami narodowemi Żydów w golusie. Jako delegat kongresu wyjechał wraz z innymi do Paryża, gdzie pracował w Delegations juives przy konferencji pokojowej. W r. 1919 udał się z delegacją poale-sjonistyczną do Palestyny, poczem podróż swą i swe spostrzeżenia nader barwnie opisał.

Gdy w r. 1920 partja poale-sjon się rozpadła na dwie frakcje (zjazd wiedeński), stanął Syrkin na prawicy i ostro potępił skrajne aspiracje lewicy poale-sjonistycznej.

Ze Syrkinem schodzi do grobu jeden z najdzielniejszych pionerów ruchu sjonistycznego wśród mas robotniczych żydowskich.

Sekretarz stanu, dr. Leopold Badasz.

W 63 roku życia zmarł na początku września b. r. węgierski mąż stanu dr. Leopold Badasz. Badasz był jednym z najlepszych węgierskich prawników i w r. 1910 został wybrany do sejmu węgierskiego. Stefan Tisza wysoce go cenił i zaproponował mu sekretarjat stanu w swoim gabinecie.

Tak wysokiego odznaczenia Żyda nie mogli przeboleć antysemici i klerykali węgierscy i z całej siły napierali na cesarza Franciszka Józefa, by nie zatwierdził go w urzędzie. Tisza jednak nie ustąpił i Badasz objął swój urząd i piastował go przez kilka lat.

Mimo swego wysokiego stanowiska pozostał Badasz wierny żydostwu, był członkiem zarządu gminy wyznaniowej w Budapeszcie, prezesem węgiersko-żydowskiego towarzystwa naukowego i t. d.

Z okazji jego śmierci podają dzienniki następujący ciekawy epizod. Oto miał Badasz zasadę, że w uroczyste święta żydowskie t. j. w Nowy Rok i Jom Kipur nie przychodził do biura, lecz spędzał je na modlitwie w synagodze.

Lecz razu pewnego wyznaczył minister sprawiedliwości Geza Polonji na sam Jom-Kipur ważną polityczną konferencję i zażądał od Badasza, by wziął w niej udział i zredagował zapadłe tamże uchwały. Badasz prosił o zwolnienie z konferencji, lecz Polonji — znany antisemita — nie chciał się na to zgodzić i Badasz musiał się zjawić na konferencji. Przez cały czas obrad nie zabierał głosu, nie robił żadnych notatek, lecz natychmiast po zamknięciu konferencji opuścił gmach ministerstwa. Jakież tedy było zdziwienie Polonjego, gdy nazajutrz otrzymał dosłowny protokuł z kilkogodzinnej konferencji, sporządzony przez Badasza wieczorem po święcie, zupełnie z pamięci.

Artysta malarz, Max Rappaport.

W 40 roku życia zmarł na suchoty znany berliński malarz Max Rappaport. Urodzony w r. 1884 w Bielsku na Śląsku, kształcił się od r. 1905 we Wiedniu u Klimta, a od roku 1907 w Paryżu, zrazu u Eugeniusza Spiro, a potem u Henryka Matisse.

Nędza zmusiła go do opuszczenia Paryża i ulubionych mistrzów i do powrotu do ojczyzny. Rychło widzimy go jednak w Berlinie, gdzie zarabia na życie rysowaniem żurnali mód. Nie długo mógł jednak wytrwać na tem trudnem stanowisku, ciężka choroba poczęła trapić jego wynędzniały organizm. A choć znalazł w ostatnich latach poparcie u księżnej Lichnowskiej i u bogatego fabrykanta Oskara Skallera, nie mógł już uratować nadwątlonego zdrowia i rychło umarł, w przededniu wystawy swych prac, wyznaczonej na pierwsze dni września.

Rappaport był przedewszystkiem portrecistą; już w młodości wykazał swój niepospolity talent na tem polu, dając w portrecie artystki Smolowej prawie że jej żywą postać. Doskonałym jest też portret pruskiego ministra oświaty Hänisza, pochodzący już z dojrzałych lat artysty. W następnych jego pracach, jakoto w portretach, interierach, figurach i t. p. uwydatnia się wyraźnie wpływ francuskiego impresjonizmu. Cechuje je pewna wstrzemięźliwość w szafowaniu farbami, wielki umiar i chęć unikania kolorów jaskrawych. Lecz tuż przed śmiercią — na południu, we Włoszech i w Hiszpanji—zobaczył Rappoport po raz pierwszy prawdziwe słońce, i prawdziwą barwność bujnej natury i oto jego ostatnie pejzarze lśnią się i skrzą od kolorów i stanowią niejako pożegnanie rozstającego się z tym światem artysty.

Poseł Dr. Rubin Jonas

Dnia 31 lipca umarł w Stanisławowie, we wschodnie Małopolsce, w 54 roku życia poseł na sejm i prezes miejscowej organizacji sjonistycznej, adwokat dr. Rubin Jonas.

Od lat trzydziestu stał dr. Jonas w pierwszym rzędzie walczących o prawa narodowe galicyjskich Żydów. Brał udział we wszystkich pracach i naradach sjonistycznych w Galicji i z poświęceniem pracował dla idei regeneracji narodu żydowskiego. W roku 1922 uzyskał mandat poselski ze Stanisławowa, poczem wstąpił do Koła żydowskiego, i sumiennie i bez rozgłosu oddawał się pracy parlamentarnej. Był prezesem sejmowej komisji kolejowej i na tem stanowisku zaskarbił sobie poważanie kolegów i zaufanie licznych rzesz kolejarzy.

Cadyk Chaim Szapira.

Dnia 3 maja b. r. zmarł w Jerozolimie cadyk i prowodyr mizrachistów Chaim Szapira. Pochodził z prostej linji od słynnych cadyków i twórców chasydyzmu Elimelecha z Leżajska i cadyka z Kozienic, matka jego zaś była wnuczką cadyka

Izraela z Różyn, twórcy t. zw. dynastji sadagórskiej. Przed wojną mieszkał Szapira w Drohobyczu, poczem wraz z innymi wyemigrował do Wiednia, gdzie zbliżył się do sfer sjonistycznych i zapałał miłością do Ziemi Świętej.

Rychło też wyemigrował z rodziną do Palestyny i tamże stał się jednym z kierowników i filarów partji mizrachistycznej.

Przedwczesna śmierć jego wywołała żal w sferach chasydzkich i mizrachistycznych.

Prof. Dr. Egmont Münzer.

Dnia 18 września zmarł w Pradze znany internista, profesor Münzer w 59 roku życia. W testamencie polecił, by go pochowano skromnie i by dopiero po pogrzebie uwiadomiono o jego śmierci dzienniki i szerszy ogół.

W r. 1892 został zmarły, na wniosek swego ówczesnego przełożonego, profesora Jaksch—Wartenhorsta, docentem interny na niemieckim Uniwersytecie w Pradze, a w 15 lat później otrzymał tamże nadzwyczajną profesurę. Kilka tygodni przed śmiercią został jednogłośnie obrany dyrektorem Polikliniki praskiej, lecz wyboru nie przyjął.

W życiu żydowskiem brał zmarły udział niewielki. W gminie miał referat pomocy dla studentów, a ostatnio był członkiem komitetu Keren Hajesod w Czechosłowacji.

Rabin Prof. Juliusz Reach.

W Pradze zmarł nagle rabin i kaznodzieja w synagodze im. Meisla (Meislschul) prof. Reach. Studja swe ukończył Reach w seminarjum rabinicznem we Wrocławiu i był jako młodzieniec sekretarzem prof. H. Grätza, o którym umiał przez całe życie opowiadać niezliczone dykteryjki.

Z przekonań sjonista i Żyd narodowy, brał on udział w życiu publicznem, był przewodniczącym towarzystwa ludowego sjonistycznego w Pradze i członkiem żydowskiej Rady narodowej w Czechosłowacji.

Prof. Dr. Salomon Kalischer.

Dnia 22 września zmarł w Berlinie w 79 roku zycia profesor politechniki w Charlottenburgu, Salomon Kalischer, blizki krewny znanego współtwórcy kolonizacji Palestyny, rabina Hirsza Kaliszera.

Zmarły urodził się w Toruniu w r. 1845, kształcił się zrazu w teologicznem seminarjum we Wrocławiu i w tamtejszym uniwersytecie i uzyskał doktorat filozofji na podstawie rozprawy o Arystotelesie. Przez krótki czas wykładał w Amsterdamie filozofję, poczem zabrał się do studjum fizyki i chemji, złożył egzamin z tych przedmiotów w „Technische Hochschule" w Berlinie i otrzymał docenturę w Akademji Bankowej tamże, a w r. 1896 profesurę w politechnice w Charlottenburgu. Kaliszer ogłosił szereg nader cennych prac z zakresu fizyki, chemji i elektryczności, a niezależnie od tychże studjów specjalnych, zajmował się literaturą piękną a szczególnie estetyką i napisał liczne rozprawy, wśród nich: Teologja i Darwinizm, o daltonizmie, a nadto w zbiorowej biografji Goethego, wydanej przez Bielszowskiego, opracował ciekawy ustęp: Goethe jako przyrodnik.

W życiu żydowskiem brał czynny udział i przez długie lata był przewodniczącym „Niemiecko-izraelickiego związku gmin", członkiem rady reprezentantów żyd. gminy w Berlinie, a w szczególności czynnym członkiem wszystkich komisyj szkolnych tejże gminy. Liberał i asymilator z przekonania, miał Kaliszer mimo to zrozumienie dla rozwoju języka hebrajskiego i popierał jego nauczanie w szkołach gminy żydowskiej, oraz w wyższych uczelniach berlińskich.

W ostatnich latach zbliżył się nawet do ruchu sjońskiego, wstąpił jako członek czynny do komitetu Keren Hajesod i popierał gorąco kolonizację Palestyny.

Dr. Wilhelm Löwy.

W Wiedniu zmarł w podeszłym wieku dr. Wilhelm Löwy, były radca magistratu wiedeńskiego i były redaktor dwumiesięcz-

nika lóż austrjackich Bnei Brith *(Zweimonatschrift der UOBB für Oestreich).* Od najmłodszych lat zajmował się Löwy statystyką i zorganizował przy magistracie wiedeńskim biuro statystyczne, które stało się wzorem dla tego rodzaju biur w innych miastach Austrji. W wydawnictwach tego biura ogłosił szereg cennych prac statystycznych, które mu zjednały sławę na polu tejże nauki. Lecz z nastaniem ery Luegera musiał Löwy ustąpić i odtąd porzucił pracę naukową i zajmował się publicystyką, a także redagował wyż. wspomniany organ Bnei Brith. W ostatnich latach życia zasilał swemi artykułami „Wiener Morgenzeitung".

Dr. Juliusz Ofner.

Dnia 26 września umarł we Wiedniu po krótkiej słabości w 80 roku życia znany mąż stanu dawniejszej Austrji i niepośledni prawnik i autor wielu dzieł z zakresu spraw społecznych dr. Juliusz Ofner. Urodzony w Komotau (Czechy) w r. 1844, studjował we Wiedniu prawo i tak je pogłębił, że stał się na tem polu pierwszorzędną powagą. W r. 1896 został z wiedeńskiej Leopoldstadt wybrany do dolno-austrjackiego sejmu, a od roku 1901 do 1919 piastował z tegoż okręgu mandat w parlamencie austrjackim, gdzie wraz z Kurandą i innymi należał do frakcji liberalnej, reprezentowanej—nawiasem mówiąc — pod koniec prawie wyłącznie przez Żydów. W Sejmie i parlamencie pracował wytrwale i wiele ustaw, jak np. o zakazie pracy małoletnich, o cenzurze teatralnej, o koncesji na teatry itp. powstało przy wybitnem jego współpracownictwie. Jedna z ustaw socjalnych (o opłatach przy przestępstwach majątkowych) zwie się do dzisiaj Lex Ofner.

Wielkim był myślicielem i czułe miał serce Ofner wszystkie dolegliwości uciskanych narodów i uciskanych ludzi. Walczył przez całe życie w obronie robotników, kobiet i dzieci, o wolność nauczania i założył nawet wraz z innymi we Wiedniu t. zw. Freie Schule, w której na przekór klerykałom nie udzielano nauki religji. Tylko dla jednej grupy ludzi nie miał ni serca ni zrozumienia t. j.

dla żydostwa. Ofner uważał Żydów za społeczność religijną, która wraz z rozwojem postępu sama z siebie się rozwiąże, sjonizm był dlań tylko odmienną formą klerykalizmu, który zwalczał całą siłą swego intelektu do końca swego życia. Podczas wojny i po jej zakończeniu miał zrozumienie dla żądań wszystkich narodów tworzących dawną Austrję, tylko nie dla żądań narodu żydowskiego i stale uważał siebie za Niemca a Żydów narodowych za fanatyków i szkodników postępu. I nie zrażało go, że sami Niemcy nie chcieli uznać jego koncepcji, że platforma liberalizmu rozsunęła się na dwie strony z których na żadnej nie było dlań miejsca. Jak wielu asymilantów wierzył on, że owe skrajności są jeno chwilowem złudzeniem, po którem wrócą dawne dobre czasy liberalizmu.

Z tą wiarą zeszedł Ofner do grobu.

M. B.

Stan żydowskiego szkolnictwa zawodowego w Polsce.

w r. 1922/23, względnie w r. 1923*)

(Z 5 tabelami statystycznemi).

W chwili, kiedy zostały zebrane dane, dotyczące żydowskiego szkolnictwa zawodowego w Polsce, rok szkolny nie był skończony. Wobec tego zmuszeni byliśmy oprzeć się na materjale, obejmującym zakończony okres szkolny, a mianowicie rok szkolny 1922/23, o ile to się odnosi do szkół, subsydjowanych przez Tow. „Ica" i rok szkolny 1923 w odniesieniu do szkół, któremi się opiekuje Tow. „Ort".

I. ŻYDOWSKIE SZKOŁY ZAWODOWE w POLSCE, POPIERANE PRZEZ TOW. „ICA"

Tabela Nr. 1 ilustruje stan 11 męskich szkół zawodowych, popieranych przez Tow. „Ica".

Rozpatrując tabelę powyższą dostrzegamy, że Tow. „Ica" roztacza opiekę prawie wyłącznie w większych miastach nad normalnemi szkołami zawodowemi, w których naogół czas trwania kursu jest conajmniej 3-letni, zaś poza zajęciami praktycznemi istnieje i normalny wykład teoretyczny.

Koszt przypadający na 1 ucznia — poza Warszawą, w której miał on w okresie sprawozdawczym wynosić od 579,044 mkp. do 796,048 mkp. — zbliża się do miljona mkp., lub miljon przekracza, dochodząc w jednym wypadku (Częstochowa) do 1,601,252 mkp. Liczby te, podane w walucie zmiennej, mogą tylko służyć celem orjentacji przybliżonej, nie mogą natomiast być zupełnie miarodajne do wyciągania wniosków ostatecznych, tembardziej, że i w samym sposobie obliczenia

---

*) Dane zebrane w artykule niniejszym obejmują szkoły popierane przez Tow. „Ica" i „Ort".

kosztów przypadających na 1 ucznia szkoły, mogą być stosowane różne metody.

Przewagę wykazuje tabela w rzemiośle ślusarskiem i stolarskiem. Uderza jednak brak nauki rzemiosła stolarskiego w całym szeregu szkół, aczkolwiek można z góry określić potrzebę tego rodzaju oddziałów szkolnych. Powodzenie ich uzależnione jest od tego, czy racjonalnie będą prowadzone, przezwyciężając niechęć do nich młodzieży żydowskiej, względnie rodziców tej młodzieży do kierowania dzieci do tego zawodu.

W dalszych rubrykach podany jest ruch uczniów według oddziałów. Powtarza się tu, niestety, zjawisko przedwojenne, że wiele uczniów opuszcza szkołę przed jej ukończeniem.

Przeciętnie ucieczka (przedwczesne występowanie) uczniów określa się w ślusarniach na 31,1%, w stolarniach na 40%, w oddziałach elektrotechnicznych na 14,6%, zaś w oddziałach tkackich na 37,5%. Lepiej przedstawiają się odnośne liczby procentowe w oddziałach innych.

W tabeli uderza mała liczba uczniów w warsztacie kołodziejskim. Tłumaczy się to w ten sposób, że szkoła niedawno została zorganizowana. Według zasięgniętych informacji znaczniejsza liczba kandydatów miała się zgłosić do tego oddziału w czasie późniejszym.

Do powyższego dodać należy, że za wyjątkiem szkół w Kaliszu i w Piotrkowie, mieszczących się w lokalach wynajętych, wszystkie szkoły, w tabeli powyższej wymienione, znajdują się we własnych gmachach. Niektóre z tych gmachów, jak np. gmach szkoły w Białymstoku, odpowiadają wszelkim wymaganiom, jakie się szkołom zawodowym stawia.

W tabeli Nr. 2 zebrano daty, dotyczące 8 zawodowych szkół żeńskich, popieranych przez Tow. „Ica".

Jeśli chodzi o przedwczesne występowanie, względnie wydalanie uczenic, to największy procent wykazują oddziały hafciarskie (26,1%), najmniejszy bieliźniarski (17,3%). Naogół zaś sprawa ta w omawianych szkołach żeńskich przedstawia się korzystniej, niż w szkołach męskich.

Z tabeli łatwo spostrzedz, że wszystkie szkoły uruchomiły oddziały krawieckie.

Tabl. I

Męskie szkoły zawodowe popierane przez T-wo „ICA" w r. 1922/23.

№	Nazwa szkoły i miejscowość	Personel: Nauczycielski	Personel: Instruktorski	Liczba uczniów w ciągu 1922/23 r. według oddziałów: I Ślusarski	II Cyzelerski	III Stolarski	IV Kołodziejski	V Elektrotechniczny	VI Tkacki	VII Malarski	VIII Litografski	IX Krawiecki	Razem w ciągu r. 1922-23	Wystąpiło w ciągu r. 1922-23	Razem w końcu r. 1922-23
1.	Żydowska Szkoła Rzemieślnicza. Białystok.	7	13	125	—	51	—	—	47	—	—	—	223	91	132
2.	Szkoła Rzemiosł dla Żydów. Częstochowa	5	6	72	—	5	—	4	—	—	—	—	81	31	50
3.	Szkoła Rzem. przy Gminie żyd. Grodno	6	5	122	—	25	—	—	—	—	—	—	147	69	78
4.	Szkoła Rzem. przy Stow. Rzem. Żydów. Kalisz (1922)	4	4	50	—	12	—	—	—	—	—	—	62	5	57
5.	Szkoła Rzemiosł dla Żydów. Łódź	8	3	49	—	—	—	—	49	—	—	—	98	40	58
6.	Żydowska Szkoła Rzemieślnicza. Pińsk	3	4	81	—	42	—	—	—	—	—	—	123	40	83
7.	Szkoła Rzemiosł dla Żydów. Piotrków (1921)	3	3	26	—	22	—	—	—	—	—	—	48	8	40
8.	Szkoła Rzem. Tow. Warsztatów Rękodzielniczych. Stryj (1920)	3	3	29	—	—	4	—	—	—	—	—	33	12	21
9.	Szkoła Rzem. Warsz. Gminy Staroz. im. Natansohna. Warszawa	9	5	96	—	—	—	144	—	—	—	—	240	95	145
10.	Szkoła Rzem. przy Tow. Dostarczania Pracy Ub. Żydom. Warszawa.	7	6	185	12	—	—	37	—	—	—	—	234	96	138
11.	Szkoły Zaw. T-wa „Pomoc Pracy". Wilno	6	15	—	22	28	—	—	—	28	20	45	143	58	85
	OGÓŁEM			637	34	135	4	185	96	28	20	45	1432	545	887

Tabl. II

Żeńskie szkoły zawodowe popierane przez T-wo „ICA“ w roku 1922/23.

№	Nazwa szkoły i miejscowość	Personel		Liczba ucz. w ciągu r. 1922/23 według oddziałów					Razem w ciągu r. 1922/23	Wystąpiło w ciągu r. 1922/23	Razem w końcu r. 1922/23
		Nauczycielski	Instruktorski	I Krawiecki	II Bieliźniarski	III Hafciarski	VI Modniarski	V Koronkarski			
1.	Szkoła Rzemiosł dla Dziewcząt. Częstochowa (1915).	4	6	68	—	92	29	—	189	77	112
2.	Szkoła Zawodowa dla Dziewcząt „Ognisko Pracy“. Kraków (1916).	5	5	38	36	—	—	--	74	26	48
3.	Szkoła Zawodowa Żeńska. Lwów (1916)	13	6	82	54	24	—	—	160	46	114
4.	Żeńska Szkoła Rzemieślnicza. Pińsk.	5	3	81	—	—	—	—	81	19	62
5.	Szkoła Przem. Zawodowa dla Dziewcząt. Przemyśl (1917).	3	4	20	11	17	—	5	53	18	35
6.	Szkoła Zaw. dla Dziewcząt Warsz. Gm. Star. im. Baumana. Warszawa.	7	4	72	48	54	36	—	156	29	127
7.	Szkoły Zaw. Tow. „Pomoc Pracy“. Wilno.	6	15	110	53	31	—	—	194	68	126
8.	Żydowska Szkoła Rzemieślnicza. Białystok.	7	13	78	—	—	—	—	78	25	53
	OGÓŁEM			549	202	218	65	5	985	308	677

II. ŻYDOWSKIE SZKOŁY ZAWODOWE w POLSCE POPIERANE PRZEZ TOW. „ORT".

Tabela Nr. 3 ilustruje stan męskiego szkolnictwa zawodowego popieranego przez Tow. „Ort". Dane odnoszą się do r. 1923, gdyż z tego okresu udało się otrzymać odnośne daty.

W tabeli zebrano daty, dotyczące 15 męskich zakładów naukowych, przyczem zaznaczyć należy, że instytucje objęte tabelą nie przedstawiają tego obrazu, co uczelnie Tow. „Ica", albowiem w tabeli uwzględniono zarówno szkołę wyższego typu, jaką jest „Technika Wileńska", zawodowe szkoły normalne, jak np. szkoła w Brześciu, jak również warsztaty, w których nauczanie ze względu na brak lub małe uwzględnienie nauki teorji nie odbiega w tym stopniu od metod stosowanych w zwykłych warsztatach.

Rozpatrując tabelę widzimy, że i tutaj przeważają oddziały ślusarskie i stolarskie.

Danych, dotyczących kosztu nauczania jednego ucznia w r. 1923, nie posiadamy. Natomiast wiadomem jest nam, że odnośny koszt w r. 1922 wahał się w szkołach większych według danych Tow. „Ort" od około 145,000 mkp. do 238,000 mkp., zaś w jednej grupie mniejszych warsztatów prawie od 65,000 mkp. do prawie 80,000 mkp. a w drugiej grupie od około 181,000 mkp. do około 216,000 mkp., przyczem nie zawsze wykład przedmiotów teoretycznych wpływał na koszt nauczania. Naogół więc wynikałoby z liczb powyższych, że koszt nauczania nie był w tych szkołach za wysoki. Wobec tego jednak, że koszt nauczania nie jest w sprawozdaniach podany w walucie stabilizowanej a same daty odnoszą się do terminu wcześniejszego, niż wyżej podane liczby, charakteryzujące koszt nauczania szkół popieranych przez Tow. „Ica", nie jest wskazanem czynić jakiekolwiek porównanie i wyciągać odpowiednie wnioski.

W całym szeregu warsztatów nauka teorji nie jest uczniom wykładana, a mianowicie: w warsztatach tkackich, wyrobów odzieżowych, koszykarskim, dwuch ślusarskich i dwuch stolarskich pracowniach.

Nie wchodząc w przyczyny zjawiska, które mogą być niezależne od woli organizatorów szkół omawianych, zaznaczamy tu tylko, że o ile uczniowie nie otrzymują odnośnych wiadomości choćby w innej szkole, lub na kursach uzupełniających, to objaw ten w każdym razie należy uważać za niepożądany.

Przechodząc z kolei do liczb, ilustrujących przedwczesne występowanie uczniów, widzimy, że przeciętnie w oddziałach ślusarskich określa się to liczbą 20,1%, podczas gdy liczba dotycząca, coprawda r. 1922/23, w szkołach Tow. „Ica" przekracza 31%.

Przedwczesne występowanie w warsztatach stolarskich określa się 27,5%, przyczem w jednym z warsztatów liczba odnośna sięga aż 46,7%. To samo zjawisko zaobserwowano w szkołach Tow. „Ica" w r. 1922/23, w których procent wspomniany dla szkół wszystkich doszedł aż do 40%.

Widzimy z tego, że powojenne oddziały stolarskie uległy tej dziwnej chorobie, jeśli się zważy, że rzemiosło stolarskie jest licznie reprezentowane przez Żydów. Nawiązując do poruszonych wyżej uwag, zauważamy, że prawdopodobnie pewnem wytłumaczeniem tego przykrego zjawiska będzie fakt, że naogół rzemiosło to nie znajduje się w takiem poszanowaniu u Żydów, jak te zawody, które można podciągnąć pod wyższy stopień produkcji. Ślusarz to dla masy żydowskiej prawie „mechanik", a mechanik to prawie „inżynier". Dotyczy to również w jeszcze większym stopniu elektro-technika. Tymczasem stolarz, szewc i t. p. nie cieszy się większem poważaniem, tembardziej, że przeważna częśc Żydów nie wykazuje w fachach tych wielkiego wykwalifikowania.

Naturalnie, że poza tym czynnikiem psychologicznym odgrywa wielką rolę też i ten fakt, że rzemiosło stolarskie należy do fachów ciężkich fizycznie, zaś sama produkcja jest mniej masowa, niż np. ślusarstwo w wielu dziedzinach. Pozatem nie odgrywa również w tym wypadku podrzędnej roli brak kapitału na surowce, który wpływa na to, że wiele żydowskich warsztatów stolarskich nie może samodzielnie się podjąć większych i różnorodnych robót. A ten czynnik znów wpływa na słaby rozwój warsztatu w kierunku większego wykwalifikowania

pracowników i solidnego, artystycznego wykończenia. Wreszcie należy zważyć, że od przyjęcia obstalunku do ukończenia jego upływa w warsztacie stolarskim czas dość wielki, a więc obrót pieniężny u stolarza jest mniej wartki, niż np. u ślusarza, uprawiającego produkcję masową i wykonywującego wogóle roboty drobniejsze, nie wymagające ani dłuższego czasu, ani większego nakładu pieniężnego na surowce.

Uderzająca jest liczba przedterminowego występowania w technice żydowskiej, w której, jakby to zdawać się mogło, winien się kształcić element świadomy swoich celów i środków. Tymczasem jest tamże 48,8% wystąpień w oddziale mechanicznym, a 45,8% w oddziale elektrotechnicznym. Również w r. 1922 procenty odnośne wynosiły 30,7% i 31,5%.

Również niekorzystnie przedstawia się w szkołach oddział tkacki, z którego wystąpiło 36,9%, a wprost katastrofalnie oddziały wyrobów odzieżowych i koszykarski, z którego wystąpiło 84,5% względnie 81,5% uczniów. Również w r. 1922 z tych oddziałów wystąpiło 50%, względnie 63,4%.

Natomiast dodatnio się przedstawia stan tej sprawy w oddziałach krawieckich, z których nikt w ciągu roku 1923 nie wystąpił, aczkolwiek w r. 1922 liczba wystąpień z tego oddziału wynosiła 63,3% Również dobrze prosperuje oddział kamaszniczy, w którym zarejestrowano 100% absolwentów, i oddział szewcki, w którym 85,7% ukończyło kurs, a tylko 2 uczniów na 14 wystąpiło w ciągu roku.

W tabeli Nr 4 zestawiono dane, dotyczące 9 żeńskich szkół zawodowych, popieranych przez tow. „Ort".

Koszt nauczania uczenicy możemy tu podać z powyżej już omówionemi zastrzeżeniami, że w 5 warsztatach koszt ten w r. 1922 miał się wahać od około 49,000 mkp. do około 82.000 mkp. Natomiast w 4 pozostałych warsztatach sumy te wahają się od około 189,000 mkp. do około 182,000 mkp.

Co do opuszczenia szkoły wśród roku, dowiadujemy się że 32% uczennic wystąpiło z warsztatu krawieckiego, 29,8 z warsztatu hafciarskiego, 16,1% z oddziału modniarskiego, zaś 84,5% z oddziału wyrobów odzieżowch. Z tego samego wydziału wystąpiło w r. 1922 52,4% uczennic.

Tabl. III

Męskie szkoły zawodowe popierane przez T-wo „ORT” w 1923 r.

№	Nazwa szkoły i miejscowość	Personel: Nauczycielski	Personel: Instruktorski	Liczba uczniów w ciągu 1923 r. według oddziałów: I Ślusarski	II Stolarski	III Elektrotechn.	IV Mechaniczny	V Szewcki	VI Kamaszniczy	VII Tkacki	VIII Wyroby dziane	IX Koszykarski	X Krawiecki	Razem w ciągu r. 1922/23	Wystąpiło w ciągu r. 1922/23	Razem w końcu r. 1922/23
1.	Warsztaty do nauczania rzemiosł. Wilno (1920)	4	6	97	46	—	—	—	—	—	—	—	—	143	50	93
2.	Technikum Wileńskie. Wilno (1921)	17	4	—	—	131	125	—	—	—	—	—	—	256	152	104
3.	Warsztaty do nauczania rzemiosł. Łódź (1922)			—	—	—	—	—	—	73	58	27	—	158	128	30
4.	Warsztat do nauczania stolarstwa. Równe (1921)	—	3	—	27	—	—	—	—	—	—	—	—	27	9	18
5.	Warsztat do nauczania ślusarstwa. Krzemieniec (1922)	—	2	30	—	—	—	—	—	—	—	—	—	30	3	27
6.	Warsztat do nauczania stolarstwa. Kobryn (1921)	4	3	—	30	—	—	—	—	—	—	—	—	30	14	16
7.	Warsztat do nauczania stolarstwa. Sarny (1922)	1	3	—	20	—	—	—	—	—	—	—	—	20	5	15
8.	Warsztaty do nauczania szewctwa. Głębokie (1921)	2	2	—	—	—	—	14	12	—	—	—	—	26	26	—
9.	Warsztat do nauczania krawiectwa. Oszmiany (1920)	1	2	—	—	—	—	—	—	—	—	—	11	11	11	—
10.	Warsztat do nauczania krawiectwa. Głębokie	2	3	—	—	—	—	—	—	—	—	—	18	18	—	18
11.	Warsztat do nauczania szewctwa. Oszmiany (1923)	1	2	—	—	—	—	17	17	—	—	—	—	34	4	30
12.	Warsztaty do nauczania rzemiosł. Brześć (1923)	—	4	61	40	—	—	—	—	—	—	—	—	101	22	79
13.	Szkoła przyg. do naucz. stolarstwa. Lida (1923)	2	1	—	17	—	—	—	—	—	—	—	—	17	1	16
14.	Warsztat do nauczania stolarstwa. Smorgon (1923)	1	1	—	19	—	—	—	—	—	—	—	—	19	4	15
15.	Szkoła dla nauki rzemiosł. Piotrków (1921).	3	3	21	30	—	—	—	—	—	—	—	—	51	17	34
	OGÓŁEM			209	229	131	125	31	29	73	58	27	29	941	446	495

Tabl. IV

Żeńskie szkoły zawodowe popierane przez Tow. „ORT" w r. 1923

№	Nazwa szkoły i miejscowość	Personel		Liczba ucz. w ciągu 1923 r. według oddziałów					Razem w ciągu r. 1922/23	Wystąpiło w ciągu r. 1922/23	Razem w końcu r. 1922/23
		Nauczycielski	Instruktorski	I Krawiecki	II Hafciarski	III Wyroby dziane	IV Bieliź. niarski	V Modniarski.			
1.	Warsztaty do nauczania rzemiosł. Warszawa (1915)	2	14	200	57	—	53	62	372	87	285
2.	Warsztaty do nauczania rzemiosł. Łódź (1922).	—	4	—	—	58	—	—	58	49	9
3.	Warsztat do nauczania krawiectwa. Równe (1922)	—	2	88	—	—	—	—	88	46	42
4.	Szkoła zawodowa. Brześć (1919)	—	—	66	—	—	—	—	66	5	61
5.	Szkoła zaw. dla dziewcząt. Grodno (1922)	3	3	58	—	—	—	—	58	14	44
6.	Warsztat do nauczania krawiectwa. Kobryń (1921)	4	3	41	—	—	—	—	41	12	29
7.	Warsztat do nauczania krawiectwa. Sarny (1922).	1	3	74	—	—	—	—	74	44	30
8.	Warsztat do nauczania krawiectwa. Głębokie (1921)	2	3	33	—	—	—	—	33	2	31
9.	Warsztat do nauczania krawiectwa. Oszmiany (1920).	1	2	12	—	—	—	—	12	12	—
	OGÓŁEM			572	57	58	53	62	802	271	531

KURSY WIECZOROWE DOKSZTAŁCENIA ZAWODOWEGO PRZY TOW. „ORT“ w WARSZAWIE.

W tabeli Nr. 5 zebrano daty, dotyczące wymienionych w nagłówku kursów dokształcających dla rzemieślników.

Dane obejmują rok 1922 i 1923, przyczem zaznaczyć należy, że w maju 1923 kursy z rozporządzenia władz zostały zamknięte. Na podstawie zaś nowej koncesji zostały otwarte w grudniu roku omawianego.

PATRONATY SUBWENCJONOWANE PRZEZ TOW. „ORT“.

Opieka nad młodzieżą rzemieślniczą, pracującą w warsztatach prywatnych, celem udostępnienia im wiedzy teoretycznej, pieczy nad pracą ich w warsztacie i udzielania im pomocy materjalnej należy do najważniejszych zadań społecznych w dziedzinie rzemiosła, albowiem w braku młodych sił, któreby zasiliły istniejący organizm rzemieślniczy, rzemiosło żydowskie może dotkliwe ponieść straty. Temu przypisać należy, że tu i owdzie powstały organizacje opieki nad młodzieżą rzemieślniczą (patronaty).

Z danych dostarczonych nam przez Tow. „Ort“ wynika, że w dniu 1-go stycznia 1922 w Nowogródku, Iwiu i Suwałkach istniały patronaty, subwencjonowane przez Tow. „Ort“.

W pierwszem z tych miast znajduje się pod opieką 27, w drugiem 25 a w trzeciem 40 młodzieży płci obojga, pracującej w 13 zawodach.

Na 1 września 1923 Tow. „Ort“ zdało relację, że oprócz patronatów powyższych, również w Kureńcu istniał patronat, opiekujący się 29 chłopcami i dziewczętami.

Poprzednio zaś Tow. „Ort“ opiekowało się patronatem w Święcianach (26 młodzieży) i w Dziśnie (40 młodzieży).

Naogół patronaty nie rozwijają się należycie. Przypisać to należy głównie apatji społeczeństwa, wykazującego małe zainteresowanie dla tych placówek, których pierwszorzędne znaczenie bije w oczy.

Adam Czerniaków.

Tabl. V Kursy wiecz. dokształcenia zaw. przy T-wie „ORT“, Warszawa.

№	Nazwa kursów	Personel: Nauczycielski	Personel: Instruktorski	Liczba ucz. w ciągu 1923 r. według oddziałów: I Ślusarski	II Stolarski	III Krój męski	VI Kursy rysunków	V Krawnictwo damskie	Razem w ciągu r. 1922/23	Wystąpiło w ciągu r. 1922/23	Razem w końcu r. 1922/23
1.	Kursy wieczorowe dokształcenia zawodowego przy Tow. „ORT“	9	—	40	20	48	33	—	141	—	141
2.	Kursy wieczorowe dokształcenia zawodowego przy Tow. „ORT“	6	1	40	20	98	33	—	191	69	122
3.	Kursy wieczorowe dokształcenia zawodowego przy Tow. „ORT“	4	—	—	24	33	—	29	86	34	52

Drugi Zjazd Wszechświatowej Organizacji Pomocy Żydom.

W dniach 21—27 sierpnia r. b. odbył się w Karlsbadzie drugi Zjazd Wszechświatowej Organizacji Pomocy Żydom.

Na Zjazd przybyło 130 delegatów, reprezentujących 87 większych organizacji 26 krajów Europy, Ameryki i Afryki.

Wśród organizacji biorących udział w Zjeździe spotykamy tak wybitne ze swej dotychczasowej działalności, jak „United Relief Fund" z Johanisburga (w Afryce południowej), która w przeciągu ostatnich paru lat przekazała „Wszechświatowej Organizacji Pomocy Żydom" przeszło 3 miljony franków, czyli 200 tysięcy dolarów; „Comite Central de Secours" w Buenos Aires (Argentyna), który do końca roku 1923 zebrał 7,8 miljonów franków czyli 560 tysięcy dolarów, „Associated Jewish Societes of Canada", której dopiero niedawno przekazał „W. O. Pomocy"—12 tysięcy dolarów na utrzymanie żydowskich dzieci z Ukrainy i t. d.

W zjeździe brał udział szereg organizacji, które dotychczas wcale nie współpracowały z powyższą Organizacją.

Do nich należą w pierwszym rzędzie gminy żydowskie w różnych krajach, z których znaczna część była reprezentowaną na Zjeździe, jak np. Związek Gmin Żydowskich we Włoszech, taki sam związek w Szwajcarji (Schweizerischer Israelitischer Gemeinde-bund), gminy żydowskie Berlina, Wiednia, Salonik, Antwerpji, Paryża, Rewla, Małopolski, szeregu większych miast Czechosłowacji, Rumunji i t. d., oprócz tego „Waad Leumi" z Jerozolimy, szereg lóż „Bnei Brith" z różnych krajów, wśród nich i „Grande Loge de Bnei Brith" w Kostantynopolu.

Wreszcie musimy wymienić Kongres Żydowski w Ameryce (American Jewish Congress), Żydowską Radę Narodową w Pradze Czeskiej i w Kownie, Tymczasową Radę Narodową w Warszawie, Centralny Wydział Palestyński przy Organizacji

Sjonistycznej w Londynie, „Hias“ w Ameryce, Związek Żydów szwajcarskich i wiele innych. Wśród krajów, które były reprezentowane na Zjeździe była też i Rosja Sowiecka, skąd przybyło kilku delegatów.

Z organizacji nieżydowskich przyjęły oficjalny udział w Zjeździe: Międzynarodowy Związek Czerwonego Krzyża i Międzynarodowy Związek Pomocy Dzieciom (Union Internationale de Secours aux Enfants).

Na pierwszem posiedzeniu odbyła się dyskusja nad dotychczasową działalnością W. O. Pomocy. Pierwszy zabiera głos p. Rudel (Berlin), który ostro krytykuje Egzekutywę za to, że zupełnie zaniedbała tak ważną placówkę, jak pomoc żydowskim emigrantom, przybywającym ze Wschodu.

Pani Anna Müller-Cohen (Wiedeń) występuje przeciw uprawianym dotychczas metodom pracy: bieda i niedola ludzi wyzyskiwane są przez różne towarzystwa, celem osiągnięcia większego sukcesu. Nieszczęście ludzi stało się przedmiotem handlu i jak komiwojażerowie przyjeżdżają do Ameryki, Anglji i innych krajów jeden po drugim działacze i każdy wiezie inną kolekcję ofiar: jeden setki tysięcy pogromionych, inny tysiące głodujących i t. d.

Mniejszej liczby już wcale nie znają, gdyż w pogoni za datkiem, za ofiarą każdy starał się wyolbrzymić cel na który zbiera; w rezultacie wytworzył się taki stan, iż na katastrofy, zagrażające setkom tysięcy Żydów już nikt nie reaguje.

Radca ministerjalny Dr. Wismayer (Praga) wskazuje na olbrzymią nędzę, jaka panuje pośród młodzieży akademickiej żydowskiej i na potrzebę przyjścia jej z pomocą.

Przemawia jeszcze wielu mówców, którym odpowiada p. L. Motzkin (Paryż). Mówca stwierdza, iż nie pora na eksperymentowanie nad nowemi metodami zbiórki ofiar, kiedy setki tysięcy Żydów głodują w Rosji i grozi im zagłada. W obliczu takiego nieszczęścia nie możemy milczeć, a musimy użyć wszystkich środków, jakiemi rozporządzamy, byle tylko niezbędne fundusze zebrać i ludzi tych uratować.

Na tem kończy się dyskusja nad dotychczasową działalnościa W. O. Pomocy i Zjazd przystępuje do wysłuchania sprawozdań o położeniu Żydów w Rosji.

Pierwszy zabiera głos dr. Jochelman, który w bardzo ciemnych barwach maluje położenie Żydów w Rosji. Żydzi stracili poprzednie placówki ekonomiczne; jako element przeważnie drobnomieszczański (drobni kupcy, pośrednicy, subjekci itp.) zostali oni bez zarobków z chwilą, gdy handel został znacjonalizowany, nie mają zaś dostępu do innych nowych form życia ekonomicznego; wobec tego są zdeklasowani t. j. pozostali poza nawiasem tych klas społecznych, jakie rząd sowietów uznaje i proteguje.

Drugi przemawia Dr. L. Bernstein, (z Kijowa).

Żydowstwo rosyjskie dzieli się w chwili obecnej na następujące kategorje: I-sza kategorja — to żydowscy robotnicy, należący do Związków Zawodowych; mają się oni względnie nieźle; ich liczba jednak jest bardzo nikła, a szczególnie zmniejszyła się ostatnio z powodu znacznego bezrobocia.

II-ga kategorja obejmuje wielkich kupców i przemysłowców, t. zw. „nepmanów"; oni cierpią wiele przykrości i prześladowań, jednakże radzą sobie; liczba ich jednak ostatnio też bardzo zmalała.

III-cią kategorję stanowi inteligencja, która dzieli się też na trzy odłamy: 1) tak zwani „spec'y", to są specjaliści w różnych dziedzinach, jak naprz. profesorowie, inżynierowie, lekarze i t. d., którzy zajmują się przeważnie prywatną praktyką;

2) urzędnicy sowieccy. 75% z pośród nich to inteligencja z wyższem wykształceniem; stan materjalny tych urzędników jest opłakany,

3) Inteligencja bez stałego zajęcia, jak np. młodzież akademicka, byli nauczyciele, literaci i t. d.; stan materjalny tych ludzi jest bardzo ciężki.

IV.tą kategorję stanowi drobnomieszczaństwo żydowskie, jak drobni kupcy, subjekci, pośrednicy; stanowią oni 65% ogółu ludności żydowskiej w Rosji i literalnie umierają z głodu.

Wśród tej ludności szerzą się najniebezpieczniejsze choroby; tak naprz. w Kijowie na 100 zmarłych przypada 19

zgonów na suchoty; 75% wszystkich dzieci żydowskich choruje na favus (strup na głowie) i to w bardzo ciężkiej formie.

Dr. W. Adler (z Charkowa) w dłuższem przemówieniu opisuje stan dzieci żydowskich w Rosji. Ilość internatów dla sierot jest bardzo mała, a te, które są, znajdują się w okropnych warunkach sanitarnych. To też stan zdrowotny dzieci żydowskich w Rosji, szczególnie na Ukrainie, pozostawia wiele do życzenia. Z ogólnej ilości 229,235 zbadanych dzieci, znajdujących się w szkołach i internatach, stwierdzono anemicznych i podejrzanych na gruźlicę: w gubernji Wołyńskiej — 26%, gubernji Odeskiej — 31%; w gub. Podolskiej — 37,1%, w gub. Kijowskiej — 41%, a w gub. Połtawskiej, aż 52,2% ogólnej ilości dzieci żydowskich.

Wycieńczenie fizyczne bardzo ujemnie wpływa też na rozwój intelektualny dzieci, na ich zdolności umysłowe. Według badań przeprowadzonych przez lekarsko-pedagogiczny gabinet przy poliklinice w Jekaterynosławiu, 71,4% dzieci w wieku między 6-ym a 9-ym rokiem życia wykazało znaczny zanik rozwoju umysłowego.

Szczególnie silnie rozpowszechnione są pośród dzieci choroby skórne, liczba których jedynie tylko w internatach ukrainskich wynosi 6,200 czyli 10,4% ogółu dzieci tych internatów.

Dzieci żydowskie prawie że nie mają możności uczenia się w szkołach żydowskich; z 23.668 dzieci żydowskich tylko 3,700 czyli 15,5% uczęszcza do szkół żydowskich, zaś ogólna ilość szkół żydowskich z językiem żydowskim jako wykładowym lub przedmiotem nauczania sięga obecnie na Ukrainie zaledwie 2,12% wtedy, gdy w stosunku do ludności żydowskiej powinnyby stanowić 31,3%.

Ale nawet i w tych nielicznych szkołach, które istnieją na Ukrainie odczuwa się bardzo wiele braków i znajdują się w bardzo opłakanym stanie. Jeszcze ubiegłej zimy wykłady w przeważającej części tych szkół odbywały się w nieogrzewanych klasach. Bardzo ciężką jest dola nauczycielstwa szczególnie szkół ludowych; nauczyciel taki pobiera obecnie od 15 rubli 70 kop. do 23 rub. 25 kop. miesięcznie, wtedy, gdy maszynistka

w kancelarji pobiera 50—60 rubli. Ale o ile położenie materjalne nauczyciela na posadzie rządowej jest ciężkie, to położenie nauczyciela żydowskiego szkoły żydowskiej jest wprost katastrofalne, gdyż płacę swoją otrzymuje z datków i opłat rodziców, zazwyczaj mało zamożnych Żydow.

Do szkół uczęszcza bardzo niewiele dzieci, reszta wałęsa się po placach, dworcach kolejowych, ogrodach i t. p. okryta łachmanami, bosa, półnaga.

Straszliwie się szerzy alkoholizm, palenie papierosów, a szczególnie kokainizm, który przybrał w ostatnich czasach rozmiary prawdziwej klęski socjalnej i zmusił odnośne czynniki rządowe do energicznej interwencji, nie zawsze z dostatecznem powodzeniem.

Dr. G. Lewin (Warszawa) referuje w sprawie „Zdrowotności u Żydów i ochronie zdrowia ludności żydowskiej".

Referent wskazuje, iż aczkolwiek nędza i bieda pośród Żydów w Rosji jest olbrzymią, nie należy jednak zapomnieć o Żydach w innych krajach, a w szczególności w Polsce. Na podstawie znacznego materjału, tak faktów jak i danych statystycznych, mówca przychodzi do wniosku o ujemnych wpływach warunków ekonomicznych, politycznych i zdrowotnych w jakich Żydzi pozostawali przez szereg stuleci. Warunki te wytworzyły swoistą patologję żydowską, która przejawia się w nadmiernej ilości nerwowo chorych i psychicznie chorych wśród Żydów, w braku poczucia czystości itp.

Pomimo jednak tych cech ujemnych, referent nie znajduje nic takiego coby wskazywało na degenerację narodu żydowskiego, przeciwnie, najstraszniejsze choroby, wywołujące zmiany anatomiczne w ustroju ludzkim, — jak alkoholizm i syfilizm, — są wśród Żydów jaknajmniej rozpowszechnione.

Wojna światowa, cierpienia i przeżycia w znacznej mierze osłabiły odporność organizmu u Żydów względem różnych chorób i w tem tkwi poważne niebezpieczeństwo.

Mówca proponuje wobec tego, aby równolegle z dążeniem do poprawy bytu ekonomicznego Żydów zabrano się do. gruntownego badania zjawisk biologicznych i patologicznych i w tym celu należy założyć centralne biuro statystyczne w jednem z większych centrów żydowskich. Należy prowadzić in-

tensywną propagandę, uświadamiającą konieczność czystości i wychowania fizycznego. Rząd i gminy żydowskie powinny przyjść z pomocą towarzystwom, opiekującym się zdrowotnością u Żydów.

Dr. Z. Tiomkin referuje „o emigracji".

Na podstawie dokładnych danych statystycznych mówca stwierdza, iż w przeciągu ostatnich 42 lat od roku 1881 do 1923 osiedliło się w południowej i północnej Ameryce około $2^1/_2$ miljona, a w Palestynie przeszło 70 tysięcy Żydów; wśród tych imigrantów było przeszło pół miljona rzemieślników i spora ilość robotników, która osiedliła się przeważnie w Argentynie, Kanadzie i Palestynie. Referent na mocy szeregu faktów i liczb statystycznych obala zarzuty czynione przez zainteresowane czynniki w Ameryce, dążące do ograniczenia wjazdu emigrantów żydowskich do kraju. Ograniczenie wjazdu dla emigrantów do Stanów Zjednoczonych, Kanady i Argentyny obniżyło emigrację ze 100.000 do 6-8 tysięcy Żydów rocznie.

Jako rezultat ograniczeń ostatniego roku pozostało w różnych portach europejskich około 10.000 emigrantów, którzy zlikwidowali wszystko co posiadali, a teraz nie mogą dopiąć celu.

Drugim referentem w tej samej sprawie jest p. Latzki-Bertholdi. On szczegółowo mówi o wrażeniach i doświadczeniach swoich z kilkumiesięcznego pobytu w Argentynie, dokąd jeździł z polecenia Wszechśw. Organizacji Pomocy. Stwierdza, iż główną przyczyną słabości Żydów argentyńskich było ich rozproszenie na wiele drobnych grup, które pomiędzy sobą się kłóciły i nawzajem sobie szkodziły.

W dyskusji nad powyższymi referatami wzięło udział bardzo wielu delegatów. Z wygłoszonych mów zasługują na uwagę następujące:

B. Locker wskazuje na wielkie szkody, jakie sprawia emigrantom nasza żydowska prasa emigrancka, która nie tyle troszczy się o losy emigrantów ile o własną kieszeń, t. j. o ogłoszenia towarzystw okrętowych.

Szereg innych mówców występuje ostro przeciwko ICA i przeciwko umowie, jaką Wszechśw. Org. Pomocy ma zawrzeć z ICĄ dla wspólnej pracy na polu emigracji Żydów.

W dyskusji zabrało głos przeszło 30 mówców.

Następne posiedzenie otwarte zostało referatem d-ra M. Pekera (z Warszawy) na temat „Problemat pomocy dzieciom". Referent na podstawie danych statystycznych wskazuje na olbrzymią śmiertelność wśród niemowląt żydowskich i na konieczność intensywnej walki z tem. Dalej referent zatrzymuje się nad sprawą opieki nad sierotami, których liczba według obliczeń mówcy, przekracza w Polsce 40 tysięcy. Referent wskazuje na wpływ demoralizujący i na niebezpieczeństwo narodowe i społeczne, jakie tak olbrzymia ilość sierot może wyrządzić, o ile się pozostawi ją bez opieki. Według obliczeń d-ra E. Hermana w ciągu 3 lat (1920-22) liczba spraw nieletnich w samej tylko Warszawie wzrosła o 300%, przyczem 80% dzieci stanowiły sieroty. Wstystko to wymaga czynnej współpracy społeczeństwa. Mówca szkicuje plan takiej organizacji, która winna objąć opiekę nad dzieckiem od pierwszego dnia jego pojawienia się na świat, aż do chwili, kiedy zostanie samodzielnem.

Posiedzenie tego dnia zakończono uroczystem podpisaniem tak zw. „Deklaracji genewskiej", traktującej o prawach dzieci. Deklaracja ułożona w językach: hebrajskim i żydowskim na pergaminie, została podpisaną przez wszyskich delegatów Zjazdu i wręczoną przedstawicielowi „Międzynarodowego Zrzeszenia Pomocy Dzieciom". Przy tej sposobności przewodniczący Zjazdu p. L. Motzkin, a także p. D. Jellin, p. Latzki-Bertholdi i przedstawiciel Międzynarodówki p. Gehri wygłosili okolicznościowe przemówienia.

Następne posiedzenia poświęcone były sprawom utworzenia „Żydowskiego Wszechświatowego Związku Opieki Społecznej" (refer. Jefrojkin) i założenia „Żydowskiego Banku Ludowego" (ref. Dr. Jochelman) i głosowanie uchwał.

Z przyjętych uchwał godne pamięci są następujące:

a) postanowiono utworzyć fundusz ratunkowy, który ma być użyty tylko w wyjątkowych wypadkach;

b) założyć „Żyd. Wszechśw. Związek Opieki Społecznej" z siedzibą w Paryżu;

c) rozpocząć intensywną akcję na rzecz emigrantów,

którzy utknęli w portach europejskich i nie mogą jechać do Ameryki, wobec ostatnich ograniczeń dla imigrantów;

d) utworzyć specjalny sekretarjat przy Centrali Związku dla spraw pomocy inteligencji żydowskiej, znajdującej się w ciężkich warunkach materjalnych; pomoc ta dotyczy wszystkich kategorji i form pracy intelektualnej, przyczem każda dziedzina winna stworzyć oddzielny pododdział;

e) założyć Centralny Instytut Statystyczny dla wszystkich dziedzin życia żydowskiego ze wszystkich krajów świata, oprócz tego nadal wydawać i subsydjować pismo poświęcone demografji, statystyce i sprawom gospodarczym Żydów;

f) umożliwić opracowanie i opublikowanie materjałów zebranych w sprawie pogromów żydowskich na Ukrainie.

Wreszcie wybrano Egzekutywę i Radę Centralną. W skład Egzekutywy wchodzi 16 osób, a mianowicie: Leo Motzkin (Paryż), Jefrojkin (Paryż), W. Latzki-Bertholdi (Berlin), adw. H. Sliozberg (Paryż), inż. W. Tiomkin (Berlin), Prof. Chajes (Wiedeń), Dr. A. Berger (Berlin), Dr. A. Klee (Berlin), Dr. D. Jochelman (Londyn), Dr. J. Brutzkus (Berlin), Prof. Dr. Eisler (Wiedeń), Rabin Dr. Weil (Paryż), poseł do parlamentu niemieckiego Dr. Oskar Cohn (Berlin), Friedland (Berlin), pani Anita Müller—Cohen (Wiedeń).

Rada Centralna składa się z 70 osób z różnych krajów.

Dr. M. Peker.

RECENZJE.

STURMAN MANFRED: Althebräische Lyrik, Nachdichtungen, mit einer Einleitung von Arnold Zweig. München, Allgemeiner Verlagsanstalt 1923, str. 198.

Literatura niemiecka posiada aż nadto tłumaczeń pieśni biblijnych, tak prozaicznych, jakoteż i poetyckich. Wünsche w swem dziele: „Die Schönheit der Bibel" cytuje poezje biblijne we wzorowych przekładach a także i po za tem istnieją tłumaczenia, które stoją bardzo wysoko pod względem poetyckim (Heller, Rappaport Moritz, Sachs, Kayserling etc. etc.). Mimoto należy niniejszy przekład uważać za wzbogacenie danej literatury, ileże młody poeta znakomicie umiał oddać piękność biblijną i nieraz w prostych słowach wypowiedział wzniosłe myśli. Odnosi się to przedewszystkiem do psalmów — których jest czterdzieści kilka — i do „Pieśni nad pieśniami". Słabsze są przekłady „Trenów Jeremiaszowych", choć i w nich nie brak ustępów podniosłych i zbliżonych do oryginału. Tłumaczy się ta różnica w tłumaczeniach właściwością psychiczną autora, który jest aż nadto spokojnym i który nie posiada ognia ni temperamentu starożytnego proroka. Pod względem typograficznym książka jest wydana wzorowo, oprawa bardzo gustowna.

M. B.

MALISZEWSKI EDWARD: Stosunki narodowościowe w Rzeczypospolitej Polskiej. Warszawa 1923. Pomarański i S-ka.

Instytut badań spraw narodowościowych w Polsce wydał małą broszurkę, w której pokrótce zestawia wyniki ostatniego spisu ludności w Polsce. Po kolei następują zwięzłe ustępy o Polakach, Rusinach, Litwinach i t. p. a wreszcie i o Żydach. Autor wyjaśnia, że dokładne

podanie liczby Żydów jest dzisiaj niemożliwe, gdyż jeszcze się nie ustaliły nastroje psychiczne, czyli że wielu Żydów nie zdecydowało swej narodowości (polska czy żydowska). I tak wyznania mojżeszowego jest w Państwie 10%, a narodowości żydowskiej tylko 7,7%. Autor nie wierzy temu, by tak wielki odsetek starozakonnych w istocie przyznawał się do narodowości polskiej, lecz pociesza się nadzieją, że to w przyszłości się stanie. Autor nie umie, czy też nie chce wytłumaczyć, dlaczego różnica w stosunku między narodowością a wyznaniem rośnie w kierunku ku wschodowi i płd. wschodowi, czyli że w rdzennej Polsce (prócz Warszawy) obie cyfry się prawie pokrywają, podczas gdy np. w województwie lwowskiem jest starozakonnych 11,5%, Żydów tylko 7%, w stanisławowskiem: 10,8% do 6,8%, w tarnopolskiem: 9,2 do 4,9% itp. My umiemy wytłumaczyć ten fakt zupełnie jasno. Oto przy spisie ludności panowie spisujący wykonywali na kresach znany z czasów austrjackich terror i zmuszali Żydów do podawania polskiej narodowości. Tym sposobem powstała cyfra ogólna: narodowości żydowskiej osób 2.102,000 czyli 7,7% podczas gdy osób starozakonnych jest nadto 23% czyli w całem państwie 10% t. j. 2,700,000.

M. B.

RUNDSTEIN SZYMON: „Polska ustawa o obywatelstwie z roku 1920 i traktaty wersalskie". Palestra, organ Adwokatury Stołecznej. 1924. rok I-szy Nr. 6—7.

Rozprawka powyższa ukazała się, jako odpowiedź na rozprawkę znakomitego znawcy prawa międzynarodowego, prof. A. de Lapradelle'a pod analogicznym tytułem („La loi polonaise de 1920 sur la nationalité et les traités de Versailles", Paryż 1924). Wywody mecenasa Rundsteina głęboko uzasądnione i oparte na subtelnej nad wyraz analizie stosunku stypulacji wersalskich wzgl. przepisów prawa pozytywnego w Polsce—redakcja „Palestry" rzuciła na rynek księgarski w oddzielnej odbitce. Godzi się też zapoznać krytycznie czytelników „Nowego Życia" choćby w formie recenzji z sporem między prof. Lapradell'em a mec. Rundsteinem, ileże spór ten dotyczy kwestji obywatelstwa, która była i do dnia dzisiejszego pozostała jedną z najdotkliwszych bolączek społeczeństwa żydowskiego w Polsce.

Prof. Lapradelle w rozprawce swej stawia Polsce 2 zarzuty: 1) wewnętrzne ustawodawstwo polskie co do obywatelstwa sprzeczne jest z postanowieniami traktatu o mniejszościach narodowych i 2) takaż

sprzeczność zachodzi między stypulacjami ryskiemi a postanowieniami traktatu wersalskiego,

Co do tego drugiego zarzutu przyznajemy najzupełniejszą słuszność mec. Rundsteinowi, że zarzut ten jest całkowicie bezpodstawny, albowiem nie jest on oparty ani na art. 3 ani też na art. 5 traktatu mniejszościowego. Wprawdzie wrazie zawarcia w przyszłości między Mocarstwami Sprzymierzonemi i Stowarzyszonemi a Rosją traktatu, któryby kwestję obywatelstwa polskiego byłych obywateli rosyjskich normował inaczej, niż traktat ryski, możnaby na podstawie art. 5 traktatu wersalskiego o mniejszościach uważać, że stypulacje ryskie winny być uzgodnione z tym ewentualnym traktatem przyszłym. Lecz jest to kwestja bez żadnej wartości realnej, a ponadto nie mogła ona uzasadnić zarzutu sprzeczności w przedmiocie obywatelstwa między stypulacjami ryskiemi a wersalskiemi.

Natomiast co do pierwszego zarzutu prof. Lapredelle'a, nie możemy przyjąć punktu widzenia mec. Rundsteina, mimo iż uzasadniony został w sposób do takiego stopnia subtelny i drobiazgowy, że argumentacja prawnika polskiego czynić musi na każdym nieuprzedzonym wrażenie kazuistyki djalektycznej, zmieniającej ex post do usprawiedliwienia ustawy w przedmiocie obywatelstwa z 1920 r., której to ustawie zadało cios stanowczy orzeczenie prawne (Avis consultatif) № 7 Stałego Trybunału Międzynarodowego z dn. 15 września 1923 r. co do obywatelstwa Niemców urodzonych w Polsce.

Osią całego sporu jest pojęcie domicylu. Wg. prof. Lapradelle'a oraz cytowanego oznaczenia Trybunału Międzynarodowego przez domicyl rozumieć należy „rzeczywisty związek" („ścisłe węzły"), łączący człowieka z pewnem kryterjum z mocy faktu głównego siedliska. Inaczej mówiąc, zarówno prof. Lapradelle, jak i Trybunał Międzynarodowy pojmuje domicyl jako pewien stan faktyczny, co zresztą w cytowanym powyżej orzeczeniu wyraźnie sformułowane zostało w słowach: „tamże stale zamieszkałych" (Y étant domiciliés) t. j. „żeby stale tam zamieszkali z poważnym zamiarem pozostania",

Temu pojmowaniu domicylu, jako stanu faktycznego, przeciwstawia mec. Rundstein zarzut, iż pojmowanie to jest wybitnie cywilistycznem, podczas gdy prawodawstwo b. zaboru rosyjskiego prócz cywilistycznego pojęcia domicylu, zna ponadto publicystyczne tegoż pojęcia, opierające się w pierwszym rzędzie na prawdzie formalnej (wpis do ksiąg ludności stałej (lub do ksiąg stanowych), choćby nie odpowiadała ona prawdzie materjalnej faktycznemu zamieszkaniu z poważnym zamiarem pozostania). Ponieważ zaś traktat wersalski nie określa pojęcia domicylu i, co więcej, między urzędowemi tekstami (francuskim i angielskim) zachodzą znamienne różnice językowe, przeto mec. Rundstein dedukuje stąd, iż kontrahenci wersalscy pojęcie domicylu odsyłali do norm wewnętrzno-państwowych in casu do norm obowiązujących w b. zaborze rosyjskim, bo wszak o to terytorjum głównie tu idzie.

W tym punkcie właśnie popełnia mec. Rundstein błąd zasadniczy. Stały Trybunał Międzynarodowy w cytowanem orzeczeniu po sformułowaniu jak wyżej pojęcia domicylu, oświadcza: „Kto wymaga więcej danych... nie interpretuje więcej Traktatu [wersalskiego — uw. moja] lecz układa nowy Traktat". Zważywszy, że opinje i orzeczenia Stałego Trybunału, jako organu Ligi Narodów, na którą z kolei kontrahenci wersalscy przenieśli już wiele i wciąż inni przenoszą swoje atrybucje i prerogatywy, mają niejako moc autentycznej interpretacji Traktatów wersalskich, przyjść musimy do wniosku, że nie odpowiada rzeczywistości twierdzenie mec. Rundsteina, jakoby Traktaty wersalskie pojęcia domicylu odsyłały do norm prawa wewnętrzno-państwowego. Natomiast stwierdzić należy, że z interpretacją stypulacji wersalskich przez Stały Trybunał pokrywa się stanowisko prof. Lapradelle'a. Wobec powyższego upada też cały gmach obrony ustawy z 1920, wzniesiony z talentem przez mec. Rundsteina, jako sprzeczny z autentyczną niejako interpretacją odnośnych postanowień międzynarodowych.

Warto zaznaczyć, że mec. Rundstein zacytował odnośne orzeczenie Stałego Trybunału zaledwie mimochodem, prawie lekceważąco i tym sposobem dopuścił się niemal takiegoż uchybienia względem istotnego stanu rzeczy, jak i to, które słusznie zarzuca prof. Lapradell'owi, a mianowicie: podanie art. 3 traktatu mniejszościowego w brzmieniu, nie odpowiadającem tekstowi urzędowemu. Przypisać to, być może, należy nieprzychylnemu nastrojowi, jaki panuje w Polsce względem Stałego Trybunału z tytułu kilku jego orzeczeń dla Polski niekorzystnych. Ale prawnik a w dodatku tak wybitny, jak mec. Rundstein, powinien znaleźć w sobie dość mocy dla przeciwstawienia się nastrojowi ogółu, kierującego się w swych sympatjach instynktem i uczuciem. Jeśli wszakże rozprawka mec. Rundsteina wolna była od uprzedzeń w stosunku do Stałego Trybunału, a pominęła tak ważne orzeczenie tego Trybunału jedynie dla względów propagandowych, to skuteczność takiej propagandy polskiej wobec zagranicy jest w każdym razie dość wątpliwa.

Spór między prof. Lapradelle'em a mec. Rundsteinem przedstawia szczególny interes dla społeczeństwa żydowskiego. Ustawa w przedmiocie obywatelstwa z 1920 r. pozbawiła tysiące Żydów możności nabycia obywatelstwa polskiego. Orzeczenie Stałego Trybunału Międzynarodowego oraz głos tak poważny, jak głos prof. Lapradelle'a wykazały, jak słusznem było żądanie społeczeństwa żydowskiego znowelizowanie ustawy z 1920 r. Tak poważne poparcie tezy żydowskiej odnośnie do kwestji obywatelstwa polskiego niechybnie odbije się korzystnie, przynajmniej w granicach praktyki administracyjnej, na ostatecznem uregulowaniu obywatelstwa polskiego dla tych Żydów, którzy mimo stałego faktycznego zamieszkania w Polsce, natrafiają na przeszkody w uznaniu ich za obywateli polskich.

L. H.

MESTEL JAKÓB: Notatki wojenne żydowskiego oficera מלחמה-נאטיצען פון א יודישען אפיציר. Warszawa 1924. Nakł. S. Jaczkowskiego, stron. 372.

Znam autora tych pamiętników od dziecka i pamiętam chwilę, w której mi przyniósł pierwszy tomik swych poezji p. t. „Prześnione godziny" (פערחלומ׳טע שעה׳ען) i pamiętam jak rzucił posadę nauczyciela w szkole ludowej im. Abrahama Kohna we Lwowie, by wstąpić... na scenę i to na scenę żydowską. Przyznać się muszę, że i mnie to bolało, niemniej niż jego ojca, Żyda lwowskiego, mieszkającego na żółkiewskiem gdzieś w okolicy Podzamcza. Lecz *spiritus flat ubi vult* i oto ten niespokojny duch Mestla uleciał na deski sceniczne i Mestel jest dziś w Ameryce znakomitym ulubionym artystą, a przytem zdolnym literatem żydowskim.

Lecz nie odrazu przyszła tak wysoka karjera, wiele trzeba było biedować w gimplowskim teatrze we Lwowie, a że nie było tu nadziei poprawy warunków, przeto wyjechał Mestel do Rumunji, gdzie łatwiej było o chleb i laury. Tu zaskoczyła go wojna. Jako chorąży rezerwy, któremu honor żydostwa był drogim, a przytem jako patrjota austrjacki (podobnie jak wielu Żydów) wrócił natychmiast do kraju i zgłosił się w swym pułku (80 pp.) w Złoczowie, skąd ze swą kompanją odrazu ruszył na front. A front ten był nader bliski, Złoczów leży prawie nad granicą rosyjską. Rychło przyszło tedy do utarczek, w których niewielkie oddziałki austrjackie zostały formalnie zmasakrowane. Wycofano je więc z linji bojowej i dla „rekreacji" posłano na Węgry, pchając w ich miejsce świeże oddziały. Lecz i nowe oddziały nie wytrzymały gwałtownego naporu wojsk rosyjskich, po bitwie pod Krasnem zajęli Moskale Lwów, a stoczywszy zwycięską bitwę pod Gródkiem Jagiellońskim, zdobyli przejście przez Wereszycę i zalali Galicję po Dunajec.

Mestel należał zrazu do oddziałów broniących Karpat od strony węgierskiej, po kilku tygodniach został jednak odesłany wraz z kilkunastu innymi oficerami do armji zdobywającej z powrotem Galicję od zachodu. Wziął udział w odsieczy Przemyśla, a potem należał do owych nieszczęśliwych, którzy tylekroć zdobywali osławioną górę Magierę. A straszny to był bój około tej góry, kule rosyjskie dziesiątkowały austrjackiego żołnierza, iść w ten bój znaczyło iść na pewną śmierć, o cofaniu się również nie było mowy. Mestel wytrwał na stanowisku, choć z jego oddziału zostało ledwie kilkunastu żołnierzy, a także i oficerowie jużto polegli, jużto ciężko ranni dobijali się do

lazaretów. Rychło jednak i na niego przyszła kolej. Ranny w rękę i w nogę, zasypany ziemią, stracił przytomność i począł walczyć ze śmiercią. Wyniesiony z pola walki, cudem dostał się do polowego lazaretu, skąd posyłany etapem, znalazł opiekę i pomoc lekarską w arystokratycznym domu żydowskiego bankiera w Budapeszcie, który u siebie urządził lazaret dla rannych żołnierzy. Tu wyzdrowiał i stąd... Na tem urywa się opowiadanie, pełne grozy ale też i pełne dowcipu. Mestel jest doskonałym obserwatorem, więc też nic nie ujdzie jego uwagi. Dzielność żołnierza i tchórzostwo oficera, bezradność władz i nienawiść ku Żydom, oto wszystko co poznajemy z tego pamiętnika. A równocześnie poznajemy także mobilizację austrjacką, niedołężnie prowadzoną i nienależycie przygotowaną, widzimy pochód armji szybki a bezładny, niszczenie miast i wsi, kiepską prowianturę, hulaszcze życie oficerów w sztabach i nędzę oficerów w okopach. A także i zepsucia dziewcząt i kobiet (szczególnie żydowskich) na terenach przywojennych maluje autor w jaskrawych barwach, przyczem wyjaśnia nam, że przyczyną tegoż zepsucia był głód i brak bezpieczeństwa osobistego. Rozpasana soldateska dopuszczała się nadużyć i gwałtów, o których w czasach pokojowych nikt nawet nie śmiał marzyć,

Najpiękniejszemi jednak w tej książce są opisy bitew, ataków, zdobywania pozycji, okopów nieprzyjacielskich, mostów i t. p., a grozą śmierci tchnie opis walk około góry Magiery. Prawie że widzimy błysk ognia, słyszymy ryk armat i grzechot karabinów maszynowych, krzyki rannych, jęki konających i owe straszne rzężenie przedzgonne, oznaczające rezygnację tylu młodych ludzi...

Mają jednak pamiętniki Mestla wielki błąd, który obniża ich wartość historyczną aż nadto. W trakcie pisania tychże pamiętników nie notował autor nazw miejscowości wsi, miast, rzek i ludzi, gdyż w czasie wojny było to zabronione. Przed oddaniem rękopisu do druku winien był te luki uzupełnić, o ile chciał nadać tym pamiętnikom jakąkolwiek wartość (poza literacką), a nadto winien był dodać do nich mapkę sytuacyjną pochodów i bitew tamże opisanych. Mestel zaniechał tego i tem zupełnie uniemożliwił orjentowanie się w swej książce. Same inicjały nie wystarczają bowiem do tego i czytelnik stoi często bezradny i nie wie gdzie się znajduje i co mają znaczyć początkowe litery nazw geograficznych.

Radzę autorowi i wydawcy — o ile nie można juz inaczej — bodaj dodać przedmowę, a w niej plan sytuacyjny i wyjaśnienie skrótów, zawartych w samem opowiadaniu. Uważam to za bardzo potrzebne w interesie autora i jego dzieła.

M. B.

ZYGMUNT BROMBERG-BYTKOWSKI: „Pieśń nad pieśniami", ilustrował Artur Szyk, do druku przygotował, wstępem i słowem o „Pieśni nad pieśniami" zaopatrzył Wilhelm Fallek. Nakładem Komitetu uczczenia pamięci Zygmunta Bromberg-Bytkowskiego, Łódź, 1924 — 5684 str. 70.

Bardzo niewielu mamy poetów żydowsko-polskich, a ci którzy są, unikają zazwyczaj tematów żydowskich jak ognia, by broń Boże nie zdradzić lub nie przypomnieć swego pochodzenia. Tem tłumaczy się prawie że zupełny brak w literaturze polskiej poetyckich tłumaczeń poezyj biblijnych oraz utworów hebrajskich z epoki średniowiecznej.

Podczas gdy niemcy przyswoili sobie Judę Halewjego, Gabirola, Mojżesza ibn Ezrę i całą plejadę pieśniarzy hebrajskich (Heller, Krisseller, Rappoport, a z nowszych Müller, Feiwel i t. p.) u nas wieje pustka. Nieliczni pieśniarze polscy, jak Pajgert, Ujejski, Żuławski przyswoili wprawdzie literaturze polskiej nieliczne ułamki z literatury hebrajskiej, lecz je tak mocno spolszczyli (Ujejski), że w istocie niewiele w nich zostało z ducha mistrzów harfy nadjordańskiej.

„Pieśń nad Pieśniami", ów najstarszy może pean miłości, miał więcej szczęścia u nas, niż inne utwory biblijne i średniowieczne; próbowali go przełożyć liczni poeci, a dokonało tego w całości aż trzech: Żuławski, Dan i nasz Bromberg. Nie tu miejsce na porównanie wartości tych przekładów, dokona tego później bardziej miarodajne pióro krytyka literackiego, tutaj chciałbym tylko zauważyć, że przekład Bromberga jest najbardziej żydowski i brzmi najpiękniej po polsku. Żydowskim jest, bo Bromberg był Żydem i to Żydem gorącym, miłującym bezgranicznie swój naród i jego skarby duchowe, a nadto sam pejsaż, na którym się rozgrywa niewielka akcja poematu jest również najlepiej u niego ujętym, ileże Bromberg własnemi oczyma patrzył na krajobraz palestyński, widział wschodzące słońce nad białym Libanem i zachodzące nad morzem Śródziemnem i ową prawdziwą zieleń na dolinie Saronu, gdzie piękna Sulamit szukała swego kochanka. Poetą z Bożej łaski był Bromberg i na ziemi Bożej szukał i znalazł natchnienie. Dlatego jego opisy natury są przepojone słońcem południa, jego Sulamit jest namiętna jako córy Judei, a jego Salomon mówi językiem bogatym i pełnym obrazów, jako niegdyś mówił prawdziwy kochanek śniadej Sulamity.

Jasnem jest, że tłumaczenie to nie jest dosłownem, ileże nie mogłoby być poetyckiem, więc też jestem pewny, że krytycy, szczególnie znawcy biblji niejedną odszukają w niem

nieścisłość, lecz to są drobiazgi, które nie zdołają ująć piękności temu artystycznemu przekładowi, i pójdzie „Pieśn nad Pieśniami" w przekładzie Bromberga w świat i przez wieki zachwycać się nią będą dusze zakochane i esteci literatury.

Przekład „Pieśni nad Pieśniami" powstawał długo; jeszcze w Palestynie marzył o nim Bromberg, a pracował nad nim o wiele później, pracował długo i wytrwale. Marzył o tem, by wydać „Pieśń" wspaniale, z ilustracjami wielkiego malarza żydowskiego zrazu Wachtla, potem Liliena, a ostatnio Szyka. I spełniło się jego marzenie, lecz sam Bromberg nie doczekał tego. Nielitościwa śmierć wyrwała go z grona żyjących i dopiero przyjaciele i koledzy obrócili w czyn marzenie wielkiego poety i wydali jego „Pieśń nad pieśniami" wspaniale, bardzo wspaniale, jak przystoi dla uczczenia pamięci wielkiego w Izraelu. Artur Szyk ozdobił wydanie to swemi pięknemi arcysubtelnemi miniaturami, które znakomicie stosują się do subtelnej natury tłumacza i subtelności samego utworu. Szkoda tylko, że nie wydano ich w kolorach, jako są prawdopodobnie w orginale, a wówczas dopiero odpowiadałyby bogactwem barw bogactwu słów, opisów i żarowi miłości. Piękną jest Sulamita u Szyka, skrômna i jakby płocha, kochanek jej zaś, młody hebrajczyk, który raczej smutno, aniżeli namiętnie patrzy na swoją ukochaną. Ilustracje te są godne osobnego opisu i analizy i przypuszczam, że znajdzie się krytyk, który je należycie oceni. Mnie osobiście zajmuje przedewszystkiem miniaturka, umieszczona przed wstępem tłumacza, na której wśród bogactwa motywów wschodu, pod koroną, umieszczone są dwa oddzielne od siebie obrazki. Na głównym widzimy samego Bromberga „w dumania godzinie", jak wyglądał w ostatnich latach życia, a na drugim Dawida czy Salomona, króla Judy z harfą w ręku. Wizja to poety, czy wizja marzącego Żyda narodowego?! Wszystko jedno, malarz pojął treść życia Bromberga i na tymże małym obrazku przekazał ją przyszłym pokoleniom...

Tłumaczenie Pieśni poprzedza poetyckie słowo „Od tłumacza", które dajemy w niniejszym numerze „Nowego Życia" (str. 68) oraz pięknie napisany życiorys Bromberga pióra dra Wilhelma Falleka, który, dzięki życzliwości autora, umieściliśmy z rękopisu w I n-rze „Nowego Życia" (str. 48-59).

Przy końcu książki umieścił dr. Fallek obszerniejszą rozprawę (studjum) na temat autorstwa i treści „Pieśni nad pieśniami", która wskazuje na wielkie oczytanie autora i znakomicie rozwinięty u niego zmysł krytyczny.

Całość wydawnictwa przedstawia się wspaniale i winna się znaleść w każdym inteligentnym domu żydowskim w Polsce.

M. B.

FRENK E. N. i ZAGORODZKI Ch I.: Die Familie Dawidsohn די פאמיליע דאװידזאהן (Rodzina Dawidsohn) mit Bilder und Faksimilen. Nakładem M. I. Freida. Warszawa 1924 str. 105 XXVIII.

Niniejsza książeczka jest pomyślana jako pierwszy tom biblioteki rodzinnej żydowskiej i w istocie dobra to myśl autorów, czy też wydawcy, zgromadzić materjał, leżący gdzieś w szafach, czy też po strychach, zebrać legendy i tradycje rodzinne i z nich zbudować dzieje rodzin żydowskich, zbudować popularnie, wydać pięknie, estetycznie żydostwu na chwałę, młodzieży na pożytek. Nie wiele u nas zrobiono na tem polu, ledwie kilka rodzin ma opracowane swe dzieje (Ginsburgowie, Horowitze, Landauowie itp.), lecz nie są to opracowania we właściwem słowa znaczeniu, lecz jeno drzewa genealogiczne, około których nieraz się wiją suche szczegóły historyczne.

Niniejsze opracowanie jest zupełnie odmienne od tamtych. Tu nie chodzi o geneologję Dawidsohnów, która i tak daleko wstecz nie sięga i na którą z góry patrzą prawdziwi „arystokraci żydowscy", wywodzący swój ród od Rasziego (?) lub nawet króla Salomona, (?) lecz tu mamy kilka dobrze napisanych życiorysów, z których, jakby z ram, wyglądają portrety dobrego pędzla i dobrej szkoły. A więc przedwszystkiem treść pierwszego z Dawidsohnów: Hirsz z Secymina, bogacz, kupiec, działacz na przełomie XVIII i XIX wieku, który umierając przekazał swą ostatnią wolę w nader pięknym testamencie, a swój majątek licznym fundacjom i synagogom w swym ojczystym Seceminie, w Krakowie i w Warszawie.

Zięć jego, to pierwszy znany nam Dawidsohn, rabi Chaim, kupiec, uczony i działacz, filar gminy warszawskiej, a przytem twardy jak wszyscy Dawidsohni, wróg chassydyzmu, a nie wielki przyjaciel haskali. W 80 roku życia — po śmierci rabina Lipszütza — został on wybrany rabinem warszawskim i na tem stanowisku wytrwał do śmierci (1854). Po nim został rabinem warszawskim znany Ber Bejsels.

Jednym ze synów rabi Chaima był Naftali Dawidsohn, a jego synem był niedawno zmarły „dozór" Leibuś Dawidsohn. Ten ostatni był wcieleniem wszystkich zalet i wad dawidsohnowskich i stał się typem warszawskiego „obywatela". Jak członek zarządu gminy (dozór) a pod koniec zastępca prezesa (a w istocie prezes) prowadził on rządy w gminie żelazną ręką, tak, że przypominał już zapomniane typy seniorów kahalnych z czasów dawnej Rzeczypospolitej. Urodzony arystokrata, nie

mający zrozumienia dla rządów demokratycznych, ani dla ducha czasu, przypomniał żywo dawnych monarchów z epoki oświeconego absolutyzmu, którzy wszystko chcieli uczynić dla ludu, lecz nie za pośrednictwem tegoż ludu. Synowie Lejbusia to nasi Dawidsohni dr. Noe, dr. Józef i inni.

Kilka dokumentów odnoszących się do publicznej działalności tejże rodziny, oraz kilka portretów i pamiątek rodzinnych, wśród nich haftowana chorągiewka rzekomo pułku żydowskiego z okresu powstania listopadowego — oto co się przyczynia do uzupełnienia i zdobi to dziełko, a przynosi to chlubę autorom i wydawcy.

M. B.

NOWE ŻYCIE

Rok I. Nr. 5.	MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY NAUCE, LITERATURZE I SZTUCE ŻYDOWSKIEJ.	LISTOPAD 1924

Prof. Sz. DUBNOW.

Z MOJEGO DZIENNIKA.

(Wyjmki).

Petersburg, 8 marca 1917.

...Rewolucja ta ma w sobie coś takiego, co robi bardzo dziwne wrażenie: wiosenne słońce i przejmujący zimowy chłód — zupełnie tak samo, jak dzisiejsza pogoda. Jest widno — ale brak ciepła. Czy to dlatego, że na frontach mają się rozegrać straszne wypadki, czy też dlatego, że w głębi armji i w masach chłopskich rewolucja z kontrrewolucją mogą lada chwila skłębić się w jedną krwawą masę — na sercu wcale nie wesoło, a dusza odczuwa niepokój. Na pierwszy rzut oka zdaje się, że wszystko w porządku: równouprawnienie przyszło nagle, zupełnie niespodzianie; to, o cośmy dziesiątki lat walczyli, zostało, zdaje się, osiągnięte; znienawidzone państwo policyjne, źródło naszych cierpień, zostało obalone. Naszym żydowskim działaczom ofiarowują tytuły senatorów, stanowiska w ministerstwach i inne. A jednak na sercu niema

wiosny. — Wczoraj w południe na posiedzeniu politycznego „plenum" winszowaliśmy sobie wzajemnie i postanowiliśmy przesłać pismo powitalne Rządowi Tymczasowemu i Radzie Robotniczej, ale uczyniliśmy to bez szczerego porywu. Nie było zapału ani w wygłaszanych zdaniach ani w samem postanowieniu.

Wielkie jeszcze było niebezpieczeństwo kontrrewolucji i tej prawdziwie rosyjskiej „paniki", która, jak krwawy potok towarzyszy każdemu przewrotowi. Wszędzie widać pierwsze oznaki zbliżająąaej się katastrofy: we wzajemnych mordach załogi floty bałtyckiej, w pierwszych pomrukach ruchu agrarnego, w ukrytej agitacji czarnej sotni, w niebezpieczeństwie głodu na froncie i poza frontem. Groza wojny ciężkiem brzemieniem legła na rewolucji, a chęć zakończenia wojny spowoduje rozpętanie burzliwego patrjotyzmu, który z kolei, jak zwykle, rozleje się w „rosyjskie" pogromy, a jej pierwszemi ofiarami będą Żydzi.

I tak się dusza błąka między nadzieją a troską i niema pełnego uczucia politycznej wiosny.

22 marca.

Dzień bardzo znamienny. Dziś Rząd Tymczasowy ogłosił oświadczenie w przedmiocie wszystkich ograniczeń narodowościowych i religijnych, t. j. oświadczenie w przedmiocie żydowskiej emancypacji w Rosji. Ziścił się sen całego życia, cel cierpień i walk czterech dziesiątków lat. W tej chwili nie mogę jeszcze objąć całej dramatycznej doniosłości niniejszego aktu. Później, kiedy się odeń trochę oddalimy i ze słonecznego nieba historji ustąpią owe straszne chmury w postaci niemieckiego Hannibala, stojącego u wrót, i groźnego obrazu kontrrewolucji i anarchji, poczujemy jak z nowego źródła jasności spływa na nas ciepło i światłość.

...Wracając z miasta, widziałem ludzi biegnących do domu, z „wygranym losem" — funtem chleba pod pachą. Pomyślałem sobie wówczas: „czy nie stoimy na brzegu

przepaści"? Potęga rewolucji i bezsilność w walce z głodem, wszystkie wolności polityczne i niedostatek chleba, który może przejść w zupełny jego brak — jakże te sprzeczności podziałają na ciemne masy?

25 marca (Pierwszy dzień *Paschy*).

Pierwszy Pesach, święto żydostwa, oswobodzonego z rosyjskiego Egiptu, spędzam w cichej samotności.

W dniach tak burzliwych unikam towarzystwa, ponieważ dom mój wciąż jeszcze jak szpital wygląda, a sam się też słabym czuję.

Chwilami sobie myślę, że za późno przyszła wolność, o której śnił i o którą walczył więzień z ghetta... Ziemię obiecaną ujrzę z wierzchołka góry, lecz do tej ziemi nie wejdę...

7 kwietnia.

Do mojej książki „Panowanie Mikołaja II" dodałem nowe ustępy. Rękopis, który swego czasu wysłałem do Ameryki, został mi zwrócony z „czarnego gabinetu" cenzury, gdzie przeleżał całych 13 miesięcy. Dodatki, w których obecnie, wyjaśniam rolę cesarza w polityce pogromowej, wysłałem wczoraj do Ameryki*). Cenzura już teraz rękopis przepuści, ale niemiecka łódź podwodna może go jeszcze w drodze zatopić.

14 maja.

Wczoraj o 2-giej w nocy, t. j. o świcie, wracałem do domu białemi ulicami wzdłuż Newy. Wracałem z posiedzenia, na którem wybierano przedstawicieli narodowości żydowskiej do Komisji przygotowawczej przyszłego Zgro-

---

Dla „Historji Żydów w Rosji", która wyszła w języku angielskim w 3-ch tomach.

madzenia Ustawodawczego. Siedziało się do późnej godziny, ponieważ socjaliści spierali się między sobą i z nami. A gdy zaczęło świtać, stały już na ulicach przed kramami z chlebem szeregi kobiet, czekających na chleb, a na Troickim placu, koło sztabu leninowców, już się gromadziły małe wiece żołnierzy i robotników. Te małe gromadki, zbierające się w nocy — to tu, to tam — wielkie jeszcze klęski spowodują.

28 maja.

W tych dniach byłem obecny na otwarciu Wszechrosyjskiego Zjazdu Sjonistów. Witając zjazd, podkreśliłem, że należy antytezę Syjon — Golus zastąpić syntezą. Ale kogo to obchodzi?...

Patrzę się w oczy potworowi anarchji i wojny i silę się odgadnąć, co z tego wyniknie.

9 czerwca.

Gorące i wrzące dni w politycznie kipiącym Petersburgu, który burzy się i kipi dziesiątkami zjazdów, wiecami, wystąpieniami anarchistycznemi, potokami płomiennych haseł, rzucanych przez demagogów ciemnym tłumom... Wczoraj wziąłem udział w pewnem żydowskiem zgromadzeniu, które się odbyło w sali Giełdy. Wystąpili W. i S., delegaci wojskowi i inni. Celem zgromadzenia był protest przeciwko anarchji, która wokoło panuje. Zwróciłem uwagę zgromadzenia na głęboko zakorzenione zło, na przewagę momentu klasowego w ruchu rewolucyjnym, na to, że ruch rewolucyjny paraliżuje się przez niepodporządkowanie momentu klasowego zasadom narodowym i państwowym... Na wiecu były również i słabe mowy, prawdziwe wiecowe wystąpienia.

Sylomiagi (Estonja), 5 lipca.

Sprawdziło się to, czego się obawiałem. Wczoraj jeszcze panował teror w Petersburgu. Na ulicach strzela-

nina z ofiarami w zabitych i rannych, pogromy urządzane przez żołnierzy i tłum, składający się z szumowin rewolucji i reakcji. Na Rynku Aleksandryjskim usiłowano podburzyć tłum do pogromu żydowskiego.

8 lipca.

...Głupi bunt, który kosztował setki ofiar, doprowadzi do tego, że społeczeństwo cofnie się na prawo. Wzmocni się również czarna kontrrewolucja. W Petersburgu, w Pawłowsku i w innych miejscowościach szerzą już agitację pogromową przeciwko Żydom, co wywołuje dziką panikę.

22 lipca.

...Donoszą o strasznym fakcie. Armja rosyjska, a w szczególności kozacy, podczas „wspaniałego natarcia" w czerwcu na nieprzyjaciela wycięła i splądrowała w galicyjskiem miasteczku Kałuszu całą ludność żydowską, gwałciła kobiety i t. p. — Wszystko to odbywało się wedle wzoru tej samej armji z czasów caryzmu lat 1914—1915. Człowiek-zwierzę pod maską „rewolucyjnego bohaterstwa" nie stał się bardziej ludzki...

Petersburg, 23 sierpnia.

Rosja toczy się w przepaść — a żydostwo rosyjskie? I ono stoi na brzegu przepaści... Niech się tylko rozpętają bunty głodowe i pogromy. Już teraz widać złowróżebne oznaki: w Petersburgu i Moskwie bito żydowskich kramarzy, żydowskich, a nie innych... Cóż więc będzie na prowincji, szczególnie wtedy, kiedy się doczekamy demobilizacji?

28 sierpnia.

...Dziś rano przyjeżdżam na konferencję „Partji ludowej", nie wiedząc nic, co się na świecie dzieje; w ponie-

działki bowiem gazety nie wychodzą. W korytarzu domu, w którym się ma odbyć posiedzenie, pokazują mi dodatek nadzwyczajny gazety o zdradzie Korniłowa. Udaję się na górę. Wszyscy już wiedzą o tej okropnej nowinie, ale „nil admirari".

Mówca mimochodem wspomina o tym kryzysie i przechodzi zaraz do odpowiedzi opozycji w sprawie taktyki wyborczej do Zgromadzenia Ustawodawczego.

Posiedzenie trwało z przerwami dzień cały i zakończyło się informacjami o przebiegu pracy organizacyjnej na prowincji. Koło wieczora wróciłem do domu i z gazet wieczorowych dowiedziałem się, że wojska Korniłowa maszerują na stolicę. Jakie wypadki rozegrają się tej nocy, o tem opowie przyszły historyk. Tak nam upływa życie... W jeden kłębek splątane są życie i śmierć, odrodzenie i upadek. Przechadzamy się spokojnie po brzegu przepaści, kt óra jutro wszystkich nas, być może, pochłonie...

20 września.

W „kolejkach" przed kramami tłum rozprawia o tem, że przyczyną wszystkich nieszczęść są Żydzi, którzy się bogacą na wojnie i na krzywdzie ludu, że Żydzi zagarnęli w swe ręce władzę w dumach miejskich i instytucjach państwowych. Podobne gadki noszą w sobie zaród zemsty i mordu.

Stara maszyna została znów w ruch puszczona i rosyjski lud prosty znów gotów jest każdej chwili pogrom urządzić...

1 października.

...Po Rosji rozlewa się fala pogromów. Miejscami pogromy żydowskie już się odbyły: Tambów, Bendery, gubernja Podolska"... Stara nuta w nowej pieśni...

8 października.

Na zebraniu wyborczem do Gminy Żydowskiej miałem za zadanie nawiązać wybory do politycznego momentu. Scharakteryzowałem to w następujący sposób: nieprzyjaciel stoi prawie u wrót stolicy, w całem państwie szaleją nawalnice anarchji, bunty głodowe i pogromy żydowskie... Państwo jest bezsilne wobec ludzi-zwierząt. Wysyła się żołnierzy celem powstrzymania pogromszczyków, lecz żołnierze łączą się z rabusiami, upijają się wódką ze zrabowanych magazynów wódczanych i prowadzą pogrom z większą jeszcze ochotą i impetem...

19 października.

...W Radzie Republiki toczą się spory na temat polityki zagranicznej i obrony kraju. Bolszewicy szykują się tymczasem do krwawych buntów, które niepokoją miasto. Bunt wyznaczono na jutro, ale możliwie, że będzie na kilka dni odłożony... Cóż z tego? Będą mordować i rabować, — jesteśmy, chwała Bogu, do tego przyzwyczajeni...

Dziś wieczorem miał się odbyć wielki wiec, na którym miałem wygłosić referat na temat: „Narodowo-polityczne zadania gminy żydowskiej". Wczoraj, gdym szedł Kamiennoostrowskim prospektem, rzuciły mi się w oczy wielkie litery ogłoszenia o moim referacie, który mam wygłosić i o którym zupełnie zapomniałem śród trosk dnia.

24 października.

W Petersburgu anarchja doszła do ostatnich granic. Bolszewicy wypowiedzieli rządowi i Radzie Republiki wojnę i utworzyli wojenno-rewolucyjne komitety... Zbiegli żołnierze, przestępcy i czarnosecińcy, od których roi się w mieście, mogą werwać się do mieszkań, rabować i mordować... Każdej chwili może wpaść z ulicy banda chuliganów. Nasz komitet domowy postawił straż, ale jakie ona ma znaczenie wobec rozjuszonej tłuszczy? Mapą geograficzną za-

wiesiłem drzwiczki od skrytki w ścianie, w której przechowuję drogie rękopisy. Oto wszystko, com mógł uczynić...

5 listopada.

Dziwny wieczór. Dawno już nie miałem u siebie gości, a dziś miałem ich odrazu kilku. Niektórzy z nich przyszli do mnie z propozycjami, które są tak dalekie od tego, co się w tej chwili rozgrywa... Przedstawiciele kółka żydowskich studentów wojskowo-lekarskiej Akademji proszą, żebym im wygłosił kilka wykładów o historji; redaktor G. prosił o artykuł do czasopisma historycznego. Spytałem studentów: „czy rzeczywiście jesteście teraz w stanie wysłuchać z zajęciem odczytu o historji"? Spytałem redaktora: „czyż możemy teraz myśleć o czasopiśmie historycznem"? Wszystko to należy już do epoki przedpotopowej, a teraz w całej pełni przeżywamy potop. O tym to właśnie potopie rozmawiałem z innymi gośćmi z „Komitetu ochrony ojczyzny i rewolucji". Nikt nie wie, co będzie... Nie wiemy co się dzieje na prowincji: Petersburg tak jest odcięty od prowincji, jak w czasach, kiedy jeszcze nie było telegrafu. Dochodzą nas głuche wieści. Poczta nie przychodzi od paru już dni. Może gdzieś w południowych częściach kraju odbywają się pogromy żydowskie?...

13 listopada.

Cały kraj ugina się pod ciężarem rządu bagnetów i pod tym znakiem rozpoczęły się wybory do Zgromadzenia Ustawodawczego. Dziś oddam swój głos... Ale jak tu wierzyć w parlament, kiedy wybory odbywają się w atmosferze wojny domowej, terroru i pogromu?...

28 listopada.

Tylko co otrzymałem wiadomość z Odessy o śmierci Mendele-Abramowicza. Zeszedł ze świata 85 letni sta-

rzec — jasna gwiazda najlepszych dni mego życia. A teraz, w mroźną noc zimową, w stolicy północnej, w ogniu wojny domowej opłakuję i śmierć przyjaciela i wspomnienie tych lat, które spędziłem w Odesie z tym potężnym duchem...

Wojska angielskie wkroczyły do Jerozolimy. Skończyła się epoka panowania tureckiego w Palestynie... 1517 — 1917 — akurat 400 lat. Czy się to długo utrzyma? Pod wpływem agitacji sjonistycznej nasze masy zaczynają wierzyć w wolną żydowską Palestynę, ale napewno będą zawiedzeni w swych nadziejach. A jednak, jakaś perspektywa otwiera się dla naszego palestyńskiego ośrodka — świecący punkcik pośród egipskich ciemności...

Petersburg, 7 stycznia 1918.

Nie bardzo mi się chciało pierwszego dnia Nowego roku zrobić bilans roku ubiegłego. Bilans wypadł smutny: rewolucja utonęła w błocie niskich instynktów... Kiedyś chyba wyjdziemy z błota epoki przejściowej, ale nigdy nam nie wybaczą, że żydowscy spekulanci rewolucji wzięli udział w bolszewickim terrorze. Żydowcy towarzysze i współpracownicy Lenina: Troccy, Uryccy zaćmiewają swego mistrza. „Instytut Smolny" pocichu nazywają „Centrożydem". Później o tem będą mówić na głos, i antysemityzm wszystkich warstw rosyjskiego społeczeństwa zapuści głębokie korzenie. Grunt dla antysemityzmu kulturalnego jest już przygotowany...

22 stycznia.

Dziwne są koleje życia. Ból, spowodowany grozą wojny domowej, tłumię studjami nad epoką kalifatu. Wczoraj, w samym środku pracy nad „*Resz Galuta* w legendzie arabskiej" udałem się na zebranie w związku z wyborami na Zjazd Żydowski, żeby odczytać referat na temat: „Obecna sytuacja a Zjazd Żydowski". W sali „Wyższych kursów

żeńskich" na wasilewskiej wyspie, oświadczyłem, że Zjazd winien zająć się nietylko zagadnieniami chwili, lecz jasno i niedwuznacznie określić swój stosunek do ogólnego stanu politycznego: do grubej samowoli bolszewickiej, niebezpiecznej nietylko dla wolności narodowościowej, ale i dla politycznej i obywatelskiej. Za takie wystąpienie mogą nas rozpędzić, jak to uczyniono z pierwszym parlamentem rosyjskim, ale postaramy się umrzeć piękniej, niż tamten.

To stanowisko stało się przedmiotem sporów i różnica zdań nagle stała się interesująca. Wystąpił jakiś oponent, młody socjalista, który oświadczył, że kiedyś mnie uważał za swego mistrza i duchowego przewodnika, uczył się bowiem z moich książek, lecz potem oddalił się odemnie i po dziesięcioletniej praktyce, odbytej w więzieniu, przystąpił do skrajnej lewicy, t. j. do bolszewików. Obecnie czuje się dotkniętym, ponieważ scharakteryzowałem żydowskich bolszewików jako zdrajców, spekulantów i bezmyślnych ludzi. Niezadowolony jest również z mego wniosku, żeby Zjazd wypowiedział swoje zdanie o bolszewiźmie i żeby w imieniu żydostwa wyrzekł się tego nowego despotyzmu, który w przyszłości wywoła pogromy, głównie żydowskie, i pogłębi antysemityzm wśród rosyjskiej inteligencji. Mimochodem wspomniał, że wobec bagnetów kronsztackich marynarzy żadne bohaterstwo nie pomoże...

Nastrój na posiedzeniu jest ożywiony, bo się okazało, że oponent jest zastępcą Komisarza do Spraw Żydowskich, mianowanego przez bolszewików. Dopiero dziś rano był w pismach dekret o tem. Powiedziano mi to podczas dyskusji z moim oponentem. Wtedy to odpowiedziałem mu jeszcze ostrzej i oświadczyłem, że ludzie, którzy przetrwali panowanie Aleksandra III i Mikołaja II nie ulękną się bagnetów pijanych marynarzy kronsztackich.

Mówiłem również o etycznym socjaliźmie, o socjaliźmie grubej siły fizycznej i t. p. Słuchacze oklaskiwali mnie; inni również dobrze przemawiali...

Opuściłem zebranie, nie czekając końca. Wyszedłem na gwarne ulice, po których od wczesnego rana ciągnęły chrześciańskie procesje religijne, protestujące przeciwko

zagarnięciu przez bolszewików klasztoru Aleksandro-Newskiej Ławry, w Petersburgu.

Wróciwszy do domu, długo rozmyślałem. Jedni z moich „uczniów" zostali bolszewikami, inni (jak się wyraziły w swoich przemówieniach niektóre kursistki) łakną słowa z ust historyka i są przywiązani do swego narodu, a „mistrz", żeby nie stracić równowagi ducha, musi się zagłębić w epoce kalifatu...

Dr. MAKS BIENENSTOCK.

Nowe prądy w literaturze nowożydowskiej. *)

I. Pogląd ogólny.

Przyszły dziejopis kultury będzie stał przed nielada zadaniem. Ujęcie wszystkich zbieżnych i rozbieżnych tendencji, jakie cechują nasze życie obecne, będzie tem trudniejsze, im bardziej zróżniczkują się jeszcze obecnie już i tak zróżniczkowane objawy rozwoju, wyłaniające się z kosmiczną wprost koniecznością z chaotycznego kotła kipiącej we wszystkich dziedzinach twórczości ludzkiej. Jesteśmy czynnymi i współdziałającymi świadkami przewrotów, które nie pomijają ani jednej strony wyżycia się ducha ludzkiego i z równą siłą i fascynującą mocą docierają do głębin serca i myśli, nie wyłączając żadnej formy społecznego bytowania. Współdziałają w nich momenty wszelakiego rodzaju, od najmaterjalniejszych do najidealniejszych, jedne przewalają się nad drugimi, jedne wkraczają w zakres drugich, wszystko rwie się do życia, szuka dróg stawania się, przeistacza się z form starych, przeżytych lub zużytych w nowe, młode, pełne energji i żywiołowości, rozsadzające konwenanse i normy, prawa tradycji i przyzwyczajenia. Znikła, zda się, bezpowrotnie romantyka spokoju, ciszy, zadowolenia, niezbyt wysokich wzlotów, niezbyt tragicznych smutków, niezbyt głębokich bólów, jakie cechowały wiek ubiegły. Katastrofa wojny światowej, w której wyładowała się siła materji w najokropniejszych formach, zniweczyła i zniwelowała wszystkie poprzednie miernostki, małostkowości i przeczulenia, przygotowując grunt pod nowy zasiew, rozpę-

*) Z teki pośmiertnej.

tawszy nową reakcję jaźni ludzkiej, która toruje sobie nowe drogi zaznaczenia swojej władzy. A tę jutrznię wyłaniającą się z pomroków niedawnej przeszłości znać przedewszystkiem na polu literatury i sztuki t. j. tam, gdzie ona się najbezpośredniej wypowiada, względnie wypowiedzieć pragnie. Dlatego widzimy, że w literaturach wszystkich narodów zaznacza się wyraźny przełom, który krystalizuje sie stopniowo w oryginalnym sposobie reagowania na objawy życiowe, w nieznanych dotąd formach odczucia i przeżywania, myślenia i tworzenia.

Także literatura żydowska wykazuje obecnie ciekawe cechy stanu przełomowego, odróżniające ją wyraźnie od poprzednich okresów.

Przedewszystkiem znikło z niej bezpowrotnie romantyczne ubóstwienie miasteczka i ulicy żydowskiej, które było odpowiedzią na rozumowe tendencje wszechoświecenia, głoszone przez suchy racjonalizm Haskali. Łabędzi śpiew, ostatnie requiem zanucił romantyce żydowskiej Bergelson w powieści „*Noch ałemen?*“ (Po wszystkiem); odtąd tony jej należą do rzadkości i są dalekiem echem przebrzmiałych dźwięków. Wiele złożyło się momentów na zanik tej sympatycznej, ciepłej, choć nieco powierzchownej i ckliwej epoki. Momenty te, które przeciwstawiły się szablonowym formułkom społecznym Haskali, tracą zupełnie walor wobec nowych haseł i prądów idących z Zachodu. Trzeba bowiem pamiętać, że Haskala była wogóle spóżnionem zjawiskiem w ulicy żydowskiej. Powstała mianowicie wtedy, kiedy pozytywizm zaczynał już dogasać w Europie i ustępować nowym falom duchowym. Toteż okres oświecenia prędko minął w literaturze żydowskiej, a miejsce jego zajęły tęsknoty i marzenia, smutki i radości, uczucia litości i wyrazy ironji, jakie cechują ubiegłą epokę literacką. Abramowicz i Rabinowicz, Asz i Dineson, Perec i Frug, Rosenfeld i Reisen — oto jej przedstawiciele. Większość z nich należy już do przeszłości, zeszedłszy w sam czas z tego świata, porzuciwszy go w chwili, gdy szalejąca ponad kraje i narody burza dziejowa zmiotła niemiłosiernie wszelkie sentymenty i ckliwości. Wraz z niemi zginęło i miasteczko żydowskie z swoją wielbioną przez pisarzy i wyśpiewaną przez nich

romantyką tradycji. Perec, który jeden z pierwszych doczuł i odtworzył tę romantykę, był też jednym z pierwszych, którzy przeczuli jej zanik.

Jako piewca przeszłości i prorok nowopowstającej przyszłości stoi na pograniczu między starem a nowem pokoleniem. W nim też skoncentrowały się wszystkie pierwiastki twórcze od Haskali począwszy a skończywszy na zmierzchu romantyki, w nim budzić się zaczęły nieświadome głosy, zwiastujące brzask nowych haseł, zejście nowych idei, kiełkowanie nowych pędów twórczych, które rozrosły się obecnie w pokaźne już krzewy.

Zapewne, że miniony okres twórczości ducha żydowskiego miał swoje ciemne strony. Przysłaniał welonem utkanym z romantycznych świecidełek widok na nagą, brutalną rzeczywistość, nie sięgał do głębin kosmosu, zamykał oczy na trapiące człowieka i domagające się rozwiązania zagadki jestestwa, zadowalał się lekką strawą impresji, przyjemnym urokiem dziewiczych zachwytów. Nie można jednak zaprzeczyć, że dzięki właśnie swojej lekkości, sentymentalizmowi, brakowi wszelkiej rewolucyjności posiadał pewien powab, którego wyzbyła się zupełnie współczesna poezja żydowska, pełna za to polotu, burzy i rozpędu, nie mająca wprost czasu dla małych bólów, drobnostkowych myśli, ograniczonych w swej potencji uczuć. Wszystko w niej wre i kipi, przewala się i wiruje, wszystko faluje i kotłuje jak w odwiecznego prabytu chaosie.

Prawdą jest także, że literatura ubiegłej epoki była bardziej ludową, niż obecna. U nestorów jej lud jest nietylko przedmiotem twórczości, lecz i podmiotem zarazem. Zachodzi w niej ścisła łączność pomiędzy poetą a ludem, oba czynniki wzajemnie na się oddziaływują, wzajemnie się uzupełniają. Utwory Reisena, Rosenfelda, Abramowicza, Pereca i t. d. wyszły z ludu i dla ludu były przeznaczone. Ta tendencja leżała wtedy w powietrzu. Wszystko garnęło się do ożywczego źródła pierwotnych sił ludowych; współdziałały zresztą w literaturze żydowskiej analogiczne wpływy obce (polskie, niemieckie), które potęgowały i rozszerzały zakres obserwacji tej małomia-

steczkowej romantyki, z jej umiłowaniem cierpiących i pracujących sfer społecznych, tych wszystkich handlarzy, żebraków, posłańców, robotników, przekupek i gospodyń, które zaludniają powieści i poezje ówczesne. U niejednego z pisarzy np. Rabinowicza, Abramowicza i Pereca, posiada ta romantyka nawet pierwiastki symboliczne, ale jasne, przejrzyste, nie wymagające dociekań, ani metafizycznych badań.

W poprzednim okresie, pisarze mają na oku tylko objektywne określenie i oddanie życia żydowskiego w jego codziennych objawach, postacie ich odznaczają się prostem, nieskombinowanem, bezpośredniem życiem psychicznem, dusze ich prezentują się nie w odświętnym, różnobarwnym stroju, jak u współczesnych nam poetów, lecz w czasie skromnej, codziennej, szarej, przyziemnej pracy. Dlatego czujemy dla nich sympatję albo antypatję, współczuwamy z niemi, litujemy się nad niemi, lecz one nie porywają, nie unoszą, nie wyzwalają nas. Najczystszy objektywizm jest zasadą tej literatury, która, rzecz jasna, u różnych pisarzy nabiera różnego subjektywnego zabarwienia, ale naogół, oddają wszyscy jeden zasadniczy wspólny typ twórczy. Przystępni dla wpływów zewnętrznych transponują pierwiastki obce — formalne czy materjalne — na grunt rodzimy; czynią to świadomie lub nieświadomie, zawsze jednak mają cel: tworzyć po żydowsku, stwarzać nowe wartości żydowskie. Tem różnią się od swoich następców, dla których pierwiastek żydowski bardzo często jest tylko zewnętrzną pokrywą, czczą formą, nic nie mówiącym agregatem.

W dziełach naszych romantyków przeważa epicki spokój, rozlewność uczucia, drobnostkowość opisu, podkreślanie szczegółów, siła sentymentu, bezpośredniość przeżycia. Te proste sceny z życia, te bezpretensjonalne przejścia duchowe bohaterów, czy bohaterek każdy autor sam przeżywał, w nich bowiem sam się wychował i rozwijał, wśród nich żył i tworzył, to była prawdziwa krew z jego krwi, kość z jego kości. Cała ta literatura odznaczała się treścią społeczną, była naturalnem odbiciem stosunków i warunków, wśród których odbywało się życie żydowskie. Nawet momenty subjektywne, które tu i ówdzie na jaw wychodzą, mają podkład społeczny, narodowy,

zbiorowy. Osobiste, głębokie tragizmy, wewnętrzne kataklizmy, światoburcze zamierzenia, podobłoczne wzloty, chęć wyrwania się z nizinnego otoczenia w jakieś dalekie krainy były tym ludziom na ogół nieznane. I znowu dopiero u Pereca zaznacza się pod tym względem przełom. Ostatnie jego dramaty stoją na pograniczu dwóch światów, są złotym łańcuchem, łączącym miniony okres romantyki i impresjonizmu z powstającym czasem egzotyki i ekspresjonizmu.

Literatura żydowskiej romantyki jest daleko bardziej jednolitą niż współczesna. Tworzyła ona jeden ośrodek, podczas gdy dziś mamy tych ośrodków kilka. Dziś wytworzyły się różne centra, które wprowadzają w twórczość żydowską różnego rodzaju soki żywotne. Dlatego obraz dzisiejszej literatury przedstawia się bardziej urozmaicony, bardziej zróżniczkowany tem więcej, że obok nowych prądów działają jeszcze resztki starych, które często spływają w jedno wspólne koryto, wytwarzając płody ducha o zmiennym, niejednolitym charakterze. Dziś zamiast jednego środowiska literackiego, mamy różne, z których każde specjalny wywiera wpływ na twórczość pisarzy żydowskich, obdarzając ją specjalnem zabarwieniem lokalnem. Najważniejsze takie ogniska literatury powstały w Ameryce, na Ukrainie i w Polsce, mniejsze w Wiedniu. Różnorodność ich otoczenia, oddziaływanie odmiennych momentów zewnętrznych, ukształtowanie się jaźni twórczej pojedyńczych osobników, nie przeszkadzają jednak temu, że przez utwory wszystkich przechodzi jeden wspólny rys, że łączy je jedna wspólna nić czerwona, mianowicie wybitne dążenie do czegoś nowego, szukanie nowych dróg, nowego świata objawień duchowych, chęć pogodzenia światopoglądu żydowskiego z europejskim. Ta zasadnicza idea, ten problem twórczy przyoblekа się w rozmaite formy, których odmiany i odcienie zależą właśnie od jakości otoczenia i jego bezpośredniego wpływu. A do powstania tego przełomu przyczyniła się w pierwszym rzędzie wojna. Wskutek zapanowania materji i zniszczenia przez nią pierwiastków duchowych, które spowodowały zanik wszelkich porywów romantycznych, poczęła się obecnie reakcja, objawiająca się w tendencji powrotu do ducha, w szukaniu i czyhaniu na Boga, którego ludzkości brak, który zaginął gdzieś wśród

huku armat i rzężenia ofiar wojennych. Dziś silniej i mocniej niż dotychczas odzywa się wołanie za Bóstwem, za wiarą — Stąd w poezji współczesnej tyle słów, tyle haseł, takie bogactwo motywów, taka różnorodność myśli, w których wypowiada się parcie ducha ku wieczności, chęć powrotu na łono odwiecznego prapoczątku. Miejsce motywów społecznych zajęły pierwiastki egotyczne, ja poety i stosunek jego do życia, do kosmosu. A jeśli znajdą się wśród nich ślady sentymentów ubóstwiania przeszłości, mają one specjalny podkład psychiczny, przybierają specjalny charakter ogólniejszy. Literaturze współczesnej nie wystarczają nasze oklepane tematy, jej bóle i marzenia, radości i łzy: uczucia i myśli są inne, przeduchowione, przepojone wewnętrznem przeżyciem, sięgają tam, dokąd wzrok ludzki nie sięga, bo za słaby, dokąd wyrywa się istota człowieczeństwa na skrzydłach ducha, hen wyżej i wyżej — ponad niziny ziemskie. Pisarz współczesny chce się wyzwolić od zmory przeszłości, pragnie przezwyciężyć ją w sobie, i wznieść się ponad nią. Rozhukały się w nim fale uczucia i fantazji, nie znającej i nie uznającej granic, bo dla nich życie, rzeczywistość, otoczenie są tylko bodźcem, zewnętrznym impulsem dla przeżyć nowych, głębszych, wyższych. Niekiedy w tem dużo pozy, udawania, blichtru, niekiedy jednak bije z niego fascynująca siła, odurzająca i ubezwładniająca moc ducha. Często trudno oddzielić przeżyte od nieprzeżytego, często nowe słowa i formy porywają i każą zapominać o skalpelu i sondzie, obojętne się stają dawne kryterja, a przepych i bogactwo obrazów trzymają nas na uwięzi. Jakaś bezwzględna, uparta wiedzie ich wiara — tych apostołów nowej sztuki. Z zewnątrz chcą dotrzeć do wnętrza zagadki bytu i życia, z materji do istoty ducha. Dążenie do absolutu, nowy stosunek jaźni ludzkiej do niego — oto dewiza ich twórczości. Znać w niej jeszcze nieudolność, samowolę, niezgrabność, nieuchwytność, jakąś dziecinną prymitywność lub wybujałość, jednak powoli i stopniowo wyłaniają się z nich nowe pierwiastki, nowy patos tworzenia.

Ziścić ma się ideał Żeromskiego, aby literatura wyzwoliła się zupełnie z więzów społecznych, nie hołdowała popotrzebom chwili i dnia, lecz stała się kapłanką czystej, praw-

dziwej sztuki. Przeważa w niej strona formalna, która jest znacznie bogatszą od materjalnej. Tę tęsknotę za syntezą ducha żydowskiego z duchem kultury europejskiej spotykamy u całego szeregu pisarzy, jak Perla, Segałowicz, Żylnicki i in. Nie znaczy to jednak, że sztuka ich traci zupełnie związek z rzeczywistością, tem podłożem, na którem buduje się i rozkwita życie duchowe poety. Zapewne, że brak jej w tym kierunku jednolitości, jaka cechowała okres ubiegły. Owszem, wdarła się w nią rozbieżność, rozpęd i pośpiech, rzutkość, jaka cechuje współczesną literaturę europejską. Przez wszystkie objawy literackie przebija się walka ducha z materją, zmaganie się Arymana z Ormuzdem, walka z szatanem, jaka rozbrzmiewa w utworach Żeromskiego, Brzozowskiego, Wassermanna, Tagorego i innych. Ponury realizm idzie w parze z symbolizmem Wyspiańskiego i Maeterlincka. Punktem wyjścia dla wszystkich pisarzy jest przedewszystkiem wewnętrzne cierpienie. W nim odkrywają wieczne źródło twórczości Broderson i Grünberg, Rawitsch i Perla, Hofstein i Markisz, i jak oni się tam wszyscy nazywają. Cała literatura pełna symbolów, i problemów nie jest lekką. Każdy z jej przedstawicieli patrzy na świat przez własne szkła, które są przyćmione i matowe, zasłaniają mu widok na inne objawy piękna, odsłaniają mu cały tragizm i brzydotę życia. Stąd pochodzi pewna jednostronność, wyrażająca się w przewadze stanów fantastycznych, podświadomych, ekstatycznych. Kontrast między tem co boskie a tem co ludzkie, między ziemskiem a niebiańskiem — oto nuta, która brzmi u Bimki, Segałowicza, Sterna, Kacizny i innych modernistów żydowskich. Uczucie osobiste, poczucie własnej doli, przechodzi u nich w ból kosmiczny, w jakiś Weltschmerz *sui generis*

Zbadać jego szczerość i bezpośredniość jest trudno. Wszystko zależy od siły, tętna, temperamentu z jakim wypowiada się ten wizjonerski, przesycony, proroczy patos liryczny. Jest w nim bezsprzecznie dużo krzykliwości, mało harmonji, zbyt wiele plastyki. Pochodzi to stąd, że podczas gdy ten sam proces duchowy w innych literaturach był wynikiem normalnego rozwoju, w którym każdy obumierający, przeżyły kierunek, wywoływał reakcję naturalną, stało się to w literaturze

żydowskiej, w sposób właściwie rewolucyjny. Nie wykazuje ona bowiem tego powolnego, stopniowego formowania się, co literatury innych narodów, lecz rozwój jej odbywa się w nagłych przeskokach. Brak jej konieczności rozwojowej, opartej na zupełnem wyżyciu się jednych i powstawania z nich drugich prądów. I tak impresjonizm dopiero zaczął rozkwitać a już wdzierają się weń pierwiastki ekspresjonistyczne; dlatego obserwujemy w dzisiejszej literaturze współbytowanie jednych i drugich pierwiastków obok siebie. W Ameryce np. przebija się w twórczości żydowskiej obok chaosu i zawrotności wielkomiejskiego życia tęsknota za spokojem, cicha rezygnacja. To samo dzieje się w literaturze żyd. na Ukrainie. Ekspresjonizm żydowski specjalnie w Polsce jest więcej rewolucyjny, bardziej reklamowy i krzykliwy. Wyczuwamy z niego przewrót od wnętrza, kosmiczne misterjum, nowy cios, cechuje go kalejdoskopowy bieg przeżyć i wizji, na których kształtowanie jednostka żadnego nie ma wpływu. W Ameryce tensam kierunek przyjmuje charakter introspektywizmu, bardziej pogłębianego, mniej efektownego.

Poezje Fruga, Reisena czy Rosenfelda wyrażają drobne tęsknoty, opiewają piękno przyrody, kreślą nastroje chwili, przeżycia osobiste lub narodowe, brak im natomiast dynamiki rozpędu, jaka cechuje poezję — przypuśćmy — Verhaerena, Whittmana czy innego poety współczesnego, w którego utworach szumi życie wielkomiejskie, tętni gwar fabryczny, huczy łopot maszyn.

Ferment dramatyczny nadaje tej poezji pewien odrębny charakter, różny od statyki poezji poprzedniej. Człowiek buntuje się przeciw istniejącym stosunkom i stara się zerwac więzy, krępujące jego wolność czynu. Perec pierwszy ujął ten problem w mało znanym dramacie „*In pulisz of der Kajt*“, gdzie prostytutka łamie mur, jakim tradycja żyd. oddzieliła mężczyznę od kobiety. Wyzwala się i wyładowuje w nich miłość, namiętność, odrzucające więzy i wyrywające się do swobodnego, nieograniczonego życia. Nie tylko zresztą w tym utworze przeczuł autor poematu „*Bei nacht ofn alten mark*“ świt nowej jutrzenki poezji. I w innych jego utworach znajdujemy pierwiastek fantastyczności, alegoryczności, symbolizmu, cechując

twórczość jego następców. Daleko jej naturalnie do poezji takiego np. A. Kacizny; jego utwory pozbawione wszelkiego realizmu, obracają się tylko w sferze czystego ducha, którego przemiany i załamania odzwierciedlają się w kosmicznych rytmach i motywach. Dla niego istnieje tylko jedna rzeczywistość, rzeczywistość marzenia, podświadomych stanów duszy, kreślonych z finezją alegorystyki i symbolizmu, na tle ponurych nastrojów, dziwnie poważnej, ciężkiej architektoniki, w której niemasz słońca ni radości.

Literaturze współczesnej nadaje wybitne piętno nadzwyczajna technika (zwłaszcza w poezji), ale brak tej skrystalizowanego podłoża, wisi między niebem a ziemią. Ucieka od rzeczywistości i skrzydłami uderza o bezbrzeżną fantastyczność. Wykazuje rażącą niewspółmierność między życiem a sztuką. Prawda, że sztuka często tworzy dopiero życie, wyprzedza je, ale mimo to, albo raczej właśnie dlatego zachodzi między niemi ścisły związek, niejako przestrzenny. Sztuka użycza życiu często swoich form, naodwrót jednak wypływa ona z życia, które przecina często linie jej rozwoju. Ona musi być zapłodnioną przez ducha życia, tego wiecznego rewolucjonistę, który wszystko zmienia, niszczy i tworzy. Dysharmonja jaka zachodzi między życiem a poezją w naszej literaturze ma swoje źródło także w obecnem położeniu żydostwa. Nie posiada ono skrystalizowanych form, dawne uległy zniszczeniu, nowe jeszcze nie powstały, a ponieważ mimo to sztuka się rozwija, powoduje ona dywergencje między sobą a życiem. Twórczość żydowska traci bezpośredni kontakt z życiem zbiorowem, staje się conajwyżej odzwierciedleniem duszy jednostkowej, także nie zawsze doniosłem. Stąd pewna w niej sztuczność, brak polotu bezpośredniości. Bogactwo i różnorodność formy, dowolna z nią gra, nie zastąpią jednolitej fizjognomji. Mamy stylizację życia ale nie samo życie. Twórcom brak często gruntu pod nogami, jaki czuli dawniejsi romantycy, opierający się na skromnych, ograniczonych lecz pewnych stosunkach małomiasteczkowej rzeczywistości. Wprawdzie i u współczesnych brzmi nuta przytłumionej romantyki, u jednego głośniej, u drugiego ciszej, mamy nawet próby galwanizowania przeszłości np. w powieści Warszawskiego „Szmuglerzy", w której

ludzie wprawdzie są cali, żyją i oddychają pewnym aromatem ziemi i miasteczka, ale pozornie tylko. Miasteczku brak zwartej fizjognomji, jaką miało u nestorów naszej literatury.

Wspomniałem już wyżej, że współczesna literatura żydowska, rozwija się w kilku centrach o odmiennym charakterze i specyficznej fizjognomji. Różnice te, na które składają się momenty społeczne, ekonomiczne, fizyczne, narodowe, odzwierciadlają się w utworach pojedyńczych autorów, nuansując je w szczegółach nastroju, motywów, języka i t. d. Aureola romantyki miałomiasteczkowej zgasła najwcześniej w Warszawie, gdzie po śmierci Pereca i Dinesona nowe prądy zaczynają wdzierać się w zaciszną ulicę żydowską i mącić jej idylliczną ograniczoność. W Ameryce wyjątkowo odmienne warunki, przyśpieszony tryb życia, wyciskają na twórczości żydowskiej specjalne piętno. Miesza się w niem amerykański pęd i pośpiech, praktyczność światopoglądu z nutą swojszczyzny, tęsknoty dalekiej i bezbrzeżnej jak sine wody oceanu.

W Galicji krzyżują się u nielicznych jej twórców prądy stare z nowymi. Cechują ją silniejszy rytm, wola, indywidualność, które potrzebują silnego współczesnego życia a nie bezsilnego, biernego poddania się wypadkom losu. Jednem z najżywszych jednak ognisk literatury współczesnej stała się Ukraina, gdzie podczas autonomji kulturalnej uzyskanej po rewolucji, zaczyna się około Bergelsona i Nestora grupować szereg młodych pisarży, którzy doprowadzają piśmiennictwo żydowskie, zwłaszcza poezję do nowego rozkwitu. Rewolucja rosyjska wzbudziła na dalekich stepach Ukrainy nowe nadzieje, gorący pęd życia. wzniosłe uczucia radości i wolności, poczucie siły i mocy, napełniając niemi serca młodych. Chmielnicki, Rawicz, Kwitko, Markisz i inni odrazu strząsnęli z siebie brzemię dawnych sentymentów, żalów i biadań, miłości i współczucia, a rzucili się w wir wielkiej woli, mocarnej i porywającej wiary nowej świetlanej przyszłości. Z temperamentem i duszą, głoszą nowy świt, nie żebrzą — lecz żądają, pod niebiosa bije strumień ich twórczości, w której czuć zapach dalekich pól i lasów, w której autorzy ogarniają ramionami wszechświat

cały od końca do końca, śpiewając z Markiszem o sobie, że są „ohn a unhojb yn ohn a sof". Jedną zaś z najtęższych indywidualności tej grupy jest żyjący obecnie w Łodzi Mojżesz Broderson, w którego twórczości ekspresja i groteska znalazły wprost klasyczny wyraz, wskutek czego wymaga ona odrebnej szczegółowej analizy.

JAKÓB BLATT.

NARODZENIE „DZIECKA".

Do dziejów wędrówki mitów w starożytności.

Sprawozdanie z dzieła Eduarda Nordena *)

Wśród sielanek Wergilego znajduje się jedna (IV), która ze względu na swoją tajemniczość i odrębność stanowi od wieków prawdziwą crux interpretum. Jest to ten sam poemat, który w wiekach średnich otoczył głowę swego twórcy niemal aureolą świętego i kazał w pogańskim poecie upatrywać jednego z prekursorów Chrystusa. Znalazło to wyraz w wielu dziełach sztuki średniowiecznej, przedstawiających Wergilego obok Mojżesza, Dawida, Jezajasza i innych, jako profeta Christi.

Treść tego „dokumentu mesjanizmu" tak mniej więcej da się ująć. Ludzkość znajduje się u świtu nowej ery, którą sprowadzi rodzące się właśnie cudowne dziecię. Ono zmaże grzechy dawnej epoki i zapoczątkuje okres powszechnej szczęśliwości i pokoju. Świat drży z radości w oczekiwaniu swego odnowiciela. — Ten tok myśli tak daleko odbiega od wszystkiego, co się nam z helleńskiego i łacińskiego piśmiennictwa dochowało, a z drugiej strony tak żywo przypomina kompleksy motywów z Psalmów, Jezajasza, Ewangelji, że starożytni pisarze kościelni (Lactantius, Augustinus, Eusebius i inni) tylko nadprzyrodzonym sposobem mogli sobie wytłumaczyć owe frapujące podobieństwo: nie inaczej tylko Bóg, zanim w chrystjaniźmie objawił światu całą prawdę, wybranym poganom odsłonił rąbek

*) Eduard Norden. Die Geburt des Kindes. Geschichte einer religiösen Idee. Leipzig—Berlin 1924.

tajemnicy... — Naturalna rzecz, że nowoczesna nauka takiem pobożnem rozwiązaniem problemu zadowolić się nie mogła i szukała innego, zgodniejszego z metodami przez siebie stosowanemi. Nie jest przesadzone twierdzenie, że literaturą, która się nagromadziła około IV eklogi, możnaby zapełnić pokaźną biblioteczkę, ale zagadkę rozwiązało dopiero dzieło najznakomitszego latynisty naszych czasów, z którego chcę krótko zdać sprawę, pomijając szczegóły, mogące zainteresować tylko koła fachowe.

Kompozycja poematu opiera się na paraleliźmie przeprowadzonym ściśle i konsekwentnie między narodzeniem i rozwojem dziecięcia z jednej, a nastaniem i dojrzewaniem nowego saeculum (Eona) z drugiej strony. Zaraz w pierwszych wierszach wzywa poeta Lucynę, aby była łaskawą dziecięciu w chwili jego urodzenia, a przyjdzie tem samem na świat nowy Eon; urodzenie ich więc — dziecięcia i Eona — jest ściśle ze sobą związane — czasowo i przyczynowo — a prośbę tę motywuje tem, że właśnie objął rządy jej (brat) Apollo-Helios. Tem samem jest więc dany związek dziecięcia także ze Słońcem. Dzień, w którym panowanie swe rozpoczyna Helios, to nic innego, jak dzień jego narodzin, który przypada na 25. grudnia. Dzień ten (bruma w najdawniejszem wyrazu znaczeniu) święcił starożytny świat jako *dies natalis Solis* na wiele, wiele wieków przedtem, nim religja chrześcjańska przeniosła nań datę urodzenia swego twórcy. Podwójne narodziny dziecięcia i Eona muszą więc przypadać na termin nie bardzo odległy od daty przesilenia zimowego. Termin ten znamy: Jest to dzień 6. stycznia (zarazem dzień urodzenia Osirisa i Dionysosa), w którym w Aleksandrji obchodzono święto urodzin Eona. Nawiasowo dodam, że i ta data odegrała i odgrywa w kalendarzu chrześcjańskim rolę, pierwotnie jako data narodzenia Chrystusa — przed ostatecznem ustaleniem jej na dzień przesilenia zimowego, a później, jako Epiphania względnie święto Trzech Króli. — Kolebką idei Eona jest Iran, gdzie oznaczał on potencję światotwórczą. Stąd, zmieszawszy się z pierwiastkami chaldejskiemi, dostało się to wyobrażenie w okresie synkretyzmu religijnego

do Egiptu, gdzie jest zaświadczone dla czasów hellenistycznych. Obie te daty: 25/XII i 6/I. ujmują jakoby w ramy dzień objęcia urzędowania (1/I) przez Polliona (cos. r. 40 przed Chr.), któremu utwór jest poświęcony jako rodzaj *carmen gratulatorium* z tej okazji. — Co się tyczy pochodzenia i znaczenia kosmicznego tych dwu dat, to zdaniem Nordena wyrosły one z jednego pierwotnie terminu, mianowicie z terminu zimowego *solstitium*, najstarszego święta ludzkości, a dualizm ich tłumaczy się rozszczepieniem tej jednej daty, spowodowanem przesunięciem się tego terminu z biegiem wieków. Kiedy mianowicie Amenemhet I, zakładając t. zw. państwo średniowieczne, uporządkował kalendarz (około r. 2000 przed Chr.), przypadał on na dzień 6. I., ale przesuwając się co 128 lat o jeden dzień, przeniósł się w IV. wieku przed Chr. na 25/XII. Także Lucina nabiera w tym związku głębszego znaczenia kalendarzowo-astrologicznego. Należy ona bowiem (gr. *Eleithyia*) do otoczenia koziorożca, w którego znaku Helios się rodzi.

Zasadniczy ton, na jaki nastrojony jest nasz utwór, to ten sam ton, który dźwięczy z Jezajasza, apokalips żydowskich i z Nowego Testamentu. Ale ta harmonja nie jest niczem przypadkowem: zgodne te tony są odtwarzanem przez stu — i tysiąclecia echem jednej pieśni. Już w głośnych ustępach Jezajasza (c. 7., 9., 11.) pisanych na krótko po roku 738 dźwięczy ta sama melodja[1]), mimoto jednak bezpośredniej zależności rzymskiego poety od hebrajskiego wieszcza przyjąć nie można, lecz należy u obydwu dopatrywać się indywidualnego wykształcenia tego samego prototypu proroctw, którego ojczyzną jest — Egipt. Schemat tego proroctwa tak charakteryzuje Edward Meyer: Mędrzec zapowiada nieszczęście, przewrót wszelkiego porządku. Po tem jednak wystąpi sprawiedliwy, przez bóstwo powołany król, który wyprowadzi świat z tego chaosu. Ten schemat przyjęli hebrajscy prorocy, on też stanowi ostateczne ideowe podłoże łacińskiego poematu. Ale te same idee soterjologiczne występują też w innych sferach

1) Jezajasz VII. 14. הנה העלסה הרה וילדת בן

kulturalnych: u Babilończyków, a przedewszystkiem w religji Zaratustry, skąd znalazły sobie drogę do żydostwa i najdawniejszego chrześcjaństwa. Syn Re (Osiris) — Saosjant — Mesias — Soter — Kyrios — Christos — to przejawy tej samej idei. Dopiero gdy włączymy Eklogę, jako ogniwo w wielki łańcuch, wiążący tyle kultur i narodów, stanie się ona dla nas jako całość historycznie zrozumiałą, ale także niejeden szczegółowy motyw dopiero w tem oświetleniu znajdzie wyjaśnienie. Np. w w. 60 wezwanie do dopiero co urodzonego dziecka: *Incipe parve puer risu cognoscere matrem* — ma swoją analogję w tem, co podaje Plinjusz Starszy: „Jeden tylko człowiek śmiał się w dniu urodzenia, Zoroaster" twórca religji solarnej, a śmiech zawsze asocjował się ludziom ze słońcem.

Owo błogosławione dziecię z Eklogi przypomina każdemu—jak już Ojcom Kościoła przypominało—Chrystusa, a trzecim ich bratem jest egipski Horus (=Har—pe - chret, co znaczy Horus-dziecię gr. Harpokrates), który w egipskim kulcie odgrywał rolę podobną do roli dzieciątka w chrześcjaństwie. Podobieństwo tych trzech figur polega na wędrówce motywów, której punktem wyjścia jest Egipt. Egipskie theologumenon z trzeciego tysiąclecia opowiada, co następuje. Bóg słońca Amon-Ra zbliża się do łoża królowej, „najpiękniejszej z kobiet", „którą ukochał", w postaci jej małżonka. Cudowna woń wionąca od boga budzi królowę, która w zachwycie miłosnym otwiera mu swe łono i dziękuje za łaskę. „Twa rosa przenika mnie całą" — rzecze doń w uniesieniu, bo też, gdy bóg pozwolił spocząć swemu sercu na piersiach królowej, przestaje ona być kobietą śmiertelną i przeistacza się w boginię. Na odchodnem zapowiada jej urodzenie syna, który będzie sprawował królestwo nad krajem w pełni łask, albowiem dusza ojca będzie w nim. A do dziecięcia zaraz po jego przyjściu na świat powiada ojciec, dosłownie jak to czyni psalmista: „Ty jesteś synem mym rodzonym, którego spłodziłem" *). To dziecię to manifestacja Horusa.

*) Psalm II 7. בני אתה אני היום ילדתיך

W tem theologumenon należy upatrywać ostateczne źródło motywu zrodzenia z ducha w Ewangelji. Że motyw ten był w czasach powstania chrześcjaństwa rozpowszechniony na shellenizowanym Wschodzie, świadczą Philo i Plutarch. Pierwszy podkreśla też postulat dziewictwa u niewiast, które duch nawiedza, podczas gdy drugi, zaznaczając wyraźnie, że chodzi tu o teorję egipską, tego rysu nie zna zupełnie. Ponieważ znaczenie religijne dziewictwa jest obce Egiptowi i żydostwu, a rozpowszechnione w świecie grecko-rzymskim, trzeba przyjąć, że motyw dziewiczości wyrósł dopiero na gruncie hellenistycznego Egiptu. Że on jednak i w Ewangelji jest drugorzędny, zauważyli już dawno krytycy, wykazując, że urodzenie z dziewicy jest czemś później w opowiadaniu wniesionem, wskutek ,czego rola Józefa jest w niem niejasna i wypaczona. Teraz ta niekonsekwencja tłumaczy się w sposób całkiem prosty: kontaminacją. Ewangelja stara się sprzeczność w ten sposób usunąć, że z Marji, małżonki Józefa czyni jego narzeczoną, ale rępopiśmienne warjanty tekstu Łukasza zachowały jeszcze ślad pierwotnej wersji. Nie jest to zresztą odosobniony przykład wpływu egipskiego na Nowy Testament. Maspero i Gressman wykazali już przedtem, że przypowieść o bogaczu i Łazarzu jest egipskiego pochodzenia, a zresztą nie brak świadectw, stwierdzających bardzo ożywioną wymianę między Egiptem a Palestyną. — Również rola anioła w opowiadaniu Łukasza jest czemś drugorzędnem: anioł i duch są dubletami jednej pierwotnie osoby działającej, a rozszczepienie to miało na celu sublimizację aktu teogamicznego, który tak drastycznie występuje w egipskiem opowiadaniu. Także wyż cytowane słowa ojca zwrócone do Horusa zaraz po jego przyjściu na świat mają swój odpowiednik u Łukasza: III. 22, który cytuje psalm II 7. „Ty jesteś synem moim, dziś cię spłodziłem". — Dzień poczęcia się Chrystusa w łonie Marji (Zwiastowanie) ustalony przez kościół na podstawie św. Łukasza — po przyjęciu 25/XII jako dies nativitatis — na czas wiosennego aequinoctium, jest identyczny z terminem zapłodnienia Izydy Horusem przez Osirisa.

Widać więc ile w kalendarzu kościelnym mieści się pierwiastków egipskich.

O cudownem dziecku powiada Wergiljusz (w. 15—17), iż otrzyma życie bogów, będzie w niebie obcowało z bogami i bohaterami i stanie się władcą świata. Z temi słowami już Boll porównał miejsce z astrologa Hephaestiona, gdzie o pewnym, pod konstelacją wodnika narodzić się mającym, chłopcu czytamy: „Narodzony będzie pochodził z krwi boskiej i będzie wielki i będzie wraz z bogami odbierał cześć i wszystko będzie mu posłuszne". Ale już literalnie pokrywa się z nimi następujący obrzęd przy intronizacji króla egipskiego. Pierwszym jego aktem jest przeniesienie boskiego życia na nowego króla za pomocą krzyża z krążkiem ♀, który mu ojciec podaje. Ów krzyż oznacza także w piśmie hieroglificznem wyższe życie — ille deorum vitam accipiet. — Drugi akt ceremonji stanowiło wprowadzenie nowego króla-boga do grona niebian. Amon przedstawia go słowami: „Oto syn mój, połączcie się z nim", a bogowie odpowiadają „ponieważ jest twoim synem, łączymy się z twojem dzieckiem"—divisque videbit permixtos heroas et ipse videbitur illis. Wreszcie akt trzeci: intronizacja właściwa. Amon powiada do króla: oto oddałem ci wszystkie kraje, wszystkie góry, wszystko co krąg słońca na niebie obejmuje, wszystko to jest pod panowaniem twego oblicza"—pacatumque reget patriis virtutibus orbem. I znowu uderzająca analogja: Łukasz I. 32. n. „On będzie wielkim i będzie nazwany synem Najwyższego i da mu Pan Bóg tron Dawida, ojca jego i będzie królował nad domem Jakóba po wieki, a królestwa jego nie będzie końca". Również w. „cara deum suboles magnum Iovis incrementum" ma swój odpowiednik w Nowym Testamencie (Mc. I. 11, — Lc. I. 32, — Mt III. 17,) i w Egipcie, gdzie wielokrotnie spotykamy się z wyobrażeniem, iż król jako dziecię cieszy się specjalną opieką i łaską Amona. Także zagadkowy rys: dziecko czytające w księgach o czynach swego ojca wyjaśnia się teraz egipskiemi analogjami: oto Izyda spisała dla swego syna Horusa czyny jego ojca Osirisa. —

Te próbki analogicznych koncepcji religijnych,

w których prawie stale powtarza się szereg: Egipt — żydostwo (Biblja) — Nowy Testament — Vergilius zdolne są dać wyobrażenie o wędrówce motywów eschatologicznych i mesjanistycznych, które wziąwszy swój początek w Egipcie rozpowszechniły się po całej hellenizmem zjednoczonej Oikumene, sięgając do Palestyny i do Rzymu i doprowadzając tu i tam do analogicznych tworów. Ten cały kompleks wyobrażeń nazywa Norden wczesną (dla odróżnienia od chrześciańskiej) grecko-egipską gnosis.

Jakkolwiek Norden stoi na stanowisku, że poeta swoim puer nie miał na myśli żadnej historycznej osoby i że nie należy w nim dopatrywać się żadnego z urodzonych w r. 40. śmiertelników, to jednak w końcowej części swych wywodów wysuwa ostrożnie pytanie, czy ktoś w roku 40. mógł odnosić owe proroctwo do swojej osoby, i dochodzi do tego, że jedynym człowiekiem, który z pewnem uzasadnieniem mógł to czynić, był ówczesny Faraon: Antonjusz, podówczas małżonek „nowej Izydy" Kleopatry, zwłaszcza, że spodziewali się niebawem przyjścia na świat Horusa — następcy tronu.

Kleopatra powiła w r. 40. bliźnięta: chłopiec otrzymał imiona Alexandros—Helios, a dziewczynka Kleopatra—Selene. Imię chłopca podyktował zapewne wzgląd na proroctwo Sybilli, która od tego roku datowała początek nowej epoki pod panowaniem Heliosa. Z drugiej strony wiemy, że w piśmie hieroglificznem połączenia znaków ⊙ ϴ t. j. słońca i księżyca oznacza wieczność — Eona. Wskazywałoby to wszystko w tym samym kierunku, ale podkreślić wypada, że było poecie obce; jego „puer" jest tworem czysto fantastycznym.

Ponieważ poeta w pierwszych wierszach wskazuje z dokładnością nieomal gramatyka na Sybillinum jako źródło swego utworu, więc nic dziwnego, że od wieków starano się je w dochowanych nam Oracula Sybillina odnaleźć i zidentyfikować; atoli bez skutku. Kwestja jednak nie jest tak prosta; wiemy wprawdzie, że zbiór Sybillin, który my posiadamy, stanowi tylko znikomą cząstkę tej produkcji, a przecież nie można twierdzić, że musiało istnieć

jakieś specjalne oraculum, które Vergilius w tym utworze przerobił, bo stosunek poety do jego żródeł — w świetle najnowszych badań — był bardzo swobodny. Bądź co bądź całe kompleksy myśli Eclogi dadzą się w Sybillinach odszukać np. to, że początek nowej ery zostanie sprowadzony przez rządy Heliosa, powtóre, stopniowe dojrzewanie nowego Eona: definitywne zapanowanie złotego wieku, pacatio, orbis musi być wyprzedzone wojnami, w których dawne winy zostaną zmazane, po trzecie rysy sielankowo-pastoralne; dalej takie słowa jak: „ciesz się dziewico i pysznij, albowiem tobie dał Bóg radość Eona, w tobie on zamieszka, tobie dostanie się w udziele nowe światło" przypominają decus aevi, aspice venturo laetentur ut omnia saeclo; także wybuch poety „O mihi tam longae maneat pars ultima vitae etc." ma swój odpowiednik w Sybillinach: „szczęsny kto ujrzy ów wiek" i t. d.

Na pytanie czemu właśnie na rok 40. zapowiadana była owa revolubilitas (jak powiada Serwius) należy szukać odpowiedzi astrologicznej. Wie się np. że w tym roku dies natalis Solis zeszedł się z nowiem, co jest zdarzeniem stosunkowo rzadkiem (nowie umiano wówczas już na długo naprzód obliczać). Z tego lub jakiegoś podobnego powodu uznano ten rok za annus salutis.

Wiemy, że ów przez poetę zapowiadany *puer* w r. 40 nie zjawił się, że owszem nastąpiło jeszcze dziesięciolecie wewnętrznych rozterek, zanim za Augusta rozpostarła swe błogie skrzydła nad skołatanym światem. Do chóru głosów ze wszystkich stron światowładnego imperium, wielbiących w Auguście zbawiciela (Soter) przyłącza się też Vergilius, który w VI ks. Eneidy daje niedwuznacznie do zrozumienia, że te wszystkie nadzieje, które niegdyś przywiązywał do owego fantastycznego „puer" zostały ziszczone przez cesarza. I tak jesteśmy świadkami jak wyobrażenia i formuły soterjologiczne przylegają do postaci Augusta, widzimy, że dogmatyka mesjanistyczna, która później została przeniesiona na Jezusa z Nazaretu, czepia się teraz pierwszego imperatora — przesłaniając niektóre rysy jego apollińskiej postaci pajęczyną legendy.

Powyższe wywody starały się dać wyobrażenie, jak głęboko w starożytnej kulturze tkwią korzenie koncepcji poetyckiej IV Eklogi. Najstarszego jego pokładu szukać musieliśmy nad Nilem, gdzie w czasach upadku politycznego szukano pociechy w proroctwach i zapowiedzeniach lepszej przyszłości. Towarzyszyliśmy dalej pochodowi tych idei przez Iran i Judeę, gdzie pod działaniem monoteizmu ulega silnej modyfikacji. Król—Bóg, z którym w Egipcie łączono nadzieje odrodzenia, przekształca się tu w króla z bożej łaski. Ale egipski grunt zyskał nowe soki żywotne, gdy go zapłodniły wyobrażenia helleńskie i żydowskie, a tego synkretyzmu produktem jest owa mistyczna grecko-egipska gnosis, której idee roznosiły się po całym świecie kulturalnym i pozwoliły w nowym Testamencie i w wergiliuszowej Eklodze wybujać kwiatom o podobnej woni.

Dr. MAJER BAŁABAN.

KARAICI w POLSCE.

(Dokończenie).

IV. TROKI.

3. Finanse gminy trockiej. Karaici a sejm Żydów litewskich.

Troki to gmina centralna wszystkich karaitów litewskich, niby matka wszystkich okolicznych gmin. Poniewież, Święte Jezioro, Nowe Miasto, one wszystkie były prawdopodobnie lokacjami Trok, a nawet daleki Kukizów, obok Lwowa również powstał z emigracji tamtejszych rodzin.

I zdawałoby się, że ta wielka gmina centralna w Trokach, niby ośrodek gmin karaickich na Źmudzi ארץ זמוט i całej Litwie, uzyska także u państwa litewskiego samodzielność finansową i że podskarbiowie wprost z nią będą się komunikowali. Tymczasem ci karaici, którzy tak sprytnie umieli wysuwać różnice między sobą z rabanitami i na tej podstawie zyskiwać liczne przywileje, nie zdołali fiskalnie się wyemancypować z pod władzy rabanitów. Mimo starań, byli oni i zostali do końca Rzpltej podporządkowani pod ogólną normę fiskalną żydowską i płacili podatki państwowe za pośrednictwem kahałów i ogólnej organizacji żydowskiej t. j. sejmu Żydów litewskich.

Już na początku XVI wieku, kiedy Zygmunt I zamianował na Litwie generalnego celnika dla wszystkich Żydów w osobie Michała Ezofowicza, poddał także i karaitów jego fiskalnej jurysdykcji. Michał Ezofowicz nie utrzymał się długo przy władzy, gdyż wystąpiły przeciw niemu większe gminy żydowskie, widząc w jego nominacji zamach na swą autonomję. Snać i karaici poszli za ich przykładem i nie chcieli uznać królewskiego exaktora.

Łączność karaitów z rabanitami pod względem fiskalnym, oraz ich zależność od kahałów rabanickich prowadziła nieraz do wspólnej wymiany myśli i wspólnej pracy publicznej. O to starają się też Żydzi litewscy, lecz zawsze natrafiają u karaitów na upór i niechęć.

Kiedy się czyniły przygotowania do organizacji sejmu żydowskiego zapraszano karaitów na wstępne obrady. Zaproszenia te były bardzo serdeczne, czytamy w nich intytulację: שלום לכם אנשי בריתינו היקרים והנעימים ק״ק טראָק.

„Pokój wam, mężowie naszego przymierza, umiłowani i mili świętej gminy Troki". Lecz Karaici zawsze się umieli wywinąć i tylko prosili, by przy podziale podatków należycie ich uwzględniono. I w istocie już w założeniu sejmu żydowskiego zniżono ich opłaty z 4 na 3 i pół sympli, ale równocześnie proszono ich znowu na wstępne posiedzenia do Brześcia na Rosz Chodesz Cheszwan 1580, gdzie miały przyjść pod obrady „sprawy nader ważne, dotyczące całego Izraela t. j. sprawa dzierżawy podatków, myt ceł, salin i mennic przez Żydów".

I w istocie przyszła pod obrady pierwszego sejmu żydowskiego w Polsce w r. 1581 sprawa dzierżaw; sejm wydał surowy zakaz w tym względzie [1]), ale karaitów na sejmie nie było jak i pierwej. Zapraszano ich jeszcze kilkakrotnie, ale gdy kategorycznie odmówili udziału, prosząc jeno o odpisanie

---

Akt ten jest nader ważny i jest wydrukowany poraz pierwszy w Hakarmel II rok 1861-2 № 11, a przedrukowany, w Heawer העבר Petersburg 1918 Tom I. (pod redakcją Saula Ginsburga do spółki z Mojżeszem Eleazarem Eisenstadtem, Benzionem Katzem i Samuelem Rosenfeldem), w artykule Lurje'go: קהלות ליטא והקראים Khilloth Lita wha-Kraim, Gminy litewskie i Karaici w wieku 17 i 18. Akt ten wskazuje jakim sposobem przyszła do skutku pierwsza ważna uchwała sejmu żydowskiego w sprawie zakazu dzierżaw dochodów publicznych. Tekst samej uchwały wielokrotnie przedrukowany (Wettstein: Quellenschriften — Kadmoniot w Gräbera: אוצר הספרות IV str. 584, Dembitzer: tamże str. 195, Schorr: Organizacja Żydów w Polsce str. 66, Harkawi w dodatkach do VII tomu hebr. tłumaczenia Grätza str. 11-12) znajduje się w najdawniejszym odpisie w Statucie gminy żydowskiej w Krakowie z roku 1595 (Rękopis) wydanym przezemnie w Jahrbuch der jüdisch-literarischen Gesellschaft, Frankfurt a/M. rok 1913 i 1916 p. t. Die Krakauer Judengemeindeordnung aus dem Jahre 1595 und ihre Nachträge § 1-10 fol 4b i 5a.

zaległych podatków, odbywały się sejmy już bez nich. Lecz jako „Żydzi" należeli mimowoli i mimo biernego oporu do administracji skarbowej żydowskiej i za pośrednictwem tejże organizacji płacili pogłówne i inne daniny państwowe i byli prowadzeni w rachunkach sejmu żydowskiego.

I tak potwierdza dnia 2 szwat r. 1622 Józef ben Jakób (prawdopodobnie kasjer ziemstw litewskich), że na poczet 60 kóp groszy litewskich pogłównego odebrał od karaitów trockich z rąk Abrahama wójta i Josia z Trok 40 kóp litewskich, 10 kóp im opuścił (defalkował) z powodu pożaru Birży, a dalszych 10 kóp mają oddać do następnego sejmiku.

Na rok 1644 przypada spór o przynależność prawną karaitów w Grodnie, Birży i innych gminach żmudzkich.

Sąd rozjemczy, złożony z delegatów rabanickich i karaickich rozpatrywał tę sprawę; rabanitów zastępował Naftali Hirc Ginzburg, karaitów zaś tylekroć wspominany wójt Abraham. Uchwalono, że przez pierwsze dwa lata płacą karaici grodzieńcy podatki za pośrednictwem tamtejszego kahału rabanickiego, podczas gdy repartycja i ściąganie podatku od gmin żmudzkich ma się w tym czasie odbywać przy pomocy dwóch delegatów, a to jednego rabanity i jednego karaity. Pod względem jurysdykcji mają karaici grodzieńscy podlegać tamtejszemu kahałowi, żmudzcy zaś sądzą się „podług uchwały brzeskiej z r. 1605". Po dwóch latach należą jednak wszyscy karaici, osiadli w Birży, Nowogródku, Poswole, Żytomierzu etc., do gminy karaickiej w Trokach [1]), czyli że odtąd Troki stanowią tak pod względem prawnym jakoteż i administracyjnym gminę centralną prawie dla wszystkich karaitów litewskich i wołyńskich. (Łuck zdaje się nie należał do tej centrali). To jednak nie poprawiło wcale finansów trockich, szczególnie, że z rokiem 1648 rozpoczęły się straszne a długotrwałe wojny, które zniszczyły prawie całą Rzeczpospolitę. Żydom litewskim dał się najbardziej we znaki rok 1655, gdy wojska moskiewskie zniszczyły doszczętnie Wilno i całą okolicę. I Troki padły wówczas ofiarą pożaru i grabieży i nie mogły się od tej chwili podnieść.

Ledwie się trochę uspokoiło, a już wrócili Żydzi do swych siedzib, a wraz z nimi przybyli i karaici do Trok, lecz

1) Neubauer: Aus der Petersburger Bibliothek, str. 72.

długi czas nie ma mowy o odbudowie zniszczonych fortun, a tu żąda państwo zapłaty zaległych podatków i coraz to nowych wymaga od swych obywateli ofiar na ratowanie zagrożonych granic. „Sejm żydowski" na Litwie zbiera się po dłuższej przerwie w roku 1656 i oblicza zaległości, które gminy mają zapłacić. Lecz gminy są spalone i wyrabowane, „większa część bogatych wyemigrowała na zachód, inni są zabrani do niewoli" בראותינו בצרות אחינו בני ישראל הנתונים בצרה ובשבי עם ד׳, אלה מארצם יצאו, נדדו, הלכו בשבי [1]) należało tedy najpierw uchwalić większą sumę na wykupno tych nieszczęśliwych i na ten cel polecono pobierać ofiary przy Torze w każdą sobotę przed nowiem (Rosz Chodesz), potem dopiero można się było zająć sprawą podatkową. Nędza była w gminach okropna, lecz nakaz królewski musiał być wykonany „כאשר ראינו בצוק העתים, אשר עברו בין הגזרים האלה, חדשים מקרוב באו, להוסיף אל מדינות ליטא ע״פ גזירת המלך והשרים כסף גלגלת, תוספת מרובה על העיקר שניתוסף עלינו הרבה מאד מאד..." [2]) i tutaj przyszło także do rozrachowania się z karaitami, których konto jest wynotowane w księgach pod nagłówkiem ארץ זמוט Ziemia żmudzka. Ponieważ nie można było z nim dojść do ładu, wyznaczono komisję, która jeszcze w roku 1659 nie uregulowała sprawy. I dlatego wystosowała egzekutywa sejmu żydowskiego na Litwie ostateczne wezwanie do בעלי המקרא, עדת הקראים וצ״ין panów karaitów, gminy trockiej, by bez zwłoki do sejmu w roku 1661 (Cheszwan תכ״ב), zapłacili wszystkie zaległości, a więc 150 złp. na podstawie asygnaty ziemskiej (מדינה), pozostałych z 21 sympli, a nadto 30 sympli należnych „za sprawę wileńską" i to na pokrycie długu u „pana Golde", a także 52 sympli na pokrycie zobowiązań tegoż samego wierzyciela... i to do rąk umyślnego delegata, mającego prawo rzucenia klątwy na opornych, Judla ben Nachim (Menachem) [3]).

Nie bardzo wzięli sobie to wezwanie do serca karaici, a może byli tak ubodzy, że w istocie nie mogli wypełnić swych zobowiązań, bo dopiero w roku 1665, (a więc cztery lata po

1) Lauda sejmu Żydów litewskich. פנקס המדינה (Editio: Tuwim — Dubnow). Petersburg 1909, tom I № 503.

2) Tamże № 504.

3) Lurie: קהלות ליטא והקראים № 3. [העבר Petersburg 1918].

terminie) potwierdza wyżej wspomniany Juda ben Menachem, że otrzymał od gmin karaickich na Litwie 170 złp. na pokrycie asygnaty, wydanej Józefowi ben Pesach z Wilna, oraz kwit z wypłaconych już 150 złp. d-rowi Jakóbowi bar Lemel i 350 złp. gotówką, czyli, że karaici wypłacili razem 750 złp. Na kwicie Judy jest, obok jego pieczęci i sygnatury także podpisany kasjer ziemstwa litewskiego, Juda ben Żeinwel, rabin w Kiejdanach [1]).

Takie rozrachowania między sejmem żydowskim a gminą karaicką w Trokach ciągną się nadal latami i im dalej tem się bardziej gmatwają i stają się zawilsze. W roku 1667 następuje znów w Kiejdanach rozrachowanie. Tutaj kwituje karaitów trockich i inne gminy żmudzkie „Józef Dawidowicz ר׳ דוידיש z 500 sympli, uchwalonych na sejmie żydowskim w Zabłudowie, 52 sympli dla „pana Golde", 30 sympli „na Lwów", „na koszta sejmu w Warszawie" „na Grodno i Białę" i inne sumy, uchwalone na zjeździe żydowskim w Kopule. Józef przyjął za gotówkę wszystkie kwity, jakie karaici mieli w rękach i tym sposobem uznał im prawie całą zaległość prócz 33 i pół. złp., które jeszcze zostali winni. Również rozliczył się z nimi o pogłówne [2]).

W tym to roku (1667) trafia się karaitom nieszczęście, jakiego dotąd nie zaznali. Oto w Poswole ukradziono z kościoła czy cerkwi hostję i rzucono podejrzenie . tamtejszych karaitów, że, czyto sami dopuścili się tej zbrodni, czyteż namówili kogoś do niej, by módz tę hostję zbezcześcić. Gmina w Poswole była w rozpaczy, zwłaszcza, że kasa gminna była pusta, a tu trzeba było pieniądzmi pozyskać dla siebie kler miejscowy i władze administracyjne. Wówczas to gmina trocka przyszła z pomocą swej biednej siostrzycy i pożyczyła jej 500 złp. dla pokrycia najkonieczniejszch wydatków. Na tem tle przyszło między dwiema gminami karaickiemi do sporów, które zostały dopiero załatwione na sejmie Żydów litewskich. Sejm przyznał słuszność gminie trockiej i zasądził Poswolan na jej

1) tamże № 5.
2) tamże № 6.

zapłacenia, uznając jeno istotny wydatek w wysokości 92 złp. i kwit na sumę 100 złp. przedtem zapłaconą [1]).

Tenże sam sejm (Chomsk, Cheszwan do 2 Ador 1667) wzywa karaitów trockich אל אהובים, היקרים וישרים עדת קראים בגליל זאמוט ובעיר טראק by pod grozą klątwy zapłacili do rąk Hirsza ben Jakób Kac כ"ץ z Wilna 133 sympli, uchwalonych na sejmie w Stałowicach jako resztę z należnych, a już zapłaconych 800 sympli. Sejm nakłada obowiązek na chazanów i szamaszów, שמשים וחזנים karaickich, by pomogli inkasentowi w ściągnięciu tej sumy i grozi, że na wypadek oporu użyje pomocy władz państwowych. Rychło po tem wezwaniu następuje upomnienie, wysłane z Brześcia dnia 25. Tamuz 1667, a po niem dalsze wezwanie do zapłaty [2]).

Po wielu dekretach i groźbach staje w roku 1670 układ, mocą którego centralna gmina karaicka w Trokach winna była zapłacić do kasy sejmu żydowskiego ryczałtem 400 złp. w dwóch ratach. Nie objęto układem sprawy „powrotnego" i oto odezwała się ona w roku 1673, za wójtostwa tylekroć wspomnianego Abrahama ben Samuel. Na jego prośby uwzględnił sejm żydowski wielką część restancji i to ze względu na okropne ubóstwo gminy karaickiej [3]).

Lecz jednorazową ulgą nie można było raz na zawsze załatwić tej sprawy i oto wraca sprawa karaickich podatków raz po raz na stół (1677, 1694) i ciągle notują akta i rachunki sejmowe urgensy, groźby, a potem ulgi [4]).

Nie lepiej szło z płaceniem w XVIII wieku i oto uchwala sejm żydowski w Amudor w roku 1720 — na prośby karaitów o łaskę — że odtąd mają płacić pogłówne tylko w wysokości 500 złp. rocznie, a na inne wydatki 100. Na tem tle przyszło już po kilku latach do sporów i wyznaczenia sądu polubownego (1727). Karaitów zastępował wójt Abraham ben Samuel Łabanowski, ziemstwo żydowskie zaś Cwi Hirsz ben Leib Segal. Sąd rozstrzygnął na korzyść karaitów i utrzymał w mocy uchwa-

1) tamże № 7.
2) tamże № 8.
3) tamże № 9—10.
4) tamże № 11—12.

lę z roku 1720, zniżając ponadto opłatę na różne wydatki ze 100 na 50 złp [1]).

Do roku 1764 istniała organizacja sejmowa żydowska i do tego roku trwały targi i spory między rabanitami a karaitami. Zawsze prawie kończyło się na prośbach o ulgę i zawsze prawie wielką część zaległości odpisywano. W rachunkach sejmu Żydów litewskich rok w rok istnieje pozycja „Karaici troccy i Żmudź", lecz choć pozycja ta jest minimalna, nigdy prawie nie znajduje w czas pokrycia [2]). Nawet w ostatecznych rozrachowaniach, po rozwiązaniu sejmów żydowskich, nie może komisja likwidacyjna, wyznaczona ze strony rządu, dać sobie rady z długami gmin karaickich. Bieda tych gmin była tak wielką, że nie było sposobu na wyegzekowanie zaległych podatków.

4. Uczeni karaiccy w Trokach.

Poznaliśmy w poprzednich rozdziałach kilku uczonych karaickich w Łucku, Kukizowie i Haliczu i widzieliśmy, że oprócz Firkowicza, który swymi „odkryciami i teorjami" zyskał sławę, nie wydali karaici polscy żadnego męża ponad zwykłą miarę. Więcej pod tym względem odznaczyli się karaici litewscy a szczególniej troccy, a jednym z najpoważniejszych uczonych tamże był Izak ben Abraham Troki.

Izak ben Abraham (1533 — 1594) żył w czasach, gdy reformacja w Polsce i na Litwie stała w zenicie. Różwiercy najrozmaitszego pokroju szukali w Rzeczypospolitej schronienia przed prześladowaniami na zachodzie i we Włoszech. Socinianie, Arjanie i tp. szerzyli swą naukę w Polsce i znachodzili poparcie wśród drobnej szlachty i na dworach magnatów. Antytrinitaryzm miał wiele punktów stycznych z biblijnem ży-

1) tamże № 15.

2) סכום המדינה w rachunkach za rok 1667 № 627, הקראים 37 złp., dalej „na Żmudź" 550 złp., הקראים 954 złp. [str. 44], rok 1670 № 677 לזכרון שמגע מן הקראים כל שנה לפי משר 400 złp. r. 1670 № 678 [str. 69] dtto rok 1680 № 735 סכים מדינה 730 złp. i t. d. i t. d. Nawet ostatni sejm Żydów w Słucku [r. 1761 № 949] notuje, że karaici mają oddać do Wilna na Privamessa 280 złp. אחריות בלבולים

dostwem, tak, że w kołach katolickich zwano arjan Judaisantes i posądzano ich, że przez Żydów zostali oderwani od wiary katolickiej. Na tem tle odbywa się w Krakowie w roku 1539 proces o herezję i 80 letnia Katarzyna Melchiorowa Weigel ginie na stosie[1]). Czy Żydzi istotnie brali tak żywy udział w ruchu reformacyjnym, o tem należy z góry wyrazić wątpliwość, znając ich ówczesne położenie, jest też bardzo wątpliwem, czy w istocie żył kiedyś Jakób z Bełżyc, ten Żyd z którym rzekomo polemizował Marcin Czechowicz i którego uwiecznił w swych „Rozmowach christjańskich".[2]) To jest prawdą, że w pewnych sferach żydowskich czytano owe pisma i interesowano się nimi z punktu widzenia teologicznego i apologetycznego. Jednym z takich apologetów żydostwa był wyżej wspomniany karaita trocki, Izak ben Abraham. Obcował on w młodości z uczonymi teologami chrześcjańskimi, a szczególnie z reformatorami, poznał język polski i łaciński, „utrzymywał stosunki z biskupami i szlachtą", „ze stronnikami papieża rzymskiego i z ewangelikami ze stronnictwa Marcina Lutra i religji praskiej", poznał ebionitów, arjan, serwetów, „którzy negują Trójcę" i „wielu wśród chrześcian, którzy wiedzą, że ich wiara nie jest najlepszą", przeczytał kronikę polską (Bielskiego) oraz tłumaczenia Biblji, tak katolickie, jak i kalwinskie, studjował pisma Paruty, Czechowicza, Budnego i t. d. i t. d. Izak znał dzieło Paruty: „De uno vero Deo", i Marcina Czechowicza: Rozmowy chrystjańskie i t. d. i t. d.

Tak uzbrojony, opracował Izak obszerne dzieło apologetyczne, które nazwał Chizuk Emuna ספר חזוק אמונה. Czy to dzieło wynikło z faktycznych polemik, czy też było owocem akademickiej pracy, trudno dziś rozstrzygnąć, tyle możemy skonstatować, że autor nie dożył ostatecznej jego redakcji (gdyż umarł tuż przed ukończeniem swej pracy w roku

1) Bałaban: Dzieje Żydów w Krakowie i na Kazimierzu tom. I. str. 77.

2) Brükner: Różnowiercy polscy. Warszawa 1905 str. 248 i nast. Tytuł dzieła opiewa: „Odpis Jakuba Żyda z Bełżyc na dyologi Marcina Czechowicza, na który zaś odpowieda Marcin Czechowicz". 1587 str. 311. Na innem miejscu starałem się wykazać, że Jakób z Bełżyc, a w każdym razie jego „Odpis" jest zmyślony, t. zn. że Czechowicz stworzył tę osobę dla swego dyalogu.

1694) a zredagował je uczeń jego, Józef ben Mordechaj Malinowski.

Jako apologeta żydostwa stoi Izak wyłącznie na gruncie biblijnym i to mu ułatwia polemikę, ileże chrześcijanie — uznający świętość biblji — nie mogą też jego zwalczać. Wywody jego są jasne, nieraz bardzo nawet ironiczne, często (szczególnie w drugiej części)nie zadawalnia się obroną żydostwa, lecz atakuje dogmaty religji chrześcijańskiej i analizuje je z wielką bezwzględnością. I tak naprzykład zbija zarzut czyniony żydostwu, że przepisy religji żydowskiej są za trudne do wypełniania, ileże zawierają wiele obostrzeń. Izak twierdzi, że przepisy żydowskie są pisane dla ludzi, jak np. przepis o dziesięcinach, które należy oddawać kapłanom. Zakon żydowski zostawia każdemu 90% jego dochodów a tylko 10% mu odbiera, podczas gdy Jezus kazał wszystko oddać biednym i tym sposobem wyzbyć się swego majątku. „Stary Zakon" odróżnia przy karach za kradzież różne stopnie winy złodzieja i wyznacza grzywny podwójne, poczwórne i t. p., chrześcijanie natomiast karzą za każdą kradzież śmiercią. „Jezus nakazał swym wiernym, że jeśli ich kto, uderzy w jeden policzek, winni nastawić drugi, lecz sam tego nie czynił, owszem gorzko narzekał, gdy go ktoś uderzył (Ewangeljum św. Jana XVIII 22). Podobnie klął św. Paweł (Hist. Apost. XXIII 2), gdy go bito. I dziś niema takiego chrześcjanina, któryby nastawiał drugi policzek, gdy go w pierwszy uderzono."

W dalszym ciągu polemizuje Izak z chrześcjanami na temat rytualnego jadła, obrzezania itd. a wreszcie przychodzi do kwestji często w dysputach wysuwanej, że już sam ciężki los Żydów wskazuje na to, że ich Bóg opuścił, i poddał ich pod obce berło. Z ironją pyta Izak: Czyż zawsze dobry jest szczęśliwym a szczęśliwy dobrym? Czyż nie skarżyli się prorocy i psalmiści na to, że grzesznikom dobrze się powodzi, a pobożni giną w nędzy? Czyż Nebukadnezar, Aleksander Wielki—ci szczęśliwi zwycięscy—należą do wiernych chrześcjańskiej religji? Patrzcie jeno na mahometan—woła—jak opanowali cały świat, a czyż i oni uchodzą u was za wiernych?"

Odparłszy zarzuty czynione religji żydowskiej, przystępuje Izak do analizowania dogmatów wiary chrześcjańskiej i, idąc śladem

dawnych apologetów żydostwa (Kimchiego, Abarbanela itd.) oraz antytrynitarjuszy, mocno na te dogmaty uderza.

Dzieło Izaka przeszło różne koleje. Po śmierci autora, (1594), zredagował je ostatecznie wyż wspomniany uczeń jego Malinowski i od tej chwili krążyło ono w rękopisach z rąk do rąk. Snać nie chciano go drukować z obawy przed cenzurą, która w czasach Zygmunta III i wszechwładztwa Jezuitów bacznie śledziła za wszystkiem, co mogło naruszyć jedność Kościoła katolickiego. Lecz rękopisów i to hebrajskich cenzura nie kontrolowała i dlatego mogło Chizuk Emuna w licznych odpisach krążyć z rąk do rąk. Z czasem porobili kopiści w tekscie dowolne zmiany; „Izaka z Trok" zrobiono „Izakiem z Krakowa", z karaity zrobiono rabanitę, dodano liczne dowody z Talmudu i skażono czysto biblijny charakter tej apologji. Taki skorrumpowany tekst dostal się na zachód i oto już w roku 1621 przełożył go Izak Atias na język hiszpański i wydał go drukiem w Wenecji. Naturalnie, że książka drukowana łatwiej jeszcze niż rękopis rozeszła się po świecie, a z nią także i przeróbki, poczynione przez niesumiennego kopistę.

Uczony niemiecki Krzysztof Wagenseil otrzymał przypadkiem w Ceucie w Afryce rękopis hebrajski tego dzieła, a przeraziwszy się bezwzględną analizą dogmatów chrześcijańskich, przełożył je na język łaciński i wydał wraz z tekstem hebrajskim w Altdorfie w roku 1681 pod charakterystycznym napisem: Tela ignis Satanae (Ogniste strzały szatana). W roku 1705 wydrukowano w Amsterdamie oryginał hebrajski bez tłumaczenia, a w roku 1717 przełożono go na język niemiecko-żydowski. Tym sposobem dostał się skorrumpowany tekst Chizuk Emuna przez Afrykę do Niemiec i z powrotem do Polski, i dopiero dzięki przypadkowi został przez pastora śląskiego Gotlieba Ungera (który gdzieś odszukał dobrą kopię) z powrotem odrestaurowany. Odtąd drukowano rozmaite wydania, a ostatnio wydał je dwukrotnie (raz z tłumaczeniem niemieckiem) rabin w Sohrau na Śląsku, Dawid Deutsch (drugie wydanie 1873).

Wielu chrześcijan czytało dzieło Izaka z Trok i pisało nań odpowiedzi, starając się zbić lub osłabić zarzuty tamże poczynione, natomiast zachwycali się niem encyklopedyści i wol-

nomyśliciele drugiej połowy XVIII wieku. Znał „Chizuk Emuna" Wolter i taki o nim wydał sąd: „Izak zestawił wszystkie trudności, które niewierni do owego czasu powtarzali... krótko mówiąc: Zdecydowani niedowiarkowie niczego prawie nie umieli zacytować, co by nie było zawarte w „Twierdzy wiary" rabi Izaka... (Melanges, tom III pg. 344). [1])

*

Do uczonych karaitów trockich należy wydawca „Chizuk Emuna" i autor kilku samodzielnych prac, Józef ben Mordechaj Malinowski. Napisał on rzecz o rzezaniu bydła: Kicur Injan Haszchita קצור ענין השחיטה Minhagim מנהגים, szereg modlitw a wśród nich jedną złożoną z 1000 słów, z których każde zaczyna się na H (ה).

Tutaj należy także zaliczyć Zeracha ben Natan (1595-1663), ucznia obu wyżej wymienionych, który korespondował z uczonym Józefem del Medigo, nadwornym lekarzem u Radziwiłłów, oraz z Menassem ben Izrael w Amsterdamie. Jak wynika z tej korespondencji, zajmował się Zerach lekturą, czy też studjum Filona Aleksandryjskiego [2]).

Matematykiem i lekarzem nadwornym Radziwiłłów Jana Kazimierza był (wedle Firkowicza) Ezra ben Nisan (um. 1666). Był on uczniem lekarza Zeracha b. Natan, który go polecił d-rowi Józefowi del Medigo. Del Medigo upodobał

1) W literaturze naukowej wiele się o Izaku z Trok pisało. Znakomitą, choć nie wielką, rozprawę poświęcił mu Abraham Geiger: Isak Troki, ein Apologet des Judentums am Ende des XVI Jahrhunderts, odbitka z Breslauer Jahrbuch, Wrocław 1853. Tamże treść Chizuk Emuna i liczne notatki bio- i bibliograficzne. Tłumaczenie niemieckie i najnowsze edycje dokonane przez Deutscha Dawida: Chizuk Emuna חזוק אמונה Fortalitium fidei, Befestigung im Glauben, in zwei Teilen, wovon der erste das Judentum gegen das Christentum in allen seinen Teilen verteidigt, der zweite, die Bücher des Neuen Testamentes kritisiert und so die Elemente und die Lehren des Christentums angreift, von Isak Serach ben Abraham aus Troki (geschrieben 1593). Zum ersten Male mit lateinischer Version herausgegeben von Wagenseil in dessen Tela Ignea Satanae. Altdorf 1681 4°. Nach der Leipziger Ausgabe 1857 mit verbessertem hebräischen Texte, deutscher Uebersetzung und Anmerkungen. Sorau 1865. II wydanie Breslau 1873.

2) Neubauer l. c. str. 74–5.

sobie Ezrę i przekazał mu swą naukę i swą sztukę lekarską. Ezra dostaje się (podobnie jak Zerach) na dwór Radziwiłów, a ci polecają go Janowi Kazimierzowi, gdy córka jego jest ciężko chora. Ezra wywiązuje się ze swego zadania i leczy córkę królewską, za co go Jan Kazimierz mianuje swym lekarzem i sekretarzem. Podczas pożaru Trok (1655) traci Ezra swą bogatą bibliotekę, lecz utrzymały się jego medyczne „raptularze", które miał w ręku w połowie XIX Syrokomla, gdy zwiedzał Troki. W tychto raptularzach, pisanych dobrą łaciną, znalazł Syrokomla hebrajskie adnotacje, które mu Firkowicz przetłumaczył. Z tłumaczenia wynikało, że były to notatki historyczne (o założeniu gminy trockiej, o wygnaniu Żydów z Litwy i ich powrocie) naszpikowane błędami jak np., że Aleksander wygnał Żydów z Litwy, a Jan Olbracht ich przyjął z powrotem itp. Notatki te— którym się dziwił Syrokomla [1]) nie, mogąc pojąc jak inteligentny człowiek nie zna chronologji królów — są prawdopodobnie ową pierwotną kroniką historyczną, którą miał w rękach Czacki, a z których korzystali Leonowicz, Sułtański i Firkowicz. Firkowicz znalazł na karaickim cmentarzu w Trokach nagrobek Ezry i przedrukował jego Epitafium na samym końcu swego dzieła: Awnei Zikkaron. [2])

1) Wycieczki po Litwie l. i. c.

2) Firkowicz: אבני זכרון str. 251: nadto obacz „Nowe Życie" I str. 8 i dalsze. מצבת זה הציון לזכר עולם וציין על קבר החכם כ'ס'ה'ר' ע ז ר א הרופא ובעל סוד של המלך כ א ז י ס ר יר"ה ב"כ"ר ניסן, ב'כ'ר זרובבל, ב'כ'ר' עזרא ז"צ"ל ויום פטירתו ביום ד' אב טוב לאלול בשנת ו ה י ת ה נפש אדוני צרורה בצרור החיים לפק

Dwa wyrazy uderzają nas w tem epitafium: imię króla i intytulacje Ezry. Król nazywa się כויסר Kazimierz, a przecież Jan Kazimierz, a tylko o niego tu chodzi (r. 1666), podpisywał się Johannes Casimirus i tak samo go tytułowano. Zachodzą więc trzy możliwości: albo w Trokach nie wiedziano jak się król nazywał, albo Firkowicz nie doczytał jakiegoś zniszczonego słowa, albo—nie chciałbym tego stanowczo stwierdzić— sfabrykował lub interpolował epitafium, zastosowując interpolowane słowa do swego celu. Utwierdza nas w tem przekonaniu intytulacja Ezry רופא ובעל סוד lekarz i powiernik (pan sekretu) a więc sekretarz. Nie przypominam sobie, bym kiedy czytał na nagrobku podobny tytuł (בעל סוד), choć sekretarzy królewskich było wielu. — Uwagi Firkowicza do imienia króla Kazimierza, że był trzecim tego imienia, (podczas gdy pierwszy panował w r. 1338 drugi w r. 1445) są taksamo śmieszne jak inne jego adnotacje z historji polskiej, podane przez nas w rozdziale I niniejszej rozprawy.

Do uczonych gminy trockiej należą również matematyk, Jozjasz syn Judy i syn jego lekarz Abraham.

5. Troki w XIX wieku.

Z upadkiem Trok upada wśród karaitów nauka, a resztki niegdyś sławnej gminy żyją wspomnieniem minionej przeszłości. Gmina karaicka w Trokach — podobnie jak gmina halicka w Galicji — staje się w 19 wieku martwą wyspą etnograficzną, którą odwiedza każdy podróżny zaglądający do Trok i o której każdy wspomina.

I tak odwiedził Troki w roku 1822 artysta malarz Smokowski i zetknął się z karaitami. Smokowski dziwi się ich czystóści, ich pięknej polskiej wymowie, ale też ich nieuctwu. Jakby dla usprawiedliwienia tegoż cytuje on słowa Tadeusza Czackiego: „Nie szukajmy w społeczeństwie karaickiem nauk, ale szanujmy u tych prostaków cnotę" i dodaje od siebie „i w rzeczy samej, prostoduszna nieświadomość nie tylko nas nie uspakajała, ale owszem bolesną nam się wydawała, bo cztery wieki wszystkie ślady ich pierwiastkowego w Trokach pokazania się zupełnie zatarły, a wiadomości, o jakie można się było dopytać, wstecz na 50 lat nie sięgały."

Jako malarz interesuje się Smokowski ich strojem i opowiada, że „mężczyzni noszą szaty krajowe, kobiety zaś przypominają strój bogatej wieśniaczki grodzieńskiej gubernji". Podaje też Smokowski, że zajmują się handlem skór, ogórków i obwarzanków, chwali ich łagodność i uczciwość i opowiada, że gdy miał się z towarzyszem przeprawić przez jezioro Gałwa dla obejrzenia i odrysowania ruin zamkowych, wynajął przewoźnika karaickiego, który jednak miał dziurawą łódkę, tak, że omało wszyscy trzej nie utonęli w wodach jeziora[1]).

W roku 1846 czy 1847 zwiedził Troki Juliusz Kurts i również podał garść szczegółów o karaitach. „Ledwie wkroczysz w progi tego miasta — czytamy w jego relacji — ujrzysz ludzi czarnowłosych, śniadawej cery w ubiorze chrze-

---

1) Ateneum. Tom V r. 1747, str. 150 i nast.

sołajńskim, zda ci się może, iż to nasze, zewnętrznie zreformowane, żydki. Zagadniesz którego o co, odpowie ci w języku czysto polskim, tak, że ani w głosie, ani w toku mowy niełatwo uchwycisz coś żydowskiego. To są karaici!... Uczciwość ich przeszła w przysłowie, atoli uderzającą niekiedy jest ich krnąbrność, wysokie rozumienie o sobie i pewien rodzaj zuchwalstwa w obejściu. Język tatarski jest u nich w domu językiem potocznej rozmowy..."

Kurtz zna początki karaitów podług Firkowicza, względnie z artykułu ogłoszonego w roku 1844 w Bibliotece Warszawskiej [1]).

Najwięcej podał o karaitach trockich Ludwik Kondratowicz (Syrokomla), który w połowie XIX wieku zwiedził Troki i tamże zastał Firkowicza, wówczas już staruszka powszechnie znanego i szanowanego. „W jednym ze szczupłych pochylonych domków nad brzegiem jeziora mieszkał szanowany starzec, karaita Abraham Firkowicz, znany u nas w świecie archeolog, który jako młodszy chazan eupatoryjskiej synagogi bawił w Trokach dla spraw swego wyznania". Syrokomla zaprzyjaźnił się z Firkowiczem i od niego dowiedział się o dziejach karaitów wogóle, a o karaitach trockich w szczególności. Firkowicz opowiedział Syrokomli „o tem jak dawniej zbrojne rycerstwo karaickie każdego poranku, odprawiwszy w synagodze krótką modlitwę, szumnie harcowało na moście, wiodącym przez jezioro na wyspę do zamku, kędy ich służba do boku pana Litwy powoływała...", opowiadał mu też o wielu innych rzeczach, opartych raczej na swej bujnej a wschodniej fantazji niż na prawdzie. Lecz temu spotkaniu się obu tych mężów zawdzięczamy ważne choć szczupłe wiadomości o Łabanowskich, czyli Łabanowach, wójtach trockich.

Był też Syrokomla w synagodze karaickiej podczas wieczornego nabożeństwa i zauważył... „że jest podobną do kościoła... tamże na podwyższeniu ołtarz, ozdobiony kolumnami. Kapłan nosi kolorową albę i ornat, jak ksiądz katolicki, natomiast zamiast krzyża jest znak Dawida. Na głowie aksa-

1) Rozmaitości. IV r. 1847 str. 421 i nast.

mitny kubłak kolorowy na wzór księży katolickich..." „Synagoga jest drewniana, skromna i położona na końcu miasta". [1])

*

Od pół wieku wymiera, lub emigruje gmina karaicka w Trokach. Ludności karaickiej jest coraz mniej, a przenosi się ona do sąsiedniego Wilna, gdzie — jak już wspomniano — powstała oddzielna gmina, a w niej od roku 1911 oddzielna synagoga.

O dawnej świetności i o przewodniem niegdyś znaczeniu Trok świadczy dotąd tylko fakt, że tutaj jest siedziba jednego z dwóch chachamów, reprezentujących wszystkie gminy karaickie w całem dawniejszem imperjum rosyjskiem. Do jurysdykcji chachama w Trokach należą jak dawniej gminy w Łucku, Poniewieżu, a z nowych w Wilnie, Pskowie itd. Jeśli weźmiemy za podstawę naszych obliczeń spis ludności z roku 1897, otrzymamy nastepujące cyfry:

Liczba karaitów w Trokach 377, w Wilnie 155, w reszcie miast Litwy, Wołynia itd. 751 (Łuck w r. 1911 — 155 dusz). (Poniewież w roku 1857 — 49 dusz), czyli razem suma karaitów należących do jurysdykcji duchownej chachama trockiego—1383. Gdybyśmy do tego dodali liczbę karaitów halickich z roku 1910—160, wówczas otrzymamy ogólną liczbę karaitów żyjących na ziemiach Rzeczypospolitej — 1543. Tyle ich było przed wojną; ile ich zostało do dzisiaj trudno określić dla braku danych z ostatniego spisu ludności [2]).

---

1) Syrokomla: Wycieczki po Litwie w promieniu Wilna, tom I Wilno 1857 passim. Synagoga ta istnieje do dnia dzisiejszego. Mamy nieco danych o innych synagogach karaickich: W roku 1765 pozwolił biskup Massalski zbudować synagogę karaicką w Nowem Mieście, w r. 1665 pozwolił Jan Kazimierz wybudować synagogę w Dolhinowie. Ryciny synagogi trockiej, halickiej i wileńskiej są zamieszczone w różnych numerach Karaimskoj żyzni z roku 1911, halickiej samej w Ost u. West, Berlin rok 1912, styczeń-luty.

2) W „Bibliotece Warszawskiej" 1844, tom II str. 413 jest trochę statystycznych danych z r. 1836. W tym roku było na Krymie karaitów dusz 1437, w gubernji chersońskiej 223, wileńskiej 402, (Troki) za Kaukazem 133. Co do gubernji wileńskiej, było w Trokach około 100 rodzin, w powiecie poniewieskim 50 — 60, a w samym Poniewieżu kilka, w Poswole, Sołobach i Birzy ani jednego.

Dr. JAKÓB HANDEL.

Aryjczycy i Semici.

(Problem pokrewieństwa językowego).

(Dokończenie) *)

Tak sprawa stała mniej więcej do roku 1906 t. j. do ukazania się na półkach księgarskich książki prof. kopenhaskiego Hermana Möllera, pt. „Semitisch und Indogermanisch", Teil I. Konsonanten. Kopenhagen — Leipzig 1907.

To co publikację Möllera odrazu wynosi ponad pracę jego poprzedników jest ścisła metoda i głębokie prawdziwie naukowe ujęcie problemu. Jest to dzieło, obejmujące głosownię lub raczej wstęp do głosowni porównawczej języków semickich i indoeuropejskich. Autor składa w tem dziele, jak zaznacza we wstępie, owoce trzydziestoletniej pracy, korzystając z najnowszych badań i zdobyczy zarówno w zakresie gramatyki indoeuropejskiej jak i semickiej. W ślad za tą książką wydał Möller w języku duńskim słownik porównawczy indoeuropejsko - semicki, który w rozszerzonych rozmiarach wyszedł w języku niemieckim p. t. Vergleichendes indogermanisch-semitisches Wörterbuch, Getynga 1911. Nadto już po wydaniu „słownika" wydał nasz autor w różnych językach szereg rozpraw i artykułów po części polemicznych, w których bądź to rozwinął, bądź zmodyfikował swoje wywody, rozszerzając poniekąd materjał zawarty w wymienionych dwóch dziełach podstawowych.

Najważniejszą, istotną treść dzieła Möllera stanowi, rzecz jasna, jego część systematyczna. Autor próbuje ustalić w niej prawa głosowe, według których odpowiadają sobie poszczególne dźwięki t. j. samogłoski i spółgłoski w se-

*) Obacz „Nowe Życie" IV, str. 1.

mickiem i w indoeuropejskiem. Czyli innemi słowy, usiłuje on skonstruować na podstawach ściśle naukowych fonetykę t. j. głosownię semicko-indoeuropejską. Niestety jednak te wywody teoretyczne muszę pominąć, nie chcąc wchodzić w szczegóły zbyt fachowe i dla laika mniej interesujące. Natomiast pozwolę sobie zapoznać czytelnika z praktyczną, że tak powiem, stroną zagadnienia t. j. z materjałem leksykalnym, na którym Möller oparł swoją teorję. Przytoczę tedy dla ilustracji szereg równań etymologicznych, zaczerpniętych przeważnie ze „Słownika". Zestawienia te podam w porządku alfabetycznym, uwzględniając z języków indoeuropejskich przedewszystkiem język polski, oraz oba języki klasyczne, z semickich zaś głównie język hebrajski.

albh — „biały"; łać. albus, pols. łabędź, hebr. lában „biały" lebanon „Libanon", por. Alpy, Albion

ark — „pleść, tkać"; grec. arkane „sieć", pols. rokita, hebr. árag „tkać" oreg „tkacz".

bha — „mówić", łać. fari, fama, pols. bajać, baśń assyr. na-bu „wywoływać, ogłaszać", hebr. na-bi „prorok".

bhlg — „błyszczeć"; łać. fulgeo „błyszczę", staroindyjskie (sanskryckie) bhargas „blask", hebr. barak „błyska się", arabskie balaga „zabłysła (jutrzenka)".

drg — „stąpać, młócić"; pols. droga, niem. dreschen, hebr derech „droga"

dhabh — pols. oz-doba, dobry, hebr. tob „dobry"

gmbh — pols ząb, starogórnoniemieckie camb „grzebień", arabs. sanabu „ząb".

gur — pols. żer, łać. vorare „żreć, połykać", niem. Gurgel „gardziel", hebr. gargar „żarłoczny", arabs. gargaca „połknął"

K-rn — łać cornu „róg", niem. Horn, hebr. Keren „róg".

k-l — „toczyć się, toczyć"; pols. koło, greckie kyklos „koło", hebr. gilgal „koło"

kla — „zamykać"; łać clavis „klucz", assyr. kaln „zamykać" hebr. kele „więzienie".

K-rb — „zrywać"; łać carpo „zrywać", grec. karpós „owoc" (zerwany), niem. Herbst „jesień" (czas zrywania owoców), arabs. charafa „zerwał z drzewa (owoce)", hebr. choref „jesień".

k-rd — kr-dh — pols. krótki, hebr. karath „skrócić, ściąć"

m-d — „mierzyć"; łać modus, „miara", niem. messen „mierzyć" hebr. midda „miara".

m-k — pols. mieszać, niem. mengen, łać. misceo „mieszać", hebr. masach „mieszać (wino)".

m-la — pols. mleć, niem. mahlen, Mehl, hebr. malal melilloth, „starte kłosy"

n-s — pols. nos, niem. Nase, łać. nasus, hebr. naszam „oddychać", neszama „dusza".

s-k — pols. sześć, łać. sex, niem. sechs, hebr. szesz „sześć"

s-p — łać. „septem" „siedm", hebr. szeba „siedm", assyr. siba, sibi.

so-k-r — łać. socer, pols. świekr, niem. Schwäher, arab. sihrun „świekr".

Tak mniej więcej przedstawiają się zestawienia etymologiczne Möllera, przyczem zaznaczyć muszę, że wybrałem umyślnie dla ilustracji przykłady najbardziej stosunkowo przejrzyste i już na pierwszy rzut oka niejako przemawiające do przekonania. Inne są mniej oczywiste i na pozór przynajmniej wydają się niekiedy nawet nieprawdopodobne i naciągane.

Rozpatrzmy z kolei zarzuty przeciwników Möllera i jego teorji. Pierwszy zarzut podkreśla trudność metody i streszcza się w tem, że o ile jakiś związek między obu gałęziami językowemi faktycznie zachodzi, to jest on tak odległy czasowo, że go dziś uchwycić niepodobna, skoro przecież i pokrewieństwo form, czy wyrazów indoeuropejskich przeważnie gołem okiem albo raczej uchem laika bez pomocy praw głosowych i często zawiłych i daleko idących rekonstrukcyj zauważyć się nie da. Zgoda! Lecz nie trzeba zapominać, że obok tych zjawisk językowych, nierzadko do niepoznania zmienionych, nie brak w językach indoeuropejskich form i wyrazów, których dziwnym jakimś trafem ząb czasu prawie że nie tknął, które przedstawiają, prawie że idealny, niczem nie skażony stan pierwotny. N. p. wyraz matka, macierz; jak wiadomo, we wszystkich językach indoeuropejskich do dziś dnia brzmi dosyć podobnie. Albo wyraz syn, niem. Sohn, litew. sunûs. Albo weźmy litew. esti „bywa, jest:" ten wyraz litewski brzmi prawie zupełnie tak samo jak brzmiał w prajęzyku indoeuropejskim.

Otóż dzięki tym właśnie i podobnym formom i wyrazom dobrze, że tak powiem, zakonserwowanym, odkryto pokrewieństwo języków rodziny indoeuropejskiej i dopiero

za ich śladem niejako postępując, zauważono liczne prawidłowości, które obejmujemy nazwą praw głosowych, a dzięki którym z bezwzględną nieraz pewnością możemy wykazać pokrewieństwo i sprowadzić do wspólnego mianownika wyrazy pozornie zgoła do siebie niepodobne, jak np. te, które dla przykładu powyżej zestawiłem. Dlaczegożby więc, nasuwa się pytanie, podobnie rzecz mieć się nie mogła i w szerszym zakresie indoeuropejsko-semickim, o ile rzecz jasna, języki te kiedyś w bliskich pozostawały stosunkach. Przecież i tu, mimo znacznie odleglejszego tła czasowego, niejeden wyraz mógł się tak dobrze w obu grupach zachować, że podobieństwo ich samo się narzuca, a nie wiem, czy trudniej było np. Boppowi, który szedł zupełnie po omacku zorjentować się w labiryncie języków indoeuropejskich, czy też trudniej dzisiejszemu badaczowi zorjentować się i dochodzić kłębka w bezporównania większym wprawdzie labiryncie indoeuropejsko-semickim, ale po nitce doświadczenia nabytego w językoznastwie indoeuropejskiem. Bo choć błędem zasadniczym byłoby zbyt pochopne i łatwowierne prawa głosowe, uzyskane w obrębie języków indoeuropejskich przenosić żywcem na grunt indoeuropejsko-semicki, to przecież oględne i ostrożne korzystanie z rezultatów gramatyki indoeur. może i musi oddać walne usługi przy tworzeniu gramatyki porównawczej indoeuropejsko-semickiej, oczywiście, powtarzam z naciskiem, o ileby racja bytu takiej gramatyki była skądinąd uzasadniona.

I drugi zarzut nie wchodzi w meritum problemu, lecz wskazuje na trudność porównywania dwóch czynników niewspółrzędnych, dwu dziedzin, stojących na różnym stopniu rozwoju. Podczas, gdy bowiem językoznawstwo indoeurop. stoi dziś na wyżynie, z której dumnie spoglądać może na świetne wyniki przeszło stuletniej pracy, to językoznawstwo semickie zaczyna nieledwie wchodzić w okres dojrzałości naukowej i znajduje się dopiero w stadjum dojrzewania.

Toteż Möller, który w dziedzinie indoeuropejskiej opiera się na zasadach powszechnie przez naukę przyjętych

i udowodnionych, w zakresie semickim sam sobie często torować musi drogę, przyczem oczywiście niekiedy opiera się na kruchej podstawie hypotez i przypuszczeń, co osłabia siłę jego wywodów.

Ostatecznie, jakkolwiek rzecz się ma, nikt nie będzie uważał prac Möllera za ostatni wyraz naszego zagadnienia, przeciwnie jest rzeczą pewną, że w szczegółach niejedno trzeba będzie odrzucić, niejedno zdanie zmienić lub zmodyfikować, że niejedno odrazu już odrzucić należy. Wykazałem swego czasu w recenzji, a Möller naogół zarzutom moim przyznał rację, ze niektóre z zestawionych przez niego wyrazów są onomatopejami i jako takie oczywiście nie wchodzą w rachubę. Tak np. wyrazy oznaczające lub raczej naśladujące śmiech: greckie k a c h a d z o, hebr. c a c h a k, polskie chichotać, niem. k i c h e r n, podobnie wyrazy hebr. l a c h a c h, l i z a ć, l e c k e n i t. p., inne znowu z przytoczonych przez Möllera zestawień etymologicznych wzięte są z języka dziecinnego, który jak wiadomo jest uniwersalny i kosmopolityczny np. dźwięki pa-, ma-, ta-, da-, powtarzające się w nazwie matki i ojca, inne znowu mogą być wyrazami przyswojonemi, względnie zapożyczonemi przez szczep jeden od drugiego, zwłaszcza przez młodszy historycznie szczep aryjski od starszego semickiego, albo ostatecznie przez oba te szczepy od jakiegoś trzeciego np. małoazjatyckiego.

Warto też przy tej sposobności mimochodem zwrócić uwagę na mało znany fakt, że bez względu na to, gdzie znajdowała się praojczyzna Indoeuropejczyków — a kwestja ta jest po dziś dzień otwartą — jest rzeczą udowodnioną, że na widownię dziejową występują Aryjczycy po raz pierwszy (ok. 1400 r.) nie gdzie indziej, jak w Azji Mniejszej, w Syrji i w Palestynie. O tem pouczyły nas najnowsze źródła wykopaliskowe i napisowe.

Wobec wyłuszczonych faktów i zastrzeżeń chodziłoby teraz tylko o to, czy w długim szeregu wywodów, zestawień i argumentów Möllera znajdzie się bodaj „10 sprawiedliwych", t. j. przynajmniej tyle bezwzględnie pewnego, by przyjęcie jakiegoś powinowactwa między językami indo-

europejskiemi a semickiemi było konieczne. Pod tym względem zdania dzisiaj są jeszcze podzielone: przyszłość rozstrzygnie. A jeżeli dalsze badania potwierdzą słuszność omówionej hypotezy i pozwolą jej już w formie pewnika wejść w stały dobytek nauki, to uczonemu duńskiemu przypadnie niepoślednia zasługa tego, który wprowadził nasz problem na tory prawdziwie naukowe, a przez to nietylko językoznastwu, ale wogóle historji kultury i dziejom ludzkości wskazał nowe a szerokie widnokręgi. My zaś, jako naród biblji, będziemy mu ponadto wdzięczni za to, że w tak doniosłej kwestji zrehabilitował, albo raczej potwierdził naszą prastarą tradycję i o poważny krok zbliżył naukę do przekazanej nam od wieków teorji biblijnej o wspólnem źródle mowy ludzkiej i o braterstwie wszystkich ludów.

LUDWIK GEIGER

GOETHE a ŻYDZI.

(Z powodu 175 rocznicy urodzin wielkiego poety).

III. *)

Goethe interesował się również zasadniczemi sprawami, tyczącemi się Żydów. Należy zwrócić specjalną uwagę na jego stanowisko w sprawie uregulowania stosunków żydowskich w Frankfurcie. Informację o tem zawdzięczał Bettinie Brentano, która zwykle zawiadamiała go o wszystkiem, co się działo w jego mieście rodzinnem. Przysłała mu broszury, pisane bądź przez Żydów, bądź przez filantropów niemieckich, ale to jeszcze Goethemu nie wystarczało. Poeta zażądał bowiem dla uzupełnienia jednostronnego sądu, jaki wyrobił sobie na podstawie tych dokumentów, przesłania sobie prac przeciwnego obozu i czytał złośliwe uwagi o szlachetnym Izraelu Jacobsonie, którego nazywał drwiąco „Żydowskim Mesjaszem Brunszwiku...". Czytał je z o wiele większą przyjemnością niż humanitarne postulaty, stawiane przez Żydów samych, lub w ich imieniu... W każdym razie możemy skonstatować, przeglądając książki i bibljotekę w domu Goethego, że poeta nietylko przyjmował nadsyłane sobie broszury, ale że je czytał z największą uwagą, niektóre słowa podkreślał, poszczególne zdania godne uwagi zaopatrywał w wykrzykniki, poprawiał błędy. Ta uważna lektura dokumentów nie dowodzi wprawdzie przejęcia się Goethego poglądami Bettiny, ale bądź co bądź świadczy o gorliwości, z jaką, mimo swe różnorodne zajęcia, starał się zrozumieć wielkie zagadnienie sprawy żydowskiej.

Nie doszły nas żadne wiadomości co do poglądu Goethego na starania, mające na celu emancypację Żydów. Staranie te wszczęte zostały w r. 1811 w Prusiech

*) Obacz „Nowe Życie" IV str. 32—41.

i w innych państwach niemieckich, a skutkiem ich był przedewszystkiem akt związkowy z r. 1815. Stanowisko Goethego było, zdaje się, dla akcji tej raczej nieprzechylne. Dowodzą tego okrutne słowa, znajdujące się w liście do przyjaciela z dn. 24 czerwca 1816, napisane pod wpływem chwilowego uniesienia. Goethe pisze mianowicie: „Według starego prawa nie wolno nocować w Jenie żadnemu Żydowi. Należy się spodziewać, że w przyszłości to godne pochwały rozporządzenie ściślej będzie przestrzegane". Jednakże tym wypowiedzianym w gniewie słowom możemy przeciwstawić uprzejmość, z jaką Goethe przyjmował niejednego mieszkającego w Jenie lub przyjezdnego Żyda i przyjazne traktowanie Davida Veita zarówno w Jenie, jaki w Weimarze.

Jeszcze wyraźniej zarysowuje się stanowisko Goethego w czasach późniejszych. Wielki książe Karol August był pierwszym władcą niemieckim, który państwu swemu nadał konstytucję. Następnie w r. 1823 wydał rozporządzenie, na mocy którego dozwolone były małżeńswa między Żydami a chrześcjanami. Goethe, który już wówczas nie brał czynnego udziału w rządach, mocno był niezadowolony z tego rozporządzenia, jak wogóle z praw, przyznanych Żydom dn. 20 czerwca 1823, nie dającym im wprawdzie pełnego równouprawnienia, ale dość liberalnych. W rozmowie z kanclerzem Millerem, prawdopodobnie autentycznej, wyraził Goethe swoje oburzenie: „spodziewał się, że rozporządzenie pociągnie za sobą jaknajfatalniejsze, jaknajjaskrawsze skutki, utrzymywał, że jeśli superintendent generalny jest człowiekiem o silnym charakterze, to raczej złoży swój urząd niż da w imieniu Trójcy Świętej ślub Żydówce w kościele. Wszystkie uczucia moralne rodziny, bezwzględnie oparte na religji, podkopane są przez tego rodzaju skandaliczne rozporządzenie". Najbardziej gniewało go to, że drobne państewko wejmarskie pierwsze weszło na drogę podobnych reform. W oburzeniu swojem wyraził się bardzo ostro: „Czyż zawsze możemy przodować w absurdach, próbować pierwsi wszelkiego rodzaju bzdurstw„.

Również z 1823 r. pochodzi inny dekret wielkiego księcia saskiego, na mocy którego dwie sieroty wyznania żydowskiego miały być przyjęte do ogólnego domu sierot i tam wychowywane. W rozporządzeniu tem znajdujemy wyrażenia, świadczące o bardzo wielkiej tolerancji. Chociaż współudział Goethego w wydaniu tego dekretu nie jest ani dowiedziony, ani nawet prawdopodobny, to jednak trudno przypuścić, by uczucia humanitarne, które w nim wyraz swój znalazły, były poecie zupełne obce.

Niejako dowodem tego jest wielka sympatja, jaką Goethe darzył najwybitniejszych przedstawicieli świata żydowskiego. Oczywiście, chociaż Goethe zapoznawszy się dość wcześnie z dziełami Barucha Spinozy, nie zwracał specjalnej uwagi na jego żydowskie pochodzenie, to w każdym razie przynależność Spinozy do żydostwa nie podziałała nań odstraszająco. Sposób, w jaki Goethe poddawał się działaniu potężnych myśli filozofa i wyrażał uznanie dla jego etyki, dowodzi głębokiego szacunku dla dzieła wielkiego Żyda.

Mojżesz Mendelsohn, mimo, że twórczość jego miała znaczenie dla żydostwa, a specjalnie dla stosunku Żydów do społeczeństwa niemieckiego i jego kultury, nie był takim genjuszem, jak Spinoza. I tu również nie okazywał Goethe uprzedzenia, chociaż z pewnością wiedział, że Mendelsohn był Żydem. Tak bardzo poważał Mendelsohna, że nawet według wiarogodnego świadectwa poetki Karschinowej, tylko jego odwiedził, gdy bawił w roku 1778 w Berlinie. Chociaż Goethe prawdopodobnie wiedział o krytycznych, a inspirowanych przez Lessinga poglądach Mendelsohna na „Werthera" i na inne swe, dzieła młodzieńcze, nie odpłacał mu pięknem za nadobne, lecz przeciwnie częstokroć podnosił z uznaniem położone przezeń zasługi w dziedzinie popularyzacji filozofji i chwalił jasność jego wykładu. Nawet wtedy, gdy Mendelsohn na krótko przed śmiercią gotował się do odparcia zarzutu, że jest zwolennikiem Spinozy, Goethe nie przestał go cenić, chociaż niekiedy wyrażał się o nim niezbyt pochlebnie. Przez długi czas po śmierci filozofa podnosił

zasługi, położone przezeń na polu niemieckiej literatury i filozofji i bardzo być może, że pamięć o tym szlachetnym człowieku skłoniła Goethego po wielu latach do przyjaznego przyjęcia Feliksa Mendelsohna i jego rodziców

IV.

Gdy rozpatrujemy stosunek do Żydów wybitnego pisarza lub poety, to musimy przedstawić nietylko jego stosunek do dokumentów, ludzi i losów społeczności żydowskiej, ale przedewszytkiem zastanowić się nad tem, jak odtwarzał w swoich utworach członków tejże społeczności. Jak już mówiliśmy, nie odnaleziono wspomnianej wyżej siedmiojęzycznej powieści, a zamiar wprowadzenia postaci Żyda do „Wilhelma Meistra" spełzł na niczem. Natomiast mamy w innych utworach Goethego liczne wzmianki o Żydach, których wymienienie wymagałoby wielu stronic druku. Dlatego poprzestaniemy tutaj na podaniu kilku ważniejszych szczegółów. Nie wszystkim wiadomo, że Goethe miał zamiar opracować w formie epopei podanie o Żydzie wiecznym tułaczu. W dziełach jego zachowało się kilka fragmentów, które sam nazywał „strzępami" i które nie mogą nam dać pojęcia o całokształcie utworu, ani temmniej o stanowisku Goethego w sprawie żydowskiej. Interesującą jest zmiana poglądów Goethego na myśl przewodnią jego utworu. Początkowo w r. 1774 chciał w nim przedstawić seperatystyczne dążenie w obrębie chrześciaństwa, w r. 1787 miała epopeja odzwierciedlać przeciwieństwo między ówczesnym katolicyzmem a pierwotnem chrześcjaństwem, wreszcie w r. 1814, opisując swoją młodość, Goethe ostatecznie sformułował przewodnią planowanego poematu. Wtedy dopiero powziął zamiar przedstawienia w żywej poetyckiej formie wędrówki żydostwa po przez wieki. Mimo świadectwa samego poety, wydaje nam się nieprawdopodobne, by już w roku 1774 myślał o opisaniu odwiedzin Żyda wiecznego tułacza u Spinozy, ale już wzmianka o tym zamiarze otwiera przed nami wspaniałe perspektywy. Ileż mogła nam dać rozmowa

między wędrownym przedstawicielem starych wierzeń, a światłym, krytycznie usposobionym filozofem, który odrzucił wiele zewnętrznych form dawnej religji i odszedł do nowego wspaniałego światopoglądu. Trudno nie ubolewać nad tem, że ten ciekawy fragment nie doszedł dni naszych, a raczej, co prawdopodobniejsze, że nigdy nie został napisany.

Wszystkie inne wzmianki o Żydach nie mogą się równać z wyżej opisanym podniosłym tematem. W każdym razie interesującą jest w „Lisie Reinecke" traktowana z szacunkiem postać mistrza Abryona, który władał wszystkiemi językami, używanemi od Poitou aż do Klajpedy. Bardziej godne uwagi są dla nas dwa utwory, pochodzące z młodych lat Goethego. Jednym z nich jest ocena „Wierszy polskiego Żyda", często cytowanych z powodu wspaniałego przedstawienia „Zadań lirycznego poety". Ocena ta jest dla nas ważna z powodu dwóch ustępów, które brzmią jak następuje: „Na wstępie musimy zapewnić, że tytuł tych kartek wywarł na nas bardzo dodatnie wrażenie. Oto pomyśleliśmy, że zjawia się nagle w naszym świecie ognisty duch o czułem sercu, który doszedł wieku dojrzałego pod obcem surowem niebem. Jakie zbudzą się w nim uczucia, jakie będzie robił uwagi, on, dla którego wszystko jest nowe"? A następnie: „Bardzo to chwalebne, gdy Żyd polski wyrzekł się handlu, poświęcił się Muzom, nauczył się po niemiecku i tworzy piosenki. A jeśli przy tem wszystkiem nie daje więcej niż chrześciański etudiant en belles lettres, to nie powinien, naszem zdaniem, mówić tyle o swojem żydostwie".

W kilka lat później powstał utwór dramatyczny „Jarmark w Plundersweilern", zajmujący najpocześniejsze miejsce między polemicznemi pismami zapalczywej młodości Goethego. Nie możemy z powodu braku miejsca nawet wspomnieć o zawartych w nich licznych zaczepkach literackich. Na wzmiankę zasługuje jednak sztuka o Esterze, grana przez kukiełki i zręcznie wpleciona w ruch jarmarczny (Krótka redakcja z r. 1779 zastąpiona została w r. 1789 szerszem, mniej barwnem opracowaniem). Mniej nas to obchodzi,

czy w tej sztuce Goethe w osobach Estery, jej wuja, króla, występnego ministra Hamana chciał dać satyrę literacką na współczesne sobie osoby, ważnem jest natomiast dla nas, że poeta wybrał ten, a nie inny temat i że zakończył utwór swój tryumfem Estery, a tem samem i tryumfem żydostwa. Wprawdzie Goethe nie opisuje tego zwycięstwa w zbyt podniosłych słowach, ale sam efekt tego opisu jest pewną wskazówką dla poznania jego poglądów.

Najbardziej znamienne są jednak niektóre powiedzenia Goethego, ujęte w formę prozaiczną. Dwa z nich pochodzą z okresu młodzieńczego, dwa z epoki starości... Już to samo, ze pochodzą one z dwóch tak od siebie odległych epok, dowodzi, źe, jak mówiliśmy na początku tej pracy, Goethe nie zajmował się przygodnie sprawami żydowskiemi, ale naprawdę zmagał się z wyświetleniem tego poważnego zagadnienia, jakiem i dla niego była sprawa żydowska. W tem samem czasopiśmie, z którego pochodzi wyżej wymieniona krytyka „Wierszy polskiego Żyda", znajdują się jeszcze dwie oceny, napisane prawdopodobnie przez Goethego. Jedna z nich zwraca się przeciwko jakiemuś pismu misyjnemu i zawiera zdanie: „Pan Szulz jest jednym z najgorszych misjonarzy, którzy kiedykolwiek wnosili zamieszanie do umysłów ludzkich. Celem jego jest nawracanie Żydów, a talentami, które go do tego powołują są: umiejętność mówienia po hebrajsku i znajomość wszystkiego, co do tego należy. Zresztą brak mu wyczucia tego, czem jest człowiek, jaka jest potrzeba wewnętrzna, która musi poprzedzać zbudzenie ducha, skąd ona się rodzi i jak się ją z pomocą religji zaspakaja... Przebiega świat, szczekając na Żydów, którzy są od niego w każdym razie rozsądniejsi, użera się z nimi i nic nie osiąga ku zbudowaniu poczciwców, którzy go za to raczą jadłem i napojem... Że też wszystkie sprawy misyjne przeradzają się na w satyry siebie same".

W drugiej recenzji zajmuje się paszkwilem jakiegoś antysemity z XVIII. w. p. I. B. Kölbele i daje mu następującą odprawę, w której nietylko wypowiada swój szacunek dla Mendelsohna, ale również potępia w najostrzej-

szej formie rodzaj zwróconych przeciwko niemu zarzutów. „Tylko człowiek, dla którego, nienawiść religijna i manja polemizowania stały się namiętnościami może tak pisać: „Pospolici dziennikarze chętnie zapewne pożyczają u Żydów pieniądze, przyjmują od bogatych Żydów podarunki, są pasorzytami bogatych Żydów, a również starają się przy poparciu Żydów o posadki... Co dziwnego, że wznoszą ołtarze Mendelsohnowi i t. d." Czy p. K. tak mało czuje po ludzku, że według jego mniemania nie ma żadnych obowiązków dla znacznej części ludzi, dlatego tylko, że są Żydami? Czy czyta tak bezdusznie, czy tak jest pełen przesądów, że może szukać przyczyny powodzenia dzieł Mendelsohna u wszystkich ludzi rozsądnych, gdzieindziej, niż w dzieł tych wewnętrznej wartości?".

Jedno powiedzenie Goethego, pochodzące z czasów jego starości, a przekazane nam przez Riemera, brzmi: „Niemcy nie zginą, jak i Żydzi nie zginęli, bo każdy z nich posiada indywidualność". „Nie znaczy to bynajmniej, że każdy z nich ma swój własny sposób myślenia, swoje własne poglądy, ale że ma pewną wartość, odcina się od tła powszedności i chce sobie i swoim poglądom nadać pewne znaczenie".

Drugie powiedzenie znajduje się w „Latach Wędrówki". Podamy jednak przedtem przykre dla nas zdanie, również w utworze tym zawarte, którego nie możemy pominąć milczeniem. „W tem znaczeniu, które, być może, wyda się pedantyzmem, ale które należy uznać za konsekwentne, nie znosimy żadnego Żyda między sobą... Bo jaki moglibyśmy przyznać mu udział w najwyższej kulturze, jeśli nie uznaje jej źródeł i pochodzenia?"

W tem samem dziele znajdujemy jednak zdanie zupełnie innej treści. Przy opisywaniu „Prowincji Pedagogicznej" podaje Goethe mowę Najsterszego, objaśniającą obrazy, ustawione w wielkiej sali. O religji żydowskiej, którą nazywa pogańską, wyraża się on w sposób następujący: „Przed etnicznem krzesłem sędziowskiem, przed krzesłem sędziowskiem Boga ludów nikt nie pyta, czy naród jest najlepszy, najdoskonalszy, lecz czy trwa, czy się

utrzymał. Lud izraelski nigdy nie był wart wiele, jak mu to po tysiąc razy wyrzucali jego przywódcy, sędziowie, starsi, prorocy, posiada mało cnót i większą część wad innych narodów; ale nikt mu nie dorówna w samodzielności, stałosci i męskości, a o ile te cnoty nie wystarczają, w wytrzymałości... Jest to najbardziej wytrwały lud na ziemi, jest, był i będzie, by uświetniać imię Jehowy po wszystkie czasy".

JÓZEF KALMER (Wiedeń).

EUGENJUSZ ZAK.

(z 5 rycinami).

Kto zada sobie trud zastanowienia się nad potokiem najrozmaitszych „izmów", które od czasu załamania się burżuazyjno-liberalnego światopoglądu, starają się odgrywać rolę sztuki, dojdzie do wniosku, że prac takiego malarza, jak Eugenjusz Zak, nie można zaliczyć do żadnego z tych marnych rodzajów. Zak jest Żydem polskim, stale mieszkającym w Paryżu. Czy to jest szczęśliwym, czy też tragicznym zbiegiem okoliczności, że musi zdala od ojczyzny szukać urzeczywistnienia swego ideału w sztuce? To wszystko należy zważyć, by w końcu błogosławić losowi, których umożliwił malarzowi Eugenjuszowi Zakowi przyjmowanie wrażeń w samotności i przetwarzanie ich bez uwag ze strony nieodzownych widzów. Mieszkać w Paryżu, który, jeśli idzie o sztukę i ideje, może oznaczać świat cały, jest szczęściem zarówno dla konserwatysty, jak i rewolucjonisty. Zak jest jednym i drugim. Rewolucjonistą, gdyż przeciwstawia się „kierunkom" (podczas swego pobytu w Berlinie nie zauważył ekspresjonizmu, a w Paryżu nauczył się od kubizmu tylko, jak malować nie należy), konserwatystą, gdyż dąży do starych ideałów...

W ten sposób stał się Zak mistrzem.

Jeśli idzie o nazwę, to nie będzie dla nas Zak zwolennikiem neoklasycyzmu, jest on czemś więcej, nowym klasykiem.

Jak nim został? Obraz jego w historji sztuki nie zmieni się z czasem, gdyż tylko wówczas zmącićby go mogła stronna nienawiść lub przychylność, gdyby dzieła jego choć w słabym stopniu były problematyczne... Ale nazwać problematycznemi możemy je jedynie dlatego, że rozwiązują pierwsze problematy... Problematy malarskie oczywiście, które nie

istniały w czasach rozkwitu sztuki, a urodziły się dopiero w początkach rozkładu.

Od czasów Poussina, oo ,asów El. Greca z Toledo zaginęło alegoryczne ujmowanie postaci ludzkiej w kompozycji figuralnej... Wprowadził je znowu Ingres i Chassercau, ale tylko na to, by ustąpiło u ich następców — akademików — miejsca fotografji. A przecież nie może fotografja być treścią sztuki, która powinna być życiem na wyższej, poetycznej płaszczyźnie, to jest alegorją. W alegorji tkwi wielkość, którą posiadał jeno drobno-mieszczański Chardin i którą dopiero Cezanne odnalazł w życiu codziennem, gdyż był on szaleńcem z Bożej łaski i tworzył człowieka na podobieństwa swoje. Człowiek—oto problemat, a nie fletnistka lub skrzypce, kubistów, gdyż w człowieku znajdują się wszystkie formy zasadnicze i na jego umieszczeniu w przestrzeni, w krajobrazie — polega rozwiązane przez Zaka zagadnienie geometrji w sztuce. Jest to mistyczna, a jednocześnie głęboko jasna geometrja, gdyż odczuć ją może tylko człowiek, pełen wiary, zespolony z każdą rzeczą, z każdem życiem, z każdem istnieniem w przyrodzie... W tem tkwi istota i znaczenie pracy tego klasycznego naturalisty, który ożywił martwą przyrodę, umieszczając w niej człowieka samotnego. Malarza Kislinga nazwał André Salomon odkrywcą organizującego się naturalizmu, lecz Kisling nie jest klasykiem, brak mu najwyższej umiejętności, nie umie zrobić z człowieka alegorji... Ale u Zaka czuć już ożywiające tchnienie Boga.

Ilekroć bierze sobie za model człowieka, człowieka samego w sobie, a nie w stosunku do świata zewnętrznego, jakaż potęga bije wtedy z jego dzieła! Nie chcę tu mówić obszernie o olśniewającej technice Zaka, wspomnę o niej zaledwie. W skromnym rysunku, zrobionym tuszem, widzimy siły artysty, obie siły: fizyczną i metafizyczną. Fizyczna objawia się w zupełnem opanowaniu walorów, wartości tonów w kontraście. U żadnego malarza, z wyjątkiem lwowianina Jerzego Merkla, nie spotkałem takiej umiejętności wykorzystania w rysunku białości papieru. Światło tu wyraża się już w stopniowaniu kolorów. A siła metafizyczna? Nie tkwi ona jedynie w tem, że modelka rysami twarzy i podniesionem, jakby dla podtrzymywania amfory, ramieniem wywołuje wrażenie dzieła klasycz-

nego. Przez to, że drugie ramię opiera się na biodrze, dla utrzymania równowagi postaci, a tem samem i całego rysunku, staje się model ideją grecką, naszem wyobrażeniem klasyczności, alegorją. Lecz nie tylko tu, lecz we wszystkich swoich obrazach jest Zak klasycznym naturalistą. W swoim „Rybaku", w „Młynarzu", w nieakademicko-mistrzowskim auto-portrecie, narysowanym z niewypowiedzianą siłą.

Zapewne, przy pewnej dozie złej woli można nazwać Zaka eklektykiem, powiedzieć, że jest, jak Cezanne, uczniem Tintoretta. Ale idealista korzysta ze wszystkiego, nie zadając sobie przymusu, a jeśli praojcowie i ojcowie pozostawili tradycję, posiadającą pewną wartość, byłby niemądry, gdyby nie chciał jej kontynuować. A Zak jest właśnie tego rodzaju idealistą; nawiązuje dzieło swoje do tradycji, nie ślepo, jeno świadomie i z wielką pewnością oka. Nie można go jednak nazwać kontynuatorem, zbyt wiele bowiem zniknęło bezpowrotnie; jest on już pierwszym twórcą nowej tradycji.

Chciałem dać ocenę krytyczną malarza i jego dzieła, jeśli zrobił się z niej hymn pochwalny, tem lepiej, szczególnie że nie brzmi w nim nuta fałszywego patrosu. Zdarzyła się sposobność do chwalenia, do chwalenia bez zastrzeżeń, a z każdej sposobności korzystać należy.

JAKÓB APPENSZLAK.

Z problemów teatru żydowskiego.

VI.

(Dokończenie). *)

Usunięcie bolączki finansowej teatru żydowskiego w Polsce mogłoby się, mojem zdaniem, ograniczyć do stworzenia specjalnego funduszu subwencyjnego na pokrycie niedoborów artystycznych teatrów żydowskich w Polsce.

Co do formy sanacji materjalnej teatru żydowskiego — toczy się u nas oddawna już bezpłodny spór.

Najczęściej słyszy się w nim głosy, domagające się wybudowania wielkiego gmachu dla teatru żydowskiego w Warszawie.

Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że teatr nasz wegetuje w nieodpowiadających jego celom budynkach. Ubóstwo aparatu technicznego rzuca się wprost w oczy. Złe warunki akustyczne widowni, płytkość sceny, brak malarni, wygodnych garderób — oto w zarysie obraz tej sytuacji. Nikt temu nie zaprzecza. Gmach jest potrzebny i należałoby sobie życzyć, aby stanął jak najrychlej.

Ale chciałbym rozwiać niebezpieczne złudzenia, że ten gmach rozwiąże wszystkie problemy. Budynek, nawet najokazalszy, sam przez się nic jeszcze nie znaczy. Pod malowanym stropem opartym na marmurowych kolumnach może się dalej plenić nędza artystyczna. W teatrze najważniejsze jest nie to, **gdzie** się gra, lecz **co** i **jak**! Gmach stanowi ostatecznie tylko formę, którą należy wypełnić treścią. A treść teatru powstaje z pracy zespołu

*) Obacz „Nowe Życie" IV str. 55—60.



Eugenjusz Zak Autoportret.



Eugenjusz Zak — Rybak



Eugenjusz Zak — Młynarz



Eug. Zak Studjum



Eug. Zak Rysunek tuszem

i kierownictwa, z entuzjazmu i z wiedzy fachowej, z twórczości świadomej swych celów i środków. Zaczynać od gmachu znaczyłoby przygotowywać formę, dla której niema jeszcze treści.

Sądzę również, że uzależnianie sanacji od zrealizowania sprawy gmachu — odwlecze w zbyt daleką przyszłość zabiegi, których zastosowanie winno nastąpić niezwłocznie.

Gdyby mi powiedziano, że mamy w tym roku do wyboru obie rzeczy: gmach teatralny, zaopatrzony bogato w środki techniczne, albo zespół, który pod wytrawnem kierownictwem torować sobie będzie drogę twórczości, wybrałbym to drugie. Ale postawiłbym warunek: musi się znaleźć rezerwa pieniężna dla wyzwolenia dyrekcji i aktorów z jarzma upokarzającego.

Czyż nie mają trochę racji ci nasi dyrektorzy teatralni, gdy opuszczają ręce? Czy mają inne wyjście? Niedawno ostro skrytykowałem jeden z teatrów żydowskich. Dyrekcja wystosowała do mnie list pełen wyrzutów. „Czy pan wie — pisała — jaki żywot ten jedyny żydowski teatr dramatyczny prowadzi.? Z jakiemi trudnościami materjalnemi i moralnemi walczyć musi? Czy pan wie, że subwencji żadnych znikąd niema, a często z powodu różnych kłopotów ludziom, z poświęceniem w tym teatrze pracującym, ręce opadają i tylko ogromne zamiłowanie i pietyzm dla sceny pobudza tych ludzi do dalszej wytężonej i niezawsze wdzięcznej pracy?".

Wiemy, że tak jest, niestety. Wiemy, że ludziom „ręce opadają". Wiemy, że niema znikąd subwencji.

W pierwszym rzędzie chodzi tedy o subwencje.

Nie tu miejsce na sprecyzowanie szczegółów akcji, zmierzającej do zebrania funduszu podpory dla sceny żydowskiej w Polsce. W każdymbądź razie musi to być fundusz społeczny i w takich rozmiarach, któreby umożliwiły pracę w szerokim zakresie.

Gdybyśmy mieli Gminę narodową, do niej należałoby wyznaczenie odpowiedniej pozycji budżetowej. Gdyby Tymczasowa Żyd. Rada Narodowa miała więcej zrozumienia

dla spraw kultury żydowskiej w golusie — wystąpiłaby w tej sprawie z własną inicjatywą. Gdyby nasze stronnictwa mniej dbały o efekty wyborcze, a więcej o głęboki sens pracy kulturalnej — utworzyłyby specjalny wydział, opiekujący się teatrem żydowskim. Lecz w sytuacji obecnej, myślę, że dwa istniejące towarzystwa winny poświęcić się tej sprawie: Stowarzyszenie „Żydowska Scena Artystyczna" i „Żydowskie Towarzystwo Krzewienia Sztuk Pięknych". Z całą świadomością nie wymieniam tu Związku Artystów Scen Żydowskich. W instytucji tej panuje zbyt daleko posunięty profesjonalizm. Jako syndykat zawodowy musi on stać na straży interesów materjalnych swych członków i przykładać większą wagę do ich sprawowania się pod względem etyki zawodowej, niż do kwalifikacji artystycznych.

VII.

Z chwilą, gdyby powstał fundusz subwencyjny — teatr nasz mógłby osiągnąć to „minimum egzystencji", po które zmuszony jest ustawicznie się zniżać. Wówczas też możnaby było przystąpić do rozwikłania problemu repertuaru i wyszkolenia zespołu.

Mówiąc o problemie repertuaru sceny żydowskiej, nie mam bynajmniej na myśli jakiegoś specyficznego doboru sztuk, przystosowanych do naszych właściwości narodowych i obecnego poziomu. Nie wolno nam o tem zapominać, że produkty kultury i sztuki ulegają tym samym prawom podaży i popytu, co wszelkie inne owoce pracy ludzkiej. Publiczność żydowska, jak każda inna, nie chce i nie może być upośledzona w zaspakajaniu swoich potrzeb kulturalnych. Nietylko inteligencja, ale i t. zw. „masa" zna doskonale adresy, gdzie może najlepiej i najwygodniej zaspakajać swoje pragnienia cielesne i duchowe. Gdy teatr żydowski daje jej sztukę w gorszym gatunku artystycznym, udaje się do sąsiedniego teatru nieżydowskiego, w nadzieji, że tam znajdzie gatunek wyższy. Na filantropję narodową na cierpliwą pobłażliwość nie należy liczyć. Musimy się

z tem liczyć, jako z faktem, choćby to nie było rzeczą wesołą. Oczywiście — ten stan rzeczy zaostrza znacznie kryzys naszej nowoczesnej kultury narodowej. Ale niema na to rady. Aczkolwiek żyjemy w gorszych warunkach ekonomicznych i politycznych niż ta większość nieżydowska, śród której mieszkamy, musimy dorównać jej i w tych dziedzinach życia, które stanowią już najwyższe szczeble bytowania, jak literatura, sztuki plastyczne i teatr. O literaturę i sztuki plastyczne możemy być spokojni. Najtrudniej jest z teatrem. Lecz i tu nie wolno pozostawać w tyle. Raczej zdobyć się na wysiłki nadmierne, mierzyć siły na zamiary.

W uświadomieniu sobie tych okoliczności, znajdujemy już odpowiedź na to, jaki ma być repertuar sceny żydowskiej. Poza twórczością oryginalną, którą trzeba pielęgnować i ze wszech sił popierać, poza linją repertuaru żydowskiego — teatr nasz musi stanąć w jednym rzędzie ze scenami europejskiemi. Na jednym szczeblu — ani o cal niżej! Jeden tylko cal niżej, a już inteligencja nasza ucieka z teatru Centralnego do teatrów polskich, „masa" zaś, z tych samych powodów lub przez snobizm, idzie za inteligencją. Dyrektor teatru żydowskiego musi mieć oczy szeroko otwarte i słuch wytężony, aby nie przeoczyć żadnego z nowych zjawisk artystycznych na wielkim świecie. Wiele w teatrze zależy od odpowiedniego doboru sztuk, a o jakości tego doboru decyduje rozległa inteligencja i smak subtelny. To tylko ustrzeże teatr nasz od popełniania starych błędów, nurzaniu się aż po uszy w repertuarze jednostronnym, w brutalnym naturaliźmie (tak ulubionym!), w grzęsawiskach melodramatów, lub w niesmacznych ekstrawagancjach rzekomo modernistycznych.

Niejednokrotnie spotykałem się z niesłusznym poglądem, że teatr nasz w dziedzinie repertuaru musi przejść „szkołę", te same szczeble, po których wznosiły się teatry aryjskie. Do żarliwych zwolenników tego poglądu należy tak świetny artysta i głęboki człowiek, niezrównany odtwórca roli cadyka w „Dybuku" — Abraham Morewski. Stwierdzał on — i słusznie — że teatr nasz nie przeszedł

wcale okresu patetycznego, że aktor żydowski „nie mówił nigdy wierszem", zaś bez tego treningu skandowania, dykcja jego nigdy nie stanie się szlachetną. Morewski idzie tak daleko, że chciałby na dłuższy przeciąg czasu wykluczyć z repertuaru naszego wszystkie sztuki „niebohaterskie", całą nowoczesność i całkowicie oddać się arcydziełom klasycznym. Pogląd ten znajduje wielu zwolenników, nie może jednak mieć zastosowania. Niewątpliwie brak wielkiej przeszłości — fatalnie się odbija na dzisiejszym stanie teatru żydowskiego. Nie odbyliśmy podróży przez cały ciąg historji z teatrem aryjskim. Lecz historji się nie powtarza. Nie przebyliśmy wszystkich etapów teatralnej kultury narodów aryjskich. To prawda, smutna prawda. Z drugiej jednak strony pamiętajmy, że te przebyte etapy historyczne — już nie istnieją w życiu. Natomiast publiczność — bez względu na jej narodowość — wychowywała jedna szkoła uniwersalna — życie. Psychika zbiorowa kształtuje się i rozwija samorzutnie w okolicznościach miejsca i czasu. Modę narzuca się wszystkim narodom, zamieszkującym kulę ziemską — w tej samej chwili, z pewnem tylko zróżnicowaniem intenzywności. Jazz-band jest tak samo modny w Turcji jak i we Francji, choć te dwa kraje mają odmienne tradycje muzyczne. W każdymbądź razie zjawisko to zachodzi w obrębie kultury europejskiej. Istnieją tu rozmaite tradycje lokalne — ale prąd chwili udziela się wszystkim współtwórcom i konsumentom tej kultury. Eksperyment repertuarowy, proponowany przez Morewskiego, oznaczałby w gruncie rzeczy przesunięcie wskazówki zegara wstecz. A kto cofa wskazówki zegara, ten spóźni się z całą pewnością.

Nie wolno nam spóźniać się ani o jedną minutę!

VIII.

Naturalnie — aktor nasz nie jest przygotowany do takiego repertuaru. Mamy tedy dwie rzeczy do wyboru: albo zniżyć repertuar do aktora, albo aktora podnieść do wysokości repertuaru. W tej wielkiej i racjonalnej szkole

dramatycznej, jaką jest żywy teatr, — racjonalnie ułożony repertuar podniesie aktora do swego poziomu. Tak samo podniesie go doskonale opracowana strona dekoracyjna, wyszkoli go wysoko postawiona sztuka ekspresji scenicznej.

Teatr nasz musi postawić swe życie na szerokiej stopie. Mylą się ci, którzy przypuszczają, że do tego nieodzowne są wspaniałe gmachy i olbrzymie środki materjalne. Widzieliśmy arcydzieła sztuki scenicznej na ubogich scenkach, w nędznie wyposażonych teatrach. Minimum jest konieczne, co do tego niema dwuch zdań. Ale w teatrze najprawdziwszy, królewski brokat nie da wrażenia bogactwa. Natomiast zwykła bibułka może zastąpić najwspanialsze draperje, jeśli ją przykleją do ram drewnianych — czarodziejskie ręce artysty.

I. L. PEREC.

BAŁAGUŁA.

Gawęda.

Dokończenie *).

14.

„Mieszka dziś u mnie, nieboże,
Ani to wdowa, ni żona.
Wiecze swój żywot, jak gałęź —
Wichrem na drogę rzucona.

„Czemu nie mieszka u ojca?..
Ojciec był szewcem nad szewce,
Z werwą, z ochotą pracował
Przy śmiechach, żartach i śpiewce.

„Miał do pomocy w warsztacie
Prawie dziesiątek czeladzi.
Jednak dość często nie wiedział,
Czy zamówieniom poradzi...

„W całej okolicy były
Słynne Akiby wyroby.
Istne figurki... laleczki...
Jakieś frendzelki, ozdoby...

„Szył dla miasteczka trzewiki,
Buty dla chłopstwa podkute,
Zgrabne kamasze dla szlachty...
Ho, ho! zarobek był suty!

*) Obacz Nowe Życie" IV str. 71—81.

„Choć pełny sklep miał towaru—
Różnej wartości i sorty
Ciągle przezemnie sprowadzał
Znaczne surowca transporty.

„Miał bo pieniążki w kasecie...
Skąd mnie z Akibą się mierzyć?..
Lecz odkąd chodzą pociągi...
Czasem wprost nie chce się wierzyć...

„Teraz obuwie, ubranie,—
Wszystko dostarcza Warszawa...
Prawie za darmo, za grosze...
Ciemna to,... ciemna to sprawa...

„Prysła fortuna Akiby...
Boże, za czyjeż przewiny?!..
Córki wyprawa i posag
Poszły na chleb dla rodziny...

„Córce też lepiej jest u mnie,
Niż u rodziców: mniej sromu...
Stary Akiba się rospił...
Jeszcze trzy córki są w domu...

15.

„Nie my dwaj ledwo dyszymy—
Cale miasteczko tak tańczy.
Całą ludnością ogarnął
Dziki, zły szał opętańczy.

„Handlarz, rzemieślnik, pośrednik —
Każdy bez pracy, zajęcia...
Głód rozczapierzył ramiona
I chwyta tłumy w objęcia.

„Byle-by żyć, byle wyżyć,
Byle zarobić niewiele—
Wódką handlują tajemnie
Kupcy i obywatele...

„Kogo na patent stać? śmieszne!..
Kiedy dzień przeżyć potrzeba,
To choćby nawet paserstwem
Trudnić się będą dla chleba.

„Dzieci, kobiety, mężczyźni —
Wódki sprzedażą zajęci...
Na półkwaterki... Wiadomo,
Kolej tryumfy swe święci.

„W lichwie człek szuka ratunku...
W wódce znajduje zbawienie...
Miasto jak cmentarz wygląda...
Ludzie jak zmory... jak cienie...

16.

„Kiedy kolei nie było—
Ludzie wciąż do nich wzdychali:
„Kiedy nareszcie w świat ruszą
Wozy z żelaza i stali?!"

„Ja byłem wyzyskiwaczem,
Brykę nazwali gruchotem;—
Kolej jest tą zbawicielką,
Kolej jest rajem i złotem!

„Oto ziściło się teraz
Ich upragnione marzenie...
Głodni, spragnieni, obdarci,
Chodzą i liczą kamienie...

„Co się z miasteczka zrobiło?
Ot, zwykła dziura bezpańska.
Dziedzic już do nas nie zajrzy,—
Jeździ ze zbożem do Gdańska.

„Towar mu wyślą z Warszawy,
Gdy list napisze zwyczajny.
Kolej to raj dla bogaczy,
Dla nich to grunt złotodajny,

„Dla nas zaś... śmierć na ulicy...
Cóż?.. ludziom śniły się róże,
Wiatr zasiewali, — zbierają,
Miast złotych róż,—czarne burze.

17.

„Zwykle tak bywa śród Żydów,
Gdy nazbyt bieda dopieka:
Ten mówi: rabin niedobry,
Ów — na rzezaka narzeka.

„W błocie grzęzniemy po uszy...
Gdzież ślady dawniej jedności?!..
Dziś jest rabinów, rzezaków,
Więcej niż zwykłej ludności.

„Jeno się kłócą ze sobą,
Cierpiąc głód w chłodzie i biedzie.
Ale trzech zjeżdża natychmiast,
Gdy tylko dwóch z nich wyjedzie."

18.

W cichą wjeżdzamy dolinę.
Deszcz mży nierówno. Zdaleka
Między zwiędłemi trawami
W szarej mgle czerni się rzeka.

Hen, za pagórkiem widnieje
Lasu tajemna zasłona
Koń sił ostatkiem się wlecze,
Oto już pada... już kona...

Stare, podarte chomonto
Uszy zwierzęciu przytłacza.
Bryka się trzęsie, przechyla,
Po mokrym żwirze się stacza.

Wiatr śród konarów w pieśń splata
Dziwne, nieznane mi rymy.
„W lesie, choć bardziej zacisznie—
Pilniej uważać musimy.

„Czas bowiem dziś niespokojny;
Zło wiedzie lud na bezdroże:
W szynku przepiją dostatek,
Potem chwytają za noże.

19.

„Dziś człek zmarkotniał, podupadł,
W przyszłośc spogląda bezradnie...
Panie! tygodnie czekamy,
Zanim do ręki grosz wpadnie!..

„Często choruję... krwią pluję...
Lecz na doktora mnie nie stać,
Ażeby kupić lekarstwo
Musiał-bym chyba jeść przestać.

„W świat poszli szukać zarobku
Współtowarzysze-furmani.
Ci, co zostali, nieliczni,
Na łaskę losu oddani.

„Źle jest, o, źle jest na świecie—
Pan Bóg mnie za to nie skarze...
Nawet w bóżnicy spotykam
Obce, nieznane mi twarze.

„Nowi przybysze rej wiodą,
Skąpi są,... nikt nic nie daje
Dla ukochanej świątyni...,
Inne nastały zwyczaje.

„Sprzęty bóżniczne zaledwie
Z kurzu kto wytrze łaskawie;
Złote i srebrne ozdoby,
Dzwonki, świeczniki—w zastawie.

„Ludzi bez czci i sumienia
Życia wykuły zawieje –
I tak, jak miasto rodzinne,
Nasza świątynia niszczeje!

20.

„Z dawnych mieszkańców, prócz kilku,
Nikt do bóżnicy nie chodzi:
W ciemnych mogiłach śpią starzy,
Powyjeżdżali gdzieś młodzi.

„Ten do Ameryki, tamten
Też gdzieś na gorzką obczyznę.
Bez żalów, łez, porzucili,
Snów pełni, swą ojcowiznę.

„Gnani rozpaczą, niedolą,
Z własnych uciekli ogrojców...
Tu mówią, że wyjechało
Wielu do Ziemi Praojców.

„Czyż można wiedzieć napewno
Gdzie lepiej jest... lepiej gdzie będzie?..
Ja, stary, własne mam zdanie:
Jeden Bóg wszędzie jest, wszędzie!

„Przecież przed laty jeździłem
Do Prus, do Lwowa, Krakowa —
Ziemia tam wszędzie, jak matka,
Zawsze do ofiar gotowa.

„Pieści nas, tuli do łona,
Płodem swym poi i karmi...
Gdzie ta granica—wiedzieli
Tylko strażnicy, żandarmi.

21.

„Ja nie wyjadę. Zostanę
Tu, śród brzóz białych, topoli,
Lasów, łąk... Miałbym porzucić
Ziemię tę?!... przecież to boli!...

Tam umrę, gdziem się urodził!...
Gdzie szare niebo co ranek
Słońce purpurą mnie wita,
Gdy jeno wyjrzę na ganek!...

„...Domek mój z gankiem!... Niestety,
Z domku zostały ruiny...
Nie mam już dzisiaj pieniędzy
Na kupno wapna i gliny.

„Dach też przecieka. Cóż robić?!...
Nie są to cudne pokoje,
Wewnątrz wilgotno i ciemno,
A zawszeć moje to, moje!

Tylko sąsiedzi... Lecz z nimi
Mało wspólnego mnie łączy.
Mieszkam zupełnie odrębnie...
Na nich się życie nie kończy!

„Szydzą: „woźnica!" szlifobruk!"...
Dla mnie są wzgardą przejęci...
Prawda — czem jestem w istocie? —
Lecz nawet wrzód ten mnie nęci.

Jakby to panu powiedzieć?...
Nie wiem!... Wyczuwam, że dusza
Moja tkwi cała w tej ziemi;
Każde źdźbło trawy mnie wzrusza.

„Gdybym już musiał wyjechać, —
To przecież wśród krain wiela
Miejscem jedynie właściwem
Jest ziemia wszak Izraela.

„Tambym zobaczył, naprzykład,
Słynny grobowiec Racheli
I dom nauki, gdzie Ewer
Z Semem nad Księgą siedzieli...

„Tu leży król... kapłan... prorok...
...Może Bóg kiedyś uczyni,
Że, zanim umrę, zobaczę
Ścianę zburzonej świątyni...

„Tyle tam różnych pamiątek...
Jednak, choć święte to strony —
Dla nich nie wolno porzucać
Na pastwę losu swej żony!

„Trzeba przecierpieć, to trudno!
Tak wprost wyjeżdżać nie można!
...Szkoda też domków, ogródków,
Wabi topola przydrożna...

„Zresztą, czyż Żydów jest mało?
Wszędzie się znajdą, mój panie,
Wszędzie pojadą, gdzie tylko
Noga człowiecza postanie.

„Dostrzec to można w bóżnicy,
Kiedy nastaje sobota:
Młodzież, jak sól w szklance wody,
Znika gdzieś, niczem mój Nota."

22.

— „Cóż to jest — życie? sen, chwila!...
Ani się człowiek spodziewa,
Kiedy kres przyjdzie!... O, chwalić
Boga, już kończą się drzewa!...

Las poza nami nareszcie...
Słyszy pan, jak to się żali?...
Jeszcze szmat błota i gliny —
Zawszeć to bliżej, niż dalej.

O, zaraz cmentarz miniemy...
Szkapa już szybciej pomyka...
Wstyd mi przed Frajdlą. Dotychczas
Niema na grobie pomnika.

W domu też nie mam spokoju...
Tu nie pomogą nic słowa
Próżnej pociechy... Przyjadę:
Wątła dziecina... synowa...

Siedzi w półmrocznej komorze,
Męża swojego wspomina...
Mnie zaprzysięgła, bym w gniewie —
Klątwy nie rzucił na syna.

23.

Jeszcze się modli za niego,
Biedna, przez los opuszczona,
Czy on pomyśli czasami,
Co też porabia ta żona?!

Czy mówi „kadysz" po matce?
Czy o swem dziecku pamięta?...
Wszystkich porzucił, niewdzięczny...
Och, ta godzina przeklęta!...

Czy jeszcze ujrzę go kiedy?
Tu, czy tam?... Ja nie narzekam...
Widzi pan, wszak się wstrzymuję
I nie przeklinam... Wciąż czekam!...

Tłumaczył *J. Krupicki.*

ANATOL FRANCE.

PROKURATOR JUDEI.

L. Eljusz Lamja urodził się w Italji, jako syn znakomitego rodu. Nosił jeszcze pretekstę, kiedy udał się do szkół ateńskich, ażeby kształcić się w filozofji. Zamieszkał potem w Rzymie i w domu swym na Eskwilinie wiódł żywot rozwiązły w otoczeniu młodych rozpustników. Oskarżono go o utrzymywanie stosunku z Lepidą, małżonką Sulpicjusza Kwirinusa, męża konsularnego, i uznano winnym. — Tyberjusz Cezar przeto skazał go na wygnanie. Lamja rozpoczął był wtedy rok dwudziesty czwarty. W ciągu osiemnastu lat wygnania zwiedził Syrję, Palestynę, Kapadocję, Armenję i przebywał długi czas w Antiochji, w Cezarei i w Jerozolimie. Gdy po śmierci Tyberjusza Kajuszowi oddano rządy, Lamja otrzymał zezwolenie na powrót do Rzymu. Odzyskał nawet część swego majątku. A niedole uczyniły go mądrym.

Unikał zadawania się z kobietami szlachetnego stanu, nie ubiegał się o urzędy publiczne i żył w ukryciu, zdala od zaszczytów w swym domu na Eskwilinie. Spisując wszystko, co widział ciekawego podczas dalekich swych podróży, rozweselał, jak mówił, teraźniejszość wspomnieniami przebytej niedoli. I oto wśród spokojnej pracy, wśród gorliwych rozmyślań nad księgami Epikura, zauważył z pewnem zdziwieniem i z odrobiną smutku, że starość się zbliża. W sześćdziesiątym drugim roku życia udał się do wód w Bajach, ponieważ dręczyło go przewlekłe zaziębienie. Na wybrzeżu tem gnieździły się niegdyś alcyjony, podówczas jednak było ono juz tylko ulubionem miejscem pobytu bogatych i żądnych uciech Rzymian. Od tygodnia żył już Lamia samotnie, bez przyjaciół, pośród błyskotliwego tłumu. Któregoś dnia czuł się osobliwie rześkim i przyszło mu na myśl wdrapać się na wzgórza które, pokryte niby bachantki, pnączami wina, spoglądają na fale morskie.

Dosięgłszy szczytu, usiadł pod przydrożnem drzewem terebintowem i jął błądzić wzrokiem po pięknym krajobrazie. Na lewo rozciągały się martwe i nagie pola Flegrejskie, sięgające aż po ruiny Cumae. Na prawo przylądek Mizeński bódł ostrogą morze Tyrheńsie. U stóp Lamji, nieco na wschód, wzdłuż pięknej falistej linji wybrzeża wspaniałe Baje roztaczały swe ogrody, wille, zaludnione posągami, portyki i marmurowe tarasy, a w błękitnem morzu pląsały delfiny. Przed nim, po drugiej stronie zatoki, na wyzłoconej zachodzącem słońcem Kampanji błyszczały świątynie, uwieńczone dalekiemi laurami Pauzylipu, a w głębi horyzontu śmiał się Wezuwjusz.

Lamia wyciągnął z fałd togi zwój pergaminu, zawierający *Traktat o naturze*, położył się na ziemi i zabrał do czytania. Ale nagle usłyszał głos niewolnika, wołającego nań, aby wstał i przepuścił lektykę, którą niesiono wąską ścieżyną, wijającą się wśród winnic. Lektyka była otwarta, i Lamia ujrzał starca olbrzymiej tuszy, leżącego na poduszkach. Głowę wspierał na ręku i patrzał przed siebie okiem ponurem i dumnem. Jego orli nos dotykał niemal warg, wciśniętych między wystający podbródek i potężne szczęki.

Lamia wiedział odrazu, że zna tego człowieka. Wahał się przez chwilę, jakiem nazwać go imieniem. Potem, nagle, w porywie zdziwienia i radości rzucił się ku lektyce i krzyknął:

— Poncjuszu Pilatusie! Bogom niech będą dzięki, że danem mi jest oglądać cię znowu!

Starzec skinął na niewolników, aby się zatrzymali i spojrzał badawczo na witającego go człowieka.

— Poncjuszu, przyjacielu drogi, ciągnął Lamia, dwadzieścia lat życia ubieliło snać tak moje włosy i pomarszczyło policzki, że nie poznajesz już twojego Eljusza.

Na dźwięk tego imienia, Poncjusz Pilatus wysiadł z lektyki tak żywo, jak mu na to pozwalał jego podeszły wiek i poważna tusza, i dwakroć ucałował Eljusza Lamję.

— Zaprawdę, miło mi jest oglądać cię znowu, rzekł. Niestety! Przypominasz mi dawne dni, kiedy przebywałem w Syrji jako prokurator Judei. Oto mija lat trzydzieści od chwili, w której ujrzałem cię po raz pierwszy. Było to w Ce-

zarei, gdzie spędzałeś pełne nudy i udręki dni wygnania. Cieszyłem się, że mogłem rozjaśnić je nieco, a ty, przez przyjaźń dla mnie, powędrowałeś ze mną do owej smętnej Jerozolimy, gdzie Żydzi napoili mnie goryczą i wstrętem. Przez dziesięć lat przeszło byłeś moim gościem i moim towarzyszem, i gwarząc o Wiecznem Mieście, pocieszaliśmy się obaj: ty — po twoich nieszczęściach, ja — po swych zaszczytach.

Lamja uścisnął go znowu.

— Nie wszystko powiedziałeś, Poncjuszu. Nie wspomniałeś nic o tem, jak użyłeś dla mnie twych wpływów u Heroda Antypasa i jak hojnie dawałeś mi czerpać z twojej kiesy.

Nie mówmy o tem, odparł Poncjusz. Wszakże, skoro tylko wróciłeś do Rzymu, odesłałeś mi przez jednego z twoich wyzwoleńców kwotę, którą spłaciłeś dług z nawiązką.

— Poncjuszu, długu, zaciągniętego wobec ciebie nie zdołam spłacić pieniędzmi. Ale odpowiedz mi: Czy bogowie spełnili twoje życzenia? Czy używasz w pełni szczęścia, na które zasługujesz? Mów mi o twej rodzinie, o losach twych, o zdrowiu.

— Mieszkam w swoich dobrach na Sycylji, sieję i sprzedaję zboże. Najdroższa moja córka, Poncja, zamieszkała u mnie, owdowiawszy, i zarządza moim domem. Z łaski bogów umysł mój zachował jeszcze dawną żywość; pamięć nie osłabła mi jeszcze. Ale starość wlecze za sobą długi łańcuch bólów i kalectw. Podagra dokucza mi okrutnie. I oto, jak widzisz, szukam na polach Flegrejskich lekarstwa na swoje cierpienia. Ta ziemia rozpalona, która nocą zieje ogniem, wydziela ostre pary siarkowe, uśmierzające rzekomo bóle i przywracające giętkość stawom. Tak przynajmniej twierdzą lekarze.

— Obyś mógł sprawdzić to na sobie, Poncjuszu! Ale mimo palące ukąszenia podagry wyglądasz na człowieka w moim zaledwie wieku, a jesteś przecież w istocie o dziesięć lat starszy odemnie. Zaprawdę, zachowałeś więcej sił żywotnych, niż ja miałem kiedykolwiek. I cieszy mnie, żeś taki czerstwy. Czemu, najdroższy, wyrzekłeś się przedwcześnie

urzędów publicznych? Czemu, porzuciwszy rządy nad Judeą, dobrowolnie skazałeś się na wygnanie w twych sycylijskich dobrach? Opowiedz mi, coś czynił od chwili, gdy przestałem być świadkiem twojego życia. Przygotowywałeś się właśnie do stłumienia powstania Samarytan, kiedym wyruszył do Kapadocji, gdzie spodziewałem się zarobić coś niecoś na hodowli koni i mułów. Nie widziałem cię od owego czasu. Czy udała się ta wyprawa? Opowiadaj, mów. Wszystko, co ciebie dotyczy, obchodzi mnie żywo.

Poncjusz Pilatus smutnie potrząsnął głową

— Wrodzona sumienność, odparł, i poczucie obowiązku sprawiły, iż pełniłem służbę państwową gorliwie, a nawet z miłością. Ale nienawiść ścigała mnie bez ustanku. Intrygi i oszczerstwa złamały mnie w pełni soków żywotnych i wysuszyły dojrzewające owoce mego życia. Pytasz mnie o powstanie samarytańskie. Siądźmy sobie na tym pagórku. Opowiem ci w paru słowach. Wszystko to tak jasno stoi mi przed oczyma, jak gdyby zdarzyło się wczoraj.

„Plebejusz jakiś, potężny słowem, jak się to zresztą często zdarza wśród Syryjczyków, namówił Samarytan, ażeby zgromadzili się pod bronią na górze Gazim*), która uchodzi w tym kraju za miejsce święte. Obiecał im stworzyć w ich obecności poświęcane naczynia, które miał pono ukryć tam jeszcze za czasów Ewandra i praojca naszego Eneasza pewien heros eponimiczny, a raczej ich bóg narodowy, zwany Mojżeszem. Pod wpływem tego zapewnienia, Samarytanie zbuntowali się. Ale uprzedzono mnie w porę, tak, że zdążyłem rozstawić na górze oddziały piechoty i porozmieszczać konnych, aby obserwowali zbliżanie się wroga.

A czas naglił. Powstańcy oblegali już twierdzę Tyrathaba, leżącą u stóp Gazim. Bez trudu udało mi się rozprószyć ich i zdusiłem powstanie w zarodku. Potem zaś, ażeby dać groźny przykład kosztem niewielu ofiar, wydałem na męki przywódców rozruchów. Ale wiesz dobrze, Lamio, jak dalece zależny byłem od prokonsula Witeljusza, który, rządząc Syrją nie dla Rzymu, ale przeciw Rzymowi, uważał, że prowincje

*) Garizim.

daje się tetrarchom w dzierżawę. Książęta samarytańscy przyszli do Witeljusza, ażeby u jego stóp wypłakać nienawiść do mnie. Słuchając ich, rzekłbyś, że dalecy byli od myśli o nieposłuszeństwie względem Rzymu. Ja byłem napastnikiem, oni zaś zgromadzili się wokół murów Tyrythaby poto jedynie, ażeby stawić opór moim gwałtom. Witeljusz wysłuchał skarg, polecił sprawy Syrji przyjacielowi swemu Marcellusowi, mnie zaś rozkazał usprawiedliwić się przed Cezarem. Wsiadłem na okręt z sercem pełnem bólu i urazy. Gdym dobijał do brzegów Italji, Tyberjusz, sterany wiekiem i rządami, umarł nagle na przylądku Mizeńskim, którego róg wydłuża się oto we mgle wieczornej. Zażądałem wymiaru sprawiedliwości od Tyberjuszowego następcy, Kajusza, który miał umysł żywy i znał sprawy Syrji. Lecz podziwiaj wraz ze mną, Lamjo, znlewagę losu, który uwziął się snać na moją zgubę. Kajusz trzymał podówczas przy sobie Żyda Agrypę, towarzysza swego i przyjaciela lat dziecięcych. Miłował go ponad źrenicą oka. A ów Agrypa łaskawy był wielce na Witeljusza, albowiem Witeljusz był wrogiem Antypasa, do którego Agrypa pałał nienawiścią. Cezar, szanując uczucia ukochanego swego Azjaty, nawet posłuchania mi odmówił. I oto popadłem w niełaskę tak bardzo niezasłużoną. Dławiąc się łzami, nakarmiony żółcią, zamieszkałem w moich sycylijskich dobrach. Byłbym niechybnie umarł z bólu, gdyby nie pocieszyła mnie słodka moja Poncja. Zająłem się uprawą zboża i dochowałem się oto najcięższych kłosów z całej prowincji. Niczego już nie spodziewam się od życia. Przyszłość rozsądzi pomiędzy Witeljuszem a mną.

— Poncjuszu, odparł Lamja, pewien jestem, że w postępowaniu względem Samarytan kierowałeś się jedynie uczciwemi zamysłami i dobrem Rzymu. Czyś jednak w tym wypadku nie dał się zbytnio unieść wrodzonej ci krewkości? Pamiętasz — w Judei musiałem nieraz hamować cię i doradzać łagodność i łaskawość. A przecież jako młodszy od ciebie, powinienem był być bardziej porywczy.

— Łagodność względem Żydów! — zawołał Poncjusz Pilatus. Mieszkałeś wśród nich długo i nie zdołałeś poznać tych wrogów rodu ludzkiego. Dumni i podli zarazem łączą w so-

bie tchórzliwość haniebną i nieprzezwyciężony upór — zdolni są wyczerpać zarówno miłość jak nienawiść. Umysł mój, Lamjo, kształcił się na maksymach boskiego Augusta. Już wtedy, gdy zamianowano mnie prokuratorem Judei, majestat pokoju rzymskiego okrywał ziemię. Prokonsulowie nie bogacili się już rabunkiem prowincji, tak, jak za czasów wojen domowych. Znałem dobrze swój obowiązek. Starałem się rządzić z rozwagą i z umiarem. Bogowie niechaj mi świadczą — trwałem uparcie w łagodności. I cóż mi przyszło z tych myśli życzliwych? Byłeś przy mnie, Lamjo, wtedy, gdy jeszcze w początkach moich rządów wybuchło pierwsze powstanie. Czyż mam ci przypomnieć towarzyszące mu okoliczności? Załoga Cezarei udała się na zimowe leże do Jerozolimy. Legjoniści nieśli proporce z wizerunkiem Cezara. Widok ten oburzył mieszkańców Jerozolimy, nieuznających boskości Cezara, jakgdyby nie piękniej było słuchać boga niż człowieka, kiedy już trzeba być komuś posłusznym. Kapłani zgromadzili się przed moim trybunałem i jęli błagać pokornie a dumnie, abym kazał usunąć sztandary poza mury Świętego Miasta. W poszanowaniu boskości Cezara i majestatu imperjum nie chciałem na to przystać. Wtedy lud połączył się z kapłanami i groźne błagania rozległy się wokół pretorjum. Rozkazałem żołnierzom ustawić lance w kozły przed wieżą Antonji i laskami rozegnać tłum zuchwały. Ale Żydzi nieczuli byli na razy. Zaklinali mnie ciągle, a ci, co najbardziej byli zawzięci, kładli się z obnażonemi piersiami na ziemi i umierali pod chłostą. Byłeś wówczas świadkiem upokorzenia mego, Lamjo. Na rozkaz Witeljusza musiałem odesłać proporce do Cezarei. Zaprawdę, nie zasłużyłem na takie pohańbienie. W obliczu bogów nieśmiertelnych przysięgam, iż podczas rządów moich nie postąpiłem ani razu wbrew prawom i sprawiedliwości. Ale stary już jestem. Wrogowie moi i donosiciele nie żyją. Umrę niepomszczony. Któż będzie bronił pamięci mojej?

Jęknął i zamilkł. Lamja odparł:

— Nie należy pokładać ani nadziei ani obaw w przyszłości niepewnej. Jakież znaczenie może mieć to, co ludzie o nas pomyślą? Sami jesteśmy sędziami swymi i świadkami. Niechaj umocni cię, Poncjuszu Piłacie, świadectwo, które sam

wydajesz swoim cnotom. Niechaj starczy ci własny szacunek i szacunek przyjaciół twoich. A zresztą; nie można rządzić narodami li tylko za pomocą łagodności. Owa miłość bliźniego, którą tak gorąco zaleca filozofja, niewielkie ma zastosowanie w czynach mężów stanu.

— Zostawmy to, rzekł Poncjusz. Pary siarkowe, które unoszą się z pól Flegrejskich, działają silniej, skoro wydziela je ziemia, nagrzana promieniami słońca. Muszę się spieszyć. Bywaj zdrów. Ale pragnę skorzystać ze szczęsnego przypadku, dzięki któremu odnalazłem przyjaciela. Eljuszu Lamjo, wyświadcz mi łaskę i racz jutro przyjść do mnie na wieczerzę. Dom mój stoi nad brzegiem morza, na samym końcu miasta, od strony Mizeny. Poznasz go łatwo po portyku, na którym widnieje malowidło, wyobrażające Orfeusza wpośród lwów i tygrysów, oczarowanych dźwiękami jego liry.

„Do jutra, Lamjo, dodał, sadowiąc się w lektyce. Jutro pogawędzimy o Judei.

dok. nast.

przeł. *H. Eljasberg*

AMELJA HERTZÓWNA.

PROROK.

(Nowela)

III. *)

Elkan drgnął i gwałtownie odwrócił się na siodle. To dziwne, brama stała otworem, a jednak usłyszał najwyraźniej, jak zatrzasnęły się za nim ciężkie wrota i przez chwilę doznał uczucia zwierza, schwytanego w potrzask, więźnia, prowadzonego do kaźni... Nawet teraz, gdy patrzał na drogę, wiodącą z Jerozolimy, i wiedział, że nikt mu nie zabroni opuścić znowu miasta, nie mógł wyzbyć się tego niezrozumiałego niepokoju. Zapewne powrót do domu zawsze był mu przykry, ale nigdy jeszcze nie wjeżdżał do Jerozolimy z tak ciężkiem sercem, nigdy nie miał wrażenia, że coś zostawił nieodwołalnie za sobą, że koń niósł go po drodze, po której niema powrotu.

Do krainy bez powrotu, do okolicy, skąd
nikt nie wraca,
Szła Isztar, córka Sina...

przyszedł mu na pamięć stary, niegdyś w Niniwie czytany wiersz... Drgnął. Czyżby to była zapowiedź śmierci? Czy tu czekał go koniec jego długich podróży, zanim danem mu zebrać będzie owoce swoich trudów, zanim osiągnie zwycięstwo nad Assyrją. Nie opuści więcej murów miasta, zostanie w nich na wieki, kto inny zamieszka w jego domu, kto inny będzie posłował w imieniu króla, kto inny poprowadzi lud do walki. Umrze, on taki młody, silny, pełen życia i nadziei. Czy to możliwe? Wzruszył ramionami. Oczywiście niemożliwe. Czego właściwie rozczulał się nad sobą, jak stara baba, o śmierci należało myśleć nie

*) Obacz „Nowe Życie" IV str. 90—100.

wcześniej niż na godzinę przed zgonem, albo nawet nie myśleć o niej wcale.

Koń Elkana, choć niekierowany ręką pana, zaniósł go sam przed biały dom na wzgórzu i stanął, czekając cierpliwie. Jeździec ocknął się rozejrzał... Zdziwiło go, że nikt ze służby nie wyszedł na jego spotkanie i nagle zapomniał o swoich przeczuciach, pewność jakiegoś okropnego nieprzewidzianego nieszczęścia uderzyła go, jak obuchem w głowę. Spojrzał bystro w zmieszaną twarz etjopijczyka, który zjawił się wreszcie, by potrzymać mu konia i spytał prędko, chcąc odrazu wiedzieć najgorsze:

—Kiedy syn mój umarł?

Niewolnik podniósł ręce zdziwiony.

—Joab żyje jeszcze, panie!

Żyje jeszcze...! To znaczy, że umierał, że lada chwila można było spodziewać się śmierci. Elkan zeskoczył z konia i wbiegł do domu. Szybkim krokiem przeszedł kilka pokoi i zatrzymał się na progu komnaty synowskiej, przed nim stała jego żona. Kobieta złożyła mu ukłon głęboki.

—Bądź pozdrowiony, panie mój — szepnęła.

—Joab? zapytał Elkan drżącym głosem.

—Żyje i żyć będzie — rzekła uroczyście Lia. — Czy nie zechcesz spocząć, zdrożony musisz być bardzo?

—Przedewszystkiem Joab. Czy bardzo chory?

—Nie, tylko niezdrów trochę... Ale żyje i żyć będzie — powtórzyła triumfująco.

—W takim razie. — Elkan postąpił krok naprzód, żona zagrodziła mu drogę.

Spojrzał na nią uważnie. Wielkie jej, ciemne, silnie podkrążone oczy płonęły dzikim ogniem, palce jej wpijały się kurczowo w jego ramię... pełna była niepokoju i trwogi.

—Uchylę trochę zasłony, by go zobaczyć.

—Zostaw! — uderzyła jego wyciągniętą rękę i odepchnęła gwałtownie... Co to znaczyło? Nagle w zamkniętym pokoju rozległ się miarowy monotonny głos, wykrzykujący przekleństwa, czy też... Elkan pochwycił żonę wpół. Przez chwilę broniła się rospaczliwie, ale napróżno, odrzu-

cił ją z taką siłą od drzwi, że zatoczyła się i padła z głuchym jękiem na podłogę. Nie zwracając na nią uwagi, wbiegł do komnaty syna i stanął, jak wryty. Zrozumiał wszystko.

Joab leżał rozciągnięty równo na podłodze, wkoło niego paliły się w miedzianych naczyniach zioła pachnące, a między płomieniami jakaś postać kobieca przeginała się w tańcu. Jakby wyrzucane tajemną siłą, z ust jej wyrywały się zaklęcia. Chory rzęził, oddech jego z trudem wydobywał się z piersi, na policzkach płonęły dwie krwawe plamy. Wiedźma pochyliła się nad nim, i ręce jej poczęły wolno nacierać jego ciało. Spuszczone powieki dziecka drgnęły, podniosły się, ciemne oczy Joaba spoczęły na oczach ojcowskich, i w tej chwili gwałtowna miłość zalała serce Elkana, miłość nie do zniesienia, silna i gorzka, jak śmierć. Zdawało mu się, że umiera.

Lia wsunęła się za nim do pokoju. Już mu lepiej szeptała. — Twój ojciec nie chciał. To ja wezwałam prorokinię bogini Hanat pokryjomu. Już mu lepiej, żyć będzie.

Więc to była prorokini bogini Hanat. Elkan słyszał o niej niejednokrotnie i o cudach, która czyniła. Joab żyć będzie, ale jeśli ktokolwie się dowie... A zaprawdę, przekleństwo bogów ciążyło na nim! Dlaczego nie przyjechał o dzień albo dwa później? Haremheb chciał go zatrzymać w Tebach nawet tydzień jeszcze. Gdyby był przynajmniej nie wszedł do komnaty syna... mógł się domyśleć, dlaczego Lia wpuścić go nie chciała, a teraz... Spojrzał z ukosa na wiedźmę i ostrożnie wyszedł z pokoju. Lia popełzła za nim. Nie śmiała zbliżyć się do niego. Czuła, że należało milczeć, zostawić go jego własnym myślom, to też zaciskała zęby, starając się powstrzymać wyrywające się ze swych ust słowa. Niepokój wewnętrzny ją trawił, drżała cała. Śledziła go z pod oka, gdy zwolna zbliżył się do okna i siadł na stołku, z twarzą zwróconą ku miastu i świątyni. Śledziła go, jak zwierz dziki śledzi myśliwca. Była w jego ręku, ona i syn jej, zależna od jego woli, której do swojej nagiąć nie umiała, bo nie wzbudzała już w nim pożądania,

szczególniej, gdy tak, jak teraz, wracał ze świata, z objęć kobiet młodszych, piękniejszych od niej, nierządnic, biegłych w sztuce kochania. Jakże nienawidziła go za swoją bezsilność! Co teraz czynić? Błagać go, żeby nie wyganiał prorokini, pozwolił jej uratować Joaba. Ostatnie ich dziecko, ostatnie... Gdyby umarł... Lia nie dokończyła myśli, oszołomiona możliwością tego nieszczęścia. Czarne płatki przebiegły jej przed oczyma... Nie, nie!... Czyż on nigdy nie przerwie tego zabijającego milczenia.

Elkan wstał, blady był śmiertelnie... Wiedział, że to, co czynić zamierzał, może podkopać jego stanowisko w stolicy, a nawet raz na zawsze usunąć go od udziału w rządzie, ale nie miał dość siły, by poświęcić życie swego jedynego dziecka.

—Lio, szepnął, nachylając się nad nią — przyjechałem strudzony, tak strudzony i chory, że nie pytałem ani o Joaba, ani o ciebie. Czy łoże moje gotowe?.

—Tak, panie. Ledwo mówić mogła ze szczęścia, wiedziała już, dokąd zmierzał.

—Jutro odeślę cię do twego ojca za to, że śmiałaś wezwać prorokinię. Rodzice twoi przyjdą błagać mię o przebaczenie, i ja przebaczę ci, Lio, dla miłości Joaba... Przebaczę, ale jeśli powiesz ojcu swojemu, że byłem w tamtej komnacie, nawet ojcu swojemu i matce... Wygnam cię bez litości i Joaba więcej nie zobaczysz. Zrozumiałaś!?

—Zrozumiałam cię, panie... To ja kobieta zła i głupia, nie uprzedziłam cię, że prorokini jest w twoim domu, i łaska twoja będzie bardzo wielka, jeśli mi pozwolisz zostać przy synu swoim.

W bezgranicznej wdzięczności obsypywała pocałunkami ręce jego i kolana. Elkan patrzał na nią ze współczuciem. Był zadowolony ze siebie, ułożył wszystko jak najlepiej. Prorokini go nie widziała, to pewne, a co do Lii, to raczej język sobie odgryzie, niż go zdradzi. A więc? Któż mu poczyta za winę, że podczas jego nieobecności, żona zwróciła się do starych bogów? Najwyżej wezmą mu za złe, jeśli jej przebaczy; ale ostatecznie był czas o tem pomyśleć później.

Wstał i skinął na Lię. Chodźmy stąd — szepnął, kierując się ku wyjściu. Odsunął zasłonę i zatrzymał się przerażony, przed nim stał prorok Jehońja. Serce Elkana bić przestało, drżące usta ledwo wypowiedzieć zdołały słowa przywitania, ale zebrał całą moc swego ducha, przezwyciężył trwogę, w mgnieniu oka gotów był do walki z tym stronnikiem, niebezpieczniejszym od najzaciętszego wroga. Zrozumiał odrazu, że Jehońja wiedział już o obecności prorokini w jego domu, i że przyszedł na przeszpiegi, należałoby go więc zaprowadzić do przeciwległego skrzydła domu, jak najdalej od komnaty Joaba. Ale nie było to już możliwe... Korzystając z początkowego zamieszania Elkana, prorok wygodnie rozsiadł się na krześle, jakby zamierzał dłuższą rozpocząć rozmowę i zapytał o rezultat podróży.

—Egipt przystępuje do przymierza.

—Chwała niech będzie Najwyższemu, który skłonił serca bałwochwalców do naszej woli.

Oczywiście należało dziękować Bogu, umniejszało to zasługę jego, Elkana.

—Wszyscy są więc gotowi do wojny — ciągnął prorok dalej. Nawet nasza rada. Nie przyszło to tak łatwo. Cała rada pragnęła pokoju, jakby to było możliwe z Assyrją. Ale wiesz dobrze, że masz przyjaciół, którzy umieją działać i przekonywać.

—Dziękuję ci, o widzący! Był prawdziwie wdzięczny Jehońji, ale gdyby nareszcie chciał odejść...

—Zostajesz teraz w Jerozolimie?

—Nie, jadę jeszcze do Samarji.

—Do Samarji! — nienawiść zadźwięczała w głosie Jehońji. Kiedy nareszcie będziemy tam posyłali gońca z rozkazem, a nie posła?

—Bóg to jeden wie! Chociaż jeśli zwyciężymy Assyrję, to rozprawienie się z Samarją zbyt wiele nie będzie kosztowało trudu.

—Wojna z Izraelem, bratobójcza wojna! Jak możesz nawet mówić o niej

—A więc jakże? Mamyż do końca świata znosić

ten hańbiący rozdział, osłabiający nasze siły, strącający nas do rzędu państewek bez wpływu i znaczenia?

—Zmieni się to i bez wojny. Nadejdzie chwila, gdy lud izraelski przejrzy, gdy porzuci swych fałszywych bogów i przyjdzie składać ofiary do świątyni jerozolimskiej, a wtedy wskrzeszona zostanie dawna potęga Dawida i Salomona.

—Ciekaw jestem, kiedy to nastąpi, już przeszło od stu lat głoszą prorocy w Izraelu wiarę w jednego Boga i jego świątynię w Jerozolimie, a tymczasem Jerobeam wygania naszych proroków z Samarji bezkarnie.

—Nie bezkarnie, dosięgnie go jeszcze kara Boża... Trzeba czekać...

—Jak długo jeszcze? Sto, dwieście, trzysta lat? Nie jestem egipcjaninem, żeby mi się kilka wieków wydawało chwilką, chcę widzieć skutki moich czynów. Nic nie osiągniecie na tej drodze. Przecież nawet nasz lud judzki burzy się, gdy wycinamy gaje święte!

„Cóż to dziwnego, gdy nasi książęta jeszcze nie zapomnieli o przeszłości, jeszcze szukają pomocy u dawnych bogów.

—Nie wiem, kogo masz na myśli.

—Nie wiesz, naprawdę nie wiesz? Czy sądzisz, Elkanie, że rada najwyższa złoży dowództwo nad wojskami w ręce bałwochwalcy.

—Przypuszczam, że dowództwo nad wojskami mnie zostanie powierzone, a ja...

—Ty nie jesteś bałwochwalcą, oczywiście. Chciałbym tylko wiedzieć, co robi prorokini bogini Hanat w twoim domu.

—Prorokini bogini Hanat niema w moim domu, a gdyby nawet była... Nikt mię nie może zastąpić na czele wojski!... Ja zawarłem przymierze, mnie tylko znają państwa ościenne, ja jeden uczyłem się sztuki wojennej u Asyryjczyków i zdolny jestem poprowadzić lud do zwycięstwa.

- Mylisz się, Elkanie, bez błogosławieństwa Bożego poprowadzisz nas tylko do klęski... I nikt nie powierzy ci jednego żołnierza, jeśli nie przestaniesz obrażać Pana."

—Nie obrażam go. Jestem ciekaw, kimbyście mię zastąpili.

—Choćby Joakimem.

Elkan wybuchnął śmiechem.

—Joakim! Sam w to nie wierzysz. Joakim nie da sobie rady nawet z setką żołnierzy. Z takim wodzem lepiej wojny nie zaczynać.

—A więc nie weźmiemy wcale udziału w wojnie. Czy sądzisz, że trudno będzie namówić do tego radę?

—Nie chcecie wojny, rozumiem... A więc oddajcie nawet dusze wasze Asyryjczykowi, a mimo całą waszą pokorę doczekacie go się pod murami Jerozolimy, a może i w jej murach.

—Cóż mamy robić, kiedy ciebie naprawdę nikt nie zastąpi.

—Nie widzę powodu, dlaczegoby mię zastępować należało.

—Doprawdy? ...Wódz naszych wojsk musi wierzyć w jednego Boga, a nie sprowadzać prorokinię bogini Hanat do swego chorego syna.

Elkan zawahał się. Poświęcić Joaba? Przeszył go ból okropny przy tej myśli, a jednak... Wyrzec się wojny, pozwolić, by Jerozolima doznała losu Arbachy, widzieć może przed wojną syna niewolnikiem asyryjskim... Nie, niech umiera lepiej... Z dobrze udanem zdziwieniem zwrócił się do żony, stojącej jeszcze u drzwi pokoju:

—Joab chory? Co to znaczy, Lio?

Kobieta nic nie odpowiedziała. Gdyby mogła, zabiłaby ich obu dla uratowania syna, ale wszystko było stracone, słowa nic jej pomóc nie mogły. Milczała więc, mnąc w rękach kraj swej szaty.

—Czy prorokini jest w twoim domu? Tak czy nie?

—Nic o tem nie wiem, zawołam któregoś ze sług moich.

Nagle za zasłoną rozległ się wysoki głos prorokini. Jehońja spojrzał drwiąco na przyjaciela:

—Zawołanie sługi jest chyba już zbyteczne.

Przez chwilę wydawało się Elkanowi, że widzi przed sobą oczy syna, błagające go o zmiłowanie i miłość nie do przezwyciężenia, miłość, wobec której był bezsilny, wypełniła mu duszę. Niech będzie, co chce, byleby Joab żył jeszcze... Ale jedno spojrzenie na szydercze oblicze proroka przywróciło mu przytomność. Nie ugnie się, nie ustąpi swoim wrogom, nie zejdzie z drogi, prowadzącej do celu, choćby go to miało kosztować najdroższą krew swego serca

— Owszem, należy zawołać sługę — odpowiedział zimno. Klasnął w ręce. Każ prorokini wyjść z mego domu! rzucił wchodzącemu niewolnikowi. Sługa postąpił kilka kroków naprzód, ale nim doszedł do drzwi, zasłona rozsunęła się i w progu stanęła prorokini... Szła równym elastycznym krokiem, nieporównanie piękna, mimo, że zapewne miała już południe życia po za sobą. Spojrzała na Elkana z pod czarnych brwi jasnemi, przezroczystemi oczyma, które w oprawie rzęs wyglądały, jak dwa jeziora górskie, otoczone cedrami, i rzekła cichym, śpiewnym głosem:

—Syn twój umrze.

Wzrok jej ześliznął się wrogo po Jehońji, skłoniła się obecnym głębokim pokłonem, pełnym szyderstwa i zwolna opuściła komnatę.

Lia stała jak skamieniała, usta jej drżały, chciała mówić, bronić się, obrzucić przekleństwami tego obcego, który zabił jej syna, podniosła ręce, ale Elkan spojrzał na nią groźnie:

—Idź do twoich komnat—powiedział surowo—i zbyt przyzwyczajona była do posłuszeństwa, by opierać się jego rozkazowi.

Jehońja zwrócił się do Elkana: „Będę modlił się za twego syna do naszego Boga", rzekł, kładąc nacisk na dwóch ostatnich wyrazach.

Elkan ledwo powstrzymał wzruszenie ramion. Myślał złe, drwiące, uszczypliwe słowa, ale pochylił głowę z poszanowaniem, gdy odpowiedział: „Wdzięczność moja, o widzący, będzie bez granic".

Przeciągłe wycie niewiast i krzyki mężów napełniały dom cały, raniąc boleśnie serce Elkana. Łaknął spokoju i ciszy, jak zabłąkany w pustyni wędrowiec pożąda wody, ale nie mógł zabronić opłakiwania swego syna. Znosił więc wszystko. Nakazał tylko surowo, by nikt nie wchodził do komnaty syna. Lia z głową odrzuconą w tył nawpół martwa leżała na krześle z poręczami, które przywiózł z Egiptu. Stał naprzeciw niej i patrzał, jak z pod spuszczonych powiek łzy spływały na jej policzki. Milczeli... Oni jedni w tym domu żałoby, pustym dla nich okropną pustką, jaką zostawiają po sobie umarłe dzieci, nie rozdzierali powietrza krzykiem. Elkan odwrócił oczy od Lii. Rozpacz jej go męczyła. Wyrzucał sobie, że składając ofiary Jahwie, na dom swój sprowadził przekleństwo bogów. Zapewne, była jego żoną, mógł z nią zrobić, co mu się podobało, ale jednak zbyt okropnie, zbyt nieludzko ją pokrzywdził Z jego winy stała się ona, która urodziła pięcioro przedmiotem pośmiewiska i pogardy, kobietą bezdzietną. Prawda, że i on sam cierpiał, lecz wiedział przynajmniej, dlaczego narażał się swoim bogom, wiedział że płacił szczęściem swego życia za osiągnięcie upragnionego celu, zwycięstwa nad Asyrją. A on odebrał jej wszystko, czego pragnęła jej dusza, nie dając wzamian nic, oprócz bólu. I nagle uprzytomnił sobie, jaką niesłychaną nienawiścią musi pałać ku niemu Lia i strach go przejął, że ofiara, którą poniósł, będzie próżną, bo złe myśli żony nieszczęście mu przyniosą. Ale jak się przed tem uchronić. Spojrzał podejrzliwie na nieruchomo siedzącą Lię i ostrożnie opuścił komnatę. Przez korytarze, pełne płaczących głośno ludzi, szedł cicho i spokojnie do komnaty narożnej, do której nikt nie miał prawa wchodzić prócz niego. Zamknął drzwi szczelnie. Teraz był sam, oddzielony od wszystkich, sam z bogiem swoim. W komnacie nie stało nic oprócz wielkiego kamiennego stołu, na którym gruba warstwa pyłu świadczyła, że zakaz pana i pod nieobecność jego był uszanowany. Elkan podszedł do ściany, ostrożnie wyjął z muru jedną płytkę, poczem wyciągnął ze znajdującej się za nią głębokiej wnęki czystą płachtę,

którą rozesłał na stole. Następnie, skłoniwszy się trzykrotnie, dźwignął z otworu proste ciężkie pudło, do arki podobne, i postawił na ołtarzu. Wolno otworzył je i wyjął zeń czarny podłużny kamień, odwiecznego boga swego rodu, tak starego, że nie miał innej nazwy, jak bóg, i że krew pierworodnych, których niegdyś składano mu w ofierze, pozostawiła na nim czerwone, niczem nie dające się zetrzeć, plamy. Elkan rzucił się przed nim na twarz i trzykrotnie ucałował ziemię przed ołtarzem.

—Boże moich ojców — szeptał — Boże mój, ty, który w słusznym swoim gniewie zabrałeś mi dzieci, ulituj się nademną, nie zważaj na to, że nie składam ci ofiar, że usta moje chcą innego Boga, ty czytasz w mojem sercu, ty wiesz, że pozostałem ci wierny, wysłuchaj moich modłów, daj nam zwycięstwo nad Asyrją.

Umilkł i pozostał nieruchomy na podłodze, oczekując jakiegoś znaku. Czekał długo... Nagle silny wiatr powiał i rzucił świeżo rozkwitłe kwiaty migdałów do komnaty, obsypując niemi boga i ołtarz. Elkan drgnął... Doznał uczucia nieziemskiej radości. Zrozumiał, że modlitwa została wysłuchana i że droga jego prowadzi do zwycięstwa.

SZALOM ASZ.

WUJ MOZES

8. Nowy Faraon *).

Kuźmin wiernie służył „Faraonowi". Kuźmin siedział przy pracy i szył surduty, spodnie i kamizelki dla ludzi, o których istnieniu nic nie wiedział. Cały Kuźmin siedział u wuja Mozesa na górze w zakładzie. Reb Chaim, członek dozoru bóżnicznego, i Icie, chłopak szewcki, i Jontel, krawiec damski, wielki frant i elegant kuźmiński, który niegdyś zdobywał serca kuźminskich kobiet, Chaim'si felczer, który kobietom stawiał bańki. Cokolwiek zdarzyło się jakiejś kobiecie w miasteczku, kazał jej opuszczać koszulę i stawiał bańki... aż bańki jego stały się podejrzane... i Chaimsi dostał parę tęgich policzków od kilku poważnych obywateli. Do dziś dnia brak mu dwóch zębów na pamiątkę po owych policzkach. Teraz już nie stawia baniek, lecz siedzi u wuja Mozesa na „strychu" i szyje spodnie. Wszyscy szyją spodnie. Wuj Mozes zrównał cały Kuźmin. Niema już poważnych obywateli, członków dozoru i ubogich rzemieślników, niema ludzi uczonych i prostaków. Niema szewców, starszych, Żydów, stawiających kobietom bańki... ani Żydów, łechcących kobiety pod pachę, gdy przynoszą im suknie do miary — wszyscy służą jednemu bożkowi, wszyscy robią to samo — szyją spodnie.

Ale Kuźmin nie chce jeszcze umierać. U wuja Mozesa na „strychu" przy igle, na nowo budzi się do życia, stary Kuźmin ze wszystkiemi swemi odrębnemi cechami. Każdy stary kamień, każdy stary dom i kąt wspominane są z miłością i utęsknieniem przez wierne dzieci starego Kuźmina. Siedzą ze spodniami w ręku i tęsknią za swem ukochanem miastem. Nieraz i łza się potoczy, da się sły-

*) Obacz „Nowe Życie" IV str. 101—107.

szeć jęk starego mieszkańca Kuźmina, który przypomniał sobie o piękności miasteczka.

— Dalej, Lejbel, czegoś dziś taki milczący? Posłuchalibyśmy sobotniej modlitwy starego kantora.

A Lejbel, który przez całe życie marzył o tem, by stać na miejscu kantora w bóżnicy, lecz nigdy nie dopuszczony do popisywania się talentem — daje teraz przed Kuźminem próby swej umiejętności. Śpiewa przy igle i spodniach.

Melodja kantora przenosi Kuźmin do starej synagogi i przypomina im się sobota w okresie Zielonych Świątek, gdy każdy gospodarz siedział w bóżnicy na swem pięknem „miejscu" w talesie wyszywanym złotą taśmą — i rozkoszował się melodjami kantora. A dzisiaj Kuźmin siedzi ze spodniami w ręku...

Lecz naraz znika stara bóżnica i piękny poranek sobotni i miłość i tęsknota za Kuźminem. Pozostają tylko spodnie i igła.

Sem ukazuje się we drzwiach pracowni i krzyczy:

— Patrzajcie oto, Kuźmin śpiewa! Od kiedy tak tu dobrze, już ja wam tu sprawię. Zaraz zawołam tu do was wuja Mozesa.

Jeden obywatel kuźmiński straszy drugiego:

— Cicho, cicho, „gubernator" przyszedł.

Sema Kuźmin nazywa „gubernatorem", wuja Mozesa zaś „Cesarzem".

A gubernatora boją się bardziej jeszcze, niż cesarza.

Obywatele kuźmińscy milkną, przestraszeni widokiem zuchwalca, Sema, który był w domu chłopcem rzeźniczym, a tu stał się „gubernatorem" Kuźmina...

Ale Kuźmin posiada wielkiego obrońcę, a jest nim stary Melnik, ojciec wuja Mozesa, którego syn sprowadził do Ameryki. Stary kręci się, trzymając w ręku złotą laskę, podarowaną mu przez syna, a sztywny kapelusz, do którego nie przywykł, sprawia mu męki, więc go zesuwa na bakier. Nudzi się tu w Ameryce i tęskni za młynem, mielącym kaszę, tak że aż zaczął pić z nudów. Jeszcze w domu nie gardził kieliszkiem, lecz tutaj w Ameryce,

gdzie mógł sobie na to pozwolić i znalazł kamratów, chętnie „ugaszczających" starego, zawsze był pijany. Znajomych nie miał, wszyscy ziomkowie pracowali u jego syna w zakładzie — lubił więc przychodzić do pracowni, przebywać z nimi i rozmawiać o Kuźminie. Często zachciewało się i staremu szyć spodnie. Widział, jak wszyscy jego towarzysze lat dziecinnych, wszyscy poważni obywatele, dla których w domu czuł respekt, szyją u jego syna spodnie, czemużby i on szyć nie miał. Przychodził więc do warsztatów i pomagał w robocie. Lecz wujowi Mozesowi nie wypadało, by jego ojciec przesiadywał w pracowni, zresztą stary przeszkadzał Kuźminowi w pracy, prowadził z ziomkami rozmowy o domu, o starych dziedzicach, o interesach wiejskich, o rabinie i kantorze — i często Kuźmin tak bywał zatopiony w rozmowach o domu, że nieraz wynikały kłótnie z powodu kantora, lub rzezaka. Zapominali przytem, że nie są już obywatelami Kuźmina... Sama rozmowa sprawiała im przyjemność, a starego ciągnęło do warsztatów syna. Wuj Mozes zapowiedział Semowi, by nie puszczał ojca na górę do pracowni, ale gdy stary Melnik bywał pijany, nie słuchał i nie lękał się nikogo. Bił Sema złotą gałką laski i wbiegał do magazynu.

— Taki łapacz gołębi, oby zczezł, taki parobek rzeźnicki nie będzie mnie tu puszczał. To praca mego syna, a taki mnie nie puszcza. — Przepędzał Sema laską i wchodził do pracowni w kapelusiku na bakier, wachlując się czerwoną chustką. — Precz stąd, obyś zczezł, precz, precz — wypędzał Sema z pracowni.

Kuźmin cieszył się z porażki „gubernatora". Bali się jednak śmiać, lub objawiać głośno swą radość, „gubernator" może się zemścić. Szturgali więc jeden drugiego i dawali sobie znaki oczyma.

— Jak tam na niego wołali w domu? Obław, hej ty obławie jeden — krzyczał stary za Semem, schodzącym ze schodów — przecież twoja matka kradła krupy u mnie w sklepiku. Sam ją raz złapałem za rękę a tu w Ameryce stałeś się całym Faraonem — obyś zmarniał razem z moim synem i Ameryką.

Kuźmin rozpływał się z uciechy. Wzruszali ramionami i szturgali się wzajemnie.

— Widziałeś jak oberwał?

— Bodajby na taki koniec przyszło wszystkim wrogom Żydów.

— Toż jego matka kradła mięso w jatkach. Jak ją tam nazywali? Nacha ją nazywali...

I jęli przypominać sobie o starym Kuźminie i wygrzebywać dawne historje.

Lecz naraz wszystko umilkło. Kuźmin zadrżał, skamieniał, zakrzepł. Kuźmin stał się jedną maszyną, trzymającą w ręku igłę i szyjącą. W warsztacie ukazał się wuj Mozes we własnej osobie, z wielkiemi nożycami w ręku, bez surduta, tylko łańcuch od zegarka zajmował całą szerokość jego wielkiego brzucha i dodawał powagi jego figurze. Milczał na razie, otworzył tylko oczy i rozglądał się. Kuźmin pochylił głowy nad spodniami i szył. Wuj Mozes podszedł do ojca i ujął go za ramię:

— Ojcze, chodź na dół.

— Nie chcę. I co mi zrobisz, co? Nie boję się ciebie, — krzyczał stary Melnik i odważnie stukał laską.

Zawsze po kieliszku nabierał odwagi.

— Ojcze, przeszkadzasz im w pracy. Powinni być sami, chodź ze mną na dół — ujął syn miękko ojca za rękę.

— Nie pójdę, nie boję się ciebie. Cóżto z ciebie za nowy Faraon, cesarz? Nie boję się samego naczelnika, nikogo się nie boję. Mogę się obejść bez ciebie. Czegoś chciał odemnie? Czemuś mnie sprowadził? Odeślij mnie z powrotem. Wrócę do domu.

— Pojedziesz z powrotem do domu, pojedziesz. Chodź na dół, ojcze, nie przeszkadzaj im.

— Nie pójdę — krzyczał stary — na djabła jesteś mi potrzebny — gorączkował się staruszek — ty i twoja cała Ameryka. Nie do ciebie się zwrócę po koszta pogrzebu. Oto tu zaoszczędziłem sobie z własnej pracy.

Wyjmuje woreczek, który ma zawieszony na gołej piersi.

— Oto tu mam na koszta pogrzebu. Z mojej własnej pracy. Od ciebie nie chcę. Odeślij mnie z powrotem. Czego mnie tu trzymasz, jak Faraon Żydów w Egipcie? Odeślij nas z powrotem, wypuść nas z Egiptu. Nie chcę tu być.

Wuj Mozes zastanawiał się, co ma czynić. Uważał sobie na punkt honoru szanować ojca. Ale nie mógł pozwolić, by go zawstydzał przed ziomkami, którym wuj zawsze imponował niezłomną wolą.

Wkrótce jednak znalazł wyjście z sytuacji i rzekł, zmieniając ton:

— Jeżeli nie chcesz iść, to nie trzeba. All right, zostań tu z twemi ziomkami, rozmawiaj o Kuźminie, o starym dziedzicu, tym królu żebraków, który miał w majątku siedemnaście i pół dolara amerykańskich pieniędzy. Zostań tu, zostań, zadowolony jestem, że się bawisz — i odszedł.

Stary krzyknął za nim.

— Jakim żeś się stał Faraonem? Kim jesteś? Synem starego Melnika. Masz ojca pijaka. Cożesz za wielki pan? — wymyślał ojciec synowi.

Kuźmin nie śmiał słuchać. Wuj Mozes chodził dookoła maszyn do szycia i przyglądał się robocie. Był bardzo poważny i zamyślony. Powaga jego rzucała lęk na ziomków i odechciało im się nawet cieszyć z wymyslów starego. Gdy doszedł do stołu Arona Melnika, stanął. Wsunął ręce w kieszenie i przypatrywał mu się przez chwilę:

— Zostawisz adres Semowi. W niedzielę przyjdę do was — rzekł wuj, jakby do siebie samego. Odszedł z wewnętrznym uśmiechem i zbliżył się do ojca.

— No, ojcze, teraz już pójdziesz ze mną? Chodź, zejdziemy ze schodów, ojcze.

— Nie pójdę — rozpoczął stary krzyki na nowo — cożesz się stał za Faraon w Ameryce. Nie boję się ciebie. No, patrzcie na Faraona, króla egipskiego... kim jesteś, kim...

— All right, jeżeli chcesz tu stać, stój sobie stój... dodał jakby do siebie — hej, Sem, weź adres od tego, jak

go tam zowią, Gardziel, w niedzielę pójdę odwiedzić Masię. Podoba mi się to dziecko — mówił do siebie, schodząc ze schodów.

9.

Aron Melnik pozostał oszołomiony i przestraszony. Wuj Mozes przyjdzie do niego w niedzielę odwiedzić Masię. Wuj do niego do mieszkania. Wuj we własnej osobie do jego mieszkania, odwiedzić Masię!?

Aron Melnik i jego żona Roza uprzątnęli „parlour" na przyjęcie wuja. Wyciągnięto wielkie łóżko z frontowego pokoju, gdzie wszyscy spali, rozebrano je i postawiono w kącie. Stół z kuchni posunięto do „parloura" i nakryto wielkanocnym obrusem. Fotografję Arona Melnika i Rozy, jako narzeczonych w dzień ślubu, powieszono po jednej stronie, fotografje rodziców obojga — po drugiej. Przedstawiały one dwóch pobożnych, brodatych Żydów i dwie kobiety w perukach. Poważni obywatele kuźmińscy, którzy już znaleźli odpoczynek na cmentarzu kuźmińskim. Fotografje te porozwieszano na drugiej ścianie. Podarunki ślubne, które się jeszcze zachowały w rodzinie: wieżyczka z zapachem korzeni, dwa małe srebrne lichtarzyki i szklany kubek dla proroka Eljasza wymyto, wyczyszczono, by błyszczały i postawiono na zwierciadełku. Dzieci umyto, gruntownie uczesano, jakby na Wielkanoc, ale świątecznego ubrania dla wszystkich nie starczyło. Jeżeli które miało całe buciki, nie miało sukienki, drugie miało sukienkę, ale nie miało całych bucików. Postanowiono „zaprzeć się" dwojga dzieci, to jest nie zaprzeć się, ale ukryć, schować, wysłać z domu na czas bytności wuja, dobremi zaś pozostałościami ich ubrania przystroić resztę dzieci. Los padł na Cylę. Cyla to musiała właśnie opuścić dom, a jej nowe buciki obuły jej młodszą siostrę Gołdełe. A Cyla właśnie chciała być obecna, kiedy przyjdzie wuj Mozes. W fantazji przedstawiała już sobie obraz, jak zagra przed wujem „moawie", a wuj, który jest taki bogaty, że wszystkie „moawies" Nowego Jorku i wszystkie „ice cream parlours"

zapewne do niego należą, gdy tylko zechce, może wejść do każdego „moavie", albo zasiąść w „ice cream parlour" i zjadać rozmaite lody i ciastka, jakich tylko zapragnie, (inaczej Cyla nie mogla sobie przedstawić wuja) wuj wyda jej taką kartę, że gdzie tylko przyjdzie i pokaże kartę, otwierają się przed nią drzwi wszystkich moavies i ice cream parlours i dają jej wszystko, czego tylko zapragnie. Musiała teraz wyrzec się pięknych fantazji, zadowolnić jedynie patrzeniem przez szparę do parloura, gdzie będzie siedział wuj (jeżeli jej tylko pozwolą).

I Roza przypomniała sobie o młodych latach. Chciała się wujowi podobać. Dumna była ze swego dziecka Masi, która taką łaskę znalazła u wuja — a przez którą wszyscy teraz będą szczęśliwi. Uroda dziecka była jej własną urodą. Wyszperała w skrzyni co tylko mogła znaleźć, a co, według jej mniemania, mogło ukryć ich ubóstwo przed oczyma wuja Mozesa. Zawsze była dobrą gospodynią, gospodarską córką i za taką pragnęła przedstawić się wujowi. Ozdobiła i upiększyła mieszkanie, dzieci i siebie samą. Sąsiedzi zrozumieli znaczenie tych odwiedzin i pomagali Rozie czem kto tylko mógł. Przynieśli Rozie ze swych domów własną chudotę. Jedna pożyczyła rznięty kryształ, podarunek ślubny, i postawiła na stole, druga — serwis, trzecia — dwa nowe krzesła. Bo wszystkie już słyszały o wielkiem szczęściu, jakie spotkało najbliższych sąsiadów, Melników, że wuj podwyższył im zarobki o całe pięć dolarów tygodniowo i to wszystko dla dziecka, dla dziewczynki, że wuj Mozes we własnej osobie przychodzi, by ich odwiedzić. Więc chcieli im pomóc do wygrania wielkiego losu, łaski wuja Mozesa. Aron Melnik, przypatrywał się żonie, dzieciom, mieszkaniu. Nie wierzył własnym oczom. Jeszcze nigdy w Ameryce nie widział swej żony, tak pięknie, wystrojonej, swych dzieci, tak czystych i swego mieszkania, tak bogatem i miłem. I wdzięczny był wujowi Mozesowi za szczęście. Już wszystko mu wybaczył, wybaczył mu niewolę i upokorzenie, widział tylko dobro, wyświadczone mu przez wuja: podwyższył mu zarobek o całe pięć dolarów tygodniowo, interesował się jego dziec-

kiem, dziecko znalazło łaskę u wuja i wuj we własnej osobie przychodzi do niego do domu. Stał się gorącym zwolennikiem wuja, widział w nim tylko dobro — i naprawdę był wujowi wdzięczny za szczęście, jakie mu podarował.

„Familja", brat Berel i bratowa także przyszli powitać wuja. Bratowa wystroiła się jak do teatru w świąteczne suknie córek, ale modne młode sukienki komicznie wyglądały na starej. Kapelusz z dużemi piórami i zatroskana twarz matki! Suknia krótko skrojona i wysokie buciki o wykrzywionych obcasach, na których kobiecina chodziła jak na szczudłach. Tak to zakrawało na teatr, że żał był patrzeć na kobietę. Wszyscy słyszeli o wielkim szczęściu, i wszyscy chcieli grzać się przy tem słońcu... Już teraz schlebiano zarówno Aronowi, jak i żonie jego, Rozie. Ale Roza i Aron nie byli zadowoleni z wizyty, złożonej im teraz przez „familję". Zdawało im się, że wuj Mozes należy już do nich, że jest to ich wuj — a teraz „familja" przychodzi oblizać trochę cukru, należącego już do nich.

Wuj dał długo na siebie czekać. Jakby im niechętnie udzielał tego szczęścia — zatruł je poprzednio... Dzieci zdążyły zabrudzić sukienki, a sąsiadkom oczy wyszły na wierzch od wyglądania wuja... Jeden pytał drugiego: Gdzie wuj? W oczach „familji" ukazywały się już mściwe płomyki, a bratowa Dwosia już się głośno śmiała i szeptała mężowi do ucha:

— Bo i nie miałby też nic lepszego do roboty, tylko tu przychodzić.

I jakby wrogom na złość przyszedł wuj Mozes. Nagle wpadł do kuchni razem ze Semem. Stanął w kuchni i nie chciał pójść dalej. Jakby nie chciał sprawić im przyjemności z oglądania ich parlouru, usiadł w kuchni na pierwszem lepszem krześle, nie zdejmując ani palta ani kapelusza. Z laską w ręku rozglądał się po izbie, po ziomkach i familji, stojącej przed nim w strachu. Potem rzekł, jakby do siebie:

— Tu jest all right. Moi ziomkowie mieszkają bardzo ładnie.

Zadowolony był ze siebie, że dzięki niemu ziomkowie mogą prowadzić wygodne życie, że mogą mieszkać przyzwoicie i przyzwoicie się ubierać — i uczuł się lepszym wewnętrznie. Pomyślał, że jednak jest dobrym człowiekiem — a to go wprawiło w doskonały humor. Zaczął się uśmiechać, wstał z krzesła i postąpił krok ku parlourowi. Parlour podobał mu się jeszcze lepiej, spostrzegł ładne krzesła i ładny stół, zastawiony ciastkami i owocami.

Wyciągał rękę do owoców, a wszyscy się ucieszyli, że wuj będzie jadł. Lecz nie wziął żadnego owocu, popatrzył na kryształ i rzekł, jakby do siebie:

— Rznięty kryształ, all right.

Poprosił, by mu pokazano dzieci. Aron przyprowadził dzieci. Spojrzał na nie.

— A gdzie Masia? Chciałbym zobaczyć Masię!

Ala Masi nigdzie nie można było znaleźć. Gdzieś się ukryła. Ojciec, matka i cała rodzina pobiegli ją szukać. Nie wiedziano, gdzie się znajduje. Wkońcu znaleziono ją u sąsiadki. Ojciec ciągnął ją za rękę, a stryj Berel krzyczał na nią:

— Głupia dziewczynko! wejdź do domu! Co tu robisz, przecież wuj przyszedł...

— Masiu sprowadzasz na mnie nieszczęście, czynisz mnie nieszczęśliwym na całe życie — błagał ją ojciec.

Masia ubrana była w swoją nową sukienkę, nowy fartuszek. Dwa długie czarne warkocze mocno były splecione... twarzyczka płonęła... Masia zagryzła maleńkie wargi temi białemi ząbkami. - i mruknęła:

— Nie chcę go widzieć!

Wuj długo się jej przypatrywał i uśmiechnął się:

— To ta dziewczynka nazwała mnie „bestją".

— Głupia dziewczynka, alboż wie co gada — próbował ją usprawiedliwić stryj Berel.

— Nic nie szkodzi, to mi się podoba. Masz, za to, żeś mnie nazwała „bestją", masz czekoladę. Sem! — zawołał wuj na Sema.

Sem milcząc podał wujowi pudełko czekolady. Wuj dał je Masi.

— Tak, to masz za „bestję".

Masia nie brała.

— Weź, weź, dziecko co robisz? — wołali na nią wszyscy.

Masia wzięła czekoladę.

— Otwórz, znajdziesz tam coś.

— Otwórz, Masiu, otwórz — wołali na nią wszyscy.

Masia drżącemi rękami otworzyła. Z pudełka wypadło kilka sztuk dziesięciodolarówek i parę klejnotów.

— Dziesięciodolarówki są dla *ma*, a klejnoty dla ciebie — za to żeś mnie nazwała „bestją" — rzekł wuj z uśmiechem.

Masia podniosła swe czarne oczy. Były jeszcze dziecinne, ale głębokie i pełne wyrazu. Oczy jej spoczęły na wuju Mozesie. W spojrzeniu tem była kokieterja, zdradzająca przyszłą kobietę, lecz kokieterja ta była jeszcze ukryta pod dziecinną wstydliwością...

Wujowi spodobało się spojrzenie. Uśmiechał się do siebie.

— Podziękuj wujowi!

— Pocałuj wuja w rękę — wołali na nią wszyscy.

Masia się zmieszała. Chciała uczynić co jej kazano, ale wuj nie dał się pocałować w rękę. Objął jej głowę i pocałował we włosy. Wszyscy byli szczęśliwi. W oczach kilku członków rodziny błyszczały łzy — a rodzice byli w siódmem niebie.

— I ja umiem, i ja umiem — wpadła nagle w środek wesela Cyla, nawpół naga i nieumyta. Dziecko przyglądało się całej tej scenie z kuchni, uczuło zazdrość i nie mogło zapanować nad sobą.

— Boże mój! — schwytała ją matka, chcąc ukryć przed oczami wuja.

Ale wuj Mozes już ją dostrzegł.

— A to kto taki?

— Nic, dziecko — tłumaczył się Aron.

— A co ty umiesz? — spytał wuj Mozes.

— Grać moavies, — dawała Cyla znaki oczkami i zabrudzoną twarzyczką z poza świątecznej sukni matki. — Grać moavies — to pięknie, chodź tu, chodź tu — tak, tu masz...

Ale matka zdążyła już ukryć ubóstwo w kącie, tylko że „ubóstwo" popłakiwało z kącika.

J. BURLĄ.

Żona, której nie znosił.

Powieść.

VIII. *)

Kiedy Rachela opuściła dom i udała się do wuja swego Szymona, myślał Daud, że nastąpiła dla niego chwila wyzwolenia. Nie zobaczy jej już nigdy... Stanowczo i z gniewem odprawiał „pośredników", którzy z początku przychodzili do niego i próbowali pogodzić go z żoną. „Nie chcę słuchać wcale! Nie chcę słyszeć o niej!" — tak wołał grzmiącym głosem; posyłał jej niewielką kwotę na utrzymanie, tak sobie przytem myśląc: postanowi w międzyczasie... rozważy... zastanowi się nad swem położeniem i zobaczy, co będzie...

Więcej niż dwa miesiące trwał „gniew", teraz zaś — ona jest znowu w jego domu. Jest znowu jego żoną. Walka była dla Dauda bardzo ciężka, wkońcu zaś — został pokonany... A „pokój" był dla niego bardzo przykry i sromotny.

W tym czasie, po „zawarciu pokoju", jeździł Daud — jak to zwykł czynić w ostatnim roku, celem załatwienia swych interesów, na kilka dni w okolice Jerozolimy: do Betleem, Ramleh i Jaffy. Żona siedziała przeważnie samotnie w domu, matka leżała bez sił w łóżku (przed kilku miesiącami spadła ze schodów, uderzyła się silnie w głowę i doznała paraliżu prawej nogi). Rachela była wówczas przygnębiona i smutna i bardzo źle się czuła. Pracuje więcej, jak zawsze, i musi jeszcze obsługiwać chorą, która bez pomocy nie może się ruszyć z miejsca. Ale nie to zasępia jej umysłu i sprawia jej ból, tylko jej gorzki los i dziwny stan, w jakim się znajduje od czasu

*) Obacz „Nowe Życie" № IV str. 106—121.

„zawarcia pokoju". Nic nie zmieniło się na lepsze w jej życiu po tym całym przewrocie, wszystko jest, jak było — a nawet ból i poniżenie jeszcze spotęgowały się i robak rozpaczy jeszcze silniej toczy serce. Ta zmora ciąży na niej i nie daje na chwilę spokoju. Dlaczego ją Bóg tak ukarał? Za co należy jej się to piekło na ziemi? Za jakie grzechy? Co złego zrobiła w swem życiu? Nie pamięta... Nie pamięta... Może jako dziecko raz skłamała, albo źle mówiła o kimś — może człowiek grzeszy czasami bezwiednie — ale czy za to należy jej się tak surowa kara? Za to? A o innych grzechach — nie wie... nie może sobie przypomnieć... Do wesela nie opuściła swej matki ani na jeden dzień. Szyły razem... dla muzułmanek — tam w domu, w Hebronie... Zawsze razem — jakie to dobre były czasy, czasy panieństwa!... I przez całe te lata, kiedy szyły dla Arabek — nie przyszło ani razu do sprzeczki... One zaś, Arabki, mawiały zawsze: „Niema tak porządnych Żydówek, jak Satreja i Rachil (tak przekręcały imię matki — Istrja). I matka zawsze pilnie uważała, a ona też na to baczyła, aby nigdy Arabek nie skrzywdzić ani na grosz... „Skrzywdzić innowiercę na grosz, to grzech, za który niema przebaczenia, córko, — mówiła zawsze matka. Niech bodaj nasze przepadnie, byleby nie przylgnęło do naszej ręki coś cudzego..."

Przy takiej sposobności opowiadała matka o zwyczajach i przypowieściach „pana dziadka", ojca matki. „Hebron nie miał nigdy takich dobrych czasów, jak tych czternaście lat, kiedy „panował" on, pan dziadek R. Elijahu Tardżuman" — tak słyszała od ludzi przy każdej sposobności... Jakże bardzo cieszyły ją zawsze te dziwne opowieści o „nim" i o innych spokrewnionych z nim rabinach...

A dzień śmierci dziadka... wszyscy go do dzisiejszego dnia pamiętają... Przyszło wówczas wielu muzułmanów i twierdziło, że należałoby pochować „Chachama Elijahu" na ich cmentarzu... bo jest świętym — „tarczą pokolenia"... Przed pochowaniem zawieźli go muzułmanie do „patrjarchów" i zanieśli na „najwyższe schody", obok grobów

patrjarchów... Tak dalece był i „u nich" uważany za świętego... Tacy święci ludzie... A ona, ich wnuczka, przeżywa piekło już na tym świecie... Jak dziwne są drogi Stwórcy! Ona nie znała swych przodków.., ale matka przecież modli się do nich za nią... czemuż nie pomagają jej w nieszczęściu?...

Chce napisać matce o tem wszystkiem, co przeżyła w tych czasach... co z nią się stało... o całem zajściu... ale trudno jej—ma ciężką rękę do pisania i miną dni, nim napisze wszystko. A jak ułożyć to wszystko, co się zebrało w jej sercu? Potrzebuje kogoś, aby dla niej to napisał, jakiegoś „pisarza". Ale — jakże ona może przed obcym człowiekiem zwierzyć się z tego wszystkiego? Jak opowie wszystko? Jak to można?...

Długo Rachela zastanawiała się — i odkładała swe postanowienie. Aż jednego dnia błysnęła jej w duszy nieśmiała myśl: myślała — początkowo nie wierzyła sama głosowi swej duszy — wahała się całemi godzinami — potem myśl występowała coraz wyraźniej: może poprosić o napisanie listu... jego... Bencjona Kohena; on jest „pisarzem" — tego, co wzgardziła nim wtedy, kiedy prosił o jej rękę... nad grobem matki Racheli... Jemu, temu człowiekowi, może należy wszystko opowiedzieć... owszem... może przez to, że gwałtownie odrzuciła jego rękę, zgrzeszyła... on ją k o c h a ł... a ona wtedy zniszczyła tę m i ł o ś ć... czuje teraz — tak, ona to czuje, że powinna go poprosić... niech słyszy i widzi, jaki jest jej los i do czego doszła od czasu, kiedy odrzuciła jego rękę... on niczego nie domyśli się... poprostu poprosi go o napisanie listu... a będzie to rodzaj... rodzaj „ekspiacji"...

Po upływie tygodnia, kiedy Daud pojechał do Jaffy, zaprosiła do siebie przez posłańca Bencjona Kohena.

Bencjon Kohen miał sławę świetnego „pisarza" i stał się ulubieńcem starców i staruszek, którym trudno jest wysłowić się i listy pisać. Mówią w kilku słowach czego chcą — a on już z „nadzwyczajnym smakiem" list układa.

Kiedy w umówionym dniu przyszedł do Racheli —

natychmiast po obiedzie — zaprowadziła go do trzeciego pokoju, aby go nie widziała teściowa, leżąca w łóżku. (Odkąd Lejzor Jankiel wyprowadził się ze swoich dwóch pokoi, zajął Daud trzeci pokój, a czwarty został nie zamieszkany).

Trwało dość długo, nim mu Rachela wyłuszczyła wszystko, co chciała napisać; przez cały ten czas łzy ciurkiem jej spływały po twarzy, a przysłuchujący się jej „pisarz" był blady i jakby zdziwiony: siedział kiwając głową, i brał żywy udział w cierpieniach Racheli. Kiedy skończyła, przyniosła mu garnuszek kawy — i wyszła do swoich zajęć.

Bencjon zdjął wierzchnie ubranie i przystąpił do pracy; podczas pisania zrobiło mu się tak ciepło, że zdjął także białą, cieńką chustkę, którą miał zawsze owiniętą dokoła szyj, zwyczajem zamożniejszych, młodych ludzi.

Tym razem „pisarz" nie umiał tak szybko i gładko pisać, jak zwykle; kilka razy pisał, kreślił i dobierał najpiękniejszych, jakie znał, zwrotów spaniolskich. Dopiero wieczorem weszła do niego Rachela, skończył właśnie duży list i odczytał jej, mając przy tem twarz zarumienioną i widocznie zmęczoną:

Tu święte miasto Jerozolima, oby została odbudowaną, dwudziestego piątego dnia miesiąca zmiłowania, roku 5656.

Do matki mej kochanej i ulubionej, wyrytej jak pieczęć na mem sercu, drogiej mi jak światło oczu, signory Istrji de Tardżuman,

oby imię jej żyło na wieki.

Matko, coś mnie zrodziła!

Oto dusza moja drze się w kawały, kiedy chcę wylać przed Nią serce me zbolałe. Już więcej niż trzy miesiące, nie pisałam wcale do Niej; taiłam wszystko przed Nią, aby nie dowiedziała się. I zawsze, wiadomo Jej, nie piszę ani kropli z morza, i teraz także nie chciałam pisać, ale ból serca i łza oka, które nie ustają w mojem życiu, nie dają mi spokoju.

Matko moja! Cóż mam począć i cóż mam robić —

i jak mam opanować tę burzę? Jakie były moje grzechy i Jej grzech, że doznałam tej „czarnej klęski"? Gdybym płaczką była, chodziłabym po ulicach, płakałabym i zawodziła, i prosiła przechodniów o zmiłowanie i radę w mojem utrapieniu.

Wolałabym była umrzeć, niż dożyć tej nieszczęsnej godziny, kiedy muszę Jej donieść, że po siedmiu ciężkich latach, które minęły od mego ślubu — wypędzono nas, mnie i Alberta, z mego domu. Przez dwa miesiące przebywałam u kochanego wuja Szymona. Bardzo o to starałam się, aby Ona nie dowiedziała się o tem i nikomu z tych, co jechali do Hebronu, nie pozwalałam przed Nią słowem o tem wspomnieć. Gdyż myślałam, może przyjdzie koniec mych cierpień — wrócę do domu i los mój poprawi się. Ale nadzieja moja nie spełniła się.

Najpierw on powiedział, że nie chce mnie znać, ani słyszeć mego imienia i co drugi lub trzeci dzień posyłał po Alberta, aby z nim zobaczyć się, a potem nagle „zmienił front" i zgodził się na „zawarcie pokoju".

Łatwo powiedzieć „pokój" — oby los zmiłował się nade mną i nastał już pokój — ale te dni są dla mnie gorsze i okropniejsze od poprzednich. Zawarliśmy pokój, a on nie mówi do mnie nawet raz na trzy dni i nie popatrzy mi się w twarz — bo nie gwoli sobie, ani też gwoli mnie, sprowadził mnie do domu, tylko dla pieniędzy swych — ze strachu o swój majątek...

Bo oto w miesiącu „poróżnienia" stracił — ku swemu utrapieniu — więcej niż trzysta napoleonów — to go tak „przypiekło". Prawie ćwierć jego majątku. Sprawa zaś — szczegółowo trzebaby długo opowiadać — w krótkości tak przedstawia się: Miał w magazynie pięćset skrzynek nafty — a Isa, kupiec chrześcijański, sprowadził dużo nafty z Ameryki i cena w mieście spadła — medżidije na skrzynce — to dało stratę stu napoleonów. W tym samym tygodniu spotkało go inne okropne nieszczęście. Przed czterema miesiącami pożyczył dwieście napoleonów greckiemu popowi Stefanowi od Grobu Chrystusowego. Ten pop był znany jako wielki bogacz, zawsze robił z nim

interesa — on był kasjerem kościelnym i przynosił mu zawsze klejnoty i perły, i bardzo tanio. Pożyczył mu zaś na weksel, na 40 procent. A tu znaleźli go, popa, zamordowanego u kochanki, którą miał w Betleem i weksel nie wart grosza, bo co miał, należało do majątku kościelnego. Kiedy umarł — nie zostało nic. Nic nie było zapisane na jego imię. Daud wydał jeszcz dwadzieścia funtów na adwokata i nie przydało się na nic. I jeszcze miał straty. A on nie jest przyzwyczajony nawet do najmniejszej straty i nigdy mu się jeszcze coś podobnego się zdarzyło.

Teściowa moja robiła mu co noc „czarne życie". Mówiła, że moja ręka unosi się nad sklepem i psuje mu interesa — lamentowała i przeklinała: „Jeszcze miesiąc — a będziesz siedział z talerzem przy wejściu do bóżnicy".

A teraz, cóż mam Jej powiedzieć? Jeśli przedtem życie moje było ciemne, teraz ono jest czarne, jak węgiel. Przedtem łaził całymi dniami po dachach — pisałam Jej mało, ledwie jedną setną z tego, co przeżywałam i nie wspominałam prawie o tych cierniach, które dziurawiły moje serce, jak sito. Teraz — od czasu, kiedyśmy się pogodzili, — panuje złowrogie milczenie w całym domu. On źle wygląda i jest bardzo blady, a na mnie patrzy się tak, jakbym ja ponosiła winę jego strat...

Codziennie wraca do domu po północy. Początkowo myślałyśmy, że gdzieś spędza czas. Byłyśmy zaniepokojone — ja i matka jego — i prosiłyśmy pokryjomu „chadża" (stróża), aby zbadał, dokąd on chodzi.

Kiedy zaś chadż przyszedł — cóż nam opowiedział? Powiedział nam, że nie wchodzi do żadnego domu. Całemi godzinami wałęsa się po mieście, od jednego końca do drugiego, — samotnie chodzi po ciemnych i milczących ulicach miasta.

A matka jego — „drze ze siebie mięso". Jakto? — powiada — on, który był takim tchórzem, że z początkiem nocy już bał się sam wyjść z domu — jakże teraz odmienił się? Naprawdę obawiamy się, by nie stracił zmysłów — Boże uchowaj.

Ale cóż mogę ja Jej powiedzieć? Inny ból mnie dolega, inny ból; wstydzę się przyznać, ale Jej powiem: z dnia na dzień więcej go kocham. Tak jest. Dawniej, kiedy „krew cisnęła mi się do oczu", myślałam, że jedno „rozłączenie" wyzwoli mnie. Dobrze. Rozwiedziemy się. Ale cóż mam Jej powiedzieć — kiedyśmy rozłączyli się, uciekała mi dusza z piersi i rwała się do niego. Wieczorami zaś — powiadam Jej — chodziłam czasami do domów znajomych, gdzie okna wychodzą na rynek, aby go zobaczyć wieczorem, kiedy wracał do domu. Oddech we mnie się zaparł, kiedym go widziała zdaleka. Niech Mama powie: czy nie jest to także kara Boża? Żebym ja go kochała, żebym kochała kij, który mnie bije? Wstydzę się przyznać—ale co mogę zrobić? Kiedy serce wciąż lgnie do niego.

Mijają dnie i tygodnie, człowieka nie widzę przed sobą. Nie ma kto przyjść. Nie słychać śmiechu w tym domu. Wieczna cisza, zmora jakaś — serce pęka poprostu. Jeżeli on kiedyś podnosi głos — to żeby łajać i kląć. Skąpstwo, mamo, skąpstwo jemu zawsze właściwe, teraz spotęgowało się w znacznej mierze. Zdycham za grosz. Wyciągnęłam już z „lejlalu" *) kilka nitek — i boję się, że zauważy to kiedyś. I niema dnia, aby nie przybyła kropla do „puhara goryczy".

I jak długo to potrwa? Nie rok i nie dwa lata czekałam — siedm pełnych lat, siedm lat minęło, odkąd nie zaznałam jednego dnia radosnego. Czyż to drobnostka: ani jednego dnia radosnego.

Matko kochana! Niech mi tego nie poczyta za grzech, że martwię Ją tym długim listem. Dokądże mam się zwrócić i jakże mam osuszyc swe łzy? Niech mi Mama przebaczy. Bóg się zlituje. Niech nie przestanie modlić się do „patrjarchów", aby mi Bóg zesłał cierpliwość do znoszenia cierpień i poddania się woli Bożej.

Dużo pozdrowień dla Niej i dla wszystkich krewnych. Całuję Jej rączki z wielką miłością.

Jej nieszczęsna córka
Rachela de Chadad.

---

*) Wiązka cieńkich nici złotych — klejnot kobiecy.

Kiedy Bencjon skończył czytanie listu, znowu pokazały się łzy w oczach Racheli, ale je szybko otarła i dziękowała mu za trud i za jego „błogosławione ręce.

Bencjon złożył list. W pokoju panowała cisza — Bencjon chciał coś powiedzieć, ale nie znalazł słów dla wyrażenia swych myśli. Wzrok jego błąkał się po kątach, to znów po twarzy Racheli — i nie znalazł sobie celu. Rachela wyciągnęła doń rękę i chciała mu dać ćwierć medżidie za pisanie — on nie zauważył tego. Kiedy po chwili zobaczył jej wyciągniętą rękę, lekko ją odepchnął i mowa mu potrochu powracała: — Zapłacić mi chcesz... — powiedział przygnębionym głosem. — Zapłacić mi... dziwię się... ja... ja z głębi serca, jakby strzępy ze serca wyrwałem, kiedy ten list pisałem... Ledwie mogłem pisać... jakbym sam przeżywał twoje cierpienia... Przez całe te cztery godziny, kiedy siedziałem i pisałem — tylko o j e d n e j chwili myślałem... wtedy nad grobem Matki Racheli... pamiętasz zapewne... dlaczego tak się stało? Jakże dziwne są zrządzenia Stwórcy! Dlaczego tak stało się — na tem samem miejscu opuściłaś mnie i wybrałaś jego... dlaczego nie miałaś serca dla mnie? Gdybyś była moją, żyłabyś, jak królowa. Nie jestem bogaty, ale niczego nie brakuje w domu. Jak wielkie byłoby szczęście... Teraz mam także żonę, kocham ją nie t a k ą m i ł o ś c i ą — ale ona mnie nie kocha. Życie moje jest także ciężkie i przykre. Ja też nie widziałem jeszcze dnia radosnego — jak ty to powiedziałaś o sobie. I oto przyszedłem dziś, aby dowiedzieć się o tem wszystkiem... Coś niecoś słyszałem zdaleka, ale nie tyle... Jakże mam ci powiedzieć, siostro, jakiego przewrotu w sercu mem dokonałaś, jak mam ci to słowami wyrazić?

Umilkł, przeszedł się raz wszerz po pokoju i wrócił na swe miejsce przy stole.

— I jak to? Jak to? — mówił do swego tematu z tonem zdziwienia w głosie. — On cię nienawidzi... Ciebie nienawidzieć... taką kobietę, jak ty... Jaki dziwny jest człowiek! Kto zna tajniki losu? Ciebie... Jakby ci brakło

wdzięków... jakby było dużo takich... Dziwna rzecz, dalibóg...

Rachela stała milcząca, oparta o stół z drugiej strony, bawiła się wstążką przy sukni i długo oglądała swe palce — słyszała jednak doskonale słowa Bencjona, na którego od czasu do czasu z litością spoglądała; miała takie uczucie, jakby ciepła i miękka ręka głaskała ją po twarzy i po głowie... Tak lekko muskały ją słowa Bencjona...

Potem rzekła:

—A ja. Bencjonie, powiem ci prawdę... poprosiłam cię tu... tak... rozmyślnie... abyś wiedział, co przeszłam, odkąd opuściłam cię... a jeżeli czujesz do mnie żal... to się o wszystkiem dowiedz — jeżeli zaś tak cię skrzywdziłam — teraz mi bezwątpienia przebaczysz...

— Ależ, siostro, nie miałem w sercu najlżejszej urazy... Jabym miał urazę do ciebie? Jaką tu winę ponosi człowiek? Drogi Stwórcy... Gdyby tylko można było pomódz sobie... gdyby można było — ale zrządzenia Boże... gdzieś tu człowiek może się wtrącać? On — wyzwalający więźni — odwróci wszystko na dobre.

Po chwili głębokiego milczenia podał jej rękę na pożegnanie, przyczem ścisnął nieco jej rękę, i drżącym głosem powiedział:

— „Pozostań w dobrą godzinę"... Bóg ułoży ci wszystko ku dobremu... jeżeli innym razem zechcesz pisać, zawołaj mnie, a przyjdę — bardzo chętnie przyjdę — „pozostań w dobrą godzinę"...

— A ty idź w dobrą godzinę — odrzekła i odprowadziła go do schodów.

Wróciła na swe miejsce przy stole. Kiedy on odszedł, stało jej się nieco lżej, bo udało jej się to, do czego zmierzała... Po chwili jeszcze myśli jej były zaprzątnięte Bencjonem: Nie jest on ładny — myślała — jest taki, jak Daud. Ale głos jego i sposób mówienia — jakie miłe są i subtelne! Gdyby słyszała wtedy jego głos, jego mowę — gdyby go trochę bliżej poznała... można było go za to samo pokochać... za głos i sposób mówienia...

Siedziała długi czas oparta łokciem o stół, ciemność zaległa pokój, ona zaś jakby zapuszczała się na zawiłe i odległe drożyny życia; zmora jeszcze silniej ciążyła na niej, żal jeszcze bardziej ją przygniatał, ponieważ wiedziała, że błąka się tylko po kolejach myśli — po tych kolejach, które już dawno straciły cel i nigdzie nie prowadzą...

Potem Rachela jeszcze kilka razy zapraszała do siebie Bencjona, ilekroć chciała napisać do matki wielki list, którego sama napisać nie umiała — a Bencjon chętnie spełniał jej wolę, jak za pierwszym razem.

Z hebr. przełożył *Jeremiasz Fränkel.*

NEKROLOGJA.

Anatol France.

חסידי אומות העולם יש להם חלק לעולם הבא.

Kilka dni zaledwie upływa od owej smutnej a uroczystej chwili, w której zwłoki Anatola France'a spoczęły na cmentarzu w Neuilly. Cała Francja — od prezydenta republiki do dziatwy ze szkółek ludowych — oddała hołd największemu swemu pisarzowi i myślicielowi, człowiekowi najszlachetniejszemu, jednemu z tych niewielu „Nieśmiertelnych", co życiem na nieśmiertelność zasłużyli.

Nietylko Francja jest w żałobie. Każdy uczciwie czujący człowiek, który wie, kim był Anatol France, smucić się musi głęboko jego śmiercią i w sercu swojem złożyć kwiat wdzięczności na trumnie tego Obrońcy Praw Człowieka. Dwadzieścia pięć lat minęło od chwili, gdy słynne „J'accuse!" Zoli znalazło oddźwiek w sercu Anatola France'a. Porzucił spokojną pracę w zacisznym gabinecie, porzucił misterne cyzelowanie zdań, porzucił świat piękna, w którym żył i który tworzył, by w płomiennych słowach bronić z trybuny krzywdy człowieka.

Człowiekiem tym był Żyd, Kapitan Dreyfuss, oskarżony o zdradę stanu i skazany na zesłanie na Czarcią wyspę. Najszlachetniejsze serca Francji zgromadziły się z France'em koło Zoli, między innymi pułkownik Picard, Jean Jaurès, Paweł Painlevé, senator Trarieux, Scheurer-Kestner, adwokat Labori i Presseusé, pierwszy prezydent Ligi Obrony Praw Człowieka. S p r a w a była hańbą republikańskiej Francji, ale obrońcy Dreyfussa wierzyli żarliwie, że „la Justice est en marche — rien ne l'arrêtera." I zwyciężyli. Kapitan Dreyfuss przywrócony został do czci i praw, a w jego osobie uratowany nie tylko honor wszystkich Żydów, służących w armji francuskiej, ale honor całego narodu żydowskiego i sprawiedliwość ludzkości.

Oddźwięk tej walki znajdujemy w cyklu powieści, których bohaterem jest dobry pan Bergeret, wcielenie poglądów autora. Tak gorąco broni France prześladowanych Żydów, tak mocno przekonany jest o słuszności ich sprawy, że nie dba o opinję i naraża się całemu uniwersytetowi, w którym podówczas wykładał.

Nie idealizował Żydów — widział ich wady, ale patrzał na nie mądrze i wyrozumiale. I jeżeli wytykał je, to tak, jak dobry ojciec — z uśmiechem pobłażania.

Któż z nas nie pamięta pana Schmolla *), członka Instytutu, wielkiego filologa, który zna wszystkie języki z wyjątkiem francuskiego! Tego chorobliwie ambitnego, gadatliwego pana Schmolla, który ciągle musi coś cytować, którego wszyscy naokoło krzywdzą i niedoceniają, i który tak bardzo lubi użalać się przed swymi przyjaciółmi. Ale czyni to z godnością, bo „jest w nim coś z duszy Ezechjela i Jeremjasza." I nigdy nie chowa urazy w sercu, nie jest w stanie zrozumieć, że ktoś może brać poważnie jego złośliwe i dowcipne docinki. Nie wie nawet, że ma na sumieniu śmierć jednego ze swych młodszych kolegów, Marmet'a, zwanego Etruskiem.

Znamy go i lubimy wszyscy i wybaczamy mu jego słabostki, i widać, że mimo wszystko lubi go serdecznie mądry i dobry autor.

A Arcade, bohater „Buntu Aniołów" — wcielona krzywda tylu uciemiężonych pokoleń narodu żydowskiego.

A Żydzi jerozolimscy, co wolą umrzeć pod chłostą, niż oddawać boską cześć wizerunkom Cezara **).

*

Za wielką mądrość i wielkie serce, za odwagę cywilną, za wszystkie piękne postacie, które stworzył, i które, opromienione Jego Nieśmiertelnością, bronić będą po wsze czasy ideałów Prawdy, Sprawiedliwości i Postępu

cześć Jego Pamięci.

---

*) Czerwona Lilja.

**) Patrz część beletrystyczną: Anatol France: — Prokurator Judei.

Mordechaj W. Rappoport.

Dnia 16 czerwca 1924 zdala od ojczyzny zmarł w Zurychu w 51 roku życia rabin i uczony Mordechaj W. Rappaport. Potomek w linji prostej rabina Chaima Kohen Rappoporta, uczestnika dysputy frankistów we Lwowie (1759) i wnuk rabina Izaka Ettingera otrzymał Rappoport tradycyjne wychowanie we Lwowie i już w młodości zasłynął ze swej znakomitej pamięci i bystrości umysłu. Młodo ożeniony, zamieszkał on zrazu w Stryju (wsch. Małopolska), poczem ruszył w świat i słuchał wykładów w uniwersytetach w Strassburgu, Hajdelbergu i Bernie. Rychło też uporządkował swą rozległą wiedzę talmudyczną, nabytą w Polsce i zabrał się do opracowywania tematów naukowych z zakresu prawa talmudycznego. W „Zeitschrift für vergleichende Rechtswissenschaft" ogłosił w latach 1901—1904 znakomitą rozprawę p. t. *Der Talmud und sein Recht*, która wyszła także oddzielnie w pięciu częściach. W r. 1908 ogłosił podstawowe dzieło p. t. *Chr. W. Dohm, der gegner der Physiokratie und seine Thesen*, poczem szybko ukazywały się jedna po drugiej inne rozprawy naukowe z tego samego zakresu. Podczas wojny wyemigrował Rappoport do Szwajcarji, gdzie już pozostał do samej śmierci.

Przed kilku laty noszono się w tutejszych sferach z myślą powołania Rappoporta na katedrę Talmudu do szkoły rabinicznej (Tachkemoni), lecz sprawa utknęła na martwym punkcie. Z Rappoportem schodzi do grobu luminarz wiedzy talmudycznej i jeden z niewielu uczonych, którzy umieli gruntowną znajomość tego przedmiotu pogodzić ze systematyką badań nowoczesnych.

Cześć jego pamięci!

Ulla Wolf.

W czerwcu b. r. zmarła w Berlinie w podeszłym wieku znana pisarka niemiecka Ulla Wolf, pisząca pod pseudonimem Ulrich Frank. Ulla Wolf urodziła się w r. 1850 w Gliwicach na Śląsku i już jako młoda dziewczyna zbierała laury na swój dramat p. t. *Der Vampyr*, który w r. 1876 wielokrotnie

grano w teatrze Laubego we Wrocławiu. Nie takie powodzenie miała jej druga sztuka *Der Herr Kollege* i oto porzuca Ulla Wolf dramat i zwraca się ku powieści i noweli, którym pozostaje wierną przez całe życie. Serję swych powieści rozpoczęła w r. 1884 swem *Wunderkind*, po którem rychło poszły inne. Wszystkie były bardzo poczytne i stanowiły w swoim czasie lekturę niewiast niemieckich; lecz właściwą sławę zyskała sobie autorka nowelami i mniejszemi powieściami z życia żydowskiego, w których umiała z subtelną ironią a przytem z fotograficzną wiernością rysować ginące już typy i sytuacje z życia Żydów w Poznańskiem i na Śląsku. Dla nas są jej obrazki tem ważniejsze, ileże dają nam wgląd do domów polskiego żydostwa w trakcie jego germanizacji.

„Simon Eichenkatz", „Beim Patriarchen", „Die Geschichte zweier Sabbat Nachmittage", „Die Toten" (1904), „Die Mischpoche" (1907), „Der Mischpocherentner" (1912) „Die Eisenbergers" (1915), „Mirele" (1917), „Das Haus, aus den Aufzeichnungen des Kreisphysikus Dr. E" (1919) i wiele wiele innych, ogłaszanych rok rocznie, czyto w „Jahrbuch für jüd. Geschichte und Literatur", czyteż w innych wydawnictwach niemiecko-żydowskich przynosiły żydostwu niemieckiemu miłą lekturę, a babce Ulli nigdy nie gasnącą popularność.

Dr. Teodor Hertzka.

W Wiesbadenie zmarł w 79 roku życia znany ekonomista i społecznik dr. Teodor Hertzka. Urodzony w Budapeszcie w r. 1845 przybył jako młodzieniec do Wiednia i tutaj wstąpił do redakcji „Neue Freie Presse", gdzie objął dział ekonomiczny i znakomicie go prowadził. W latach 1879-1886 redagował „Wiener Allgemeine Zeitung", jedyną wówczas gazetę wiedeńską, która wychodziła trzy razy dziennie.

Mimo tak wyczerpującej pracy redaktorskiej, miał Hertzka czas dla prac naukowych z zakresu ekonomji politycznej i społecznej a jego dzieła: *Das Wesen des Geldes*, *Währung und Handel*, *Die Gesetze des Handels und der Socialpolitik* itp. zjednały mu w kołach fachowych markę znakomitego ekonomisty. W tychto rozprawach występował Hertzka w obronie wol-

nego handlu, złotej waluty, a szczególnie w obronie spółek wytwórczych, a w swej utopji p. n. *Freiland* przedstawił nadzwyczaj barwnie przyszłe społeczeństwo, w którem nie będzie własności prywatnej i wszystko będzie oparte na spółkach producentów i konsumentów. Także „prawo do pracy" stanowi jedną z tez tej utopji, która ukazała się w przeciągu kilku lat w dziesięciu wydaniach.

„Utopja" znalazła wielu wyznawców i oto powstały liczne stowarzyszenia, które starały się myśli swego mistrza praktycznie zrealizować. Sam Hertzka wyjechał do Afryki i pragnął tam założyć kolonję Freiland, lecz plan jego rozbił się o liczne szkopuły, o których autor, pisząc swą utopję, nie pomyślał.

Gdy na widowni dziejowej pojawił się Teodor Herzl ze swoim Judenstaat i Altneuland, przypomniano sobie Freiland Hertzki i porównywano obie prace w artykułach dziennikarskich i rozprawach. Także podobieństwo imienia i nazwiska obu autorów dały impuls do licznych porównań i nieporozumień.

Siegfried Fleischer.

Dnia 31 lipca b. r. zmarł we Wiedniu w 68 roku życia Siegfried Fleischer, długoletni sekretarz organizacji politycznej austrjackich wyznaniowych gmin żydowskich p. n. *Oestrerreichisch-israelitische Union* we Wiedniu. „Union", założona w r. 1885, miała na celu obronę prawną Żydów w Austrji i jako taka interwenjowała u władz podobnie jak w Warszawie Rada Narodowa. Niedługo jednak utrzymała się ta organizacja na swej wysokości i z chwilą rozbudzenia się ruchu narodowego wśród Żydów spadła do rzędu placówek, które były i są na wymarciu. Gromadząc w swych szeregach dawnych liberałów i asymilatorów, poczęła Union walczyć ze sjonizmem, a na czele walczących kroczył bł. pam. Siegfried Fleischer. Asymilator z przekonania nie umiał, mimo swych zdolności i wiedzy, zorjentować się w nowoczesnem żydostwie i tem się tłumaczy fakt, że nie odegrał w żydostwie austrjackiem takiej roli, jaka mu przypadała z urzędu i inteligencji. Redagowany przezeń miesięcznik

„Union" nie miał abonentów, a choć go dawano darmo, nikt doń nie zaglądał.

Lepiej wyzyskał Fleischer swe zdolności podczas wojny światowej. Już w r. 1915 poczęły do Wiednia nadchodzić wieści o prześladowaniu Żydow w Polsce. Idąc śladem Berlina, zorganizował Fleischer we Wiedniu „Komitet dla strzeżenia prawnych interesów Żydów w krajach okupowanych" (*Komitee zur Wahrung der staatsbürgerlichen Interessen der jüdischen Bevoelkerung in den okkupierten Ländern)*, na którego czele stanął magnat i członek austr. izby panów baron Filip Gomperz; obok niego zasiedli w tymże komitecie baron Rotszyld i dyrektor banku Hammerszlag. Z polecenia tegoż komitetu jeździł Fleischer dwukrotnie do Polski i każdym razem pisał obszerne sprawozdania, które świadczą o znakomitym darze spostrzegawczym i o wielkiej inteligencji autora. Niestety nie mógł ni Komitet ni Fleischer wiele zrobić, ileże panowie z plutokracji wiedeńskiej działali badzo oględnie, by nie zrazić sobie ni sfer dworskich ni wojskowych. Kilkakrotna ich interwencja w naczelnej komendzie armji nie przyniosła wielkiej ulgi ludności żydowskiej w austrjackiej okupacji.

Z Fleischerem zeszedł do grobu jeden z nielicznych już dziś reprezentantów liberalizmu i asymilacji minionej Austrji.

Estera Rubinsztein.

W Meranie zmarła po długiej chorobie działaczka sjonistyczna i żona senatora i rabina wileńskiego, Estera Rubinsztein. Już w domu ojca, rabina Flensberga, poznała Estera literaturę biblijną i rabiniczną, poznała język hebrajski i znakomicie nim władała. W Wilnie należała do centralnej Rady organizacji sjonistycznej, do zarządu gminy żydowskiej i do bardzo wielu towarzystw społecznych i dobroczynnych, a dom jej był ogniskiem ruchu narodowego w ziemi wileńskiej.

Chaim Castil,

naczelny rabin w Atenach, w Grecji, zmarł tamże d. 30 czerwca b. r.

Samuel Horowitz.

We Lwowie zmarł na początku listopada b. r. w 84 roku życia długoletni prezes gminy żydowskiej, prezes Izby handlowo-przemysłowej, radny miasta, twórca i fundator wielu dobroczynnych i społecznych instytucyj, Samuel Horowitz. Potomek słynnej rodziny, która wydała wielu rabinów i seniorów kahalnych, był Horowitz przez długie lata przewodnikiem duchowym, oraz reprezentantem Żydów lwowskich, a także i galicyjskich w szerszem słowa znaczeniu. Wszystko co miało związek z życiem żydowskiem w tym kraju, opierało się o tego męża, wybory do sejmu, parlamentu, rady miejskiej, gminy żyd., nominacje rabinów, nauczycieli religji itp. przechodziły najpierw przez jego gabinet, zanim się stały „wolą ogółu żydowskiego". Toteż, gdy pod koniec ubiegłego wieku podrosła młodzież narodowo-żydowska i postanowiła chwycić rząd dusz w swe dłonie, spotkała się z silną wolą Horowitza, którą trudno było przełamać. Zapasy toczyły się rok rocznie a najjaskrawszym ich wyrazem były wybory do parlamentu austrjackiego w r. 1908, w których sjoniści zawarli sojusz z socjalistami i wspólnie przeciwko niemu wybrali Hermana Diamanda. Ta porażka Horowitza, nadzwyczaj dlań bolesna, zagnała go do obozu assymilacji, z którą bardzo mało miał cech wspólnych i odtąd zaognił się jeszcze bardziej stosunek między nim a obozem narodowym. Z wybuchem wojny, znużony wiekiem usunął się Horowitz z życia publicznego i zdala przypatrywał się zmianie stosunków w ulicy żydowskiej.

Czy na nie się godził? Trudno rozstrzygnąć; tyle wiadomo, że skłonił się bardziej na prawo, złożył pewien fundusz na założenie ortodoksyjnego Seminarjum rabinicznego we Lwowie i w numerze jubileuszowym sjonistycznej „Chwili" umieścił artykuł bardzo znamienny.

Z Horowitzem schodzi do grobu patrycjusz żydowski, jeden z tych, którzy przeszli całą szkołę ewolucji od ultraordoksji, po przez liberalizm i asymilację z powrotem do żydostwa. Ta droga kosztowała ich życie, życie pełne pracy i trudów, lecz także pełne zaszczytów i odznaczeń.

PROBLEM ASYMILACJI.

Przed kilku tygodniami zmarł w cichem swem ustroniu w hrabstwie Kent jeden z najznakomitszych współczesnych pisarzy angielskich — Joseph Conrad. Któż na szerokim świecie z pośród wielbiceli jego sztuki wiedział, że Joseph Conrad to — Konrad Korzeniowski? Któż — z wyjątkiem zawodowych krytyków literackich — wiedział, że ów wielki piewca tajemnic i potęgi morza—żywiołu wyspiarskiej Anglji, ów mistrz niezrównany angielskiego słowa—synem jest dalekiej Polski, polskich równin i lasów, polskiej tragicznej niedoli porozbiorowej, bohaterskich walk polskich o sen-miraż cudowny—niepodległość?..

Siedmnastoletni chłopczyna, syn poety, patryoty i powstańca, Apolla Korzeniowskiego, opuszcza po śmierci ojca kraj rodzinny i rusza w świat, za morze. Przez długie lata żyje na okręcie, który staje się dlań drugą ojczyzną. Jest majtkiem, marynarzem, oficerem okrętowym. Potem, już jako człowiek dojrzały, górne i chmurne lata młodości dawno poza sobą mający, osiada w Anglji, odkrywa w sobie talent pisarski i rozpoczyna tworzyć w języku — chciałoby się prawie powiedzieć: oczywiście — angielskim.

Wszelkie głębsze nici wewnętrzne z Polską zerwane Joseph Conrad jest pisarzem i twórcą angielskim. Za żonę ma Angielkę, a synów wychowuje — znowu ciśnie się niemal pod pióro słowo: naturalnie—na Anglików.

Po kilku dziesiątkach lat nieobecności przybywa Joseph Conrad z rodziną w r. 1914, parę tygodni przed wybuchem wojny, w odwiedziny do Polski — pierwszej swej ojczyzny — i nocną porą staje w Krakowie — w mieście, w którem przez ostatnich przed wyjazdem kilkanaście miesięcy z chorym swoim ojcem przebywał.

Zaraz po przyjeździe, wprost z hotelu, idzie z synem na Rynek. Kościół Marjacki, Sukiennice - wszystko tonie w głębokiej ciszy i poświacie miesięcznej. Conrad opisuje ów spacer nocny po Rynku krakowskim—po tym Rynku, który dla każdego Polaka jest niemal relikwią i świętością — przed oczyma jego

staje przesmutny a podniosły obraz pogrzebu ojcowskiego, który był dla Krakowa wielką manifestacją patrjotyczną—atoli czytelnik czuje dobrze, iż Conrad wspomina jeno przeszłość, a duszą swoją przebywa już od dawna na innej płaszczyźnie.

Po paru dniach zachodzi z synem do Bibljoteki Jagiellońskiej. Kustosz Bibljoteki pokazuje mu spory zwitek listów jego ojca, zesłańca sybirskiego Apolla Korzeniowskiego, w których jest wciąż mowa o nim, jako o „małym Konradku". Stefan Żeromski opisuje w „Wiadomościach Literackich" scenę tę w następujących słowach: „Były to listy pisane między r. 1860 — 1863 do pewnego bliskiego przyjaciela, w którego papierach się znalazły. Joseph Conrad wybrał się do Bibljoteki w towarzystwie swego starszego syna, o którym mówi: „The attention of that young Englishman was mainly attracted by some relics of Copernicus in a glass case" (Uwaga tego młodego Anglika była wyłącznie pochłonięta przez kilka relikwji po Koperniku, znajdujących się w szklanej gablotce). O sobie zaś mówi: „I saw the bundle of letters" (Ja patrzałem na zwitek listów)... Tak to — kończy Żeromki — trzymając w ręku zwitek listów ojcowskich, ostatniego posłania tamtego koła, syna swojego mianował Anglikiem..."

„Tamto koło" — to polskość, Polska, Ojczyzna rozdarta, krwawiąca, walcząca, której ostatniem doń posłaniem był ów „bundle of lettres", ów zwitek pożółkłych listów, puścizna bezcenna, strzęp kochającego serca, świadek bohaterskiej a tragicznej walki — dla Josepha Conrada tylko „the bundle of letters", na który syn jego już nawet nie zwraca uwagi, gdyż bardziej — rozumie się — interesują go „some relics of Copernicus"...

*

Dlaczego na tem miejscu wspomniany o Conradzie-Korzeniowskim? Czy los jego ma coś wspólnego z losem żydostwa?

Conrad-Korzeniowski jest typowym, wprost klasycznym przykładem asymilacji. O jej istocie może nam fenomen Conrada więcej powiedzieć, aniżeli dziesiątki uczonych rozpraw i teoretycznych dociekań.

Przedewszystkiem: asymilacja jako taka nie jest żadnym programem politycznym, żadnym światowym aktem zdrady narodowej, lecz pewnem zjawiskiem życia społecznego, które winno być traktowane z tą samą objektywnością, z jaką traktujemy inne objawy w życiu społeczeństw. Młodziutki Konrad Korzeniowski poszedł w świat, gdzie zetknął się z kulturą angielską Naprzeciw siebie stanęły dwa kręgi duchowo-kulturne: z jednej strony, polskość 17-letniego młodzieńca, opuszczona i sama na siebie zdana, odcięta od krynicy żywej, atmosfery polskiej, z drugiej zaś — tętniąca wokół niego wszystkiemi fibrami życia i rozwoju kultura angielska. Polskość chłopczyny skapitulowała, poprostu: zagasła w sobie, zamarła. Zdrada narodowa? Przenigdy! Mocniejsza fala życia pochłonęła słabszą. Nie powiadamy bynajmniej: silnejsza kultura pochłonęła słabszą—lecz silniejsza fala życia. W grę zupełnie nie wchodzi wysokość lub poziom kultury, stopień cywilizacji czy też czynniki pokrewne. Jedynie i wyłącznie chodzi tu tylko o czyste objawy faktów społecznych jako takich.

A następnie: asymilacja — jak widzimy — nie jest bynajmniej zjawiskiem specyficznie żydowskiem. Gdzie stykają się z sobą sfery dwóch kultur, działa — przy zaistnieniu odpowiednich warunków — asymilacja. Warunki te mogą być najrozmaitsze. Składa się na nie cały bogaty splot interesów społecznych, gospodarczych, kulturalnych, towarzyskich, osobistych itd. Na pograniczu—dajmy na to—Czech i Polski odpada regularnie pewna liczba Polaków i Polek na rzecz kultury względnie narodowości czeskiej, a z drugiej strony pewna liczba Czechów i Czeszek na rzecz polskości. Gdyby kolonja polska w Ameryce nie stała ciągle pod wpływem propagandy polskiej (prasa, kościół, szkoła, teatr itp.), to uległaby niewątpliwie w najkrótszym czasie zupełnej amerykanizacji w kulturalnem tego słowa znaczeniu. Wnuk emigranta polskiego nie rozumiałby z pewnością ani słowa po polsku. Asymilacji ulegli w ten sposób koloniści niemieccy w Polsce, o ile tu i ówdzie luteranizm nie stanowi ostoi odrębności kulturalno-narodowej. We wszystkich tych i tym podobnych wypadkach nie rozstrzyga wyższość względnie niższość danej kultury wobec kultury otoczenia, czy też kultury sąsiedz-

kiej, lecz tylko życie, nagie i żywiołowe życie, ze swemi żelaznemi prawami.

Czemże tedy różni się asymilacja u Żydów od wszelkiej innej asymilacji?

Socjolgicznie rzecz biorąc, polega anomalja żydowska jedynie tylko na tem, że podczas gdy wszystkie inne narody mają peryferje, gdzie stykają się z innymi narodami (a więc i z innemi kulturami narodowemi), mniej więcej ściśle geograficznie ograniczone, to my Żydzi, rozproszeni po całym świecie, mamy tych peryferyj takie mnóstwo, iż właściwie nic innego nie mamy, jak tylko same „peryferje", t. zn. wszędzie żyjemy na „pograniczach", wszędzie jesteśmy znikomą mniejszością. Polak— wracając do poprzedniego przykładu - tylko w Cieszynie styka się z kulturą czeską, w Krakowie zaś lub Warszawie jest u siebie w domu—my natomiast wszędzie stykamy się z jakąś obcą nam kulturą. Nie mówimy: wyższą albo niższą, ale - inną, obcą. Jako dowód na to, że asymilacja niema nic wspólnego z wartością i stopniem kultury, niechaj służy fakt, że osadnicy polscy na kresach, o ile pozbawieni są polskiej szkoły i polskiego księdza, ulegają asymilacji ukraińskiej, choć kultura polska stoi przecież od ukraińskiej chyba znacznie wyżej.

A jednak żaden rozumny Polak nie biada z tego powodu, iż minimalna ilość Polaków ulega asymilacji czeskiej czy ukraińskiej czy też niemieckiej, ponieważ chodzi o cyfry zgoła minimalne i ponieważ ubytek kosztem asymilacji kompenzuje się nabytkiem z tegoż samego tytułu. I dlatego właśnie asymilacja nie jest problemem dla społeczeństwa polskiego ani też dla żadnego innego społeczeństwa, żyjącego w normalnych warunkach, na swej własnej glebie.

Tylko u nas jest asymilacja jednym z głównych problemów naszego życia zbiorowego. Po uwagach powyższych stanie się jasnem — dlaczego. Nie dlatego, że nasza kultura narodowa stoi niżej od kultur naszego otoczenia, nie dlatego, że Żydzi są bardziej skłonni do asymilacji aniżeli nie-Żydzi, ale poprostu dlatego, że wszędzie jesteśmy drobną mniejszością i że u nas każda poza ghettem żyjąca jednostka styka się z obcą kulturą, podczas gdy u innych narodów stykają się obcą

kulturą, jedynie tylko jednostki żyjące na kresach i jednostki emigrujące z ojczyzny.

Walka z asymilacją—pojęcie to w społeczeństwach normalnie żyjących nie istnieje. W społeczeństwie natomiast żydowskiem asymilacja jest problemem ciągle aktualnym, a więc i walka z asymilacją musi, rzecz jasna, zaprzątać umysły tych wszystkich żywiołów, którym na utrzymaniu żydostwa—z jakichkolwiek powodów — zależy. Walka z asymilacją, nie znaczy to zaś walka z jakimś programem politycznym. Asymilacja żydowska, jako program i jako partja, należy do przeszłości i wogóle nas nie interesuje. Walka z asymilacją w żydostwie—to walka z czynnikami odśrodkowemi i narodowo destrukcyjnemi w naszem życiu zbiorowem. Walka, w znacznym stopniu, tragiczna, bo samo życie tworzy owe czynniki odśrodkowe i destrukcyjne. Walka, którą prowadzić można li tylko na gruncie pozytywnym i twórczym — przez stworzenie silnego centrum w Palestynie i stałe wzmacnianie wartości i instytucyj kulturalnych w krajach zamieszkania żydowskiego, — a nie przez zwalczanie czego-lub kogokolwiek.

Wówczas dopiero znajdziemy się może kiedyś w tem szczęśliwem położeniu, iż wobec jednostki żydowskiej, która opuściła nasze szeregi i u obcych zdobyła światową wielkość i sławę, potrafimy zachować się z taką równowagą i wyrozumiałością oraz z tą pełnią samowiedzy i poczucia własnej godności i wartości, z jaką świat intellektualny polski zachował się wobec—Josepha Conrada. *)

Dr. *Wilhelm Berkelhammer.*

---

*) Por. też art. mój pt. „Asymilacja u nas i zagranicą" w miesięczniku „Tel Awiw", maj 1921.

H. D. NOMBERG.

(Z powodu 25-lecia jego pracy literackiej). *)

H. D. Nomberg poświęcił swój talent pisarski badaniu żydowskiej cyganerji inteligenckiej. Na tle życia tego specyficznego typu ludzi osnuta jest większa i najbardziej charakterystyczna część jego nowel („Fligelman", „Gra w miłość"' „Kursistka", Listy", „W domu chasydskim", „W mieszkaniu wspólnem", „Milcz, siostro!", „Śród gór").

Jedynie w szkicach, stanowiących pierwiosnki jego pracy, Nomberg kreśli środowisko żydostwa patrjarchalnego, mało zróżniczkowanego. Ale i tam twórcę pociągają najbardziej tematy, związane z życiem umysłowem Żydów. Nadto szkice te są mało oryginalne, mgliste i mozajkowe, tak pod względem planu jak i budowy. Jest w nich nastrój, miejscami nawet przejawia się w nich liryzm („Elul"), powstrzmywany i ochładzany przez refleksję, ale niema w nich wspólnej i zespalającej idei, niema prawie kompozycji.

Czuje się, że charakterystyczny dla dzieł późniejszych autora, dla jego starannych szkiców takt artystyczny jeszcze nie dojrzał i nie wzmocnił się i że autor nie może się jeszcze uwolnić od drobiazgowości i epizodyczności.

Coprawda i w tych dziełach daje się już zauważyć węch analityka i tak rzadka w literaturze żydowskiej plastyczność i ścisłość przedstawiania, — jednakże dzieła te ze środowiska starego, patrjarchalnego, są mało charakterystyczne dla oblicza pisarskiego N o m b e r g a. Nie ukazują się jeszcze w nich cechy podstawowe jego twórczości: zwątpienie, refleksja, analiza, dla których niema miejsca w tych dziełach, gdyż obraz pokolenia umierającego lub zmarłego może wystąpić z należną jaskrawością tylko poprzez przejrzystą mgłę łatwowiernego romantyzmu, skłonnego do uogólnień. Jałowe tu są jasność i trzeźwość realizmu, bezpłodną jest analiza. Zadaniem artysty nie jest anatomizowanie trupa, lecz jego wskrzeszenie, przy-

*) Z powodów technicznych nie mógł być ten artykuł umieszczony w poprzednim numerze.

wrócenie do życia. Natomiast talent Nomberga celuje właśnie w anatomizowaniu.

Znamiennem jest, że nawet dzieci u Nomberga („Między ojcem a matką", „Elul") są obdarzone rozsądliwością i skłonnością do analizy. Nawet w opowiadaniach dla młodzieży i w bajkach (po hebrajsku) nie znajdziesz świeżej naiwności, lecz jest łagodność znużonej duszy, tudzież wykwintny, lecz chłodny liryzm rozumu. Dlatego też w dziełach Nomberga bohaterem głównym omal nie jedynym jest „inteligent" (w cudzysłowie), melancholik bez domu i bez woli, o twarzy rozoranej zmarszczkami, obciążony „dojrzałem", t. j. ostygłem sercem.

Zgodnie z taką cechą swego talentu, Nomberg daje nam rozległą galerję typów żydowskich: eksternów, nauczycieli, studentek. Bohaterowie jego są w gruncie rzeczy rozmaitemi odmianami jednego typu ludzi zbytecznych o spustoszonej duszy i z atrofowaną wolą. Nie znają oni ani miłości, ani nienawiści. Ludzie ci błądzą po świecie — samotni i bezsilni. Poznajemy ich w szkicu p. n. „We wspólnem mieszkaniu". Obaj byli ubodzy, porzuceni, samotni i oderwani od wielkiego świata. Ich znajomi byli tak samo ubodzy, porzuceni i samotni, jak oni. Ale jeżeli prawdą jest, że człowiek samotny jest najsilniejszy, to prawdą jest i to, że samotny jest najsłabszy, gdyż słabe są jego stosunki ze światem. Samotność inteligenta, malowanego przez Nomberga to samotność najsłabszego. I dlatego ona jest bezpłodna. Oderwani są nadto ci bohaterowie nietylko od świata ogólnego, lecz nie mają także świata własnego, „zgubili drogę do siebie". Rozmyślają nad sobą, jak o czemś, położonem po za niemi, jak nad czemś rodzimem, pokrewnem, ale postradanem. A to rozdwojenie duszy przeżywają oni nie jako chorobę, lecz jako stan normalny. Rozdwojenie to ich istota i synteza.

Analiza, ściślej mówiąc, samoanaliza — w tem mieści się cała treść duchowa inteligentów przedstawianych przez Nomberga. Coprawda Fligelman (w szkicu tej nazwy) jak i Bender („Listy", „Gra w miłość") jak i doktór Weinstein („Kursistka") i inni posługuja się częstokroć filozofją budyjską indyferentyzmu, obojętności nie względem siebie lecz względem otaczającego świata, z którego szydzą, ale jestto tylko sposób ukrywania swej obojętności i ironji wobec siebie.

Bender, jeden z najbardziej typowych przedstawicieli cyganerji nombergowskiej, otrzymał od Racheli, bliskiej mu duszą panienki, list pełen wyznań. Ucieszył się tedy i wzruszył. Wiecznie siebie pokonywujący Bender znienacka pokonał kogo innego. Przez dwa lata tęsknił i wzdychał do niej, wzdycha i teraz, ale jako prawdziwy bohater Nomberga nie ufa swej tęsknocie jak i innym uczuciom, nie wierzy w nie, i im bardziej o nich myśli, tem bardziej wątpliwe i mgliste stają się dla niego i tem boleśniej trapi go niepewność. Nie wie, co ma jej odpowiedzieć. Pisze jeden list, potem drugi, ale nie wie, który ma wysłać i koniec końców zupełnie nie odpisuje. W jednym z tych niewysłanych listów znajduje się taki ustęp: „I powiadam sobie: trudno mi żyć, bo jestem mądry, bo patrzę na wszystko otwartemi oczyma".

Całe nieszczęście tych leaderów tkwi w tem, że są „widzący", że są „mądrzy" t. j. kierują się rozsądkiem. Gutman („W mieszkaniu wspólnem") pyta swego przyjaciela Feinera „Cóżby było, gdyby ludzie pozbawieni byli oczu?" „Wyobraź sobie — marzy on — że nicbyśmy nie widzieli, człowiek nie widziałby drugiego. Byłoby ciemno... Cóż stałoby się, gdybyśmy przypadkowo natrafili na obcą rękę? Z jaką rozkoszą ścisnęlibyśmy ją!"

Fela Feinstein („Milcz siostro!") nie rozstając się nigdy z flakonikiem trucizny, poczuła pewnego razu, że już „nastał czas", że dłużej żyć niepodobna. Zrobiła tedy wszelkie przygotowania, aby się otruć! Odziana w biel, leży na łóżku, ubrana jak na święto i z cichym pogodnym uśmiechem na twarzy oczekuje śmierci jak kochanka, jak wybawcy. „I wtedy pomyślała: jeżeli można tak spokojnie, tak błogo umierać, dlaczego się lękać życia? Czego się śpieszyć? Więc zadecydowała: „nie śpieszyć się". Trucizny nie zużyła, lecz trzymała ją przy sobie, postanowiwszy skorzystać z niej, gdy się okaże potrzeba. A tymczasem — dodaje autor — dalej żyła, lecz „bawiąc śród żywych, uważała się za gościa, za obcą, beztroskliwą, postronną obserwatorkę życia, gdyż stała „u progu śmierci".

„Na progu śmierci" stoją wszyscy bohaterowie Nomberga. Jeżeli w nirwanie, w niebycie może być miejsce dla liryki, wówczas Nomberg może być uważany za **liryka nirwany**.

Nomberg nie opiewa nirwany, ona nie może się stać jego ideałem, gdyż jest jego rzeczywistością. Ale jest to rzeczywistość widmowa, upiorowa, ona przestrasza go swą ciężką nieruchliwością.

Autor chce rozprószyć, przepędzić te „widma", te „czarne cienie", uwolnić się od ich dławiącej próżni, więc czyni wysiłek, by przeciwstawić tym wszystkim „cieniom", tym wszystkim słabym, znużonym, bezżyciowym Szwarcwaldom — świeży, zdrowy, radosny, ruchliwy i dziko-namiętny typ Soni („Śród gór"). Sonia jest wolną naturą, jej szczerość dochodzi niekiedy do cynizmu, jest ona miłośniczką sportu, ruchu, światła i wesela. W „Kursistce" Nomberg kreśli córkę duchownego rosyjskiego, jako „zdrowe, mocno zbudowane stworzenie" ze śmiejącemi się oczyma. Ale wszystkie te próby tworzenia „dla kontrastu" typów zdrowych, świeżych i uśmiechniętych uwydatniają tylko tem dosadniej chorobliwy i melancholijny charakter bohaterów Nomberga.

Nomberg próbował także swych sił na niwie dramaturgji, dając sztukę p. n. „Rodzin", grywaną z wielkiem powodzeniem na wszystkich scenach żydowskich.

Wreszcie Nomberg znany jest, jako świetny publicysta i feljetonista, ale ta strona jego działalności wymaga osobnego studjum.

Wedł. *S. Nigera* streścił *S. H.*

Głos na czasie.

(Przed II zjazdem żydowskiej młodzieży akadem.)

Żydowskiemu ruchowi akademickiemu, którego wzrostu i rozkwitu w latach ostatnich jesteśmy wszyscy naocznymi świadkami, zaczyna ostatnio zagrażać poważne niebezpieczeństwo. Ruch ten, zataczając z dniem każdym coraz szersze kręgi, rozwijąc się potężnie — stał się jednak ostatnio zbyt jednostronnym: całe swe natężenie kieruje on w stronę pracy ekonomicznej — somopomocowej, zostawiając odłogiem wszelkie inne dziedziny — w pierwszym rzędzie *twórczą pracę naukową*. I w tem tkwi groźne niebezpieczeństwo, które może za sobą pociągnąć skutki wprost nieobliczalne.

Przed wojną gdy mówiono o ruchu akademickim, miało się na myśli jedynie organizacje ideowe i naukowe. Praca ekonomiczna w instytucjach studenckich tylko pośledniejszą odegrywała rolę. Raz do roku urządzano koncert lub bal — jego dwutysięczny dochód starczył na pokrycie czesnego kilku najbiedniejszych i na jaką taką pomoc dla kilku innych niezamożnych. Energja ogółu akademickiego koncentrowała się w kołach ideowych lub naukowych. Pierwsze pogłębiały świadomość socjalną, lub narodową studenta, wzmacniając jego związek ze społeczeństwem i rozwijając w nim poczucie konieczności ofiarnej i wytężonej pracy na rzecz tegoż społeczeństwa, drugie z tych kół — naukowe — przyczyniały się do rozwoju twórczych zdolności studenta, umożliwiając mu pogłębienie i opanowanie dziedzin stanowiących przedmiot jego specjalnych zainteresowań. Tu kształciły się umysły, nabierały giętkości, tu powstawały pierwociny naukowe i literackie, tu wreszcie formował się ów nierozerwalny, uczuciowy związek między książką, nauką, myślą i człowiekiem.

Dziś inaczej. W żydowskim ruchu akademickim w cień usunęły się ugrupowania ideowe, *znikły prawie zupełnie koła naukowe*, a ekonomiczne, samopomocowe organizacje zajęły plan pierwszy.

Oczywiście wiele zdziałały i zawiniły tu warunki powojenne. Zdruzgotana czteroletnią rzezią i zanikiem produkcji materjalna kultura świata wołała o ratunek. Z Ameryki przyszła wówczas na szeroką skalę zakrojona idea pomocy społecznej i samopomocy, uosobiona w różnych komitetach, Joint'ach i Relief'ach. Żydowska młodzież akademicka, nie zasilana z nikąd pomocą — nie popierana przez rząd, samorządy

i uczelnie, liczniejsza o wiele niż przed wojną, a wskutek tego zawierająca wielki odsetek słabych ekonomicznie elementów, rekrutujących się z ubogich sfer społeczeństwa — kurczowo się tej idei samopomocy chwyciła. We wszystkich środowiskach uniwersyteckich poczęły powstawać organizacje o celach czysto ekonomicznych. Rozwinęły one energiczną pracę, zdziałały wiele dobrego; nie zliczyć tych — którym studja umożliwiły, niosąc jaką taką pomoc w czasach głodu, chłodu i bezdomności. Dziś, jak się rzekło, doszły one do znacznego rozkwitu. Zespolone w Związek Związków pozostający pod kierownictwem Centr. kom. stanowią siłę, z którą się od pewnego czasu liczy społeczeństwo żyd., a powoli liczyć się zaczynają również inne czynniki.

Lecz obok tych plusów występują również i minusy, o których wspomnieliśmy na wstępie. A minusy te powoli nabierają jaskrawych cech patologicznych, mogących wywołać groźne przesilenie wśród inteligencji żydowskiej. I dlatego odezwać się musi głos, zmierzający ku ich usunięciu.

Ciężar życia akademickiego przeniósł się na teren organizacyi ekonomicznych. Najlepsze jednostki tym organizacjom poświęcają swą pracę, zdolności i energję. Uzyskuje się materjalnie wiele: kuchnie działają, biura pracy dostarczają zarobków, ogniska dachu nad głową — powoli rosną zręby domów akademickich. Lecz jednocześnie wegetują organizacje ideowe — nieliczne, bezczynne, dające tylko słabe znaki życia. Przyczem — jeśli ugrupowania socjalistyczne jeszcze prowadzą pracę oświatową wśród ludu — to ugrupowania narodowe wprost zamarły. Ogólny rozpęd ideowy maleje, następuje wyjałowienie. Poszczególne ugrupowania polityczne prowadzą walkę o władzę na terenie instytucyj samopomocowych—oto i wszystko. Każdym wyborom towarzyszy odpowiednia ilość wieców, zaprawionych odpowiednią ilością demagogji. „Robi" się malutką politykę akademicką, uczy się dyplomacji i ohydnych—dyktowanych aktualnymi interesami — koncesji zasadniczych i programowych. Powstają małe bagienka parlamentarne, w którym grzęzną wszystkie orle wzloty, ikarowe zamierzenia.

Dość powiedzieć że wśród żydowskich sfer akademickich **niema** kół naukowych. Tak, niema ich, znikły, zaginęły. Na terenie warszawskim — wierzyć się wprost nie chce — jedno jedyne istnieje i coś niecoś pracuje: Seminarjum Historji Żydów.

Jest jeszcze seminarjum medyczne, które jednoczy przeważnie starszych lub już doktoryzowanych kolegów. Pozatem nic — nigdzie mowy niema o poważnej pracy naukowej. Tu i owdzie koła naukowe powstawały — lecz wnet zamierały,

tak słaba była inicjatywa i współpraca kolegów. Nie należy też przypuszczać, że kompensuje się to przez udział studentów — Żydów w kołach naukowych, pracujących przy uniwersytecie. W większości tych kół jest przeprowadzony punkt narodowościowy, który uniemożliwia współpracę młodzieży żydowskiej.

Widać więc stąd, że studenci Żydzi nie prowadzą autonomicznej pracy naukowej, że zadowalniają się tem, co oficjalnie daje uczelnia — że nie umieją prowadzić własnych kół naukowych — że więc nie odczuwają wewnętrznych potrzeb, imperatywu kategorycznego, któryby im nakazywał, narzucał konieczność kreowania własnej, twórczej, dobrowolnej pracy naukowej. Fakt to tragiczny, który tem niemniej stwierdzić należy.

Na zakończenie chciałbym poruszyć zagadnienie, w dzisiejszych warunkach niemniej od poprzednich doniosłe. Nikt dziś nie neguje roli sportu — każdy zdaje sobie sprawę jak bardzo przyczynia się on do ogólnej ekspansji energji, jak rozwija wolę, charakter—ogólny rozmach życiowy. I rzecz charakterystyczna: żyd. młodzież akad. w Polsce sportowi się nie poświęca! Istnieje w Warszawie jeden jedyny Z. A. W. F.—nieliczny i osamotniony. 90% młodzieży żyd. akad. nie uprawia sportu, nie dąży więc do doskonałości ciała, nie pragnie poczucia opanowania swej jaźni fizycnej.

Jest to fakt, który wraz z poprzedniemi stwierdza ogólne zahamowanie się rozpędu życiowego naszego społeczeństwa studenckiego. Nie dobraliśmy tu specjalnie czarnych barw—odmalowaliśmy tylko rzeczywistość. Brak nam obecnie owego parcia naprzód, pragnienia doskonałości i wszechstronnego rozwoju, które stanowią o sile witalnej danego środowiska. Ideowe podstawy żydowskiego światopoglądu akadem. znikają; jego tworczość, praca naukowa zanika. Brzuch, ten ojciec wszechrzeczy — jak mówi Nietsche — oplątuje wszystko swemi ohydnemi mackami. Znamy wszyscy tyranję brzucha; bez chleba niema nauki — głosi mądrość starodawna. Nie wolno nam jednak tłumaczyć się warunkami ekonomicznemi, zbyt groźne jest niebezpieczeństwo.

Nie wolno dopuścić, by ludzie o zimnych duszach i umysłach nietwórczych zamieszkiwali nasze domy akademickie, by w skład naszej inteligencji wchodziły jednostki ideowo i intelektualnie nieprzygotowane. Biada bowiem społeczeństwu, kierowanemu przez taką inteligencję.

Idziemy złą drogą, z której należy natychmiast zawrócić. Inicjatywa w tym kierunku należy do II-go ogólnego zjazdu krajowego studentów-Żydów, który 4 I 1925 rozpocznie swe obrady w Warszawie. W s z y s t k i e t u o p i s a n e b o l ą c z k i — a

przedewszystkiem zagadnienie rozpoczęcia szerokiej, na trwałych podstawach opartej, pracy naukowej wśród żyd. młodzieży akad. powinno stanąć na porządtu dziennym Zjazdu. Ci zaś, którzy zjazd przygotowują, winni poruszonym tu sprawom wyznaczyć na zjeździe takie miejsce, jakie się im należy.

Dawid Fajgenberg.

SPRAWY PALESTYŃSKIE.

(Referat przewodniczącego centralnego wydziału Palestyńskiego w Warszawie.

Zaszły w polityce zewnętrzno-palestyńskiej wypadki tak ważne, że dziś jeszcze zupełnie ocena ich doniosłości jest trudna. Do tych wypadków zaliczyć należy przedewszystkiem wydarzenia na półwyspie arabskim, następnie dyskusję na temat mandatu angielskiego nad Palestyną, odbytą na posiedzeniu komisji mandatowej Ligi Narodów, w końcu ustąpienie Macdonalda i wynik wyborów do angielskiej Izby Gmin. Zamieszanie na półwyspie arabskim dochodzi do swego zenitu, a przynajmniej do bardzo ważnego punktu. Król Hussejn zmuszony został do zrzeczenia się emiratu Hedżasu i kalifatu. Jako jego następcę na pierwszą godność wymieniają syna jego najmłodszego, emira Ali — zaś kalifat znowu jest osierocony i to na czas zupełnie oznaczyć się nie dający. Powodem podwójnego upadku niedawno jeszcze bardzo ruchliwego i dumnego emira jest niespodziewanie silny i na Mekkę skoncentrowany atak W a h a b i t ó w, tym razem zwycięski. Czy sama Mekka wraz z Kaabą znajduje się w rękach Wahabitów, nie jest wprawdzie absolutnie stwierdzonem, natomiast zdaje sie nie ulegać wątpliwości, że owładnięcie nią zależy zupełnie od Wahabitów, t. j. że siły Hussejna temu faktowi przeszkodzić nie są w możności.

Z całego zachowania się króla Wahabitów, Abu-Soana, odnosimy wrażenie, że akcja jego naprawdę jest skierowana wyłącznie przeciw aspiracjom popieranej przez Anglię rodziny Hussejna, że więc ma tło wybitnie politycznej walki, nie jest zaś — jak to interpretowała prasa polska—religijnym ruchem arabskich purytanów przeciw oficjalnemu „kościołowi". Bardzo być może, że siedzący w głębi stepów arabskiego półwyspu szczep Wahabitów, który ze wszystkich najmniej miał styczności ze światem zachodnim, zachował najczyściej pierwotny cha-

rakter Islamu, zrodzonego przecież na tych pustych obszarach, możliwem jest, że te dawne czyste pojęcia Mohamedanizmu zostały mu ponownie wszczepione przez ruch fanatyczny, wywołany przed dwustu laty przez jednego z jego szeików, od którego cały szczep wziął później swą nazwę, możliwe nawet, że sprytny następca Wahaba, obecny emir szczepu Abu-Soan, wykorzystał panujący w świecie islamickim zmierzch bogów, wywołany z jednej strony „bezbożnymi" reformami młodoturków, a z drugiej samozwańczą bezceremonjalnością Hussejna w sięganiu po najwyższą godność Islamu, by nadać swej akcji charakter obrony czystości wiary mahometańskiej; w samej rzeczy jednak, wywołany jest obecny ruch Wahabitów temsamem żelaznem prawem ekonomicznej konieczności, które wywołało wszystkie wielkie fale w środkowej Arabji, t. j. dysproporcją między brakiem miejsca w nielicznych stosunkowo oazach centralnej Arabji a naturalnym wzrostem ludności. Od stu lat bije prąd nowej fali arabskich beduinów z wnętrza pustyni ku morzu. Mam wrażenie, że stoimy u progu ruchu masowego, podobnego może do wywołanego przez proroka samego, który pójdzie tymsamym torem, co wtedy, t. j. ku Mecce i Medinie, następnie ku żyznej Mezopotamji, a dopiero w końcu ku Palestynie i Syrji. Już dziś krążą w prasie palestyńskiej pogłoski o marszu Wahabitów na królestwo Fajzula, na Bagdad, wyśnioną stolicę wszystkich głodnych i spragnionych ziemi szczepów arabskich. W tych pogłoskach więcej mieści się prawdy historycznej i fatalizmu dziejowego niż w całkiem realnym dywersyjnym napadzie Wahabitów na Transjordanję, t. j. na królestwo Emira Abdalli, odbitym przez wojska angielskie w ciągu dwunastu godzin.

Realnym i pierwszym skutkiem tego normalnego ruchu nomadów środkowej Arabji było złamanie kalifatu Hussejna. Śmierć wykazuje prawdę, powiada stare żydowskie przysłowie. Dopiero w chwili upadku okazało się, że kalifat ten naprawdę nie miał żadnych realnych podstaw. Nie był ugruntowany z woli mahometan świata całego, ponadto raził swym prostactwem ambicję Egiptu, najbogatszego i najinteligentniejszego kraju arabskiego, rządzonego przez prawdziwego i uznanego powszechnie króla Fauda I i znanego z walki o pełną niezależność ministra jego, Zaglula Paszę. Nakoniec nie odpowiadał życzeniom około dwustu miljonów indyjskich wiernych, którzy w mocno zabarwionym narodowym szowinizmem pokątnym i bezsilnym kalifacie arabskim nie widzieli żadnej rekompensaty za fakt — o którym nie śniło się prorokowi — że 200 miljonów wiernych znajdzie się pod panowaniem nieislamickiego monarchy, że się pod tym panowaniem tak dobrze czuć będą, iż staną się jego

podporą. Ta potęga liczby i majątku chce mieć wpływ na kalifat, chce blaskiem jego podnieść swą własną godność.

Przed kilku miesiącami zwiedziła delegacja indyjskich mahometan Mekkę, Egipt, Syrję i Palestynę. Według wiadomości, podanych przez prasę palestyńską, nagabywano ją o oświadczenie się za kalifatem Hussejna. Delegacja nie uczyniła tego, natomiast w sposób ostrożny i oględny a bardzo stanowczy, oświadczyła, że wybór kalifa nie musi opierać się na mieczu i władzy faktycznej, ale może oprzeć się na wyraźnym wyborze, dokonanym na kongresie panislamickim. Kongres panislamicki, to znaczy niemożliwość uznania Hussejna, nawet gdyby go Wahabici nie byli przegnali. Zawiodła również nadzieja mocy Anglji, która w należytej chwili zorjentowała się co do rzeczywistej wartości swego pupila i wydała go na pastwę wrogów.

Trzymano go, jak długo był potrzebny, jako argument arabski do wyzwolenia Arabji z pod władzy tureckiej i jak długo spodziewano się po nim sprężystości, wystarczającej do zjednoczenia całej albo większej części Arabji pod władzą Anglji. Ale sam Hussejn podciął gałęż, na której się trzymał, przez swoją niebywałą pychę i zarozumiałość, przez swój brak zrozumienia ostatecznych celów politycznych swego protektora. Rzecz byłaby poszła zupełnie innym torem, gdyby był podpisał umowę z Anglją, normującą jej wpływ na rządy i swoje wobec niej prawa i gdyby, wiedziony zachłannością, nie był się koniecznie upierał przy włączeniu do traktatu arabsko-angielskiego klauzuli, zapewniającej mu panowanie także nad Palestyną. Takie pretensje może mieć zwycięski kalif, nie zaś żyjący wyłącznie z pomocy angielskiej szeik. Toteż obecnie zupełnie staje się zrozumiałem ogłoszenie angielskiej neutralności w wewnętrznych arabskich walkach.

W jaki sposób odbiją się te sprawy na żydowskiej polityce palestyńskiej? Dziś obracamy się wyłącznie w sferze przypuszczeń, wśród których nie brak i opinji, że zwycięstwo Wahabitów odbije się niekorzystnie na żydowskiej Palestynie, albowiem Wahabici, jako jedyni fanatyczni wyznawcy Mahometa są zaciekłymi wrogami Anglji i wszelkich niemahometan. W jednej z relacji, przesłanych do „Najer Hajnt" przez jego stałego referenta politycznego, bawiącego obecnie w Genewie, zapowiedziano nawet autentyczne wyjaśnienie, dlaczego Wahabici są dla nas groźniejsi od króla Hussejna i to na podstawie poufnej informacji, otrzymanej od osobistości muzułmańskiej, doskonale obznajmionej ze stosunkami. Nie mogę się na to zapatrywanie zgodzić. Byłoby ono słusznem, gdyby równocześnie stwierdzono, że Anglja popiera Wahabitów i chce z ich króla zrobić drugiego Husseina.

Do tego jest jeszcze bardzo daleko. Na razie znajduje się Abu-Soan w stadjum dorabiania się i z natury rzeczy operować musi hasłami niesympatycznemi dla Anglji. Hasła te mogą uledz zmianie dopiero po pobiciu Fejzula mesopotamskiego, którego Anglja bronić się zobowiązała już z uwagi na bliskość naftowego Mossuho, t. j. po zwycięskiej wojnie Wahabitów z Anglją. Do tego jest jeszcze dalej. Odnośnie do Palestyny, względnie Transjordanji dano mu nawet z angielskiej strony poglądową naukę o nienaruszalności sfery, którą Anlja już uważa za swoją. Niebezpieczeństwo, jakieby dla żydowskiej Palestyny mogło wyniknąć ze strony dziś może nieżyczliwych Wahabitów jest bardzo nierealne. Natomiast zupełnie realnemi są korzyści wynikłe z upadku Hussejna. Przedewszystkiem naoczne przekonanie się decydujących czynników angielskiej polityki na bliskim Wschodzie o bezwartowości kombinacji politycznych z Arabami i illuzoryczność zobowiązań wzajemnych wobec Hessejna, które stały może w niejednej sprzeczności z deklaracją Balfoura. Stało się dla każdego odrazu jasnem, że zostająca pod władzą Żyda i pod żydowskim wpływem Palestyna jest jedyną ostoją ładu i bezpieczeństwa i że tam dokonuje się dzieło cywilizacji i pracy, przynoszące korzyść wszystkim jej mieszkańcom bez różnicy wyznania i narodowości. Przekonanie to odbiło się przedewszystkiem na zachowaniu się władz palestyńskich wobec Emira Transjordanji Abdali. Przedewszystkiem rozciągnięto nad nim kontrolę finansową, zmuszając go do zatrzymania znienawidzonego przezeń ministra Achmeda Rizy Paszy, oddanego ciałem i duszą Anglji. Następnie oddano sprawy kulturalne, jak np. departament zabytków starożytności wprost urzędnikom palestyńskim, nakoniec pozwolono sobie — nie używając wcale wojsk jego wysokości, do których mało się ma zaufania — obronić jego tron przez dwa tanki i kilka aeroplanów, by zademonstrować, z czyjej łaski emir panuje. To też arabska prasa palestyńska i pozapalestyńska pełna jest niezadowolenia z tych faktów i już dziś przewiduje — niestety nieco przedwcześnie — zupełnie upadek Abdali.

Równocześnie z temi wydarzeniami odbyła się w Genewie w komisji mandatowej wstępna dyskusja nad sprawozdaniem rządu angielskiego o dotychczasowym stanie mandatu nad Palestyną. Nie sądzę, że dyskusja ta stoi w jakimkolwiek przyczynowym związku z wzmiankowanemi wydarzeniami, ale sama ich równoczesność jest dla nas korzystna, albowiem w Genewie stwierdzono jeszcze raz w sposób zupełnie niedwuznaczny, że jedynym celem, dla którego dano Anglji mandat nad Palestyną, jest zbudowanie tam żydowskiej siedziby narodowej. Ze wzrostem znaczenia Ligi Narodów wogóle wzrosła wartość

poszczególnych jej komisji. I tak otrzymała komisja kontrolująca nakaz zbadania w jaki sposób pojedyńcze państwa wykonują udzielone sobie mandaty nad dawnemi kolonjami niemieckimi i częściami dawnego cesarstwa tureckiego, ma ona prawo powoływania na swoje posiedzenia wysokich urzędników tych państw, rządzącyh w odnośnych krajach, poddanych mandatom i otrzymywania od nich wprost wszelkich wyjaśnień.

Sprawa mandatu palestyńskiego poraz pierwszy znalazła się na porządku dziennym komisji we wrześniu b. r. Odbyła się dyskusja „zasadnicza", mająca na celu stwierdzenie wogóle, czy Anglja wykonuje swój mandat ku zadowoleniu wszystkich interesowanych. Dyskusję szczegółową, nad tem, czy poszczególne akty rządowe nie są sprzeczne z celem mandatu i czy zmierzają skutecznie do jego urzeczywistnienia, wyznaczono na koniec października b. r. Wrześniowa dyskusja „ogólna" stała na bardzo niskim poziomie. Dla wszystkich, którzy czytali pobieżne zresztą sprawozdania z tego posiedzenia, stało się jasną rzeczą, że najbardziej miarodajne sfery Ligi Narodów mało wiedzą o Żydach i o Palestynie i że ze strony naszej oficjalnej dyplomacji zlekceważono w sposób karygodny wprost dokładne informowanie Ligi Narodów o całej sprawie palestyńskiej. Przewodniczący komisji, Włoch, stawił reprezentantowi Anglji, dawnemu sekretarzowi dla kolonji, Ormsby Gore, pytania zadziwiające w swej naiwności. Przewodniczącego interesowało tylko to, że „kościół żydowski" nie został pozyskany dla sprawy przez rząd angielski, że do Palestyny nie idą Żydzi pobożni, a tylko raczej „ateiści" i że nie wszystkie „sekty" żydowskie zgadzają się na żydowską Palestynę. Kto go w tak nadzwyczajny sposób poinformował, jest odrazu jasnem i bardzo ciekawe rzuca światło na krecią robotę „Agudy".

* * *

W wyznaczonym terminie, w dniach 28, 29 i 30 października 1924 odbyło się sześć posiedzeń komisji mandatowej i na nich zdał relację z prac angielskich w Palestynie wysoki komisarz, Herbert Samuel. Odbyła się też na tych posiedzeniach dyskusja szczegółowa, z której wydano obszerne sprawozdanie do Ligi Narodów. Okładając relację z posiedzeń do następnego numeru „Nowego Życia", zaznaczam jeno, że już na wstępie do swego sprawozdania podkreśliła komisja zadanie mandatarjusza.

Wedle podstawowej zasady art. 22 tego traktatu—czytamy tamże—jest najwyższym obowiązkiem mandatarjusza zapewnić rozwój terytorjum mandatowego przez administrację, odpowiadającą interesom ludności. Pozatem jest w postanowieniach dekla-

racji z 2 listopada 1917 roku wskazana mandatarjuszowi w Palestynie „utworzenie żydowskiej siedziby narodowej, przyczem zaznacza się, że nie stanie się nic, coby obywatelskie i religijne prawa nieżydowskiej społeczności w Palestynie prawa polityczne Żydów w innych krajach ograniczyło".

Dr. *F. Korngrün.*

Marrani.

Nie o rozdział historyczny tu chodzi, lecz o rzeczywistość, która się do nas odezwała wielkim głosem. Oto rabin jerozolimski, Kuk, otrzymał list z Lizbony od pewnej grupy marranów, w którym go uwiadamiają, że „nastał czas ich wybawienia, chcą wrócić do żydostwa i wziąć udział w odbudowie Ziemi Świętej". Rabin Kuk bawił wówczas w Ameryce, więc też list posłano za nim, a równocześnie uwiadomiono o tem dziwnem zdarzeniu prasę.

Marrani chcą wrócić do żydostwa!

Pamiętają jeszcze o swej wierze i swym narodzie i czekają z bawienia.

„Chrzest naszych przodków, piszą w obszernym liście, był tylko pozornym i wywołanym został przez okropności inkwizycji i autodafe. W głębi naszych serc nawet my, ich potomkowie zachowaliśmy miłość i wierność dla narodu żydowskiego. Związki małżeńskie zawieramy wyłącznie pomiędzy sobą, a chociaż chrzczą nas dziećmi w kościele katolickim, chociaż zawieramy związki małżeńskie i grzebiemy zmarłych według obrządku katolickiego, jednak czujemy się teraz bardziej niż kiedykolwiek Żydami. W ciągu stuleci, kiedy pod naciskiem klerykalizmu, odcięci byli śmy od wszelkich stosunków z Żydami, stały się dla nas obce zasady nauki żydowskie. Według pewnych faz księżyca wiemy kiedy przypada „J o m H a k i p u r i m", który obchodzimy żarliwie według starych, znanych nam tradycyj. Boli nas, że nie rozumiemy hebrajskich słów tych przykazań.

My, marrani, nigdy nie przestaliśmy mówić i opowiadać naszym dzieciom o powrocie do Jerozolimy i wierzymy w to mocno. Bierzemy najbardziej radosny udział w obecnej pracy naszych braci nad odbudową kraju naszych przodków".

Czytając ten list, nie chce się wierzyć własnym oczom! W roku 1391 podczas pierwszych wielkich pogromów w Hiszpanji przyjęła przymusowy chrzest wielka ilość Żydów, poczem co kilka lat inna grupa gnana krwawym mieczem motłochu i misjonarzy — opuszczała wiarę ojców i zasilała szeregi nowo-

chrzczeńców. Poczęła się gwałtowna asymilacja. Nowochrzczeńcy, wyrwani z żydostwa, umieli się dostosować do nowych warunków życia i rychło zajęli w społeczeństwie hiszpańsko-chrześcijańskiem wysokie placówki. Już w drugiem pokoleniu mamy marranów - ministrów, kanoników, a nawet biskupów, a kupcy marrańscy opanowali cały handel i wielki przemysł w kraju.

I oto powstaje obok kwestji żydowskiej w Hiszpanji kwestja marrańska. Pierwsza i druga mają charakter e k o n o m i c z n y, ludność starochrześcijańska boi się współzawodnictwa ekonomicznego ludności nowo - chrześcijańskiej i na tem tle powstaje i n k w i z y c j a. Wprowadza ją r z ą d celem ścigania n i e p e w n y c h w w i e r z e, a ponieważ wszyscy byli niepewnymi, można ich było wszystkich ścigać, tępić i k o n f i s k o w a ć i c h m a j ą t k i. To ostatnie było koroną inkwizycji i dla niej wynajdowała ona coraz to straszniejsze tortury

W roku 1492 wygnano Żydów z Hiszpanji, lecz pozostawiono tamże marranów, którym udało się zmylić siepaczy inkwizycji. Śladem Hiszpanji poszła Portugalja, która wygnała Żydów w r. 1498, a dla tych którzy jako „chrześcijanie" zostali w kraju, wprowadziła w r. 1531 inkwizycję.

Tak „pracuje" inkwizycja na półwyspie pirenejskim, pracuje uczciwie, wyszukuje swe ofiary i śle je na stos. Lecz mimo swej „pracy" nie może ona wytępić „nasienia żydowskiego" z dusz nowochrześcian, którzy przez długie wieki, w ciemnościach nocy, w podziemiach swych domów zbierają się na nabożeństwa i odprawiają swe święta i swe posty. Jeszcze w r. 1737 spalono w Lizbonie na stosie Antoniego Joze da Silva, jednego z największych poetów portugalskich, oskarżonego o sprzyjanie żydostwu. Takich ofiar było wiele i w drugiej połowie XVIII wieku, choć nie posyłano ich już na stosy, lecz męczono żywcem w lochach inkwizycji.

A jednak! „Posiew żydowski", owa pamięć o swem pochodzeniu, umocniona resztkami żydowskiego rytuału religijnego utrzymała się pod powłoką wiary katolickiej wśród tysięcy rodzin w Hiszpanji i Portugalji i dziś — gdy już niemasz inkwizycji i jej strasznych kaźni męczarnych — pragną one wrócić do żydostwa i wziąć udział w odbudowie Ziemi Ojców.

Martyrologja żydowska niema analogii, lecz tutaj odsłania się jedna z najciekawszych, choć najkrwawszych kart tej że historji, p o d z i e m n e ż y d o s t w o p r z e z c z t e r y w i e k i, golus, jakiego nie zaznali Żydzi w żadnym kraju na świecie.

Dziś zmartwychwstały liczne gminy „żydowskie" w Por-

galji, a jak taka gmina wygląda, podaje w swym opisie w „Jewish Chronicle" znany pisarz żydowski Arjel Bencjon:

Pewnego razu — czytamy tamże — odszukał mnie pewien starszy pan w moim hotelu w Lizbonie i zaproponował mi zwiedzenie małego miasteczka w okolicy. Mieszka tam gmina, która się przyznaje do żydostwa, w istocie jednak jest katolicką, podobnie jak inne gminy w tym kraju. Rzecz zaciekawiła mnie bardzo, i udałem się tamże.

Pierwsze co zauważyłem, było, że mieszkańcy tego miasteczka obchodzą żydowskie święta z całą powagą, lecz jakby się ciągle obawiali inkwizycji, ukrywają się przed okiem świata zewnętrznego, a nadto otaczają rytuał świąteczny tajemnicą mistycyzmu. Już ich dzieci wiedzą, że są pochodzenia żydowskiego, a wiedzą o tem także ich koledzy szkolni, którzy szydzą z nich, wołając za nimi: Żyd, Żydek! Małżeństwa zawierają ci „Żydzi" zazwyczaj tylko między sobą, obchodzą soboty, świecąc w piątki wieczorem małe lampki oliwne, i wstrzymując się od ciężkiej pracy. Obrzezania nie znają wcale. Wiedzą, że nie wolno Żydom jeść świniny, lecz tylko starsi wśród nich w istocie tego mięsa nie spożywają, natomiast nie jedzą ryb i śledzi bez ości, oraz spożywają we wszystkie święta niekiszony chleb (mace). W piątki wieczorem gromadzą się na przemian w innym domu na nabożeństwo, modlą się zaś w języku portugalskim i tylko pewne wyrazy hebrajskie wplatają do swych modlitw.

Post Jom Kipur (Dzień Pojednania) zwie się u nich Świętem królowej Estery, poszczą przez cały dzień i odmawiają modlitwy, przypominające żywo modły żydowskie na tenże dzień przeznaczone. Snać pomięszały się u nich w ciągu wieków post Estery z postem Dnia Pojednania, przyczem należy pamiętać, że z obawy przed inkwizycją nie trzymali od wieków w domu żadnej księgi hebrajskiej, lub nawet hiszpańskiej czy łacińskiej, przypominającej w czemkolwiek żydostwo.

Pesach zwą Festa santa (święte święto) i zagajają je wieczorem sederowym bardzo urozmaiconym, podczas którego każdemu członkowi rodziny przypada inna rola w rytuale. Charakterystycznem jest, że niekiszony chleb (mace) jedzą dopiero trzeciego dnia tegoż święta, podczas gdy przez pierwsze dwa dni zadowalniają się jeno spożywaniem gorzkich ziół.

Tak wygląda zrąb znakomitego niegdyś odłamu żydostwa sefardyjskiego.

M. B.

BIBLIOGRAFJA.

Wśród czasopism.

Monatsschrift für Geschichte und Wissenschaft des Judentums. Redaktor I. Heinemann. Zeszyt 7—9, lipiec—wrzesień 1924 (rocznik 68).

Lewkowicz Albert: Moritz Lazarus (w stuletnią rocznicę urodzin); Guttmmann M.: Nowe przedstawienie prawa talmudycznego (Omówienie nowego dzieła Gulaka), Jakób B.: Bóg i Faraon, Goldberger Izydor: Pojęcie uczonego (Talmid Chacham), Gelber N. M.: Masowe chrzty w Polsce w XVIII wieku, Porges N.: Notatki z podróży do Konstantynopola w 1553—5, recenzje, bibliografja i t. p.

Hacofeh Lchochmath Izrael הצופה לחכמת ישראל Rok VIII Nr. 3 (Redaktor Prof. Blau). Budapeszt.

Lewi: Komentarz Józefa Bchor Schorra do księgi Leviticus, Goldberger J.: Do dziejów Żydów na Węgrzech, Duszinski: Księga wspominania zmarłych (Sefer Mazkir Nszamoth), Szper L.: Notatki z hist. Żydów w Polsce.

Blätter für Demographie, Statistik und Wirtschaftskunde der Juden. בלעטער פאר אידישע דעמאגראפיע, סטאטיסטיק און עקאנאמיק Berlin rok II zeszyt IV (red. Leszczyński, Bruckus i Segal).

Leszczyński: Zagadnienia przyrostu naturalnego wśród ludności żydowskiej, Segal: Wystąpienia z judaizmu i przyjmowanie wiary żydowskiej we Wiedniu, Bruckus: Rolnictwo żydowskie w Rosji. Menes: Stosunki gospodarcze Żydów w starożytności, Hanauer: Naturalny ruch wśród ludności żydowskiej we Frankfurcie n/M. Bienstok i Nowosielski: Przyczyny śmierci u Żydów w Piotrogradzie, Koralnik: Żydzi na Ukrainie, Lipowski: Stan gospodarstwa rolnego wśród Żydów w Polsce, Kronika.

Zeitschrift für die alttestamentalische Wissenschaft und Kunde des nachbiblischen Judentums. Red. Hugo Gressman. Nowa serja, tom I, zeszyt 1—2.

Gressman: Zadanie badań Starego Zakonu, Stärk: Krytyka literatury Starego Zakonu, Hempel: Przypowieści o Bogu u izr. proroków, Cooke: Ezechiel 40—48, Fullerton: Wnioski o księdze

Joba, Elhorst: Święta wedle Deutoronomium, Canney: Pieśń Boża, Böhl: Tudalja I, żyjący współcześnie z Abrahamem, Bruston: Napisy na kolumnach w świątyni Salomona, Guestav: Teksty syryjskie, Uwagi, Bibliografia.

Der Jude, eine Monatschrift, Jüdischer Verlag, Berlin (Redaktor Marcin Buber).

Zeszyt 5 — 6 (maj — czerwiec 1924).

Thieberger: Próba nowego uzasadnienia nacjonalizmu, Bellinson: Kryzys w sjonizmie a Bund, Maurüber: U komunistów w En Charod, Kohn H.: Bernard Lazare i proces Dreyfussa, Strauss Leo: Analiza krytyki biblijnej Spinozy przez Hermana Kohena, Loew: Żydzi w sztuce współczesnej, Töplitz: Muzea żydowskie, Buber: O śmierci sprawiedliwych, Uwagi, Kronika literacka i t. p.

Zeszyt 7 (lipiec 1924).

Schuman Wolfgang: Wina i zadanie Żydów i Niemców, Tartakower Arje: Do dziejów socjalizmu żydowskiego, Maurüber: Jeruzalem, Chaszin: Berdyczewski, Simon Ernest: Cześć starości u Żydów, Uwagi, Nekrologja, Kronika.

Zeszyt 8 (sierpień 1924).

Rosenzweig: Budowniczowie (List do Marcina Bubera), Preuss: Ruch komunistyczny w Erec Izrael i sjonizm proletarjacki, Tartakower: Historja żydowskiego socjalizmu (c. d.), Pellach: Wrażenia z Chuldy, Max Brod: „Z powodu grzechów naszych" (Ustęp z powieści: Dawid Rubeni). Uwagi, notatki i t. p.

Zeszyt 9 (wrzesień 1924)

Glenn: Anglja, Arabistan i Erec Izrael, Holdheim: Czy rozwiązanie kryzysu sjonistycznego? Schechter: Kobieta w świątyni i synagodze, Müller Ernest. O słowie i znaczeniu Dzieła stworzenia w Biblji, Kafka Franciszek: Aforyzmy, Uwagi, notatki, krytyka.

Zeszyt 10 (październik 1924)

Michel: Niemcy a Żydzi, Bialik. Wiedza żydowska w obcych językach, Yahuda. Znaczenie biblioteki Goldziehera dla przyszłego Uniwersytetu w Jerozolimie, Rosenzweig. Powrót; Hymn Jehudy Halewejego, Uwagi, Recenzja, Bibliografja.

Menorah. Illustrierte Monatschrift für die Jüdische Familie. Wien — Frankfurt. Redaktor Natan Birnbaum.

Zeszyt 8 — 9 (sierpień wrzesień 1924)

Od niedawna jest Menorah organem Agudy i dlatego przynosi artykuły treści religijnej. W niniejszym numerze podaje Birnbaum

swe teologiczne uwagi na temat ostatnich rozdziałów tygodniowych z pięcioksięgu. Weiss pisze o wolności prawa mojżeszowego. Glatzer drukuje porównania i legendy. Sturman wyjmki ze swych tłumaczeń biblijnych i t. p. Z literatury popularnej i naukowej oraz literatury pięknej znajdujemy w tym zeszycie pracę: Karlebacha o biblijnych postaciach Michała Anioła (z licznemi reprodukcjami), Meiselsa Samuela o Lassalu, Hildy Otenheimer o malarzu Fechenbachu we Florencji, nowele i ułamki z powieści Schnitzlera; Blumenthala i t. p. i t. p. Liczne, bardzo dobrze wykonane ilustracje zdobią ten numer.

Zeszyt 10 (październik 1924)

Amiel: Raz do roku. Birnbaum Prorok: Legendy Żoheru (w przekładzie Müllera). Rosenzweig: Z Hymnów Jehudy Halewjego. Weil Herman: Z grafiki Jakóba Steinhardta (z licznemi reprodukcjami). Rosenheim: Źródła estetyki. Blumenthal: Gilgul (powieść). Bibliografja. Wiadomości z Palestyny i t.p. i t.p.

Das Zelt, eine jüdische illustrierte Monatschrift. Rok I zeszyt 6 (czerwiec). Redaktorzy: Eugen Höflich i Józef Hahn.

Mocno spóźniony ukazał się zeszyt niniejszy tego tak pięknego czasopisma i zawiera następujące prace: Felber: Arnold Shönber. Spektor: Dwie beczki wina. Fiszman: Wieczór w Ghecie w Tunisie. M. J. ben Gawriel (Höflich): Z pieśni miłosnych Ismaela ben Neszer. Andre Beaunom: Mark Chagall (z licznemi reprodukcjami). Bloch Ze świata chasydów. Asis Domet: Trumpeldor (dramat), Messinger Studnie z motywami żydowskiemi w Bernie szwajcarskiem. Kraus Prof. Hexagram i Hackenkreuz w synagodze. Recenzje, notatki i t. p. Wydanie staranne i wytworne.

Hasziloach, השלח Miesięcznik pod redakcją J. Klausnera, Jerozolima. Tom 42, zeszyt 6 (252), Elul 1924.

Zeligman: Kabala. Kleinman: Z niedalekiej przeszłości. Reisen: Lord Byron. Simon: Wojna czy pokój? Schwartz: Sprawozdanie z działalności rządu palestyńskiego. Poezje Szenejura, Chananela, powieści Chefuga, Kamchiego, Bibliografja i krytyka.

Jewrejskaja Starina. Tom XI, Leningrad 1924.

Po siedmioletniej przerwie i wyjeździe Dubnowa do Niemiec, ukonstytuował się ponownie komitet redakcyjny kwartalnika, poświęconego historji Żydów w Polsce i Rosji pod przewodnictwem Sternberga i w składzie: Kleinmana, Łozińskiego, Margolina i Cinberga i wydał odrazu rocznik za rok bieżący. Z tomu tego (około 400 stron) dowiadujemy

się, że w sowieckiej Rosji życie naukowe żydowskie poczyna powoli się ożywiać, że żydowskie towarzystwo historyczno-etnograficzne odbywa już swe naukowe posiedzenia i że w Muzeum azjatyckiem pracują liczni uczeni i że nadchodzą tamże książki naukowe z całej Europy.

Z pośród prac w tymże tomie Stariny zawartych wyliczamy najważniejsze:

Steinberg: Problemat żydowskiej psychologji narodowej Struwe: Z historji pobytu Izraela w Egipcie, Łoziński: Ekonomiczna rola Żydów w wiekach średnich, Cinberg: Abraham z Krymu i Mojżesz z Kijowa, Kleinman: Żydzi podczas pierwszego polskiego bezkrólewia, Kuliszer: Żydzi w pruskim przemyśle włókienniczym w XVIII wieku, Szulman B. Ewolucja lewiratu u dawnych Żydów Szternberg: B. Rola ochrony majątku przy lewiracie, Lurje: Streszczenie i umówienie dzieła Justera: Żydzi w państwie rzymskiem (2 tomy 1914), Samuiłowicz: O Chazarach, Sosis: Odblask bytu społeczno-ekonomicznego Żydów w średniowieczu w odnośnej literaturze, Kleinman: Karaicki proces rytualny w XVII wieku, Goldsztein: Marcin i Radziwiłł, ordynat kiecki, pan na Nieswieżu i Ołyce, Buchbinder: Z historji sekt wśród ruskich Żydów, Wiszniewski Do antropologji Żydów w Rosji, Szarogrodzka F.: O spadku po Anskim, Kleinman: Car Iwan Groźny w komedji purimowej, Lurje: Rodzina Lurie w rzymskim Egipcie, Lurje Epigrafika i Egiptologja, Bogoras Tan.: Żydzi w Abysynji, Bibliografja, Krytyka, a pod koniec dokumenty do dziejów sejmu żydowskiego na Litwie, niestety nie w oryginale lecz w rosyjskiem tłumaczeniu Snać nie pozwala władza sowiecka drukować tekstów hebrajskich, ileże w całym tomie ani jednego słowa hebrajskiego nie znaleźliśmy.

Dos Kind דאס קינד, צייטשריפט, געווידמעט די פראגן פון קינדער-שוץ און ערציונג: **Dziecko, czasopismo, poświęcone opiece nad dzieckiem i wychowaniu, pod red. D-ra M. Pekera.**

Zeszyt 7, (lipiec 1924).

Od opieki nad sierotami do pomocy dzieciom — Dr. M. Peker, Błędy w wychowaniu dzieci — Dr. J. i T. Jaroszyńscy, Słuch i wymowa — Dr. Nina Krakowska, Dziecko nerwowe — Dr. N. Zylberlast-Zandowa, „Złe i dobre" cechy u dzieci — I. Rubin, Cudowne niemowlę — Prof. Dr. M. Michałowicz, Dziecko żydowskie — Szalom Asz, O odżywianiu niemowląt podczas lata — Dr. Gromski, Wskazówki praktyczne dla dzieci, rodziców i wychowawców, Wolna trybuna: a) system wychowawczy w naszych internatach — B. Szechner, b) Omyłka — T. Berman, Kronika zagraniczna, krajowa i wewnętrzna.

Zeszyt 8—9, (sierpień-wrzesień 1924).

Zjazd Wszechśw. Org. Pomocy Żydów i nasze zadania — Dr. M. Peker, Błędy w wychowaniu dziecka (rozdział 5 i 6) — Dr. T. i J.

Jaroszyńscy, O czem powinna wiedzieć matka, karmiąca dziecko z flaszki, Sen — Dr. J. Korczak Zabawka dziecka — O. Rozenblum, Zabawy dziecięce — Dr. P. Muszkatblatt, Wychowanie dzieci — Prof. Dr. Czerny, Niektóre uwagi pedagogiki lekarskiej — Dr. A. Klęsk, Nie psujmy dzieci — Dr. A Klęsk, Cudowne niemowlę — Prof. Dr. M Michałowicz, Dziecko nerwowe — Dr. Zylberlast-Zandowa, „Złe i dobre" cechy u dzieci (b. strach) — J. Rubin, Z praktyki pedagogiczne a) W jaki sposób rozwinąć słuch do śpiewu u dzieci pozbawionych tego — J. M., b) O rozwoju u dzieci poczucia miłości do prawdy i poszanowania cudzej własności — Nauczycielka, Ankieta, Porady praktyczne dla dzieci, rodziców oraz bogata kronika zagraniczna i krajowa, Komunikaty i ogłoszenia.

Hatkufa התקפה Kwartalnik poświęcony nauce i literaturze hebrajskiej pod redakcją Jakóba Kahana i F. Lachowera, wydawnictwo Sztybla. Tom 22 (1924 tom II), stron 516.

Zawiera mnóstwo cennego materjału literackiego i naukowego, jakoto: Początek dramatu Jakóba Kahana: Salomo i córka Salomona, opowiadania i powieści Agnona, Chazaza, Eliszeby, Steinmana, (Brat i siostra) Raw-Achy, (Na górach Dzolanu) Wolfowskiego i Rabinowicza, tłómaczenia z dzieł Kolridza i Teokrikritesa (Syrakuzy i święto Adonisa, tłóm. Czernichowski), artykuły naukowe: Neumarka (O filozofjo Kanta), Kaminki, Herszberga (O imionach własnych o dawnych czasach) Horodeckiego (O rodzinie Horowitz i o studjum etyki), Zeligmana i t. p. Poezje: Szohama, Arona Zeitlina, Katztenelensohna, i Bat Mirjam, Jakóba Natanaeli, Schlangermauera, Barasza Pod koniec tomu nader ciekawe przeglądy literatury, recenzje, nekrologi i t. p. Tomowi temu poświęcimy obszerną recenzję w jednym z następnych numerów „Nowego Życia".

Der Farband דער פארבאנד Miesięcznik, organ federacji polskich Żydów w Ameryce. Newjork. Zeszyt V i VI.

Nowy Zew. Dwutygodnik młodzieży żydowskiej. Warszawa № 2—3 (Bezpartyjny).

Walka: Miesięcznik socjalistyczny. Kraków, listopad 1924. Rok I Nr. 4. (Organ żyd. młodzieży socjalistycznej).

Hejd Hanoar הד הנער Warszawa, listopad Nr. 5. (Pismo młodzieży, poświęcone literaturze i językowi hebrajskiemu).

Ben Kochab בן כוכב Warszawa (Red. Luboszycki). Rok I Nr. 1. Pisemko ilustrowane dla dzieci.

Głos Prawa, wychodzi dwa razy na miesiąc. Redaktor, Anzelm, Lutwak. Lwów Nr. 1.

RECENZJE.

Dr. M. S. Lurje (Hamatchil): „Герцлизм а трудовой сіонизм" („Herzlizm a sjonizm mas pracujących"), stron. 132. Wydawnictwo „Hitachdut" Berlin 1924.

Dr. Lurje, jeden z przywódców „Ceirei-Sjonistów" (Hitachdut) w Rosji, obecnie zamieszkały w Berlinie, jest jedną z ofiar regime'u sowieckiego. Za swą działalność sjonistyczną został skazany przez władzę sowiecką na karę więzienia, którą odbywał w więzieniu kijowskiem (1922 r.), a następnie w obozie koncentracyjnym (1923 r.), poczem w 1924 r. wysiedlony został pozą granice Rosji i osiadł w Berlinie. Broszurę swoją zaczął pisać w więzieniu a ukończył w obozie koncentracyjnym, przy wysiedlaniu zaś „przeszmuglował" ją zagranicę.

Jak już sam tytuł broszury wskazuje, autor zmierzał do wykazania związku między ideologją Herzla a ideologją „Hitachdutu", jako partji, reprezentującej sjonistyczne masy pracujące. Sam autor wyraźnie zresztą we wstępie do broszury wywodzi: „uważam za rzecz konieczną i celową zwrócić uwagę sjonistów wogóle, a zwłaszcza członków „Hitachdutu" na socjalne momenty światopoglądu Herzla".

Dr. Lurje analizuje bardzo szczegółowo owe momenty socjalne, wyławiając je starannie z wszystkich prac, listów i przemówień Herzla, przyczem wykazuje niezwykłą znajomość całej działalności twórcy współczesnego ruchu sjonistycznego.

W rezultacie swych dociekań autor przychodzi do konkluzji, że ideologja „Hitachdutu" wywodzi się bezpośrednio i w prostej linji od poglądów Herzla. Jednakże metoda, jaką autor wybrał, nie jest dostatecznie przekonywująca. Dr. Lurje mianowicie ograniczył się do skomentowania szeregu poszczególnych zdań z dzieł i przemówień Herzla i do ich wzajemnego zestawienia, natomiast nie dał nam, niestety, żadnego systematycznego i syntetycznego ujęcia kwestji. Zresztą sam autor zdawał sobie sprawę z tej okoliczności, gdyż, jak twierdzi, nie mógł opracować tematu należycie z powodu specyficznych warunków, w jakich pracował (więzienie) i dlatego też musiał swej pracy zakreślić dość ciasne granice. Ale autor przyrzeka nam wrócić do tematu i opracować go w sposób bardziej gruntowny i głęboki.

Mimo wąskie swe ramy i kazuistyczny wykład, broszura dra Lurje powinna zwrócić na siebie uwagę, jako ciekawy przyczynek do poznania twórczości Herzla, niestety zbyt jeszcze słabo znanej w społeczeństwie żydowskiem.

Kilka słów o brakteatach piastowskich z hebrajskiemi napisami. Z powodu rozprawy Prof. Dr. Grodeckiego p. t. „Mincerze w wcześniejszem średniowieczu polskiem" (Rozprawy hist. filozof. Akademji Umiejętności T. LXIII. R. 1921 Kraków).

Pierwszym dowodem historycznym, stwierdzającym pobyt Żydów w Polsce, są brakteaty piastowskie z hebrajskiemi napisami, pochodzące z drugiej połowy XII w.

Na monetach księcia Mieszka III. Starego (1173 — 1177) znajdujemy hebrajskie napisy, które można podzielić na czysto hebrajskie (słowa hebrajskie, wyrażone hebrajskiemi literami) i polsko-hebrajskie (słowa polskie wyrażone hebr. literami). Na podstawie tych napisów historycy tak żydowscy, jak i nieżydowscy, dochodzili zawsze do słusznego wniosku, że w dobie Mieszka III. naczelnymi mincerzami (magistri monetae) byli Żydzi. Przeciw temu poglądowi wystąpił Prof. Grodecki w wyżej cytowanej rozprawce.

Według Prof. Grodeckiego napisy hebrajskie na brakteatach polskich wskazują wyłącznie na żydowskie pochodzenie personelu menniczego, zajętego przy wybijaniu monet, a nie naczelnych mincerzy. Dowody jednak, na których Prof. Grodecki opiera swe twierdzenie, są pozbawione wszelkich podstaw. Przedewszystkiem Prof. Grodecki pomija w zupełności napisy czysto-hebrajskie, które były mu napewno znane, skoro zajmował się kwestją menniczą. Powołuje się natomiast na napisy polskie w hebrajskich literach (n. p. Mieszko król Polski — משקא קרל פלסק) i na ich podstawie twierdzi, że naczelny mincerz (m a g i s t e r m o n e t a e) nie był Żydem, skoro dyktował żydowskim robotnikom polskie napisy, które były przez nich wybijane na monetach hebrajskiemi literami. Z takiego jednak rozumowania wcale nie wynika, by naczelnym mincerzem nie mógł być Żyd. Przecież i żydowski naczelny mincerz mógł dyktować robotnikom po polsku.

O ile chodzi o napisy czysto hebrajske, o których wogóle nie ma wzmianki w rozprawce Prof. Grodeckiego, jak wyżej już zaznaczyłem, to nie ulega żadnej wątpliwości, że te napisy mogły i musiały być dyktowane tylko przez mincerzy — Żydów.

Imiona, jak Abraham, Benjamin, Józef i t. p., spotykane na monetach w hebrajskich literach, a odnoszące się do naczelnych mincerzy, nie muszą koniecznie według Prof. Grodeckiego oznaczać żydowskich imion, ponieważ takie imiona spotyka się często w wielu rodach rycerskich. Jakkolwiek twierdzenie to jest zupełnie prawdziwe, to jednak nie wyklucza ono faktu, że imiona te właśnie są imionami żydowskiemi. Przypuszczenie to popiera okoliczność, że przy niektórych imionach znajdują się bliższe określenia (n. p. רבי אברהם ב"ר יצחק נגיד Rabi Abraham bar Icchak Nagid), które chyba nie mogą odnosić się do imion chrześcijańskich.

Powyższe wywody wystarczają do obalenia poglądu prof. Grodeckiego o nieistnieniu żydowskich naczelnych mincerzy w dobie Mieszka III.

H. K.

A b r a h a m s I. Prof. Żydzi w średniowieczu יידען אין מיטעלאלטער **Przełożył na język żydowski A. Z. Kohn. Nakładem „Central" Warszawa 1923 r., storn 112. Historyczna bibljoteka dla młodzieży.**

Książeczka, napisana oryginalnie po angielsku (o czem nie wspomina ni tłumacz ni wydawca) jest wprost znakomitą, gdyż daje nam doskonały obraz życia rodzinnego, gminnego, materjalnego i kulturalnego Żydów w średniowieczu. Dotąd znaliśmy z tego zakresu jedynie dziełko B e r l i n e r a, niniejsza praca przewyższa tamtą, ileże opiera się na nowszych badaniach i jest napisana z większym polotem. Mamy więc najpierw rzecz o synagodze i jej znaczeniu w średnich wiekach, potem o gminie i jej urządzeniach, o powstaniu i wyglądzie ghetta, o moralności Żydów, o wychowaniu chłopców i dziewcząt, o zawieraniu małżeństw i życiu małżeńskiem, o zwyczajach weselnych, strojach, o teatrze i innych zabawach itp. itp. Szkoda, że nie umieszczono przy końcu książki najważniejszych źródeł z których autor czerpał (nie znam angielskiego wydania i nie wiem czy i tam brak źródeł) a nadto proszą się wprost r y c i n y, których wcale niema w tejże książce. A szkoda, bo ilustracje dałyby o wiele więcej młodzieży niż niejeden wyczerpujący opis!

M. B.

W a c h s t e i n B e r n h a r d Dr.: Zur Bibliographie der Gedächtnis und Trauervorträge in der hebräischen Literatur. מפתח ההספדים הנמצאים והנזכרים בספרי בית אוצר הספרים דקהל וינא. **Wien 1922. Nakładem Biblioteki żyd. gminy we Wiedniu XIV str. 71.**

Autor niniejszej pracy bibliograficznej ma wielkie zasługi w literaturze historycznej żydowskiej jako wydawca epitafiów wiedeńskich (dwa olbrzymie tomy) i ajsenstadzkich (Wiedeń 1922) a nadto całego szeregu mniejszych monografji, które rozświetliły liczne epizody i całe strony w historji żydowskiej. Wszystkie prace tego autora odznaczają się niebywałą skrupulatnością, doskonałem opracowaniem tematu, a przytem systematyką, nieznaną w literaturze naukowej żydowskiej w zakresie epitafiów i wydawnictwa dokumentów. Można bez zastrzeżeń stwierdzić, że pod tym względem stanowią prace Wachsteina wzór i drogowskaz dla późniejszych badaczy i wydawców.

Niniejsza praca — choć rozmiarami niewielka — nie różni się dokładnością od poprzednich, a tematem jej są mowy żałobne, wygłoszone przez rabinów (panegiryki) na śmierć rozmaitych uczonych i seniorów kahalnych. Panegiryki żydowskie różnią się wprawdzie od polskich czy niemieckich tem, że prawie nigdy nie zawierają szczegółów z życia nieboszczyka, lecz są wykładami talmudycznemi, wygłoszonemi na cześć i z okazji śmierci pewnego męża, niemniej można z powodzi cytat wyłowić jeden lub drugi szczegół biograficzny, a nadto stwierdzić rok śmierci, okoliczności jej towarzyszące, znaczenie zmarłego w gminie, a nawet i w szerszym świecie żydowskim.

Autor przejrzał książnicę gminy żydowskiej we Wiedniu (której jest dyrektorem), wynotował ustępy i cytaty dotyczące przedmiotów i dał nam pełną bibliografję, pogłębiającą, względnie uzupełniającą odpowiednie prace Jellineka. Znakomite indeksy niemieckie i hebrajskie, a mianowicie indeksy imion, miejsc geograficznych, zdarzeń, dzieł z których korzystano, ułatwiają szybką orjentację w przedmiocie i stanowią wartościowe uzupełnienie tej bibliografji. Przy gruntowności Wachsteina trudno o uzupełnienie, ale mimo to znalazłem kilka, z których jedno przytoczę: Na str. 59 podaje autor nekrologi, w których nie wspomniano imienia zmarłego, a wśród nich jeden wyjęty z dzieła Jonatana Eibenschütza (קשת יהונתן) dotyczący nienazwanego rabina męczennika z Pawłowicz wraz z ośmiu towarzyszami. Otóż imię tegoż rabina znajdujemy w dziele Bibera, ספר מזכרת לגדולי אוסטרהא str. 249 nr. 206, gdzie się zwie Cwi Hirsz, a całość dotyczy procesu rytualnego w Żytomierzu w r. 1753, który w swoim czasie narobił wiele hałasu i sprowadził biskupowi Kajetanowi Sołtykowi komisję papieską na głowę. Imiona ośmiu towarzyszy obacz: Drukowany list do arcybiskupa lwowskiego Wyżyckiego (Ossolineum—Lwów Nr. 3311); dtto oblata w aktach grodzkich w Poznaniu liber ex 1746—1753 sub 22 września 1753, nadto Vossische Zeitung z r. 1753 Nr. 222, przedrukowane w Oesterreichische Wochenschrift, Wien 1913 Nr. 49.

M. B.

Iwenicki Abraham: Wenn die Wege kreuzen sich וועו די וועגען קרייצען זיך, טאגבוך פון א יודישען קריגס־געפאנגענעם. **Gdy drogi się krzyżują. Dziennik żydowskiego jeńca wojennego. Wilno. Nakład własny 1924, str. 77.**

Posiadamy rozmaite pamiętniki wojenne pisane, przez żydowskich uczestników ostatniej wojny. An-Ski przejechał Polskę jako delegat towarzystwa dobroczynności i opisał całą grozę żydowskiego położenia. Lewin i Leipuner brali w wojnie udział jako lekarze w rosyjskiej armji, Mestel był oficerem armji austrjackiej i z tego kąta widzenia opisał swe wrażenia; słowem każdy z nich miał jakąś czynną rolę i jakiś zakres działania. Nasz sprawozdawca miał rolę bierną, nie

posuwał drugich, lecz bywał suwany, musiał to robić, co mu kazano i ze swego najciaśniejszego zakątka oglądał i opisał „swój" świat. Iwenicki dostał się do austrjackiej niewoli wraz z wielu innymi „moskalami" i przebywał zrazu w obozie jeńców w Kleinmünchen koło Lincu, potem zaś został „posłany" na roboty polne do Kroacji. Tutaj — zamiast robót w polu — pracuje w domu żydowskiego kupca, rąbie drzewo, bawi dzieci i uczy je języka hebrajskiego i historji Żydów. Lecz, choć kochał dzieci, zbrzydła mu „guwernerka" i postarał się o przydział do firmy „Ojciec i syn Groman" we wielkiej kroackiej wsi Wirje, gdzie zrazu jako pracownik, potem zaś jako zarządca firmy doczekał się końca wojny, a zarazem i końca Austrjo-Węgier i powstania państwa S. H. S.

Bystry ma wzrok Iwenicki, wszystko dobrze widzi, co się dokoła niego dzieje, a najbardziej interesują go Żydzi kroaccy, nawpół Niemcy, nawpół Węgrzy, zawsze jednak obcy w kraju, w którym mieszkają od pół wieku. Także i z żydostwa niewiele zachowali, cały dzień oddawają się swym interesom, wieczorami grają w karty w miejscowem kasynie, a tylko na „Nowy rok" i „Sądny dzień" przypominają sobie, że są Żydami.

Tymczasem dojrzewa w Kroacji duch nacjonalizmu a wraz z nim wzmaga się antysemityzm. Zaszczepili go, a raczej obudzili jeńcy rosyjscy, oraz żołnierze kroaccy, którzy wrócili z niewoli rosyjskiej. Kupcy kroaccy bez zdolności, lekarz bez praktyki — wykształcony za żydowskie pieniądze—stają na czele ruchu i oto wraz z powstaniem niezależnej Kroacji poczynają się pogromy Żydów i rugi. Nie pomogły zasługi młodego Gromana około wsi rodzinnej, zapomniano mu jego dobroć w czasach głodu wojennego i wygnano go wraz z innymi Żydami z Wirji, w której się urodził i wychował i dla której zdziałał tyle dobrego.

Pamiętnik Iwenickiego daje nam ciekawy wycinek z dziejów żydowskich, niewielki, ale wyraźny obrazek martyrologji żydowskiej.

M. B.

Max Nordau: „Zionistische Schriften". Jüdischer Verlag, Berlin 1923, wydanie drugie, pomnożone, stron 486.

Mija lat 75 od urodzenia Maxa Nordaua, a 2 lata od jego śmierci. Niezapomniany mówca, wielki myśliciel, twórca „Konwencjonalnych kłamstw ludzkości" i „Paradoksów" nie żyje już, lecz żyją jego fenomenalne prace, które będą czytały przyszłe pokolenia. Lecz tenże myśliciel, który skalpelem swego rozumu rozbijał skały wierzeń przyjętych od lat tysięcy, miał również i swoje pozytywne wierzenia. Wierzył on w renesans narodu żydowskiego na Ziemi ojców, wierzył w sjonizm, którego był jednym z współtwórców i kierowników. Teodor Herzl sprowadził go na drogę tejże wiary polityczno-narodowej i odtąd pracował Nordau wraz z Herzlem nad organizacją ruchu i wcieleniem idei sjonistycznej.

Pisał, mówił, jeździł na kongresy, organizował, polemizował, i t. p. i t. p Z czasem tych mów, artykułów, polemik, krytyk, apologji zebrało się tak wiele, że główny komitet sjonistyczny postanowił je wydać drukiem, by przyszłym pokoleniom dać choćby mały obraz działalności sjonistycznej tego niepospolitego męża. Niestety, nie można było wszystkiego zebrać, Nordau nie pisał wszystkiego, inne przemowy pozostały jeno w notatkach i skrótach. Wydano tedy część i ta część stanowi potężny tom prawie o 500 stronicach. Lecz nie o wymiar materjalny książki tu chodzi, treść jej to wielka skarbnica ducha, z której tryska tyle myśli, że czytelnik jest jakby oszołomiony ich pełnią i ich bystrością.

Każda mowa kongresowa, a było ich kilkanaście, przynosi nowy zasób wiadomości o żydostwie, nowy obraz żydostwa w danym okresie zawsze skierowane nieco w przeszłość i patrzący w przyszłość. Więc przesuwają się przed naszemi oczyma losy Żydów we wszystkich krajach świata, pogromy i bezprawia, walki o prawo i dążenia do równouprawnienia. A obok tych mów mamy w tym zbiorze polemiki autora z wrogami sjonizmu, począwszy na słynnym sporze z rabinem wiedeńskim Güdemannem (Ein Tempelstreit), a skończywszy na ocenie „Historji Izraelitów" Teodora Reinacha.

Nowe wydanie (obecne) jest nieco większe od poprzedniego, ileże znajdujemy w niem autobiografję Nordau'a, króciutko i zwięźle napisaną, oraz piękny choć nieco ciężki wiersz „Ein Nachtrag zu Heinrich Heines „Deutschland ein Wintermärchen", w którym poeta-myśliciel z delikatną ironją maluje wędrówki pomnika Heinego z pracowni rzeźbiarza na Achilejon na wyspie Korfu, a stąd — po śmierci cesarzowej Elżbiety — znów z powrotem do Niemiec na dziedziniec hamburskiego księgarza Kampego.

M. B.

Aptowitzer V. Prof. Dr. „Kain und Abel in der Agada, den Apokryphen, der hellenistischen, christlichen und muhammedanischen Literatur (Veröffentlichungen der Aleksander Kohut Memorial Foundation, Band I. R. Löwit Verlag, Wien und Leipzig 1922 (VII — 184).

Dr. George A. Kohut, New-Jork, oddał do dyspozycji naczelnego rabina we Wiedniu — prof. d-ra Chajesa, większą sumę dla wydawania dzieł naukowych treści judaistycznej.

Jako pierwsza publikacja fundacji została wydana praca prof. Aptowitzera o „Kainie i Ablu". Zamiarem autora jest zestawić wszystkie opowiadania z Agady z opowiadaniami biblijnemi, ugrupować je wedle osób lub zdarzeń, śledzić ich rozwój od powstania do ostatecznych form, badać ich charakter, ojczyznę, losy, pokrewieństwo, rozpowszechnienie, wpływ. Wspomniana praca jest jednym rozdziałem zamierzonego dzieła. Ale już na podstawie tej pracy możemy stwierdzić następujące zasady

w rozwoju i wędrówce opowiadań agadystycznych. Podania Agady są to podania ludowe lub artystyczne. Podania ludowe wpłynęły na egzegezę biblijną, artystyczne zaś są wypływem egzegezy. Tak podania ludowe jak i artystyczne zmieniają swoją formę lub wprost powstawają na tle poglądów różnych epok, one też powodują, że nieraz pewne podania znikają z literatury żydowskiej, by po niejakim czasie znowu wystąpić. Emigracja i powrót rodzimych podań jest stałem zjawiskiem w literaturze agadystycznej. Zawiera ona jednak także wiele podań, zapożyczonych od obcych; autor nazywa to immigracją podań. Stwierdza też autor związek między Agadą i Halachą, ich wzajemny wpływ na siebie, tak, że często Halacha da się wytłumaczyć pewną Agadą i odwrotnie; wreszcie stwierdza autor wpływ żydowskiej Agady na literaturę helenistyczną, zwłaszcza w wielkiej mierze na Filona, na ojców Kościoła, na koran i tradycję mahometańską, oraz na późniejszą literaturę żydowską, zwłaszcza na wschodzie (żyd.-perska i żyd.-arabska literatura).

Z gruntowną znajomością całej literatury zestawia autor wszystkie podania, odnoszące się do Kaina i Abla, do przyczyny ich poróżnienia się, do ofiar przez nich złożonych, oraz do śmierci Abla.

Widzimy, jak fantazja ludowa przedstawiała sobie epokę, w której żyli pierwsi ludzie, a w porównaniu z tymi obrazami jest opowiadanie biblijne, tylko suchym schematem. Ale z drugiej strony widzimy także, jak egzegeza starała się wniknąć w opowiadanie biblijne i szkieletowi biblijnemu dodać mięśnie i krew ożywczą. Przyczem okazuje się jednak, że uczeni kierują się bardziej logiką, niż chęcią odtwarzania minionych epok i nie mogą się wyzwolić z poglądów swoich epok. Zwłaszcza zaznacza się wpływ pojęć halachicznych na egzegezę opowiadań biblijnych, który stara się uzgodnić te opowiadania z każdoczesnem stadjum rozwoju Halachy.

A jeżeli się uwzględni, że opowiadania Agady w naszej literaturze nie są zestawione wedle pewnych wytycznych, lecz pietyzm starał się przedewszystkiem o ile możności przekazać potomności cały zasób Agady, to zrozumiemy znaczenie pracy prof. Aptowitzera, który określa wiek każdego podania i oznacza jego związek z każdoczesnemi poglądami halachicznemi. Przez to niejedna zagadka agadystyczna znajduje swoje rozwiązanie, ale zarazem podziwiamy z jaką skrupulatnością starali się uczeni żydowscy znaleźć odpowiedź na wszystkie pytania, jakie nasuwało zbyt lakoniczne opowiadanie biblijne i stworzyć sobie jasny obraz postaci lub wydarzenia biblijnego — chociaż na podobieństwo swoje. A więc zastanawiają się, czy Kain i Abel byli bliźniętami, czy też Kain był starszym od Abla, a w ostatnim wypadku, jaka różnica wieku zachodziła między nimi. Ogromnie zaciekawia czytelnika, co mogło być wedle Gen IV,8 tematem rozmowy względnie sporu między Kainem a Ablem? Czy zwykła zazdrość Kaina, że ofiara Abla została przyjęta, przyczem nasuwa się pytanie, dlaczego ofiara Kaina nie została przyjęta? Uczeni i lud starają się więc wniknąć w psychologję osób działających

i jedni przedstawiają różnicę charakterów (analogicznie do różnicy charakterów Ezawa i Jakóba), jako źródło nieporozumień inni dopatrują się w sporze o kobietę źródła tragedji (cherchez la femme), przyczem warta jest obserwować, jak prądy różnych czasów wpływają na charakterystykę tych dwóch postaci, oraz osądzanie śmierci Abla.

Tragiczna śmierć Abla budzi sympatję dla niego, ale dawniejsza legenda żydowska rozdziela odpowiednio światła i cienie i przedstawia śmierć Abla, jako wynik walki i zwycięstwo silniejszego a nawet jako następstwo samoobrony Kaina; świat zaś hellenistyczny (Filo, Jozefus) idealizuje Abla i przedstawia jego śmierć, jako mord dokonany przez Kaina, a uczony świat chrześcijański widzi w nim pierwowzór Chrystusa, który został zamordowany przez Kaina — antychrysta. Idealizowanie Abla spotykamy również w świecie mahometańskim i w późniejszej legendzie żydowskiej, gdy już ustała walka w chrześcijaństwem. Zastanawia się również Agada nad tem, przy jakiej okoliczności złożyli Kain i Abel ofiarę. Tu dają się zauważyć dwa kierunki: jedni utrzymują, że to była ofiara dziękczynna, a więc została złożona w święto Szabuot, inni zaś utrzymują, że Kain nie był zdolny do ofiary dziękczynnej, a więc mogła to być ofiara błagalna po zakończeniu zasiewu, czyli, że ofiara została złożona w drugiej połowie miesiąca Kislew, około czasu święta Chanuka. Przytem autor stara się wykazać, że znajdują się w naszej literaturze agadystycznej ślady zapomnianego święta rolniczego, które obchodzono po zakończeniu zasiewów, a które zostało później zastąpione świętem Chanuka. Przypuszczenie to znajduje częściowo swoje potwierdzenie w drugiej księdze Makabeuszów, gdzie (1, 9, 1, 18, 10 6 i 7) jest wzmianka o święcie szałasów, obchodzonem w miesiącu Kislew. Agada pyta się także o przedmiot ofiary, poczem poznał Kain, że ofiara Abla została przyjęta, o miejsce, w którem Abel został zabity, a nawet o narzędzie mordu, a w końcu, w jaki sposób został Abel pochowany, przyczem dają się zauważyć różne tradycje legend, które autor zręcznie zestawia, wykazując historyczny rozwój każdej grupy legend. Co się stało z Kainem, skoro biblja nie wspomina o jego śmierci — pyta się Agada. Jedni utrzymują, że zginął pod gruzami walącego się domu, drudzy, że zginął w falach potopu, objaśniając Gen. IV, 24, że Kain umiera po 7 pokoleniach, a więc w czasie potopu. Najbardziej rozpowszechnioną jest legenda, że Kaina zabił Lemech, przyczem widzimy nowe grupy legend, z których każda — w myśl swego poglądu na winę i karę — inaczej kształtuje opowiadanie biblijne. Autor zdaje sobie sprawę z trudności ujęcia w system takowej Agady, w której bądź co bądź fantazja zajmuje wybitne miejsce, lecz mimoto zapowiada zestawienie podań do wszystkich opowiadań biblijnych, a badacze oczekują z niecierpliwością tej pracy, która — podobnie jak niniejsza rzuci nowe światło na ten oryginalny twór umysłowości żydowskiej.

Em-ter.

Gronnemann Sammy: Tohu Wabohu. Powieść. Wydanie III. Berlin Welt-Verlag 1922, stron 432.

Autor nazwał swą powieść Tohu Wabohu — Chaos — bo w istocie przedstawił nam chaos, w którym trudno się zorjentować. Jak w kinematografie przesuwają się ludzie i sceny, nieraz z zawrotną szybkością, a równocześnie czytamy przedługie djalogi i rozprawy na temat literatury niemieckiej (o Fauście), liturgji żydowskiej, opisy dobrze znanych zwyczajów żydowskich, narzekania i t. p., które akcję wstrzymują i opóźniają jej rozwiązanie.

Akcja rozgrywa się równocześnie w dwóch odległych od siebie ośrodkach, a odległość ta jest nietylko geograficzna ale i kulturalna. Jedna grupa bohaterów żyje w Berlinie a druga w Boryczewie (?) w Rosji, czy w Królestwie. Odpowiednio do tego mamy dwóch bohaterów, z których Josel Schlenker udaje się z Boryczewa do Berlina, a drugi wychrzczony Heinz Lehnsen (przed chrztem Levysohn) jedzie do Boryczewa gdzie poznaje swych krewnych, a zarazem przeżywa emocję dotąd mu nieznaną, bo regularny pogrom zainscenizowany przez tamtejszego gubernatora.

Fabuła powieści jest aż nader skomplikowana. Josel Schlenker, młody talmudysta w Boryczewie poznaje tamże Chanę Weinstein, pannę już nieco postępową, która z nim czyta i interpretuje Fausta. Ojciec Chany, Berl Weinstein, rozumie, że to czytanie winno znaleść swe ujście pod baldachimem ślubnym, więc w odpowiedniej chwili poczyna się starać o posag dla córki. A stara się on w bardzo orginalny sposób! Oto jedzie do Angiji, odszukuje jakiegoś misjonarza, daje mu się przekonać o wyższości wiary chrześcijańskiej, przyjmuje chrzest, pisze nawet jakąś broszurę misyjną i otrzymuje od swych rodziców chrzestnych 800 rubli. Z tą sumą, pomnożoną nadto pieniądzmi, wyżebranemi po drodze u berlińskich Żydów wraca do Boryczewa i wydaje córkę za mąż, poczem jest nadal „nabożnym Żydem" i szanowanym obywatelem. Młodzi Schlenkerowie jadą na studja do Berlina i tutaj przypadkiem poznają Hansa Lehnsena. Ojciec jego, sędzia, przyjął chrzest, by zostać dyrektorem trybunału, a wraz z nim ochrzciła się cała rodzina: żona, syn i córka. Lehnsenowie starają się wszelkiemi sposobami o zatarcie śladów swego żydowskiego pochodzenia, zmieniają towarzystwo, służbę, a nawet gazetę, do której przywykli od dziesiątek lat. Lecz z dawnych czasów pozostał pan dyrektor Lehnsen kuratorem jakiegoś stypendjum, które zostawił jego teść „dla ubogiego i pilnego teologa". Współkuratorami tegoż stypendjum są dwaj berlińscy rabini, którzy z konieczności przychodzą do swego wychrzczonego kolegi i tutaj się, ku swemu przerażeniu, dowiadują, że o to stypendjum ubiega się ubogi teolog protestancki, i że pan dyrektor w imię sprawiedliwości i lojalności bardzo go popiera. Przy tej sposobności poznajemy typowego liberalnego rabina berlinskiej gminy (dr. Magnus) ze wszystkiemi jego niekonsekwencjami i śmiesznościami

a jako antytezę i pendant do niego daje nam autor (na innem miejscu) ortodoksyjnego rabina w Berlinie (dr. Rosenbacher), który prowadzi „fabrykę pobożności“, udziela dyspens sobotnich, aprobuje proszek do golenia brody, jest wynalazcą rzemienia, na którym wolno w sobotę nosić klucz z mieszkania i chustkę do nosa i t. p. i t. p. Doskonałym jest autor w kreśleniu tych śmieszności pobożnisiów berlinskich, lecz jeszcze doskonalszym (aż do przesady) w malowaniu berlińskich przechrztów z ich chórzliwością i uniżonością. Obok Lehnsenów poznajemy całą plejadę adwokatów, którzy cierpią tantalowe męki, ilekroć przy rozprawie sądowej padnie słowo Żyd, lub któryś z sędziów wspomni o długim nosie lub jakimś żydowskim zwyczaju, a także i sfery antisemickie maluje Groneman w jaskrawych, nawet mocno przejaskrawionych kolorach.

Po wielu przejściach dowiaduje się Hans Lehnsen, że jest kuzynem Josia Schlenkera, wprowadza go do salonu swych rodziców, właśnie w chwili, gdy senior hrabiowskiej rodziny bawi tamże, by poznać „ową żydówkę“, z którą się ma ożenić jego bratanek. Rospacz rodziny Lehnsenów, kompromitacja, artykuł w antisemickiej gazecie i cały kłąb epizodów, bardzo ciekawych choć nieraz mocno naciągniętych. Rodzina postanawia na razie wysłać Heinza z Berlina, z obawy by ponownie nie spłatał jakiego figla. Ojciec daje mu pieniądze i wysyła go na zjazd prawników do Petersburga. Po drodze wstępuje Heinz do Boryczewa, gdzie poznaje rodziców i rodzeństwo Josia, a swoich bliskich krewnych i gdzie przeżywa krwawy pogrom, w którym wszyscy Schlenkerzy tracą życie. W pogromie ginie także za swe żydostwo Berl Weinstein, który wielokrotnie — przed wydaniem każdej ze swych córek — przyjmował chrzest w Londynie.

Powieść Gronnemana choć we wielu miejscach pełna przesady czyta się jednak bardzo przyjemnie i jest jedną z lepszych powieści „żydowskich“, które się okazały w ostatnich latach.

M. B.

NOWE ŻYCIE

Rok I. Nr. 6.	MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY NAUCE, LITERATURZE i SZTUCE ŻYDOWSKIEJ	GRUDZIEŃ 1924

Dr. N. M. GELBER

Ksiądz Piattoli
a sprawa żydowska na sejmie Wielkim *)

W pracach Sejmu Czteroletniego nad przeprowadzeniem reform przyjmował wybitny udział Włoch, ksiądz Scypion Piattoli. Piattoli, rodem z Florencji [1], przybył do Polski jako wychowawca dzieci starosty Potockiego, u którego jednak bardzo krótko bawił. Rzuciwszy to stanowisko, pracował przez dłuższy czas nad tłomaczeniem utworów literatury polskiej na język włoski. Później wyjechał jako wychowawca z dziećmi księcia Lubomirskiego do Francji, gdzie był świadkiem pierwszych dni Wielkiej Rewolucji. Tam miał sposobność obserwowania ostatnich wysiłków starego rządu, zmierzających do przeprowadzenia reform państwowych, po wybuchu zaś rewolucji zaznajomił się z programami i hasłami

*) Ustęp z większej pracy historycznej p. n. „Żydzi w Polsce w drugiej połowie XVIII w.", która się ukaże w wydawnictwie „Judaica" w Warszawie.

1) Ur. 10 listopada 1749. O Piattolim i jego stosunku do Polski patrz monografię znanego historyka florenckiego Alessandro d'Ancona: „Scipione Piattoli e la Pologna con un appendice di documenti. W przypisach znajduje się korespondencja Piattolego z królem.

partyj rewolucyjnych. Piattoli zrozumiał, że równouprawnienie stanu trzeciego jest nakazem czasu. Jako gorący zwolennik tych nowych idei powrócił w r. 1790 do Warszawy, gdzie dzięki swemu wszechstronnemu wykształceniu został zaufanym doradcą króla [1]. Jako sekretarz królewski odegrał wielką rolę w przeprowadzeniu reform, zamierzonych przez Sejm Czteroletni. Wspólnie z zasłużonym bojownikiem o prawa dla stanu trzeciego, Kołłątajem, Piattoli brał czynny udział we wszystkich przygotowawczych pracach do Konstytucji 3-go Maja, a pierwsze narady, w których uczestniczył król incognito, odbyły się w jego mieszkaniu [2]. Król powierzał mu również najtajniejsze misje polityczne. Piattoli był nadzwyczaj pracowitym, zachowanie jego cechowała niezwykła uprzejmość i wytworność, a te zalety charakteru ułatwiały mu nadzwyczajnie pozyskiwanie sympatji ludzkiej. Ponieważ pozyskał króla dla sprawy mieszczańskiej, uchodził w oczach konserwatywnej szlachty za tajnego emisarjusza paryskiego klubu Jakobinów [3]. Piattoli posiadał niezwykłe zdolności dyplomatyczne, a jego niestrudzony umysł poddawał mu genjalne pomysły. On to długi czas namawiał króla do zawarcia przymierza polsko-pruskiego w celu uzyskania równowagi w stosunkach z Rosją. W tej sprawie prowadził tajne rokowania z ówczesnym posłem pruskim, Lucchesinim, również Włochem, nie ustępującym mu co do zdolności. Piattolemu, jako wybitnemu znawcy zachodnio-europejskich konstytucyj powierzono opracowanie projektów ustaw do konstytucji polskiej [4].

Piattoli i podknnclerzy koronny, Kołłątaj od czasu przewrotu majowego stali się sławnymi [5] i mieli poważny wpływ na dalsze prace sejmu, dotyczące polityki wewnętrznej i zagranicznej. Jako wielki przyjaciel króla, dążył Piattoli

---

[1] J. U. Niemcewicz: Pamiętnik czasów moich Paryż 1848. str. 147 i nast.

[2] J. U. Niemcewicz: l. c. str. 148.

[3] A. d'Ancona l. c. str. 29.

[4] Dr. B. Dembiński: Le Génie politiqe de Catharine II. Memoire contemporaln de 1793 de Piattoli. Kraków 1912 str. 4.

[5] Archiwum państwowe we Wiedniu: Raport austrjackiego rezydenta w Warszawie E. v. Caché z dnia 28 grudnia 1791 r.

do uwolnienia krola od ogromnego ciężaru, który go przygniatał po ogłoszeniu Konstytucji 3-go Maja [1]), to jest do zlikwidowania jego długów osobistych. Był on zdania, że sejm musi znaleźć środki na pokrycie długów królewskich. Uwolnienie króla od kłopotów pieniężnych uważał nieledwie za cel swego życia: pragnął w ten sposób umożliwić mu wykonywanie szczytnych zadań kierownika nawy państwowej. Już to skłaniało go do zajęcia się sprawą reformy Żydów, aczkolwiek i inne przyczyny grały w tem niemałą rolę. Jako bystry obserwator miał Piattoli w Polsce dość sposobności poznania kwestji żydowskiej. Podczas pobytu we Francji miał sposobność obserwowania wysiłków przedrewolucyjnego rządu francuskiego, zmierzających do rozwiązania sprawy żydowskiej w Alzacji.

Aczkolwiek „lettre patente" Ludwika XVI nie nadawał Żydom pełni praw cywilnych i obywatelskich, jednak różne postanowienia jego, jak możność wykonywania zawodu, uprawiania roli i prowadzenia handlu, stanowiły wielki krok naprzód na drodze do równouprawnienia, które dopiero od Malesherbesa zaczęto traktować poważnie. To wszystko dało Piattolemu przy badaniach nad reformą położenia Żydów w Polsce liczne i cenne wskazówki.

Jeśli dać wiarę słowom Kołłątaja, Piattoli rozpatrywał sprawę reformy Żydów również ze stanowiska historjozoficznego. Był on bowiem zdania, że polskie żydostwo może wejść do środowiska europejskiego tylko po odpowiedniej reformie. „Tą sprawą nikt się do tego czasu nie zajmował rzekomo z tego powodu, że Polska była siedzibą fanatyzmu i przesądów żydowskich i że dlatego wszelkie reformy, gdziekolwiekby nie były podjęte, zostałyby bezskuteczne tak długo, póki

[1]) Według relacji Kołłątaja we fragmencie o Piattolim (Rękopis Krakowskiej Akademji Umiejętności Nr. 224 str. 32). Piattoli twierdził, że Konstytucja 3-go Maja usposobiła wprawdzie króla poważniej, nie związała go jednak ściślej ze stronnictwem patrjotycznem—tak, że z powodu przytłaczających go długów, chętnie przystąpiłby do innej partji, gdyby tylko miał na widoku jakiekolwiek korzyści materjalne, stąd „wywodził on (Piattoli), że sejm winien znaleźć środki dla zlikwidowania długów króla, by on uwolniony z operacji pieniężnych mógł troszczyć się wyłącznie o dobro Ojczyzny."

nie zostanie zreformowane polskie żydostwo [1]). Ten motyw miał szczególnie zachęcić Piattolego do zajęcia się sprawą reformy Żydów. Piattoli zajmował się bardzo chętnie zagadnieniami filozoficznemi i pochlebiało mu bardzo, gdy mógł swej politycznej działalności nadać historjozoficzne zabarwienie. Z tego powodu sprawiało mu wielką przyjemność, że mógł zajmować się rozwiązaniem sprawy żydowskiej nietylko ze względu na konieczność zlikwidowania długów królewskich. Niewątpliwie Piattoli, jako przyjaciel i powiernik króla doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że w żaden sposób nie można żądać od sejmu spłacenia długów królewskich ze skarbu państwa, tembardziej że sejm miał wiele kłopotów z wynalezieniem środków na pokrycie budżetu państwowego.

Nawet stronnictwo patrjotyczne, popierające króla, nie zgodziłoby się na podobne załatwienie sprawy, samo bowiem musiało toczyć zacięte walki, by zdobyć środki na powiększenie armji. Trzeba więc było znaleźć jakiegoś pośrednika, który, nibyto z własnego popędu, podjąłby się zapłacenia długów królewskich. Kołłątaj oświadczył całkiem bez ogródek, że należy usilnie starać się o to, by ktoś przedłożył sejmowi następującą deklarację: „Jestem gotów złożyć potrzebną kwotę na zapłacenie długów króla i przekazać ją skarbowi państwa, lecz wzamian za to proszę o nadanie mi praw i zapewnienie mi bezpieczeństwa i sprawiedliwości" [2]).

Kwestja likwidacji długów była już bardzo głośną, co oczywiście nie sprawiało królowi wielkiej przyjemności. Prosił Piattolego o skłonienie wpływowych osobistości „by obecnie o moich długach absolutnie nic nie mówiono" [3]). Piattoli więc ostrożnie przystąpił do dzieła. Skorzystał z tej sposobności, że w Warszawie bawili wówczas przedstawiciele poszczególnych gmin żydowskich — nawiązał z nimi kontakt i odrazu przystąpił do układów [4]). P i a t t o l i opracował

1) Krakowska Akademja Umiejętności, rękopis Nr. 224 str. 32.
2) Rękopis Nr. 224 str. 33.
3) List króla do Piattolego. Ancona l. c. Przypisy Nr. 48 z dnia 25 czerwca 1791 r. str. 257.
4) Ówczesny rezydent rosyjski w Warszawie, Bułhakow, opowiada w swym dzienniku pod datą 5/16 grudnia 1791, że Żydzi, układający się z Piattolim, wybrali z pośród siebie trzech syndyków i upoważnili ich do zawarcia z nim umowy. Wiadomość ta nie odpowiada jednak rzeczywistości, gdyż z korespondencji Piattolego z królem, dowiadujemy się, że pertraktował on z przedstawicielami poszczególnych dzielnic, a nawet gmin.

projekt reformy Żydów, który złożył królowi do przejrzenia we wrześniu 1791 roku. Król zwrócił mu ten plan z nielicznemi zmianami 16 listopada 1791r. [1]). Piattoli starał się pozyskać dla swych zamierzeń Kołłątaja i w porozumieniu z królem i Linowskim napisał 29 listopada doń list, w którym donosił mu, że nadszedł już czas dla przeprowadzenia reformy Żydów. Opracował już pod kierunkiem króla odpowiedni projekt i prosi o podanie go do wiadomości marszałka sejmu, by mógł przygotować wszystko niezbędne do „zorganizowania dzieci Izraela". Czynem tym ukoronuje marszałek swą działalność, gdyż w razie pomyślnego załatwienia sprawy żydowskiej, wedle powiedzenia króla: „zdziała się coś naprawdę dobrego dla nieszczęśliwego narodu, a skarb Rzeczypospolitej zasili się coroczną daniną"[2]). Królowi szczególnie na tem zależy, by on (Kołłątaj) jaknajgoręcej zajął się sprawą reformy Żydów".

W międzyczasie prowadził Piattoli pertraktacje z przedstawicielami Żydów, których starał się przekonać o szlachetności zamiarów króla w stosunku do reformy Żydów. Starał się też załagodzić spory między przedstawicielami, by skłonić ich do jednomyślnej decyzji. Przedewszystkiem zależało mu na tem, by przedstawiciele poszczególnych dzielnic złożyli jednomyślną deklarację, „że z projektu, który Jego Królewska Mość raczyła im przedstawić, są nadzwyczaj zadowoleni, wobec czego proszą Ojca Ojczyzny o poparcie ich przed stanami, by plan ten stał się prawem" [3]). Nakłaniał on ogólne zebranie przedstawicieli Żydów ze wszystkich dzielnic i Żydów warszawskich do ułożenia tekstu tego jednomyślnego oświadczenia i do podpisania zbiorowej prośby do króla. Delegaci litewscy, których Piattoli uważał za najrozsądniejszych, zwlekali z powzięciem decyzji, pod pozo-

---

[1]) List króla do Piattollego z dn. 16 Listopada 1791 l. c. Nr. 56.

[2]) List Piattolego do Kołłątaja z dn. 29 listopada 1791. Bibljoteka Jagiellońska w Krakowie, rękopis Nr. 5524.

[3]) List Piattolego do króla z dn. 29 grudnia 1791 r. L. c. Nr. 64.

rem, że brak podpisu ra'ina wileńskiego. Rabin wileński zaś nie położył swego podpisu z tego tylko powodu, że książę Radziwiłł zabronił mu cośkolwiek podpisywać. Piattoli prosił tedy króla, by skłonił księcia Radziwiłła do wydania odpowiedniego polecenia rabinowi wileńskiemu [1]) „gdyż chodzi tu o prawdziwe dobro narodu żydowskiego".

Żądał on od Żydów, by wzamian za nadane im prawa zobowiązali się zapłacić długi króla, wynoszące około dwudziestu miljonów. W memorjale opracowanym przez Żydów za radą Piatollego, prosili oni króla o nadanie im w przyszłości prawa nabywania gruntów i domów, o pozwolenie na ustanowienie własnego sądownictwa i na utworzenie odrębnego stanu mieszczańskiego [2]). Powyższe zasady uwzględnił już w znacznej mierze Piattoli w swym projekcie, oficjalnie przyjętym później przez Komisję dla spraw żydowskich.

Piattoli nie ograniczył się do prowadzenia pertraktacji z przedstawicielami Żydów, przeciwnie, starał się pozyskać dla swych planów wpływowych członków Komisji dla spraw żydowskich, jak Butrymowicza, Bernowicza, Badeniego i Linowskiego, co mu się udało i doprowadził nawet do skutku spotkanie Butrymowicza z królem [3]). Chodziło teraz tylko o przyśpieszenie prac Komisji do spraw żydowskich, lecz wielu członków nie brało udziału w posiedzeniach, inni znowu byli chorzy. Przewodniczący, podkanclerzy Garnysz zmarł dnia 6 października 1790—trzeba więc było zreorganizować komisję. Zaproponował więc królowi dokonanie wyboru nowych członków komisji żydowskiej na miejsce nieobecnych. Prosił go o porozumienie się z marszałkiem sejmu, by „ten pierwszy krok przeprowadzić jaknajszybciej [4]).

---

[1]) Mógł to być rabin Dow Ber Triwes (zm. 1804) autor רביד הזהב lub też Abel Pozwoler, który za życia Triwesa został mianowany rabinem (patrz Finn l. c. str. 200 i Hilel Steinschneider עיר ווילנא str. 19).

[2]) Memorjał ten jest niestety nieznany. O tem, że Żydzi złożyli go królowi dowiadujemy się z listu Piattolego do króla z 29 grudnia 1791 r. O treści tego memorjału pisze Bulhakow w swym dzienniku dn. 9/20 grudnia 1791 r. Kalinka: Ostatnie lata panowania króla S. Poniatowskiego. Przypisy str. 293.

[3]) List P. do króla z dn. 3 Stycznia 1792 r. Nr. 67 str. 269.

[4]) List P. do króla z dn. 3 Stycznia 1792 jak wyżej.

To zainteresowanie się króla i Piattolego sprawą reformy Żydów wywołało w kołach arystokracji sprzeczne sądy. Krewniak króla, biskup krakowski, miał mu za złe, że we wszystkiem słucha „tych Włochów" [1]). Pani Radzińska, w nader bliskich stosunkach z królem zostająca, zainteresowana przeto w likwidacji jego długów, wygłosiła w pewnem kółku towarzyskiem „oszczerczą mowę przeciw projektowi o Żydach, którego wogóle nie znała, przeinaczała go nielitościwie, dodając jeszcze od siebie śmieszne punkty, przyczem uczyniła złośliwą uwagę, że to wszystko czyni się dla Żydów, by zapłacić długi Jego Królewskiej Mości" [2]).

Te sprzeciwy tem więcej gniewały Piattolego, że pochodziły od osób stojących bardzo blisko króla i znających dobrze stan jego finansów.

Niemiłem dlań było wprawdzie rozmawiać często z królem o tych „bzdurstwach", uważał jednak sprawę za znajdującą się na tak dobrej drodze, że o niepowodzeniu nie może być wcale mowy. Pomyślne zakończenie było jego zdaniem zupełnie pewnem, gdyż do przeprowadzenia sprawy potrzebna była tylko zdecydowana postawa króla. Tymczasem Piattoli starał się o omówienie w początkowych konferencjach z Kołłątajem całego projektu reformy Żydów, co mu się w zupełności powiodło. Projekt był również omawiany w Komisji. Dzięki sprytowi Kołłątaja, zręczności Badeniego i dobrej woli [3]) pozostałych członków komisji z łatwością prześlizgnięto się przez różne, nastręczające wiele trudności, artykuły projektu. Szczególną trudność stanowiła sprawa cywilnych sporów Żydów między sobą w pierwszej instancji [4]), wprowadzenia opłat od mięsa jak również przyrzeczenia właścicielom ziemskim wynagrodzenia za utratę pewnych praw, nadużywanych wprawdzie przez nich, z których zniesieniem jednak trzeba było postępować bardzo oględnie.

---

[1]) Dziennik Bułhakowa z dn. 8/20 grudnia str. 293. W rzeczywistości król nic nie czynił bez Piattolego i przyjaciela jego Mazzei ibidem str. 360.

[2]) List P. do króla z dn. 3 stycznia 1792 r.

[3]) List P. do króla z dnia 10 Stycznia 1792 r. Nr. 71 str. 272

[4]) Ibidem.

Konferencje i posiedzenia komisji odbywały się w roku 1792 bardzo często i Piattoli, nie zmieniając zasad swego projektu, czynił ustępstwa, by nie naruszać praw miast i zachować pewne przywileje właścicieli ziemskich. Piattoli uważał, że przyjęcie artykułu o spłaceniu przez Żydów długów królewskich [1]) stanowić będzie urzeczywistnienie politycznej strony projektu. Gdyby Żydzi po tych ustępstwach i układach z miastami i właścicielami ziemskimi, na które się godzili, nie uzyskali całkowitej swobody, to jednak nie byliby narażeni na samowolę. Sądził nawet, że po zawarciu tych układów „Żydzi będą mogli się uważać za zrównanych z innymi wolnymi mieszkańcami" [2]) a ich mienie znajdować się będzie pod opieką prawa. Nawet najradykalniejszy zwolennik reformy Żydów, Jezierski był bardzo zadowolony z takiego załatwienia sprawy. inne natomiast było stanowisko Kołłątaja. Oświadczył on Piattolemu, że „gdyby Jego Królewska Mość przyjął go ze zwykłą mu dobrocią i raczył przyrzec mu cośkolwiek, naprzykład wstęgę orderu przy zamknięciu sejmu, stałby się wówczas jednym z najgorliwszych rzeczników tej sprawy". Piattoli sądził, że plan jego w jaknajkrótszym czasie zostanie zrealizowany — trzeba tylko uzupełnić drogą wyborów listę członków Komisji, by projekt po uchwaleniu w Komisji, mógł być przedłożony na plenum. Dotychczasowe powodzenie należało przedewszystkiem zawdzięczać sprytowi Kołłątaja.

Piattoli, znając dobrze próżność Kołłątaja, prosił króla o wyrażenie mu na piśmie w kilku słowach uznania za jego gorliwą pracę nad reformą Żydów. Zależało mu nadzwyczaj na zjednaniu sobie najwybitniejszych postaci sejmu, podkanclerzego koronnego—szczególnie ze względu na to, że był on ulubieńcem mieszczan. Pragnął Piattoli gorąco uczynić zeń orędownika swego projektu. Chciał on też pozbawić głosu radykalnych zwolenników tej reformy, występujących przeciw jakiemukolwiek opodatkowaniu Żydów, w szczególności zaś Butrymowicza, który nawet domagał się, by wszystkie podatki żydowskie zamienić na kapitulację (jednorazową zapłatę)—.

---

[1]) List P. do króla z dn. 12 stycznia 1792 r. Nr. 72 str 273.

[2]) Ibidem.

Na tę koncepcję zaś Piattoli nie mógł przystać, obawiał się bowiem, że zagrażałoby to sprawie umorzenia długów królewskich. Prosił on króla o wezwanie Kołłątaja na audjencję, popieranie projektu w brzmieniu, ustalonem na wspólnych konferencjach i o niedopuszczenie do żadnych istotnych zmian. Kołłątaj miał być również pośrednikiem, któryby przekonał przedstawicieli miast, nie mających pojęcia o planie Piattolego, „że nowy projekt o Żydach nie ma nic wspólnego z miastami"[1]).

Piattoli pracował gorączkowo nad ostatecznem załatwieniem sprawy—uchwaleniem projektu na plenum. Zwracał uwagę króla na to, że projekt reformy Żydów, w którym „cały naród i Jego Królewska Mość są osobiście zainteresowani" powinien być jaknajszybciej doprowadzony do końca. Byłoby bardzo pożądanem, by król przywołał do siebie radców miasta Warszawy i plenipotentów jeneralnych miast i dał im do zrozumienia, że „powinien złożyć narodowi dowód swych wysokich zalet ducha i patrjotyzmu, przez podjęcie się układów z Żydami i zawarcie rozsądnej umowy, któraby doprowadziła do harmonji między prawami mieszczan a prawami ludzkości i interesem państwa.

Pod naciskiem Piattolego polecił król dnia 21 stycznia 1792 r. uzupełnić skład komisji. Lecz pomimo dokonanego skompletowania Piattoli się obawiał o losy reformy Żydów. Przewidywał, że reforma ta może spełznąć na niczem, o ile nie zostanie jaknajrychlej uchwalona na plenum sejmu. Dążył więc do tego, by projekt za pośrednictwem ruchliwego Kołłątaja [2]), jak również plenipotenta miast Barsa, został o ile możności, najszybciej uchwalony w komisji. Lecz wkrótce doznał przykrego rozczarowania. Po kooptacji nowych członków, zasiedli w Komisji i przedstawiciele miast, którzy zaraz na

[1]) List P. do króla z dn. 16 stycznia 1792 Nr. 72 str. 274.

[2]) Piattoli jednakowoż nie życzył sobie, by obce osoby pertraktowały z Żydami i Kołłątaj, jak się zdaje również prowadził z nimi jakieś układy. Z tego powodu Piattoli prosił Kołłątaja w pewnym liście, by bez porozumienia się z nim nie poczynał niczego z Żydami, gdyż tem przeszkodzi mu tylko w pracy. List P. do Kołłątaja. Bibljoteka Jagiellońska, rękopis Nr. 5524

pierwszem posiedzeniu zażądali odczytania całego projektu, rozpatrzonego już przez poprzednich członków komisji. Spierano się prawie o każde słowo i pewien reprezentant miast mówił o pierwszym artykule projektu, traktującym o religji, jak „najzagorzalszy inkwizytor". Bardzo długa dyskusja wywiązała się również przy omawianiu stanowiska Żydów jako obywateli, zgłaszano niezliczoną ilość poprawek i wniosków, dyktowanych wyłącznie „uprzedzeniem, nienawiścią, jednem słowem, przez dawne idee". Artykuł, dotyczący zajmowania się Żydów szynkarstwem, zredagowany był bardzo przezornie: nie naruszał przywilejów miast i właścicieli ziemskich i pozostawiał im swobodę pozwalania Żydom na wyszynk alkoholu wedle swego upodobania. Gdy jednak debatowano nad tym artykułem, przedstawiciele miast zażądali bezwzględnego zabronienia Żydom wyszynku w miastach. Ten wniosek popierał również gorąco radykalny zwolennik reformy Żydów Jezierski, który nawet domagal się rozszerzenia zakazu szynkowania na całe państwo. Jedynie Linowski i Kołłątaj przemawiali za projektem. Z przebiegu tego posiedzenia Piattoli widział, że reforma Żydów nie będzie przeprowadzona w tak szybkiem tempie, jak to się zdawało.

W liście swym do króla oświadcza wręcz, że zupełnie nie mógł przewidzieć „dokąd doprowadzi większość tych panów (członków komisji) jaskrawy brak logiki i osobisty interes"[1]). Wreszcie udało mu się utworzyć ściślejszy komitet, do którego należeli on, Linowski i Kołłątaj. Komitet ten doszedł do przekonania, że należy najprzód projekt reformy Żydów „ogłosić drukiem w formie u w a g l u b m y ś l i o r e f o r m i e Ż y d ó w w P o l s c e", aby w ten sposób powiadomić opinję publiczną o zadaniach reformy Żydów.

Kołłątaj obiecał mu przedłożyć na piśmie swoje uwagi i ogólny zarys reformy Żydów[2]). Kołłątaj bowiem uważał,

---

[1]) List P. do króla z dn. 23 stycznia Nr. 80 str. 282.

[2]) ibidem.

[3]) Była to zapewne praca Kołłątaja: „O urządzeniu Żydów", która zaginęła, jak przypuszcza biograf jego, Śniadecki. (Jan Śniadecki: Żywot literacki Hugona Kołłątaja. Kraków 1861 str. 55.)

że niema powodu wątpić o przeprowadzeniu tej reformy. „Nie należy tylko działać pośpiesznie, trzeba „przyszykować umysły" i czekać na powrót posłów przychylnie usposobionych względem reform, gdyż w obecnym składzie sejmu byłoby niemożliwem przeprowadzić projekt na plenum". Piattoli zaproponował królowi stosownie do obecnego stanu reformy Żydów, którą większość posłów traktuje „niedbale" postąpić przynajmniej w myśl wniosku posła Bernowicza i rozpocząć likwidację długów kahalnych. Opozycja w komisji, była Piattolemu nie na rękę, uważał się poniekąd za zobowiązanego wobec Żydów, którzy wyrazili obawę że będą musieli opuścić Warszawę nic nie załatwiwszy.

Pomimo chwilowego niepowodzenia, Piattoli nie tracił energji. Preciwnie, bez wytchnienia pracował na tem, by sprawę reformy Żydów uprzeć na należytej podstawie, mianowice na zagwarantowaniu 1.500.000 złp. rocznie na umorzenie długów króla. Spodziewał się bowiem, że powoli przekona członków komisji, a za ich pośrednictwem i wszystkich posłów konieczności przeprowadzenia reformy Żydów, jako sposobu uwolnienia króla od przygniatających go długów.

Już 4 kwietnia 1792 r. pisze on królowi [1]), że jest pewien „odzyskania utraconej równowagi duchowej dopiero 20 lub 23 tego miesiąca, gdy sprawa reformy Żydów zostanie załatwiona i Jego Królewska Mość pozbędzie się kłopotów pieniężnych" [2]). W miesiącach kwietnia i maju komisja energicznie obradowała nad projektem reformy Żydów. Już 16 maja 1792 r.

[1]) List P. do króla z dnia 4 kwietnia 1792 r. Według Bułhakowa (dziennik z dn. 14/25 kwietnia) Piattoli zapewniał króla że reforma Żydów już w przyszłym tygodniu wejdzie pod obrady.

[2]) Właśnie w miesiącu marcu i kwietniu finansowe położenie króla było nad wyraz ciężkie. Poseł pruski Lucchesini pisze o tem: Pour ce qui regarde les juifs la Commission nommée pour songer aux moyens d'adoicir leur sort en Pologne, a proposé un projet par lequel les malheureux servient à la verité soutrais au double esclavage de leurs Rabbins et de leurs Seigneurs, mais on chargeroit d'in impôt, assez considérable, la viande tuée dans leurs boucherie. Une partie de ce que l'on compte pouvoir retirer de ce nouvel impôt, on voudroit l'affectez a l'entretient de l'armée et le reste devoit être employé au payemlut des dettes du Roi-obiet, que devient tous les jours plus pressant et plus considérable (Archiwum państwowe w Berlinie, raport Lucchesiniego z dn. 10 marca 1792 Nr. 20.)

donosi Piattoli królowi, że następnego dnia odbędzie się „ostatnie posiedzenie w sprawie Izraelitów i sen stanie się rzeczywistością"[1]).

Tymczasem na politycznym horyzoncie Polski ukazały się groźne chmury. Śmierć cesarza Leopolda I, wypowiedzenie wojny Polsce przez Katarzynę i wkroczenie stutysięcznej armji rosyjskiej w granice Rzeczypospolitej, jeszcze bardziej przekonały Piattolego o konieczności przyśpieszenia reformy Żydów. Chodziło mu o to, by w krytycznym czasie „miljon bardzo pożytecznych ludzi ściślej związać z państwem"

W międzyczasie wydrukowano projekt reformy Żydów i rozdano posłom [2]). Po pomyślnem załatwieniu sprawy kurlandzkiej, Piattoli spodziewał się, że taki sam obrót przybierze sprawa reformy Żydów. 23 maja wystosował do marszałka sejmu, Małachowskiego, list, w którym wskazywał na opłakane finansowe położenie króla [3]). „Wskutek wojny napewno zachwiany zostanie kredyt królewski, jest przeto w interesie państwa starać się o naprawę finansów Stanisława-Augusta. Zwraca przeto uwagę marszałka na projekt reformy Żydów, zredagowany przez „liczną" komisję do spraw żydowskich.

Przyjęcie tego projektu zapewni państwu i królowi 2.500.000 złotych polskich rocznie. Oprócz tego chodzi tu o rzecz niemałej wagi: o szczęście miljona ludzi.

Wobec tego byłoby pożądanem, aby marszałek sejmu przeczytał ten projekt, a przekona się wtedy, jak zgodny on jest z interesami państwa i króla. Gdy jednak marszałek dojdzie do wniosku, że nie należy tego projektu przedłożyć na plenum, wtedy on (Piattoli) „będzie się uważał za nieszczęśli-

---

[1]) List P. do króla z dn. 16 maja 1792 Nr. 701 str. 304. Bardzo ciekawe jest zakończenie tego listu: „jeżeli on się tem stanie, to bezwątpienia wskutek korupcji Kołłątaja, Chreptowicza i anioła aniołów". Kogo ma tu na myśli—niewiadomo.

[2]) Mowa tu o oficjalnym projekcie reformy Żydów, którego drukowany egzemplarz znaleźliśmy w Muzeum Czartoryskich w rękopisie Nr. 963.

[3]) Już w kwietniu król był zmuszony zaciągnąć u pewnego kupca nową pożyczkę w wysokości 17.000 dukatów. Dziennik Bułhakowa z dn. 9 kwietnia. Kalinka l. c. 3. 301.

wego, gdyż bezpożytecznie pracował dla dobra nieszczęśliwego narodu i dla spokoju Ojczyzny" [1]).

Król w tym samym sensie wpływał na posłów sejmowych, lecz wielu posłów wystąpiło przeciw Piattolemu — oświadczając mu, że właśnie w danej chwili nie należy się tem zająć, gdyż w razie pomyślnego zakończenia wojny, państwo da królowi wszystko, czego tylko zażąda [2]). Piattoli nie zgadzał się z tem zapatrywaniem, zależało mu przedewszystkiem na naprawieniu „kłopotliwego stanu" finansów królewskich, a nadto reforma Żydów podporządkowałaby miljon ludzi interesom państwa i wychowałaby ich na kulturalnych i pożytecznych obywateli. Oprócz tego zapewniłaby skarbowi państwa powiększenie wpływów rocznych o 2.500.000 złotych polskich" [2]).

Piattoli doznał jednak przykrego rozczarowania. Już dnia 29 maja sejm przerwał swą działalność i wezwał naród do broni. Opracowany przez Piattolego projekt nigdy nie był przedmiotem obrad sejmowych.

---

[1]) List Piattolego do Małachowskiego opublikowany przez dra B. Dembińskiego w „Kwartalniku Historycznym" rocznik 1900 tom 14 str. 631 Miscellanea.

[2]) List P. do króla z dn. 26 maja 1792 r. Nr. 106 str. 307-309. W liście tym pisze on dalej: „Odpowiadam z bólem: Gdy wojna będzie wygrana, dumni z powodzenia Polacy będą dążyli do napełnienia pustego skarbu państwa i podniosą krzyk przy każdym projekcie, mogącym dostarczyć pieniędzy Waszej Królewskiej Mości. Byłoby jeszcze gorzej, gdyby wojna się nie powiodła, lub nawet gdybyśmy zawarli niedogodny dla nas układ z Rosją. Wasza Królewska Mość znosiłaby wielkie trudy wojenne i poniosłaby niesłychane wydatki, a potem zwalił by się na Nią o wiele większy ciężar długów i kłopotów. Sire! Możesz być zupełnie pewnym przywiązania całego narodu, ale to uczucie miłości względem panującego nie jest posunięte tak daleko, by zechciano uwolnić go od kłopotliwego położenia finansowego. Gdy prawo (t. zn. projekt reformy Żydów) zostanie uchwalone i Wasza Królewska Mość będzie miała zapewnione 1.500.000 przynajmniej na 15 lat a może i na całe życie, cześć i honor Jej nie będą narażone na to, co może nastąpić. Tego powinna życzyć Jej cała rodzina i wszyscy przyjaciele. Przywróci to Jej godność osobistą i pozwoli oddać się całkowicie sprawom narodu. Będzie to przypieczętowaniem konstytucji.

Dr. MAJER BAŁABAN.

Podłoże historyczne powieści Opatoszu

„W lasach polskich". *)

W miejscu, gdzie Wilja wpada do Niemna, leży dzisiejsza stolica Litwy, znane i tylekroć opiewane Kowno. Tam, u samego z biegu obu rzek, znajduje się góra, a z niej roztacza się przepiękny widok na całą okolicę. Na tej to górze stał niegdyś Napoleon i oglądał owe niezmierzone obszary, które tak rychło dostał w swą rękę. Tutaj także, po upływie pół wieku pisarz żydowski, Abraham Mapu, czerpał natchnienie dla pierwszej powieści historycznej w języku hebrajskim, którą nazwał „Miłością Sjonu". Mapu z tej Kowieńskiej góry, opiewanej przez Mickiewicza, nie widział ni Wilji, wijącej się wstęgą, ni Niemna, szerokim płynącego korytem, owa „naszych strumieni rodzica", była dlań jeno odbiciem innej rzeki, a góra inne mu przypominała wzgórze. Na Kowieńskiej górze snuł Mapu fantazje o Ziemi Świętej, o Jordanie, o wzgórzach Galileji, na których jego bohaterowie, Amnon i Tamara, w bibilijnych słowach, spowiadali się ze swej miłości.

A Opatoszu?! Jako młody chłopak opuścił swe rodzinne miasteczko w Polsce i w dalekiej Ameryce, nad brzegiem obcej rzeki wspominał Wisłę, którą tak pokochał w czasach swego dzieciństwa. Gdzieś w okolicy Płocka, w Lipowickich lasach wychował się nasz autor, a zwał się jeszcze wówczas Opatowski. Mimo wielu lat tułaczki i oddalenia, pałał on na obczyźnie go-

*) י. אפאטאשו: אין פּוילישע וועלדער. ראמאן. פארלאג קולטור ליגע ווארשע 1922.

rącą miłością do polskiej rzeki, pamiętał wszystkie baśnie i klechdy, opowiadane niegdyś przez flisaków, pamiętał obrzędy, odprawiane na Święty Jan przez rybaków, by przebłagać matkę-Wisłę i wydrzeć jej ofiarę, jaką każdego roku porywała. I oto w odległej Ameryce powstała nasza powieść, może pierwsza powieść żydowska, przez Żyda napisana, która z taką miłością odnosi się do rzeczy polskich. Wiele powieści historycznych na temat żydowski pisali już to Żydzi, j. np. Asz „Męczennicy" (Al kidusz haszejm), Wasserman „Die Juden von Zirndorf", jużto chrześcijanie jak np. Henri Georges; „Daniel Deronda", lecz żaden z nich może tak głęboko nie wniknął w stosunki żydowskie i nieżydowskie danego kraju i tak znakomicie ich nie ze sobą powiązał. Jest tedy opowieść Opatoszu pierwszą w swoim rodzaju i dlatego godzi się ją poznać, a także i historycznie rozebrać. Przykre ma wprawdzie zadanie historyk, coś w rodzaju pracy anatomicznej i ma zbadać, w jakim stosunku fakty, opisane przez autora, są do rzeczywistości, ma on nieraz zerwać patynę z bohaterów i zedrzeć fantazję autorską z działaczy. Lecz wraz z tem przykrem zadaniem łączy się i drugie, przyjemniejsze. Historyk ma podmalować tło opowieści, a na tem tle uwypuklić i wyjaskrawić rzeczy i ludzi.

I.

Ośrodkiem powieści Opatoszu jest Kock, a czasem jej jest rok 1859. Kock wiąże się z dziejami Polski: „Tamto w zajściu huncwockiem zginął Berek pod Kockiem", tak głosi przysłowie ludowe i w rzeczywistości znany bohater insurekcji Kościuszkowskiej, pułkownik Berek Joselewicz zginął w tem miasteczku, a nie wielka mogiła przy drodze jest jedyną po nim pamiątką. Lecz nie o Kocku Berka opowiada nam Opatoszu; Berek zginął w roku 1809, a akcja powieści rozgrywa się o 50 lat później. Ośrodkiem miasta nie jest grobowiec Berka,

lecz dwór cadyka, reb Mendla i doń, jak do Mekki pielgrzymują Żydzi z całego „królestwa". Jest wprawdzie jeszcze i drugi dwór i to pod samą Warszawą w Górze Kalwarji, a w nim rządzi były uczeń reb Mendla, Izak Majer Alter, lecz słowo Mendla jest bardziej ważkie. A choć od lat 13, t. j. od „owej soboty", o której chasydzi tak niechętnie wspominają a o której kpiarze niestworzone opowiadają rzeczy, Mendel, siedzi zamknięty w swej izbie i prawie że nigdy nie wychodzi poza próg, lecz „wierni" pozostali przy nim, i nie chcą go żadną miarą opuścić. Zrazu po „owej sobocie" rozbiegła się większa część wiernych, których przygarnął do siebie cadyk z Izbicy, lecz po latach wrócili i czekają tygodniami na widok swego ukochanego mistrza. Na wielkim dziedzińcu dworskim leżą oni, cierpią i patrzą w okno, w którem nieraz ukazuje się sylwetka rebego. A gdy jego twarz blada, okolona wielką brodą, gdy te przenikliwe oczy na chwilę popatrzą przez mętne szyby, wówczas podnoszą się chorzy, kaleki wskazują na swe chore członki, opętani wyją jak dzikie psy, a wszyscy ślą ku owemu oknu swe modły, jakby chcieli powiedzieć: „Cadyku, Ojcze nasz! ratuj nas"! Cadyk patrzy przez chwilę w milczeniu, lecz rychło poczyna nieprzytomnym wzrokiem rzucać dokoła, kląć i wyzywać. Potem ucieka od okna, a chorzy i opętani ponownie padają na ziemię i dalej czekają zmiłowania Bożego. W czem tkwi tajemnica reb Mendla? W czem tkwi jego siła, która tak przyciąga wiernych, mimo klątw i wyrzekań? Oto reb Mendel jest uczniem reb Jakóba Józefa, który przed 50 laty, właśnie wówczas, gdy Berek Joselewicz żył, działał, i zginął, miał swój dwór w Lublinie i tamże gromadził wiernych.

Nauka Beszta, chasydyzm, przyszła z Podola do Galicji, zaszczepił ją w Leżajsku cadyk Elimelech i u niego wykształcili się dwaj mistrze, Izrael i Jakób Józef. Pierwszy otworzył dwór w Kozienicach, drugi osiadł w Lublinie. Był to czas wielkich wojen. Sancheryb północy, jak zwano Napoleona w kołach żydowskich—kro-

czył na czele wielkiej armji, na podbój świata. Kim zaś był Sancheryb? Na dworach cadyków opowiadano sobie, że on wcale nie jest ani szewcem z Korsyki, ani synem adwokata. W dawnej legendzie midraszowej znaleziono wieść o jego prawdziwem pochodzeniu. W Rzymie stoi do dzisiaj posąg z marmuru przepięknej dziewicy, stworzony nie przez rzeźbiarza, lecz ręką czarta. Do tego posągu przychodzili się grzać ludzie źli i przewrotni i z tej miłości marmurowej dziewicy i syna czarta urodził się Arymiljus. Jest on wysoki na 12 łokci, odległość między jego oczyma wynosi 5 piędzi, dwie głowy nosi na karku, a czerwonemi oczyma rzuca dokoła, jak błyskawicami. Pojawił się on w Wenecji i tam przewrócił świat do góry nogami. Także o Żydów zawadził, chce ich zbawić, lecz nie na górze Ksystos, lecz w Paryżu. On pragnie zburzyć ową zaporę, która dzieli „nas od innych narodów"! I zburzenia tejże zapory przerazili się cadycy. Cadyk Naftali z Ropczyc rozumiał, że modlitwa jego ma wielki wpływ w niebie, lecz nie wiedział, czy wolno mu się modlić o powodzenie oręża dwugłowego Arymiljusa. Objechał dwory wszystkich cadyków i dopiero w Kozienicach otrzymał odpowiedź, że nie wolno się modlić o zwycięstwo „jego" oręża. Nie modlił się tedy ten cadyk i nie modlili się inni, więc upadł Arymiljus, a uciekając poprzez Polskę, zawadził o Kozienice i cadyk Izrael widział na własne oczy jego upadek, „jako że paść muszą wszyscy grzesznicy".

Z tej siły i z tej szkoły wyszedł reb Mendel. Po śmierci cadyka z Lublina, u którego bezpośrednio czerpał natchnienie, przeniósł się on nad Wieprz do Kocka i tutaj zgromadził wiernych z całej Polski. A choć od 13 lat był zamknięty, wzrok jego w dalekie patrzył światy, mimo to wpływ jego pozostał bardzo wielki, gdyż sięgał minionych wieków i był niejako pomostem między niemi, a teraźniejszością. Reb Mendel mieszkał w jednym pokoju, w oddzielnem skrzydle swego obszernego dworu, resztę pokoi zajmowała jego rodzina. Tutaj panował zbytek i wygoda aż nazbyt wielkie, kawał

Europy zaglądał do tych pokoi, w których mieszkał syn cadyka z rodziną. Syn cadyka, reb Dawid'l, znany hipochondryk, wcale nie posiadał ani przymiotów ojca ani nie dzielił jego trosk o dobro narodu żydowskiego. Żona jego, osoba nawpół światowa, i córki, zaglądające już do książek francuskich, całkiem odmiennym chciały iść torem. Starsza z nich, wydana za Daniela Eibenschütza, wywierała wpływ na młodszą jeszcze nie wydaną. Czy w istocie w tem skrzydle mieszkalnem odbywały się orgje, które opisuje nasz autor, czy w istocie nocą stawała córka Eibenschütza nawpół obnażona, a wierni koło niej tańczyli, całując po kolei jej ciało,—historycznie nie da się stwierdzić. Na autora działała tutaj snać asocjacja wyobrażeń. Nazwisko Eibenschütza przypomiało autorowi starego Jonatana Eibenschütza i sprawę frankistów, która się z nim wiąże, oraz orgje frankistów w Lanckoronie (r. 1756) i tej okoliczności zawdzięczamy przeniesienie całej tej sprawy z Podola w wieku XVIII do Kocka na lata sześćdziesiąte XIX wieku. Starzy ludzie, którzy jeszcze pamiętają dwór kocki, nic o tem nie wiedzą a także i w literaturze przedmiotu niema o tem znaku.

II.

Otó dwór cadyka, ze swem prawem i lewem skrzydłem, ze starym, nawpół obłąkanym cadykiem i z młodą jego rodziną. A niedaleko tego dworu mieści się dom, urządzony już zupełnie na europejską modlę, a w nim mieszka maskil, t. j. Żyd oświecony. Prawdopodobnie niejeden Żyd oświecony mieszkał już wówczas w Kocku, jako że ich spotykamy w owych czasach we wszystkich miastach Rzeczypospolitej; w naszej powieści zwie się on Józef Strahl. Jest to człowiek stary, który nie prowadzi już żadnych interesów, lecz siedzi przez cały dzień w swym gabinecie i zachwyca się literaturą hebrajską i niemiecką. Pisze on komentarz do „Fausta", a przytem odczytuje po raz setny listy, które niegdyś otrzymał od Nachmana Krochmala z Żółkwi, czy też od innego pioniera epoki oświecenia (Haskali)

Jako inni maskili żywi on głęboką cześć dla władzy, która jest od Boga dana, a zupełnie nie rozumie i nie zna dążeń mieszkańców tego kraju. A należy pamiętać, że jest to rok 1859, że w powietrzu wisi powstanie, które za cztery lata ma wybuchnąć, że to powstanie już się organizuje i rychło, a odbędą się w Warszawie owe słynne procesje, w których i Żydzi wezmą udział. Józef Strahl tego nie rozumie, a zato lepiej to odczuwa jego młoda (druga) żona, Felicja, znająca język polski i zachwycająca się Mickiewiczem. Ona to deklamuje „Improwizację" tyle razy, ile razy jej mąż czyta „Fausta", a w jej salonie gromadzą się rozmaici ludzie, po części chrześcijanie, szlachta, jakoto hrabia Komorowski, Jeleński i Kahane, jeden z niewielu Żydów, którzy przygotowują powstanie. Hrabia Komorowski przygotowuje reformy, które powstanie winno przeprowadzić, celem pozyskania wszystkich stanów, mieszczan, chłopów i Żydów. W salonie żydowskim jest Komorowski w owym czasie zupełnie na miejscu, ileże to była epoka zbratania się, choć nie zbrakło i zgrzytów. Właśnie w Warszawie mamy w tym samym roku (1859) przykry incydent, gdy podczas koncertu pań Nerude żydowska plutokracja niedość licznie zapełniła salę.—Jeleński to jest typ inny. Szlachcic, arystokrata, który się szczyci tem, że pochodzi od Żydów. Ród swój wywodzi z Kamieńca Podolskiego, a dziad jego należał do owych Żydów, których biskup Dembowski wygnał z Kamieńca, a którzy, nie chcąc oddać dobrowolnie swych bóżnic i domów, woleli je spalić z całym dobytkiem, Jeleński jest dumny z tego czynu praojca, i często go akcentuje, lecz historycznie nie da się ten czyn zupełnie stwierdzić. Znamy bowiem fakt wygnania Żydów z Kamieńca w r. 1750, lecz żadna wzmianka historyczna, ani żaden akt archiwalny nie wspomina o wznieceniu pożaru, przez opuszczających miasto wygnańców.

Trzecia postać, którą spotykamy w salonach pani Felicji, to Kahane. Dziwny to człowiek, objechał Francję i Niemcy, tam obracał się w polskich kolach de-

mokratycznych, obijał się też o Żydów, wygłaszał kazania, uczył studentów sztuki wojennej, choć nigdy nie miał w ręku broni palnej. Powróciwszy do kraju pragnie on wzniecić powstanie i tutaj agituje wśród chłopów i Żydów. Jest to postać prawdziwie sympatyczna, a jako podłoże do niej, służył autorowi człowiek rzeczywisty, prawdziwy Kahane, którego dzieje jednak były mu nieznane.

Trzech braci Kahane walczyło w powstaniu 1863 roku, a pochodzili z Galicji; ich ojciec był lekarzem w Sanoku. Sam zasymilowany Żyd, wychował swych synów w duchu narodowym polskim, tak że wszyscy trzej przystąpili do powstania. Filip stracił prawą rękę i był przez długie lata zarządcą dóbr hrabiego Potockiego w Łańcucie (Sans bras Kahane). Maurycy otrzymał postrzał w nogę, a najmłodszy Leon, poprzednio oficer w wojsku austrjackim, został w wojsku polskiem adjutantem pułkownika Rembajły. Ciężko ranny w bitwie pod Datkowicami koło Kielc, dnia 23 stycznia 1864 r. dostaje się do szpitala w Bodzentynie i tam walczy ze śmiercią przez trzy dni. Jego pułkownik wystawił mu przepiękne świadectwo w swoich „Pamiętnikach", które się ukazały dopiero w r. 1913.

III

Tyle o Kocku ze wszystkiem co sie w nim znajduje i co autor uważał za godne opisu i uwiecznienia. Do Kocka prowadzi autor swego bohatera, ażeby mu to wszystko pokazać, a przy sposobności i nam to wszystko objaśnić. A bohater ten mieszka daleko. Mieszka on i chowa się gdzieś w okolicy Płocka, w lasach Lipowickich, gdzie wychował się też prawdopodobnie sam Opatoszu. Ojcowie jego, dziadowie i pradziadowie, wszyscy mieszkali w tych lasach i byli ich nadzorcami. Ci to Żydzi, „pisarze" leśni, uważali te lasy prawie za swoją własność. Właściciele lasów, magnaci, przebywali

gdzieś daleko, za granicami ojczyzny, w paryskim Dżokiej-klubie zgrywali się często do nitki, a wówczas wracali na krótki czas do domu, by postarać się o nową gotówkę i znów hulać. I trzebiły się lasy, padały wielkie drzewa, szły Wisłą do Gdańska i stąd dalej, na maszty do okrętów, a każde drzewo, wyrywało z serca „pisarza" kawał żywego ciała. Bo ci pisarze kochali te lasy, kochali ich szmer, kochali ich jęk nocny, rozumieli śpiew ptaków, jako że rozumieli i plusk wody tej wielkiej rzeki, która szeroką wstęgą przecinała lipowickie lasy. Rodzina „pisarzy" rozrastała się coraz bardziej, rozmaici jej członkowie mieszkali w rozmaitych kątach lasu i zjeżdżali się tylko raz do roku, do najstarszego z rodu na rozrachunek i pogawędkę. Było to zazwyczaj w zimie na Chanukę, gdy wszyscy członkowie rodu przybywali do swego senjora i tutaj, po obliczeniu się, trwającem nieraz wiele godzin, a może i wiele dni, omawiano sprawy familijne, a często ręczono dzieci, żeniono synów i wydawano za mąż córki. Lecz gdy rzedniały lasy, malała także i rodzina pisarzy. Większa jej część przeniosła się do okolicznych miast i miasteczek, tylko senior pozostał na swem miejscu, a był nim dziad naszego bohatera. Dwie piękne legendy przechowywała ta rodzina, a obie wpłynęły na jej losy. Jedna z nich opowiada. Gdy pradziad był chory i już blizki śmierci, zebrali się dokoła niego krewni i już poczęli odmawiać modlitwę za zmarłych, gdy wtem na dworze zadzwoniły sanie i wszedł do pokoju Żyd, w podarte owinięty futro, prosząc o gościnę dla cadyka z Lublina. „Pisarze" nie byli chasydami; siedząc w swych lasach nie wiedzieli zupełnie i nie chcieli wiedzieć o tym prądzie, który tak usidlił polskie żydostwo, więc też nie zdawali sobie sprawy kim jest ów cadyk z Lublina. Lecz gościnę mu dano, a gdy cadyk wszedł do pokoju zrobiło się jasno, głowę jego otoczyła aureola, a ciężko chory otworzył oczy, wpatrzył się w twarz cadyka, odetchnął i odzyskał przytomność. Odtąd wszyscy uwierzyli w „boskość" Lublinera i jeździli doń przez długie lata. A gdy nie stało więcej Jakóba Józefa

w Lublinie, jeździli do jego ucznia, rabi Mendla do Kocka.

Druga legenda opowiada rzecz jeszcze ciekawszą. Oto pewnej zimy siedzieli wszyscy koło pieca i wędrowny cadyk, Majer Dwasz, opowiadał piękną historję o wielkich Żydach, o tem, jak to czart różne przybierał na się postacie, aby ułamać siłę Izraela, i o tem, jak to jedni mieczem, a drudzy dobrocią starają się Żydów odwieść od ich wiary. Wspomniał też o owym Arymiljuszu, który zrodzony z marmurowej dziewicy i syna czarta, dziś gdzieś po świecie się tuła i ze swą armją aż na Moskwę wyruszył, aby ukarać cara za jego grzechy i złe postępki. — „A ten to Arymiljus ma dwie głowy i czerwone oczy".— I jakby chcąc podkreślić ową czerwień, wskazał cadyk na piec, z którego przez dwa otwory wydobywały się czerwone płomienie. Wtem wszedł ktoś niespostrzeżenie do izby i przemówił nieznanym językiem. Pani domu, pochodząca z wielkiego miasta, rozumiała trochę po francusku, więc też pojęła, że nieznajomy żąda gościny dla siebie i dla kogoś bardzo chorego. Wszyscy się usunęli, a gospodarz wyszedł przed bramę, gdzie wyjmowano z sań kogoś, owiniętego w futro i tak okutanego, że twarzy jego wcale nie było widać. Zrozumiano, patrząc na towarzystwo, że jest to jakiś wysoki wojskowy, który prawdopodobnie zamarzł w drodze. Położono go do łóżka i pani domu sama okryła go piernatem. Długi czas nie przychodził chory do siebie, co chwila jednak wyciągał rękę i wołał „Naprzód! Wstecz! Na lewo! Za mną! Francuzi!" Rozumiała pani domu, że mówi w gorączce, że dowodzi pułkiem jazdy i rozkazuje armji. Więc chcąc ukoić jego ból, zdjęła talizman z szyi, który niegdyś prababka jej otrzymała od cadyka i zamierzała zawiesić go na szyi chorego. Nie miała jednak odwagi, więc powiesiła go jeno nad łóżkiem. W tej chwili jasność oświetliła pokój, chory oczy otworzył, rozglądnął się po pokoju, a zobaczywszy kobietę, która przy nim stała, podziękował jej serdecznie za opiekę. Po kilku godzinach powieziono dalej Napoleona, a na pamiątkę zostawił on pisarzowi tabakierę ze swoją po-

dobizną. Tę tabakierę chowano w domu pisarza, jak prawdziwą relikwię. Ofiarowali za nią wielcy panowie bajońskie sumy, lecz któżby ją wydał z domu, tę pamiątkę po Armiljusie, zrodzonym z marmurowej dziewicy i syna czarta?!

W takim domu i w takiem otoczeniu chował się bohater naszej powieści, Mordche. W chwili,gdy go poznajemy, jest młodym chłopakiem o rogatej duszy. Niebardzo chce słuchać nauczyciela, którego mu przyjęto, mozoli się tedy biedny bakałarz, by wpakować w umysł chłopaka pierwiastki religji, Biblję Mojżeszową i komentatorów. Bardziej niż do książek ciągnie Mordchego do lasu, do chłopów, do rzeki. Bawi się on z chłopakami wiejskimi, jeździ konno, a przytem bierze udział we wszystkich uroczystościach chłopskich i wszystkich zabawach. Wogóle jest stosunek między dworem pisarza a wsią bardzo dobry; drwale i robotnicy szanują starego, a syna jego bardzo kochają. Lecz matka Mordchego jest niezadowolona z tego wychowania. Pochodzi ona z miasta, jest córką rabina, arystokratka z rodu, bardzo dumna ze swych przodków, a przy tem aż nadto nabożna. Więc też myśli ciągle o tem jakby wpłynąć na swego chłopca, aż wreszcie oddaje go do ojca swego, do miasta na naukę. Niedługo posiedział Mordche u rabina, nabroił tam tyle, że chętnie odesłano go na wieś, ku wielkiemu utrapieniu rodziców, a szczególnie matki. W tym zmartwieniu pomógł wędrowny kabalista, który przybył na dwór pisarza, aby tutaj, zdala od wielkiego miasta, spokojnie zagłębiać się w Piśmie świętem i w Zoharze. Był to reb Icie, mało znany cadyk, przytem człowiek niepospolitej dobroci i niezwykłej wyrozumiałości. Choć zatopiony w swych pismach, rozumiał on życie ludzkie i miał otwarte oczy na ludzkie błędy i ludzkie słabości. Więc też zyskał zaufanie osowiałego nieco Mordchego i odtąd zawiąznje się między nimi, mimo różnicy wieku, przyjaźń, która może się stać w przyszłości trwałą i owocną. Lecz Mordche nieraz odrywa się od swego przyjaciela i wraca na wieś; ciągnie

go tam nietyle sama wieś, ile piękna córka pachciarza. Rzecz jednak wychodzi na jaw i kończy się batami, a Icie postanawia wydobyć Mordchego z domu i zawieźć go tam, dokąd wówczas jeździli wszyscy, t. j. na dwór reb Mendla, do Kocka.

IV.

Droga z Płocka na Pragę, Siedlce do Kocka. Poznajemy ją szczegółowo, choć autor nietyle opisuje naturę, ile ludzi, których Mordche poznaje w drodze. Bo do Kocka ciągną całe rodziny, ciągną chasydzi, biedni i bogaci, ciągnie gromada wesoła, ze śpiewem na ustach, ze śmiechem, wódką i wesołą zabawą. W karczmach przydrożnych, w których nocują owi pielgrzymi, przychodzi często do awantur, szczególnie mnożą się owe awantury między Pragą, a Siedlcami, gdy do wędrującej kompanji przyłączyli się warszawscy „eleganci". Między chasydami małego miasteczka, ubogimi, obdartymi, wynędzniałymi, a sytą młodzieżą warszawską przychodzi do sporów a nawet do bójek. Interwenjuje często reb Icie, łagodząc temperamenty, a wielkość jego uwydatnia się dopiero w jednej z przydrożnych klauzów (bóżnic), gdzie od tygodnia leży na piecu ciężko chory człowiek. Chasydzi otaczają chorego, lecz nikt nie chce przystąpić, nikt nie chce go obmyć, nikt nie chce darować mu bielizny, a choć wszyscy wzajem się do roboty zachęcają, nikt palcem nie rusza. Wtem przystępuje doń reb Icie, własną ręką zdejmuje go z przypiecka, chwyta konew i chce pójść po wodę, lecz wyręczają go inni, zdumieni tym widokiem. W jednej chwili leżał chory na ławie, a Icie mył go bez obrzydzenia, jak matka myje własne dziecko. Następnie poszedł w kąt, zrzucił ze siebie ubranie, zdjął bieliznę i przywdział w nią chorego; obmytego i oczyszczonego położył następnie z powrotem na przypiecku. Wszyscy patrzyli na ten czyn ze zdumieniemi. Już oddawna chodziły słuchy, że Icie to człowiek nie zwykły, że to jakiś cadyk ukryty,

większy może niż „Kocki", może jest nawet „cadykiem pokolenia", jednym z owu 36 sprawiedliwych, na których opiera się świat. Tak mówili między sobą chasydzi, lecz nie było wiele czasu na dalsze rozstrząsania, już bowiem zajechały furmanki i wszyscy wsiedli z powrotem, by podążyć do Kocka.

W Kocku zamieszkał Mordche u Józefa Strahla, z którym był spokrewniony i któremu przywiózł listy od matki. Nazajutrz wraz z Iciem odwiedził cadyka. Krótko trwała audjencja u reb Mendla a podczas niej widział Mordche kilku chorych, którzy, przychodzili do cadyka z prośbą o poradę i pomoc. Cadyk dla wszystkich był opryskliwy, lecz Icie łagodził ostre słowa reb Mendla, a często wychodził na dziedziniec, by użyczyć pomocy cierpiącym i nieszczęśliwym. Więcej niż cadyk zainteresowała Mordchego rodzina cadyka, a szczególnie młoda jego wnuczka, Rywkele, która z pod oka patrzyła na młodego chłopca. Rychło też zawiązała się między Rywkele a Mordchem, jakaś niewidzialna nić, która zbliżyła do siebie ich serca. Oboje może nie zdawali sobie z tego sprawy i nie wiedzieli, że z czasem mógł ten stosunek zacieśnić się jeszcze bardziej. Nie doszło jednak do tego, gdyż w drodze stanęła Felicja, młoda żona Józefa Strahla. Do niej to przylgnął również Mordche i długi czas wahał się między jedną a drugą kobietą. W salonie Felicji poznał nasz „bohater z lasu" całkiem inne towarzystwo i inne życie. Komorowski, Jeleński, Kahane i sama Felicja otworzyli mu oczy na szereg zjawisk, których on zupełnie dotychczas nie widział. Wysoce inteligentna rozmowa o miłości ojczyzny, o asymilacji Żydów, o ucisku chłopów wpłynęły na ruchliwy umysł młodzieńca i odtąd począł on myśleć, myśleć o żydostwie i myśleć o Polsce. Najbardziej zajął się nim Kahane, który młodego współwyznawcę upatrzył na agitatora wśród mas żydowskich. Na razie brał go wszędzie ze sobą, gdzie tylko przemawiał, a czynił to dość często. I oto opisuje nam autor scenę przed klasztorem, gdzie dziesiątki tysięcy ludu z chorągwiami się zgroma-

dziło. W dwuch saniach przyjechali: Felicja z Komorowskim, oraz Jeleński z Kahanem i Mordchem; stawił się też młody ksiądz i oto rozpoczęła się przemowa na temat miłości ojczyzny i uwłaszczenia chłopów. Sceny warszawskie z r. 1862, a szczególnie scenę z przed kościoła Bernardynów przenosi autor żywcem do klasztoru nad Wieprzem. Tutaj tedy na modlący się lud, najeżdża rosyjska kawalerja, poczyna się parcie tłumów, słychać słowa komendy, padają strzały, trupy zalegają ziemię. Z rozognionem okiem patrzy Mordche dokoła i widzi jak padają chorągwie kościelne, jak giną chłopi i sam też pada wśród trupów i leży w malignie przez pewien czas. Obudził go chłop, który chciał zedrzeć zeń buty, myśląc, że jest już nieboszczykiem. Wstaje tedy i wśród ciemnej nocy udaje się do wsi, gdzie w chacie wieśniaczej znajduje przytułek i pożywienie. Podziękowawszy za gościnę, kroczy przez wieś i tutaj jest świadkiem sceny biczowania chłopa. Mordche nie wiedział, że między dworem a chatą jest tak wielki rozłam, nie rozumiał dotąd słów Kahanego, teraz miał się przekonać naocznie. Gajowy uwięził chłopa za kradzież drzewa, towarzysze chcieli go odbić, gdy wtem nadjechał pan włości, a widząc co się święci, kazał „buntowszczyka" położyć na kłodzie i wyliczyć mu 25 batów. Związano chłopa jak bydlę, rzucono go na ziemię, a ekonom ze spokojem wyliczał razy. Mordche wmieszał się w tę czynność, począł czynić panu wyrzuty, lecz gdy zauważono, że jest Żydem, rzucono go na ziemię i również potężnie osmagano. Zbolały, ociekający krwią, powlókł się ledwie do najbliższej chaty, gdzie znalazł współczucie i opiekę. We wsi burzyło się. Osmagany chłop skonał pod razami, a dzień jego pogrzebu miał być oświecony illuminacją: dwór miał pójść z dymem.

Tutaj znów przyśpiesza autor akcję przedpowstaniową. Wiadomo, że dopiero w r. 1862 zgodził się namiestnik Królestwa na podpisanie aktu Muchanowa, mocą którego wolno było chłopom napadać na dwory. Dawny system austrjacki z r. 1846, którego krwawe owo-

ce widzieliśmy w Tarnowskiem, tutaj odniósł również podobny skutek. Chłopi bez miłosiedzia napadają na pańskie włości, mordują, rabują i palą. Szlachta zrozpaczona, zapomina o swim patrjotyźmie i szuka pomocy u Moskali. Kozacy strzegą dworów, lecz wszędzie pojawia sie banda chłopska, a na jej czele, jak wieść głosi, stoi ktoś, bez imienia, niby Żyd i prowadzi chłopstwo do rabunku.

V.

Kto był tym człowiekiem? Kto był owym nieznanym? Był nim nasz Mordche. Rychło jednak przeraził się owoców swej pracy. Widział jej okropne skutki, porzucił wieś i chłopów, przywdział napowrót chałat i stroskany, złamany bólem i przykrościami wrócił do Kocka. Tutaj trafił na czas bardzo przykry. Miasto całe kipiało, tysiące Żydów zalegało dziedziniec dworu reb Mendla i czekało smutnej wieści. Reb Mendel konał. Przed śmiercią kazał przynieść wszystkie swe papiery, wszystkie rękopisy, w których złożył całą swą mądrość życiową i palił jeden po drugim. Potem przyszła nań śmierć. Żałoba zalegla Kock. Wszyscy wiedzieli, że wraz ż cadykiem schodzi do grobu kawał tradycji tego rodu i cała opatrzność miasta. Wierni rozlosowali między siebie pojedyncze członki cadyka. Jeden otrzymał prawo ujęcia go za nogę, drugi za rękę, Iciemu przypadła w udziale głowa. Tak zaniesiono go do mikwy i tutaj obmyto go, zanurzając go w wodzie. „A choć ciało było stare i mocno nadgniłe, jednak w mykwie rozchodziła się woń, jak w najpiękniejszym ogrodzie." Potem odbył się pogrzeb. Kobiety szlochały, zawodziły, łamały ręce, mężczyźni poważnie towarzyszyli konduktowi. Nad grobem odmówił syn reb Mendla — Dawid — k a d y s z, a wówczas przystąpili doń wierni i ściskając mu rękę, obwołali go następcą „tronu" ojca, swym duchowym przewodnikiem, swym cadykiem. Inna grupa stała na uboczu,

a gdy ostatnia grupa padła na grób reb Mendla, otoczyli Iciego i jego obwołali swym cadykiem.

Mordche nie chciał i nie mógł dalej pozostać w Kocku, wszystko dlań tutaj się skończyło, przeżył wiele rozczarowań serca i umysłu, pożegnał się więc ze wszystkimi i podążył w daleki świat.

A Icie? Icie został cadykiem! I tu nasuwa się pytanie, kim jest reb Icie? Z początku sądziłem, że autor ma tutaj na myśli Izaka Meira Altera, twórcę dynastji cadyków z Góry. I w istocie był Icie Meir uczniem reb Mendla, lecz nie było między nimi tak wielkiej różnicy wieku. Wedle autora liczył reb Icie około 30 lat i był w r. 1859, t. j. w roku śmierci reb Mendla prawie że nieznanym cadykiem. Tymczasem był reb Icie Meir już w r. 1840 członkiem rabinatu warszawskiego i wpływowym obywatelem Warszawy, gdzie mieszkał przy ulicy Chmielnej. Nie mogąc więc rozstrzygnąć tej kwestji, zwróciłem się z nią do autora. „Panie Opatoszu — zapytałem — kto jest reb Icie?" A odpowiedź brzmiała: „Reb Icie nie jest to ani reb Icie Meir, cadyk z Góry Kalwarji, ani żaden inny cadyk, jest to mój reb Icie. Tak ja sobie wyobrażam cadyka i tak go sobie we własnej fantazji wymalowałem". I faktycznie sporo fantazji ma Opatoszu, nietylko o ile dotyczy tego bohatera powieści, lecz także i innych ludzi i spraw, choć często przesuwa akcję historyczną wprzód lub wstecz, zbliża i oddala fakty, które w rzeczywistości i innym odbywały się czasie, sprowadza bohaterów z miasta do miasta, a sceny warszawskie przenosi do Kocka, tworząc tam na wzór grecki jedność czasu i miejsca, jednak ta licentia poetica, wytwarza tak piękne kombinacje i jest obramowana tak pięknym szlakiem, że nawet najskrajniejszy historyk musi przebaczyć autorowi tę dowolność, ba nawet i samowolę.

Dr. MAKS BIENENSTOCK.

Nowe prądy w literaturze młodożydowskiej. *)

II. Mojżesz Broderson

Mojżesz Broderson jest par excellence poetą ekspresjonistycznym. Wskazują na to nietylko wykonywane często przez niego samego ilustracje do własnych dzieł, lecz przedewszystkiem wybitny typ plastyki fantastycznej i pierwiastek formalny, graniczący nieraz o czystą, absolutną formę. Świat, w którym obraca się, stosunkowo bardzo płodna twórczość naszego poety — to świat uczucia nastroju, wizji, świat zaludniony przez duchy skrzałów, karłów, personifikacje sił przyrody, to świat muzyki i melodji rytmów, figur dźwiękowych, onomatopei i związków rymowych. W nim mieszczą się motywy, zaczerpnięte z życia duszy i stosunku jej do życia, świata, bóstwa, motywy pełne alegorji, symbolizmu, przenośni, które ubiera w formę liryczną lub dramatyczną. Obrazy i środki ekspressji powtarzają się często raczej z potrzeby niż z ubóstwa, inwencja poety nie zna granic, i nie waha się przed żadną mocą, gdy chodzi o wydobycie jakiegoś motywu lub szczegółu.

Brak w nich nieraz powiązania, stosunku logicznego, o który w tej poezji właśnie nie chodzi. Ona ma działać sama sobą, sama dla się. Ona sama sobie jest celem i cel ten przeważnie osiąga. Aczkolwiek nie zawsze odnajdujemy do niej stosunek myślowy, to jednak ona nam się udziela, poddajemy się jej wrażeniu, odurzamy się nią jak wonią egzotycznego kwiatu. Jeden szczególnie rys wybija się na pierwszy

*) Obacz „Nowe Życie" Nr. V str. 122—162

plan. Jest nim typowa wprost dynamika uczuciowości, która nie przebiera w środkach, aby się najintensywniej wyrazić, nie krępuje się żadnemi normami, lecz wyładowuje się bądź w ciężkich formach refleksji, bądź w wizjach i obrazach przerażających grozą, śmieszących groteskowością, upajających plastyką.

Jeżeliśmy wspomnieli wyżej, że twórczość Brodersona obejmuje lirykę i dramat, to należy—dodać, że te dwie formy wypowiedzenia się jego ducha nie dadzą się u niego ściśle odgraniczyć, jedna często spływa w drugą. W wierszach wpada poeta często w formę—djalogu, a w dramoletach miesza pierwiastki liryczne (śpiewy, recitativa). Zasadniczą cechą jego muzy jest rys pesymistyczny, ponury pogląd na ludzi i świat, który nie przechodzi w czarną rozpacz, lecz wybrzmiewa w pieśń wyzwolenia i zmartwychwstania. Ten zgrzyt, skąpany we łzach bólu lub szatańskim śmiechu sarkazmu znajdujemy zaraz w pierwszym zbiorze wierszy Brodersona, który nazwał charakterystycznie „*Perl ofn bryk*“ (Perły na bruku). Przez pięć formalnie różnych części, tworzących odrębne cykle, przewija się ten sam motyw. który stanowi podkład jego poezji. W prześlicznych trioletach, wiążących się z sobą w jedną dźwięczącą pieśń, płynie on korowodem w dal, a duchy i wesołki, nocne upiory i księżyc w niebieskim kimono towarzyszą mu w srebrnawej mgle. Niezgłębiony smutek ogarnia całą przyrodę, która wydaje się poecie jako jesień życia; pod tym kątem widzenia ogląda swoją przeszłość; nawet miłość, która przebija się z każdego drgnienia jego duszy, wydaje mu się grobem snu, zimnym, mimo wiośnianych szat. A jednak miłość i życie to dla niego mowa duszy, w miłości rozpływa się ona w wzniosłej modlitwie ekstazy. Pod wpływem takiego nastroju wpada poeta w heinowskie fantazje, przeglądając się w lustrze widzi widma i błędy przeszłości, a kopiąc sobie grób szuka w nim smutnego serca. Świat cały rozbrzmiewa od sarkastycznego śmiechu Asmodai, który oczyma „fun thyme“ kpi i szydzi z wszelkich świętości. Gasną gwiazdy, kwiaty zwisają główki, blada śmierć ugania po osamotnionych przestrzeniach, ze słońca sączą się ua ziemię krople krwi i rozpalają smutek, od którego żaru płonie świat cały. Muspilli —

pożar wszechświata. A wśród tego strasznego zamieszania i chaosu zniszczenia poeta jako topielec ogląda własny swój pogrzeb. Ton elegijny łączy się w tych jaskrawych obrazach naprzemian z bolesnym sarkazmem, rażące barwy jasne i ciemne, silne kontrasty, nagromadzenie upiornych szczegółów, pewna monotonja, wywołana celowem powtarzaniem wierszy, potęguje wrażenie smutku, na którym wyrastają te „caar lilien" jak Broderson nazwał swoje tryolety. Nic dziwnego, że na takiem podłożu duchowem wykwitnąć musi salomoński sceptycyzm—„marność nad marnościami" (Hawei hawolim), który w formie liryki filozoficznej przedstawia sprzeczność między szczęściem życia, pięknem przyrody a znikomością miłości i wiary. Myśl o marności i znikomości wszystkiego, co ziemskie i ludzkie, odbiera mu zdolność widzenia i czucia, pozostawia w nim tylko śmiech i szarość spopielonej duszy. To też w dalszych częściach swego zbioru porzuca wszelki wątek refleksyjny i gromadzi obraz na obrazie, formę na formie, rytm na rytmie, aby oddać samą w sobie szarość nudy, żrącej mu duszę, niebieską od marzeń. („Graue Soneten"). Wszędzie ból, choroba, bladość i powszedniość. Pieśń śpiewaka ginie w samotności, światło elektryczne przyćmione i mdłe, a na tle tej szarzyzny odbijają się upiorne kominy fabryczne. A biały śnieg pada i pada (Sznei—sztilkeit), tak cichy jak kwiat lotosu lub gwiazdy na niebie, tak w śmiertelnej pogrążony ciszy jak umarłe miasta Rodenbacha. I zda się poecie, jak ongiś Przybyszewskiemu, że „of weisse klawiszen fun sznei szpilt di sztilkeit". Zaczynają zaludniać ową ciszę nocną wytwory fantazji poetyckiej, jakieś pierroty i kolombiny znikające w oddali, jakieś prostytutki wyrzucone na bruk, jakieś dalekie wspomnienia matki, za któremi tęskni, a które wirują około mdło świecącej latarni. Albo marzy mu się przy świetle ulubionego księżyca („Lewune szmeicheln") karczma w noc jesienną, w której miłosne pary wyprawiają harce, przeraża go widmo Salome z głową poety łaknącego jej pieszczot, aż wszystko roztapia się i ginie w srebrnobladej poświacie, otulającej świat cały. Już w tym zbiorze okazuje się Broderson mistrzem formy i absolutnego nastroju, w którym czuć jeno wiew duszy. Osiąga go zapomocą specjalnej techniki rymo-

wej, która szeregiem ogniw łączy pojedyncze obrazy w jeden łańcuch, wobec którego wyłącznem kryterjum staje się zdolność odczucia i reagowania na wywołane wrażenia.

Zasadniczy ton pessymizmu i sceptycyzmu, który w różnych wysokościach i ze zmiennem natężeniem rozbrzmiewa w „Perłach na bruku" potęguje się do szatańskiej symfonji, do tańca szkieletów, w ekspresjach zatytułowanych „Szwarc szabes" (Nakł. L. Kahan, Łódź). Istny czarci sabat obrazów, i motywów w których z rozkoszą pławi się fantazja poety, chcąca odmalować nędzę duchową i rozpaczy czarną otchłań. Jak drugi Hjob, utracił on wiarę w dobro i piękno, wszędzie widzi jeno zło, grób, ciemność. Na co więc żyć, na co cierpieć — pyta się z bohaterem z Uz, on „wiecznie szukający, wieczny Żyd tułacz" (der eibik sichendiker, wanderdiker jid). Wina za ten straszny stan świata, pogrążonego w brudzie i w bólu, we łzach i krwi spada zarówno na ludzi jak i na Boga. Ludzkość bowiem wypędziła z pośród siebie Boga, który mści się na niej za swoją krzywdę. Kłam wszystko, co mówiono o wyzwoleniu i wolności, wątpić musi się we wszystko, co dobre, szlachetne i wzniosłe. Wygnaliśmy Boga z serca, choć Bóg nas szukał, stąd błoto i nędza a w nich człowieczy trup. Zło siecią pajęczą omotało człowieka. Całe jego pokolenie skazane na wymarcie, na zanik, bo jest pokoleniem pustynnem (dor hamidbar).

Tylko głupstwo tryumpfuje, a nad światem panuje odwieczny pan złotego cielca, któremu ludzkość ofiary składa, on pan wszechzłego — Aszmodaji. A koniec wszechrzeczy — jeden, a koniec wszechludzki — jeden: szary proch. Kto raz spojrzał na upiorny ów tan, ten wierzyć już nie może, ten do siebie przyjść już nie zdoła. Jakaś głucha rozpacz szarpie mu wnętrzności, jakaś bezkresna tęsknota rozpiera mu serce; poeta pragnąłby się znowu odrodzić dzieckiem, uczyć się innych, nowych słów, aby w nich wyrazić znaki szczęścia, synbole nowej przyszłości, chciałby znowu paść na ziemię i rzewnymi płakać łzami, w przeczuciu tego co przyjść ma. W najkrwawszych barwach maluje Broderson gehennę życiową, tak groźną i ponurą, tak czarną i chaotycznie skłębioną, jak czar-

nemi są jego własne ilustracje, jak przerażająco zbolałym jest portret poety, malowany przez Jakóba Adlera. Panuje w nich gorączkowy rytm i obrazowość, słychać w nich głuchy szum, jakby odgłos kłębiących się bałwanów morskich, wyrzucanych z otchłannych czeluści życia.

Poezja Brodersona nie jest pozbawioną pierwiastków aktualnych. I tak np. w zbiorze pieśni „Begeisterung" odzwierciedlają się pojedyncze zdarzenia, które głębsze wywarły wrażenie na poecie, w formie dalekiej od realistycznego ich kopiowania lub naturalistycznego kreślenia. Każdy wypadek indywidualny przepuszczony przez pryzmat jego duszy nabiera znaczenia ogólnego, treści wiecznej. Środki ekspresji są wprawdzie te same, co w poprzednich utworach i powtarzają się z tą samą lub większą jeszcze finezją w następnych, ale skala uczuciowa jest obszerniejsza, zwłaszcza w górnych tonach, gdzie przeważają uczucia zdecydowane i silne, wybuchy gniewu, gorzkie żale, orgje bólu, żądza zemsty, gorączkowość wizji, wyuzdanie radości. Prawda, że z trudem przedzieramy się przez las nowotworów językowych, określeń hebrajskich rymów łańcuchowych, gry słów, personifikacji uczuć, groteskowość obrazów, symbolizmu hallucynacji, konstrukcji myślowych i alegorji" motywów, z których niejeden odnajdziemy później rozwinięty i wykształcony osobno w formie dramatycznej, ale nie wiemy co bardziej podziwiać, czy subtelność nastrojów czy przepych środków plastycznych, w które obfituje poezja Brodersona. A wśród nich króluje ulubiona postać szatana, który jak cień prześladuje człowieka, zjawiając się z grymasem szyderstwa na ustach i trując mu najprzyjemniejsze i najweselsze chwile życia. Na takim oto karnawale szatana zjawia się nasz poeta, wciągnięty w piekielny wir śnieżnej nocy i wychodzi zeń jako Puntalone, ów oszukany staruszek z włoskiej komedji ludowej, przekonując się, że życie całe to jeden wielki taniec skrzałów (Szabes-szajdemłach) duchów złych i złośliwych; cała ludzkość jest złą, nielitościwą, naokół nie tylko krew i grzech, dlatego zrozpaczony Żyd arystokrata cierpienia, nowoczesny Chrystus wraca do swego krzyża, nie mogąc znieść widoku łajdackiego tłumu („Der elendster"). Zaraza nienawiści toczy świat cały, ludzkość

głucha na zew szofaru wyzwolenia (złoty róg Wyspiańskiego). nienawiść i gniew nie dopuszczają wiosny odrodzenia, zewsząd wykwita purpurowy kwiat przelanej krwi, czerwieniąc piękno majowej przyrody („Blut bliht").

Nierzadko pierwiastek narodowy odzywa się w tych ekspresjach, które zawdzięczają swoje powstanie aktualnym zdarzeniom. Znajdujemy w nich oddźwięk pogromów lwowskich w związku z podaniem o bóżnicy Złotej Róży, drga w nich nuta ucisku narodowego przez otaczające nas ludy, śmieje się w nich ironja litości z tymi, którzy jak „Panna Justyna" mimo felonji przodków nie stracili jeszcze związku wewnętrznego z żydostwem i wzruszają się jego odrodzeniem, Lecz ucisk narodu nie budzi w poecie łez bólu ni współczucia, słowa klątwy padają z jego ust, chęć zemsty i zniszczenia bije ze słów, „nor woil iz di, wus hilchen dreist a klule aus fun gehenem harz araus, yn wojl is di, bei welc a swert cublojst — a kramphafte, a mojredige faust". („run caar.")

Jeszcze silniej wyładowuje swój gniew w wierszu „coru", w którym zamknął uczucie zemsty całego narodu, czekającego wyzwolenia, chciałby niem świat cały zburzyć tak, aby się nawet szatanowi śmiać odechciało. A kiedy Bóg zstąpi na ruiny i uderzy się pokutniczo w pierś, gdy mu wszyscy wybaczą, poeta sam z uśmiechem mu powie: „ich kon niszt mojcheł zajn". Wielką, serdeczną moc uczucia wlał Broderson w wiersze, poświęcone pamięci zmarłych towarzyszy pióra, z których jeden na szczególną zasługuje uwagę. Tytuł jego: „Wen es starbt in frihlingsjuhren a poet". Drga w nim własna krew poety, jakby sam sobie pisał nekrolog, kiedy śpiewa o tragicznym losie młodego poety żydowskiego: „Wen s' starbt in frihlingsjuhren stil a jidiszer poet, geboren funm caar yn wehtügdigen corn, yn fun a wander wind, cimal afile niszt geglet, wer redt fun sinenlider un fyn sieg! Wer redt fun regenbojgenfarbendigen glik! A kind wus hot beim wig a koł fertrehrt, fun wandlen handlen, „rozinkes yn mandlen" nor gehert! Dan wert azoj verumert sztil bajm uwel-brider fun meławerejn dus wehgefihl, un jeder klang iz, dacht sich, a verjusemter geszrei, a sztumer kadiszwei, un wi tachrichim ligt

vertrauert ungegreit der sznei im—, wer weist far sein neszume-elend wer es bet wen s'sztarbt in frihlingsjuhren sztil a jidiszer poet!

Ta sama subtelność, w jeszsze znaczniejszym stopniu wyraża się np. w wierszu „Hent". poświęconemu znanej rzeźbie Rodina, lub pokrewnym „Benszing", gdzie uduchowia własne ręce, któremi błogosławi lud. Albo co za przepych nastroju w wierszu „Unhojb sznei", gdzie wespół z królową Saby w rączych saniach pędzi ku krainie czystych legend, nawołując ją w rozpierającej go wesołości: „hej, mein junge małke, hei, mein szwester, małke Szwul Tule cu cy mir sich fester!" s'iz di beste szu ict acinder. wen geszwinder fliht der szliten, fliht... un der erster, unbeherszter alabaster — sznei es szit — yn wen ałesding in unhojb weissen szneien cingen bliht!" Znane są mu tony pieszczotliwe, miękkie, słodkie („Wir kinder"), nieobcą obrazowość psalmów i proroków, nie stroni od symbolizmu antycznej mitologji, nieraz poświęca cały utwór samej formie, wywołując nią wrażenia bardzo silne np. w wierszu „Einsamkeit yn umet". Przedewszystkiem jednak wypowiada się w jego twórczości tęsknota za wielkim, wiecznym pokojem, za sabatem wszech sobót, którego przyjście proroczym przepowiada duchem. Ku niemu dusza jego kroczy nieświadomie po ugorach smutku i poprzez noce przerażenia „per aspera ad astra" i śpiewa o swej nieśmiertelności Bogu najwyższemu hymn razem z innymi, którzy pozdrawiają go słowami: „Morituri te salutant. („Anszej szlojmejnu").

Z otchłani nocnych rodzi się nowy dzień i przychodzi na świat jako ślepy, poroniony płód, w bólu i gniewie wyhodowany i ginie znowu w jęku i rozpaczy. Dalekim jeszcze jest kraj wymarzony, daleką wyśmiona Jeruzalem światła, jasności i blasku, zaćmienie słońca wciąż trwa jeszcze i wciąż jeszcze powstaje czarny łzawy dzień: („Fun ceit cy ceit".) To świat obecny. Pełen zła, a człowiek głupotą przeżarty. Przejściem on do nowej epoki. („Uebergang"). Pijany trzeźwością i okrucieństwem głupstwa. Cóż dziwnego—pyta się Broderson z przygrywką do wojny światowej — że syn strzela do ojca, że człek człowiekowi wróg, że z chciwością chlipie krew wroga, kiedy na świecie panuje „ekscelencja głupiec", ów wielki

człowiek głupiec, który jak sybaryta rozprzestrzenił się na świecie gwoli swej wygodzie i korzyści. A śmierć na chudej szkapie, kłusuje po nagiej ziemi a człowiek głupi, cierpiący, marzy o wyzwoleniu, staczając się tymczasem sam w przepaść zguby i zgnilizny. Żaden mesjasz nie zdoła wyleczyć chorego, bo świat cały — to jedna personifikacja zbrodni, jeden taniec ropętanych dzikich namiętności. Jeżeli w nas pozostała tylko cząstka mała serca, z której Bóg nie całkiem jeszcze znikł, to módlmy się — wzywa poeta — „módlmy się cichymi usty, wpatrzeni w jego wieczną, lazurową toń—za mnie, za ciebie, za grzechy nasze, za ojca i za dziecię — o przebaczenie... Przebacz nam, o przebach Panie!"

Jak córa Sjonu, która się bezcześciła, tak upadł cały świat a na gruzach jego błądzi osamotniony prorok, który gromił i klął w czarną noc. W czującej swej duszy poeta zlewa żydostwo z wszechludzkością, a świątynia Pańska, która w gruzach legła rozrasta mu się do kosmicznego symbolu świata, pogrążonego w grzechu i upodleniu. Ten straszny ból nad upadkiem ludzkości szarpie mu serce, po dwakroć wrażliwe i czułe, bo przesiąknięte bólem żydowskim. Boli go, że wszystko dzieje się „kapojr", że Bóg wypędzony z ziemi a włada nią we wszystkich formach i postaciach on — uosobienie zła, Aszmodaj. Iście piekielne jego panowanie, dantejskie dzieją się sceny, w których na gruzach świata ludzie i bogi szaleją, podczas gdy tryumfujący szatan jak faun przygrywa na fujarce do tego danse macabre, towarzysząc czerwonemu śmiechowi. Ta gehenna życiowa przypomina poecie obraz płonącego Rzymu, któremu Nero śpiewa swoją pieśń, nasuwa mu postać Torquemady, palącego Żydów na stosie w imię prawa, wydobywa mu z piersi pieśń potężną, pieśń ginącemu światu „Mejn Got — mein lied", który pod względem siły plastyki, melodyjności i dramatycznej obrazowości nie ustępuje w niczem hymnom Kasprowicza. A wtedy z gorejących czeluści od żaru palącego się wszechświata, spodlonego i przeżytego wyrywa się pierwsza gwiazda zbawienia, pierwsza wieść wesoła: un in ihm begrist di tkieje gedojle wus di welt in fojlkeit wet derheren—o Got, mein Got, wus di bist als — der ciel yn dus begeren — far deine szarej

rachmim szteh ich in a heliger verwirrung, szteh ich — ich der jung — jingster helkeit — singender jid, a angehilter, tief meutef in dein wunderbar jecirecirung mit mein korben szire — mit mein blitig — szojmendikn lid)".

Broderson nie tylko przesyconych czarnych barw używa do skreślenia stanu ludzkości. Niekiedy czyni to zapomocą delikatnych kontrastów, jak np. w wierszu „Beeis meławe małke", gdzie nastrój mistyczny tańca, którym chasydzi żegnają jasności soboty, przerywa nagłe, ciężkie westchnienie z ulicy, odgłos rzeczywistego życia. Ból żydowski, beznadziejny smutek narodu, jaki objawia się szczególnie w miesiącu Ab, generalizuje poeta na całą ludzkość. („Menachem Uw".) Golem, ów twór gliniany bez samowitego życia, jest dlań symbolem obojętności, upartego, skamieniałego spokoju, który wśród powszechnego zamętu, wśród wrzawy i krzyku, podłości i zaniku, czeka z zawartym uśmiechem na ustach — zmiany, nadejścia owej soboty wszechsobót, o której już marzył i śpiewał przedtem, owego trzeciego państwa wszechpokoju i panowania ducha. Cała przyroda stosować się zdaje do tego nastroju świata do tego „erew herbst", w którym rodzi się odwieczny smętek ziemi. W cichym lesie („sztiler wald") wygrywa bożek leśny melodje nad pobojowiskiem, na którem zjawiają się znowu, jak przed laty, pary zakochanych, roześmiane i rozbawione, ale to cienie tylko ludzi, którzy kiedyś żyli tu i kochali. W ten sposób myśl o przebaczeniu, tęsknota za pięknem, przeplata poezję Brodersona, który z taką mocą wywołuje zjawy piekielnie, trawi go bowiem wieczny niepokój jak legendarnego Sambatjona, który tylko w sobotę jest spokojny a do sabatu ludzkości jeszcze tak daleko. O tej chwili ukojenia, o tym Bogu wyzwolenia marzy serce poety i oto widzi go raz w przepięknym śnie, jak jego i kalekę - żebraka, nieżyda, stojących u bram klasztoru, oświetlonych niebieskiemi latarniami chce wyzwolić, ale gdy w serdecznej modlitwie wznosi duszę ku niemu, witając go jako wspólnego wszystkim biednym i uciśnionym wybawiciela, rozdziera mu nagle jasność sen i zostaje znowu sam na dalekich ugorach tęsknoty. I urywa się niemiłosiernie piękny sen o jedynym Bogu, wyzwalającym ludzkość całą z nędzy i upodlenia.

W tej nieukojonej tęsknocie leży całe znaczenie poezji Brodersona. Oto co pisze sam o sobie: „Czuję wśród gęstych ponurych mroków, jak przeistacza się rodzaj życia i miłości — jak nowa wiara, nowa poezja — zaczyna palić kadzidła na swoich ołtarzach piękna.

Adam przeistacza się sam z własnej ziemi i własnej krwi..

A ugruntowane podstawy klasycznej obojętności ruszyły się z posad wskutek trzęsienia nieba i ziemi.

Żywą prawdę naszej teraźniejszości śpiewać chcę".

III.

Utwory Brodersona cechuje przedewszystkiem wysoko napięty djapazon uczuciowy, który wprawia bujną fantazję poety w gorączkowy stan, wyładowujący się z eruptywną, wulkaniczną siłą wizjonerską. Jednak wskutek zbytniego natężenia sił duchowych następuje często przeładowanie i przesycenie barw, motywy zaczynają się powtarzać, nastroje wyczerpywać. Artystyczne ich wykończenie, cienowanie i zaokrąglenie doskonali się z rozwojem indywidualności młodego pisarza. Powtarzanie się pewnych motywów ma u niego jeszcze inną przyczynę. Pochodzi ono stąd, że często dana postać, czy dany szczegół prześladuje go tak długo i natrętnie aż rozrasta się w nim do znaczenia symbolu, pogłębiając i uwypuklając się tem samem. Do takich motywów należą np. postacie królowej Saby, Golema, Pierrota, purimowego grajka, nastrój śnieżycy, nocy księżycowej i t. d., które odnajdujemy w utworach dramatycznych Brodersona. Wszystkie jego misterja, groteski i marjonetki, o których niżej, nie są bowiem niczem innem, jak poezją o znanych dotychczasowych motywach przewodnich, ubraną we formę djalogu, aczkolwiek niektórym z nich nie można odmówić także walorów scenicznych.

W misterjum „Techjat hameissim" ściąga Broderson do walki z szatanem ni mniej i ni więcej tylko Chrystusa, Buddę, Mojżesza, Mahometa, Balszema, rabina z Kocka, Franciszka z Assyżu, Michała Anioła, z których każdy na swój spo-

sób staje w obronie uciskanej ludzkości, domagając się dla niej przebaczenia od Boga i objawienia nowej przyszłości. Trudno roztrzygnąć, dlaczego poeta temu utworowi nadał formę dramatyczną, która nie przyczynia się wcale do uwypuklenia problemu. Owszem powiedziałbym nawet, że dzięki jej właśnie i dzięki wprowadzeniu zbyt wielkiej ilości osób podobnych do siebie co do roli i zadania, wrażenie zupełnie się zaciera, a całość raczej nuży, niż działa. Bo co za interes ma dla nas człowiek, który uciskany przez zło, nie buntuje się i nie walczy z niem, lecz ucieka się pod skrzydła różnych opiekunów przeszłości, z których każdy patronizuje mu wedle własnej recepty. Budda głosi szczęście Nirwany, Franciszek z Asyżu zaleca pokorę ascetyzmu, Balszem ekstazę, a Mojzesz i Mahomet korne zasyłają do stóp Pana modły. Ze wszystkich drwi Szatan, który zna swoją władzę nad człowiekiem i wie że gonitwa za złotym cielcem przeżarła jego wolę, że ludzkość stała się niewolnikiem namiętności, że sama sobie stworzyła djabła. Nawet Bóg zwątpił w nią; darmo Franciszek z Assyżu bierze na się grzech jej i cierpienie, bo Aszmodaj kpi i nie potrafi go odpędzić nawet modlitwa rabina z Kocka. Kain — ludzkość cierpi strasznie, bo całe jego pokolenie pławi się w hańbie namiętności i grzechu. Daremnie woła Mojżesz do Boga. „O Got, befrei dein kind fun midbor blendenisz, befrej ihm! ich rif zu menszlichkeit, gerechtigkeit, o Got!" Daremnie wstawia się za nim Chrystus, — ucieleśnienie miłości i przebaczenia, prosząc dla ziemi o pokój i szczęście, o jasność i zadowolenie. Wtóruje mu w tem pramatka ludzkości, Rachela, aż na ich rozpaczliwe wołanie Bóg obiecuje cud — w imieniu prawdy, zmartwychstanie. W ten sposób przedstawia się to płaczliwe — sentymentalne misterjum, jako bardzo niemisteryjne, suche, bez poezji i artystycznej wartości.

Widocznie sam autor nie był bardzo zbudowany swoją próbą udramatyzowania ogólno-ludzkiego problemu, skoro w następnych dziełach chwycił się innej formy. Faktem jest, że współczesny teatr naturalistyczny, naśladujący życie wewnętrzne, nie wystarczał mu do oddania głębszych stanów duszy, dlatego, sięgnął zwyczajem ekspresjonistów do pry-

mitywniejszych form scenicznych tj. do marjonetek i dramoletów, w których pierwiastek fantastyczności, postacie nawpół rzeczywiste, nawpół groteskowe, wyrażają plastycznie symbolizm idei i stanów ducha, oderwanego od ziemskich sfer. Broderson idzie z futurystami (n. p. z Marinettim) tak daleko, że wprowadza jako czynniki współdziałające — choć niecałkiem konsekwentnie — objekty n. p. instrumenty, zjawiska przyrody, a nadto przystosowuje pewne stałe figury z włoskiej commedia del arte dla swoich celów, nadając im charakter swojski fantastycznie-żydowski. Taką postacią jest znany nam już z poezji Brodersona „Purimspieler", adoptowany dla swojskich celów arlekin z włoskiej komedji ludowej, główny boharer dramoletu „A chasynke". Akcja tego fantastycznego, pełnego alegorji i symbolów, dramatu, przypominającego teatr marjonetek albo monachijskie Schattenspiele, rozgrywa się w romantyczną noc księżycową, około północy. Przy dzwiękach ironizujących grę instrumentów muzycznych, zaleca się Arlekin do Kolombiny i oświadcza jej gorącą swą miłość, kpiąc z brzydkiego obdartusa, „cichego grajka purimowego", ku któremu nadobna Kolombina zwraca swe afekta. Arlekin — to suchy, powierzchowny, małoduszny materjalizm życiowy, zimny obradowany rozsądek, ktory nie zna uczucia ni wiary, który się nie lubi łudzić, bo „poco się łudzić, kochany Boże"?

Ale ta mózgowość odtrąca właśnie Kolombinę, wcielenie powabu życia codziennego, kobiecej miłości, chorobliwie subtelnej, lubującej się w tajemniczej postaci cichego grajka, wiecznego tułacza, na którym cierpienie i strach golusu wycisnęły krwawe znamię szarego przygnębienia. On jednak unika jej, bo z niej patrzy „die wochendikeit" nie chce być niewolnikiem pustoty i powszedniości, jego duch wzniosły i uszlachetniony bólem. Zjawiają mu się widma Miriam (miłości siostrzanej), Sulamit (miłości kochanki) i Ruth (wierności kobiecej), jako ucieleśnienia dawnej kobiety żydowskiej, ale i one porzucają go wnet, pozostaje znowu sam, aby jak cicha Ruth, zbierać nadal na obcem ściernisku pozostałe kłosy bólu i cierpienia do swej torby wędrownej. Zrozpaczona odmową grajka Kolombina dusi w swych ramionach Arlekina i znika

wśród grzmotów i błyskawic, gnana klątwą proroka Jezajasza. Dwa światy: ducha i materji, grajka i Arlekina. Obcym czuje się grajek na tym świecie, gdzie niepodzielnie panuje głupota i miłość zmysłowa. Zwycięża duch żydowski, ale w słowach tylko. Świat pozostaje tensam. Oto właściwa treść, znaczenie tej melodyjnej prostej a jednak niecodziennej, zwykłej a jednak głębokiej sztuczki, w której dźwięczy tęskna nuta żydowskiej rozpaczy, żydowskiej tęsknoty za odwieczną czystością i pięknem ducha, ucieleśnionej w prześlicznej, delikatnej, z mgieł uczuć utkanej postaci „cichego purimowego grajka", który stanie się może kiedyś stałą figurą żydowskiej komedji przyszłości. Ale nie tylko w tem leży wartość tej miniaturki dramatycznej. Skąpana w poświacie świetlanej nocy, owiana dźwiękami muzyki, wydaje się jak koszmar fantazji poetyckiej, w której postacie zjawiają się i znikają jak cienie, obdarzywszy nas bogactwem księżycowych skarbów, perłami promienistych uczuć. Rzecz cała nie targa duszy, nie szarpie serca, jest jak cicha zaduma na wykrzywionych grymasem bólu ustach.

Szczególna jest plastyka dramatów Brodersona, która ze sceny musiałaby zrobić ciekawe wrażenie. Okazuje się ona już w zestawieniu i w zewnętrznej charakterystyce osób. Oto n. p. w „Chasinke". Cichy grajek purymowy w ponurej masce i ciemnym stroju z jednej strony. Kolombina w sukni gwiezdnej, Arlekin w pstrokatym, o kolorach tęczy kostjumie z drugiej. Gdyby te osoby nawet nic nie mówiły, tylko grały pantominę, uwydatniłaby się wewnętrzna ich istota, zwłaszcza, jeżeli nie zapomnimy o innych szczegółach całości, jak pora, otoczenie, współdziałanie muzyki i t. d. Podobnie ma się rzecz w następnej grotesce, zatytułowanej „Sznei-tanz". I tu coś niby się dzieje, zjawiają się fantastyczne postacie i znikają z podmuchem wiatru w przecudną noc księżycową, gdy śnieg cichym pokłada się całunem, gdzieś pod parkanem ogrodu, naokół latarni miejskiej, oświetlającej całą tą scenę niebieskawem drżącem światłem. Czas: północ, gdy odgłosy ostatniego przechodnia giną w oddali, a na scenie zostaje tylko chór ciszy i chór pierwszego śniegu Ile melodji, harmonji i plastyki już w samej scenerji! A na jej tle rozpo-

czyna się groteskowa akcja. Z pod gęstych płatów śnieżnych wyskakuje biało-czarny skrzał mrozu, uwijający się na jednej nodze, trze dłonie i okrąża trzy razy latarnię. Dalsze osoby tej cudacznej akcji: elegancki, smutny niebieski poeta — wierszokleta i królowa śniegu, która ukazuje się nam tylko w marzeniach. Działanie rzeczywiste nie odgrywa tu roli. Poecie chodzi o wyładowanie twórczej, lotnej fantazji, o oddanie ducha ożywiającego widziadłami i postaciami pozornie bezduszną noc zimową. Wydobywa niejako psychologję objektów, jak latarni, światła, wiatru, ciszy. Imci Pana Wierszokletę, który w różowym humorze wypada z szynku, dręczy jakiś Weltschmerz, dlatego utopił go w kieliszku; obecnie rozczula się pijany nad sobą, nad swoim losem, nad znikomością piękna i nad tem, że nie ma uznania w świecie, że go nikt nie pojmuje i że wszyscy go wyśmiewają. Prawda, że w ostatnich czasach stracił natchnienie, winna temu także kobieta, ale głównie, jak wyjaśnia skrzałowi, chodzi o to, że ma za krótkie ręce, aby niemi sięgnąć nieba i zerwać zeń kwiat dla ziemi, na której się lęgnie samo robactwo, żrące wnętrzności ludzkie. Horyzonty się ścieśniają, wszędzie szarzyzna, błoto i bagno. To wszystko mrozi mu duszę, łamie ciało, tylko pusty wieje wiatr, tylko grzech się chełpi i rozpiera, dlatego niezdolny jest do prawdziwej poezji, o której twierdzi, że „der ikier — sugt die chochme fun der dichtung — is der bren, wi andersz den?" Położenie rozpaczliwe, na nic wszelki patos, wszelka mądrość, daremnie szukasz przytułku i oparcia dla znużonej głowy. Te elegje poety napawają szczególnem zadowoleniem skrzała, cieszy go, że poezja straciła swe znaczenie etyczne, estetyczne, poetyczne, którem się zawsze chełpiła i wraca teraz ze wstydem kokieterji do suchego rozumu. Lituje się jednak nad bolejącym z powodu utraty raju poetą i wywołuje dla pocieszenia go królowę śniegu w koronie djamentowej z mrozu i wspaniałym płaszczu śnieżnym. Poeta rozmarzony, śpiewa jej pieśń o miłości, wielbi ją jako królowę Saby, która mu wkrótce wśród sennych ruchów tanecznych znika. A samotny, do szpiku kości zziębnięty, poeta ucieka z skrzałem do piekła, aby tam ogrzać skostniałą duszę. Za nim chór ciszy śpiewa, że teraz śnieg padać będzie dla

samej ciszy, gdyż „nor far sich iz jede szejinkeit szein!". Gdy kurtyna spada, zjawia się — jak w średniowiecznym Fastnachtspiel — ktoś, który wyjaśnia cel i znaczenie całej akcji. Oto los poety widzieliście, który niezrozumiany, nieuznany tu na tej ziemi, gdzie rozwielmożniła się szara powszedniość — uciekł bodaj do piekła, by oczyściwszy się z swoich małostkowych ambicyj i słabostek, wrócić może uduchowiony na ziemię, gdzie znajdzie inne pokolenie, gdzie będzie kraj „wi in der heilikeit es stymen di ausgerechntkeit, der weclt iger ferstand, wi auch ferdekt iz farn geist di szand!..." Ale „Sznei—tanz" niebyłby groteską, gdyby cała historja nie kończyła się kpinami w kierunku publiki, do której ów ktoś zwraca się z końcowym morałem całej sztuki: „di szchine fun poet, dem singers szchine gefint sich oder in hihnerplct oder — hinter der kurtine!" W ten sposób wylał Broderson swoją niechęć do teraźniejszej rzeczywistości, w której prawdziwe piękno, poezja znajdują obecnie przytułek na scenie tylko, albo w majakach poety. Nie wyklucza jednak — jak zwykle — perspektywy lepszej przyszłości, kiedy duch przezwycięży wszelki pierwiastek codziennego materjalizmu. Na kanwie tego smętnego nastroju wyhaftował poeta wzorzysty, koronkowy obraz nocy zimowej, śnieżystej, ożywił go postaciami fantazji, w której roi się od chochlików, królowych i księżniczek z bajek dziecinnych. A cały ten obraz ubrał w szaty groteskowe, zastosowując w nim bardzo udatnie, jak w innych swoich utworach o podobnym charakterze, wzięty z ludowej poezji niemieckiej t. zw. Knittelreim.

Postać królowej Saby znanej z podań wiążących się królem Salomonem, tak zajęła umysł poety, iż nie tylko używa jej często w swoich poezjach, lecz poświęcił jej osobny utwór dramatyczny „Di małke Szwu" który pod względem wartości literackiej stoi niżej od innych jego utworów. Patos zastosowany przez poetę w tym poemacie, nie pozostaje w odpowiednim stosunku do akcji i robi z niego utwór bogaty, ozdobny lecz przeładowany. W przeciwieństwie do innych dramoletów o subtelnej, błyskotliwej plastyce, na wpół rzeczywistej, na wpół fantastycznej, na wpół poważnej, na wpół żartobliwej wprowadził tu poeta bogaty przepych

zewnętrzny i ciężki koturnowy symbolizm wewnętrzny. Schemat zresztą tensam, co dotychczas. Z jednej strony uczucie, tęsknota za pięknem i miłością, opiewana przez Salomona — człowieka, w przepysznych zwrotach i obrazach, z drugiej zimny rozsądek, suchy rozum, kpiący z uczuć, a uosobiony w Peirei-odom — trefnisiu, który nie rozumie zachwytów swego władcy. Daremnie wyjaśnia mu znaczenie uczucia Salomon w słowach: „O myz men den farsztein a tfile zy a lid? yn anszrimpen derbei dem mojch yn di bremen, yn mit dem seicheł mit dem nisztikn benemen — di szafung, wus es blikt? Di greste chochme is dus filen! Wi lichtik, un wi sehendig iz der wus filt!" A trefniś skaczący na kurzej nóżce odpowiada mu: „Un ich hakuton sug: wus toig di chochme, az di nariszkeit nor gilt!" Dotychczas Salomon otoczony był niewolnikami i tym oto trefnisiem, który przedstawia sąd ogółu, oni kryli mu jasność słońca, piękno życia, wieczność młodości i szczęścia, jakie wniosła w dom jego Biltis królowa Saby, personifikacja tęsknoty za wzniosłością słońca, za słońcem wszystkich słońc, za Bogiem. Na chwilę zasłoniły słońce ziemska miłość króla, do którego przyszła z dalekich stron, usłyszawszy, że jego Bóg jest jeden jedyny. I znalazła go tu, w jego pałacu, znalazła go w samotności, ale teraz musi wrócić do swoich, bo ją zmusza do tego obowiązek, rzeczywistość życia. Unosi ze sobą szczęście bólu, a pod sercem dziecko, jako węzeł, łączący ją z krainą słońca i żywego piękna, jako zadatek od tego, który nauczył ją cenić i poznawać dobro i zło, piękno i miłość, który pokazał jej prawdę. Do poznania jej doszła przez uczucie, które uchyliło jej zasłonę tajemnicy z Sais, że: największym tworem człowieka jest Bóg, że największą zagadką przecież jest człowiek, który wraz z Bogiem tworzy jeden nierozdzielny lud!" „Błogosławiony, kto odnalazł Boga" — głosi na pożegnanie król Salomon! „marność nad marnościami — głupstwo nad głupstwami" — kończy trefniś poemat, w którym poezja a życie, ideał a rzeczywistość kłócą się ze sobą na każdym kroku, podczas gdy lepsza cząstka człowieka wyrywa się z doczesnych więzów ku — odwiecznemu bóstwu.

W utworze „Cingen lingen" wraca Broderson do

ulubionej formy marjonetkowej, przenosząc nas w atmosferę średniowiecza, w czasy błędnych rycerzy, którzy szli w świat dla obrony uciśnionych i przygód miłosnych. Jednym z nich jest Cingen lingen — zwany tak dla swej szczerości — były towarzysz Lancelota, który, jak ongiś Erek, dla miłości zaniedbał rzemiosła rycerskiego i w nieczynności spędza czas w zamku u stóp swej bogdanki Marji, córki Żyda Don Chaima w kraju cyprysów, mirtów i wawrzynów. Właściwie jednak czas i miejsce akcji są tu obojętne. Chodzi o poważniejszą rzecz, o wykazanie — jak stwierdza Wola w prologu — że „dzięki grzechowi pierworodnemu całe życie błądzimy od tylu wieków i pokoleń, nie mogąc znaleść różnicy między marjonetką a człowiekiem". Myśl ładna, ale nie przeprowadzona i niejasna w samej akcji. W trzech obrazach widzimy bolejącą, chorą z miłości, Marję, trapioną wyrzutami sumienia gdyż dla kochanka porzuciła ojca Żyda; dalej lekarza Don Choza, który nie rozumie przejść sercowych i zna się tylko na szablonowych lekach, typ rozumowy, wyschniętego służbisty bez krzty uczucia, chcącego pigulkami i plastrami ulżyć cierpieniom swej pani i rycerza Cingen - lingen, dręczonego wyrzutami sumienia za to, że porzucił ideały rycerstwa i pancerz, na krórym widniał napis: „Szukaj prawdy!"; wreszcie ojca Marji, Don Chaima sprowadzonego do zamku przez minstrela wśród burz i grzmotów — który jak drugi Lear wszczepia w córkę myśl zemsty. Toteż, kiedy rycerz, ujrzawszy Żyda, chce porzucić Marję, ona zabija go ojcowskim sztyletem. Tak kończy się ta romantyczna historja, z której Don Choza kpi, mówiąc, że żył i umarł tu człowiek o zepsutym żołądku, podczas, gdy minstrel Sing-sang przyśpiewuje smętnie — cicho: „wer wet sei di beide szicen, chuc dem singers bloje harz? si — in zart brabante szpicen, er — in strengn samet szwarz". Znów, jak widzimy, tensam szkielet myślowy w innej oprawie, niemniej pięknej, niemniej delikatnej, niemniej nastrojowej. Z jednej strony mędrca szkiełko i oko, z drugiej serce poety; z jednej życie z drugiej poezja. W konstrukcji reminiscencje szekspirowskich motywów z „Króla Leara„ i „Kupca weneckiego" splotły się w duszy autora jako tło akcji, której cel nie odpowiada założeniu i która

nie posiada tych wartości poetycznych, jakie stwierdzić można w poprzednich utworach.

Wpływ modernistycznej literatury europejskiej zaciążył również na ostatnich dwóch jednoaktówkach Brodersona. Ewersa „Alraune“ natchnęła go zapewne do sztuki „Mandragoru“, w której na podstawie motywu biblijnego z księgi „Stworzenia“, kreśli konflikt między siostrami a żonami Jakóba; płodna lecz oślepła Lea traci miłość męża, podczas gdy posiadła ją złotowłosa, ale nieszczęśliwa z powodu niepłodności Rachela. Za cenę uzbieranych przez syna mandragor, mających wedle podania moc zapładniającą, kupuje sobie Lea noc miłosną a Rachela... płodność. Ta cicha tragedja rozgrywająca się na tle idyllicznej krainy wschodniej, tchnie brzemiennością i dziwnym aromatem egzotyczności, chociaż charaktery nie są wykończone; są to raczej skróty nagich dusz, działających swoją bezpretensjonalną i bezpośredniością.

Inny zupełnie nastrój wieje ze sztuki „Der rote Reiter“. Żywie w niej duch Maeterlinka, a problem jej znany nam już skądinąd. Jest nim tęsknota za prawdą i wyzwoleniem, krórego wyglądają w burzliwą noc mąż i żona, gdzieś w bezkresie czasu i miejsca. Zapatrzeni w dal nadsłuchują tententu nadciągającego z brzaskiem czerwonego jeźdzca, którego w pochodzie wstrzymać chce wicher, uosobiający zwątpienie, w bagnie grzechu jęczącej ludzkości. A kiedy poprzez burze i chmury krwawa wschodzi jutrzenka i w purpurowozłotawem świetle rozlega się głos zwiastującego ją rogu, gdy Mąż i Żona pogrążeni w zachwycie widoku, śpieszą ku oknu, aby przywitać oczekiwanego i we snach przeczutego zwiastuna nowej ery... puka do drzwi powszedniość i słowami mleczarza:

Dzień dobry Wam, dzień dobry,
przynoszę mleko... świeże od krowy.

rozwiewa złudzenia nocy, pogrążając tęskniących w dawne zwątpienie.

Rzut oka na utwory dramatyczne Brodersona przekonuje nas, że nie mamy tu jeszcze do czynienia z dramatem przyszłości, w którym jak chce n. p. Witkiewicz, panuje „fantastyczność psychologji“, zaznacza się w nich tylko

powrót do prymitywnych średniowiecznych djalogów satyrycznych i marjonetek, aby w groteskowy, fantastyczny a przez to więcej plastyczny i bezpośredni sposób wyrazić jakąś prawdę. Dla tej prawdy deformuje poeta rzeczywistość, owija ją w szatę subtelnej, ironizującej romantyki, zużywa dla niej — śladem Wyspiańskiego, Goethego i Wagnera — motywy muzyczne, malarskie i mitologiczne, w których często pierwiastek refleksyjny bierze górę nad innymi momentami.

Wartość sceniczna tych utworów nie leży też w ich stronie myślowej, nieraz nawet powszedniej lub oklepanej, lecz w pierwiastkach formalnych, których odpowiednie oddanie wymagałoby specjalnej reżyszerji z wykluczeniem naturalistycznej plastyki. Wyobrażam sobie, że takie nowe, nazwijmy je ekspresjonistyczne — wykonanie dramoletów Brodersona miałoby być przeznaczone na razie tylko dla publiczności, posiadającej odpowiednią kulturę duchową, odpowiednie zrozumienie i zdolność odczucia oryginalnego ich piękna. Bez kwestji bowiem mamy w nich zarodki innego niż dotychczas sposobu wypowiedzenia się poetyckiego, aczkolwiek składniki jego są pozornie stare. Nie jest to jeszcze zupełnie nowa forma, ostatnie jej słowo, raczej przebłysk jej potrzeby i dążenia ku niej. Dlatego Berlewi, jeden z najmłodszych ekspresjonistów żydowskich, powiada słusznie: Wyzuci z wszelkiej tradycji — stoimy nadzy, zdani na siebie samych, przed wielką misją stworzenia nowego świata, świata o własnych formach. Powstają nowe idee, które nie znoszą dawnych form, nawet resztek ich, jakie w nas konwencjonalnie lub z przywyczajenia żyją. Dlatego należy je pokonać i odrzucić. Nowa sztuka jest kwestją nowej formy, absolutnej formy.

IZAK LEWIN.

KOHELET.

(Ze szkiców biblijnych).

Z oszklonycn półek szaf bibljotecznych wygląda na świat mała, ciekawa książeczka. Stara już ona, siwa i zgrzybiała, ale jeszcze tryska życiem. Nie zmogły jej miesiące, lata i wieki i nie zapadła się pod nagromadzonymi stosami kurzu i pyłu księgozbiorów. Jestem jeszcze—woła żywo— a nazywam się: Kohelet.

Czy ona się faktycznie tak nazywa? Nikt nie wie. Napróżno silą się umysły uczonych, by dociec prawdy. Na słowo uwierzyć trzeba tradycji, która pod czterema spółgłoskami hebrajskiemi odpowiednie ustawiła punkciki, ożywiając martwy wyraz i stwarzając w ten sposób jeden z najpopularniejszych tytułów książkowych,

Niema więcej Kohelet swej metryki, która dziwnym nakazem losu zgubiła się jeszcze dwa tysiące lat temu. Wtedy, pewnego pięknego poranka dostał jakiś szczęśliwy znalazca do rąk ładny manuskrypt, zaczynający się od nagłówka: „Słowa Kohelet, syna Dawida, króla w Jerozolimie..." Ucieszył się ów człowiek, bo Bóg obdarzył go istnym skarbem. Syn Dawida? Toż to Salomon, król-mędrzec, pomazaniec Pana, najgłębszy myśliciel Izraela! Dostał już Kohelet autora, jako że stary król napisał tysiąc lat po swej śmierci nowe dzieło...

Zaprawdę dziwna to książka. Jedni powiadają o niej, że ma być treści pesymistycznej, drudzy wogóle zaprzeczają, jakoby miała jakąś treść. Zdaje się, że racja jest po stronie obu. Jak bowiem czarny światopogląd na życie jest u autora Kohelet nie do zaprzeczenia, tak wogóle trudno jest wydobyć z niego, o co mu właściwie idzie. Chaos—to na Kohelet określenie stanowczo za słabe. Bo z chaosu można czasem wybrnąć, można go uporządkować, można przynajmniej pró-

bować robić tam porządek. U Kohelet jest to z góry wykluczone. Swego czasu chciał profesor Bickell z Wiednia przestawić poszczególne rozdziały i utworzyć z odległych części dzieła jednolitą całość. Próba spełzła na niczem. Po tem przegrupowaniu pokazało się bowiem, że brak tendencji czy myśli przewodniej wychodzi wówczas jeszcze więcej na wierzch. Może Kohelet mieć wszystko, ale niema ani harmonijnego układu, ani jednolitej kompozycji.

Czytając tą książeczkę ma się wrażenie, że maleńkie dziecko, pięcio czy sześcioletnie, stoi przed nami, trzyma „paluszek w buzi" i rezonuje: Może to jest tak? a może inaczej? Zrobię to. Nie, zrobie tamto. Pójdę tu. Nie, nie chcę. To mi się podoba. E nie, to brzydkie. Co robić? Nie...

Myśli płyną z fenomenalną szybkością, a obrazy zmieniają się lada chwila jak w kalejdoskopie. Psychiczny proces zastanawiania się oddany jest nadzwyczaj wiernie. Nigdy nie wdaje się Kohelet w gruntowną argumentację, wystarczy mu wyznać, że on tak chce, albo że jemu się tak podoba, aby kwestję ostatecznie załatwić. W toku myśli wytwarzają się sprzeczności. To, co sekundę wcześniej wydawało się niewzruszonym jak głaz aksjomatem, traci w mgnieniu oka rację bytu. Nie jest to filozofja, opartą na stałych pewnikach i wyciągająca sądy z przesłanek, bo dla Kohelet nie istnieją ani pewniki ani przesłanki. Jego kapitalne zdanie o marności wszystkiego na całym świecie daje się znakomicie zastosować i do logiki. I logika jest nicością. Więc precz z nią...

Jednakowoż jedna nić przewodnia wybija się przecież na wierzch. I dziecko, które w swym umyśle przebiega przez najrozleglejsze dziedziny, kojarzy nieświadomie tylko pokrewne wyobrażenia. Rezonujący Kohelet trzyma się także tej reguły. Odrazu widać, że ten człowiek chce apoteozować—bezczynność. Zdaje się, jakoby to była odpowiedź na zarzut, jaki mu robi jego własne sumienie z powodu gniuśności i opieszałości, kiedy sam siebie pyta: poco właściwie pracować? czy praca ludzka coś znaczy, skoro wszystko jest tak marne i znikome? czy nie lepiej nic nie robić, skoro świat sam sobą, od człowieka niezależnie, rządzi?

Chciał się Kohelet przekonać, czy człowiek jest faktycznie królem stworzeń, czy posiada istotnie moc panowania nad sobą i nad innymi. I okazało się, że „niczem nie różni się od bezmyślnych stworzeń", że i nim kieruje los i przeznaczenie, że i on musi słuchać ślepego fatum. To go oburza i gniewa. Jakto, więc taką jest jego domniemana władza? Nad kim on właściwie panuje, skoro nie jest mocen zmienić nawet troszkę natury tego świata, naprzykład: wstrzymać słońce, zawrócić wiatry lub zapełnić morze? Wiele to generacyi już pracowało na ziemi, a czy się choć cokolwiek zmieniło? „Co było, to będzie dalej i co się stało, to się znów stanie, niema nic nowego pod słońcem" — wykrzykuje z rozpaczą Kohelet, ktory tyle się napracował, żeby dotrzeć do tej ukrytej prawdy, do samych głębin wszechświata, i który po nieudanej próbie musiał wprost popaść w głęboką apatję i ciężkie zniechęcenie.

Bo też jak on się namęczył, a tu wszystko na nic!

Oto jego pierwsze słowa w meritum opowieści:

„Ja, Kohelet, byłem królem Izraela w Jeruszalajim. Poświęciłem me serce nauce i chciałem siłą mej mądrości zbadać co się dzieje pod niebiosami (co za nieszczęsny zamiar! Bóg, niestety, dał go synom Adama, by go wykonali)—

„Rozważyłem tedy wszyskie uczynki, spełniane pod słońcem, a oto są razem marnością, jako powiew wiatru.—

„Błędy są nie do poprawienia, a braki nie dadzą się uzupełnić.

„Więc mówię do siebie w te słowa: Ja przecież wzniosłem się i nagromadziłem więcej wiedzy niż wszyscy, co panowali przedemną nad Jeruszalajim (jakże wiele mędrości i nauki poznało me serce!) — a jednak, skoro chciałem pojąć wiedzę i naukę, szaleństwo i niedorzeczności, spostrzegłem, że i to jest tylko myśl lotna.

„Bo wzbierająca mądrość gromadzi przykrości, a skoro szukasz nauki—znajdziesz cierpienia!" (I, 12—18)

A później mówi z jeszcze stokroć większym żalem:

„Skoro zapragnęło me serce poznać mądrość i zgłębić tajniki, na których świat się opiera — w dzień i w noc oracowałem, a snu me oczy nie zaznały;

„Aż spostrzegłem, że to wszystko jest Boga stworzenie i że nie ogarnie tego człowiek, co się pod słońcem dzieje; jako że człowiek pracuje nad tą zdobyczą, więc nie uda mu się; a nawet mędrzec, gdy powie, że zgłębił—nie nie uda mu się!..." (VIII. 16—17),

Oto źródło pesymizmu i melancholji Kohelet, który nie doznał w swem życiu żadnych zawodów i żadnych niepowodzeń, prócz jednego: przekonał się, że i człowiek, korona stworzenia, jest rządzony jakiemiś wyższemi prawami i jakąś nieznaną mu bliżej siłą, którą długi czas waha się nazwać Bogiem, a która przecież innego nie znosi miana.

Bezsilność człowieka wobec natury jest dla niego czemś upokarzającem, czemś okropnem, czemś obrzydzającem mu życie. W chwilowem uniesieniu wyznaje:

„Nienawidzę życia, bo zbrzydły mi uczynki spełniane pod słońcem, jako że są marnością i wiatru powiewem; nienawidzę mej pracy, którą wykonuję pod słońcem, bo muszę ją zostawić człowiekowi, który po mnie nastąpi, a kto wie, czy mądry będzie, czy głupi, a jednak zawładnie mem dziełem, nad którem tyle pracowałem i zastanawiałem się pod słońcem. I to jest marnością!"

A w innem miejscu znów:

„Wszystko zdarza się każdemu: jeden przypadek rządzi sprawiedliwym i złoczyńcą, dobrym i złym szlachetnym i skalanym, składającym ofiary i nieskładającym ofiary, pobożnym i grzesznikiem, przysięgającym (fałszywie) i wzdrygającym się przed krzywoprzysięstwem; to jest najgorsze z wszystkiego, co się dzieje pod słońcem, że jedno przypadek rządzi światem..." (IX, 2—3)

Gdyby ktoś dał Kohelet moc rządzenia, tak bezgraniczną jak pragnie jego dusza, z tego klasycznego pesymisty powstałby człowiek o najjaśniejszym poglądzie na życie, spokojny, cichy i zadowolony. Tak to grymasi. Nie brak mu wprawdzie niczego, a on sam powtarza wiele razy, że umie żyć, gromadzić skarby i dostatki i używać przyjemności tego monotonnego wprawdzie, ale przecież dość dobrze urządzonego świata; mówi to jednak z taką przejrzystą dozą ironji, że czasem przechodzi to już w zgryżliwość.

Gdy omawia złe strony świata i skarży się na niedolę dobrych a rozpanoszenie się wyrzutków społeczeństwa, nadarza się mu okazja do aluzyj politycznych, które wywołały wśród uczonych niezwykle zażartą polemikę na temat jego wieku. Nie ulega kwestji, że w ten sposób najłatwiej możnaby zawiły ten problem rozwiązać, okazuje się jednak niestety, że aluzje te są zbyt powierzchowne i dają się z łatwością zastosować do najrozmaitszych epok historji żydowskiej. Opowiada n. p., że widział miasto oblegane przez mocnego i wielkiego króla, które uratował jeden mądry a ubogi człowiek i o nim później zapomniano (IX, 13 ss.); dalej postrzega „pachołków, jadących na koniach, podczas gdy książęta wałęsają się po ziemi jak niewolnicy" (X, 7); w trakcie roztrząsania zalet przyjaźni wyrywa mu się następujące, wiele do myślenia dające zdanie: „Lepszym jest ubogi a roztropny chłopczyk niż stary i głupi król, który nie daje się ostrzegać (i nie wie), że z więzienia dostał się na tron i w swem własnem państwie urodził się ubogo" (IV, 13—14).

Wreszcie wykrzykuje dwuznacznie: „Biada ci kraju, którego królem jest dziecko i którego dygnitarze odrazu rankiem ucztują! Chwała państwu, które ma szlachetnego władcę, a jego ministrowie na czas zajadają dla utrzymania życia, a nie dla rozpusty" (X, 16—17).

Być może, że opowiada to stary, zgorzkniały polityk, którego niewinnie usunięto od władzy, ale równie łatwo być może, że są to słowa mędrca, zrozpaczonego niesprawiedliwością i opacznością świata, którego zawiodła jego mądrość w szukaniu przyczyn dla rażących sumienie krzywd. W takim razie stoi Kohelet znacznie w tyle za jednym z wielkich mistrzów nowoczesnej Francji, który myśl o nieszczęsnej bezsilności człowieka wyraził tak świetnie i dokładnie w jednem zdaniu: „Nous laisserons ce monde-ci aussi sot et aussi méchant que nous l'avons trouvé en y arriwant!"...

Ale nic dziwnego: Bo Voltaire żył dwa tysiące lat później, a czas ma także swe prawa.

II.

Z postawionego powyżej założenia wypływa jasno

jedna brzemienna w skutki konsekwencja: Kohelet bluźni przeciw Bogu i odbiega niezmiernie daleko od zasad judaizmu.

Kaznodzieja, który powinien był całą siłą swej wymowy głosić słowo Boże — jest sam niedowiarkiem i szydercą. On wierzy coprawda w Boga, ale nie z głębszego przekonania lub z popędu własnej duszy, lecz jedynie dlatego, że weń wierzyć musi. On wierzy w Boga, bo widzi w tej wierze jedyne rozwiązanie dręczącego go pytania: kto kieruje światem? W chwili, gdy dochodzi do przekonania, że nie można wykrzyknąć głośno i z tryumfem „j a", bo sam jest tylko pyłkiem w ogromie przyrody, kropla w wielkiem, przerażająco wielkiem, morzu wszechświata — opuszcza smutnie głowę i w uznaniu własnej znikomości poczyna wierzyć w Boga.

Taka wiara jest z natury rzeczy chłodna, wyrachowana i powierzchowna. Jak całe to szukanie siły, panowania, potęgi i mocy jest u Kohelet kaprysem, dziecinną wprost zachcianką, tak i jego wiara jest u niego czemś nadzwyczajnem, niejako nakazem chwili. On się Boga boi, bo się z nim zmagał i w tej walce uległ. On nigdy nie powie do swych słuchaczy: „Kochajcie Boga!" — bo on tego nie pojmuje, żeby można kogoś kochać, kto samowolnie rządzi człowiekiem, kto wyznacza mu dokładnie czas dla wszystkich jego czynności, kto nawet decyduje, jak i kiedy używać zebranych w pocie czoła dostatków.

Charakterystycznym jest w tej mierze następujący jego zwrot końcowy o przeznaczeniu człowieka, wypowiedziany z niezmierną apatją po smutnych, niezwykle barwnych i fantastycznie pięknych refleksjach o starości, wieńczących godnie najciekawsze „kazanie" w literaturze światowej:

„Kończę sprawę, usłyszawszy wszystko. Bój się Boga i strzeż Jego nakazów, bo taką już dola człowieka; jako że wszystkie uczynki Bóg pokryjomu rozważa, czy dobre są, czy złe!" (XII, 13—14).

Kohelet, który tak kończy swe rozmyślania religijne i który mógłby wobec tego, zda się, służyć za wzór bogobojnego człowieka — nie wierzy jednak w życie pozagrobowe, bo to przekracza już granice konieczności. Z pewną szczyptą ironji pisze:

„Kogokolwiek wybierzesz — zawsze pozostanie poręką dla żyjących, że lepszy jest żywy pies od zdechłego lwa; bo żywi wiedzą przynajmniej, że czeka ich śmierć, a umarli już nic nie wiedzą i żadnej nie mają nagrody (scil. za trudy ziemskie), gdyż ginie ich pamięć, gubi się także ich miłość, nienawiść i zazdrość i już nie biorą udziału w tem, co się dzieje pod słońcem". (IX, 4—7).

Je ;c e wyraźniej mówi parę wierszy dalej:

„Co tylko ręka twa potrafi zdziałać twą siłą — zrób, bo niema więcej uczynków ani rachunku, ani wiedzy, ani mądrości w grobie, dokąd się udajesz!" (ib., 10).

Strach przed śmiercią, który się w powyższych słowach odzwierciedla, posiada jeszcze inne znaczenie dla badacza „Kaznodzieji". Stanowi on bowiem wyraźne zaprzeczenie hipotezy, dopatrującej się w Kohelet ucznia helleńskiej szkoły epikurejskiej. Bo Epikur nie potwierdziłby słów kaznodzieji żydowskiego o wyższości żyjącego psa nad nieżywym lwem, ten Epikur, który dlatego uważał śmierć za marność, gdyż nie jest połączona z żadną niedogodnością życiową... A Kohelet, który nienawidzi siebie i który kocha równocześnie życie, który gardzi sobą i szanuje świat, nie umie tak dokładnie liczyć i kalkulować jak wielki mistrz grecki; on nie zdaje sobie sprawy, czy użycie jednej rozkoszy pociągnie za sobą dziesiątek bólów, czy ominięcie jednej swawoli spowoduje pięć uciech; wtedy, kiedy traci wszelką orjentację i ogarnia go melancholja, oddaje się kaznodzieja bezwiednie, instynktownie tej pociągającej Hedone, która równie dobrze stanowi szczyt marzeń Epikura, ale którą ów osiąga z wyrachowaniem, spokojnie — na zawsze.

Kohelet mówi:

„Szczęśliwsi są umarli, którzy już n'e żyj«, od żyjących, którzy dotychczas przy życiu pozostali; a jeszc:e lepiej od nich wszystkich ma się ten, kto wogóle nie istniał i kto nie patrzył się nigdy na krzywe uczynki, spełniane pod słońcem"... (IV, 2—3).

Cóżby na to powiedział Epikur? Czy onby się zgodził, aby nazwać Kohelet, który przeuosi „jedną garść lekkiej uciechy nad dwie zapracowane wśród trosk i trudów"—

„epikurejczykiem bez nałogu do rozkoszy', jak tego chce Jerzy Brandes w swej zresztą przepięknej rozprawie na ten temat?

Jak się jednak rzecz ma, greckie wpływy są u Kohelet aż zanadto widoczne. Jeżelibyśmy nawet cofnęli jego powstanie o kilkaset lat wstecz, do samych początków filozofji greckiej, zawsze pozostaną nam wyraźne tego ślady. Już znajomość czterech elementów, niejako pramateryj Empedoklesa, które Kohelet na samym wstępie omawia, wzbudzić musi pewne podejrzenie, potęgujące się z każdem niemal zdaniem do form ostatecznej pewności. Niektóre ustępy wywołują odrazu reminiscencje. Jeżeli bowiem kaznodzieja mówi, że ‚wszystkie rzeczy (w naturze) się męczą" – czy trudno dostrzec tu analogję do znanego twierdzenia Heraklita o „sporze, będącym ojcem wszech rzeczy"? A nie wdając się bliżej w szczegółowe rozpatrzenie stosunku filozofji Sokratesa do pojedyńczych sentencyj mędrca żydowskiego, czy nie wpada to odrazu w oko, że reguła życiowa, „*Poznaj siebie samego*" pierwszego mogła być bodźcem, powodującym rozważenie stanowiska człowieka w wszechświecie, u drugiego? A Arystyp z Cyrene, czy to nie idealny pierwowzór dla hedonika Kohelet, mimo że nierówne środki prowadziły obu do celu, ale choćby dlatego, że łączył ich pokrewny sposób życia?

Wiedzieli dobrze uczeni Talmudu, że księga Kohelet nie odpowiada ich światopoglądowi Zdawali sobie z tego sprawę, że jego filozofja, owiana mirem świętości i poparta autorytetem kanonu, mogłaby — odpowiednio komentowana — urządzić poważny wyłom w skonsolidowanej religji judaizmu. Miał więc pójść Kaznodzieja „na indeks", miano go — jak brzmi eufemistycznie odnośny termin w hebrajskim — „ukryć". Ciekawe jest jednak, że dwie są wersje w tradycji żydowskiej co do powodów zamierzonej acz niedokonanej konfiskaty Kohelet. Talmud (traktat Sabbat, 30 b) powiada co następuje:

„Rzekł rabi Juda syn rabi Samuela bar Szeilat w imieniu Raba: Chcieli uczeni skonfiskować księgę Kohelet, bo znajdują się w niej sprzeczności. A dlaczego jej nie skonfiskowali? Bo na początku jest zgodna z Zakonem i na końcu jest zgodna z Zakonem..." (Potem następuje egzegeza po-

cząłkowego rozdziału z kwintesencją, że żadna praca nie zda się człowiekowi na nic, prócz mozołu przy studjum Tory).

Ale Midrasz (Kohelet Rabba, I, 3.) inny podaje powód:

„Rzekł rabi Benjamin: Chcieli uczeni skonfiskować księgę Kohelet, bo znaleźli w niej poglądy, zbliżające się do odstępstwa. Wszak cała mądrość Salomona streszcza się w jednem zdaniu „co za korzyści osiąga człowiek ze swej pracy", więc możnaby myśleć, że i z pracy nad Torą. Ale później powiedzieli: nie mówi Salomon „z każdej pracy", tylko „z swej pracy", przeto swej pracy nie wykona, ale nad Torą będzie dalej pracował.

„Rabi Samuel bar Jicchak rzekł: Chcieli uczeni skonfiskować księgę Kohelet, bo znaleźli w niej poglądy, zbliżające się do odstępstwa. Wszak cała mądrość Salomona streszcza się w jednem zdaniu „ciesz się młodzieńcze swą młodością, niechaj się twe serce raduje za owych dni swej młodości i krocz zawsze drogą swej duszy i za obrazem swych oczu" (XI, 9), a Mojżesz powiedział: „nie słuchajcie głosu waszego serca i waszych oczu" (Num. XV,). Salomo zaś mówi inaczej; więc rozpuszczone już węzły i niema ponoć ani prawa ani sędziego (t. zn. upadają przepisy Zakonu); skoro jednak Salomo dokończył: „wiedz, że za to wszystko Bóg cię będzie sądził" (ib.) — uznali uczeni, że dobrze powiedział..."

Nie trzeba, zdaje się, dopiero stwierdzać, że wersja Midraszu jest słuszniejszą. Poważne wątpliwości zbudzić się musiały pośród uczonych żydowskich przeciw prawowierności Kaznodzieji, który zachwala życie, pełne cielesnych rozkoszy, obniżając zarazem najświętsze dogmaty religijne do poziomu marności. Rozproszenie tych wątpliwości, spowodowane albo łudzeniem samego siebie albo podsunięciem autorowi drogą egzegery odpowiednich myśli — uratowało Kohelet od zagłady. W każdym razie odegrał tu ważną, a może decydującą rolę moment, że za autora uchodził wówczas powszechnie — miarodajny syn Dawida.

Pozostały jednak sprzeczności w dziwnem dziełku, których przytoczony wyżej argument Talmudu, że „jego po-

czątek i koniec zgadza się z Zakonem" naturalnie nie usunął. Te sprzeczności, jak wogóle brak stylistycznego szyku, wewnętrznego ładu i logicznego związku zdań — oto jego pięta achillesowa. Słuchajcie naprzykład co o tem mówi Marcin Luter i jak trywialnie on atakuje biednego Kohelet:

„Ta książka — mówi kaznodzieja XVI. wieku o kaznodzieji starożytności — powinna być kompletniejsza, za dużo się z niej odłamało, bo niema ani butów ani ostróg i jeździ tylko w pończochach, tak jak ja, gdy byłem jeszcze w klasztorze. Do tego ona jest jak Talmud (sic!), zebrana z wielu dzieł, może z księgozbioru króla Ptolomeusza w Egipcie..."

Gdyby Kohelet dziś żył i mógł cóś odpowiedzieć swym krytykom, nie miałby prawdopodobnie zbytniego trudu. Napewnoby się zadowolił swojem stereotypowem: I to jest marnością!

A w tym wypadku miałby może rację...

Dr. M. BAŁABAN.

Samson Wertheimer

bankier nadworny Leopolda I i Augusta II, rabin-nominat krakowski.

W dwusetną rocznicę jego śmierci.

(Z dwiema rycinami)

I.

Już od inwazji szwedzkiej panowała w Krakowie i na Kazimierzu wśród Żydów wielka nędza. Wojny i okupacja szwedzka i siedmiogrodzka, a potem okupy i dary z łaski wypróżniły do ostatka kiesę żydowską i osłabiły zdolność płatniczą ludności. Odbiło się to wycieńczenie na kasie kahalnej, która coraz to bardziej stawała się pustą i żyła jeno kredytem, za który musiano coraz to wyższe płacić odsetki. Wszystkie klasztory krakowskie, wszystkie kościoły i fundacje były wierzycielami kahału, a odsetki im płacone pożerały dochody kahalne i zmuszały seniorów do zaciągania coraz to nowych pożyczek. A obok wierzycieli duchownych ma kahał krakowski vulgo kazimierski wierzycieli świeckich, którzy nie są tak cierpliwi jak ich duchowni koledzy, lecz coraz to natarczywiej upominają się o kapitał i procenty. Najbardziej dokuczają seniorom panowie Aleksander Kochowski, Stanisław Morsztyn z Raciborska, oraz sekretarz królewski Robert Forbes. Samemu Morsztynowi są poszczególni Żydzi krakowscy winni 144,360 złp., a kahał czyli gmina 196,149 złp.

Kochowski zbankrutował i gmina żydowska nie mogła sobie poradzić z jego wierzycielami. By sobie bodaj na krótki czas ulżyć, zlombardowała u Forbesa swe dochody (lata 1694—1699) z czopowego, skrzynkowego i z t. zw. krupki za 55,000 złp. rocznie, zobowiązując się płacić tygodniowo tytułem odsetek 260 złp. Rychło jednak i Forbes zban-

krutował (1699 r.), więc ponownie wpadła gmina w konflikt i z jego wierzycielami.

Przykre to były czasy. Senjorowie kahalni, wleczeni z jednego sądu do drugiego, nagabywani przez drobną szlachtę i dygnitarzy, którym Forbes został winien rozmaite sumy, nie umieli sobie poradzić. Wyjmowali z kasy kahalnej co się dało i łatali jak mogli budżet, a gdy i to nie pomagało, dawali nowym wierzycielom nowe weksle i mebrany. Lecz wierzyciele nie zawsze chcieli brać weksle kahalne, wiedziano dobrze, że kahał krakowski stoi krucho, więc żądano na skryptach podpisów prywatnych. Kto jednak dobrowolnie podpisze skrypt dłużny, który z wszelką pewnością będzie musiał zapłacić? Od czego jednak jest kahał, od czego rabin i klątwa? Zaprasza się tedy rozmaitych obywateli do sali posiedzeń na Kazimierzu i tutaj się ich zmusza do podpisywania weksli kahalnych. Możni faktorzy wielkich panów, czy też Augusta II. umieją się zasłonić protekcją pańską i nie podpisują, zwyczajni jednak śmiertelnicy podpisują i płacą. Bo kahałem krakowskim rządzi na przełomie XVII i XVIII wieku mąż nie znający żartów; klątwa kahalna i pomoc imci pana wojewody, oto broń, którą włada, a z tą bronią nie każdy chce i nie każdy może się zmierzyć!

II.

Zacharjasz Mendel Kantorowicz zwie się ten mocarz kahalny, który w swej młodości zajmował się— jak wielu innych—nauką Talmudu, później jednak zmienił swój zamiar i zawód i zabrał się do handlu. Spokrewniony z najbogatszemi rodzinami na Kazimierzu rychło wybił się na czoło gminy i chwycił w swe silne dłonie ster kahału kazimierskiego. A pomagał mu jego „pan", imci pan starosta krakowski, Franciszek Wielopolski, którego był „faktorem", a także wojewoda krakowski imci pan Szczęsny Potocki stawał w jego obronie, ilekroć ku temu nadarzała się sposobność.

Więc ufny w swe siły, sądzi i rządzi „pan" Mendel w kahale i w komisji szacunkowej, nakłada podatki i daniny, zmusza do podpisywania weksli i egzekwuje je bez

litości. A chodzą po Krakowie słuchy, że Mendel nie zawsze czyste ma ręce, że niejeden weksel idzie na pokrycie jego własnych długów, lecz któż by się ważył głośno o tem mówić, któżby by śmiał ściągnąć na się gniew „pana i władcy niewiernych Żydów na Kazimierzu nad rzeką Wisłą i rzeką Wilgą?".

A jednak znalazł się śmiałek! Szymon Zarachowicz; przyciśnięty do muru rzucił Mendlowi w twarz obelgę... „jakoże uciska swych braci w Izraelu, pożycza niepotrzebne sumy i pokrywa niemi własne długi i długi swych familjantów...!"

Mendel był wściekły i natychmiast zgromadził starszyznę kahału i ta stając w obronie jego honoru „uznała za rzecz słuszną, by taki człowiek nie był pomiędzy nami, ale żeby, był stosownie ukarany za excessa i nie liczył się więcej między Żydy..." Wyrok ten zaaprobował wojewoda krakowski Szczęsny Potocki (Sokal 24 IX 1701) a gdy Szymon mimo to pokazał się na Kazimierzu, ujęli go siepacze i ściągnąwszy go do izby radnej, zmusili do złożenia pisemnej deklaracji, że nigdy już nie będzie napadał ni obrażał senjora gminy imci Mendla Kantorowicza.

Celem upewnienia się o tem, że Szymon dotrzyma słowa, kazał mu Mendel złożyć cyrograf na 200 imperjałów i na tyleż imperjałów zastawy srebrne oddać do kasy kahalnej.

Bo nie znał żartów imci pan Mendel tak w gminie jakoteż i w ziemstwie a nawet w generalności vulgo w sejmie żydowskim, któremu przewodził jako marszałek przez lat kilkanaście. I w tej to generalności miał również takie same trudności budżetowe, którym musiano wczas zapobiedz. A gdy kredyt generalności w kraju był wyczerpany postarał się Mendel—podobnie jak to czynili jego poprzednicy—o kredyt zagranicą.

Lecz o kredyt dla generalności coraz trudniej, a gminie krakowskiej wogóle nikt nie chce udzielić kredytu! Nie pomaga moratorjum, udzielone przez króla, nie pomaga komisja likwidacyjna, gotówki potrzebuje kahał na Kazimierzu, a potrzebuje jej wiele, potrzebuje natychmiast.

W tej trudnej sytuacji uśmiechnął się los imci panu Mendlowi. Właśnie umarł rabin krakowski i ziemski, a wybrany jego następca, Eleazar Ettinger nie przyjeżdżał i rychło nadeszła wieść do Krakowa, że umarł w drodze z Wrocławia do Holeszowic. Teraz był więc najlepszy czas wybrać rabina bogatego, lub też zięcia bogatych ludzi, by i za urząd dobrze zapłacił i w chwilach potrzeby podpisał weksle gminne na wysokie sumy. Pomysł Mendla był dobry, a także i kandydat aż nadto odpowiedni się nawinął. Był nim bankier cesarski i uczony wielkiej miary, Samson Wertheimer.

III.

Dobry był pomysł reb Mendla Kantorowicza i jego kolegów, Samson Wertheimer był w owym czasie może najbogatszym i najbardziej wpływowym Żydem w krajach habsburskich, pałac jego we Wiedniu należał do najpiękniejszych.

We Wiedniu było w r. 1712 Żydów bardzo mało. Po wygnaniu ich z tego miasta w roku 1670 nie było tam przez lat kilkanaście ani jednego Żyda; pierwszy który tam ponownie osiadł (r. 1682) był dostawca armji austrjackiej, Samuel Oppenheimer. Zrazu prowiantował on armję cesarską nad Renem, potem jednak objął prowianturę armji, walczącej na froncie tureckim i w tym celu otworzył swe biuro we Wiedniu. Z czasem z dostawcy armji stał się się dostawcą i bankierem dworu Habsburgów.

Kierownikiem jego kancelarji został jego siostrzeniec Samson Wertheimer z Hajdelbergu, człowiek bardzo wykształcony i zdolny. W młodości oddawał się Wertheimer nauce talmudu i uzyskał nawet dyplom rabinacki, potem jednak rzucił się w wir interesów handlowych i stał się z czasem, podobnie jak jego wuj i szef, bankierem dworu Habsburgów. Na tem stanowisku finansuje on dochody z żup solnych w Siedmiogrodzie, a w czasie wojny z Turkami wygadza skarbowi licznemi pożyczkami, otwierając także swą kiesę dla prywatnych wydatków cesarza Leopolda I. Eugenjusz Sabaudzki i Ludwik Badeński nie rozpoczynają żadnej wyprawy, zanim Wert-

heimer nie zagwarantuje odpowiedniego kredytu, a także następca tronu Józef I apeluje do jego kiesy, gdy ma się koronować w Akwisgranie. Wertheimer zjawia się też w r. 1711 we Frankfurcie n/M, gdy się miała odbyć elekcja Karola VI, a także August II Saski ma u Wertheimera otwarty kredyt, gdy zabiega o koronę polską, oraz potem gdy ma potężne wydatki na prowadzenie wojny północnej. Wraz z innymi bankierami finansuje Wertheimer sprawę księcia Szlezwig - Holsztyn, gdy tenże staje we Wiedniu, by otrzymać od cesarza tak pożądany kapelusz elektorski—i niemasz ważniejszej sprawy w Niemczech w którejby nie brał udziału tenże wielki finansista.

W nagrodę za swą usłużność i uczciwość otrzymuje Wertheimer od cesarza tytuł Oberhoffaktora, oraz liczne przywileje. a ten sam tytuł „królewsko-polskiego faktora" udziela mu król polski August II.

Lecz Wertheimera nie bawią snać interesy i tytuły, serce ciągnie go do studjów z lat młodzieńczych i rychło przekazuje synowi swemu Wolfowi kapitały i „firmę", a sam cofa się w zacisze domowe i oddaje się nauce i kontemplacji. Z bogatego finansisty zmienia się w uczonego i rabina, wygłasza kazania, pisze glossy talmudyczne, wspiera biednych uczonych, wydaje własnym kosztem rozmaite dzieła i wspiera podupadłe gminyw Ziemi Świętej oraz w Polsce. Jesziba poznańska, zniszczona wskutek wojny północnej, li tylko jego szczodrobliwości zawdzięcza swą odbudowę, a także i gmina krakowska wiele doświadczyła jego łask i częstej pomocy.

IV.

Tego to męża upatrzył Zacharjasz Mendel Kantorowicz na rabina krakowskiego, wiedząc że urząd, ten i tytuł wielkie mają w świecie żydowskim znaczenie. Krzesło na którem niegdyś siedział sławny Remu, czy też Joel Sirkes, Lippman Heller, czy słynny rabi Heszel było ponętnem nawet dla takiego magnata jak Wertheimer, należało jeno w należytej formie je zaofiarować, a było prawie pewnem, że

przyjmie je z podziękowaniem. Szło więc o znalezienie formy. Pisarz kahalny na Kazimierzu wiedział jak się pisze nominacje rabiniczne, znał on styl barwny i barokowe frazesy XVIII wieku, więc rychło wystylizował pismo do „uczonego pana. niby cudu wieku, księcia w Izraelu, naczelnika wygnania, męża w którym są zjednoczone nauka i cnoty doczesne, majątek i szczodra ręka, do pana Samsona z Wiednia, któremu Bóg użyczył słońca i tarczy, by oświecał ziemię i sądził ją...“ poczem uwiadomił go, że starszyzna krakowska i ziemska obrały go jednogłośnie rabinem Krakowa i ziemstwa krakowsko-sandomierskiego. Odszukano w Krakowie pierwszorzędnego rysownika i miniaturzystę i ten wyrysował dyplom rabiniczny (r. 1712) tak pięknie, jak go rzadko gdzie znaleść. Piękna brama, flankwana barokowemi filarami, wijącemi się jak dwa węże, zamyka inskrypcję, kaligraficznie wypisaną i opatrzoną podpisami wszystkich senjorów gminy i ziemstwa. Pierwszy podpisał nasz „Zacharjasz Mendel Kantorowicz syn Jakóba“.

Dyplom, tak wspaniale wykonany, zawiozła deputacja gminy do Wiednia i złożyła go swemu nominatowi do rąk własnych. Lecz jakie musiało być jej rozczarowanie, gdy Wertheimer przyjął dyplom, lecz odmówił przyjęcia urzędu. Jakie podał deputacji powody, o tem nie wspominają źródła ni pamiętniki, dość na tem, że Mendel z towarzyszami wrócili do Krakowa jak niepyszni i „wielki“ rabinat krakowski otrzymał mały rabinek polski, ale zato kuzyn Mendla, Juda Leib z Szydłowa.

V.

Tak więc prysły nadzieje związane z powołaniem Wertheimera do Krakowa i Mendel coraz to bardziej grząsł w długach i nie mógł ni gminy ni siebie utrzymać. Gdy więc wierzyciele coraz to bardziej napierali, a pożyczki nie można było znikąd otrzymać, opuścił Mendel urząd i miasto i przeniósł się do Pinczowa, gdzie już przedtem dał się wybrać rabinem.

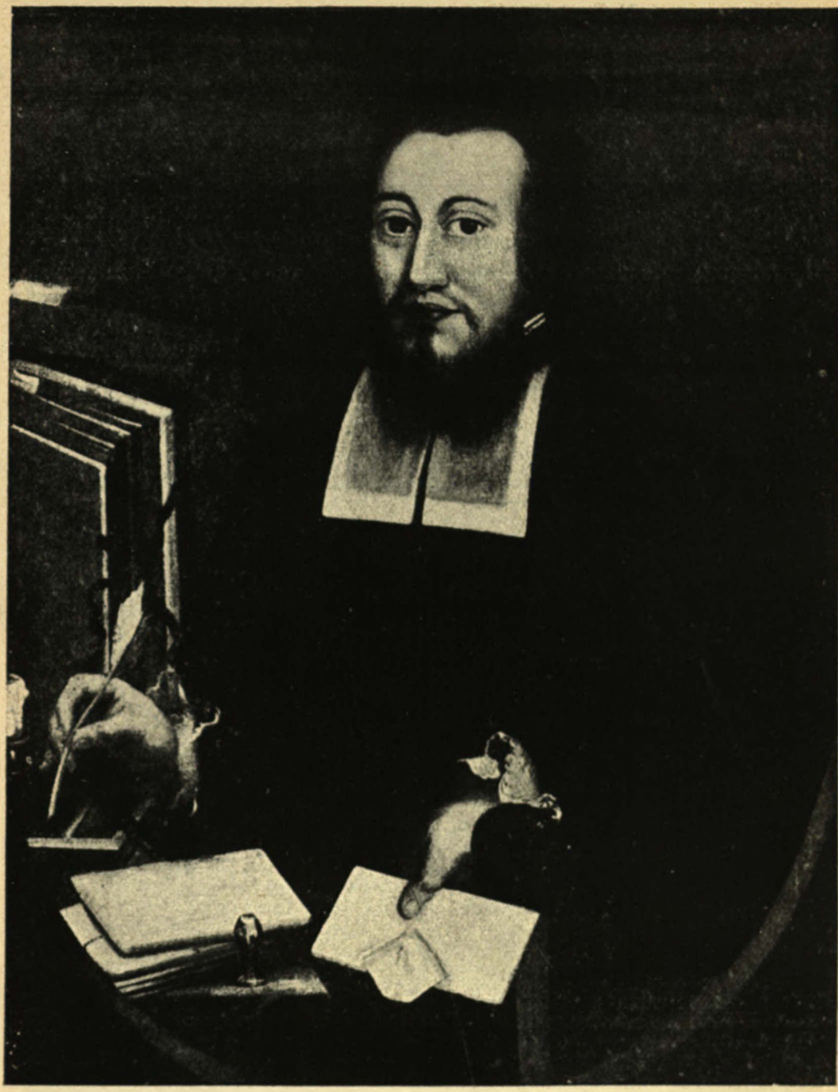
Kahał krakowski jest bliskim bankructwa, więc zjeżdża komisja królewska, by zlikwidować długi i ocalić co się jeszcze da. Długi gminy wynoszą w r. 1719 — 588,527 złp.

* * *

A Wertheimer pozostał w Austrji i w r. 1717 uzyskał od cesarza nominację na rabina wszystkich gmin węgierskich. W tym charakterze objeżdżał te gminy, ferował w nich wyroki i godził zwaśnione strony. Urząd ten piastował przez siedem lat, a czując się bliskim śmierci sporządził testament, który przynosi mu chlubę i świadczy o szlachetności jego charakteru. Prosi, by majątku jego nie dzielono, lecz tylko by procenty względnie dochody rozdawano każdocześnie między dzieci. Zawsze jednak należy tyle zostawić, by 50 uczonyh mogło należyte znaleść utrzymanie i spokojnie oddawać się nauce Talmudu. „Mój syn najmłodszy — czytamy tamże — winien się poświęcić stanowi duchownemu t. j. nauce Talmudu i powinien pojąć za żonę córkę ubogiego ale znanego w Izraelu ze swej nauki męża. Z dochodów z mego majątku ma ona otrzymać 25—30,000 złotych reńskich tytułem honorowego posagu".

Samson Wertheimer umarł dnia 17 Ab (6 sierpnia) roku 1724 i został pochowany na starym cmentarzu wiedeńskim. Pomnik jego stoi tamże do dzisiaj, a dyplom krakowski zdobi, wraz z jego portretem, ścianę żydowskiego muzeum we Wiedniu.

Dwieście lat upłynęło od zgonu tego wielkiego w Izraelu i tę rocznicę święciło uroczyście żydostwo wiedeńskie. I my Żydzi polscy obchodzimy ją i składając, hołd jego wiedzy i jego zasługom.



Samson Wertheimer,
bankier nadworny cesarza Leopolda I i króla polskiego Augusta II.



Dyplom rabinacki Samsona Wertheimera, wydany przez gminę krakowską w r. 1712.

Z pamiętników Leona Bilińskiego. *)

W ostatnich latach wiele wyszło pamiętników, napisanych przez uczestników wielkiej wojny, wodzów, mężów stanu i polityków drugorzędnych, lecz żadne z nich nie wywołały u nas takiego zainteresowania jak pamiętniki Bilińskiego. Już pozycja towarzyska i karjera urzędnicza i naukowa tego męża, jakoteż nadzieje, związane z objęciem przezeń teki ministra skarbu w odrodzonej Polsce, spowodowały owe wielkie zainteresowanie jego wspomnieniami i uwagami, zwłaszcza że znanym był jego stosunek do Paderewskiego i innych narodowych demokratów, oraz wiedziano, wśród takich warunków został usunięty z urzędu ministra. I w istocie Biliński, nie zawiódł nadziei w nim pokładanych, w pamiętnikach jego znajduje się tyle ciekawych epizodów i tyle faktów dotąd nieznanych, że czyta się je jednym tchem, jak najpiękniejszą powieść.

Nas zajmuje tutaj stosunek Bilińskiego do Żydów i kwestji żydowskiej i dlatego dajemy — za pozwoleniem księgarni nakładowej — dwa wyimki z tych pamiętników. Dla zrozumienia jednak tychże wyimków chcemy podać kilka uwag, które nam wyjaśnią stosunek Bilińskiego do kwestji żydowskiej na ogół, jakoteż do niektórych osób i faktów w szczególności.

Matka Bilińskiego i jego macocha były pochodzenia żydowskiego. Dziadek jego baron, Brunicki, pan na Zaleszczykach i innych włościach, zwał się przed chrztem Braun czy Braunstein i wraz z rodziną przeszedł na katolicyzm. Matka Bilińskiego, Malwina i siostra jej Karolina już jako dorosłe panny przyjęły chrzest, a mam wrażenie że i mąż Karoliny, Hönigsberg, również się ochrzcił. Córka tejże Karoliny, Leontyna Hönigsberg, wyszła, po śmierci swej ciotki Malwiny, za ojca Bilińskiego i była macochą Leona.

Jasnem jest, że w domu Bilińskich (a także i Brunickich) unikano wszelkich wspomnień o żydostwie, lecz owszem chowano dzieci w pobożności aż nadto przesadnej. Na młodym Leonie wycisnęło to wychowanie piętno klerykalizmu, i zbliżyło go do krakowskiej „konserwy", której mózgiem był w swych latach, znakomity publicysta, wychrzczony Żyd... Julian Klaczko.

Jako student, profesor, rektor, poseł do Rady państwa i minister skarbu poznał Biliński Żydów i to nawet wielu, lecz wszyscy korzyli się przed nim i żaden nie ważył się postawić mu jakichkolwiek postulatów em mniej postulatów narodowo-żydowskich. Byli Żydzi galicyjscy, wprzągnięci w rydwan szlachty polskiej, wysługiwali się tej szlachcie przy wyborach do wszystkich ciał ustawodawczych, głosowali na rozkaz swych

*) Leon Biliński: Wspomnienia i dokumenty. 1846—1922 2 tomy. Warszawa 1924—25. Wydał i przygotował do druku L. B. Szarlitt. Księgarnia F. Hoesicka.

cadyków i prowodyrów kahalnych karnie na kandydatów z góry wyznaczonych, a biada temu Żydowi, któryby śmiał inaczej postąpić. Jak wyglądały wybory w Stanisławowie lub Rzeszowie, skąd Biliński po kolei otrzymywał mandaty, o tem dałoby się wiele powiedzieć, ileże jeszcze do dzisiaj żyją ludzie, którzy je „przeprowadzali" i do dzisiaj jako „komisarze kahalni" wiodą rej w gminach z łaski panów starostów. W kole polskiem we Wiedniu nie odgrywali Żydzi żadnej roli, lub rolę tak nikłą, że nie miał prezes Koła Grocholski Jaworski, czyteż Abrahamowicz a potem sam Biliński żadnej z nimi trudności. Jako minister skarbu austrjackiego zetknął się Biliński z haut finasjerą żydowską we Wiedniu, z Mautnerami, Kuffnerami, Gompe rzami, Hammerschlagami i Rotszyldami, lecz co tych panów wówczas obchodziła kwestja żydowska w dzisiejszej formie?

Pierwszy raz zetknął się z tą kwestją Biliński na serjo dopiero w roku 1914, gdy po wybuchu wojny (wrzesień 1914) kilkadziesiąt tysięcy Żydów galicyjskich schroniło się do Wiednia przed nawałą moskiewską. Powstaje we Wiedniu komitet opiekuńczy i jako prezes tegoż komitetu udaje się Biliński do bogatego Żyda wiedeńskiego F r a n k l a, który miał dwa ogromne a jeszcze niezamieszkałe domy przy Wallnerstrasse (niedaleko Cafe Central) i otrzymuje je bezpłatnie dla umieszczenia w nich kuchni, szkół i biur dla „Flüchtlingów". Rychło wychodzi jednak szydło z worka. Komitet Bilińskiego opiekował się Flüchtlingami nieżydowskimi (których było bardzo niewiele) i dla nich urządził z całym komfortem (przy bezinteresownej pomocy przemysłowca żydowskiego Ofenheima) szkoły, przytułki, świetlice itp. Flüchtlingami żydowskiemi musieli się zająć inni, wśród nich antisemicka gmina wiedeńska.

W „wspomnieniach" nie znajdujemy ani słowa współczucia dla tych dziesiątek tysięcy Żydów, prześladowanych przez Moskali, którzy w jednej nieraz koszuli, bez grosza przy duszy przybywali do Wiednia i do miast okolicznych, a także w przeciągu całej wojny nie wspomina o nich Biliński ani słowem, nie reaguje na list Jerzego Brandesa, na apel Luzzatiego itp. Bilinski Żydów nie widzi...

W całej swej ostrości stanęła kwestja żydowska przed nim w chwili upadku Austrji, po pogromie lwowskim (listopad. 1918) Biliński, jakby otrzeźwiał po długim śnie i spostrzegł to, czego nie widział przez lat blizko 50. Lecz był już za stary, by przerobić swe poglądy, więc tylko się oburza na Żydów, którzy śmieli ogłosić swą neutralność, oraz na narodowych demokratów, którzy dopuścili do pogromu. Współczucia dla ofiar pogromu nie okazuje wcale, pogromy potępia jedynie z polskiej racji stanu.

I jeszcze raz zetknął się z kwestją żydowską, gdy jako minister miał załatwić sprawę urzędników żydowskich, usuniętych ze służby za pełnienie służby w czasach rządów ukraińskich. Przy tej sposobności wypowiada swe zapatrywanie na sprawę narodowego żydostwa. „Bezwarunkowe przyznanie się do narodu polskiego ze strony Żydów... szkoły polskie dla Żydów z przyznaniem nauki języka hebrajskiego — oto granice przyszłej ugody żydowsko-polskiej". Podczas swego pobytu w Warszawie zetknął się

też Biliński z „kontrolerem żydowskim „Morgentauem", któremu się starał zasugerować swe poglądy na sprawę żydowską.

A po powrocie do Wiednia ponownie styka się Biliński z finansjerą żydowską. Tym razem nie są to dawni potentaci przemysłu i giełdy, lecz dorobkiewicze wojenni z Galicji, „noworysze", z którymi odbywa nieskończenie wiele posiedzień, których się radzi i którym obiecuje (i daje) polskie ordery i tytuły. A gdy jedni finansiści żydowscy nie chcą siedzieć w radzie nadzorczej nowego banku z drugimi, Bilinski godzi się na usunięcie „niemiłych" jednostek, lecz sam nie rozumie o ile usunięci są gorszymi od pozostałych; już był za starym, by się dostosować do nowych, powojennych waruków i ludzi.

b.

Tom II str. 184—185.

Faktem jest, że stało się, cośmy przewidywali w telegramie swoim do Warszawy. Pan Głąbinski, kilkudniowy, odstraszający swym przykładem minister spraw zagranicznych, uśmiechał się wprawdzie swoim sposobem nad telegramem naszym z dn. 27 paźdz. 1918 r. w Krakowie; ale już w nocy z dnia 1 na 2 listopada austrjacki komendant, jenerał, z rodu Niemiec, wydał zdradzieckim sposobem miasto Lwów w ręce Ukraińców, a namiestnik hr. Huyn, także jenerał austrjacki, Niemiec, nam do ówczas bardzo przychylny, oddał im rządy kraju. Z powracających z frontu południowego niepobitych, jeno zdemobilizowanych przez Węgrów armij, wysłano podobno pospiesznie pułki ruskie do Galicji, wstrzymując się z wysyłką pułków polskich, które się tak spóźniły, że Komisja Likwidacyjna nie zdołała na czas wysłać posiłki do Lwowa i mimowolnie naraziła naszą nieszczęśliwą stolicę Małopolski na najstraszniejsze uciski i morderstwa ze strony Ukraińców. A niema chyba klęski straszniejszej nad wojnę domową! — Nadeszły wreszcie posiłki, odbiły miasto Lwów, wygnały najeźdźcę; ale klęski w mieście, w ludności, w dorosłych i dzieciach pozostały, ale opresji dalszej z długiego oblężenia nie uniknięto. A pozatem wybuchły ciężkie prześladowania żydów. Niezawodnie, żydzi sami dali do tego pochop, poddając się dobrowolnie rządom ukraińskim, a po części walcząc nawet po ich stronie. Ja sam miałem później, jako

minister polski sposobność tłomaczenia żydom - sjonistom na konferencji oficjalnej, że „przyjaciel“—a takimi byli nam żydzi przez czas 50-letnich rządów polskich w Galicji — przybierający w nieszczęściu swego towarzysza rolę „neutralnego“, staje się faktycznie „nieprzyjacielem“, bo przyjaciel prawdziwy walczy otwarcie po stronie towarzysza. Ztąd słusznie chyba przezwano w Warszawie żydów „neutralnymi“ ! Ale już wtedy, też po „pogromie“ lwowskim, musiałem się w Wiedniu zdecydować wyjątkowo na interwiew z N. Fr. Presse, ażeby podkreślić, że „pogrom“ ten nie tylko jest potępienia gadnym ze strony etyki, ale i na polu polityki praktycznej będzie wyzyskanym w Europie zachodniej na naszą niekorzyść. I niestety spełniło się to dosłownie. Ileż to pogromów żydowskich bywało — ku zgrozie cywilizacji — w całej Europie wschodniej, — a przecież w Londynie i Nowym Jorku zajmowano się tylko polskimi! Zapewne, że w wysokim stopniu przyczynił się do tego reprezentant polski w Paryżu i Londynie, wódz Endeków pan Dmowski, który nic tylko wyśmiewał się jawnie w Londynie z „żydowskiej kochanki“ Lloyd-Georgea, lecz ponadto jako szczyt agitacji swojej antysemickiej wyrzekł wobec Lloyd-Georgea, proponującego do jakiejś komisji historycznej naszego wielkiego historyka Aszkenazego, pamiętne słowa: „Aszkenazy to nie historyk, to żyd“.

Jeżeli, jak zapewniają, słowa te padły istotnie, to zawdzięczamy im całą dalszą antypolską politykę angielską w Gdańsku, na Śląsku Górnym, w Galicji wschodniej, w wojnie bolszewickiej, w Wilnie i t. d. Bo przywódcy polskiemu w Paryżu powinno być wiadomem, że żydzi stanowią w Anglji i Ameryce czynnik polityczny potężny, że w rządzie angielskim zasiada zawsze kilku żydów, że najwpływowsi sekretarze Wilsona byli żydzi, że przeto „dowcipy“ pana Dmowskiego musiały doprowadzić do wielkich demonstracyj ulicznych w Londynie przed poselstwem polskiem i zwrócić opinję publiczną, a tem samem i rząd przeciw Polsce. Ciężkie jeszcze będzie miała Ojczyzna nasza przeprawy ze sprawą nie tylko mniejszości narodowych, ale i żydów tak u nas rozrosłych; ale zanim jeszcze zdołała — napadana przez wszystkich niemal sąsiadów — zabrać się do tych spraw,

Endecy skrzywdzili Polskę boleśnie na całem jej ciele przez nierozsądny swój antysemityzm.

— — — — — — — — — — — — — — —

Tom II str. 295—99.

Pomimo to wszystko brałem—w łonie rządu—niejednokrotnie udział w kwestjach politycznych większej wagi. Minister Wojciechowski, referent rządu w sprawie konstytucji i autor projektu ustawy konstytucyjnej, odbył ze mną dłuższą naradę, zanim wniósł projekt na Radę ministrów, gdzie zresztą przyjęto jeszcze liczne moje poprawki. Z tymże ministrem wdrożyłem i prowadziłem razem konferencje w sprawie żydowskiej. Jeszcze p. Paderewski nie był wyjechał za granicę, gdy wiceminister Byrka przywiózł mi list otrzymany ze Lwowa, w którym mu adwokat chrześcijanin, Dr. Władysław Smoleń donosi podobnie jak w dołączonym później w liście do mnie z d. 29/9 1919 r. o życzeniu żydów - sjonistów przedstawienia rządowi swoich petytów przez deputację. Ponieważ assymilowani żydzi, czujący się Polakami, nie potrzebują osobnych konferencyj, bo mają przez swych posłów sposobność znoszenia się z Rządem, byłem zdania iż właśnie opozycyjnym sjonistom należy umożliwić zetknięcie się z Rządem. Zdaje mi się, że zarzuty, czynione z tego powodu po przyjacielsku przez dzielnego i patrjotycznego posła stanisławowskiego p. Raucha, nie były słuszne. Jakkolwiek znane mi były endeckie, antysemickie przekonania p. Paderewskiego, nie wolno mi go było pominąć, ani bez jego wiedzy rozpocząć rokowań. Zawiadomiłem go więc o liście lwowskim i uzyskałem na to zgodę, by deputacja zgłosiła się do niego, a w razie jego wyjazdu za granicę, do mnie. Zaznaczyłem przytem zaraz, że zaproszę do współpracy pana wiceprezesa gabinetu i min. spr. wewn. Wojciechowskiego. Nim deputacja przybyła, p. Paderewski wyjechał; porozumiałem się przeto z p. min. Wojciechowskim, który najchętniej się zgodził na narady pod mojem przewodnictwem. Udział też jego osobisty był tak znakomity i skuteczny, że mogliśmy po całym szeregu konferencyj,

przerobić cały materjał piśmiennych żalów, przedłożony przez deputację. Iście dramatycznie przedstawił je niezwykle wymowny prezes sjonistów Dr. Henryk Rosmarin, zwłaszcza o ile chodziło o ucisk ludności żydowskiej przez władze i organizacje polskie w Galicji wschodniej z okazji wojny ukraińskiej. W wojnie tej ludność żydowska stanęła po stronie nieprzyjaciół Polski, a jeżeliby nawet była tylko zajęła stanowisko „neutralne", to już zdradziła Polskę, bo „przyjaciel neutralny" w razie wojny jest przecież wrogiem. Wytknęliśmy to deputacji bardzo wyraźnie i temtrudniejsze były narady o naprawie powyższych stosunków, o niedopuszczenie żydów do wojska i do uniwersytów, o obozach dla internowanych żydów i o licznych sprawach administracyjnych. Zastrzegłszy się z góry przeciw osobnemu „narodowi" żydowskiemu w łonie narodu polskiego i językowi hebrajskiemu w urzędzie, zgodziliśmy się na cały pakt w duchu sprawiedliwości i tolerancji. Znaczną część naszych wspólnych uchwał przyjęła Rada ministrów jeszcze za moich czasów na podstawie referatu p. Wojciechowskiego, przyczem min. wojny Leśniewski i min. oświecenia Łukasiewicz musieli ponieść dobrowolnie ciężkie ofiary przekonania, ażeby umożliwić żydom zapisy na uniwersytet, zawisłe od spełnienia obowiązków wojskowych. Uchwalono też na Radzie ministrów utworzenie komisji dla dwóch celów: dla perlustracji obozów koncentracyjnych i dla zbadania zachowania się w czasie wojny urzędników żydów, stojących pod zarzutem zdrady, a przeto niedopuszczonych do ponownej służby państwowej. Skład tych komisji ustalono po części na Radzie ministrów, po części na konferencji p. Wojciechowskiego ze mną, na której przyznano udział także niesjonistom...

I znowu nie mogłem już dalej współdziałać w tej sprawie z powodu ustąpienia z urzędu. Niedługo później — po upadku gabinetu Skulskiego ustąpił także Wojciechowski. Ale z wiadomości o konferencjach żydowskich pod przewodnictwem Daszyńskiego za rządów Witosa muszę wnosić, że akcja nasza tak czy owak znajdowała się lub może się jeszcze znajduje w dalszym ciągu. Jeżeli ją zreszta — jak mi się wydaje rozszerzono na całą Polskę, to tem lepiej, bo naród polski,

posiadający w Małopolsce ludność żydowską 10%, a w Kongresówce 17% musi, bez względu na sympatję czy antypatję, zająć się stanowczem załatwieniem sprawy żydowskiej. Bezwarunkowe przyznanie się do narodu polskiego ze strony żydów, przyznanie szeregu równouprawnień ze strony Polski, szkoły polskie dla żydów z przyznaniem nauki języka hebrajskiego; oto granica przyszłej ugody.

Tworzyła się zresztą za mego urzędowania jeszcze druga akcja żydowska, spowodowana przez Amerykę, której wysłannik, b. ambasador konstantynopolitański p. Morgenthau, zwiedzał Polskę i po powrocie z Małopolski zatrzymał się dłużej w Warszawie. Wysłany pod presją zaalarmowanych przez Dmowskiego i spółkę żydów amerykańskich Morgenthau, przyjaciel osobisty Wilsona, pragnął z nami podzielić się wrażeniami, które zamierzał złożyć w memorjale prezydentowi Stanów Zjednoczonych. Między innymi złożył i mnie wizytę długą, a pewnego wieczora dał min. Skrzyński na jego cześć w klubie myśliwskim (kasyno szlacheckie) obiad uroczysty, na który byli prócz mnie zaproszeni ministrowie Wojciechowski i Szczeniowski. Przy czarnej kawie p. Morgenthau, który we Lwowie badał dokładnie przyczynę „pogromu", roztoczył obraz wcale pomyślnego stanu żydów pod rządami Polski. W ciągu ożywionej bardzo dyskusji próbowałem naszkicować w kilkunastu zdaniach dzieje żydów w Polsce i zapytałem gościa, czy byłby skłonnym podnieść w swoim memorjale następujące fakta historyczne: a) że w XIV wieku, gdy żydów w całej Europie zachodniej palono żywcem i wypędzano, Polska za Kazimierza W. dała żydom gościnny przytułek; b) że z biegiem wieków nie musiał być w Polsce ucisk zbyt dotkliwy dla żydów, skoro w czasie powstania z r. 1863/4 ludność żydowska, prowadzona przez rabinów, brała gorliwy udział w organizacji polskiej przeciw Moskalom; c) że w ciągu 50-o letnich rządów polskich w Galicji znaczna część ludności żydowskiej przyjęła dobrowolną z narodem polskim assymilację i wydała całe szeregi gorących patrjotów polskich; d) że wreszcie z początkiem XX stulecia rząd rosyski wygnał z Rosji i z Litwy miljony żydów (Litwaków), nie-

znających ani języka ani narodu polskiego, pełnych do tego narodu jawnej nienawiści i właściwych tem samem inicjatorów tak zw. „pogromów". Ambasador, wysłuchawszy uważnie moich wywodów, odpowiedział stanowczo, że zamieści je w swojem dziele.

Nie widziałem tego dzieła, więc nie mogę stwierdzić dotrzymania przyrzeczenia. Ale to można stwierdzić z ówczesnej publicystyki amerykańskiej, że po ogłoszeniu memorjału p. Morgenthaua, uspokoiła się opinja żydowska w Ameryce na korzyść Polski, że zatem — jeśli mi wolno dodawać — słuszność miał ówczesny min. Skrzyński, starając się przy każdej sposobności jednać dla Polski przybywających do nas na oględziny, nie zawsze usposobionych dobrze cudzodziemców.

IRENA KACHOWSKA.

Denikin w Kijowie.

Urywek z pamiętnika z r. 1919.

Wytworna publiczność, która za panowania bolszewików nie ukazywała się wcale na mieście, płynęła teraz zwartą ławą po ulicach. Obejmowano się czule, płakano rzewnie, pobożnie się żegnano. Dzwony cerkiewne biły uroczyście, zdawało się napozór, że miasto w ten przecudny dzień jesienny obchodzi wielkie święto radości. Mało uświadomiony miejski proletarjat i drobne mieszczaństwo, które z ogromu wydarzeń pojmowało tylko to, że niema już bolszewików, a więc chleb stanieje, brało również udział w radości powszechnej. Tak jak dnia wczorajszego i dzisiaj błogosławiono wybawców i złorzeczono „Żydom". Zdawało się, że samo słowo „Żyd" porusza morze okrutnej nienawiści.

Nowi zbawcy nie zboczyli ani na jotę od swego zwykłego programu działania i natychmiast po wkroczeniu do miasta rozpoczęli agitację pogromową. Około drugiej po południu przez Kreszczatik przeciągnęła przejmująca zgrozą kawalkada. W kilku dorożkach wieziono powoli straszliwie pobitych Żydów—mężczyzn i kobiety,—broniąc ich przed rozwścieczonym tłumem, zebranym na chodnikach, którego napór z trudniością zdołał powstrzymać szpaler żołnierzy. Z powozów rozlegały się wstrząsające do głębi serca okrzyki i nawoływania o pomoc. „Za co? cóż wam uczyniłam? Tylko dlatego, że jestem Żydówką!"—krzyczała młoda, starannie ubrana kobieta; jej elegancka bluzka strzępami opadała z ciała, a trzech kozaków stojących na stopniach i w powozie okładało ją płazem szabel, starając się w ten sposób zmusić ją do milczenia. Wszędzie bicie we dzwony,

kwiaty, muzyka. Otworzono okna trupiarni, wychodzące na ulicę Fundaklejewską; nieznośny odór trupów zatruł kilka dzielnic. „Szpicle", zręcznie wśliznąwszy się w tłum, szeptają: „Tam gniją ofiary bolszewików". Nadjeżdża wóz naładowany zwłokami zamordowannych Żydów. Za nim przez otwarte drzwi prosektorjum napływa olbrzymia fala ludzka. W wielkiej sali trupiarni leżą rozkładające się ciała, ułożone jedno na drugiem, jak deski. Między nimi znajduje się rzeczywiście wielu rozstrzelanych, ale wielu jest również przypadkowo zabitych na ulicach w dniach zamętu — trupy osób niewiadomego nazwiska; teraz jednak wszystko przypisuje się bolszewikom. Przed wzburzonym tłumem, złożonym przeważnie z kobiet, wygłasza histeryczną przemowę jakiś mężczyzna, który ulokował się przed stosem trupów.

Pielgrzymka do „Czeki" na ulicach Katarzyny i Lewaszowskiej rozpoczęła się wczesnym rankiem i trwała kilka dni. Czeka mieściła się tam, gdzie ongiś znajdowała się główna kwatera Eichhorna i Skoropadskiego. Zagraniczni dziennikarze... tak zwani „intelektualiści" z aparatami fotograficznemi... prosty lud... Naokół słychać tylko płacz i jęki. Wykopano pokryte jeno cienką warstwą ziemi trupy ludzi, którzy niedawno temu jeszcze żyli; poznawano w nich krewnych i znajomych. Matka, o nawpół obłąkanym wyrazie twarzy, szuka syna. Trupy, trupy bez końca, tam na kupie gruzu w kącie, leży rozstrzelany strażnik „Czeki" — Żyd. Otworzono piwnice — wszędzie kałuże krwi, stłuczone butelki, niedopałki papierosów. Już nazajutrz w wystawach na nowo otworzonych sklepów widnieje to wszystko na setkach fotografji, którym ludność przygląda się ciekawie.

Atmosfera niezdrowa w najwyższym stopniu. Wszyscy obawiają się wyrzec bodaj jedno słowo, wykonać zbyteczny ruch. Ludność podejrzywa i szpieguje się nawzajem. „Tam Róża czekistka! Własnemi rękoma rozstrzeliwała jeńców!" — krzyczy ktoś z tłumu i w okamgnieniu otacza ją straszliwe kłębowisko wrzeszczących ludzi. Co się stało wtedy z mniemaną „Różą" —

nie wiem. Naoczni świadkowie włóczą się po całem mieście, opowiadają, nieraz z pewną przesadą, o tem co widzieli: wszędzie histeryczne łkania, spazmy. Do wieczora dnia następnego w mieście zapanował antysemicki nastrój, zataczający coraz szersze kręgi. Otworzono kinematografy i podniecona w najwyższym stopniu publiczność widzi teraz na ekranie fantastyczne obrazy tortur. „Szpiclostwo" przeniknęło wszystkie dziedziny życia, dobrowolne szpiegostwo, podsłuchiwanie i podpatrywanie obywateli zatruwa do tego stopnia stosunki wzajemne ludzi między sobą, że całe życie staje się chorobliwem, pełnem udręczeń.

Codziennie jadę kolejką wązkotorową do Światoczyna. Przybywam tam zupełnie chora—tak oddziaływują na mnie potworne, krwawe rozmowy, których muszę przysłuchiwać po drodze. Na wszytkich letniskach odbyły się już pogromy Żydów. Letnicy i chłopi z okolicznych wsi, przywożący mleko i owoce na targ do miasta, nie przestają opowiadać o krwawych epizodach; jednogłośnie przeklinają Żydów i wzywają niebo o zesłanie wszelkich kar na ten naród. Samo milczenie, wyraz twarzy może wydać się podejrzanem towarzyszom podróży; słyszy się podejrzane szepty i podstępne pytania. W mieście odbywa się „cichy" pogrom, który jednak nie przekracza pewnych granic, dzięki nijakim pozostałościom ludzkiego uczucia, pomimo tylu prowokacji. Codziennie widzi się kilkakroć, to tu to ówdzie, jak kozacy napadają na Żydów którzy byli na tyle nieostrożni, że odważyli się wyjść na ulicę i zaciągają ich gdziekolwiek bądź i pozostawiają broczących krwią. Dzienniki donoszą codziennie o 60—70 osobach żydowskiego pochodzenia, które zostały zamordowane niewiadomo przez kogo i z jakiego powodu. Nasi żydowscy towarzysze nie opuszczają swych mieszkań, dostarczamy im stale żywności. Oczywiście nie mogą wcale brać udziału w naszej pracy partyjnej i działalności bojowej, przy pierwszej sposobności wyjadą z Kjowa do Charkowa lub Odessy — nie słychać bowiem, by

am odbywały się pogromy. Tymczasem jednak nie twychodzą z domów. Pociągi kursują w ograniczonej ilości. Bilety sprzedawane są tylko po okazaniu policyjnego zaświadczenia, że dana osoba nie brała udziału w ruchu bolszewickim. Udaje nam się uzyskać takie zaświadczenia, ale nawet gdy siedzi się w pociągu, niema się pewności, że dojedzie się do celu podróży. Pewna towarzyszka partyjna, która udała się do Charkowa, napisała nam stamtąd przez okazję: „Na litość Boga! nie podróżujcie kolejami! Do Charkowa przybyłam zupełnie siwa, wskutek tylu okropności, których musiałam być świadkiem. „Czarna Sotnia" grasuje szczególnie w pociągach. Zmusza podróżnych do odmawiania „Ojcze Nasz", „Wierzę", lub do wymawiania słów rosyjskich. Osoby, posiadające akcent żydowski, narażone są na wielkie niebezpieczeństwo. Gdy odkryją, że ktoś jest Żydem, katują go nielitościwie i wyrzucają w pełnym biegu z pociągu. Podróżujący na wszystkich linjach kolejowych, wiodących do Kjowa, widzieli po drodze zwłoki wielu ofiar".

W samem mieście szczególnie ucierpiały przedmieścia, gęsto zaludnione przez Żydów; codziennie... i jakże często widzi się tam na ulicach krwawe sceny. Jedno, przejmujące zgrozą, zdarzenie wryło się w mą pamięć na wieki. Jechałam wraz z pewnym towarzyszem do Szuliawki, wieźliśmy kilka pakunków na przechowanie do pewnej maksymalistki, biorącej udział w naszej pracy i bardzo uczynnej. Słońce już zaszło. Gdy wyjechaliśmy, zauważyliśmy, że ulica, którą mieliśmy przejechać jest zupełnie wyludniona. W oddali ukazały sie ostro zarysowane na tle zorzy wieczornej sylwetki kozaków na koniach! Uderzali oni szablami w jakąś bryłę leżącą na ziemi. Musieliśmy przejechać obok. Gdy zbliżyliśmy się, podniosła się z ziemi postać ludzka i chwiejnym krokiem pobiegła ku nam. Był to stary Żyd w długiej kapocie z pejsami. Cała twarz jego przecięta była krwawą pręgą od cięcia szablą, pierś broczyła krwią. Spojrzał na nas błagalnym wzrokiem pełnym ocze-

kiwania. Może jednak jesteśmy ludźmi, może weźmiemy go w obronę; odwracamy się, woźnica przejeżdża obok niego. Żyd idzie w tym samym kierunku ku miastu, krok w krok podążają za nim kozacy, szydzą, naigrawają się z niego, igrają z nim, jak kot z myszą; pianę mają na ustach, oczy ich są nabiegłe krwią — zapewne pijani. Żyd się widocznie uspokoił chodzi już teraz po chodniku. Dziesięć minut potem — tymczasem zawieźliśmy już pakunek na miejsce,—jedziemy z powrotem tą samą drogą. Przed małym domkiem o trzech oknach, na którym wisi pęknięty szyld szewca, stanęli półkołem ci sami trzej konni kozacy. Jeden z nich wybija nahajką wszystkie szyby tej chaty. Na przeciwległej stronie ulicy ludność, przejęta zgrozą, przygląda się ciekawie. Żyd chciał zapewne schronić się przed kozakami do swego domu i teraz dom ten jest osaczony jak jaskinia dzikiego zwierza. Żegnam się z towarzyszem, wysiadam z dorożki na przystanku tramwajowym i powracam kolejką do Światoczyna. Po raz trzeci muszę przejechać przez to samo miejsce. Przed oczyma przesuwa się obraz jak w kalejdoskopie. Ulica leży poniżej nasypu kolejki i z okna przedziału widzę zupełnie dokładnie, co się dzieje wewnątrz domu. Czysty mały pokoik, w środku stół nakryty obrusem i dwoje dzieci w wieku około pięciu i sześciu lat, płacze i szarpie nerwowo obrus; w kącie oparta o ścianę kobieta załamuje ręce. Na podłodze leży ten sam starzec, kozak wbija mu szablę w szyję, kolanem przytłoczył pierś jego...

W pierwszych dniach okupacji Denikina byliśmy tak przygnębieni doznanemi wrażeniami, było tak trudno przystosować się i przywyknąć, że staraliśmy się tylko możliwie jaknajrzadziej wychodzić z domu; nie zdradzić się nigdzie okrzykiem oburzenia lub bodaj tylko spojrzeniem, nie szczędziliśmy trudów, by zaopatrzyć naszych żydowskich towarzyszy, z którymi nigdy nie chcielibyśmy się rozstać, w pozwolenie na wyjazd i truciznę.

— — — — — — — — — — —

II.

Po trzech dniach bolszewicy zostali wyparci z miasta. Powoli nadciąga wzburzony i rozgoryczony „stary rząd". Pierwszy zajmuje miasto Szkuro ze swą bandą „wilków" (Nie mogłam ustalić, czy to rzeczywiście były bandy Szkury. Często bowiem inne oddziały łupieżców przybierały to miano, a ludność Kijowa dawała temu wiarę.) Odnosiło się wrażenie, że miasto zostało im oddane na rabunek. Banda Szkury, wyzuta ze wszystkich cech ludzkich, dzika, zezwierzęcona, czując za sobą potęgę, przystąpiła natychmiast do dzieła. Rozpoczęto od rozbijania żydowskich sklepów na Kreszczatiku, od kilku drobnych napadów rabunkowych i bijatyk na targach i w dzielnicy żydowskiej. W dzień wielka tłuszcza trzymała się na uboczu, jeszcze nie rozpasały się namiętności.

To niewypowiedzianie okrutne znęcanie się i grabienie ludności żydowskiej odbywa się systematycznie i planowo: biorą w niem udział żołnierze pod dowództwem oficerów. Skoro tylko miasto pogrąża się w mroku, nadjeżdzają jeden po drugim ciężarowe automobile, by rozpocząć „operację". Miasto podzielone jest na okręgi, ulice na rewiry. Samochody parskając gniewnie, zatrzymują się przed zabarykadowanemi bramami, 20—30 zbrojnych zbirów wysiada, często są oni—nie wiadomo dlaczego — zamaskowani; z początku dzwonią, potem stukają, wkońcu bez trudu rozwalają barykadę i banda, wdziera się na podwórze.

Zaczynają od niższych pięter, drzwi wchodowe rozbijają kolbami, łamią, rabują, grabią, gwałcą; nawet małym dzieciom zabierają koszule i trzewiki. Nieubłagani są dla Rosjan, którzy ukryli u siebie Żydów. W domu słychać brzęk tłuczonych szyb, rozpaczliwe krzyki, jęki. Wpośród ciszy teroryzowanego miasta, w ciemnościach nocy pięcio lub sześciopiętrowy kolos ryczy i wyje i jęczy, z początku głośno, rozpaczliwie,

histerycznie, potem coraz ciszej i ciszej. Ciężarowy samochód zostaje naładowany wszelkiego rodzaju zagrabionym dobytkiem i jak szkodliwy owad, który, opił się krwią, odjeżdża, warcząc groźnie. Z drżeniem oczekuje każdy dom swej kolei. Bezbronni mieszkańcy nasłuchują przy oknach, skąd dochodzą jęki i warkot...

Jeśli jest to dom Nr. 20, my pod Nr. 16 musimy czekać najmniej godzinę, póki numer osiemnasty nie zostanie „zoperowany". Nie ma możności udać się gdziekolwiek lub ukryć, każdy jest jakby uwięziony w swem mieszkaniu, na litość oprawców również nie ma co liczyć. My, to jest M. S., Marusia (lewa socjal-rewolucjonistka, która nie należała do naszej grupy), Stassi z żoną i ja ulokowaliśmy się w ciasnym pokoju w domu wyłącznie zamieszkałym przez Żydów. Na drzwiach przybiliśmy moją kartę wizytową: nazwisko wszak mam czysto rosyjskie.

Do naszego mieszkania, to znaczy pod skrzydła opiekuńcze Rosjan, przybywają sąsiedzi; kobiety przynoszą ze sobą samowary i odzież — w ten sposób chcą ocalić choć część dobytku od grabieży. Nasłuchujemy przy oknie — gdzieś w pobliżu nas warczy auto. Z sąsiedniego domu rozlegają się krzyki. Ludzie cisną się do siebie, płaczą i wyrzekają; wysubtelnione ucho i wybujała fantazja podchwytują słowa i okrzyki z zewnątrz. Grzmiące uderzenia kolb do bramy, z desek pozostają drzazgi, plugawe wyzwiska, tupanie po schodach, znowu uderzenia kolbami — drzwi wyłamane — błagalne wołania, dzikie wrzaski, śmiechy. Piętro po piętrze... idą w górę... aż przychodzi kolej na nas. Stoję ze Stassim przy drzwiach, nasłuchujemy. Pukanie... „My nie bandyci, proszę pani, jesteśmy rosyjskimi oficerami, proszę otworzyć!"

W sieni i na schodach ciżba zbrojnych. Niektórzy noszą niebieskie okulary, inni mają twarze zakryte baszłykami. Całą tę czeredę oświetla ogarek świecy, trzymany przez oficera, który zamaszyście kłania się nogą

i mowę swą przeplata obficie lichą francuszczyzną. Długo rozprawiają z nami. W końcu odchodzą, przepraszają za zakłócenie spoczynku, życzą dobrej nocy. Zaledwie uspokoiliśmy i ułożyliśmy do snu okropnie przerażonych ludzi, ukrywających się u nas, gdy głośne pukanie do drzwi zerwało wszystkich na równe nogi. Zapewne stróżka zdradziła, że u nas ukryli się Żydzi i teraz tamci wracają. Wszystko stracone! Stróżka, zażarta Rosjanka, umie straszliwie kląć i nazywa bolszewikiem każdego Żyda, zanieczyszczającego podwórze, lub nie przychodzącego do domu punktualnie przed zamknięciem bramy; groziła ona, że wyda wszystkich. Wszyscy mieszkańcy drżeli przed tą babą. Straciliśmy już wszelką nadzieję.

Otworzyliśmy drzwi — rzeczywiście była to stróżka, ale sama — zmieniła się przytem nie do poznania: obejmowała i całowała lokatorów, z płaczem opowiadała o okrucieństwach, jakich dopuścili się „pogromszczycy" w mieszkaniach sąsiadów. Potem wyszła. Byliśmy niezwykle zdumieni. Od wczesnego ranku ciągną przez ulice długim szeregiem ranione kobiety i dzieci; po drodze opowiadają znajomym o okropnościach tej nocy. Pogrom trwa kilka dni. Ludzie uciekają z ulic niesplądrowanych jeszcze przez „bohaterów" do dzielnic, gdzie grabieżcy kilkakrotnie już gospodarzyli; szukają schronienia w mieszkaniach Rosjan... Zwolna życie wraca do normalnego stanu. Sklepy są już otwarte. Gazety znowu zaczynają wychodzić. Szulgin powrócił i zaczyna w swym „Kijewlaninie" uprawiać systematyczną nagankę na Żydów; w cynicznych, kłamliwych feljetonach wyszydza tchórzostwo Żydów, którzy na sam widok samochodu ciężarowego wydają przeraźliwe okrzyki i zamykają okna; wspomina o ofiarach „Czeki" i pisze o krwi, wołającej o pomstę.

Czarno na białem widnieje cały szereg adresów mieszkań, z których rzekomo podczas inwazji bolszewickiej strzelano do ochotniczej armji. Numery domów, przytaczane nazwiska, czyniły imponujące wrażenie i wy-

wołały nową falę antysemityzmu, nową falę żywiołowej nienawiści. Fala ta jednak, naskutek czysto ludzkiej reakcji odpłynęła po straszliwym rozlewie krwi—wielu przeżywało to samo, co nasza stróżka. Pogrom — jak pożoga — przenosi się na Słobodkę, Podole i na inne obszary, aż wkońcu generał Dragomirow naskutek telegramu samego generała Denikina (Wysłanego, jak mówią, pod naciskiem Anglików) — występuje przeciw tej akcji, żąda ludzkiego traktowania wszystkich członków społeczeństwa, wyraża ubolewanie z powodu wykroczeń, jakich dopuściła się „armja ochotnicza". Utworzona za zezwoleniem władzy „Liga do walki z pogromami" wydaje kilka spóźnionych odezw do ludności, a dziennik „Kijewskaja Mysl" ogłasza niezbite dowody tego, że wykaz mieszkań Żydów, podany w „Kijewlaninie" jest zmyślony. Utworzona zostaje specjalna komisja i okazuje się, że wszystkie zamieszczone tam adresy są wyssane z palca. Bądź dom zgoła nie istniał, bądź też nie było wcale takiego numeru mieszkania, albo wreszcie nie mieszkał tam nikt o danem nazwisku. „Kijewlanin" liczył zapewne na lekkomyślność i wzburzenie swych czytelników. W Kijowie pogromy ustały, odbywają się jednak nadal w miejscowościach położonych wzdłuż linji kolejowej i w małych miasteczkach.

Niezwykłe okrucieństwo cechuje pogromy w Fastowie — było ich tam osiem lub dziewięć po kolei. Nieludzko katowano bezbronnych mieszkańcow, rozstrzeliwano, wieszano, palono żywcem — całe rodziny na stosach, ułożonych z ich nieruchomości. Ponieważ Kijów jest teraz stosunkowo najbezpieczniejszem miejscem, napływają tam zewsząd zbiegowie.

przełożył L. Frenk.

URI CWI GRÜNBERG.

Jerozolima dolin.

(Wyjątki)

V. ZMUSZENI.

Zmuszeni byliśmy pójść, zostawiwszy całe mienie, a wziąć
[tylko tłumoczek na plecy i golusowe wdziać szaty
A śpiewaliśmy śpiewki niby nowozaciężni, jak rekruci armji
bosych nad brzegami Morza Śródziemnego.
Mówili: w Sjonie fębra pożera chorych.
Mówili: Kanaanita napada na drogach i morduje.
Mówili: gady wkradają się pod kołdrę i gryzą żywcem śpią-
[cych w namiotach.
Mówili, mówili, mówili... lecz myśmy poszli.
Myśmy pójść musieli. Ziemia krzyczała pod naszemi
[stopami, łoża nasze drżały,
Jedliśmy podłego chleba do syta na całe życie. Piliśmy brud-
[nej wody jak grzesznice.
Ze zgrozą patrzaliśmy na naszą brać krzyżowaną. A później
[krzyżowano i ducha.
Musieliśmy znienawidzieć, cośmy dotychczas kochali. Kocha-
[liśmy las i potok i krynicę i wiatraki.
Kochaliśmy drzewo i ryby i wiadro i placki, a w tajemni-
[cy przed sobą samymi nawet dźwięki ich dzwonów.
A także chłopaczków małych o jasnych włosiętach.
Kochaliśmy harmonijkę i flet i śpiewkę ukraińską, tańczące
[dziewczęta wiejskie i kolorowe wstążeczki.
Kochaliśmy chałupy białe, kryte słomą lub cegłą czerwoną.
Kochaliśmy zimę u schyłku.
Ciągnęło nas do okienek małych, podobnych do oczu jastrzębia.
Do wrót w płocie z chrustu, do ryku bydła.
Do jabłek czerwonych i niebieskich śliw!
Pragnęliśmy dotknąć ręką wierzchołków róży!
A pragnienie łzy wyciskało z oczu. A łza paliła niby wino
[mocne... pragnąć

Musieliśmy z bólem: nie zbliżać się do płotu i powiedzieć
[właścicielowi „Dzień dobry", gdyż puszczał na nas
Psy zjadliwe — — —
Musieliśmy opuścić miasta potężne. A lubiliśmy godziny wśród
[dymu kawiarni,
Operę, frak, perfumowane głowy i sale taneczne. Opium,
[fioletowy balet, bulwary i seperatki.
Elektryczność. A nadewszystko gwar miejski. Nowiny dnia,
[dziewki łoże dzielące.
Muzea antyczne i królewskie biblioteki!
Z bólem musieliśmy opuścić miasta i ze łzami palącemi
jako ogień raz jeszcze patrzeć na domy,
Pewni, że lada dzień pójdą z dymem,
Nie całowaliśmy drogich progów. Nie całowaliśmy ścian. Nie
[ściskaliśmy z bólu sprzętów, tak bardzo kochanych.
A odchodząc nie kładliśmy jako psy ciał naszych na ziemię,
[gdzieśmy się bawili.
Gdyż za nami już spoczęła nasza przeszłość z kolorowemi
[szatami, z białemi łożami i baldachimami.
A nasze lata kładły się u naszych nóg niby psy wierne na
[obcej ziemi.

VI. ARMJA PRACY.

Jestem wśród armji pracy na brzegu Morza śródziemnego, pracy
[ciężkiej, co jej ozdobą jest samotność wieczorami
I papierosy, a której końcem są łzy krwawe, niby drogie ka-
mienie w szatach Królowej — Nędzy.
Jadam z nimi mój chleb, chleb czerstwy a na nich i na mnie
[wspierają się gwiazdy wielkie.
Wszyscy oni mieli swe sny marzycielskie i stali się poetami,
[co piszą nie w książkach a w duszy.
I snują swe wiersze na kanwie dni.
Aż nadzieje swe utopili w morzu niby sieć. Aż doszli do
[Wyspy Boga i Klątwy.

Niech milczenie me dojdzie do Boga, to, czego nie wypowia-
[dam a noszę w sobie stłumione i pragnące a za-
[mierzchłe niby słońce o zachodzie.

Gdyż nie można opisać słowy tej głębi mąk ciała i tych
[cierpień,
Ani głębi piękna cierpienia, co ciągle świętuje.

— Och matko, wiedz, gdy mnie zobaczysz, nie poznasz mnie
[więcej. Jestem towarzyszem gromady bosych w pustyni.
Bieda tu chodzi w todze ciernistej, a łoże ma złote na
[brzegu Śródziemnego Morza!

Bo do kogoż się zwrócić z tem ciałem pełnem krwi niby wi-
[na, z tą skargą z ust rozwartych niby rana?
Któż drogim jest jeszcze w świecie prócz tej Ziemi drogiej,
[jeśli nie matka jedyna w Golusie - - - „Wiedz,
[gdy mnie zobaczysz"!...
A niedowiarki wśród nas modlą się wzrokiem do wszystkich
[bóstw; to modlitwa o deszcze
Dla ziemi Izraela i jej skiby.
I tak modli się każda grudka tej ziemi spalonej i chorej
[smutkiem i ciężarem wiecznego Bóstwa...
A wieczorem unosi się plejada tęsknoty i pieśni, co pozba-
[wić mogą zmysłów niejednego.
I spojrzenie palące unosi się do matek, do krainy młodości
[szczęśliwej, gdzie byliśmy
Jeszcze bezpieczni i kochani...
—— Och, matko, raz jeszcze porusz kołyskę i zaśpiewaj, bo
[tacyśmy zmęczeni!
Ja wiem: matki żywe i umarłe wyciągają ramiona tu, do sy-
[nów pustyni.
A inni, wciąż inni przychodzą do Jerozolimy dolin i czekają,
[żali otworzą bramy Wschodu.
Bo jeśli nie —— uchowaj —— biada matkom— zginęliśmy!

VII. U STÓP TWOICH.

Królowie kładą korony u Twych stóp i padają na oblicza
[i są niewolnikami Twymi i Twego Boga.
Nawet Rzym posyła marmur i kryształ i złoto, by wystawić
[świątynię na pagórku.

A my, my Twoi synowie i córy bose, co przyszli z krańców
[świata,
Jesteśmy dziećmi królestwa: Narodu, co rośnie sam przez się
[i stosów kamieni.
Wyszliśmy z narodu żydowskiego z całego świata; niby ślimak
[zwinęliśmy szaty nasze w tłumok.
Ojciec w gniewie, matka płacze, a łoże białe osierocone.
Przynieśliśmy Tobie krew i palce, miłość i muskuły. Ramiona,
[co dźwignąć pragną Glob Żydowski
Z jego cierpieniami ciężkiemi.
I wszystkie nasze sny, wszystkie pragnienia daliśmy za to,
[by być robotnikami biednymi w pustyni.
Któż nam w świecie podobny? Pytaj, Ty przez Tytusa spa-
[lona! Gdzie kochają zardzewiałe królestwo taką
[miłością?
Gdzie wsłuchują się z taką litością w płacz szakali? Gdzie
[śpiewają wśród febry czerwonej? Gdzie giną i milczą?
I chłodzą rozpalone czoła o skały i je całują.
Żar spala powoli naszą młodość, a popiół rozsypuje się dzień
[w dzień wśród szczelin niby złoto.
A nie żądamy zapłaty za naszą ruinę!
I pokrywamy trzęsawiska naszemi ciałami, sadząc krzewy
[eukaliptu.
I dostarczamy żeru robakom w krainie Kanaan,
Iśmy gotowi ciałami wiernemi, we febrze, stworzyć most żywy
[dla Twego przyszłego Królestwa
Ponad przepaścią krwi.
A gdy ktoś ostrzyć będzie miecz w Kanaan i dojdzie aż do
[Ciebie —— zbudujemy ze stosów naszych ciał mur
[obronny!
A jeśli któryś wśród bólu i nieszczęścia niewiernym się staje,
[narzeka i złorzeczy...
Wybacz mu. Wybacz mu i daj mu złorzeczyć, gdyż wielkim
[jest jego ból:
Nie można przecież rękami uciąć głowy i rzucić na skały
A szept węża ma w sobie przecie cień śpiewu.
A nogi te przecież wśród nocy tańczyły tu hora przy
[pieśni „Bóg zbuduje"
I zanim pójdzie do Jaffy, między tych, co odchodzą i zwi-
[nie szaty w tłumok.

Jeszcze dni wiele tak stać będzie u Twych stóp i rąbać
[będzie skały
I chleb swój, chleb czerstwy, jeść będzie w pocie czoła
[i z goryczą palić będzie cygaro, a oczy krwią
[ociekać będą.
I może raz jeszcze przy poświacie gwiazd zatańczy h o r a...
I raz jeszcze zawoła: Bóg zbuduje.

VIII. HASŁO —— PÓJDŹ!

... A teraz bracie, wyjdź z pośród murów i pójdź na Sto
[Bram i kup *tales* za cenę złota,
Które dostaniesz z kasy: zapłatę, żeś był narzędziem, zapłatę,
[żeś chodził nagi.
I owiń się i pójdź do Ściany i módl się z Żydami, jeśliś do
[modlitwy gotowy.
Albo lepiej: kup sobie spodnie i koszulę —— to są szaty
[chaluca i pytaj po hebrajsku. Kędy droga
[do Emek Jizreel.
To jest Jeruzalem dolin; A rzeknąć, kędy iść.
Pójdź i dojdziesz do Emek i zastaniesz braci przy pługu;
[rzeknij im: Szalom bracia, a odpowiedzą: Szalom.
Rzeknij: weźcie mnie do pługa: wezmą cię; a jeśli pracować
[będziesz, pokochają cię jak brata i chleb święty
[spożywać będziesz.
W nocy uczyć się będziesz, jeśliś do nauki skłonny.
A może usłyszy cię dziewczyna przy nauce w nocy, spo-
[dobasz się jej i zechce być twoją żoną i urodzi
Ci synów, co z rana wołać będą: Aba — Aba.
A gdy wspomnisz miasto święte, gdzie miejsce świątyni,
[gdzie promienie padają na głowy w turbanach,
Rzekniesz: biada mi. Albo milczeć będziesz a milcze-
[niem będziesz silnym. Przymkniesz
[oczy i zobaczysz świątynię:
Łza wielka, drżąca unosi się w przestworzu, niby błyskawica.—
A gdy wspomnisz Golgotę gdzie wieszano cię na słupie,
[może tam pojdziesz, może znajdziesz Piłata.
Może mścić się będziesz!
Och, bracie, pójdź, bo już nadszedł czas. Już dopełniła się
[miara. Wołają: Pójdźcie.

Czy nie słyszysz dzień w dzień grzmotów: Po raz trzeci
[budują Miasto za drogami ciernistemi.
To odgłos uderzeń o skały, gdzie robotnicy Izraela tłuką,
[biją dynamem:
Wspomnijże starą modlitwę i rzeknij głosem donioślejszym
[od grzmotów: Jego mocy i potęgi pełen
[jest świat!

Z hebrajskiego przełożył

Dr Szymon Lustig.

ANATOL FRANCE.

Prokurator Judei. *)

Nazajutrz pod wieczór udał się Lamja do domu Poncjusza Pilatusa. Dwa łoża tylko czekały na biesiadników. Stół, zastawiony bez zbytniego przepychu, lecz obficie i godnie, dźwigał srebrne półmiski, na których leżały figojadki w miodzie, drozdy, ostrygi z Lukryńskiego jeziora, oraz sycylijskie minogi. Podczas jedzenia Poncjusz i Lamia wypytali się nawzajem o swe niedomagania i opowiedzieli jeden drugiemu o lekach, które im polecono. Potem uradowani spotkaniem w Bajach, jęli unosić się nad pięknością wybrzeża i łagodnością klimatu. Lamja wychwalał wdzięk kurtyzan, które, obładowane klejnotami, przechadzały się nad brzegiem morza, wlokąc za sobą długie zasłony, haftowane przez barbarzyńców. Lecz sędziwy prokurator pałał oburzeniem na próżność, która sprawiała, że dla marnych klejnotów i siatek pajęczych, utkanych ręką ludzką, złoto rzymskie przechodzi w ręce ludów obcych, a nawet wrogów Cesarstwa. Potem skierowali rozmowę na wielkie prace, których dokonano w okolicy, na ów most wspaniały, przerzucony przez Kajusza pomiędzy Bajami a Puteoli, oraz na kanały, wykopane na rozkaz Augusta, ażeby przeprowadzić wodę morską do Lukryńskiego i Awerneńskiego jeziora.

— I ja także, westchnął Poncjusz, chciałem przedsięwziąć prace użyteczności publicznej, zakrojone na wielką skalę. Kiedy, na moje nieszczęście, powierzono mi rządy nad Judeą, sporządziłem plany akweduktu, długiego na dwieście stajań, który w obfitości dostarczać miał Jerozolimie czystej wody. Wysokość poziomu, pojemność zbiorników w modułach, kąt nachylenia spiżowych kielichów, wszystko to wystudjowałem i po naradzie z mechanikami sam rozwiązałem

*) Obacz zeszyt V. „Nowego Życia" str. 340—246.

wszelkie trudności. Opracowałem przepisy dla straży, która miała baczyć, ażeby poszczególni obywatele nie czerpali wody ponad dozwoloną miarę. Zamówiłem architektów oraz robotników. Kazałem rozpocząć pracę. Ale mieszkańcy Jerozolimy miast radować się, że oto rosną potężne arkady, pod któremi wraz z wodą zdrowie przypłynąć miało do ich miasta, uderzyli w przeraźliwy lament. Krzycząc, że popełniam bluźnierstwo i świętokradztwo, rzucili się zgrają na robotników i zburzyli podwaliny. Powiedz, Lamjo, czy można wyobrazić sobie plugawszych barbarzyńców? A jednak Witeljusz przyznał im słuszność i rozkazał mi przerwać roboty.

— To wielkie pytanie, rzekł Lamja, czy należy uszczęśliwiać ludzi wbrew ich woli.

Pončjusz Pilatus nie słuchał go i ciągnął dalej:

— Nie chcieć akwaduktu! Cóż za szaleństwo! Ale wszystko, co od Rzymian pochodzi wstrętem przejmuje Żydow. Jesteśmy dla nich istotami nieczystemi, i obecność nasza jest już profanacją. Wiesz przecie, że nie odważali się przestąpić progów pretorjum z obawy zanieczyszczenia, i że musiałem sprawować urząd swój pod gołem niebem, na placu, wyłożonym płytami marmuru, gdzie przychodziłeś tak często. Żydzi lękają się nas i pogardzają nami. A Roma jest przecie matką i opiekunką ludów. Czy nie garną się wszystkie do jej piersi czcigodnej, czy nie uśmiechają się do niej? W zwyciężonych widzimy li tylko przyjaciół, a przeto pozostawiamy i zapewniamy im prawa ich, oraz obyczaje. Czyż nie szarpali Syrji liczni królowie, zanim ją podbił Pompejusz, czy nie teraz dopiero nastąpiły dla niej błogie godziny pokoju? A kiedy Rzym sprzedawać mógł dobrodziejstwa swoje za cenę złota, czy zabrał skarby, któremi przepełnione są świątynie barbarzyńców? Czy złupił boginię Macierz z Pessynuntu? Jowisza z Morymeny i Cylicji? Boga Żydów z Jeruzalem? Antjochja, Palmira i Apameja, spokojne o bogactwa swoje, nie lękają się już Arabów z pustyni i wznoszą świątynie na cześć Genjusza Rzymu oraz Boskości Cezara. Jedni tylko Żydzi nienawidzą nas i opór nam stawiają. Haracz wydzierać im trzeba i stale odmawiają rekruta.

— Żydzi, odparł Lamja, przywiązani są ogromnie do prastaryah obyczajów. Podejrzywali, że chcesz obalić ich prawodawstwo i zmienić ich obyczaje. Obawy te były płonne, przyznaję. Wybacz jednak, Poncjuszu, ale muszę ci powiedzieć, że niezawsze postępowałeś tak, aby rozprószyć ich nieszczęsne podejrzenia. Bezwiednie może lubiłeś podniecać ich obawy, i nieraz sam widziałem, żeś zdradzał wobec nich pogardę, jaką wzbudzały w tobie ich wierzenia oraz obrządki religijne. Najboleśniej drażniłeś ich tem, żeś kazał legjonistom strzec w wieży Antonja świętych szat arcykapłana. Żydzi nie wznieśli się, jak my, do rozpamiętywania rzeczy boskich, przyznać im jednak należy, że odprawiają obrzędy odwieczne, a przeto czcigodne.

Poncjusz Pilatus wzruszył ramionami:

— Nie mają dokładnego pojęcia, rzekł, o istotnej naturze bogów. Oddają cześć Jowiszowi, lecz pozbawiają go imienia i oblicza. Nie wielbią go nawet pod postacią kamienia, jak to czynią niektóre ludy Azji. Nie wiedzą nic o Apollinie, o Marsie, o Plutonie, o Neptunie ani o żadnej z bogiń. A jednak wydaje mi się, że musieli niegdyś uprawiać kult Wenery. Albowiem po dziś dzień jeszcze kobiety ich składają na ołtarzu gołębie jako ofiarę, które pod portykami świątyni sprzedają przekupnie — wiesz o tem równie dobrze jak ja. Któregoś dnia doniesiono mi nawet, że obłąkaniec jakiś rzucił się na handlarzy ofiar i powywracał klatki z ptakami. Kapłani oskarżyli go o świętokradztwo. Wydaje mi się, że zwyczaj składania synogarlic na ofiarę ma źródło w kulcie Wenery. Czemu śmiejesz się Lamjo?

— Śmieję się, rzekł Lamja, z zabawnej myśli, która, nie wiedzieć skąd, przyszła mi do głowy. Pomyślałem sobie, że Jupiter Żydów mógłby przecie zjawić się kiedyś w Rzymie i wywrzeć na tobie swoją nienawiść. Bo czemużby nie? Azja i Afryka dały nam już tylu Bogów. Rzym widział świątynie, wznoszone na cześć Izydy i szczekającego Anulisa. Na ulicach a nawet na placach wyścigowych spotykamy osła, dźwigającego Dobrą Boginię Syryjczyków. A czy wiesz, że za pryncypatu Tyberjusza jeden młody wojak przebrał się za rogatego Jowisza Egipcjan i w przebraniu tem uzyskał względ-

dy pewnej wielkiej pani, która zbyt była cnotliwa, ażeby czegokolwiek odmówić bogom. Drżyj, Poncjuszu, by niewidzialny Jupiter Żydów nie wylądował kiedyś w Ostji!

Na myśl, że bóg jaki przybyć by mógł z Judei, uśmiech prześliznął się po surowem obliczu prokuratora. Po chwili odparł poważnie:

—Jakżeż mogliby Żydzi nadać swe święte prawo innym ludom, kiedy sami szarpią się między sobą o wytłumaczenie tego prawa. Rozbici są na dwadzieścia wrogich sekt. Sam widziałeś, Lamio, jak na rynkach złorzeczą sobie nawzajem, potrząsajac zwojami prawa, i wydzierając sobie brody. Widziałeś, jak zbierają się pod cokołem świątyni dokoła jakiegoś nędzarza, ogarniętego szałem proroczym, i na znak rozpaczy rozdzierają swe plugawe szaty. Nie rozumieją zgoła, że można w pokoju, z pogodą w duszy dysputować o rzeczach boskich, które są jednakowoż okryte zasłoną tajemnicy i pełne niepewności. Albowiem natura Nieśmiertelnych ukryta jest przed nami, i nie możemy jej przeniknąć. Mimo to sądzę, iż należy wierzyć w Opatrzność. Ale Żydzi nie mają żadnej filozofji i nie mogą ścierpieć różnicy w zdaniach. Przeciwnie, uważają za godnych najsurowszej kaźni tych wszystkich, którzy mają inne niż oni uczucia religijne. A że od czasu, gdy Genjusz Rzymu panuje nad nimi, a wyroki ich trybunałów muszą być zatwierdzone przez prokonsula lub prokuratora, zmuszają co chwila rzymskich urzędników do podpisywania swych ponurych dekretów. Bezustannie rozlegają się wokół pretorjum głosy, żądające przy śmierci. Sto razy łączyli się z kapłanami bogacze i nędzarze, oblegali prokuratorskie krzesło ze złoniowej kości i szarpiąc mnie za połę togi, za rzemienie od sandałów, domagali się, żądali odemnie śmierci jakiegoś nieszczęśnika, którego zbrodni nie mogłem się dopatrzeć i którego uważałem jedynie za takiego samego obłąkańca, jak jego oskarzyciele. Sto razy, co mówię! Tak było co dnia, co godziny! A jednak musiałem czynić zadość ich prawom, albowiem Rzym kazał mi być nie burzycielem lecz podporą ich prawa, i w moich rękach były rózgi oraz topór. Starałem się zrazu przemówić im do rozumu, próbowałem wydrzeć kaźni nieszczęsne, ofiary. Ale pobłażliwość moją potęgowała ich

gniew. Niby sępy, łopoczące skrzydłami i ostrzące dzioby domagali się zdobyczy. Kapłani pisali do Cezara, że gwałciłem ich prawa, a prośby te, popierane przez Witeljusza, ściągały na mnie surową naganę. Ileż to razy chciałem, jak mówią Grecy, i sędziów i skazańców rzucić krukom na pożarcie!

— Nie myśl, Lamjo, że żywię żal bezsilny i starczy gniew do ludu, który zwyciężył we mnie Rzymianina i pokój. Przewiduję tylko, do czego doprowadzą nas prędzej czy później. Nie mogąc panować nad nimi, będziemy musieli ich zgładzić. Bądź pewny — ten lud nieposkromiony, co bunt knuje w rozpalonych piersiach, wybuchnie kiedyś taką wściekłością, wobec której dziecięcym żartem okażą się pogróżki Partów oraz gniew Numidów. Żywią w cichości ducha obłędne nadzieje i jak szaleńcy rozmyślają nad naszą zgubą. I tak być musi, skoro czekają spełnienia wyroczni, głoszącej, iż z krwi ich narodzi się książę, co panować będzie nad światem. Nie damy sobie rady z tym ludem. Musi przestać istnieć. Jerozolimę trzeba zburzyć, ażeby kamień na kamieniu nie został. Jestem już bardzo stary, ale może danem mi będzie dożyć dnia, kiedy padną mury Jeruzalem, kiedy ogień pożre domostwa, kiedy w pień wytniemy mieszkańców i solą usypiemy miejsce, na którem stała świątynia. I dnia tego będę wreszcie pomszczony.

Lamja spróbował sprowadzić rozmowę na łagodniejsze tory:

— Poncjuszu, rzekł, nietrudno mi zrozumieć i dawne twoje wierzenia i przeczucia ponure. Zaprawdę, z niekorzystnej strony poznałeś Żydów. Ale ja, com żył w Jerozolimie, jako widz ciekawy, com mieszał się z tłumem, miałem sposobność przeniknąć utajone cnoty tych ludzi, które były przed tobą ukryte. Znalazłem Żydów, pełnych łagodności i słodyczy, których prostota i wierne serce przypominały to, co poeci nasi mówili o starcu z Ebalji. Sam widziałeś, Poncjuszu, prostych ludzi, co bezimiennie ginęli pod chłostą twoich żołnierzy za sprawę, w którą wierzyli. Tacy ludzie nie zasługują na wzgardę. Mówię to, albowiem we wszystkich rzeczach należy zachować umiar oraz sprawiedliwość. Lecz przyznaję, żem nigdy nie czuł do Żydów zbytniej sympatji. Żydówki natomiast podobały mi się ogromnie. Młody byłem wówczas, i Sy-

ryjki niepokojąco działały na moje zmysły. Ich wargi czerwone, ich oczy wilgotne, błyszczące w ciemności, ich powłoczyste spojrzenia przenikały mnie do szpiku kości. Malują się i szminkują, a ciało ich, namaszczone wonnościami, pachnące nardem i myrrą, ma urok niezwykły i przedziwny.

Poncjusz z niecierpliwością wysłuchał tych pochwał.

— Nie byłem z tych, co dają się złowić w sieci Żydówek, rzekł. Zmuszasz mnie, Lamjo, do wyznania, żem nie pochwalał nigdy twej niepowściągliwości. Jeżeli nie dałem ci wówczas poznać, żem poczytywał ci za ciężką przewinę uwiedzenie małżonki rzymskiego męża konsularnego, to dlatego jedynie, żeś gorzko za grzech twój pokutował. U patrycjuszów małżeństwo jest rzeczą świętą — na niem bowiem opiera się potęga Rzymu. Co się zaś tyczy niewolnic oraz cudzoziemek, to stosunki z niemi byłyby bez znaczenia, gdybyśmy w ich objęciach nie nawykali do haniebnej zniewieściałości. Wybacz, ale muszę ci powiedzieć, żeś nazbyt wiele ofiar składał ulicznej Wenerze. Najbardziej zaś ganię ci Lamjo, że nie pojąłeś prawowitej małżonki i nie dałeś dzieci Rzeczypospolitej, co jest obowiązkiem każdego dobrego obywatela.

Ale wygnaniec Tyberjusza nie słuchał już starego prokuratora. Wychyliwszy puhar Falernu, uśmiechał się do jakiegoś niewidzialnego obrazu.

Po chwili milczenia przemówił głosem bardzo cichym, który wzmagał się powoli.

— Ileż rozmarzenia jest w tańcu kobiet syryjskich! Znałem jedną Żydówkę z Jerozolimy. Tańczyła w ciemnej spelunce, przy świetle dymiącego kaganka, na nędznej macie, i uderzała w cymbały, wznosząc w górę ręce. Kleopatra nawet pobladłaby z zazdrości, patrząc na tę dziewczynę, prężącą biodra, z głową odchyloną, opadającą jakgdyby pod ciężarem przepysznych rudych włosów, o oczach, zamglonych rozkoszą, o ciele smukłem, rozgorzałem a omdlewającem. Kochałem dzikie jej tańce, jej śpiew twardy nieco, a jednak tak słodki, kochałem ów półsen, w którym zdawała się żyć! Chodziłem za nią wszędzie. Mieszałem się z podłą zgrają żołdaków, kuglarzy i poborców, która ją otaczała. Któregoś dnia zniknęła, i nie ujrzałem jej więcej. Szukałem jej długo w podejrzanych

zaułkach i po winiarniach. Trudniej było odwyknąć od niej niżeli od wina greckiego. Po upływie kilku miesięcy, od kiedym ją stracił, dowiedziałem się, że poszła z garstką mężczyzn i kobiet za jakimś młodym cudotwórcą galilejskim. Nazywał się Jezus; pochodził z Nazaretu. Ukrzyżowano go, nie wiem, za jaką zbrodnię. Poncjuszu, czy nie pamiętasz tego człowieka?

Poncjusz Pilatus zmarszczył brwi i przesunął ręką po czole; jak ktoś, kto szuka w pamięci. Potem, po chwili milczenia:

— Jezus? szepnął, Jezus? Z Nazaretu? Nie! Nie przypominam sobie.

przełożyła *H. Eliasberg.*

AMELJA HERTZÓWNA.

PROROK.

Nowela

(Dokończenie).

IV.

Elkan stanął i rzucił wzrokiem w dół na łagodnie spływające ku ziemi stoki góry, poprzerzynane żółtemi łanami zboża i zielonemi grzędami winnic. Spokój unosił się nad polami. Elkan westchnął i ciężko opadł na ławę, stojącą przed chatą. Ogarnęło go śmiertelne znużenie, czyhające nań teraz zawsze od czasu śmierci Joaba, niechęć głęboka do jakiekolwiek działania. Nawet myśli leniwie tylko snuły mu się po głowie... Niczego nie chciał, niczego nie pragnął, przyszłość stała przed nim, jak cień złowrogi, nie rozświetlony żadną nadzieją. Jakże mógł marzyć o pokonaniu Asyrji, gdy nie umiał wypełnić stokroć łatwiejszego zadania, zmusić Izrael do należnego Judzie posłuszeństwa. Powinien rozkazywać w Samarji, a musiał prosić, pokorniej bodaj prosić niż w Egipcie, by raczono przystąpić do przymierza... Byli gorsi, po stokroć razy gorsi od innych, nierozumiejący wielkiego niebezpieczeństwa, grożącego im ze Wschodu, zawsze pełni strachu i zazdrości w stosunku do Judei. Jedną tylko pociechę wywiózł z Samarji: oto uzurpator i jego dwór naprawdę obawiali się proroków Boga jedynego, naprawdę czuli się zagrożeni przez pielgrzymki ludu izraelskiego do Jerozolimy. Droga była więc dobrze obrana, ale jakże długa i przykra. Czy to wogóle przystoi jemu, Elkanowi, odwiedzać takiego proroka Amosa, poleconego mu przez Jehonję, i namawiać go do zakłócenia jutrzejszej uroczystości w świątyni Betela, układać się z nim o cenę proroctwa... I bodajby

to jeszcze natrafić na śmiałego oszusta, który zechce wziąć pieniądze, a jeśli spotka człowieka, wierzącego, przekonanego o swem posłannictwie... W takim razie trzeba będzie kłamać i udawać aż do obrzydzenia, i dobrze udawać przed podejrzliwemi oczyma przeciwnika.

Z otwartych drzwi chaty wyszła kobieta, młoda jeszcze, ale zniszczona życiem i nędzą, dwoje dzieci czepiało się okrywających ją łachmanów. Na zapytanie Elkana opowiedziała się żoną Amosową, Sebiją, i oświadczyła, że męża w domu niema. Głos jej drżał, oczy biegały niespokojnie, widocznie bała się obcego, którego niespodziewanie zastała przed swoją chatą. Dzieci z za płachty matki patrzały nań nieufnie. Mówiła bezładnie, zapewniając go, że słońce zajdzie niedługo, że natychmiast powinien wracać do Betel, że w górach w nocy bywa niebezpiecznie. Gdy w odpowiedzi na jej długą przemowę Elkan wyraził zamiar czekania na proroka, niepokój jej wzrósł niepomiernie.

Amosa niema — poczęła szeptać lękliwie — Nie wiem, dokąd poszedł, nic nie wiem, ale nie wróci przed nocą, a może wcale dziś nie wróci.

Elkan patrzał na nią zdziwiony, nie mając zresztą zamiaru ruszenia się z miejsca.

Czego się boisz — zapytał wreszcie. — Przyszedłem, by pokłonić się prorokowi.

Mój mąż nie jest prorokiem — odrzekła prędko. Ani nawet synem prorockim... Chłopem jest, zwyczajnym chłopem, pasterzem, pilnującym stada. Uprawia też winnicę swoją. Spójrz na mnie, czy tak wygląda żona proroka?

-- Mówiono mi w Jerozolimie... —

Ach przybyłeś tu z Jerozolimy, panie, nie z Samarji.. Myślałam. Bo to widzisz, skarżą się na niego często przed królem... Dwa razy go już szukali żołnierze, ale uciekł do Judei... Wygnali mię wówczas z dziećmi. Nasz pierworodny umarł później z głodu... — przerwała

i spojrzała znów podejrzliwie na Elkana... — Ale jesteś sam, prawda sam zupełnie.

— Przecież widzisz! Czy to wiedzieć można...—Nagle niechęć głęboka zaświeciła w jej oczach.—Z Jerozolimy tu przybyłeś — wybuchnęła.—To wyście nauczyli go czcić waszego Boga... Teraz mówi, że duch Boży go nawiedza, ale tego dawniej nie było, przecież pamiętam, dawniej składał ofiary naszym bogom, jak ja, jak wszyscy. Dopiero, gdy wrócił z Jerozolimy... Opętaliście go czarami, kazaliście mu rozbijać ołtarze w gajach świętych, możeś widział po drodze? W jednego żyjącego Boga wierzyć należy, powiada... A co inni bogowie, pozwolą może ma to, mścić się nie będą?—Mówiła prędko i gwałtownie, jak człowiek długo udręczony milczeniem, gdy wreszcie odsunięty zostanie kamień, zamykający wnętrze jego duszy. Podniosła głos:—Gdzie dzieci moje? Urodziłam dziesięcioro, patrz, co mi zostało. Bogowie żądają czci, tak mię matka moja uczyła. Któż moje dzieci obroni przed niemi... Nie Jahwe przecież, On daleko, On broni dzieci jerozolimskich, nie naszych.

Elkanowi przyszły na pamięć jego własne dzieci, których nic nie uchroniło przed zemstą bogów, i nagle ta cuchnąca potem i brudem nędzarka stała mu się dziwnie bliska i droga... Ale nie miał dla niej słów pociechy. Była ciemna, biedna, nieszczęśliwa i nie pojmowała nic oprócz tego, że spotkała ją wielka, niczem niezasłużona krzywda. Jakże tu mówić z nią, wytłumaczyć jej cośkolwiek, uspokoić... Nawet Lia zrozumieć nie mogła, a cóż dopiero ta uboga chłopka z gór samarskich. Przerwał więc jej narzekania i ponownie zażądał widzienia z Amosem.

Wmianka o mężu podziałała, jak zaklęcie czarodziejskie. Potok słów, płynący z jej ust, powstrzymany został natychmiast, przerażenie odmalowało się na jej twarzy.

—Nic mu nie powiesz, panie, prawda? On bywa straszliwy w swoim gniewie... Ja tylko tak mówiłam z żalu, że mi się dzieci nie chowają... Bo ja także wie-

rzę w Boga jedynego, wierzę, na duszę swą przysięgam, że wierzę... Nic mu nie powiesz, prawda. Zresztą nie zobaczysz go, ani dziś, ani jutro, poszedł w góry. Nie znajdziesz go nikt go znaleść nie zdoła.

Słowa te wydały się Elkanowi kłamstwem, widział jednak, że w każdym razie teraz proroka się nie doczeka, bo słońce już zachodziło. Wstał więc z ławy.

—Muszę odejść, — powiedział. Czy powtórzysz mężowi moje słowa?

Kobieta skinęła głową.

— Powiedz Amosowi: Był tu Elkan, syn kanclerza Jehiela, z Jerozolimy i przyrzekł mu...— namyślał się przez chwilę, wreszcie dodał, — swoją wdzięczność i pomoc, gdyby widzący zechciał prorokować jutro podczas uroczystości w świątyni Betela. Wdzięczność i pomoc,— powtórzył z naciskiem, jakiś niewytłumaczony wstyd powstrzymał go od wyraźnego wypowiedzenia swojej myśli. — Zrozumiałaś?

— Mąż może nie wróci dzisiaj—zaczęła Sebija.

— Powtórzysz mu to, co ci powiedzieć kazałem. Pamiętaj, że jeśli zechcę, prorok będzie wiedział jutro o naszej dzisiejszej rozmowie. A więc strzeż się. — Spojrzał z zadowoleniem na jej pobladłą ze strachu twarz i pewny już, że słowa jego dojdą uszu Amosa, zawinął się w płaszcz i zaczął zwolna schodzić do Betel.

Wielkie misy, pełne płonącego oleju, otaczały ołtarz, i światło ich płomieni padało jaskrawo na posąg boga i na postać starszego kapłana, Amazji, składającego mu ofiary. Zresztą półmrok panował w świątyni, a pod stropem zalegały nieprzejrzane ciemności. Woń kadzideł, słodki śpiew harf i głosów chłopięcych, uroczyste słowa kapłanów, tajemniczość obrzędów przemawiały do serc ludzkich. Wszystkie głowy pochylały się kornie, wszystkie dusze pełne były trwożnego wyczekiwania, nawet Elkana ogarnęło wzruszenie. Czy to możliwie, żeby Amos ośmielił się prorokować tutaj w tej

podniosłej chwili. A gdyby nawet tak daleko posunął swe zuchwalstwo, to czyż ktokolwiek zechce go słuchać, czyż nie spotka go zasłużona kara z rąk wzburzonego tłumu, któryby zapewne nie daıował mu przerwania uroczystości. Elkan wzruszył ramionami. Nie rozumiał wcale, jak mógł liczyć na zjawienie się Amosa w świątyni i na jego proroctwo. Gdyby się przynajmniej sam zetknął z widzącym, możeby go wkońcu namówił do wystąpienia, ale dziecinne było spuszczanie się na Sebiję. Niewątpliwie odwiedziny jego musiały pochlebić prorokowi, któż w Izraelu nie słyszał o synu Jehielowym, ale nie mogły wystarczyć do skłonienia go do tak niebezpiecznego przedsięwzięcia. Elkan żałował teraz, że spędził bezużytecznie tyle czasu w Betel i w dodatku poszedł najniepotrzebniej w święcie do świątyni. Chwilowe uniesienie jego minęło i uroczystość poczęła go nudzić. Nie był czcicielem Betela, nic go te obrzędy nie obchodziły, wydawały mu się zresztą brzydkie i ubogie po wspaniałościach, widzianych w świątyniach najbogatszych miast ziemi. Ach, wydostać się stąd nareszcie, ujrzeć znów światło dzienne, poczuć na twarzy świeży powiew wiatru górskiego! Z niecierpliwością wielką śledził ruchy Amazji, starając się odgadnąć, kiedy przestanie bić pokłony bóstwu, kiedy skończy składanie ofiar. Nagle dreszcz niepokoju przeszedł przez tłum, coś poruszyło się, zakotłowało, i Elkan ujrzał cień olbrzymi, przeciskający się przez ciżbę wiernych. Doszedł go jakiś stłumiony strachem szept: „Amos!"

A więc jednak. Zdjął go podziw nad szaloną, nadludzką odwagą proroka... Co teraz będzie?—pomyślał z ciekawością i lękiem, patrząc na ołtarz, za którym zjawiła się teraz potężna postać ludzka. Kosztowne naczynie libacyjne wypadło z rąk Amazji, krusząc się z hałasem na podłodze, rozległy się skłócone dźwięki muzyki, gwar i zamieszanie napełniły świątynię... Ale od ołtarza zabrzmiał głos wielki i wszystko zamilkło, skamieniało w przerażeniu:

„Zaryczy Pan z Syjonu, z Jerozolimy wyda głos swój i będą płakały mieszkania pasterzy, i uschną pola najwyborniejszem".

Amazja próbował zrazu się opierać, jeden z kapłanów pochwycił Amosa za rękę, chcąc go ściągnąć ze stopni, ale widzący poruszył tylko ramieniem, nie przestając prorokować, i śmiałek padł bez zmysłów na podłogę. Podniesiono go, odciągnięto szamocących się kapłanów od ołtarza i prorok pozostał sam na wzniesieniu. Ogień lamp świętych oświetlał jego grubą odzież, ręce, spoczywające na rogach ołtarza, długą, spływającą mu na piersi brodę, lecz twarz i głowa ginęły w gęstym zmroku pod stropem świątyni, i stamtąd padały na głowy tłumu, jak kamienie, groźne słowa:

„ Tak mówi Pan: dla trzech występków Gazy, owszem dla czterech, nie przepuszczę im, ale poślę ogień na mury Gazy, który pożre pałace ich... I wykorzenię obywatela z Azotu i tego, który trzyma sceptr z Askalonu"

— Czego on chce od Filistynów? — pomyślał Elkan zdziwiony. Była to jednak tylko przygrywka, wstęp do właściwego proroctwa, zwróconego przeciwko Judzie i Izraelowi.

„ A chociażem Ja wam dał niedostatek chleba po wszystkich miejscach waszych, wszakżeście nie nawrócili się do mnie, mówi Pan."

„ Uderzyłem was suszą i rdzą, obfitość ogrodów waszych i winnic gąsienice pożarły, a wszakżeście nie nawrócili się do mnie, mówi Pan."

„ Wywróciłem was, jako Bóg wywrócił Sodomę i Gomorę, a wszakżeście nie nawrócili się do mnie, mówi Pan."

„Przeto, że uciskacie ubogiego, a brzemię zboża bierzecie od niego, przeto, że sprawiedliwego za pieniądze sprzedawacie, a ubogiego za parę trzewików."

„Synowie wasi i córki od miecza polegną, ziemia wasza sznurem będzie podzielona, a wy w ziemi splugawionej umrzecie."

W świątyni rozległ się spazmatyczny płacz kobiet. Przed oczyma Elkana stanęło zapomniane już widmo Arbachy, wszystko, co widział wówczas, wszystko, co napełniło duszę jego przerażeniem. I pod wpływem słów proroka zrodziła się w nim pewność, że tak się stać musi z Jerozolimą, że przyjdzie chwila, gdy zobaczy pożar rodzinnego miasta, krew płynącą ulicami, jeńców, gnanych przez żołnierzy asyryjskich. Nadchodził dzień Pański, dzień sądu i kary. Zdawało mu się, że tam pod stropem świątyni, skąd grzmiały słowa proroctwa, zawisła jakaś ciemna, brzemienna klęskami chmura, która zwolna spadnie i pokryje sobą nietylko świątynię, ale i Samarję, i Judeę całą, i niema siły ludzkiej, zdolnej powstrzymać nadciągające nieszczęście. Cóż on sam znaczył, cóż znaczyły poniesione przez niego ofiary, wobec tej nieubłaganej potęgi, która postanowiła zagładę jego ojczyzny. Napróżno walczył Elkan z ogarniającą go rozpaczą. Prorok w tej chwili silniejszy był od jego uczuć, rozumu, woli.

„Po wszystkich ulicach będzie narzekanie, i po wszystkich winnicach zakrzykną: Biada!, gdy przejdę przez środek ciebie, mówi Pan."

„I nawiedzę też ołtarze w Betel i uderzę o ostrza ołtarza, że upadną na ziemię."

Podniesione ręce proroka opadły na rogi ołtarza, i jednocześnie z ich tępem uderzeniem całą świątynię napełnił krzyk olbrzymi, wyrwany z setek piersi. Jak oszaleli rzucali się ludzie z łkaniem na ziemię, wyciągając błagalnie ręce ku groźnej zjawie. Dzikie uniesienie owładnęło Elkanem. Jakieś potężne, a tajemnicze tchnienie rzuciło go na kolana, pełnego lęku i pokornego uwielbienia. Był zwyciężony, oddech z trudem wydobywał się z jego piersi, drżał z przerażenia, porwany słowami widzącego, jak liść jesienny powiewem wiatru.

„Zaprawdę zginie Izrael w huku, krzyku i w głosie trąb."

Świątynia odpowiedziała prorokowi jękiem.

Nazajutrz obudził się Elkan zdziwiony i zawstydzony swojem wczorajszem przeżyciem... Jakże mógł zapomnieć, że Amos był właściwie jego narzędziem, że prorokował na jego żądanie, że liczył prawdopodobnie na przyrzeczoną... wdzięczność. Śmieszne było wzruszać się słowami podobnych ludzi. Coprawda przyczynił się do tego i zmrok panujący w świątyni, i woń kadzideł i ogólne podniecenie. Przytem prorok znał doskonale swoje rzemiosło, przynajmniej raz pochwały Jehońji nie okazały się przesadne. A jednak, co za wstyd, tak się poniżyć! Czyż w niczem się nie różnił od tego stada ludzkiego, oddanego na pastwę każdego silniejszego słowa. Najgorsze, że i teraz jeszcze nie mógł całkowicie odzyskać spokoju, coś pozostało mu w sercu, zwątpienie, niepewność. obawa, a jednocześnie zbudziła się w nim nienawiść do proroka, za to, że go pokonał, że zawładnął choćby na krótko jego duszą i chęć gorąca odpłacenia mu upokorzeniem za upokorzenie. Ale jak? Nagle twarz Elkana się rozjaśniła. Że mu też to wcześniej na myśl nie przyszło! Przecież mógł teraz pójść do Amosa i zapłacić mu za proroctwo. Powinien nawet to uczynić, przecież przyrzekł mu przez Sebiję pomoc i wdzięczność... Tak będzie najlepiej. Pójdzie do proroka, przekona się przy świetle dziennem, że nic w nim niema nadludzkiego, wciśnie mu w rękę worek złota, wyzwoli się z pod jego władzy, która zabierała mu siły, zatruwała życie, budziła rozpacz. Chociaż zaledwie świtało, Elkan zerwał się z łoża i począł gorączkowo gotować się do drogi.

Gdy Elkan po kilku godzinach wspinania się po górach dotarł do chaty Amosa, zastał w niej tylko Sebiję. Kobieta była mniej zalękniona niż poprzednim razem i bez wielkich trudności zaprowadziła go na wązką ścieżkę, wiodącą do winnicy proroka. Elkan zastał Amosa, pochylonego nad krzewami, które oczyszczał z robactwa, i tak zajętego pracą, że nie podniósł głowy

na odgłos zbliżających się kroków. Był to olbrzymi mąż, skrojony po nad miarę ludzką, potężne dłonie, które teraz ostrożnie dotykały jasno zielonych liści macicy winnej, świadczyły o niepospolitej sile, twarz miał tępą, jakby z drzewa ciosaną, twarz chłopa, zdobywającego chleb powszedni ciężką pracą rąk swoich. Elkan patrzał na niego ze zdziwieniem. I to był człowiek, który wczoraj umiał poruszyć, rzucić na kolana tłum cały, pokonać nawet tak zaciętego przeciwnika, jak jego, Elkana... W takim razie mógł być tylko narzędziem, i przez usta jego przemawiał kto inny. Czyżby Bóg Jeszcze raz ogarnął Elkana głęboki lęk przed czemś nieznanem, potężnem i tajemniczem, ale widzący wyprostował się i spojrzał na niego dziwnemi, nawpół obłąkanemi oczyma, i znów wszystko wydało się proste i zrozumiałe. Przez chwilę patrzali na siebie w milczeniu, wreszcie Amos zapytał wręcz:

— Czego chcesz ode mnie

Pytanie stropiło Elkana, nie umiał na nie zrazu odpowiedzieć, rzekł więc tylko:

— Jestem Elkan, syn Jehielowy.

— Tak, wiem, słyszałem już o tobie.

— Od żony twojej?

— Nietylko od żony, przerwał mu prorok—I przedtem, gdym był w Jerozolimie... Imię twoje jest w ustach ludzi, świecisz wszystkim oczom, jak świecznik na ołtarzu... A więc tembardziej pytam, czego chcesz ode mnie? Głos jego zabrzmiał dziwnie, czyżby drwiąco?

Elkan poruszył się niespokojnie, prorok poczynał go gniewać, postanowił skończyć z nim jak najprędzej.

— Przyszedłem ci podziękować, o widzący, za to żeś raczył wysłuchać mojej prośby i prorokować wczoraj w świątyni Betela.

— Nie myślałem o tobie... Duch Boży mię nawiedził. Nic mi po twoich podziękowaniach".

Ach tak, duch Boży go nawiedził. Po wiele razy słyszał Elkan słowa podobne z ust proroków... Znaczyło

to najczęściej, że żądają większej zapłaty. Zupełnie już uspokojony i pewny siebie zwrócił się do Amosa.

— W każdym razie chciałbym ci pomódz. Amazja już posłał gońców do króla ze skargą na ciebie.

— Nie po raz pierwszy.

— Słyszałem o tem... Gdybyś musiał uciekać, dom mój w Jerozolimie stoi dla ciebie otworem, a tymczasem,..—wyjął z zanadrza worek złota i podał go Amosowi.

Prorok wybuchnął śmiechem:

— A więc przyszedłeś, żeby zapłacić mi za proroctwo. Przyrzekałeś przecież Sebiji, jakże tam, wdzięczność i pomoc, tylko, że mi wdzięczności twojej i pomocy nie potrzeba.

— Jesteś otoczony wrogami.

— Czy sądzisz, że Pan, który miecz ognisty włożył w moje usta nie wybawi mię z rąk wrogów moich, gdy taka będzie jego wola... Albo myślisz może, że ciebie wybrał, byś mi pomocy udzielił, ciebie, bałwochwalcę, czciciela obcych bogów.

— Krzywdzisz mię, wierzę, jak ty w jedynego żyjącego Boga.

— Czyżby? Mówił mi Jehońja...

Jehońja! Stąd więc prorok tyle wiedział o nim... Odetchnął głęboko. Tak jak przypuszczał, Amos przy bliższem poznaniu okazywał się dużo mniej groźny niż w świątyni. Nie, żadna nadludzka siła nie odsłaniała mu tajemnic serc ludzkich, ni tembardziej przyszłości... Słyszał cóś nie coś od Jehońji może i od innych, odgadywał resztę... Z uśmiechem na ustach Elkan odpowiedział:

„Jehońja widzi więcej, niż jest do zobaczenia, a przytem kłamstwem się nie brzydzi.

„Zapewne... Dodaj nadto, że jak ty, wypoczywa na łożach z kości słoniowej, zajada cielce tuczone ze stania, namaszcza się drogiemi olejami, i nie ma sprawiedliwości w serca swojem, jak ty... Ale ja sam wiem, kim ty jesteś, ty, który wchodziłeś do świątyń wszystkich bogów świata...“

— Pozwól, nie mogłem obrażać królów, do których posłowałem w imieniu pana mojego.

— Pocóż więc posłowałeś do nich?

— Jakto?... Wiesz przecież chyba, że musimy walczyć z Asyrją i ją zwyciężyć.

— Wy chcecie zwyciężyć Asyrję, wy, którzy nawet nie umiecie przywieść do posłuszeństwa Izraela i staracie się podstępem połączyć go z Judeą. Myślisz, że nie rozumiem, dlaczego wyganiacie starych bogów, dlaczego składacie ofiary w świątyni Pana. Wierzycie może w Niego? O nie!... Jehonja liczy już sekele, które lud izraelski przynosić będzie ojcu jego, arcykapłanowi, a ty—żołnierzy z Samarji, którzy walczyć będą pod twemi rozkazami przeciw Asyrji. Ale Bóg widzi wasze kłamstwa, nie skłoni serca ludu izraelskiego do waszej woli i nie da wam zwycięstwa nad wrogiem.

Elkan słuchał go blady śmiertelnie. Chciał odejść, uciec od tego człowieka, który dawał głos myślom, zrodzonym w chwilach słabości, ale duma nie pozwalała mu nato. Musi zostać i stawić czoło Amosowi.

— Mylisz się, proroku... Bóg da mi zwycięstwo, bo udziela swojej pomocy zawsze tym, którzy łączą odwagę z przezornością... Nie gotuję się do wojny lekkomyślnie... Mam pewnych sprzymierzeńców.

— Pewny jesteś swoich sprzymierzeńców?... Czyż nie widzisz, jak jeden przeciw drugiemu knuje zdradę, jak każdy z nich swoją głowę przedewszystkiem chce uchronić od nieszczęścia. Skąd wiesz, że w tej chwili nie biegną przez pustynię gońcy do wielkiego króla od tych, którzy ci wiarę i pomoc przysięgli. Na kogo liczysz, na Filistynów, Moaba, Damaszek, czy może na Egipt?...

Skąd on wiedział, skąd umiał znaleść słowa dla wszystkich wątpliwości, wszystkich obaw, które nocą spędzały mu sen z powiek? Z udręczonego serca Elkana wyrwały się słowa głębokiego bólu i głębszej jeszcze prawdy.

— Nie mogę liczyć na nikogo, prócz na siebie.

— A na siebie liczyć możesz? Zawsze i wszędzie? Dlaczego dążysz do zniszczenia Asyrji?

— Nie mam wyboru, Niniwa albo Jerozolima.

— Więc chcesz zburzeniem Niniwy ocalić ojczyznę? Takie jest twoje jedyne dążenie? A czy nigdy żadne inne pragnienie nie zrodziło się w twej duszy? Czy nigdy pokusa nie stanęła tak blisko twego serca, że gotów byłeś dla niej wyrzec się wszystkiego, nawet zwycięstwa?

— A choćby tak było, choćbym się raz zawahał, jednak nie uległem, pozostałem wiernym sobie do ostatka... Nie ugiąłem się przed nikim, nie cofnąłem się przed niczem... Poświęciłem wszystko, nawet syna mojego. Przysięgam ci, o widzący!

— Na Boga! — dokończył prorok.

— Nie, na bogów, których czczę i kocham! — zawołał Elkan niezdolny do kłamstwa w takiej chwili. Nie boję się twojego Boga, ani ciebie... Jestem silny i śmiały... Pokonam wszystkie przeszkody... Cóż ty, któryś nigdy nie opuścił Samarji i Judedji, wiedzieć możesz o siłach państw i wyniku wojen, cóż ty chłopie, wiesz o myślach królów.

— Tak, jestem prostym chłopem izraelskim, spójrz na ręce moje, a jednak ty, synu dostojnika, ty, pośle królewski, który oszukiwałeś i okłamywałeś wszystkich królów ziemi, powiedziałeś mi to, z czembyś się nie zdradził przed ojcem swoim, czegobyś nie wyznał na śmiertelnem łożu.

— Słowa te wyrwały mi się przypadkiem.

— Przypadkiem, tobie? Nie jesteś młodzieniaszkiem, jesteś mężem dojrzałym. Wiesz, coby cię słowa te kosztować mogły, gdybym chciał dać świadectwo prawdzie w Jerozolimie... A jednak!... I ty mówisz, że się mego Boga nie boisz, ty, któryś nie ośmielił się skłamać, gdy cień Jego cienia padł na ciebie.

— Składałem ofiary w świątyni Pańskiej w Jerozolimie — odrzekł drwiąco Elkan.

— Wierzę, że starczyło ci odwagi do oszukiwania Go w świątyni Jerozolimskiej, bo Jego tam niema. Czy sądzisz, że on dba o świątynię i ofiary wasze, On, który czyta w sercach... Sprawiedliwości i prawdy żąda mój Bóg, a nie ofiar, i dlatego odwraca się od was, dlatego postanowił waszą zagładę, dlatego wyciągnie rękę Swą na Jerozolimę i obróci ją w rumowisko, na którem nocą wyć będą szakale, a miasta Judzkie zamieni w pustynie, tak iż nie będzie w nich człowieka, jeno zwierzęta dzikie paść się tam będą. Wykorzeni was do szczętu i odrzuci precz od Siebie, bo go czcicie ustami, a nie sercem, a na miejscu waszem posadzi innych.

— Którzy go wcale czcić nie będą — dokończył Elkan, jeszcze raz próbując przeciwstawić się prorokowi.

— Po cóż mu czciciele, Jemu, który jest wiecznym Panem świata?

Amos zamilkł j pogrążył się w zamyśleniu. Płomień, gorejący w jego oczach gasł powoli. Nie był już prorokiem, stał się prostym chłopem, zdobywającym chleb powszedni ciężką pracą rąk swoich.

Ale Elkan i teraz nie śmiał mu nic odpowiedzieć, odwrócił się i ze spuszczoną głową poszedł w dół, drogą ku Betel. A prorok pozostał na wyżynie ze swoim Bogiem.

KONIEC.

ANDRZEJ SOBOL.

Wstań i idż!

(Nowela)

I.

Nikt nie znał jego właściwego nazwiska; nie wiedziano też, gdzie i kiedy się urodził i co porabiał w Rosji, zanim wyjechał zagranicę. W Paryżu tytułował się Jakóbem Balcanem, w Szwajcarji „panem Surajskim", a tu we Włoszech przypomniał mi się, jako Aleksander Homelski. We Włoszech też kupił wózek i osła, za bezcen nabył zepsutą katarynkę, skrzeczącą, jak niekiedy skrzeczą rozzłoszczone stare koty, umocował ją na wózku, osła oplótł pajęczyną barwnych wstążek i tak zwiedził cały półwysep. Osła wabił „towarzyszem Michałem".

Spotkaliśmy się w małej wioszczynie nad morzem, gdzie chwilowo przebywałem, w pobliżu dużego portowego miasta. Dążył na południe. Poznałem go odrazu, aczkolwiek w Paryżu nosił brodę, a tu był ogolony i karykaturalnie podobny do litewskiego księdza—wysoki, chudy, żylasty, długonogi, nosił kapelusz z olbrzymim marginesem, jasno-żółtą aksamitną bluzę, a szyję upiększała jaskrawo błękitna szmata, ni to chustką ni to krawat.

Zatrzymał się niechętnie, lekceważąco podał mi rękę i rzekł:

—A, to pan!—potem schwycił osiołka za uszy—Towarzyszu Michale, zawracamy.—

Przenocował u mnie: podczas kolacji pił wiele i zrzadka, skąpo cedził słowa, z wysiłkiem klecąc zdania, ciężkie, nieudolne.

— Dobrze tu... Niezgorzej można odpocząć... Mówią, Żydzi nie umieją pić. Głupstwo, kłamstwo. Nie wierz pan

Pańskie zdrowie! Francuskie wina wytrawniejsze, włoskie gorsze, a kobiety odwrotnie... Mieć francuską piwniczkę, ożenić się z Włoszką—wcale nieźle. W antraktach—faszerowana ryba. Pańskie zdrowie!—

Ciemniało i fantastyczny błękitny krawat z bujającemi na wietrze końcami, powoli zapadał w mrok; zamigotały światełka; w wieczornym oparze topniała biała dzwonnica Santa Croce. Było cicho i smutno.

A zrana, kiedy pod palącem słońcem morze pokryły mlecznej białości plamy—poszedł, tak samo milczący, jak był przyszedł. Osioł leniwie pociągnął naprzód—piętrzyły się barwne wstążeczki, skrzypiał wózek, turkotały koła; pan Homelski szedł nieco w tyle,—aż w końcu wszystko to zginęło tam, gdzie od czerwonego kościoła krzyżowały się trzy drogi: na południe, w góry i do portowego miasta.

Potem służąca, sprzątając pokój, gdzie nocował mój gość, znalazła pod łóżkiem mały notatnik. Schowałem go w nadziei, że Aleksander Homelski wróci po swą zgubę. Lecz dni mijały, a małego, pociesznego osiołka ze smutnemi, mądremi oczami, niewiadomo czemu przezwanego „towarzyszem Michałem", nie było widać

Pożółkły już winogrady, pociemniało morze—przyszła męcząca, dżdżysta jesień, nudna, jak uprzykrzony gość.

Morze szumi ponuro, ponuro... Przed gankiem strugi deszczu zwisają, jak trąby morskie czasu burzy, za oknem moknie mała wioska, a o zmierzchu, kiedy morze, niebo i brzeg zlewają się w jedną masę i toną w ciemności i tylko morska latarnia na przesmyku Porłomży ledwo uchwytnym płomyczkiem, biorę postrzępiony notatnik, gdzie tytułową kartę zdobi hebrajskie zdanie „lech-lecho", wstań i idż—i liczby—„1908—1914 r." i czytam: Przecież, ja samotny i czyżby ten, co już poszedł, samotnik nie przebaczył mnie, też samotnemu?

II.

„Wszystko jest proste, niema nic strasznego, nic zawikłanego na świece a wszystko się dzieje, jakby niechcąco, przypadkowo". Cóż w tem niezwykłego, kiedy ukochana żo-

na powie ci: „odejdź, już ciebie nie kocham“ — wtedy otwieramy drzwi, idziemy w mrok, w ciemnię nazawsze, ponieważ niema powrotu, ponieważ niema miłości wiecznietrwałej i jedynej. Lecz kiedy ukochana, ciało której było twojem ciałem, której oczy tylko do ciebie należały, rzuca ci w twarz „Żydzie“ i z pogardą odwraca się—wtedy co? Gdzież wówczas poczucie: wszystko jest proste? I jak zapomnieć, jakiemi słowami usprawiedliwić i jakiem zapomnieniem zadręczyć siebie?

Uciec, uciec! Lecz dokąd i jak odejść od świadomości czegoś bezpowrotnego, jak żyć potem, gdy cię spoliczkowano, potem, gdyś padł na ziemię, gdyś ujrzał, że nad tobą niema niebios, niema gwiazd i niema radości?

Trzeba choć trochę zapanować nad sobą i uciec, uciec!

Ostrożnie odchyliłem jej rękę:

— Tak, jestem Żydem, ale czyż ty wcześniej o tem nie wiedziała? —

Wypowiedziałem to spokojnie, zapalając papierosa. Nie lubię zbytecznych gestów.

Wieczorem zapukała do mnie i prosiła:

— Wpuść mnie, słuchaj, wpuść. Słuchaj, tyś mnie źle zrozumiał, przecież ja niechcąco. Zdenerwowałeś mnie, byłeś uparty, no i nie wiedziałam co mówię. Czy słyszysz, wpuść, wszak rozumiesz, że ja nie umyślnie. —

Lecz ja całem ciałem przytrzymałem drzwi; potem słuchałem, jak żona płacze i patrzałem, jak śnieżki wirują w poświacie latarni.

W nocy przejrzałem wszystkie jej listy — w powieściach, jakie kiedykolwiek czytałem, oszukani, rozczarowani, znieważeni i t. p. mężowie, czynili wszyscy tak samo — i w każdym wierszu znajdowałem to, czego szukałem, czegom dawniej nie dostrzegał: początek dzisiejszego końca. Kiedy zniszczyłem całą jej korespondencję — pogratulowałem sobie. I przypomniałem sobie duchownego, ktory mi udzielił chrztu i chrzestną matkę i nasz ślub. Ślub wzięliśmy na południu. Rozkwitały wtedy mimozy i za ogrodzeniem kościoła było ich dużo. Wracając z kościoła, powtarzałem

żonie: Jesteś wątła, delikatna, jak mimoza i pachniesz, jak mimoza.

Tak, delikatna i wątła. Lecz czy może, czy śmie pokrzywa zbliżać się do mimozy? Wtedy mimoza zwija płatki truchleje: noli me tangere—krzyczy... Tak, tak, wiem, niechcący...

Kiedy żona zasnęła, stanąłem nad jej łóżkiem. O, jesteśmy narodem bez sentymentów — to był chwilowy, nienormalny odruch. Spojrzałem na nią, nie pamiętam, jak długo trwałem w tej pozycji, nie wiem, czy minutę czy godzinę, lecz kiedy wróciłem do swego pokoju — wiedziałem, że przeszłość umarła, że powrotu niema, że wszystko co w duszy najlepsze — zdeptane i że pora się ocknąć. Już dniało, zabłysnęło słońce — lecz oczy bolały od słońca, skrzyp śniegu i rześki huk pędzącego dnia przejmowały mnie dreszczem. Człowiek zawsze się wzdryga, kiedy go znienacka zbudzą, gdy nawet ma przeszło trzydziestkę — jest analitykiem i wie, że nieubłaganie żywotnem jest stare przykazanie „łech lcho" — wstań i idź. Dokąd?

Na obiad przyszedł Michał, brat żony. Szeroki w barach, przystojny. Włosy ostrzyżone „na jeża", znany kooperatysta, nosi wspaniałe kamizelki, a ja mam włosy i brodę rozczochrane i nie mogę zrozumieć różnicy między kooperatywą a towarzystwem akcyjnem. Lecz pracujemy zgodnie w bardzo radykalnem wydawnictwie, kolegujemy ze sobą, lub, jak zwykł mawiać, stoimy na wspólnej platformie.

Żona nie wyszła do obiadu. Michał, zapewne coś przeczuwając, poszedł do niej. Po chwili wrócił, zbliżył się do mnie szybkim krokiem, nerwowo wymachując rękami i otwierając szeroko usta. Domyśliłem się o czem będzie mówił, odwróciłem się i zszedłem z naszej „wspólnej platformy".

Ba, jesteśmy ludźmi bez sentymentów i gdy nam źle na jednej platformie, przechodzimy na drugą.

A więc w drogę. Powiadam:

— Tułali się po świecie twoi przodkowie, (chrzestna matko, nie mówię do pani) tułaj się ty też!

Otrzymałem list od Michała. Wiem, gładził jedną ręką swego „jeża", a drugą pisał, że nie wolno, nie wolno z jed-

nego, niebacznie wypowiedzianego słowa, czynić ogromu, jest to doprawdy chorobliwa drażliwość. Cóż robić, towarzyszu Michale, ja już z takiego ciasta i na wszystkich peronach dworców kolejowych całego świata będę reklamował swój ból.

III.

Dokąd pójść, jakiemu Bogu służyć i jak się modlić, kiedy oczy drogi nie widzą, a uszy głuche na wszystko i kiedy wiem jedno tylko: wstań i idź.

W Salonikach stary Żyd w fezie, podobny do Turka, częstuje mnie mokką, gwarząc łamanym niemieckim językiem i pyta o pogromy. Słyszał kiedyś o Kiszyniowie. I jeszcze pyta, czy my, mieszkający w Rosji, wiemy o ich niedoli, czy słyszeliśmy o tem, jak burzono ich domostwa i czy wierzą rosyjscy Żydzi w przyjście dnia wolności i zjednoczenia. Odrzekłem:

— Tak, kiedy biją Żyda w Salonikach, płacze Żyd w Homlu.—

Źle władam niemieckim, on jeszcze gorzej.

Tu tętni ulica, śpieszą gdzieś Grecy, Turcy, Arabowie, migają wysokie turbany, zakwefione kobiety, wrzeszczą ludzie, ryczą osły, świszczą bicze—a w tym tętencie i szumie dwaj Żydzi chcą się zrozumieć nawzajem i nie mogą, a niebo nad nimi błękitne.

Tak, biją kogoś tam w Salonikach, a inny nie uznaje ani helleńczyka ani judejczyka, idzie do kościoła i szepce swej lubej: tyś wysmukła, delikatna jak mimoza.

Wieczorem nająłem przewoźnika i wypłynąłem na morze. Na statkach płonęły ognie, grała muzyka. Przed dwoma laty byłem z żoną nad Świętojańskiem jeziorem, opowiadała mi wówczas o niewidzialnym gradzie i o tem, że przyjdzie chwila, kiedy ten grad rozegra się tysiącem dzwonów, niosąc pokój i światło.

Niech gra, niech dzwoni, ja i tak nic nie usłyszę, wszystko to kłamstwo. I naraz w odbiciu okrętowych ogni

na lustrzanej tafli wody dostrzegłem „jeża" towarzysza Michała. Syknąłem przewoźnikowi:

— Wracaj! —

Nie dosłyszał mnie. Wyrwałem wiosło i silnem uderzeniem cofnąłem łódź.

Znów jestem w podróży bez kresu.

Czy nie brzmi to jak drwiny ze wszelkich praw: Żyd-włóczęga?.

W Messynie piję jakieś dziwne wino. Ulice jakby zamarłe i zdaje się: wciąż jeszcze snują się szaleńcy, napełniając ruiny dzikiemi wrzaskami.

Jak w mojem mieście, lecz ja nie krzyczę, cicho siedzę w nowo-odbudowanej kawiarni i patrzę na miasto cieni i na cienie ludzi.

Wiem: w nocy będę śnił o Rosji, wiem: w nocy będę się włóczył po rosyjskich polach.

Kładę oto cegłę za cegłą, lecz mur rośnie wolno, a przecież miesiące pędzą. Zły ze mnie budowniczy i kiedy się wspinam z cegłą po rusztowaniu, łatwo mnie z dołu chwycić za stopy.

Drżę o swą stopę i nie dowierzam jej—trzeba szybciej, zwinniej przebierać nogami.

Dudni, huczy Paryż—miły i wyrywający, ostrożny i zły, wesoły i chmurny, co godzina inny, co sekunda odmienny a zawsze, zawsze zdradliwy i piękny.

Paryż—moja węzłowa stacja.

Pierwszy dzwonek.—Dokąd?—

Na St. Michel kupuję rosyjskie pisma, zionie z nich beznadziejna tęsknota, jakbym w dżdżysty dzień znalazł się w zapomnianym lesie, a za lasem w mokradłach kwacze cyranka.

Pieniądze są na wyczerpaniu — tem lepiej.

Próżno wytężam pamięć: co zdążyli zabrać praojcowie nasi uchodząc z Egiptu?

W czytelni Św. Genewefy ciepło i cicho — mogę flegmatycznie, nie spiesząc się, wertować ciężkie foljały i czy

tać, o tem jak ongiś olbrzymie gromady ludzi wędrowały z kraju do kraju. Wtedy nie było kolei, była zato wiara.

A dziś kto mi da wiarę? Nikt. I na cóż ona? —

„I budowali oni Pytom i Ramses...“

IV

W poniedziałek zrana w sklepiku p. Bauriget odmówiono mi kredytu.

Niebo nad Paryżem wisi mokrą ścierką i nawet większe bulwary puste są i smutne, jak wieś w nocy podczas zimowej zadymki.

Jedyna tutaj moja znajoma z Rosji—to Rebeka Menagid. Portmonetka jej, rzucona w kąt na etażerkę, leży niepotrzebna, zmarszczona, jak gąbka, z której wyżęto wszystką wodę.

— Czekać będziemy nadziei — powiada Rywa.

— Jakiej?

— Cudu.

Wierzy jeszcze w cuda — chudziutka, cieniutka Rebeka, zapalczywie wierząca w Tołstoja i tak skandalicznie wymawiająca „sz“ zamiast „s“.

Rywa rozczytuje się też w „Knucie Hamsunie“ i lubi mnie — jej zimno w Paryżu, to miasto przygniata ją, straszy swym niepojętym ogromem — i widzę, jak lgnie do mnie, jak łaknie odpowiedzi.

Kiedy piję absynt — blednie i mówi:

— Nie trzeba — potem prowadzi mnie, słaniającego się, wzdłuż ulic ciemnych, śpiących i ciągle pyta:

— Teraz dokąd, Jakóbie: na prawo, czy na lewo?—

Odpowiadam:

— Nigdzie. —

Lecz Rywa wie: nigdzie — to bezsensowne, tak odpowiadają pijacy — i wiedzie mnie na chybił - trafił, a Paryż ściele się szerzej i szerzej.

— A teraz, Jakóbie, dokąd? -- pyta beznadziejnie. Obok pędzą auta, ich ogniste ślepia wnikają w noc i tajemniczo giną ze złowrogim warkotem.

Już czwarty dzień nie byłem u Rywy. Głód tłumi wszelką myśl, głowa ciąży, zadzierasz ją do góry i czytasz wszystkie szyldy. Później ostre kłucia w żołądku — wtedy oczy wpijają się w wystawy sklepowe, lecz zawsze w wystawy sklepów spożywczych, piekarń i jatek.

Na rue Rivoli staję. Jak zwykle, ulica ta pełna jest światła, jak kokietka, chełpiąca się fałszywemi brylantami od Tait'a.

Chwila — a zwalę się na bruk a wtedy wszystkiemu koniec, wtedy już nie wstanę i nie będzie Rebeki, by mi mogła powiedzieć:

— Ja proszę, Jakóbie, niech pan wstanie. —

Wysiłek, drugi — idę dalej. Jestem na rue des Ecauffes, tu wszystko żydowskie, kramy, szynki, szyldy pisane po żydowsku, kioski z żydowskiemi gazetami, na ladach, zwykłych francuskich ladach, piętrzą się talerze z siekanką, na półmiskach w żółtym sosie pływają kawałki faszerowanej ryby. Ciemna, wąska ulica, słabo oświetlona, pełna krzykliwej dziatwy i żydowskich ogłoszeń, po śliskim bruku człapią stare kobiety i starcy w wypłowiałych surdutach.

I tu właśnie spotkałem p. Perelmana — dyrektora teatralnej trupy z Finladelfji, byłego subjekta w hurtowni herbaty na Trockiej ulicy w Wilnie. Siedziałem na chodniku na progu jakiejś jadłodajni, z której właśnie wychodził, a za nim ktoś wołał:

— Panie Perelman, pan jeszcze pożałuje! — a pan Perelman odpowiadał:

— E, zobaczymy —

I trącił końcem trzewika mój łokieć. Dopiero teraz mnie dostrzegł.

— Gdzie-żeś się pan tak upił? A jeszcze Żyd. —

Całkiem obojętnie odpowiedziałem:

— Cztery dni nic nie jadłem. —

Wtedy p. Perelman dźwignął mnie z chodnika i powiódł do restauracji. Nie sprzeciwiałem się, wogóle nie mogłem myśleć: byłem głodny, a tu zalatuje wonią mięsa i chleba, czy nie dosyć?

— Pani Fichtman, porcję wątróbki — zamówił p. Pe-

relman, a od stolika w głębi podniósł się szybko mały, chuderlawy żyd w żółtym kapeluszu i zaszeplenił:

— Pan przecież wrócił, mówiłem, że pan jeszcze będzie żałował.

— Nie do was przyszedłem, Merczyk, nie ciesz się pan zawczasu.

Dymiła się smażona wątróbka, rozkosznie drażniła powonienie siekanka, a obok mały Merczyk żałośnie nagabywał o coś p. Perelmana i obaj mówili o jakichś dziwnych, niezrozumiałych rzeczach.

— Panie Perelman! Powiadam panu niech mi pan da Gruzenberga, nie zawiodę pana, Panie Perelman! Ja w moim cylindrze... Będę, jak żywy Gruzenberg.

— Merczyk! przecież pan dwuch słów nie zwiąże, pan szepleni, a pański cylinder w lombardzie; też adwokat! Przecież Gruzenberg człowiek postawny, a pan — karzeł. Bierze pan Pranajtisa? Niech będzie! Pranajtisa mogę panu dać...

Zjadłem wątróbkę, podniosłem głowę, spojrzałem na Henryka Perelmana, chwila — Henryk Perelman skoczył raptownie z krzesła, uderzył mnie z całym rozmachem w plecy i wrzasnął:

— Żywy Pranajtis, słowo honoru, tylko z brodą precz. To ja rozumiem, to wynalazek!. .

Wkrótce w mojej kieszeni leżała przytulnie pięciofrankówka, jako awans, poprzedzony zwięzłym djalogiem.

— Pan nie oszuka?

— Nie jestem oszustem.

— Panski adres?

— Bouleward Saint-Jacques, numer...

— Dobrze, adieu. Ej, ej, jeszcze jedno: Bałcan mi się nie podoba. Będzie się pan nazywał.., Openhajmer. Nieźle, co?

Dwie godziny potem Rywa jadła swą ulubioną potrawę: łegominę z szodronem, popijając grenadyną i wciąż pytała:

— Więc znalazł pan zajęcie? niemożliwe?

Odetchnąłem. Jak zwykle, wyszliśmy razem. Odprowadziłem ją do bramy. Wiedziałem: wystarczy wyciągnąć

rękę a blisko, całkiem blisko, podejdą dziewicze oczy, ogrzeją... tak... tędy droga... Pójdziesz prosto... pójdziesz na lewo... Zdjąłem kapelusz, poszedłem. Było mi zimno, zimno.

Paryż mókł pod deszczem. Zaczepiła mnie jakaś zapóźniona prostytutka. Rzekłem jej, że jutro golę brodę i wstępuję do klasztoru. Poprosiła o franka. Niestety. Miałem wszystkiego 50 centymów. Podzieliliśmy się tem, życząc sobie wzajem dobrej nocy.

Biała jej suknia była mokra od deszczu i lgnęła jak trykot do ciała. Przyśpieszyłem kroku. Pod mostem na jakiejś galarze świeciła latarka.

V.

W gmachu kinoteatru „L'oiseen d'or" robotnicy przebudowują scenkę. Nad wejściem dwaj francuzi zawieszają kawał płótna z olbrzymiemi literami: „Występy trupy żydowskiej z Filadelfji". Na zewnątrz na wietrze kołyszą się różnokolorowe afisze, pisane tłustym drukiem: „Mendel Bejlis, sztuka w 5-ciu aktach, ciesząca się kolosalnem powodzeniem".

Henryk Perelman prezentuje mi mrukliwego, całego w pryszczach, aktora:

— Poznajcie się, panowie, moja sława—Mendel Bejlis.

— George Zysser.

— Karol Openhajmer.

Podczas próby on mi udziela wskazówek. Henryk Perelman zaciera dłonie:

— Doskonale! Wykapany Pranajtis.

Otrzymuję jeszcze piętnaście franków, a George Zysser powtarza:

— Wzoruj się pan na mnie, uważaj pan na moje ruchy, intonację, a będzie z pana aktor.

George Zysser lubi niekiedy popić, szybko upija się płacze:

— Ja ginę! Kiedyś kochałem teatr, teraz go nienawidzę, ale jeść chcę. Karolu, ja ginę! W Berdyczowie mam żonę i dzieci, a tutaj—ta oto—nie daje mi spokoju - i wskazuje

na panią Elzę Szrub, Wierę Czebyriak. Elza Szrub ma potrójny podbródek, płaskie paznokcie i zachwycające czarne oczy, zasnute mgłą.

Na trzeźwo George Zysser bębni:

— Ja i żydowski teatr... Ja i Adler... Ja i Sonental...

Wkrótce przyłączył się do nas Aron Farber-Gruzenberg, śniady, wesoły aktorzyna, były pedel, almanach anegdot całego świata, piosenek i przysłów we wszystkich językach i gwarach. W przeddzień próby generalnej ja, Aron Farber i Zysser poszliśmy do kawiarni. Zasiedzieliśmy się tam do świtu. Po pierwszej butelce George zapłakał:

— Ja ginę.

Nie wytrzymałem. Krzyknąłem:

— Nie udawaj pan stłuczonej lalki! —

A Farber urwał swój chichot, nie dokończył anegdoty i szepnął.

On nie udaje, z niego dobry człowiek... tylko go ludzie, jak lalkę stłukli. —

Umilkliśmy. Nad ranem, gdyśmy wracali, George Zysser nie odstępował Farbera:

— Nie, ty mi powiedz, cośmy za jedni? Wytłumacz, dlaczego ja nie sprzedaję już więcej sukna, a ty nie kupujesz mąki? Wytłumacz proszę i pożycz mi dziesięć franków. Aha, szkoda ci? Gruzenbergowi szkoda dziesięciu franków dla Bejlisa? Pedlu, w Ameryce jabym ci się nie kłaniał. —

Na ostatniej próbie przed czasem przerwałem monolog przewodniczącego sądu, przez nieuwagę nadeptałem na suknię Elzy Szrub i wcześniej niżby należało zwróciłem się do przysięgłych.

Dziwnie, przecież rolę pamięciowo opanowałem. Ongi odegrałem bez zająknienia trudną rolę, gdzie akcja odbywała się w kościele i gdzie za ogrodzeniem kwitły mimozy, dlaczegóż teraz plączę kwestje i mieszam replikę?

Noli me tangere... Panowie sędziowie, ze spokojnem sumieniem powiedzieć mogę: wszyscy Żydzi, począwszy od oskarżonego, kłamią. twierdząc, że... (akt. II-gi, scena 5-ta).

VI

Zaraz podniosą kurtynę. Ucharakteryzowany, studjuję się w lustrze — doprawdy, wykapany Pranajtis. Obok stoi panna Mary Stern, kreująca trzeciorzędną rolę przyjaciółki Wiery Czebirjak. Opowiada, jak to w zeszłym roku pewien Rumun z Bukaresztu wyznał jej swą miłość, prosił o rękę i serce, ale ona dotychczas się waha, bo nie wie, jak wypada postąpić.

Więc chciałaby zasięgnąć mojej rady. O, naturalnie niema dwuch zdań. Obiema rękami chwycić się trzeba, tembardziej, że ręce te czerwone i zalatują jajowem mydłem.

Dzwonek, pędzę na scenę i znów następuję na suknię Elzy Szrub Zaczynamy. Czuję w sobie siłę, jestem w transie, o, lekcje Georgea Zyssera nie poszły w las. Lecz czemu, czemu tak trwożnie w mej duszy, jakby przed wieścią nieoczekiwaną i złą?

Młodzież, wypełniająca ostatnie rzędy, gwiżdże przy każdem mojem wyjściu.

— To polityka — śmieje się Henryk Perelman i klepie mnie poufale. — Nie warto się przejmować. —

Przejmować? Ja? Darujcie, czyż ja jestem obcy polityce? Czyż nie stałem na wspólnej platformie?

Po skończonej scenie sądu — zatrzęsły się i zadygotały ławy i ktoś z publiczności rzucił we mnie stęchłem jajem. Trafił w twarz i cuchnąca ciecz popełzła po szyi.

Wstrętna zgnilizna na twarzy, na rękach, — duszę się. Oto ona, wieść nieoczekiwana — teraz i ja pachnę.

Jak mimoza Jak świeża mimoza.

Biegnę do narożnej kawiarni, gdzie, mnie czeka Rebeka. Wstaje ucieszona, uszczęśliwiona mojem przyjściem.

Chwytam ją za rękę:

— Rywa!

— Co?! — pyta lękliwie.

— Rywa, ja do domu chcę, do domu!

Odgradza mnie od kawiarnianych gości i uspakaja:

— Idziemy już! Cicho, Jakóbie. Idziemy do domu!

— A gdzie dom mój, gdzie dom mój? — pytam i pragnę i czekam odpowiedzi, jak cudu potężnego, ewangelicznego cudu.

— Gdzie? Na Saint-Jaques — śpiesznie, trwożnie odpowiada i ciągnie mnie za rękaw...

Dość, przyznaję się — jestem zmęczony. I jeszcze wyznać muszę: dość tej zabawy, bo wieko zapadnie i skończę sromotnie, jak ta broda moja. Dość, chcę odpocząć, chcę zwyczajnie, zwierzęco, słońca, zieloności, sam. . bez Żydów.

Poruszam wszystkie sprężyny, czynię bohaterskie wysiłki — jestem we Włoszech. Słońce radośnie bluzga promieniami. W moim kraju słońce nigdy się nie raduje. Obliczyłem kapitały i wnioskuję, że mogę rozsądnie zacząć nowe życie. Kupiłem zadziwiający wszystkich kapelusz, rażąco - błękitny krawat, i aksamitną bluzę, z niezliczoną ilością k eszeni. Będę je wypychał moją przeszłą, głupią i śmieszną wiarą. P r z e b r a ł e m się. Jestem bardzo malowniczy.

Kupiłem wózek, katarynkę, brak mi tylko osła. Nie można bez osła.

Sprzedaję więc wszystkie niepotrzebne graty, dodaję do otrzymanej sumki resztę lirów i mam osła. Wyprowadziłem go nad morze, zanurzyłem w słonej wodzie i ochrzciłem go „towarzyszem Michałem".

Była to ostatnia danina, spłacona przeszłości. Ktoś, nie pamiętam kto, powiedział mądre zdanie: w karecie przeszłości daleko nie zajedziesz. Ale na ośle przeszłości?

A więc, mój ośle, w drogę!

Tłumaczył z rosyjskiego

J. Krupicki.

Nekrologja.

Regina Lilientalowa.

I znów ubyło małej garstce ludzi nauki żydowskiej w Polsce jednego pracownika, we czwartek dnia 4 grudnia r. b. zmarła w 48 roku życia tu w Warszawie, po nieszczęśliwej operacji, Regina Lilientalowa.

Regina Lilientalowa z domu Eiger ujrzała światło dzienne w r. 1877 w Zawichoście, a pierwsze wykształcenie odebrała w progimnazjum w Sandomierzu, gdzie spędziła lata dziecinne. Następnie mieszkała przez szereg lat w Zwierzyńcu (obok Zamościa), poczem wyszedłszy za mąż do Warszawy, osiadła tutaj na stale.

Już od młodości miała bł. pam. Lilientalowa zamiłowanie do gadek i bajek, patrzyła też z ciekawością na rozmaite obrzędy i zwyczaje, a zamiłowanie to pogłębiła i naukowo ujęła pod wpływem Ludwika Krzywickiego, którego wykładów słuchała w „lotnym uniwersytecie polskim w Warszawie" w okresie przedrewolucyjnym. Były to czasy, w których w nauce panował liberalizm i uczeni polscy byli radzi, że ktoś pogłębia i buduje naukę żydowską, a szczególnie wiadomości historyczne i folklorystyczne z życia żydostwa polskiego. Chętnie tedy pomieszczano ludoznawcze artykuły Lilientalowej w „Wiśle" i w „Ludzie" jakoto: „Przesądy żydowskie", „Wierzenia, przesądy i praktyki ludu żydowskiego", „Zaręczyny i wesele żydowskie", „Pieśni ludowe żydowskie" (w przekładzie polskim białym wierszem), „Życie pozagrobowe i świat przyszły w wyobraźni ludu żydowskiego" i obszerną rozprawę: „Dziecko żydowskie"[1], która również wyszła w „Mitteilungen zu jüdischen Volkskunde" Grunwalda w przekładzie niemieckim Alfreda Landau'a[2]. Nie tu miejsce dla wyliczenia wszystkich rozpraw tej badaczki folkloru żydowskiego, tyle należy stwierdzić, że wszystkie opierają się na ścisłych badaniach naukowych, oraz na własnej obserwacji Lilientalowej i stanowią nader cenne przyczynki do antropologji i zwyczajoznawstwa żydowskiego.

---

[1]) Materjały antropologiczne - archeologiczne i geograficzne Akademji Umiejętności w Krakowie 1904, tom VII.

[2]) „Das Kind bei den Juden", Mitteilungen 1909, Zeszyt 1—2.

Od folkloru w teraźniejszości był krok do badania zwyczajów w przeszłości, do analizy legend żydowskich zawartych w Midraszu i w obu Talmudach, nie licząc opowiadań biblijnych z ich przepięknem tłem i wschodnim kolorytem. Z wielką wytrwałością zabrała się Lilientalowa do studjum przeszłości żydowskiej, badała zrazu Biblję w tłumaczeniach niemieckich czy rosyjskich, a także i Talmud czytała w przekładzie Pereferkowicza i Goldszmida. Lecz z czasem na tyle poznała język hebrajski i aramejsko-chaldejski, że umiała sobie dać radę z tekstem oryginału, bodaj dla kontroli tłumaczenia.

I oto na tych badaniach powstaje jej zbiór legend „O wyjściu Izraelitów z Egiptu", „Żywot Mojżesza na podstawie legend żydowskich", drukowany w niniejszem czasopiśmie, „Kult ciał niebieskich u starożytnych hebrajczyków i szczątki tego kultu u współczesnego ludu żydowskiego", oraz jej największa praca, pięciotomowe dzieło p. t. „Święta żydowskie w przeszłości i teraźniejszości", z którego pierwsze trzy tomy już się ukazały w Rozprawach Wydziału Filologicznego Polskiej Akademji Umiejętności w Krakowie (Tom 45—1908, tom 52—1914 i tom 58—rok 1919).

Odsyłając ciekawych do samego tekstu tych dzieł, względnie do recenzji, napisanych przez bł. pam. d-ra Samuela Poznańskiego w „Nowej Gazecie" (18 lipca 1909) i w „Naszym Kurjerze" (4 maja 1920) oraz do mojej recencji w „Książce" (Nr. VI—1914), powiem tutaj jeno pokrótce, że w tychże trzech tomach są opracowane t. zw. święta pielgrzymie (Pesach, Szabuoth i Sukot,) święto Nowego Roku i Dnia pojednania, oraz Chanuka i Purim. Każde święto jest ujęte z dwojakiego kąta widzenia; z historycznego i folklorystycznego, przyczem autorka dąży do wypośrodkowania powstania i rozwoju danego święta za pomocą analizy zwyczajów i rytuału, który się dochował do dnia dzisiejszego. Nie zawsze się jej to udaje, ileże wiele zwyczajów redukuje się do przepisu biblijnego czy talmudycznego i nie da się już bezpośrednio wywieść ze zwyczaju ludowego. Dlatego jest w tem dziele wiele hypotez nieuzasadnionych i wiele przesady, co jednak dotyczy jeno części historycznej. Część folklorystyczna jest bez zarzutu, a często wprost znakomita. Wiele też materjału znajdzie tam badacz prymitywów żydowskiej sztuki ludowej i to tak sztuki plastycznej jakoteż muzyki, choreografji itp. I tak mamy tam znakomite wzory t. zw. różyczek (rozetek) czyli wycinanek przyklejanych zazwyczaj na Zielone Świątki na szybach domów żydowskich. Autorka zebrała najróżnorodniejsze wzory ze wszystkich okolic Polski i umieściła je na

dwudziestu tablicach pierwszego tomu swego dzieła. W dalszych tomach mamy ryciny bąków chanukowych (drejdel), grzechotek (*greger*) purimowych, i innych przedmiotów pośrednio związanych ze świętami oraz pieśni i nuty do nich.

W ostatnich latach pracowała autorka usilnie nad pogłębieniem swych studjów, ślęczała po bibljotekach, często podczas wojny nieopalanych i może tamże nabawiła się choroby, która ją pod koniec życia tak trapiła.

Nie będąc pracownicą naukową „z urzędu", nie mając ni profesury, ni asystentury dla folkloru była zmuszoną do zarabiania na chleb codzienny ciężką pracą, a tylko wolne godziny a może noce poświęcała żmudnej pracy naukowej. To też rychło starło ją życie, a nieszczęśliwa operacja położyła jej przedwczesny koniec.

Ze zmarłą schodzi do grobu wytrwała i arcyzdolna pracownica na polu folkloru żydowskiego, a tem samem i nauki żydowskiej. Nie dopięła celu swego życia, nie dokończyła swych prac naukowych i odchodząc od nas wypuściła z ręki i umysłu „kłąb wiedzy", który długo będzie czekał, zanim ktoś inny potrafi go odmotać.

Służyła nauce polskiej i nauce żydowskiej, a temsamem obu narodom, żyjącym na tej ziem. Może który z nich odda należny hołd tej „uczonej w Izraelu" i wyda razem jej rozprawy i artykuły, porozrzucane w najrozmaitszych czasopismach oraz dotąd nieogłoszone drukiem.

Dr. M. Bałaban.

Aleksander Braudo.

Dnia 11 listopada b. r. zmarł nagle w Londynie wicedyrektor Cesarskiej (dziś państwowej) Biblioteki w Petersburgu, Alexander Braudo. Urodzony w r. 1664, ukończył fakultet prawniczy w Dorpacie i poświęcił się badaniom nad historją Rosji. Już jako młodzieniec począł ogłaszać swe rozprawy w czasopismach naukowych: Rusko-istoriczeskie obzorjenie (1889—1892), Jahresberichte für Geschichtswissenchaft w Berlinie, Biograficzeskij Słowar i t. d. i t. d. Przełożył też na język rosyjski Grevenbruch'a: Tragoedia moscowitica (O Dymitrze Samozwańcu), Nauvillé'a: Relation Curiese (O buncie Strzelców w r. 1686) i t. p. i na podstawie tychże prac otrzymał posadę w cesarskiej publicznej Bibliotece w Petersburgu, w dziale Rossica, gdzie z czasem uzyskał rangę naczelnika oddziału i wicedyrektora Biblioteki.

W życiu politycznem i społecznem nie brał Braudo zrazu żadnego udziału. Pokosztowawszy w młodości goryczy na stanowisku sekretarza „T-wa dla szerzenia oświaty wśród Żydów w Rosji (M e f i c e j H a s k a l a) stronił on od życia publicznego i zagłębiał się w swych studjach i w swej pracy zawodowej i tylko tu i ówdzie umieszczał jaki artykuł w Woschodzie, lub innem żyd-rosyjskiem piśmie. Dopiero z wybuchem rewolucji w roku 1905 wysunął się Braudo z ukrycia, wstąpił do „Centralnego komitetu dla wywalczenia Żydom równouprawnienia" i starał się (często za kulisami) o pomoc materjalną i moralną dla postępowych i żydowskich czasopism. Wraz ze Slozbergem i Winawerem pracował nad prawną emancypacja swych współwyznawców, a dzięki swemu wysokiemu stanowisku społecznemu reprezentował żydostwo rosyjskie w organizacjach światowych jak ICA, Alianse Israelite Universelle, Joint i t. p. Nie należał do żadnej frakcji politycznej i chciał pracować ze wszystkiemi w zgodzie. Podczas procesu Beilisa odegrał ważną rolę zakulisową, a podczas wojny pozostał na swem stanowisku i wszelkiemi siłami wspierał bibliotekę „Towarzystwa dla szerzenia oświaty wśród Żydów", jedyną żydowską placówkę naukową w sowieckiej Rosji. Braudo był wrogiem bolszewizmu i o tem wiedział rząd, lecz szanując jego wiedzę i jego pilność nie ruszał go z miejsca. Owszem, gdy miał się odbyć sąd polubowny między rządem bolszewickim a Komitetem Uniwersytetu w Jerozolimie (reprezentowanym przez profesora Einsteina) o bibliotekę barona G i n z b u r g a należną temuż Uniwersytetowi, a zagarniętą przez bolszewików, zgodził się komisarz oświaty Pokrowski na arbitraż Braudy.

Braudo żył bardzo skromnie, jego ostatnia płaca wynosiła 6 czerwieńców miesięcznie (30 dolarów) i dlatego marniał powoli, lecz wytrwał na swem stanowisku, odrzucając liczne posady, ofiarowane mu w zachodniej Europie.

Śmierć zaskoczyła go nagle w Londynie, dokąd wyjechał w sprawach naukowych.

Prof. Dr. Dawid Neumark.

Z Newjorku przyszła smutna wieść, że dnia 13 grudnia 1924 r. zmarł w Cincinati znany badacz filozofji żydowskiej i może najlepszy ze współczesnych jej znawców prof. Neumark. Dawid Neumark był Galicjaniniem i urodził się w r. 1866 w Szczercu koło Lwowa i tamże otrzymał pierwsze wiado-

mości hebrajskie. Przybywszy jako „bachur„ do Lwowa przylgnął do koła młodzieży sjońskiej, która się wówczas grupowała w towarzystwie Sjon (Rynek 12), dokoła uczonego rabina Kobaka i młodych jeszcze Adolfa Korkiesa, Thona, Słanda, Schillera i innych.

Rychło zdał egzamin maturalny i wyjechał do Berlina, gdzie się wpisał na uniwersytet oraz do Lehranstalt für die Wissenschaft des Judentums i gdzie odrazu począł pogłębiać tematy historyczne i filozoficzne. Władając doskonale językiem hebrajskim począł ogłaszać swe rozprawy w *Haszíloach*, i w *Luach Achiasaf* na rozmaite tematy, a wszystkie tchną głęboką miłością do żydowskiej etyki i żydowskiej myśli *Haszkafat hamm, w haszkafat hachaim*, Etyka żydowska, Siedem zagadek świata, Filozofja religji, Siły ukryte, Siła kultury żydowskiej). Lecz to były tylko prace przygotowawcze, rychło nastąpiły dalsze, obszerniejsze i głębsze z zakresu etyki i filozofji religji: Jehuda Halewi, Kreskas und Spinoza, a już w roku 1907 ukazał się w Berlinie u Reimera pierwszy a potężny tom jego Geschichte der jüdischen Philosophie des Mittelalters (615 stron wielkiej ósemki) który był niejako wstępem do filozofji i obejmował „Zasady filozofji (Die Grundprinzipien), a z nich „Wstęp" i „O materji i formie." W roku 1910 pojawił się drugi, który zawierał problem „atrybutów", oraz rozpoczynał historyczny obraz przedmiotu. A był Neumark w tym czasie już profesorem w Hebrew Union College w Cincinati w stanie Ohio, gdzie rozwijał błogą działalność nauczycielską i gromadził dookoła siebie mnóstwo uczniów. Dwa wyżej wspomniane tomy wyszły również po angielsku, ale kontynaucji w tych językach nie było. Wychodżąc z założenia (propagowanego przez Bialika), że wiedza żydowska winna być publikowana w języku hebrajskim, podpisał umowę z wydawnictwem Sztybla na 10-to tomową Historję filozofji żydowskiej, której dwa tomy תולדות הפילאסאפיע בישראל wyszły w latach 1921 i 1923.

Czy dokończył Neumark dzieło swego życia, t. j. czy całe dzieło jest napisane, o tem nie umiem powiedzieć, lecz sądzę że nie. Nielitościwa śmierć przerwała pasmo tego pracowitego i tak pożyteczny żywota. i zabrała nauce żydowskiej jednego z jej najpoważniejszych pracowników. *m. b.*

Rabin Jakób Maze.

Dnia 20 grudnia zmarł po długiej a ciężkiej chorobie rabin moskiewski Jakób Maze, jeden z niewielu działaczy żydowskich, który wytrwał na swem stanowisku mimo rządów i szykan bolszewików.

Maze urodził się w Żytomierzu w roku 1860, w młodości oddawał się naukom żydowskim, potem jednak przerzucił się do nauk świeckich i ukończył fakultet prawniczy w Moskwie. Dzięki dziwnym stosunkom w Rosji został w r. 1893 „kazionnym“ rabinem w Moskwie i na tem stanowisku rozwinął owocną działalność społeczną i narodową. Maze był sjonistą i wielkim wielbicielem języka hebrajskiego, sam pisywał piękną hebrajczyzną w Hamelicu i innych czasopismach, był członkiem i ośrodkiem T-wa *Chowwej sfar Ewer*, członkiem kółok sjonistycznych: ברח דודי (1881) i בני ציון (1884) był przewodniczącym komitetu moskiewskiego i pełnomocnikiem odeskiego T-wa wspomagania rolników żydowskich w Palestynie i w Syrji i t. d. i t. d.

Prawdziwy swój talent rozwinął Maze podczas procesu Bejlisa. Był on wówczas zamianowany rzeczoznawcą dla spraw żydowskich i do tego „rzeczoznawstwa“ gruntownie i obszernie się przygotował. Badał sam dzieje oskarżenia o morderstwo rytualne i przy pomocy całego sztabu histórykōw opracował swą „opinję“, którą zadziwił trybunał i świat europejski.

Praca społeczna Mazego podczas wojny stanowi osobny rozdział w jego życiu i w życju żydowstwa moskiewskiego. Tworzy on komitet pomocy Żydom w Galicji i w krajach południowo-zachodnich, spustoszonych przez wojska rosyjskie, konferuje z władzami, konferuje z Anskim, objeżdżającym te kraje, stara się o ulgi dla nieszczęśliwych, o pieniądze, i t. p. i t. p. Dalszy przebieg wojny to dalsza wytężona praca Mazego, pełna poświęcenia i... upokorzeń. Stanowisko rabina — sjonisty u bolszewików nie należało chyba do zadrości godnych. Lecz Maze nie opuszczał swego stanowiska i padł na niem jak żołnierz na posterunku. Przed kilku tygodniami przyniosły dzienniki wiadomość o jego chorobie i o tem, że dla poratowania zdrowia wywieziono go w okolicę Moskwy, dziś jest już wieść o jego śmierci. Z Mazem schodzi do grobu jeden z owych działaczy żydowsko-rosyjskich którzy umieli wysoko nosić sztandar judaizmu i poświęcali całe swe życie dla dobra swych współwyznawców tak poniewieranych w carskiej i bolszewickiej Rosji.

M. B.

Edwin S. Montagu.

Niedawno zmarł w Londynie w sile wieku lat 45 były minister dla Indji, Edwin S. Montagu. Zmarły był jedną z najbardziej ciekawych osobistości polityki angielskiej ostatniego

czasu. Drugi syn założyciela znanego Banku sira Samuela Montagu i młodszy brat lorda Swaythinga, przeszedł niezwykle szybką i burzliwą karjerę polityczną. Dzięki długoletnim stosunkom handlowym zapoznał on się dokładnie ze sprawami indyjskiemi, co wysunęło go na rzeczoznawcę dla wschodu wogóle i dla Indji w szczególności. Podobnie jak dwaj inni wielcy politycy żydowscy Anglji, lord Reading i Herbert Samuel, Montagu z entuzjastyczną gorliwością dążył do tego, by idealne zasady liberalizmu wcielić w czyn zapomocą polityki praktycznej. Lecz i on niedoczekał się wdzięczności od obu stron. Nacjonalistom indyjskim jego dzieło reformatorskie nie wystarczało, a angielskim szowinistom wydawało się ono zdradą stanu. Nie dziw, że w parlamencie i po za nim Montagu miał wielu wrogów, którzy, jak to często bywa, napadali na jego żydostwo. Nawet „Times" w swojem obszernem wspomnieniu pośmiertnem zaznaczają, że jego uczucia „pro-azjatyckie" skłoniły go do popierania agitacji, która przybierała niebezpieczne formy.

To też w swoim czasie Montagu został usunięty przez Lloyd George'a z gabinetu, gdy ogłosił słynną depeszę wicekróla przeciwko antytureckiej polityce Anglji. „Times" wskazują, że jego dymisja została mile przyjęta, albowiem uważano za wielki błąd, że zarówno wice-krol jak i minister dla Indji byli Żydami. Tym sposobem jedna z najsilniejszych osobistości Anglji skazaną została na bezczynność. Jako minister w gabinecie Lloyd George'a Montagu miał pewien wpływ na politykę palestyńską. Niestety był on zaciekłym wrogiem sjonizmu i pracował przeciwko dojściu do skutku deklaracji Balfoura. Jest bolesną ironją, że ten wielki człowiek, który walczył i cierpiał za wolność egzotycznego narodu hinduskiego, pozostał obojętny na losy własnego narodu.

Samuel Gompers.

W San Antonio w stanie Texas zmarł znany długoletni przywódca związku zrzeszeń zawodowych S. Gompers.

Samuel Gompers urodził się w r. 1850 w Londynie, jako syn holendersko-żydowskiego robotnika. Jako 13-letni chłopak wyemigrował do Ameryki, gdzie pracował jako zwykły robotnik w fabryce cygar. Już wcześnie stał się czynnym, działając przeważnie pod hasłami anarchistycznemi. Dzięki zdolnościom oratorskim uzyskał wielką popularność wśród mas robotniczych, a zraził sobie wielkich kapitalistów. I zdarzyło się, że działaczten robotniczy stanął przed sądem pod zarzutem inspirowania zamachu dynamitowego na gmach

„Los Angelos Times“ w Kaliforni, którego dokonali dwaj irlandcy robotnicy; został nawet wtedy zasądzony na karę więzienia, lecz rychło zdolnością i porywającą wymową w czasie rozprawy apelacyjnej udowodnił swą niewinność i został wypuszczony na wolność. Z burzliwego anarchizmu wszedł na spokojne tory socjalizmu, propagując gorąco idee pacyfizmu. W r. 1881 został po raz pierwszy przez federacyę robotniczą wybrany jej przezydentem, odtąd rok w rok piastuje tę godność. Człowiek ten o skromnych wymogach i skromnym trybie, życia lecz o niestrudzonej energji walczy przez całe swoje życie o poprawę doli klasy pracującej. W r. 1887 zostaje mianowany senatorem, odrzuca jednak tę godność. Po przystąpieniu Ameryki do wojny światowej, on antymilitarysta i pacyfista oddaje się do dyspozycji Wilsona i tem zyskuje dla Ententy 3 miliony robotników. W r. 1919 udaje się do Europy, by przy pomocy robotników dopomóc do przeforsowanja 14 punktów Wilsona, oraz dla wzmocnienia międzynarodowych praw wszystkich robotników, a wreszcie do walki z bolszewizmem. W orędziu do robotników akcentuje, że postęp socjalny może być osiągnięty tylko drogą ewolucji i zbratania się.

Dodać jeszcze należy, że Gompers był jednym z najzaciętszych przeciwników immigracji, wychodząc z założenia, że immigranci narażają na szwank wynagrodzenia robotników. Był też autorem kilku prac m. i.: „8-godz. dzień pracy“, „Zorganizowana praca“ i „Praca w Europie i Ameryce“. Niedługo przed śmiercią wybrał kongres amerykańskiej partji robot. w El Paco Gompersa ponownie prezydentem na r. 1925. Na tym też kongresie na skutek przemówienia Gompersa, partja robotnicza wypowiedziała się przeciw podjęciu stosunków handlowych z sowietami.

Herman Hayermans.

W Zandworth obok Amsterdamu zmarł w 60 roku życia znany pisarz holenderski, Herman Hayermans. Jest on autorem licznych powieści z życia ghetta amsterdamskiego, które zjednały mu sławę i popularność podobnie jak Zangwillowi, czyteż Francozowi. Zasłynął też jako dramaturg, a najlepszą jego rzeczą jest „Nadzieja“, która obiegła wszystkie sceny europejskie i została przetłumaczona na wszystkie języki. Jego sztuka w trzech aktach „Ghetto“ nie znalazła wielkiego poklasku. Mimo swego zamiłowania dla tematów żydowskich nie miał Hayermans zrozumienia dla odrodzenia żydostwa i przez całe życie stał zdaleka od pracy narodowej i społecznej.

Sir Edward Sassoon.

Dnia 3 grudnia b. r. zmarł w Londynie w 71 roku życia Sir Edward Sasson, szef firmy E. D. Sasson & Co, której interesa bankierskie i handlowe rozciągają się na Indje, Chiny i wszystkie prawie dominjony państwa brytyjskiego. Zmarły był synem założyciela tej miljardowej firmy, Dawida Sassoona z Bagdadu i bliskim krewnym obecnego podsekretarza stanu dla awiatyki w angielskiem ministerstwie wojny. Majątek i tytuł po zmarłym oddziedziczy jego najstarszy syn, Ellice Wiktor.

Dr. Leon Szejnis.

W Paryżu wypadł z automobilu i zabił się na miejscu znany bakterjolog i lekarz dr. Leon Szejnis. Szejnis urodził się na Wołyniu w r. 1871, ukończył uniwersytet w Montpellier i uzyskał stopień doktora i wysoką nagrodę na podstawie dysertacji p. n.: Essai sur la rol de la fievre dans les maladies infectieuses. Przesiedliwszy się do Paryża wstąpił do redakcji pisma medycznego *La semaine medicale* i tamże umieszczał liczne prace naukowe. W roku 1900 miał wykłady z zakresu antropologji w rosyjskiej wyższej szkole w Paryżu. Szejnis należał do przeciwników szkoły Lombrosa i w licznych swych pracach wykazywał znaczenie czynnika społecznego przy dokonaniu zbrodni. W ostatnich latach zajmował się żywo sprawami żydowskiemi, był przewodniczącym paryskiej sekcji Ortu i w roku 1920 był pierwszym z tych, którzy poświęcili wszystkie swe siły i swój drogi czas sprawie odbuwy żydostwa we wschodniej Europie.

Szkolnictwo żydowskie (jidyszystyczne) w Wilnie*).

Wilno żydowskie ma specyficzną, odmienną—i powiedzmy odrazu—lepszą i dostojniejszą fizjonomję polityczną i narodową, aniżeli inne centra żydowskie. Ruchliwość i twórczość żydostwa wileńskiego oddawna jest znana i ma swoją historję; najwidoczniej działają tu głębsze przyczyny.

Doskonałym wyrazem tej twórczej ruchliwości żydostwa wileńskiego, ścislej mówiąc, jednego jego odłamu jest wydana niedawno Kronika Szkolna z pięcioletnej pracy Żydowskiego Centralnego Komitetu Oświaty w Wilnie.

Żydowski C. K. O. jest spadkobiercą całego szeregu stowarzyszeń kulturalno-oświatowych w Wilnie, które powstały przed rokiem 1914 lub w czasie okupacji niemieckiej. Ciężkie czasy wojenne i ich fatalne dla żydostwa skutki, gwałtowny przewrót w stosunkach politycznych oraz klęski towarzyszące temu gwałtownemu przewrotowi, naprzód w Rosji, później u okupantów—podcięły korzenie tych instytucyj. Walka z głodem, tyfusem i pogromem, które w takiej mierze nawiedziły żydowskie Wilno, absorbowały całkowicie siły żydowskie. Gdy zaś dziesiątego maja 1919-go roku działacze żydowscy w Wilnie podjęli próbę odbudowania podupadłych stowarzyszeń i instytucyj kulturalno-oświatowych, okazało się, że było już zapóżno. To też w tydzień póżniej (17-go maja) nauczyciele i sympatycy szkoły żydowskiej (jiddisz) postanowili pójść odrębnie, zakładając osobno własną organizację. Był nią Żyd. C. K. O., obejmujący wyłącznie szkoły żydowskie, w przeciwieństwie do dawniejszych stowarzyszeń, które obejmowały najczęściej szkoły żydowskie i hebrajskie,

W ciągu pięciolecia (1919—1924) egzystencji rozszerzał się stopniowo zakres działania C. K. O., tak że w styczniu 1921-go roku objął finansową gospodarkę szkół, którą do owego czasu zajmował się kahał wileński. Równocześnie wzrastała ilość szkół, podlegających C. K. O. Przypadaly mu w spadku szkoły założone i utrzymywane przez stopniowo rozpadające się stowarzyszenia oświatowe, rosła ilość szkół które C. K.O. sam zakładał.

---

*) „שול פנקס" פינף יאר ארבעט אין צענטראלן בילדונגס קאמיטעט 1919—1924

„Szul-Pinkos" (Kronika Szkolna), 5 lat pracy Żyd. Centralnego Komitetu Oświaty 1919—1924 Wilno 1924, wyd. przez Żyd. Centr. Kom Oświaty Str. 387 z 36 rysunkami.

W skład C. K. O. wchodzą reprezentaci rad pedagogicznych poszczególnych szkół oraz przedstawiciele różnych organizacyj i stowarzyszeń społecznych, zawodowych i fachowych. Umożliwia to stały i ścisły kontakt między szkołą a społeczeństwem.

Próba rozbudowania C. K. O. przez podzielenie go na specjalne departamenty, odpowiadające poszczególnym zakresom spraw (pedag., administr., finansowy, prawny) dotychczas nie udała się. Główny zresztą wysiłek był dotychczas skierowany w kierunku odpowiedniego zorganizowania podległych szkół przez skoordynowanie i ujednostajniene ich pracy oraz ułożenie odpowiedniego stosunku do C. K. O. Poszczególnym szkołom pozostawiono autonomję, w rozmiarach, zależnych od stopnia ich odrębności, w sprawach zaś wspólnych wszystkim szkołom przyznano instytucji centralnej szeroki zakres władzy. Im dalej postępuje koordynacja i normalizacja szkół, tem więcej centralny organ wpływa na bieg życia poszczególnych szkół.

Druga konferencja nauczycieli szkół żydowskich w Polsce (kwiecień 1920-go roku) powołała do życia Centralną Organizację Szkolną, obejmującą wszystkie szkoły żydowskie w Polsce; siedzibą jej—Warszawa. Od tego czasu C. K. O. jest członkiem Centralnej Organizacji Szkolnej.

C. K. O. podlegają narazie tylko szkoły żydowskie w Wilnie - mieście, próby rozciągnięcia organizacji i na szkoły prowincjonalne, jak dotąd, nie udały się.

Liczba zakładów podlegających C. K. O. wynosiła w roku 1919 siedemnaście. W roku szkolnym 1919—20 dobudowano wiele szkół tak, że ich liczba wzrosła do 28. Ciężkie położenie materjalne zmusiło w roku 1921 do likwidacji kilku szkół (popołudniowych i wieczornych), za to przybyło w tymże roku seminarjum nauczycielskie, później — gimnazjum humanistyczne. W ubiegłym roku szkolnym C. K. O. podlegały dwie freblówki, osiem szkół ludowych, dwie szkoły wieczorne, seminarjum nauczycielskie, gimnazjum przyrodnicze, gimnazjum humanistyczne, internat dla dzieci robotniczych, i biblioteka dla dzieci.

Dwie freblówki, mające po dwie grupy dzieci, wychowywały w ostatnim roku szkolnym 93 dzieci, w tem 61.4 % dziewcząt.

Do ośmiu szkół ludowych uczęszczało w tymże roku szkolnym 1769 dzieci, w tem 68 % dziewcząt. Cztery szkoły ludowe są koedukacyjne; dzieci są przeważnie w normalnym wieku szkolnym (na dzieci w wieku 6 — 8 lat przypadało w pierwszych oddziałach przeciętnie 85%). W pierwszych la-

tach istnienia C. K. O. ustalono dwa typy szkoły powszechnej: 6 i 8 oddziałowej.

Gdy w roku 1922-im zaczęto na Wilno rozciągać prawa i urządzenia obowiązujące w Rzeczypospolitej;, okazała się potrzeba zaprowadzenia trzeciego typu szkoły powszechnej: 7 oddziałowej, odpowiadającej powszechnej szkole publicznej.

Jak dotąd, dwie szkoły mają po 8 oddziałów, dwie po 6 oddziałów, 1 pięć, 3 po cztery. Ogólna ilość oddziałów wynosi 47 (dwa równoległe).

Szkoły wieczorne liczyły 445 dzieci, przeważnie w wieku 14, 15, 16, 17 lat. Są to normalne szkoły dokształcające dla dzieci posiadających już elementarne wiadomości. Szkoły tego rodzaju są najstarsze, jedna z nich, im. J. L. Perca, powstała jeszcze w roku 1901, jako tak zwana szkoła niedzielna dla dorosłych analfabetów.

Pierwszą żydowską szkołą średnią było g i m n a z j u m m a t e m a t y c z n o - p r z y r o d n i c z e, które powstało z prywatnego gimnazjum rosyjskiego; w roku szk. 1922/23 gimnazjum to wydało pierwszych abiturjentów (55). W tymże roku szk. gimnazjum to miało 18 klas (2 wstępne, 8 zasadniczych, i 8 równoległych) i 700 uczniów i uczenic. Ta ogromna frekwencja z jednej strony oraz okoliczność, że matematyczno-przyrodniczy typ okazał się nieodpowiednim dla wielu uczniów (zwłaszcza uczenic), skłoniły C. K. O. do stworzenia drugiego gimnazjum, typu humanistycznego. W roku szk. 1923/24, po odprowadzeniu części uczniów do nowego gimnazjum, liczyło gimnazjum matematyczno-przyrodnicze już tylko 13 klas (2 wstępne 8 zasadniczych i 3 równolegle).

Z początkiem roku szk. 1923/24 uruchomiono 4 klasy g i m n a z j u m h u m a n i s t y c z n e g o z 140 dziećmi.

Celem dostarczenia tym szkołom nauczycieli uruchomosci z początkiem roku szk. 1921/22 pierwszy kurs normalnego (pięć kursów) seminarjum nauczycielskiego. Kandydaci rekrutują się przeważnie z pośród uczniów kończących, żydowskie szkoły powszechne. Liczba seminarzystów wynosiła w ubiegłym roku szk. 82 (23 uczniów, 53 uczenic), w wieku od 16 do 20 lat.

Ogólna liczba młodzieży, pobierającej naukę w żydowskich szkołach wileńskich, wynosiła w ubiegłym roku szk. 3039, z tego 1907 (62.8%) dziewcząt. a 1132 (37.2%) chłopców Na poszczególne warstwy społeczne rozkładała się ta liczba w następujący sposób: z robotników pochodziło przeciętnie 27%, z rzemieślników 27.6%, z drobnych handlarzy 25.6%, z kupców 10% ogólnej liczby dzieci

W niektórych oddziałach liczba uczniów dochodziła do 70, a 17 oddziałów miało ponad 40 dzieci.

Ogólna liczba nauczycieli wynosiła w ubiegłym roku szk. 140, w tem 89 mężczyzn i 54 kobiet.

C. K. O. stara się ułatwić nauczycielom uzyskanie przepisanej kwalifikacji przez organizowanie odpowiednich kursów wakacyjnych, ale, w tem, jak w wielu innych poczynaniach, trudności sprawia nieuregulowany stosunek władz do szkolnictwa żydowskiego.

Dlatego też starania i zabiegi o należyte uregulowanie prawnego położenia szkół żydowskich, — to dalsze ważne zadanie C. K. O. Maksymalnem dążeniem jego jest upaństwowienie szkół żydowskich.

Lecz wobec ciężkiego stanu kwestji żydowskiej w Polsce, takie radykalne uregulowanie sprawy jest narazie mało prawdopodobne, dlatego C. K. O. wystawia postulat równouprawnienia szkolnictwa żydowskiego z szkolnictwem państwowem, domagając się przytem subsydjów ze skarbu państwa i od czynników samorządowych.

Wysiłki i starania C. K. O. były bardzo wielkie, ale skutki ich, jak dotąd, niewspółmierne.

Starania szły w kilku kierunkach. Z jednej strony, starano się zapoznać władze szkolne ze szkołami żydowskiemi, w tym celu C. K. O. zażądał wizytacyj szkół. W r. 1923 przeprowadziły władze pierwszą wizytację wszystkich szkół żydowskich; w maju 1924 odbyła się druga. Prócz tego zaczął C. K. O regularnie dostarczać władzom szkolnym materjału informacyjnego i sprawozdawczego; zaproszono władze szkolne na wystawę szkolną urządzoną w 1923 r.; zamieszczano w prasie polskiej informacje o szkolnictwie żydowskiem.

Dziś są lokalne władze szkolne stosunkowo dobrze obeznane ze stanem szkolnictwa żydowskiego.

C. K. O. interweniował też wielokrotnie w Ministerstwie W. R i O. P. bezpośrednio i pośrednio przez posłów sejmowych; przedkładał programy do zatwierdzenia, domagał się cofnięcia zarządzeń szkodliwych dla szkolnictwa żydowskiego, prosił o przyznanie szkołom średnim praw szkół państwowych przez wyznaczenie maturalnej komisji egzaminacyjnej dla abiturjentów gimnazjum matematycznego i t. d.

Te wielokrotne i niestrudzone zabiegi mało co osiągnęły, gdyż kwestją upaństwowienia, czy nawet zupełnego równouprawnienia szkół żydowskich stanowi istotę kwestji żydowskiej w Polsce.

Jak dotąd, szkoły żydowskie mają nazwę szkół pry-

watnych i jako takie przeciwstawia się je powszechnym szkołom publicznym (państwowym), jako rodzaj szkół mniej wartościowy

Szkoły nie mają stałej koncesji tak, że corocznie ją odnawiać się musi; ginnazjum nie ma prawa urządzania egzaminów dojrzałości i wydawania świadectw maturalnych. Nauczyciele szkół powszechnych nie mają ulg w służbie wojskowej, a przyjmuje się ich na urządzane przez państwo wakacyjne kursy dokształcające, tylko o ile są wolne miejsca. Ukończenie seminarjum żydowskiego nie daje kwalifikacyj do nauczania w żydowskich szkołach powszechnych i t. d...

Więcej udało się C. K. O. osiągnąć w Radzie miejskiej. Po wielu dyskusjach, zgromadzeniach, delegacjach, memoriałach udało się wkońcu żydowskim radnym przeforsować uchwałę, przyznającą żydowskim szkołom subsydjum w wysokości 56% sumy, którą Rada miejska przyzna szkołom chrześcijańskim. (W Wilnie przypada na 100 chrześcian 56 żydów, stąd ten stosunek procentowy).

Lecz ta pomoc miasta nie bardzo poprawiła kruche podstawy finansowe szkół żydowskicd. Subsydja te nie są stałe, gdyż zależą od wysokości każdorazowych subsydjów dla szkół chrześcijanskich; jak dotąd, pokrywały zaledwie 5—6 % budżetu. O fatalnym stanie świadczy projekt budżetu na rok szk. 1924/25; przewiduje nie mniej niż 42.7 % deficytu. O ile nie nadejdzie rychła pomoc, będzie on zapewne znacznie większy. Tylko gimnazja stoją stosunkowo dobrze, gdyż opłaty szkolne pokrywają 80 % ich budżetu, ileże dzieci pochodzą ze sfer zamożniejszych.

Przechodząc do trudności pedagogicznych szkoły żydowskiej, oznaczyć przedewszystkiem należy ich główne źródło. Zasadniczo wynikają one wszystkie z geopolitycznego położenia żydów, jako mniejszości nieterytorjalnej o nienormalnej budowie gospodarczo - społecznej, Przedewszystkiem bowiem szkoła żydowska pogodzić musi swe swoiste potrzeby wychowawczę z koniecznościami państwowemi, tak w zakresie programu i metody nauczania, jak ustroju szkoły, A to nie jest rzeczą łatwą.

Istną „kwadraturą koła" jest n. p. problem językowy. Powszechna szkoła żydowska ma dwa języki własne: żydowski i hebrajski. Władze szkolne bezwarunkowo domagają się, by uczono języka polskiego, jako państwowego w odpowiedni sposób i należytej mierze. Dziecko żydowskie więc już w pierwszych latach nauczania, aż trzech języków równocześnie uczyćby się musiało. Przeciw takiemu nadmiernemu obciążaniu rozwijających się umysłów pedagogowie podnoszą bardzo

poważne zastrzeżenia. Dlatego C. K. O. stoi na stanowisku, że pierwsze dwa lata nauki w szkole powszechnej winny niepodzielnie należeć do języka żydowskiego jako języka nauczania. Za najlepsze ze względów pedagogicznych i najbardziej odpowiadające szkole żydowskiej rozwiązanie uważa wobec tego rozpoczynanie nauki i hebrajskiego w trzecim roku nauczania a j. polskiego w czwartym. Na to jednakże władze szkolne zgodzić się nie chcą, żądając wprowadzenia nauki j. polskiego już w drugim roku nauczania.

W gimnazjum sprawa języków jeszcze większe sprawia trudności, dochodzi bowiem jeszcze jeden, a w gimnazjum humanistycznem nawet dwa języki obce, tak że młodzież tak w szkole powszechnej jakoteż w średniej jest aż nadto obarczona przedmiotami o charakterze czysto formalnym, pamięciowym.

W związku z problemami językowemi i nieprzeciążania uczniów pozostaje sprawa należytego postawienia nauki języka polskiego, jako państwowego. Niedostatki w tym względzie są stałym motywem władz szkolnych przy odmawianiu szkolnictwu żydowskiemu równouprawnienia. C. K. O. robi wszelkie starania, by te niedostatki ustały, a ile zdziałano wskazać może orzeczenie wizytatora, iż poziom języka polskiego jest w klasach szkół żydowskich o jeden rok niższy niż w odpowiednich klasach szkół polskich. Osiągnięto zaś to w ciągu trzech zaledwie lat, do roku bowiem 1921 w szkołach żydowskich w Wilnie języka polskiego wcale nie uczono.

Zasadniczo może mniej ważne, ale również przysparzające trudności, jest zarządzenie władz, by akta kancelarji wewnętrzne i zewnętrzne były prowadzone w języku państwowym.

Jakkolwiek te specyficzne problemy i trudności pedagogiczne niewspółmiernie dużo energji i czasu pochłaniają i mimo bardzo nieprzychylnych warunków materjalnych i politycznych, nauczyciele szkoły żydowskiej wszystko robią, by nie zostać w tyle za szkołami państwowemi a nawet zachodnio-europejskiemi.

„Że szkoły żydowskie w Polsce nie są przejściowem, sztucznie wywołanem zjawiskiem, ale naturalnym, socjalno-psychologicznym procesem—czytamy w sprawozdaniu C. K. O.-wykazuje historja rozwoju żydowskiej szkoły z lat ostatnich. I jeszcze jedno: każdy bezstronny obserwator, który chce przyjrzeć się żydowskim szkołom, czy to całemu szkolnictwu, czy temu, czego się uczy w szkołach powszechnych, seminarjum, gimnazjach, musi uznać ducha humanitarnego w najlepszem znaczeniu, którym całe nauczanie jest przepojone.

„Dzisiejsza szkoła żydowska posiada także pewne braki. Brak jeszcze dostatecznie kwalifikowanych pedagogów, brak jeszcze podręczników; jeszcze nie cały lud żydowski rozumie ważność szkoły żydowskiej, jeszcze nie wszyscy wiedzą, czego mają od niej chcieć, co ona ma dawać. Trzeba jeszcze dużo pracy oświeceniowej wśród szerokich mas żydowskich, tak na prawo, jak na lewo stojących. Przedewszystkiem zaś chodzi o to, by żydowska szkoła ludowa została uznana przez władze państwowe, gdyż tylko pod tym warunkiem będzie można wzmocnić jej egzystencję i zapewnić jej dalszy rozwój. Społeczeństwo polskie, partje polityczne, czynniki ustawodawcze oraz same władze szkolne należy dokładnie zapoznać z naszem szkolnictwem. Oby ta księga zbiorowa służyła, jako jeden z środków do pożądanego celu!" *)

* * *

Relata retulimus... Nie wyczerpaliśmy obszernej treści blizko 400 stronicowej księgi, ilustrowanej licznemi odbitkami, tablicami i planami. Nie poruszyliśmy nawet ciekawych artykułów o „nowoczesnym żydowskim ruchu szkolnym" ani obszernego „przyczynku do historji żydowskiego szkolnictwa w Wilnie". Chodziło nam o zapoznanie czytelnika, nie czytającego po żydowsku z tak mało znanem, a jednak godnem poznania, szkolnictwem żydowskiem. Czytelnik czytujący po żydowsku najlepiej zrobi, sięgając wprost do źródła.

Piszący te słowa nie zna szkolnictwa żydowskiego z antopsji. Okoliczność ta zobowiązała do pewnej; łatwo zrozumiałej, powściągliwości w wydawaniu krytycznych sądów w podnoszeniu nasuwających się wątpliwości i t. p. Zbyt ciężko walczy szkolnictwo żydowskie o swe elementarne prawo do życia, zbyt drogą jest szkoła żydowska sercu jej nauczycieli, byśmy od nich wymagać mogli objektywizmu, zwłaszcza w książce pisanej pro domo sua. Byłoby to nadludzkie, nieludzkie. A to zapewne odbiło się na rozkładzie świateł i cieni...

Ale w gruncie rzeczy nie o ten lub ów szczegół chodzi, ale o całość, istotę rzeczy. Otóż nie ulega wątpliwości że szkoła żydowska i jej nauczyciele, wiedzą czego chcą

*) Str. 45.

i umieją chcieć. Mają określony ideał, który dla nich nie jest pustym frazesem, ale najistotniejszą treścią życia. Płomienny entuzjazm i niezachwiana wiara w przyszłość własnego narodu i całego rodzaju ludzkiego ożywia tych bojowników ideału i dlatego nieraz mierzą siły na zamiary... Miłością otaczają dzieło swego żywota i zazdrośni są o nie, dlatego tu i ówdzie wyrywa im się szpetny zgrzyt nienawiści względem domniemanych (czy rzeczywistych?)! wrogów wśród własnego narodu...

Można więc wątpić o słuszności tego lub owego, można krytycznie i z zastrzeżeniem przyjmować tę lub ową relację, to lub owo zestawienie cyfr, można nawet nie podzielać głębokiej wiary nauczycieli żydowskich w przyszłość języka żydowskiego—ale nie można, w żaden sposób nie można, odmówić ich postulatom moralnej i prawnej słuszności. Uznać się musi ich bohaterskie wysiłki i poświęcenie, szczerze podziwiać ich dzielność i wytrwałość, nie znającą kompromisu.

Dr. G. Jampoler.

BIBLIOGRAFJA.

RECENZJE.

Szolom Alejchem: Notatki Komiwojażera, z żydowskiego przełożył i wstępem opatrzył Jakób Appenszlak. Okładkę i winjety rysował I. Tykociński. Warszawa 1925. Nakładem wydawnictwa Safrus (Samuel Wołkowicz) stron 193.

Bardzo ładna książka i bardzo ładnie wydana. Wydawnictwo *Safrus* obiecuje nam szereg takich książek, które mają razem stworzyć Bibliotekę pisarzy żydowskich; na razie mamy przed sobą niniejszą, która stanowi miłą a lekką lekturę nieśmiertelnego satyryka Szolem Alejchema. Opowiadanie przyjemne choć nieraz rozwlekłe, typy i sceny znakomite, żywcem podchwycone z życia żydowskiego, tłumaczenie Appenszlaka czyta się bardzo przyjemnie. Tłumacz umiał pokonać liczne trudności językowe a nadto obejść właściwości języka żydowskiego, nie dające się nieraz przełożyć na język polski. Czy z rozmysłu skrócił niektóre ustępy a opuścił inne, na to nie umiem odpowiedzieć, również niektóre opowiadania podzielił na dwie części. (Próżniak i cud w Hoszano Rabo), inne połączył. Lecz to są

drobiazgi natury formalnej, które ani na jotę nie umniejszają wartości tłumaczenia i oryginału. Zwróciłbym raczej uwagę na kilka niedokładności, które się wkradły do tłumaczenia, jak np. na stronie 94, gdzie czytamy, że „Berek .. kwitek do rabina już posłał“. Otóż nie chodzi tu o kwitek do rabina, lecz o wyrok, jaki każdy Żyd otrzymuje z nieba w święto Hoszana Raba. W oryginale czytamy wyraźnie. דאס קוויטעל האָט מען אִיהם דארטען סאי וסאי אונטערגעשריבען

Notątki poprzedził tłumacz wstępem, w którym swoim zwyczajem mile rozprawia nad Szolom Alejchemem i czytelnika wprowadza w literaturę żydowską. Mamy tutaj i króciutką biografię autora, wiadomość o innych jego dziełach, oraz kilka uwag porównawczych. Wkradła się tutaj jednak omyłka (drukarska?) w dacie śmierci Szolom Alejchema, który nie umarł w r. 1917, lecz w r. 1916.

M. B.

כתבי רבי נחמן קרוכמאל ערוכים ומוגהים בצרוף מבוא, הערות השואת-גרסאות לוח-מונחים ומפתחות על ידי שמעון ראבידוביץ.

Pisma Nachmana Krochmala wydane, zrewidowane oraz zaopatrzone wstępem, uwagami, recenzją warjantów, tabelą terminów technicznych i rejestrami przez Szymona Rawidowicza. Wydawnictwo „Ajanoth“, Berlin 5684. (1924)—224 + 478 stron tekstu in quarto.

Leży przed nami nowa książka (a raczej stara książka w nowej, godnej szacie), której ukazania się wielu ludzi u nas już od lat oczekiwało z prawdziwą tęsknotą.

Przy bezwzględnem uznaniu, jakie wyrazić muszę dla herkulesowej pracy, dokonanej przez Szymona Rawidowicza, nie mogę jej jednak uznać za doskonałą, choć należy zaznaczyć, że braki tejże pracy są przeważnie spowodowane przez przyczyny natury technicznej i wynikają z warunków wśród jakich obecne wydanie dzieł Krochmala powstało.

Przy uwzględnieniu tych zastrzeżeń możemy rzec, że witamy z radością nowe wydanie dzieł Krochmala jako początek realizacji chwalebnego zamiaru ułatwienia przystępu do źródeł nowohebrajskiej literatury.

* * *

Rabbi Nachman Krochmal (1785—1840) urodził się w Brodach i umarł w Tarnopolu, większą zaś część swego życia spędził w miasteczku małopolskiem Żółkwi koło Lwowa *). Prowadził żywot cichy, ale bardzo

---

*) Tych czytelników polskich, dla których źródła hebrajskie nie są dostępne, a którzy mają zamiar zapoznać się w ogólnych zarysach z żywotem i osobistością Krochmala, muszę odesłać do swej pracy „Rabbi Nachman Krochmal z Żółkwi“, ogłoszonej w „Moriah“, miesięczniku młodzieży żydowskiej. (Rok XIII, zeszyt 5—6 Wiedeń, luty—marzec 1918.) Tam ogłosiłem polski przekład jednego rozdziału z dzieła Krochmala p. t. „Narody i ich bogowie“.

pracowity i przypominał pod wielu względami żywoty filozofów starożytnych. Otaczała go plejada uczniów, którzy na okruszynach, spadających z jego stołu duchowego, zdobyli sobie imię w literaturze i nauce żydowskiej. On sam zaś, jak niegdyś największy z filozofów greckich, nie pożądał wawrzynów literackich i przez całe prawie życie żadnej książki nie pisał.

Dopiero w ostatnich latach swego życia, pod naporem przyjaciół, postanowił nadać swemu głębokiemu i bardzo szerokiemu światopoglądowi formę książki, lecz pracy swej niestety nie dokończył. To, co napisać zdołał, było zaledwie małą częścią zamierzonego dzieła, a i tej części nie wykończył ani nie uporządkował. Ustnym testamentem przekazał swój spadek rękopiśmienny berlińskiemu uczonemu Drowi L e o p o l d o w i Z u n z o w i.

Praca około uporządkowania rękopisu nie musiała być zbyt łatwą, jeżeli tak skrzętny uczony, jak Zunz i to mimo pomocy Maurycego Steinschneidera — potrzebował dla jej dokonania 11 lat. Książka Krochmala pt. „Moreh Nebuche Hazman" wyszła we Lwowie w r. 1851, przyczem cała gromada uczniów i adoratorów Krochmala brała czynny udział w wydawnictwie: Jakób Bodek, Mendel Mohr, Motel Braun, Hilel Lechner, H. M. Pineles i syn autora Abraham Krochmal, a mimo to książka zawierała cały szereg błędów.

W krótkim czasie sprzedano cały nakład i już w r. 1863, okazała się potrzeba drugiego wydania. Wydania tego dokonał M i c h a ł W o l f, co do którego Rawidowicz nie bez zdziwienia stwierdza, że tytułuje się „magister religionis". Szumnie to trochę brzmi po łacinie (bo tytuł ten figuruje na łacińskiej nazwie tytułowej), ale tytuł ten jest tylko przekładem słów „nauczyciel religji".

Wolf był wydawcą z interesu, nie z zamiłowania. Daremnie podejrzywa go Rawidowicz, że miał przed sobą rękopis Krochmala i kładzie jego wersje na szalę złota. Wolf poprawiał—lub raczej psuł—tu i ówdzie tekst według „swego rozumu". To też emendacje mają tyleż źródłowej wartości, co poprawki trzeciego wydania (Warszawa 1894.) — t. zn. posiadają tylko wartość ujemną. Mógł tedy Rawidowicz trzymać się tylko pierwszego wydania, bez szkody dla tekstu. Natomiast są dość trafne uwagi samego Rawidowicza, którego edycja — c z w a r t a z rzędu — oznacza po raz pierwszy znaczny postęp w stosunku do pierwszego wydania i to pod względem krytyki tekstu i interpunkcji, jakoteż pod względem typograficznym.

Niesłusznie tylko postąpił, mojem zdaniem, Rawidowicz, że nie przyjął do swego wydania wstępu Zunza, dołączonego do wszystkich poprzednich wydań. Pomijam już rzeczywistą treść tego wstępu, gdyż ostatecznie weszła ona w skład dużego wstępu nowego wydawcy. Ale źródłowy badacz Krochmala będzie i tak musiał sięgnąć do poprzednich wydań ze względu na ten wstęp, który przez 75 lat wiernie towarzyszył dziełu Krochmala i stał się wprost jego organiczną częścią.

Wprawdzie Rawidowicz stanowczo utrzymuje, że „mylą się ci, którzy sądzą, że Zunz otrzymał rękopis M. N H., złożony jeno z fragmen-

tów nieuporządkowanych i nieprzygotowanych do druku". Nie wiem jednak, na jakiej podstawie opiera Rawidowicz to swoje stwierdzenie, kiedy ze wstępu Zunza właśnie to wynika, a znikąd indziej nie wynika przeciwieństwo tego.

Co do samego wydania tekstu, włożył w nie wydawca mnóstwo uczciwej i owocnej pracy i dzięki swej ostrożności w ustalaniu wersyj uzyskał zdrowy i jasny tekst, który przez racjonalną interpunkcję uczynił zupełnie przystępnym dla nowoczesnego czytelnika. Tekst ten zaopatrzył wydawca w mnóstwo uwag, które tyczą sie przeważnie różnic lekcyj w trzech pierwszych wydaniach. Nadto skontrolował wydawca wszystkie cytaty z dzieł cudzych (szczególnie Daehnego i Neandra) i zaopatrzył wyciągi z Ibn-Ezry w bardzo pouczające i ścisłe odnośniki.

Dobrze też uczynił Rawidowicz, że dołączył do swego wydania wszystko to, co wyszło z pod pióra Krochmala poza jego głównem dziełem, bez względu na to, czy te uboczne pisma przyjęte już zostały do poprzednich wydań Krochmala, czy też błąkały się jeszcze po starych czasopismach. Co się tyczy działu „Maamarim" (rozprawy), to zawiera on tylko notatki specjalne i dwie emendowane prace (jedna rozprawa i wstęp do dzieła „Szaar haszamajim Ibn-Ezry"). O wiele ciekawszy jest zbiór listów, który stanowi ważny materjał do charakterystyki Krochmala i jego epoki. Wśród tych listów tylko jeden jest wydany z rękopisu, reszta ukazała się już w różnych czasopismach i almanachach. Do zbioru tego, który obejmuje 18 listów, weszły także urywki z listów Krochmala, cytowane przez współczesnych, szczególnie przez Zunza.

Nadto zebrał Rawidowicz także ustne enuncjacje Krochmala, o ile przekazane zastały potomności przez jego uczniów i przyjaciół. Tych tradycyj ustnych jest coprawda niewiele, ale zebranie ich stanowi pewien akt pietyzmu dla zawsze jeszcze niedość ocenionego filozofa z Żółkwi.

Jeżeli dodamy jeszcze szereg ilustracyj (wśród których brak niestety podobizny Krochmala, bo ta nas nie doszła) i ścisły rejestr autorów i pism cytowanych—otrzymamy obraz publikacji, którą można śmiało nazwać monumentalną.

Nie mogę natomiast nazwać monumentalnym wstępu, mimo jego olbrzymich rozmiarów (225 dużych stron) i niezmierzonego bogactwa zawartej w nim treści. Wstęp ten wymaga jeszcze opracowania!

Wady tego wstępu wynikają z jego genezy i są dla dzieł tego rodzaju wprost typowe.

Kto chce w należyty sposób wydac jakieś wielkie dzieło i zaopatrzyć je w odpowiedni aparat naukowy, musi się całą swą istotą wgłębić w odnośnego autora i wpada w wir obszernych studjów nad autorem i jego epoką.

W ciągu pracy przekonuje się jednak, że materjał niesamowicie rośnie mu pod rękami. Zaczyna już żałować, że nie zabrał się do napisania odrębnej książki o odnośnym autorze. Ale dzieło czeka na wstęp i ten wstęp musi być dokończony. Autora ogarnia nerwowość i praca jego wychodzi jako twór połowiczny, nieodpowiadający swemu celowi: na wstęp jest ona za obszerna, do wysokości osobnej kreacji literackiej, odpowiadającej wymogom autora, nie dorosła jeszcze.

Że wstęp Rawidowicza posiada taki a nie inny charakter, przeczuwa czytelnik już wtedy, kiedy czyta jego uwagę na stronie 16. Donosi tu wydawca, widocznie nie bez pewnego żalu do samego siebie, że różne rozdziały — i to może najważniejsze! — nie weszły do wstępu ze względów technicznych; i tak: rozdział o wpływach, które oddziaływały na Krochmala i o wpływie, który on wywarł na swych następców; rozdział o budowie głównego dzieła Krochmala i krótki przegląd treści tegoż dzieła; wreszcie rozdział syntetyczny o światopoglądzie Krochmala.

Wszystkie te braki obiecuje wydawca uzupełnić w osobnej książce o Krochmalu, którą zamierza w najbliższej przyszłości wydać. Książki tej oczekujemy z ciekawością!

Pierwszy rozdział wstępu zawiera bardzo obszerną i wyczerpującą biografię Krochmala. Wprawdzie autor niewiele mógł znaleść szczegółów nowych, dotąd jeszcze nie ogłoszonych o Krochmalu, ale przez skrzętne zebranie wszystkiego, co tylko w tej dziedzinie można było znaleść, wywiązał się dobrze ze swego zadania. Pewną nowością jest to, że Rawidowicz na podstawie kilku wzmianek u współczesnych podkreśla, że Krochmal był członkiem zarządu kahalnego w Żółkwi. Z faktu tego chce Rawidowicz wyciągnąć wniosek, że Krochmal był „mężem czynu", a nie tym pustelnikiem, za jakiego powszechnie uchodzi. Mojem zdaniem jednak Rawidowicz zbyt dużo wartości przypisuje odnośnym faktom i charakterystyka współczesnych jest dla nas bardziej miarodajną, niż rekonstrukcja charakteru na podstawie kilku luźnych wzmianek.

Bardzo ciekawe są szczegóły, które Rawidowicz podaje o losach rodziny Krochmala i o uczniach i przyjaciołach mistrza.

Najgłębszym, najlepiej opracowanym i najoryginalniejszym jest drugi rozdział wstępu („Historja, krytyka i tradycja"). Oryginalność tego rozdziału polega na tem, że Rawidowicz chce punkt ciężkości pracy Krochmala przenieść z dziedziny filozoficzno-syntetycznej do dziedziny historyczno-krytycznej. W tym kierunku staje Rawidowicz w sprzeczności nie tylko ze wszystkimi dotychczasowymi krytykami Krochmala, ale wprost ze samym Krochmalem, który za istotnie wartościową część swej pracy życiowej uważał jej wyniki ogólne, czyli właśnie ową stronę filozoficzno-syntetyczną. Krochmal zwykł był nawet skarżyć się, że tej strony jego pracy nikt ze współczesnych należycie nie ocenia.

Z tego nie wynika jednak, że Rawidowicz nie może mieć słuszności. W ocenie osobistości autora i analizie jego psychy jest objektywny krytyk nieraz bardziej miarodajny niż sam autor, któremu subjektywne czynniki mogą zasłonić widok na horyzonty własnej duszy.

Dowodzi zaś Rawidowicz, że główną intencją Krochmala było „wprowadzenie do myśli żydowskiej c z a s u i m i e j s c a, tych dwóch czynników, na które dotąd zupełnie nie zwracano u nas uwagi". Do tego celu zdąża Krochmal przez krytykę naszego piśmiennictwa biblijnego i talmudycznego. stanowisko, jakie zajmuje wobec źródeł tradycji, nie jest jednolite: jest ono całkiem niekrytyczne wobec Pięcioksiągu, mało krytyczne wobec reszty Biblji, swobodniejsze wobec Halachy talmudycznej, a zupełnie wolne wobec Agady.

Czy jednakowoż stanowisko Krochmala było naprawdę wolne

i nieprzymuszone? czy wynikało ono wyłącznie z jego wewnętrznego przekonania i nie liczyło się **zupełnie** ze środowiskiem? Mimo całego kultu dla Krochmala jestem w tym wypadku bardziej od niego pesymistyczny. Na poparcie swego twierdzenia mogę się powołać na jeden bardzo charakterystyczny fakt, dziwnym trafem zupełnie pominięty w referacie Rawidowicza: to, że Krochmal w swym przeglądzie historji żydowskiej **zupełnie pominął** tak ważne zjawisko dziejowe, jakiem jest **powstanie chrześcijanstwa**. Fakt ten może być tylko wytłumaczony przez warunki, wśród których żył Krochmal. Nie mógł on zająć wobec chrześcijaństwa tak skrajnie zaprzeczającego stanowiska, jakby tego od niego ówczesna ortodoksja żydowska wymagała.

Czy Krochmal nie przemilczał jeszcze więcej? W każdym razie dokonał Rawidowicz przeglądu historyczno-krytycznych badań Krochmala wyczerpująco, przedewszystkiem zaś barwnie, zajmująco i wogóle dojrzale. Ten rozdział może być uważany za wzorowy i zupełny.

Nie można tego powiedzieć o rozdziale trzecim, który traktuje o „hegelaniżmie" Krochmala. Rawidowicz przystąpił do pisania tego rozdziału z przygotowaną z góry tendencją, która wpłynęła bardzo ujemnie na bieg jego pracy. Przytem nie umiał on nawet swej tendencji ukryć. Są w nim niezaprzeczenie pewne myśli bardzo słuszne i bardzo płodne, ale nie są one należycie wyzyskane.

Skąd u Rawidowicza ta nerwowa tendencja, aby wprost zaprzeczyć wszelkich wpływów Hegla na Krochmala, który uchodził dotąd powszechnie za Hegelianina czystej wody? Leży ona bezwątpienia w duchu czasu i jest reakcją przeciw tendencji, która dotąd u nas samowładnie panowała.

Ta tendencja jest wytworem ostatniego okresu naszej historji duchowej, zwanego „haskalą" lub „oświeceniem". Kontakt z Europą — oto ideał Haskali: skonstatować ten kontakt, gdzie jest — stworzyć go, gdzie go niema — oto dążenie naszej wczorajszej literatury.

Śmiesznem wprost jest, z jaką finezją doszukiwano się wpływów europejskich u naszych autorów, nawet gdzie oni byli zupełnie oryginalni. Czyniono zaś to nie dla „pomniejszenia" naszych własnych tworów, lecz przeciwnie, dla większej ich chwały.

Charakterystyczny pod tym względem jest ów właśnie hegelianizm Krochmala On bezsprzecznie istnieje, Zunz go nie wyssał z palca, a dziesięciu krytyków starszej generacji (z których **każdy** był bliższy Hegla, niż Rawidowicz) nie bez powodu to zdanie za Zunzem powtarzało a jeden z **adoratorów** Krochmala (I. K. **Landau**: Nachman Krochmal, ein Hegelianer, Berlin 1904.) podjął się nawet „dokumentnego" dowodu na hegelianizm Krochmala.

Tymczasem my zmieniliśmy front. Ideałem stała się dla nas — **oryginalna myśl żydowska**. Nie mogąc zaprzeczyć wpływu, jaki wywarła Europa na naszych wielkich myślicieli, szukamy jednak u naszych pisarzy w pierwszym rzędzie ich własnych myśli i te oryginalne myśli — nie zależność od Europy — stały się u nas legitymacją do nieśmiertelności.

Nadto zaś Hegel w ostatnich latach wywędrował zupełnie „na-strych". Ciemny ideołog „imperjalizmu niemieckiego" stał się nawet dla świata uczonego „persona ingrata".

I Rawidowicz boi się, aby coś z czarności Hegla nie odbiło się także na naszym wielkim Krochmalu. Stąd ta gwałtowna „dehegelizacja" Krochmala, która jest równie sztuczna, jak ongiś jego gwałtowna „hegelizacja".

Dobrze jednak uczynił Rawidowicz, że wykazał, jakie inne wpływy obok Hegla działały na Krochmala. Odnośnie do Kanta, to wpływ jego na Krochmala już przedtem nie był dla nikogo tajemnicą. Natomiast wpływ Vica, Lessinga i Herdera nie był znany, a co do Vica jest on nawet u Rawidowicza bardzo dobrze udowodniony.

Przesadza jednak stanowczo Rawidowicz, jeżeli chce udowodnić, że nie było żadnego albo prawie żadnego wpływu Hegla na Krochmala. Wpływ ten jest zanadto widoczny, aby się dał tak sobie zaprzeczyć.

Wystarczy przeczytać pierwsze cztery rozdziały pracy Krochmala aby tam stwierdzić cały aparat myślowy Hegla — z tezą, antytezą i syntezą. Wystarczy nazwać po imieniu centralną ideę systemu Krochmala — absolutną duchowość — (mniejsza o treść, jaką jej Krochmal nadaje), aby się znaleść na gruncie Heglowskim.

Rawidowicz przytacza jako dowód okoliczność, że Krochmal ani razu w swem dziele Hegla nie cytuje. Ta okoliczność dowodzi czegoś zupełnie przeciwnego: Hegel był dla współczesnych tak dalece uosobieniem prawdy filozoficznej, że nie trzeba było go cytować po imieniu. To było zresztą zbyteczne. Jeżeli Krochmal w swych listach pisze „wielki współczesny filozof niemiecki" albo „der Riese", to każdy wiedział kogo on myślał.

Lecz sam Rawidowicz doszedł wreszcie do przekonania, że przeholował w „zaprzeczaniu" i na ostatnich stronach trzeciego rozdziału (str. 200—201), zaczyna się ostrożnie cofać, ale już za późno.

Czwarty rozdział wstępu obejmuje parę głębokich uwag o stylu Krochmala i dobrze opracowany słownik wyrazów technicznych. Notatki bibliograficzne co do poprzednich wydań Krochmala kończą piękny wstęp.

Rawidowiczowi należy się potrójne podziękowanie: za jego bogaty wstęp, za pracowite wydanie oryginału i wreszcie, jako właścicielowi wydawnictwa „Ajanoth", za luksusowe zewnętrzne wydanie książki, która i pod względem zewnętrznym stanowić będzie chlubę dla naszej literatury

Dr. Jeremiasz Fränkel.

M. Alperson: 30 lat w Argentynie.

30 יאר אין ארגענטינע *Pamiętniki żydowskiego kolonisty, Nakładem „Jüdischer Literarischer Verlag" w Berlinie.*

„Czyta się te pamiętniki jakgdyby cudowną jakąś opowieść o żydowskim Robinzonie — w tych oto słowach charakteryzuje niezmiernie ciekawą książkę H. D. Nomberg, który zaopatrzył pamiętniki p. Alpersona w piękną przedmowę. Robinzonem p. Alperson właściwie nie był, ale był w położeniu znacznie gorszem, a dokonał rzeczy większej i odważniejszej. Wyrwany ze stosunków bądź co bądź uporządkowanych obietnicą żydowskiego raju, którą w ostatniem dziesięcioleciu ubiegłego stulecia błysnął nagle przed oczyma wstrząśniętego do głębi żydostwa baron Hirsch, znalazł się autor pamiętników na samotnem pastkowiu, wydany na pastwę dzikich żywiołów a jeszcze okrutniejszej, bo przemyślnej i wyrafinowanej okupcji rozmaitych administratorów Twa „I. C. A.

Cała ta książka jest namiętnym aktem oskarzenia przeciwko tym niepowołanym opiekunom, którzy swoją legitymację do reprezentowania Żydów czerpią z dochodów swych spekulacji giełdowych. A ten akt oskarzenia jest tem wymowniejszy, ponieważ pisało i układało go życie same. Jakże żałuję, że Teodor Herzl nie dożył tych pamiętników, nie mógł rzucić baronowi Hirszowi tej książki na stół jako jedyną odpowiedź na ten sceptyczny uśmieszek, którym trzeźwy realista Hirsz odpowiedział na płomienny apel fantastycznego romantyka Herzla!

Bo jeżeli w kolonjach Hirszowskich po „rewolucji" Gabrila, po amputacji D-ra Berkheima, po cesarskiem cięciu operacyjnem Lapina, po kradzieżach miljonowych rozmaitych małych i większych urzędników administracyjnych zostało na roli kilka tysięcy rodzin, to zawdzięczyć to możemy żydowskiemu optymizmowi, i przysłowiowemu darowi przystosowania się do wszelkich warunków. A nielada trudności mieli do pokonania ci marzyciele ghetta, do których dotarła radosna wieść, że znalazł się wielki Żyd, baron Hirsch, który dla swoich „współwyznawców" zakupił w urodzajnej Argentynie potężny szmat ziemi, by tam osiedlić wszystkich do pracy na roli rwących się żydowskich kramarzy. Przejść musieli naprzód piekło komitetów emigracyjnyah.

Radziłbym tym panom, którzy nie stracili jeszcze dziwacznej chęci odgrywania bardzo wątpliwej wartości roli szafarzy filantropji kosztem na szych biednych „kuzynów" ze wschodu na rachunek bogatego wujaszka z Zachodu, by sobie ten rozdział im poświęcony przeczytali. Dowiedzieliby się może, ile taktu, pobłażania, wyrozumiałości i dobroci serca potrzeba, by nie upokorzyć biednego wygnańca, nie zranić go do głębi duszy i nie uczynić z człowieka nieszczęśliwego żebraka.

Lecz w końcu pozbyli się twórcy naszego żydostwa na polach argentyńskich opieki komitetów, a okręt który ich unosił w tamte strony, kołysał ich marzenia o innem, nowem życiu. Myśleli, że gdy staną na gruncie Argentyny, otworzą się przed nimi bramy raju, lecz jak srogiego doznali rozczarowania! Administratorzy barona Hirsza nie byli wcale przygotowani na przyjęcie emigrantów. I tu zaczyna się krwawa martyrologja tych ofiar carskiego despotyzmu, martyrologja, opowiedziana przez autora spokojnie i bez patosu, a jednak tak wzruszająco wymownie! A natura argentyńska przygotowała na przyjęcie żydowskich Argonautów straszliwy „Pampero" (huragan połączony z gwałtownym deszczem). Setki ciężko i lżej rannych złożyły w ofierze demonowi wichru, a lekarza administracja Hirszowska uważała przez długie miesiące za niepotrzebny zbytek!

Następują długie miesiące bezustannej walki z tępotą, lekkomyślnością, karygodnem niedbalstwem i straszniejszą jeszcze korupcją panów administratorów.

Wystarczy nadmienić, ze dopiero po dwóch latach, dzięki żelaznej energji Colonella Goldschmidta, późniejszego towarzysza Herzla, udało się jakoś urządzić kolonię i każdemu rolnikowi przydzielić ziemi do uprawy.

I ciągnie się ta opowieść spokojnie, cicho. Czasem zapłacze autor gorzkiemi łzami nad nieszczęsną dolą kolonisty, wysiedlonego dzięki samowoli administracyjnego kacyka z roli, czasem wybuchnie dytyrambem na cześć swej wiernej towarzyszki, która nietylko wprowadza szlachetną kulturę ogrodową, nietylko pomaga mężowi przy ciężkiej pracy przy pługu, lecz stara się o wychowanie młodego pokolenia i szturmuje do barona ciągłemi petycjami o szkołę.

I mimowoli przypominam sobie cudowną epopeję współczesną „Błogosławieństwo ziemi" Hamsuna. Ale ten margrabia chłopski Izaak nigdy się od ziemi zanadto nie oddalił, zawsze był z nią zrośnięty. Nie miał tylko warsztatu pracy. A gdy dostał kawałek nieużytku, dokonał cudów bohaterstwa. Jakimiż bohaterami dopiero są ci farmarzy i koloniści żydowscy, którzy dawniej byli kupcami, rzemieślnikami, mełamedami?! A Izaakowi nikt nie stawał na przeszkodzie, nasi zaś koloniści prócz walki z ziemią i żywiołami musieli jeszcze stoczyc krwawą walkę z wadliwym systemem filantropji.

Dr. M. Kanfer.